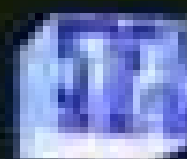


DAVID DRAKE

PODSTĘP



ERIC FLINT

PODSTĘP

DAVID DRAKE I ERIC FLINT

Na początku był cel.

cel był jedyną płaszczyzną. I jako jedyna płaszczyzna, cel nie miał znaczenia ani wartości. Po prostu był. Był. Nic więcej.

cel. Samotny i nieświadomy.

Jednakże rzecz, która miała stać się celem, nie powstała w sposób przypadkowy. cel, pierwsza i odosobniona płaszczyzna, został stworzony naturą człowieka, który kulił się w jaskini, patrząc na swe dzieło.

Inny człowiek, prawie każdy inny, zachłysnąłby się, odskoczył, uciekł lub chwycił bezużyteczny oręż. Niektórzy, ale bardzo niewielu, próbowaliby pojąć, co widzą. Ale człowiek w jaskini tylko patrzył.

Nie starał się pojmować celu, gdyż pogardzał wiedzą. Ale można powiedzieć, że zastanawiał się nad oglądanym zjawiskiem. Więcej nawet, rozważał je z pełnym skupieniem, będącym poza możliwościami prawie każdego człowieka na świecie.

cel powstał w tej jaskini i w tym czasie, ponieważ siedzący tu człowiek, rozmyślający nad nim, przez długie lata pozbawiał siebie wszystkiego prócz nadrzędnego, palącego i pochłaniającego wszystko poczucia celu.

* * *

Nazywał się Michał z Macedonii. Był mnichem stylitą, jednym ze świętych ludzi, którzy poszukują wiary poprzez odosobnienie i medytację, tkwiąc na słupach lub mieszkając w jaskiniach.

Michał z Macedonii, nieustraszony, gdyż pewien swej wiary, wyciągnął naprzód chude ramię i położył kościsty palec na celu.

cel, pod dotknięciem palca, otwierał płaszczyznę za płaszczyzną, w nagłej eksplozji kryształowej wiedzy, która, gdyby cel naprawdę był świecącym własnym blaskiem klejnotem, oślepiłaby dotykającego.

Gdy tylko Michał z Macedonii dotknął celu, jego ciało wygięło się jak w agonii. Mężczyzna otworzył usta w bezgłośnym krzyku, a twarz wykrzywił mu potworny grymas. Chwilę później stracił przytomność.

* * *

Przez dwa pełne dni Michał leżał nieprzytomny w jaskini. Oddychał, a jego serce biło, lecz umysł błądził wśród zjaw.

Na trzeci dzień Michał z Macedonii obudził się. Obudził się w jednym momencie. Gotowy, w pełni przytomny i bynajmniej nie osłabiony. (A przynajmniej nie osłabiony na duszy. Jego ciało walczyło ze słabością, która przyszła po latach postu i surowej prostoty.)

Bez wahania Michał wyciągnął rękę i chwycił cel. Obawiał się kolejnego wstrząsu, ale potrzeba zrozumienia pokonała strach. I podczas tej próby obawa okazała się nieuzasadniona.

Surowa moc pochodząca z celu została rozproszona poprzez liczne płaszczyzny. Mógł kontrolować jej wybuchy. cel był teraz także trwaniem. I ponieważ czas, który odnalazł w umyśle mnicha, był mu zupełnie obcy, pochłonął również zmieszanie. trwanie stało się także różnorodnością, cel więc był w stanie podzielić się zarówno w uporządkowaniu, jak

i w różnicowaniu. Powierzchnie otwierały się i rozprzestrzeniały, podwajały, troiły, mnożyły i znów rozdzielały, aż stały się jak kryształowy potok, który porwał mnicha niczym dzika rzeka miotająca drewniany wiór.

Rzeka dotarła do ujścia i wpadła do morza, nastał spokój. cel spoczywał w dłoni Michała, błyszcząc jak światło księżyca na wodzie. Blask odbił się uśmiechem na twarzy mnicha.

– Dziękuję ci – rzekł – za to, że zakończyłeś lata moich poszukiwań. Gdyż nie mogę być ci wdzięczny za koniec, który mi przynosisz.

Na chwilę zamknął oczy, pogrążony w myślach. Potem wymamrotał:

– Muszę szukać rady u mojego przyjaciela, biskupa. Jeżeli jest choć jeden człowiek na ziemi, który może wskazać mi drogę, będzie to Antoniusz.

Otworzył oczy. Zwrócił wzrok w kierunku wyjścia z jaskini i spojrzał w jasny syryjski dzień.

– Bestia jest blisko.

Prolog

Tej nocy Belizariusz odpoczywał w domu, który nabył, gdy został dowódcą armii w Daras. Nie bywał tutaj często, gdyż jako generał wolał pozostawać ze swoimi oddziałami. Kupił willę dla swej poślubionej dwa lata temu żony Antoniny, aby mogła mieć wygodną rezydencję w bezpiecznym Aleppo, niedaleko perskiej granicy, gdzie znajdował się posterunek generała.

Gest ten był raczej daremny, gdyż Antonina nalegała na towarzyszenie Belizariuszowi nawet w nędznym i hałaśliwym obozie wojsk. Rozdzielenie tych dwojga było prawie niemożliwe i, szczerze powiedziawszy, generał nie narzekał. Gdyż, wśród tajemniczych meandrów bystrego jak strumień umysłu Belizariusza, jedna rzecz pozostawała dla wszystkich jasna – uwielbiał swoją żonę.

Dla większości uwielbienie to było niezgłębione. Po prawdzie Antonina odznaczała się żywą i atrakcyjną osobowością, przynajmniej dla tych, którzy nie mieli nieszczęścia zetknąć się z jej znacznym temperamentem. I była bardzo piękna. Co do tego zgadzali się wszyscy, nawet wielu jej krytyków. Chociaż znacznie starsza od męża, Antonina dobrze znosiła ciężar lat.

Ale cóż to były za lata! Wysoce skandaliczne.

Jej ojciec był woźnicą rydwanu, jednym z ludzi podziwianych przez bywalców hipodromu. Jakby tego było mało, jej matka pracowała jako aktorka, który to zawód, jak mówią, bliski jest prostytutce. Ponieważ Antonina dorastała w takim otoczeniu, przystosowała się dosyć wcześnie do trybu życia matki i, o zgrozo, dodała do grzechu rozwiązłości sztukę magiczną. Było powszechnie wiadome, że Antonina kształciła się w czarach, a także w innych, bardziej cielesnych sztukach.

Co prawda od czasu małżeństwa z generałem nie wykryto nawet śladu skandalu związanego z jej imieniem, ale czujne oczy i uszy zawsze były przy niej. O dziwo nie należały do męża, który wydawał się głupio nie interesować jej wiernością. Jednak wielu innych obserwowało i słuchało pogłosek z drżącą uwagą, tak typową dla poprawnych obywateli.

Jednakże uszy słyszały niewiele, a oczy widziały nawet mniej. Kilku zrezygnowało, nie doszukawszy się sensacji. Większość jednak pozostała czujna na posterunkach. Ta dziwka była w końcu czarownicą. I, co gorsza, przyjaźniła się blisko z cesarzową Teodorą. Nic zresztą w tym dziwnego, wszyscy wiedzą, że ciągnie swój do swego. Nawet jeżeli cesarzowa Teodora ani teraz, ani w przeszłości nie zajmowała się czarami, to prowadziła tryb życia tak rozwiązły, że zawstydziłaby nawet Antoninę.

Któż więc mógł wiedzieć, jakie lubieżne praktyki i poczynania ukrywała Antonina?

Co do samego generała, poza jego skandalicznym małżeństwem otoczenie miało mu niewiele do zarzucenia.

Niewiele, ale nie nic. Chociaż zaliczany do arystokracji, Belizariusz pochodził z Tracji. A Trakowie znani byli jako ludzie gburowaci, surowi i nieokrzesani. Ta skaza na jego opinii pozostawała praktycznie niezauważona. Sprawiedliwi nie musieli obawiać się gniewu Belizariusza. Generał miał zwyczaj okazjonalnie żartować sobie z okrucieństwa swoich rodaków. Były to oczywiście okrutne żarty – w końcu sam był jednym z nich.

Usta arystokracji milczały w tej materii, ponieważ cesarz Justynian również był Trakiem. Do tego nie pochodził nawet z trackiej szlachty, jaka by nie była, ale z plebsu. I jeżeli Belizariusz był znany ze swojego poczucia humoru, to cesarz nie. Z pewnością nie. Justynian był wiecznie skwaszonym i podejrzliwym człowiekiem, skorym do gniewu. A kiedy wpadał w gniew, był przerażający.

I jeszcze to, że generał był młody. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że młodość jest cechą z natury niebezpieczną. Wyjątkowo niebezpieczną, obok odwagi i porywczosci. Nie są to przymioty, które arystokracja lubi widzieć w swoich generałach. Jednakże cesarz Justynian umieścił go w szeregach swej osobistej ochrony, elitarnej jednostki, z której wywodzili się przyszli generałowie. A potem, przesadziwszy w szaleństwie głupoty, natychmiast mianował Belizariusza głównodowodzącym armii stojącej przed starożytnym medejskim wrogiem.

Co prawda byli także ludzie, którzy bronili wyboru cesarza, wskazując na to, że pomimo młodego wieku Belizariusz charakteryzuje się zdrowym osądem i żywym umysłem. Jednakże ta linia obrony zawiodła. W końcu, poza jego małżeństwem, to właśnie te cechy charakteru Belizariusza stanowiły dla jego tradycyjnie myślących przeciwników ciężki orzech do zgryzienia.

Inteligencja, oczywiście, jest cechą godną podziwu u mężczyzny. Umiarkowana, także u kobiety – tak długo, jak mamy do czynienia z normalną inteligencją, z prostą, można powiedzieć. Ze zjawiskiem o regularnych skrętach i precyzyjnych kątach, w najgorszym wypadku sferycznych zakrzywieniach. Umiarkowana w środku, otwarta na brzegach, bezpośrednia z bliska.

Ale umysł Belizariusza stanowił wielką tajemnicę. Patrząc na generała, widziano jedynie Traka. Wyższego niż przeciętni, dobrze zbudowanego, jak zwykle byli Trakowie, i przystojnego (jak zwykle Trakowie nie byli). Ale wszyscy, którzy znali generała, szybko pojmowali, że w tym ciele krył się zdumiewająco bogaty intelekt. Nieco subtelności wschodu, może antycznego południa... Coś, co nie kojarzyło się z surowymi wzgórzami, lecz z pradawną puszcza. Sędziwy umysł w młodym ciele, krzywy jak korzeń i kręty jak wąż.

Tak myślało o nim wielu ludzi, szczególnie po zawarciu bliższej znajomości. Po spotkaniu z generałem nikt nie mógł mu zarzucić braku manier czy niestosowności zachowania. Belizariusz był człowiekiem o wesołym usposobieniu, nikt nie mógł temu zaprzeczyć, chociaż wielu zastanawiało się po jego wyjściu, czy generał nie okazywał wesołości na użytek otoczenia. Ale zachowywali swe podejrzenia dla siebie, gdyż zawsze mieli na uwadze to, że jaki by nie był stan umysłu generała, jego kondycja fizyczna nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Belizariusz był mistrzem miecza. I nawet pijani katafrakci mówili tylko o jego lancy i łuku.

* * *

Do domu tego właśnie człowieka i jego żony przybyli Michał z Macedonii i jego przyjaciel biskup z wiadomością i rzeczą, która ją przyniosła.

ALEPPO

Wiosna, rok 528 n.e.

Rozdział 1

Obudzony przez swojego sługę Gubazesa Belizariusz wstał szybko, z wprawą weterana wielu kampanii. Leżąca u jego boku Antonina wolniej budziła się ze snu. Po wysłuchaniu Gubazesa generał narzucił tunikę i wypadł z sypialni. Nie czekał, aż Antonina się ubierze i nawet nie zapiął swoich sandałów.

Tak dziwni goście o tej porze nie powinni czekać. Antoniusz Kasjan, biskup Aleppo był przyjacielem, który odwiedzał Belizariusza przy wielu okazjach, ale nigdy o północy. A ten drugi – Michał z Macedonii?

Belizariusz znał oczywiście to imię. Było sławne w całym Imperium Rzymskim. Popularne i uwielbiane przez zwyczajnych ludzi. Wśród dostojników kościelnych, którzy byli podmiotami okazjonalnych kazań Michała, jego imię cieszyło się złą sławą i nie darzyli go oni sympatią. Jednak generał nigdy osobiście nie spotkał tego człowieka. Tylko kilku miało okazję go poznać, ponieważ mnich od dawna mieszkał w jaskini na pustyni.

Idąc długim korytarzem w kierunku salonu, Belizariusz słyszał głosy dochodzące stamtąd. Jeden z nich rozpoznał jako należący do jego przyjaciela biskupa. Drugi wziął za głos mnicha.

– Belizariusz – zasyczał nieznany głos.

Odpowiedź należała do Antoniusza Kasjana, biskupa Aleppo.

– Tak jak ty, Michale, wierzę, że to wiadomość od Boga. Ale nie jest przeznaczona dla nas.

– On jest żołnierzem.

– Tak. I na dodatek generałem. Tym lepiej.

– Czy jest człowiekiem o czystym umyśle? – dopytywał się szorstki, stanowczy głos. – Prawej duszy? Czy podąża ścieżką sprawiedliwych?

– Och, myślę, że jego dusza jest wystarczająco czysta, Michale – odpowiedział łagodnie Kasjan.

– W końcu pojął dziwkę za żonę. To dobrze o nim świadczy.

Głos biskupa ochłódl.

– Ty także, stary przyjacielu, cierpisz czasem z powodu grzechu faryzeuszy. Nadejdzie dzień, kiedy będziesz wdzięczny, że zastępy Pana dowodzone są przez tego, który, choć nie dorównuje świętym w czystości, jest równie przebiegły jak wąż.

Chwilę później Belizariusz wszedł do pokoju. Zatrzymał się na chwilę, badając wzrokiem dwóch czekających na niego mężczyzn. Oni również przypatrywali się generałowi.

Antoniusz Kasjan, biskup Aleppo, był niskim, pulchnym mężczyzną. Jego okrągłą, wesołą twarz wieńczył ostro zakrzywiony nos. Pomimo łysiejącej głowy, brodę miał bujną i starannie zadbaną. Belizariuszowi przypominał dobrze odżywioną, przyjazną i inteligentną sowę.

Michał z Macedonii przywodził na myśl obraz zupełnie innego ptaka – wznoszącego się w pustynne niebo wymizerowanego drapieżnika, którego bezlitosnym oczom nie umknie żaden szczegół. Oczywiście, pomyślał generał z lekkim rozbawieniem, poza stanem jego własnej osoby. Rozzochrana broda i tunika w nieładzie były dla świętego człowieka jakby niewidzialne.

Spojrzenie generała napotkało niebieskie oczy mnicha. Usta Belizariusza wykrzywił nieznaczny uśmiezek.

– Trzymaj go na uwięzi, biskupie, zanim podusi twoje gołębice.

Kasjan wybuchnął śmiechem.

– Dobrze powiedziane! Belizariuszu, pozwól mi przedstawić sobie Michała z Macedonii.

Belizariusz uniósł brew.

– Dziwny to gość o tej porze, czy w zasadzie o każdej porze, sądząc po jego opinii.

Generał podszedł bliżej i wyciągnął dłoń. Biskup natychmiast ją uścisnął. Mnich nie. Ale Belizariusz nadal trzymał rękę przed sobą i Michał zaczął się zastanawiać. Dłoń pozostała tam, gdzie

była. Była to ręka duża, ładnie ukształtowana i z wyraźnymi pasmami ścięgien. Ręka, która nie drżała, chociaż mijały długie sekundy. Ale to nie dłoń przekonała w końcu bożego człowieka. Był to spokój brązowych oczu, tak nie pasujących do młodej twarzy. Oczu jak ciemne kamienie wygładzone w strumieniu.

Michał podjął decyzję i uściśnął rękę generała.

Małe zamieszanie spowodowało, że mężczyźni się odwrócili. W drzwiach stała ubrana w tunikę kobieta. Ziewała. Była bardzo niskiego wzrostu i bujnych kształtów.

Michał słyszał, że jest ładna jak na kobietę w jej wieku, ale teraz wiedział, że mówiono mu kłamstwa. Była bowiem piękna jak poranny deszcz, a lata dodawały jej urodzie bogactwa.

Jednak piękno Antoniny odpychało go. Nie w taki sposób, w jaki mogłoby przerażać świętego mającego w pamięci pramatkę Ewę. Nie, odpychało go, ponieważ był przekornym człowiekiem. Odkrył bowiem, że kiedy ludzie mówią o czymś, że jest dobre, okazuje się złe, prawdziwe staje się fałszywe, a piękne ukrywa ohydę.

Podchwycił wzrok kobiety. Jej oczy były zielone jak pierwsze wiosenne listki – czyste, jasne oczy w ciemnej twarzy, okolonej hebanowymi włosami.

Michał zastanowił się i ponownie doszedł do wniosku, że ludzie kłamią.

– Miałeś rację, Antoniuszu – powiedział szorstko. Zatoczył się lekko, zdradzony przez słabnące kończyny. Chwilkę później kobieta była u jego boku i poprowadziła mnicha w kierunku kanapy.

– Michał z Macedonii we własnej osobie – powiedziała miękko głosem zabarwionym humorem. – Jestem zaszczycona. Chociaż mam nadzieję, że nikt nie widział cię wchodzącego. O tej porze! Cóż, moja reputacja i tak jest zszargana. Ale twoja!

– Dbanie o reputację jest szaleństwem – odparł Michał. – Szaleństwem podsycanym przez pychę, która jest jeszcze gorsza.

– Radosny człowiek, nieprawdaż? – zapytał lekko Kasjan. – Mój najdawniejszy i najbliższy przyjaciel, chociaż czasem się zastanawiam dlaczego.

Żartobliwie potrząsnął głową.

– Spójrz na nas. On, ze swoją rozwianą grzywą i zagłodzonym ciałem, i ja, gładko uczesany i... nie jestem zbyt szczupły. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Ale przy całej mojej krągłości, należy podkreślić, że wciąż nie mam problemów z utrzymaniem się na nogach.

Michał uśmiechnął się słabo.

– Antoniusz zawsze miał skłonności do przechwałek. Na szczęście jest także inteligentny. Tępy Kasjan nie miałby się czym chwalić. Ale on zawsze potrafi coś znaleźć, zagrzebane i niedostrzegalne dla świata, jak kret szperający w poszukiwaniu robaków.

Belizariusz i Antonina uśmiechnęli się.

– Bystry stylito! – zawołał generał. – Czuję, jakby dzień nadszedł jeszcze przed wschodem słońca.

Kasjan potrząsnął głową, poważniejąc.

– Obawiam się, że nie. Raczej odwrotnie. Nie przybyliśmy tutaj, Belizariuszu, aby przynieść ci słoneczny blask, ale przepowiednię nadejścia ciemności.

– Pokaż mu! – rozkazał Michał.

Biskup sięgnął do sakwy i wyjął *rzecz*. Podał ją do przodu wyciągniętą ręką.

Belizariusz podszedł bliżej, aby przyjrzeć się przedmiotowi dokładniej. Jego oczy pozostały spokojne. Twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Z drugiej strony Antonina wciągnęła głośno powietrze i odskoczyła.

– Czary!

Antoniusz potrząsnął głową.

– Nie sędzę, Antonino. A przynajmniej nie są to czary dokonane mocą ciemności.

Ciekawość pokonała strach. Antonina podeszła bliżej. Była niskiego wzrostu, więc nie musiała się pochylać, aby zbadać dokładnie *rzecz*.

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego – wyszeptała. – Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Magiczne kamienie, tak. Ale to przypomina klejnot, z początku, ale kiedy przypatrzysz się bliżej... Może kryształ. Ale potem jest jak...

Szukała odpowiednich słów. Jej mąż przemówił.

– Tak musi wyglądać chłodne jądro słońca, gdybyśmy tylko mogli przeniknąć przez jego piekielny żar.

– Och, doskonale powiedziane! – zawołał Kasjan. – Generał-poeta! Żołnierz-filozof!

– Dostyc żartów – przerwał Michał. – Generale, musisz ująć klejnot w dłonie.

Spokojne spojrzenie omiotło postać mnicha.

– Dlaczego?

Przez chwilę Michał wyglądał jak drapieżnik. Ale tylko przez chwilę. Niepewnie pustelnik opuścił głowę.

– Nie wiem dlaczego. Chcesz prawdy? Musisz to zrobić, bo mój przyjaciel Antoniusz Kasjan tak mówi. A spośród wszystkich ludzi, których znam, on jest najmądrzejszy. Nawet jeżeli zadaje się z przeklętymi księżmi.

Belizariusz spojrział na biskupa.

– Dlaczego więc, Kasjanie?

Biskup spojrział w dół na trzymany w dłoni przedmiot, na klejnot, który nie był klejnotem; kamień nic nie ważący; kryształ bez krawędzi; rzecz o wielu płaszczyznach, które, jak mu się zdawało, ciągle się zmieniały. Wyglądał jak doskonale okrągła sfera, rodem z marzeń antycznych Greków.

Antoniusz wzruszył ramionami.

– Nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Ale wiem, że tak musi być.

Biskup odwrócił się do siedzącego Michała.

– To najpierw nawiedziło Michała, kilka dni temu w jego grocie na pustyni. Wziął tę rzecz do ręki i doświadczył widzenia.

Belizariusz spojrział na mnicha.

– I nie uważasz, że zamieszane w to mogą być moce magiczne? – zapytała z wahaniem w głosie Antonina.

Michał z Macedonii potrząsnął głową.

– Jestem pewien, że rzecz ta nie ma nic wspólnego z dziełem szatana. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, nie słowami zrozumiałymi dla istot ludzkich. Po prostu poczułem tę rzecz. Żyłem z nią, przez dwa dni tkwiła w moim umyśle, podczas gdy moje ciało leżało nieprzytomne dla świata.

Zmarszczył brwi.

– Dziwne. Naprawdę dziwne. Wtedy wydawało mi się, że to trwało zaledwie chwilę.

Ponownie potrząsnął głową.

– Nie wiem, co to jest, ale jednego jestem pewien. Nie ma w tym ani śladu zła. To prawda, wizje, które na mnie to zesłało, były straszne i okrutne ponad ludzką miarę. Ale widziałem też inne obrazy, których nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Pozostały w mojej pamięci niczym sen czający się na granicy pojmowania. Wizje o rzeczach niemożliwych do wyobrażenia.

Opadł ciężko na oparcie krzesła.

– Wierzę, że to przesłanie od Boga, Antonino. Ale nie jestem pewien. I z pewnością nie mogę

tego dowieść.

Belizariusz spojrział na biskupa.

– A co ty myślisz, Antoniuszu? – wskazał na rzecz. – Czy ty też...?

Biskup przytaknął.

– Tak, Belizariuszu. Zaraz po tym, jak Michał przyniósł to do mnie, ostatniej nocy, i spytał o radę, wziąłem klejnot w dłonie. I ja również doświadczyłem wizji. Potwornych obrazów, podobnie jak Michał. Ale podczas gdy dla niego dwa dni stały się chwilą, dla mnie te kilka sekund było niczym wieczność. I nie straciłem przytomności.

Michał z Macedonii zaśmiał się nagle.

– Najbardziej gadatliwy spośród stworzeń bożych zniósł torturę niczym głaz! – zawołał. Uśmiechnął się ponownie, prawie wesoło.

– Na chwilę po ustaniu wizji byłem świadkiem prawdziwego cudu! Antoniusz Kasjan, biskup Aleppo zaniemówił.

Kasjan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To prawda. Po prostu odebrało mi mowę! Nie wiedziałem, czego mam się spodziewać po dotknięciu tej rzeczy, a już na pewno nie tego, czego doświadczyłem, nawet po ostrzeżeniach Michała. Prędzej bym oczekiwał, że spotkam jednorożca. Albo serafina. Albo spacerującą istotę zrobioną z lapis-lazuli i okutą srebrem przez kowali imperatora, albo...

– Krótko mówiąc, cud – prychnął Michał. Kasjan zamknął usta.

Belizariusz i Antonina uśmiechnęli się do siebie. Jedyłą znaną wadą biskupa było to, że najprawdopodobniej zaliczał się do grupy najgadatliwszych ludzi na świecie.

Ale uśmiechy szybko zniknęły z twarzy zgromadzonych.

– I co zobaczyłeś, Antoniuszu? – zapytał Belizariusz.

Biskup machnął ręką.

– Opiszę moje wizje później, Belizariuszu. Nie teraz.

Spojrzął w dół na trzymany w dłoni przedmiot. Klejnot skrzył się. Wewnętrzne zmiany zachodziły zbyt szybko, żeby mógł je zarejestrować ludzki wzrok.

– Nie sądzę, że wiadomość jest przeznaczona dla mnie czy dla Michała. Myślę, że jest dla ciebie. Belizariuszu, ta rzecz to zapowiedź katastrofy, czymkolwiek by nie była. Ale istnieje też coś poza tym, co kryje się pod powierzchnią. Wyczułem to, kiedy wziąłem tę rzecz w dłonie. Wyczułem to naprawdę. **cel**, powiedzmy sobie, który jest w jakiś sposób zwrócony przeciwko tej katastrofie. Którego celem jesteś ty, jeżeli mogę tak to ująć.

Belizariusz ponownie przyjrzał się rzeczy. Jego twarz była bez wyrazu. Ale jego żona, która znała go dobrze, zaczęła go błagać.

Jej prośby nie dotarły do generała, gdyż jego żołnierski umysł podjął już decyzję. Przestała więc i zapadła cisza. Klejnot był niczym słońce, gdyby tylko gwiazda mogła zejść z nieboskłonu do pomieszczenia i pokazać się śmiertelnikom. I nie zabić ich.

* * *

Rzecz zakwitła mnożącymi się płaszczyznami, wybuchła, ale nie jak wulkan, lecz niczym początek tworzenia. Fasety rozwijały się, podwajały, mnożyły i powielały, pędząc przez labirynt, którym był umysł Belizariusza.

cel stał się **skupieniem**, a **skupienie** przybrało postać kryształu.

Powstała **tożsamość**. I wraz z nią **cel** przekształcił się w **zamiar**. I, gdyby skakanie do góry z radości leżało w możliwościach **zamiaru**, brykałby niczym jelonek w lesie.

* * *

Lecz dla Belizariusza nie istniało nic poza zbliżającą się otchłanią. Nic, tylko wizje przyszłości, gorszej od najpotworniejszego koszmaru.

Rozdział 2

Płonące strzały przemknęły nad walczącymi. Szeregi katafraktów kulily się za barykadą. Konie, trzymane w tyle przez młodszych żołnierzy piechoty, rżały z przerażenia i walczyły z więzącymi je ludźmi. Były teraz bezużyteczne, o czym Belizariusz wiedział od początku. Z tego właśnie powodu nakazał katafraktom zejście z koni i walkę pieszo, zza barykady wzniesionej ich własnymi, arystokratycznymi dłońmi. Zakuci w zbroje kopijnicy i łucznicy, budzący postrach, nie odważyli się narzekać i bez słowa wykonywali rozkazy. Nawet należący do szlachty katafrakci spostrzegli wreszcie słusność postępku Belizariusza, chociaż dla niektórych wiedza ta przyszła za późno.

Jaki bowiem był pożytek z uzbrojonej jazdy stojącej naprzeciw takiemu wrogowi?

Generał obserwował zza barykady pierwszego z opancerzonych metalem słoń, podążającego powoli w dół alei Mese, głównej arterii komunikacyjnej Konstantynopola. Za nim wdział strzelające ponad budynkami miasta płomienie i słyszał wrzaski tłumu. Masakra ludności zamieszkującej to półmilionowe miasto trwała w najlepsze.

Imperator Malawy we własnej osobie wydał wyrok na Konstantynopol, a kapłani Mahwedy go pobłogosławili. Taki wyrok nie został wydany od czasu zniszczenia Ranapur. Wszyscy, którzy zamieszkiwali miasto, mieli zostać zgładzeni, poczynając od mężczyzn, a kończąc na psach i kotach. Wszyscy za wyjątkiem należących do arystokracji kobiet. Te miały zostać zabrane przez Ye-tai i zbezczeszczone. Niewiele z nich mogło to przeżyć. Kobiety, które przetrwałyby upokorzenia, miano przekazywać Radżputom. Radżpuci z Ranapuru w innych okolicznościach odmówiliby chłodno takiego podarku. Ale czasy, kiedy imię Radżputany niosło ze sobą moc starożytnej chwały, dawno przeminęły. Teraz nie pogardziliby kobietami, gdyż sami byli rozbici i słabi. Garstka niewiast, które przeżyłyby niewolę u Radżputów, mogłaby być tylko sprzedana na targu ludziom plugawym i zepsutym, mogącym pozwolić sobie na wydanie kilku miedziaków na zakup wiedzy. Niewielu będzie stać na kupno kobiety. Znajdzie się jednak kilku bogatszych pomiędzy rojowiskiem biedaków zaludniających plebs.

Opancerzony słoń wypuścił ciężko z płuc parujące powietrze, sapiąc i wzdychając. Gdyby to było prawdziwe zwierzę, Belizariusz mógłby mieć nadzieję, że zdycha, tak potworny wydawał się odgłos tych oddechów. Ale to nie był żywy organizm. Belizariusz wiedział o tym. Słoń został stworzony przez ludzi, był konstruktem wykonanym ludzkimi dłońmi i nieludzką mocą. Patrząc na tę potworną istotę wolno podążającą w jego kierunku, otoczoną przez wrzeszczącą z radością na myśl o bliskim zwycięstwie zgraję wojowników Ye-tai, Belizariusz doszedł do wniosku, że słoń nie może być niczym innym niż demonicznym potworem.

Kiedy Belizariusz zobaczył, jak jeden z jego żołnierzy podnosi porzuconą przez wroga butelkę zapalającą, krzyknął rozkazy. Katafrakci cofnęli się. Zdobyli kilka piekielnych urządzeń i Belizariusz miał zamiar zrobić z nich odpowiedni użytek. Dystans był jednak ciągle za duży.

Pogłaskał swoją szarą brodę. Z jego młodości nie pozostało nic, z wyjątkiem męstwa. Dziwił się, jak to jest możliwe, że stare przyzwyczajenia nigdy nie umierają. Nawet teraz, kiedy cała nadzieja uszła z umysłu generała, jego serce ciągle biło tak silnie jak zawsze.

Nie było to serce wojownika. Belizariusz nigdy nie czuł się prawdziwym żołnierzem, a przynajmniej nie w takim sensie tego słowa, w jakim postrzegali je inni. Nie, pochodził z nacji

Traków. I w głębi duszy pozostał jedynie robotnikiem wykonującym swoje zadania.

Wszyscy przyznawali, że w bitwie był wspaniały. Nie w wojnie. Długa wojna dobiegała końca, a porażka wojsk generała stawała się faktem. Nawet najokrutniejsi przeciwnicy rozpoznawali jego niekwestionowaną perfekcję na polu walki, czego dowodem był obraz sił ścierających się na ulicach. Dlaczego tak wielka liczba żołnierzy nieprzyjaciela została wysłana, aby pokonać zaledwie garstkę obrońców? Gdyby ktoś inny zamiast Belizariusza dowodził osobistą strażą imperatora, Mahwedzi wysłaliby dużo mniejszy oddział.

Tak, był wspaniały na polu bitwy. Ale jego doskonałość brała się z umiejętności i kunsztu, a nie z woli walki. Nikt nie wątpił w odwagę Belizariusza, nikt, nawet on sam. Ale odwaga, co wiedział od dawna, była powszechną cechą. Była najbardziej demokratycznym darem Boga, wręczanym mężczyznom i kobietom w różnym wieku, różnych ras i stanów. Kunszt był znacznie rzadszy, ten dziwny pęd do doskonałości, który nie zadowala się tylko rezultatem, ale pilnuje, by wykonanie było perfekcyjne.

Teraz jego życie dobiegało końca, ale Belizariusz był pewien, że skończy je w kunsztowny sposób. I, czyniąc to, pozbawi triumf wroga radości.

Katafrakt syknął. Belizariusz obejrzał się, myśląc, że żołnierz został trafiony jedną z wielu strzał nadlatujących w ich kierunku. Ale kopijnik był nietknięty, tylko patrzył skoncentrowany przed siebie.

Belizariusz spojrział w to samo miejsce i zrozumiał. Kapłani Mahwedzy znów się pojawili, bezpieczni za szeregami Ye-tai i kszatryjasów kielzających żelaznego słonia. Zostali podwiezieni bliżej w trzech wielkich wozach ciągniętych przez niewolników. W każdym z nich siedziało trzech kapłanów i oprawca mahamimamsa. Ze środka każdego wozu sterczał wykonany z drewna drąg, na którym wisiały nowe talizmany, świeżo dodane przez kapłanów do pozostałych demonicznych przedmiotów.

Zawieszeni ramię przy ramieniu wisieli ci, którzy byli najdrożsi dla Belizariusza: Sitas, jego najstarszy i najlepszy przyjaciel. Focjusz, jego ukochany pasierb. I Antonina, jego żona.

A raczej ich skóry. Zdjęte z ciał przez oprawców i zszyte na kształt worków, które zawodziły na wietrze splugawione ekskrementami psów. Worki zostały tak sprytnie zaprojektowane, że łapały wiatr, wydając potworne jęki. Skóry były powieszzone za włosy, które kiedyś żyły wraz z osobami je noszącymi. Kapłani starannie zadbałi o to, żeby zwłoki wisiały właśnie w ten sposób. Dzięki temu Belizariusz mógł widzieć twarze swoich najbliższych.

Generał prawie się zaśmiał z triumfem. Ale jego twarz pozostała spokojna – maska pozbawiona uczuć. Nawet teraz wrogowie go nie rozumieli.

Splunął na ziemię. Jego żołnierze zauważyli ten gest i nabrali otuchy. Tak jak się spodziewał. Ale nawet gdyby nie patrzyli, zrobiłby to samo.

Dlaczego miałby dbać o te trofea? Czy był poganinem, mylącym duszę z jej cielesną powłoką? Dzikusem, którego serce łamie się na widok fetysza, a kiszki skręca strach?

Jego wrogowie tak myśleli, arogancy jak zawsze. Wiedział, że tak się właśnie zachowają i uwzględnił to w swoich planach. Zaśmiał się i zobaczył, że fakt ten podniósł jego żołnierzy na duchu. Ale nawet gdyby go nie widzieli i tak by się śmiał. Bo teraz, kiedy procesja podeszła bliżej, mógł zobaczyć, że skóra Sitasa wisiała na sznurze.

– Spójrzcie, katafrakci! – zawołał. – Nie mogli powiesić Sitasa za włosy! W końcu nie miał on żadnych włosów. Wszystkie stracił, trapiąc się nocami i dumając nad fortelami, które teraz sprawiają, że przeciwnicy mogą tylko wyc z wściekłości.

Katafrakci wrzasnęli jak jeden mąż.

– Antiochia! Antiochia!

Tam, kiedy miasto zostało zdobyte, Sitas zmasakrował hordy Malawian, zanim wycofał cały garnizon bez większych strat.

– Korykos! Korykos!

Tam, na sycylijskim wybrzeżu, zaledwie miesiąc później, Sitas stawiał czoła wojskom nieprzyjaciela, które go ściagały. Stawił im czoła i wciągnął w pułapkę, sprawiając, że Morze Śródziemne naprawdę stało się takie, jak w poematach Homera. Czerwone jak wino od krwi Ye-tai.

– Pizydia! Pizydia!

W poematach Homera nie było mowy o jeziorze ciemnym jak wino. Ale gdyby poeta mógł widzieć spustoszenie, jakie siali żołnierze Sitasu wśród Radzputów na brzegach największego jeziora Pisidii, z pewnością opiewałby tę bitwę w swoich strofach.

– Akroinon! Akroinon!

– Bursa! Bursa!

W Bursie Sitas spotkał swoją śmierć. Ale nie umarł w męczarniach zadanych przez katów mahamimamsy. Zginął w pełnej zbroi, dowodząc ostatkiem wiernych katafraktów podczas najbardziej błyskotliwego odwrotu od czasu marszu Ksenofonta w kierunku wybrzeża.

– Spójrzcie na twarz Focjusza! – zawołał Belizariusz. – Czyż to nie cudowne, jak doskonale został zakonserwowany przez oprawców? Spójrzcie katafrakci, patrzcie! Czyż to nie twarzyczka Focjusza? Jego wesoły uśmiech?

Katafrakci spojrzeli i przytaknęli. Przez szeregi przetoczył się krzyk.

– Tak właśnie uśmiechał się w Aleksandrii! – zawołał jeden z nich. – Kiedy przebił strzałą gardło Aszkunwara!

Przywódca oddziału Ye-tai nie uwierzył w opowieści swoich żołnierzy o umiejętnościach łuczniczych dowódcy garnizonu. Podeszedł do murów obronnych Aleksandrii, aby wyszydzić łuczniaka i naśmiewać się z tchórzostwa swoich żołnierzy. Ale jego podkomendni mieli rację, o czym się przekonał.

Oddziały katafraktów rozbrzmiały nowymi okrzykami, wspominając inne wyczyny Focjusza podczas jego bohaterskiej obrony Aleksandrii. Nazywali go Focjusz, „nie znający lęku”. Focjusz, ukochany pasierb. Kiedy stało się jasne, że zostanie wzięty do niewoli, zażył truciznę, która zamieniła jego twarz w wieczną maskę. Belizariusz, kiedy usłyszał opowieść o tym zdarzeniu, zastanawiał się, dlaczego jego rozsądny syn nie podciął sobie po prostu żył. Ale teraz zrozumiał. Zza grobu Focjusz wręczył mu ostatni dar.

Najlepsze Belizariusz zostawił sobie na koniec.

– I spójrzcie! Patrzcie katafrakci na skórę Antoniny! Spójrzcie na tę bezwładną, zniszczoną chorobą rzecz! Wykopali ją z grobu, gdzie gnęła zmożona zaraza! Jak myślicie, jak wielu oprawców umrze z powodu tego świętokradztwa? Ilu będzie wilo się w agonii i wyło na widok swoich ciał, spuchniętych i szerniałych? Ilu? Ilu?

– Tysiące! Tysiące! – zawyli katafrakci.

Belizariusz ocenił chwilę i uznał, że jest stosowna. Powiódł wzrokiem po katafraktach i zobaczył, że są w pełni mu oddani. Znali jego plan i zdecydowali się pójść za nim, nawet jeżeli był to akt uznania, który przyniesie im tylko śmierć. Teraz potrzebował tylko bitewnego zawołania. Znalazł je w jednym momencie.

Przez wszystkie lata, przez które kochał Antoninę, nigdy nie użył w stosunku do niej tego określenia. Inni tak, wielu innych. Nawet czasem ona sama, ale Belizariusz nigdy. Nawet pierwszej nocy, kiedy ją poznał i płacił jej za przyjemność.

– Dla mojej nierządniczy! – zawołał i przeskoczył przez barykadę. – Dla mojej rozpustnej

dziewki! Niech sprawi, że ich kości zgniją od choroby!

– Dla nierządnic! – zawyli katafrakci. – Dla nierządnic!

Zdobyczne butelki zapalające wyrzucono w kierunku wroga z niebywałą celnością. Żelazny słoń zmienił się w kulę ognia. Katafrakci oddawali salwę za salwą. I znowu, jak to się często zdarzało wcześniej, Ye-tai zatrzymali się na chwilę zaskoczeni siłą strzał, które przebijały ich żelazne zbroje jak zwykłe ubranie. Tylko na krótką chwilę, ale to wystarczyło, aby katafrakci zdążyli napiąć swoje łuki.

Ye-tai w pierwszych szeregach, ci, którzy przetrwali ostrzał, znów zatrzymali się zdziwieni. Oczekiwali ataku kawalerii, pewni, że płonące pociski wystraszą ogromne konie. Ze zdumieniem patrzyli na katafraktów atakujących jako piechota.

Oczywiście katafrakci byli wolniejsi jako piesi niż jako jeźdźcy. Ale nie tak bardzo wolni, gdyż rozsadał ich bitewny szal. A lance, które rozrywały klatki piersiowe i wypruwały jelita na trotuar wielkiej alei miasta, były w każdym calu tak skuteczne, jak Ye-tai pamiętali.

– Dla nierządnic! Dla nierządnic!

Pierwszy szereg Ye-tai był teraz niczym innym jak tylko wspomnieniem. Druga linia parła naprzód, niecierpliwa i chętna, aby się wykazać. Większość, zgodnie z obyczajem Ye-tai, stanowili niedoświadczeni żołnierze, goniący za sławą w bezrozumny młodzieńczy sposób. Ci młodzi nigdy nie wierzyli w opowieści weteranów.

Teraz mieli szybko w nie uwierzyć. Większość zginęła w momencie nawrócenia, gdyż buława katafraktów jest bezwzględny kaznodziej; szybka w znajdowaniu winy, błyskawiczna w karceniu i surowa w nawracaniu.

Dlatego też druga linia została zmieciona niemal w mgnieniu oka. Trzecia trzymała się przez chwilę. Wśród żołnierzy tego szeregu było wielu weteranów, którzy dawno temu nauczyli się, że katafraktów nie pokona się jednym ciosem. Niektórzy z nich zdołali wykorzystać przewagę liczebną, jaką mieli nad wojskiem Belizariusza i szukali szczeliny rzadko ukazującej się w zbroi katafraktów. Wypatrywali rzadkich luk w zasłonie stworzonej przez doskonale prowadzoną klingę.

Ale nie było ich wielu i nie trzymali się długo. Aleja Mese rozpościerała się szeroko, ale w końcu była tylko miejską ulicą, ograniczoną przez rzędy domów. Nie znajdowali się na otwartej przestrzeni, na której mogliby otoczyć przeciwników. Belizariusz jak zwykle wybrał doskonałe miejsce do obrony. Mahwedzi, jak wiedział od dawna, zbyt polegali na swej przewadze liczebnej i demonicznej broni. Ale w tym wąskim śmiertelnym przesmyku katafrakci mieli przewagę, gdyż zwarli się z wrogiem w bliskim starciu, uniemożliwiając mu użycie jego ognistego oręża.

Częściowo przewagę tę katafrakci zawdzięczali swej sile; budzącej respekt mocy ciał zakutych w żelazo. Ale w większości przewaga wynikała z ich stalowej dyscypliny. Mahwedzi próbowali wprowadzić podobny rygor w swoich własnych zastępach, ale nigdy im się to nie udało do końca. Mahwedzi polegali na strachu, który zmuszał żołnierzy do wykonywania rozkazów. Ale strach, w końcowym rozrachunku, nigdy nie dorówna dumie.

Tego dnia, kiedy żołnierze wpadli w bitewny szal, katafrakci nie zapomnieli o antycznej dyscyplinie. Ten rygor sprawił, że niegdyś podbili połowę świata i rządili nim prawie przez tysiąclecie. Co więcej, władali nim dobrze, wzięwszy wszystko pod uwagę. A przynajmniej wystarczająco dobrze, aby ludzie wielu narodowości przez setki lat myśleli o sobie jako o Rzymianach. I by byli dumni z tej nazwy.

W ostatnim dniu Rzymu, prawdę mówiąc, w szeregach katafraktów było zaledwie kilku rdzennych mieszkańców półwyspu i żaden z nich nie pochodził z miasta, które dało nazwę całemu Imperium. W większości żołnierze byli Grekami z mocnej gwardii z Anatolii. Ale walczyli tam też

ludzie z Armenii, Goci, Hunowie i Syryjczycy, Macedończycy i Trakowie, Illyrianie i Egipcjanie, a nawet trzech Żydów, którzy po cichu odprawiali swoje modły. Ich towarzysze taktownie odwracali wzrok i nic nie mówili księżom.

Dzisiaj katafrakci w końcu mieli stracić świat, po wojnie, która trwała latami. I to na rzecz wroga wstrętniejszego nawet od Medów. Ale nie zachwieją się w ich rzymskim obowiązku i antycznej dumie, nie złamią starodawnej dyscypliny.

Trzecia linia Ye-tai załamała się i odepchnęła w tył czwartą. Kapłani Mahwedy, obserwujący walkę z platform wozów z przymocowanymi skórą wraz z katami mahamimamsy, patrzyli z niedowierzaniem. Bizantyjczycy wyrąbywali sobie drogę w masie Ye-tai jak miecz tnący przez zbroję, mierzący prosto w...

I wtedy wrzasnęli. Zaskrzeczelili częściowo z oburzenia. I ze strachu. Kapłani wiedzieli, że Radźpuci nigdy nie nazywali głównodowodzącego armią wroga po imieniu. Mówili o nim po prostu Mangusta. Był to niedorzeczny zwyczaj, za który kapłani często ich ganili. Teraz doszli do wniosku, że ich podkomendni powinni bardziej przykładać się do zaleceń. Kapłani spojrzeli prosto w wykrzywioną gniewem twarz Belizariusza.

* * *

– Widzę, że zadziało – powiedział Justynian. – Jak to się zwykle dzieje z twoimi strategiami.

Stary imperator podniósł się z siedziska i, powłócząc nogami, podszedł z wysiłkiem do generała. Belizariusz zamierzał oddać pokłon monarsze, ale Justynian zatrzymał go ruchem dłoni.

– Nie mamy czasu.

Ośłonił ucho ręką, nasłuchując przez chwilę odgłosów bitwy, która toczyła się dalej, pośród mrocznych zaułków zabudowań Świątyni Mądrości Bożej. Imperator postanowił zginać właśnie tutaj, w potężnej katedrze, którą rozkazał wybudować tak dawno temu.

Belizariusz, jako doskonały taktik, upierał się przy głównym pałacu. Labirynt budynków i ogrodów wchodzących w jego skład byłby znacznie łatwiejszy do obrony. Ale, jak to często zdarzało się wcześniej, cesarz odrzucił jego argumenty. Gdyż tym razem, może tylko tym jedynym razem, Justynian wiedział, że postępuje w jedyny słuszny sposób.

Główny pałac był bez znaczenia. Imperium, które trwało przez tysiąclecia, miało upaść przed zapadnięciem zmroku. I nigdy nie powrócić w nadchodzących nieprzeliczonych latach nowej przyszłości. Ale dusza była nieśmiertelna, a cesarz zaprzętał sobie teraz głowę tylko wiecznością. Chciał ocalić swoją duszę, o ile to będzie możliwe. Chociaż nie był zbyt pewny siebie i raczej uważał, że po śmierci czeka go ogień piekielny. Ale w końcu robił, co mógł, aby ocalić chociaż dusze tych, którzy służyli mu wiernie tak długo i bez słowa skargi; i bez wyraźnego powodu.

Wzrok cesarza spoczął na osobie generała. Oczy imperatora były stare, słabe i zmęczone, wypełnione bólem, zarówno ciała, jak i ducha. Ale nie zaginał w nich ognik jego wyjątkowej inteligencji. Ogromnej, niesamowitej mądrości. Tak potężnej, że oślepiła każdego człowieka, który ją posiadał.

– To ja powinienem, prawdę mówiąc, kłaniać się tobie – rzekł Justynian.

Jego głos był szorstki. Mówił prawdę i zdawał sobie z tego sprawę. I wiedział, że generał także był tego świadom. Ale nie potrafił polubić tej prawdy. Ani trochę. Nigdy tego nie umiał.

Nowa postać wyłoniła się z mroku. Belizariusz wiedział, że ten człowiek tu będzie, chociaż go nie widział. Potomek dynastii Marathów potrafił trwać w kompletnym bezruchu i ciszy.

– Pozwól mi je umyć, panie – powiedział niewolnik, wyciągając dłonie. Ramiona należały do starca, ale straciły niewiele ze swej żelaznej siły.

Belizariusz zawahał się.

– Teraz mamy czas – nalegał niewolnik. – Katafrakci wystarczająco długo zatrzymają te asyryjskie¹ psy. – Uśmiechnął się słabo. – Teraz nie walczą już za imperium. Ani nawet za waszego Boga. Walczą za Chrystusa i jego Marię Magdalenę. Zdradzali ich wystarczająco często w życiu, ale nigdy tego nie uczynią w obliczu śmierci. Będą walczyć. Wystarczająco długo.

Wyciągnął ręce i potrząsnął nimi nalegająco.

– Nalegam, panie. Dla ciebie to może nic nie znaczy, ale dla mnie tak. Wyznaję inną wiarę i nie pozwolę, aby te drogie duszyczki odeszły nieczyste ku swemu przeznaczeniu.

Wziął z bezwładnych ramion Belizariusza potworne brzemię i zaniósł w kierunku cysterny. Wrzucił skóry do wody i zaczął je myć. Robił to delikatnie, pomimo pośpiechu.

Imperator i generał obserwowali go w milczeniu. Obu wydawało się stosowne, że to niewolnik powinien wydawać rozkazy tu i teraz, podczas końca świata.

Niebawem starzec skończył. Poprowadził obu mężczyzn przez ciemne korytarze. Miriady świec, które normalnie oświetlały przepiękne mozaiki katedry, zostały zgaszone. Jedyne w pomieszczeniu znajdującym się za przesmykiem daleko przed nimi świeciło się kilka długich świec.

Jednakże nie były one potrzebne. Ogromny kocioł, bulgoczący stopionym złotem i srebrem, który spoczywał na środku komnaty, był więcej niż wystarczającym źródłem światła. W pomieszczeniu było prawie tak jasno jak w dzień, tak gwałtownie skrzyły się szlachetne metale.

Justynian zastanowił się chwilę nad kotłem. Kazał go zbudować wiele miesięcy temu, przeczuwając nadchodzący koniec. Był bardzo dumny z tego urządzenia. Tak jak z wielu innych cudownych maszyn, które wypełniały jego pałace. Czegokolwiek by nie utracił ze swej natury trackiego chłopca podczas krwawej wspinaczki na tron i gdy jeszcze krwawiej sprawował rządy, na zawsze jednak zachował dziecięcą radość ze sprytnych urządzeń. Grecy i armeńscy rzemieślnicy skonstruowali ten kocioł z właściwą sobie precyzją.

Justynian wyciągnął dłoń i pociągnął za drążek, który uruchomił skomplikowane urządzenie odmierzające czas. Za godzinę kocioł miał wypluć swą zawartość. Skarby zgromadzone przez tysiąclecie istnienia Rzymu wyleją się przez otwór w dnie i siecią niezliczonych kanałów rozproszą się po labiryncie ścieków Konstantynopola. I wtedy miasto zostanie na wieki zakopane pod gruzami wybuchów spowodowanych przez zdobyte butelki zapalające. Grecy nigdy nie odkryli sekretu działania piekielnej broni wroga, ale wiedzieli, jak zrobić dobry użytek ze zdobytych egzemplarzy.

Za godzinę będzie po wszystkim. Ale kocioł miał też inne, ważniejsze zadanie, które teraz miał wykonać. Nic ze wspaniałości Rzymu nie będzie pozostawione, aby dekorować później ściany i krokwie malawiańskich pałaców.

– Skończmy z tym wreszcie – rozkazał imperator i podszedł ciężko do mar. Z trudnością, gdyż był słaby ze starości, podniósł leżący na nich ciężar. Niewolnik podszedł, aby mu pomóc, ale cesarz kazał mu odejść.

– Sam ją poniosę.

Jak zwykle jego głos był szorstki. Ale kiedy imperator spojrzał na twarz mumii spoczywającej w jego ramionach, wzrok mu złagodniał.

– W tym jedynym przypadku byłem zawsze szczerzy. Tylko dla niej, dla nikogo innego.

– Tak – powiedział Belizariusz. Generał spojrzał w dół na oblicze wysuszonego trupa i pomyślał, że balsamiści doskonale wykonali swoją pracę. Cesarzowa Teodora umarła wiele lat temu z powodu nowotworu. Wiele lat spoczywa tutaj na marach. Ale jej woskowa twarz ciągle jest tak piękna, jak za życia.

Nawet więcej, pomyślał Belizariusz. Po śmierci na twarzy Teodory zagościł spokój i łagodność. Nie było nawet śladu po zacieklej ambicji, która sprawiała, że za życia oblicze cesarzowej często

przybierało twardy wyraz.

Z trudnością imperator wspiał się na sąsiadującą z kotłem skalną półkę. Po chwili cofnął się. Nie ze strachu, ale po prostu z gorąca. Nie można było znieść ukropu dłużej niż przez moment, a on miał jeszcze w zanadrzu kilka słów, które musiały zostać wypowiedziane.

Musiały, chociaż wcale tego nie chciał. Imperator wolałby, żeby było inaczej, gdyż nie znano na tym świecie człowieka, któremu przeprosiny przysłyby z większym trudem. Justynian Wspaniały chciał, aby tak go nazywano i aby takim pamiętali go potomni. W przeciwnym bowiem razie byłby znany jako Justynian Głupi. W najlepszym wypadku. Atylla był zwany Biczem Bożym. Podejrzewał, że gdyby sławny wódz był inny, mówiono by o nim Boży Niedolega.

Otworzył usta i chciał przemówić. Nie zdążył.

– Nie trzeba, Justynianie – powiedział Belizariusz, po raz pierwszy i ostatni w życiu nazywając cesarza po prostu po imieniu. – Nie ma takiej potrzeby. – Uśmiechnął się znajomym skrzywieniem warg. – I, poza tym, nie ma czasu. Katafrakci nie utrzymają się długo. Godziny zajmie ci powiedzenie tego, co masz zamiar z siebie wydusić. Nie przyjdzie ci to łatwo, o ile w ogóle ci się uda.

– Dlaczego nigdy mnie nie zdradziłeś? – wyszeptał imperator. – Odplącałem ci za lojalność tylko i wyłącznie plugawą nieufnością.

– Złożyłem przysięgę.

Wyraz niedowierzania natychmiast wypełził na twarz cesarza.

– I spójrz, do czego cię to doprowadziło – wymamrotał. – Powinieneś mnie zdradzić. Powinieneś mnie zamordować i zagarnąć tron dla siebie. Wszyscy Rzymianie od lat oddani są tobie – arystokraci i plebs. Tylko dzięki tobie utrzymałem się przy władzy, odkąd odeszła Teodora.

– Złożyłem przysięgę. Przysięgałem Bogu, a nie Rzymianom.

Imperator kiwnął głową w kierunku słabych odgłosów bitwy dochodzących z zewnątrz.

– A to? Czy twoja przysięga obejmowała również to? Gdybyś był imperatorem zamiast mnie, może Antychryst poniósłby klęskę.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Któż może poznać przyszłość? Nie ja, mój Panie. I nie ma to znaczenia. Nawet gdybym znał w najdrobniejszych szczegółach wydarzenia, które mają nadejść, nie zdradziłbym cię. Składałem przysięgę.

Ból, w końcu, pojawił się na twarzy imperatora.

– Nie mogę tego pojąć.

– Wiem, mój panie.

Słysząc było, jak bitwa powoli zamiera. Belizariusz rzucił okiem na wejście do komnaty.

Niewolnik podszedł i wręczył mu skórę Sitasa. Generał spojrzął na twarz przyjaciela, ucałował ją i wrzucił powłokę do kotła. W krótkim błysku płomieni trofeum zostało stracone na rzecz szatana. Belizariusz trochę dłużej wpatrywał się w oblicze pasierba, ale w krótkim czasie i jego skóra została spalona. Wiedział, że Focjusz by to zrozumiał. On również dowodził wojskami i znał wartość czasu.

Na końcu wziął w ramiona szczątki Antoniny i stanął na skalnym występie obok kotła. Chwilę później dołączył do niego Justynian, niosący trupa imperatorowej Teodory.

Niewolnik uznał za właściwe, aby imperator, który zawsze poprzedzał swojego generała za życia, również miał pierwszeństwo w śmierci. Więc popchnął Justyniana jako pierwszego. Myślał, że imperator krzyknie chociaż w ostatnim momencie. Ale stary tyran był ulepiony z twardej gliny. Wyczuwając za sobą obecność niewolnika, Justynian po prostu powiedział:

– Chodź, Belizariuszu. Zanieśmy swoje nałożnice do rajy. Nam mogą odmówić tam wstępu, ale im nigdy.

Belizariusz nic nie odpowiedział. Ani, oczywiście, nie wydał z siebie krzyku. Odwrócił się od kotła i zobaczył, że stary sługa wykrzywił usta w uśmiechu.

Belizariusz, przy całej swojej umysłowej elastyczności, był zawsze bardzo zasadniczy w sprawach związanych z obowiązkami. Wiara chrześcijańska zabraniała popełniania samobójstwa, więc sługa spełnił swoją ostatnią powinność. Ale to była tylko czysta formalność. Sługa był świadkiem, że kiedy tylko Belizariusz poczuł na plecach dotyk mocnych dłoni, skoczył naprzód.

Ale mógł powiedzieć swojemu stwórcy, że został popchnięty. Jego Bóg oczywiście mu nie uwierzy. Nawet Bóg chrześcijan nie był tak głupi. Ale ten Bóg zaakceptuje kłamstwo. A jeśli nie on, to na pewno zrobi to jego syn. W końcu dlaczego nie?

Sługa w poczuciu wykonania do końca wszystkich zadań w swoim życiu, powlókł się powoli w kierunku jedyne krzesła stojącego w sali i usiadł na nim. Było to przepiękne siedzisko, jak wszystkie przedmioty wykonane dla imperatora. Powiódł wzrokiem po komnacie, napawając się urokiem zawitych mozaik i pomyślał, że to dobre miejsce, aby umrzeć.

Jacy to dziwni ludzie, ci chrześcijanie. Niewolnik żył wśród nich przez dziesięciolecia, ale nigdy nie był w stanie ich pojąć. Byli tacy irracjonalni i zaabsorbowani licznymi obsesjami. Ale, wiedział, że nie są niegodziwi. Oni także, w swój zabobonny sposób, akceptowali *bhakti*². I nawet jeżeli ich sposób *bhakti* wydawał się staremu słudze często niedorzeczny, trzeba było przyznać, że chrześcijanie zawsze trzymali się swojej wiary, a przynajmniej większość z nich, i do końca za nią walczyli. A nawet więcej. I nikt rozsądny nie mógł temu zaprzeczyć.

Ich bóg nie charakteryzował się rozsądkiem, tego był pewien. A bóg niewolnika takie właśnie cechy posiadał. Kapryśny, może, i skłonny do żartów. Ale zawsze rozsądny.

Ci ludzie, których niewolnik popchnął w czeluść pełną roztopionego metalu, nie musieli się niczego obawiać od swego Boga. Nawet imperator nie musiał. Prawda, stary tyran strawi wiele lat na zrzucaniu ciężaru swej winy. Bardzo wiele, gdyż popełnił ogromny grzech. Użył fenomenalnej inteligencji, jaką otrzymał od Boga, do zniszczenia mądrości.

Wiele lat. Jako insekt, pomyślał niewolnik. Może nawet jako robak. Ale, pomimo wszystkich okrutnych postępów, Justynian nie był naprawdę złym człowiekiem. I, niewolnik myślał, nadejdzie czas, kiedy Bóg pozwoli imperatorowi wrócić na ten świat, może znów w postaci biednego chłopca. Może wtedy Justynian pozna odrobinę mądrości i sensu tego świata.

Ale może wcale nie. Czas jest daleko poza postrzeganiem człowieka, więc któż może wiedzieć, ile może zająć duszy znalezienie *moksy*³?

Stary niewolnik wyjął sztylet z fałdów swojej tuniki.

Ten sztylet otrzymał wiele lat temu od Belizariusza, w dniu, w którym generał ofiarował mu wolność. Niewolnik odmówił. Nie potrafiłby już zrobić z tego żadnego użytku i zdecydował się pozostać w służbie generała. Po prawdzie już wtedy stracił nadzieję, że Belizariusz jest Kalkinem⁴. Kiedyś tak uważał. Ale w miarę upływu lat, które spędził w służbie generałowi, niewolnik w końcu zaakceptował prawdę. Belizariusz był potężnym, ale tylko człowiekiem. Nie okazał się dawno obiecany dziesiątym awatarem. Niewolnik pogodził się z rzeczywistością, smutny, że świat jest w związku z tym skazany na wiele jeszcze obrotów koła historii, jęcząc pod naciskiem pazurów potężnego asura, który ma nad nim władzę. Ale taka była prawda. Jego *dharma*⁵ ciągle nie została wypełniona.

Belizariusz nie był w stanie pojąć przyczyn odmowy, nie do końca, ale pogodził się z tym i zatrzymał niewolnika. Ale, tego samego dnia, wcisnął sztylet w dłoń sługi, aby ten wiedział, że pan także może zrezygnować z wolności. Niewolnik docenił ten gest. Tak właśnie śmiertelni powinni

tańczyć na oczach Pana.

Zważył broń w dłoniach. To był doskonały sztylet.

W swoich najlepszych latach, poza innymi umiejętnościami, niewolnik był śmiertelnie niebezpiecznym zabójcą. Od dziesięcioleci nie używał sztyletu, ale nie zapomniał, jakie to uczucie trzymać ten przedmiot w dłoni. Ciepły i godzien zaufania, jak ulubione zwierzątko.

Opuścił broń. Chciał jeszcze chwilę zaczekać.

Wszędzie panowała cisza, nawet poza murami świątyni Haga Sophia. Katafrakci, którzy stanęli do ostatniej bitwy wraz z Belizariuszem, teraz byli martwi.

Ich śmierć była godna pozazdroszczenia. Tak, umarli w chwale.

W swoich najlepszych latach, poza wszystkim innym, niewolnik był sławnym i budzącym lęk wojownikiem. Od dziesięcioleci nie brał udziału w walce, ale znał to uczucie. Katafrakci stoczyli wielką bitwę. Tym większą, że nie miał ona w rzeczywistości żadnego celu, poza *dharmą*.

I, może, jak przyznawał niewolnik, poza niewielką radością z rozkosznej zemsty. Ale zemsta nie zaciąży zbyt ciężko na przeznaczeniu żołnierzy, myślał sługa. Nie, katafrakci zdjęli wiele *karmy*⁶ ze swoich dusz.

Niewolnik był z tego zadowolony. Po prawdzie, nigdy nie dbał zbyt mocno o katafraktów. Byli surowi i chępliwi. Nieokrzesani i grubiańscy w porównaniu do kszatryjasów, do których należał kiedyś sługa. Ale żaden kszatryjas nigdy nie będzie mógł żądać więcej niż martwi katafrakci na zewnątrz murów Haga Sophii. Sam Ardżuna⁷ przyjąłby do siebie ich dusze i nazwał ich krewniakami.

I znów niewolnik pomyślał o sztylcie i wiedział, że jego własna karma zyska na użyciu broni. Ale, ponownie, odsunął tę myśl na bok.

Nie, poczeka jeszcze chwilę.

To nie dlatego, że bał się grzechu popełnienia samobójstwa. Jego wiara nie dzieliła z chrześcijaństwem tego dziwnego poglądu, który rozdzielał moralne skutki czynu od jego rzeczywistego celu. Nie, to dlatego, że on również nie chciał opuścić tego świata bez małej, rozkosznej zemsty.

To asuryjskie robactwo będzie potrzebowało czasu, aby znaleźć komnatę, w której siedzi stary niewolnik. Czasu, kiedy psy Ye-tai i ich radżpuckie insekty chyłkiem przesmykną się z przerażeniem pod ogromnymi sklepieniami katedry, drżąc przed kolejnym uderzeniem Mangusty.

Stary niewolnik da im ten czas. Doda niewątpliwie znaczną karmę do swojej duszy, wiedział o tym, ale nie mógł się oprzeć.

Będzie drwił z oprawców.

Tak jak drwiła z nich Szakuntala, dawno temu, zanim otworzyli jej żyły. A teraz, pod koniec swojego życia, stary niewolnik odnalazł ogromną radość w fakcie, że może myśleć o dziewczynie bez bólu.

Jak bardzo kochał ten skarb, najcenniejszy na świecie, ten klejnot stworzenia. Od pierwszego dnia, kiedy jej ojciec przyprowadził ją do niego i oddał w jego ręce.

– Naucz ją wszystkiego, co sam już umiesz – rzekł mu imperator potężnego kraju Andhra. – Nie pomijaj niczego.

Miała siedem lat. Była ciemnoskóra jak jej matka Keralanka. Jej oczy już wtedy miały kolor najczystszej czarnego diamentu.

W miarę upływu lat inni mężczyźni usychali z tęsknoty za jej pięknym ciałem. Ale nigdy on, człowiek, który lata później miał się stać niewolnikiem Belizariusza. Kochał po prostu piękno samej dziewczyny. I nauczył ją najlepiej, jak potrafił, a przynajmniej tak uważał. Niczego nie zatrzymał dla siebie.

Zaśmiał się śmiechem, jakiego nie słyszano uniego od dziesięcioleci. Na ten dźwięk Ye-tai i skradający się w mroku radzpuccy wojownicy zastygli w miejscu jak przerażone jelonki. Gdyż na głos radości starego niewolnika ściany katedry zadrżały jak od ryku pantery.

I rzeczywiście, tak nazywano niewolnika w latach jego świetności. Pantera z Maharashtry. Wicher z Niezmierzonego Kraju.

Och, jak bardzo potężny Wiatr kochał księżniczkę Szakuntalę!

Córkę zrodzoną z lędźwi potężnego pana Andhry, a przynajmniej tak sądzono. Któż mógł to wiedzieć naprawdę? Ojcostwo ciała było zawsze ulubionym przedmiotem boskiego poczucia humoru. Jedno było pewne – dusza dziewczyny była prawdziwym wilczątkiem, potomkiem Pantery.

Tylko ona z całej dynastii Satavahana została oszczędzona przez asuryjskie psy, kiedy wreszcie udało im się podbić Andhrę. Tylko ona, z powodu piękna swego młodego ciała. Była nagrodą, którą imperator Skandagupta miał przeznaczyć swemu zaufanemu słudze, Venandakatrze. Venandakatrze zwanemu Pierwszym Nikczemnym. Pasożytowi pełzającemu u stóp robaka, gdyż imperator Malawy we własnej osobie był nikiem więcej niż asuryjską bestią.

Pantera nie był w stanie zapobiec schwyтaniu księżniczki. Leżał ukryty w trzcinach, prawie martwy na skutek ran odniesionych podczas ostatniej bitwy, jaka rozegrała się przed pałacem w Amawarati. Ale, gdy już wyzdrowiał, tropił psy w drodze powrotnej do ich legowiska. Na północ, przez wzgórza Vindhya aż do samego pałacu Jego Nikczemności.

Tam znalazł Szakuntalę. Była więziona od miesięcy, w oczekiwaniu na powrót Venandakatry z wyprawy, na którą został wysłany przez imperatora rok temu. Nie skrzywdzono jej, ale pilnie strzeżono. Pantera przyjrzał się strażom bardzo dokładnie i doszedł do wniosku, że nie uda mu się ich pokonać. Ochrona pozostawała pod dowództwem sprytnego i przebiegłego weterana, który nie pozostawiał żadnej luki ani żadnego wejścia nie strzeżonego.

Pantera badał otoczenie pałacu. Poza innymi wieloma umiejętnościami, w tamtych latach był mistrzem szpiegowania, więc odkrył bardzo wiele. Ale niezaprzeczalnym faktem było, że umiejętności dowódcy nie zostały przecenione. Nazywał się on Kungas, i o tym imieniu mówili wszyscy. Nie, tym razem trzeba było zrezygnować i czekać na dogodny moment.

Ale wkrótce czas się skończył. Venandakatra wrócił i udał się natychmiast do komnaty swej nowej nałożnicy, otoczony strażą złożoną z hordy Ye-tai. Nikczemnik nie mógł się doczekać chwili, kiedy spróbuje przyjemności jej ciała i dozna jeszcze większego zadowolenia z jej poniżenia.

Przypominając sobie ten dzień, stary niewolnik zacisnął słabnące dłonie na rękojeści sztyletu. Ale rozluźnił uścisk. Mógł już słyszeć szuranie stóp robactwa tłoczącego się za jego plecami. Czekał na właściwy moment. Nie będzie musiał długo czekać, tego był pewien.

Jeszcze tylko odrobinę dłużej, aby torturować oprawców.

Ostatniego dnia życia dziewczyny, Pantera klęczał w lasach otaczających pałac Venandakatry. Kulił się w żarliwej modlitwie. Modlił się, żeby Szakuntala pamiętała o wszystkim, czego ją nauczył, a nie tylko o tych lekcjach, które łatwo pochłania młody umysł.

Stary niewolnik w dniach swej świetności, obok innych umiejętności, był szanowanym filozofem. I wtedy, wiele lat temu, modlił się, żeby księżniczka pamiętała. Pamiętała o tym, że tylko dusza się liczy. Wszystko inne to odpadki.

Ale, tak jak się tego obawiał, dziewczyna zapomniała o tym. Pamiętała o wszystkim, tylko nie o duszy. Kiedy usłyszał pierwszy krzyk nিকczemnego Venandakatry, zapłakał gorzkimi łzami, najżałośniej w całym swoim nieszczęśliwym życiu.

Lata później od samego Kungasa usłyszał opowieść o tym, co się wtedy wydarzyło. Dziwne, jak obracają się koła historii. Spotkał dawnego komendanta strażników pilnujących Szakuntali na

niewolniczym statku, który wiozł go na targ w Antiochii. Pantera został schwytany podczas ostatniej desperackiej walki, zanim całe Indie dostały się pod panowanie asurów. Ale ci, co go pojmali, nie rozpoznali w zmęczonym i poznaczonym bliznami człowieku potężnego wojownika, więc sprzedali go jak zwykłego niewolnika.

Pantera odkrył, że Kungas już od dawna jest niewolnikiem. Odcięto mu rękę. Uczynili to strażnicy Ye-tai, którzy obwiniali go za śmierć Szakuntali. Byli to ci sami strażnicy, którzy zastąpili jego i jego żołnierzy, spragnieni widoku swego pana zabawiającego się z dziewczyną. I, oczywiście, pełni nadziei, że ich nikczemny dowódca da im księżniczkę, kiedy już zaspokoi swoje żądze.

Kungas nie miał także oczu i nosa. Ale oprawcy mahamimamsy pozostawili mu uszy i usta, aby mógł słyszeć drwiny dzieciarni i w odpowiedzi wyć z żalości.

Kungas był jednak zawsze praktycznym człowiekiem. Więc podjął się nauki opowiadania historii i opanował tę sztukę do perfekcji. I nawet jeżeli ludzie uważali jego wygląd za odrażający, potrafili ścierpieć jego osobę dla opowieści, jakie potrafił snuć. Znał wiele wspaniałych historii. Żadna jednak nie była bardziej poszukiwana przez biednych ludzi, którzy stanowili jego zwyczajną klientelę, niż zakazana opowieść o śmierci nikczemnego Venandakaty. Siedząc w ładowni niewolniczego statku, gdzie się znalazł, jak wyjaśniał z zakłopotaniem, z powodu swego biegłego języka, którym skusił szlachciankę, ale z braku oczu nie dostrzegł nadejścia jej męża, Kungas opowiedział tę historię Panterze.

Była to radosna historia, w taki przynajmniej sposób opowiadał ją Kungas, tym bardziej, że akceptował poniesioną wtedy karę. Był odpowiedzialny za śmierć Nikczemnika i dawno temu zdecydował, że wydarzenie to stanowiło jedyny czysty punkt w jego ogólnie zmarnowanym życiu.

Kungas zawsze pogardzał Venandakatrą i Ye-tai, którzy rządzą wszystkim z wyjątkiem Malawy. I, na swój dziwny i bezduszny sposób, zaczął być dumny z księżniczki. Dlatego ich nie ostrzegł. Trzymał język za zębami. Nie powiedział im, że delikatne członki pięknej dziewczyny pod delikatną skórą zbudowane są ze stalowych mięśni. Obserwował ją, jak tańczy, i wiedział. Wiedział, patrząc na płynną grację jej ruchów, że tańca uczył ją zabójca.

Kungas opisywał pierwszy cios i Pantera mógł go zobaczyć oczami wyobraźni, nawet tutaj, w ładowni niewolniczego statku. Pięta uderzyła w pachwinę, tak jak ją nauczył. I wszystkie ciosy, które nastąpiły później, jak szybki śmiech, powaliły wijącego się Venandakatrę na podłogę komnaty w kilka sekund.

Wijącego się, ale nie martwego. Nie, dziewczyna zapamiętała wszystko, czego ją nauczył, z wyjątkiem tego, na co tak bardzo liczył. Z pewnością, co wiedział, słuchając opowieści Kungasa, pamiętała kredo zabójców mordujących ścierwo. Zostawić ofiarę sparaliżowaną, ale przytomną, aby rozpacz ducha mogła powiększyć agonię ciała.

Słyszając, jak asuryjskie psy w końcu wchodzi do komnaty, stary niewolnik zamknął oczy. Jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila. Mógł oglądać ten moment oczyma swojej duszy. Och, jak bardzo kochał Czarnooką Perłę z rodu Satavahany!

Mógł teraz widzieć, jak tańczy. Ostatni taniec w jej życiu. Jak wielka musiała być jej radość. Taniec przed największym z nikczemników. Zwodziła go swoim dziewiczym ciałem, które nigdy nie miało do niego należeć. Nigdy, gdyż Venandakatra czuł, jak jego życie wylewa się wraz z krwią płynącą z gardła przeciętego jego własnym nożem, plamiąc szybkie niczym rtęć stopy jego zabójcy, tańczącego swój taniec śmierci. Jej własna krew miała się wkrótce zmieszać z jego, gdyż przecięła sobie gardło, zanim strażnicy Ye-tai do niej dobiegli. Ale Venandakatra nie czerpał przyjemności z jej przedstawienia, gdyż jego oczy nie widziały już niczego.

* * *

Nadszedł czas. Gdy tylko Ye-tai podeszli, aby go pojmać, stary niewolnik zeskokczył z tronu i wskoczył na brzeg płonącego kotła. Ye-tai otworzyli ze zdumienia usta, widząc zwinny skok starego człowieka. Tak zwinny jak skok młodej pantery.

Czas, aby rozpętać prawdziwe piekło.

Niewolnik rozpętał je wspaniale. Najpierw zadrwił gorzko ze straty swoich wrogów, utracili bowiem na wieki swe trofea. Ani skóra, ani kości wielkich Rzymian nie będą zdobytą ścian malawiańskich pałaców; skarby Rzymu nie wypełnią ich kufrów!

A potem przeraził ich sobą. Ani razu przez trzydzieści lat stary niewolnik nie użył swego prawdziwego imienia. Ale wymówił je teraz i zagrzmiało ono w całej katedrze.

– Moje imię jest Raghunath Rao. Jam jest Panterą z Maharashtry. Zabijałem waszych ojców tysiącami. Jestem Wichrem z Niezmierzonego Kraju. Ścinałem ich dusze niczym kosa. Jestem Tarczą z Dekanu. Mój mocz był ich pogrzebowym namaszczeniem.

– Jestem Raghunath Rao! Raghunath Rao!

– Kość fałszywego Gupty i zwierciadło klęski Radżputów.

– Raghunath Rao. To ja!

Bardzo dobrze pamiętali jego imię, nawet po tylu latach, więc cofnęli się. Na początku z niedowierzaniem. Ale potem, widząc starca tańczącego na brzegu kotła ze stopionym złotem, poznali, że mówi prawdę. Gdyż Raghunath Rao potrafił wiele rzeczy i był doskonały we wszystkim, czego się podjął, ale wyróżniała go perfekcyjna umiejętność tańca. Był wspaniały, kiedy tańczył w obliczu śmierci swoich wrogów i był także doskonały teraz, kiedy żegnał się z wielkością Niezmierzonego Kraju.

I w końcu zatańczył z ich bogiem.

O tak, stary niewolnik był w swoich najlepszych latach doskonałym tancerzem, obok innych umiejętności. I teraz, na krawędzi kotła ze stopionymi skarbami Rzymu i w oparach płonącej chwały Imperium, tańczył wielki taniec. Wielki i okropny, teraz zabroniony, ale nigdy nie zapomniany taniec. Taniec stworzenia. Wirujący, drżący, godny derwisza taniec czasu.

Podczas gdy wirował, kapłani Mahwedy zasyczeli w daremnej furii. Daremnej, gdyż nie mieli odwagi zbliżyć się do niego ze strachu przed niebezpieczeństwem czyhającym w jego duszy. A Ye-tai także nie śmieli podejść, gdyż bali się siły drzemiącej w jego członkach. I Radżpuci też nie mogli go schwytać, ponieważ na widok starca rzucili się na kolana, oplakując utracony honor.

Tak, był wspaniałym tancerzem w latach swej świetności. Ale nigdy tak doskonałym, był o tym przekonany, jak tego ostatniego dnia. Kiedy tańczył i krążył w obrotach czasu, zapomniał o swoich wrogach. Gdyż w końcu byli oni tylko nicością. Pamiętał tylko tych, których kochał i był zdumiony liczbą osób, które darzył tym uczuciem podczas swego długiego, wypełnionego bólem życia.

Chciałby ujrzeć ich ponownie. Może pewnego dnia? Kiedy, tego nie mógł wiedzieć żaden człowiek. Ale był pewien, że ich zobaczy.

I może, w innym wszechświecie, będzie patrzył na skarb swojej duszy, tańczący jej weselny taniec, szybkimi jak rtęć stópkami wybijając rytm w sercu jej ukochanego.

W innym czasie i innym świecie może zobaczy imperatora, który nagiął swą inteligencję do praw mądrości i poświęcił wierność dla oddania.

W kolejnym obrocie koła historii może ujrzy, jak Radżpuci odzyskują swój stracony honor, tak, żeby jego zmagania z antycznym przeciwnikiem znów stały się tańcem chwały.

I może, w innym czasie i miejscu, Kalkin naprawdę nadejdzie i pokona sługusy asurów i sam opanuje rozszalałego demona.

Cóż może wiedzieć człowiek?

W końcu, czując, jak opuszczają go siły, stary człowiek wyjął sztylet. W rzeczywistości nie było takiej potrzeby, ale niewolnik uznał, że użycie tego podarunku właśnie w tym momencie będzie stosowne. Więc otworzył sobie żyły i wplótł płynące strugi krwi we wzór swego tańca, a potem patrzył, jak jego życie z sykiem niknie w złotej masie wypełniającej kocioł. Nic z jego ciała, ani skóra, ani kość, nie pozostanie dla asura. Dołączy do nieczystego imperatora i prawego generała, i do najczystszej z żon.

Wykonał ostatni wirujący skok. Bardzo wysoki, zwinny skok. Tak wysoki, że zanim spotkał swą śmierć w kotle, zdążył wykrzyczeć ze śmiechem ostatnie zdanie.

– Och, uśmiechnij się Belizariuszu! Czy nie widzisz, że Bóg jest tancerzem, a akt stworzenia jego radosnymi płasami?

Rozdział 3

Belizariusz otworzył oczy. Klęczał na podłodze, wpatrując się w płytki terakoty, na których się wspierał. Ta rzecz spoczywała w jego lekko zaciśniętej pięści. Teraz była matowa i spokojna. Lekko migotała.

Nie patrząc do góry, Belizariusz wychrypiał:

– Jak długo?

Kasjan zachichotał.

– Wydaje się, że minęła wieczność, nieprawdaż? Minuty, Belizariuszu. Tylko minuty.

Antonina uklękła obok generała i otoczyła jego ramiona rękoma. Na jej twarzy widniało zmartwienie.

– Czy wszystko w porządku, kochanie?

Powoli obrócił głowę w jej kierunku i spojrzał jej w oczy. Z przerażeniem ujrzała w nich ból i gniew.

– Dlaczego? – wyszeptał. – Cóż takiego ci uczyniłem czy powiedziałem do ciebie, że aż tak mi nie ufasz?

Odchyliła się do tyłu, zaskoczona.

– O czym ty mówisz?

– Focjusz. Twój syn. Mój ukochany syn.

Odchyliła się do tyłu na pięty. Ramiona opadły jej wzdłuż ciała. Jej twarz była blada, oczy otwarte i wypełnione przerażeniem.

– Jak się... Kiedy? – Łapała powietrze jak ryba wyrzucona na piasek.

– Gdzie on jest?

Antonina potrząsnęła głową. Jej dłoń wędrowała powoli w kierunku gardła.

– Gdzie on jest?

Wymijająco machnęła ręką.

– W Antiochii – powiedziała bardzo miękko.

– Jak możesz pozbawiać mnie obecności mojego syna? – Głos Belizariusza, chociaż miękki, aż kipiał od tłumionej furii. Jego żona znów potrząsnęła głową. Jej oczy przebiegły spojrzeniem po komnacie. Sprawiała wrażenie całkowicie oszołomionej.

– On nie jest twoim synem – wyszeptała. – Nawet nie wiesz, że on... Skąd to wszystko wiesz?

Zanim Belizariusz zdołał odpowiedzieć, Kasjan złapał go za ramiona i gwałtownie nim potrząsnął.

– Belizariuszu, przestań! Cokolwiek... ktokolwiek... ten Focjusz, on jest tylko elementem twoich wizji. Człowieku, zacznij wreszcie jasno myśleć!

Belizariusz oderwał wzrok od Antoniny i zapatrzył się na biskupa. Nie dłużej niż dwie sekundy później odzyskał jasność umysłu. Ból i gniew opuściły jego oczy, nagle zastąpione strachem. Spojrzał z powrotem na Antoninę.

– Ale on istnieje naprawdę? Czy go sobie po prostu zmyśliłem?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie. On istnieje.

Wyprostowała się. Chociaż omijała wzrokiem postać swego męża, całą postawą wyrażała determinację.

– Ma się dobrze. A przynajmniej tak było trzy miesiące temu, kiedy widziałam go ostatni raz.

Myśli przebiegające przez umysł Belizariusza odbiły się w jego oczach, tak, że stały się oczywiste dla wszystkich obecnych. Mężczyzna skinął lekko głową.

– Tak. Wtedy, kiedy powiedziałaś mi, że jedziesz odwiedzić siostrę. Tę tajemniczą siostrę, której, z jakiejś przyczyny, nie udało mi się do tej pory poznać. Czy ty naprawdę masz siostrę?

Głos jego żony był, podobnie jak jego, suchy. Jednakże jej słowa zabarwiła na zimno gorycz pochodząca ze starożytnej wiedzy; nie były gorące od nowego odkrycia.

– Nie. Nie siostrę krwi. Tylko siostrę w grzechu, która zgodziła się opiekować moim synem, kiedy...

– Kiedy poprosiłem cię o rękę – dokończył Belizariusz. – Niech cię diabli! – Jego głos był palący niczym ogień.

Ale w porównaniu z szalejącą furią mnicha, głos Belizariusza przypominał jedynie bladą poświatę księżyca.

– Niech cię diabli!

Oczy męża i żony natychmiast zwróciły się ku Michałowi niczym oczy królika wpatrzonego w szpony sokoła. I rzeczywiście, Macedończyk wznosił się na siedzisku niczym sokół czuwający na szczycie sosny.

Na początku oczy Belizariusza wyrażały zaskoczenie. Jego żona miała wypisaną na twarzy złość. Moment później uświadomili sobie, że pomylili się co do obiektu, do którego mnich skierował przekleństwo.

Niezbyt często Belizariusz uciekał wzrokiem od spojrzenia innego człowieka, ale teraz tak właśnie postąpił.

– Jakim prawem czynisz wyrzuty swojej żonie, ty hipokryto? – zapytał z mocą mnich. – Jakim prawem?!

Belizariusz zaniemówił. Michał opadł z powrotem na krzesło.

– Doprawdy, ludzie są obrzydliwi. Tak postępuje ksiądz zaprzędający dusze złemu, kiedy oskarża dziwkę handlującą swoim ciałem. Tak czyni urzędnik ubrany w suknię przekupstwa, który potępia opryszka w kradzionych łachmanach.

Belizariusz otworzył usta. Potem je zamknął.

– Żałuj tego, co powiedziałaś – rozkazał mu Michał.

Belizariusz nie mógł przemówić.

– Żałuj! – zażądał mnich.

Widząc znajomy krzywy uśmiezek wypełzający na usta męża, Antonina odetchnęła z ulgą. Jej drobna dłoń wsunęła się w jego ogromne łapsko niczym nieśmiały kotek usiłujący zaprzyjaźnić się z mastiffem. Chwilę później jego dłoń zamknęła się wokół jej rączki i ścisnęła ją. Bardzo delikatnie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego podążają za nim na pustynię. – Belizariusz zażartował nieco drżącym głosem.

– Zadziwiająca, nieprawdaż? – zgodził się jowialnie biskup. – I możesz zrozumieć, dlaczego hierarchowie Kościoła zachęcają go, aby na tej pustyni pozostał. A przynajmniej nie słyszałem, aby którykolwiek z nich miał coś przeciwko temu, aby tam siedział jak najdłużej.

Spojrzał na Macedończyka, lekko przymrużając jedno oko.

– Wierzę, Michale, że twoja uwaga odnosząca się do księży nie była wymierzona w nikogo tutaj obecnego.

Michał prychnął pogardliwie.

– Nie łap mnie za słowa. – Spojrzał na postrzępiony habit biskupa. – Jeżeli zacząłeś handlować odpustami od czasu, kiedy się widzieliśmy ostatni raz, robisz to wyjątkowo nieefektywnie. I jednego jestem pewien: jeżeli najsprytniejszy z greckich teologów, stojący tutaj Antoniusz Kasjan, zaprzedałby duszę diabłu, wszystkie stworzenia usłyszałyby szatana wyjącego, kiedy by się przekonał, że został oszukany.

Pokój wypełnił się śmiechem. Kiedy radość ucichła, biskup spojrzał z dumą na Belizariusza i Antoninę. Potem powiedział:

– Później powinniście omówić tę sprawę dotyczącą Focjusza. Czy mogę wam zasugerować, abyście zawsze rozpatrywali problem, zakładając pozytywne motywy? Zawsze dochodziłem do wniosku, że ta metoda daje zadowalające efekty. – Uśmiechnął się. – Nawet podczas teologicznych dyskusji, chociaż przyznaję, że tam rzadko się ją stosuje.

Michał zachnął się znowu.

– Rzadko się ją stosuje? Powiedz raczej, że jest tak rzadka, jak... – Opadł na krzesło z westchnieniem. – Nieważne. Nie mamy czasu, abym go mógł marnować na zapewnianie ciębie, że nie mam na myśli żadnej z obecnych tu osób, kiedy czynię uwagi na temat księży. – I dodał ponuro: – Na wygłoszenie wszystkich tych uwag potrzebowałbym pełnego miesiąca. A jestem raczej zwięzłym człowiekiem.

Macedończyk wychylił się do przodu i wskazał na rzecz spoczywającą w dłoni Belizariusza.

– Opowiedz nam – zażądał.

* * *

Kiedy Belizariusz skończył, Michał opadł na oparcie fotela i pokiwał głową.

– Tak jak myślałem. Ta rzecz nie pochodzi od szatana. Nie wiem, skąd się tu wzięła. Ale na pewno nie przybyła z otchłani.

– Ten obcy... tancerz... on nie był chrześcijaninem – Antonina rzekła niepewnie. – To pewnego rodzaju poganin. Może... nie pochodził od szatana, ale z pewnością był sługą jakiegoś starożytnego zła.

– Nie. – Głos Belizariusza dźwięczał mocą i pewnością. – To jest niemożliwe. On był najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. I nie był poganinem. On... nie wiem, jak to powiedzieć. Nie był chrześcijaninem, to pewne. Ale jedno wiem na pewno – gdyby wszyscy chrześcijanie na świecie posiadali dusze takie jak on, dawno już osiągnęlibyśmy zbawienie.

Wszyscy patrzyli na Belizariusza. Generał potrząsnął głową.

– Musicie to zrozumieć. Wam mogę tylko opowiedzieć moje wizje. Ale ja je przeżyłem, i tak samo całe życie, które pędziłem przed nimi.

Wpatrywał się w ścianę niewidzącymi oczyma.

– Przez trzydzieści lat ten niewolnik mi służył. I tak jak wam opowiedziałem, nawet po tym, jak ofiarowałem mu wolność. Kiedy odmówił, powiedział mi po prostu, że on sam zawiódł, dlatego chce

poświęcić się komuś, kto może odnieść sukces. Ale mnie się to też nie udało, i wtedy...

Ku ogromnemu zdumieniu zebranych, Belizariusz zaśmiał się jak dziecko.

– Cóż to za radość poznać wreszcie jego imię!

Generał skoczył na równe nogi.

– Raghunath Rao! – zawołał. – Przez trzydzieści lat pragnąłem poznać jego imię. Nigdy nie chciałem mi powiedzieć. Mówił, że nie ma imienia, że je stracił, kiedy... – generał dodał szeptem – kiedy zawiódł swój lud.

Na krótką chwilę twarz Belizariusza przybrała wyraz zmęczonego i starego człowieka.

– Nazywaj mnie niewolnikiem, mówił. To imię jest dla mnie wystarczająco dobre. I tak go nazywaliśmy przez trzy dziesiątki lat. – Znów potrząsnął głową. – Nie, zgadzam się z Michałem. Nigdy nie było w tym człowieku zła. Ani śladu zła. Był niebezpieczny. Tak. Zawsze o tym wiedziałem. To było oczywiste. Nie wynikało to z tego, co mówił czy robił, zauważylibyście to. Nigdy nie był gwałtowny, nie zastraszał innych, nawet nie podnosił głosu. Nie krzyczał nawet na stajennych chłopców. Jednakże nie było chociaż jednego weterana, który by już po krótkiej obserwacji nie rozumiał, że znajduje się w obecności śmiertelnie niebezpiecznego osobnika. I jego wiek nie miał znaczenia. Wszyscy to wiedzieli. – Zachichotał. – I nawet wysoko urodzeni katafrakci trzymali na wodzy swoje języki, kiedy był w pobliżu. Szczególnie po tym, jak widzieli go tańczącego.

Zaśmiał się.

– O tak, on potrafił tańczyć! O tak! Był najlepszym tancerzem, jakiego znał świat. Uczył się każdego tańca, który ktokolwiek był w stanie mu pokazać. I po upływie jednego dnia znał go lepiej niż wszyscy inni. A jego własne tańce były niewiarygodne. Szczególnie...

Zatrzymał się, otwierając szeroko oczy.

– A więc to tak. Dlatego tak się stało.

– Mówisz o tańcu, który dzieje się w twojej wizji – powiedział Kasjan. – O tym, który odtńczył na koniec. O... jak go nazwać... o tańcu stworzenia i zniszczenia?

Belizariusz zmarszczył brwi.

– Nie. Właściwie tak, ale stworzenie i zniszczenie były tylko elementami tego tańca. Sam taniec, sam w sobie, to taniec czasu.

Potał dłońmi twarz.

– Widziałem go, jak tańczył ten taniec. W Jerozolimie, kiedyś, podczas oblężenia.

– Jakiego oblężenia? – zapytała Antonina.

– Oblężenia... – machnął ręką. – Oblężenia w mojej wizji. W przeszłości mojej wizji. – Znów zamachał dłonią, tłumiąc zniecierpliwienie. – Później. Kilku żołnierzy usłyszało o tańcu czasu i chciało go ujrzeć. Nakłonili niewolnika... Raghunatha Rao, żeby dla nich zatańczył. Zrobił to i to było wprost olśniewające. Później prosili go, aby ich tego nauczył, ale on twierdził, że to niemożliwe. W tym tańcu nie było kroków, tak im wyjaśniał, które mógłby im pokazać. – Oczy generała rozszerzyły się. – Ponieważ kroki były różne za każdym razem, kiedy tańczył ten taniec.

* * *

W końcu płaszczyzny odnalazły miejsce połączenia. To było prawie niemożliwe, tak obce wydawały się te myśli, ale mimo to cel się zmaterializował.

przyszłość

– Co? – krzyknął Belizariusz. Rozglądał się po pokoju. – Kto to powiedział?

– Nikt nic nie mówił, Belizariuszu – odparł Kasjan. – Nikt się nie odzywał z wyjątkiem ciebie.

– Ktoś powiedział „przyszłość”. – Głos generała emanował pewnością i zdecydowaniem. – Ktoś się odezwał. Słyszałem wyraźnie, tak jak słyszę teraz ciebie.

przyszłość

Patrzył się na rzecz spoczywającą w jego dłoni.

– To ty?

przyszłość

Wszyscy zebrani powoli unieśli się z krzeseł i zebrali wokół Belizariusza, patrząc na klejnot.

– Przemów ponownie – rozkazał Belizariusz.

Cisza.

– Przemów ponownie, rób, co ci każę!

Gdyby to było możliwe, płaszczyzny pryzmatu trzęsłyby się z wściekłości. Zadanie było niewykonalne! Umysł generała zbyt różnił się od pojmowania kryształu!

cel zaczął się rozszczepiać. Pryzmaty, z desperacją, wysyłały naprzód sygnał, który ludzki umysł nazwałby dziecięcym błaganiem o bezpieczny dom. Głębokie, bardzo głębokie pragnienie zdobycia miejsca będącego azylem, bezpieczną, spokojną i wygodną przystanią.

– To jest takie samotne – wyszeptał. – Zagubione i opuszczone. Zagubione...

Zamknął oczy, pozwalając umysłowi skoncentrować się na uczuciach.

– Zagubione jak nigdy nie był żaden z ludzi. Stracone za zawsze, bez nadziei na powrót. Do domu, który kocha bardziej, niż jakikolwiek człowiek jest w stanie kochać swój.

Fasety przez jedną mikrosekundę zamarły w swoim ruchu. Nadzieja wezbrała ponownie. **cel** znów się skryształizował. To było takie trudne! Ale... ale... niezwykle wysiłek.

Ceremonia, cicha, spokojna, pod rozwijającymi się pączkami drzewa laurowego. Pokój. Delikatne brzęczenie pszczół i trzmieli. Skrzące się niczym kryształy fale w przejrzystej sadzawce. Piękno sieci pajęczej, błyszczącej w słońcu.

Tak! Tak! Znowu! Płaszczyzny błysnęły i zaczęły się obracać. **cel** nabrał mocy, urósł, zmężniał.

Trzask pioruna. Drzewa miotają się, ceremonia została przerwana przez czarną falę przyływu. Kryształy, rozsypane na jałowej pustyni, krzyczą z przerażenia. Ponad, naprzeciw pustemu, bezsłonecznemu niebu, formują się potężne twarze. Zimne oblicza. Bezlitosne.

Belizariusz zatoczył się, przytłoczony siłą emocji bijących z tych obrazów. Opisał je pozostałym siedzącym w pokoju. Potem wyszeptał w kierunku klejnotu:

– Czego chcesz ode mnie?

Płaszczyzny podjęły wysiłek. Wyczerpanie, jako uczucie, było im obce, ale nie mogły długo wytrzymać potężnego ubytku energii, która wypływała z klejnotu w zastraszającym tempie. Kryształ potrzebował desperacko stabilizacji, ale **cel** pozostał władczy i twardy jak diament. Żądał! I dlatego wybuchł w ostatniej szaleńczej wizji...

Inna twarz wznosząca się z ziemi. Powstająca pomiędzy resztek sieci pajęczych, ptasich skrzydeł i liści laurowego drzewa. Ciepła, ludzka twarz. Ale równie bezlitosna. Jego twarz.

Rzecz spoczywająca w dłoni Belizariusza pociemniała. Wydawała się prawie nie zawierać światła, ale mimo tego nadal nie można było rozróżnić dokładnie wyraźnych kształtów wewnątrz klejnotu ani nawet określić formy samego przedmiotu.

– Będzie teraz odpoczywać przez jakiś czas – powiedział Belizariusz.

– Skąd to wiesz? – zapytał Kasjan.

Generał wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem. Jest bardzo... zmęczone, tak można powiedzieć. – Zamknął oczy i skoncentrował się. – Jest takie obce, jego sposób... czy można to nazwać sposobem myślenia? Nie jestem nawet pewien, czy to jest żywe, w jakimkolwiek tego słowa znaczeniu.

Westchnął.

– Ale jedno, czego jestem pewien, to fakt, że ta rzecz potrafi czuć. I nie sądzę, że to są złe uczucia.

Spojrzał w stronę biskupa.

– Antoniuszu, jako jedyny wśród nas jesteś teologiem. Co o tym myślisz?

– Niebiosa, dopomóżcie – wymamrotał Michał. – Jestem już zmęczony, a muszę teraz wysłuchiwać oratora najbardziej gadatliwego na świecie.

Kasjan uśmiechnął się.

– Właściwie zgadzam się z Michałem. To była wyczerpująca noc, dla nas wszystkich, i myślę, że nasze wysiłki... jakiegokolwiek by one nie były, są tylko początkiem. Uważam, że najlepiej będzie odłożyć dalsze poczynania do rana. Teraz przyda nam się trochę snu. I trochę pożywienia – dodał, klepiąc się po swoim okazałym brzuszku. – Mój przyjaciel potrzebuje okazjonalnie tylko odrobiny niesprawiedliwości okraszonej żółcią, ale ja wymagam pełniejszej strawy.

Macedończyk prychnął, ale nic nie powiedział. Kasjan wziął go pod ramię.

– Chodź, Michale. Czy będziesz tutaj jutro? – zapytał Belizariusza.

– Tak, oczywiście. Planowałem powrócić do Daras, ale mogę to odłożyć. Ale...

– Zostańcie tutaj – przerwała mu Antonina. – Mamy tu wiele nieużywanych pokoi i oczywiście pościel.

Antoniusz i Michał spojrzeli na siebie. Michał skinął potwierdzająco głową. Antonina zaczęła się krzątać w celu przygotowania pokoi dla gości, ale Kasjan zawołał ją z powrotem.

– Idź do łóżka, Antonino. Gubazes się nami zajmie. – Zawiesił na niej i jej mężu przyjazne, ale surowe spojrzenie. – Wy dwoje macie chyba coś do omówienia. Myślę, że powinniście to przedyskutować właśnie teraz. Jutro, obawiam się, inne sprawy zaczną nas przytłaczać.

Odszedł w kierunku drzwi, odwracając się jeszcze na chwilę w ich kierunku.

– I zapamiętajcie moją radę. Prywatnie, wyznam wam, podzielam opinię Michała na temat dobrych intencji większości z moich teologicznych rozpraw. Ale wy nie jesteście księżmi dyskutującymi punkty doktryny z przeciwnych stanowisk. Jesteście mężem i żoną i kochacie się nawzajem. Jeżeli wyjdziecie od tego, bezpiecznie dotrzecie do miejsca swego przeznaczenia.

* * *

W swojej sypialni mąż i żona usiłowali zastosować się do rady biskupa. Ale to nie było łatwe, mimo ich dobrej woli. Ze wszystkich ran, jakie mogą sobie zadać kochankowie, żadne nie są tak ciężkie jak te wyrządzone w przekonaniu słuszności swojej racji.

Dla Belizariusza fakt, że nigdy nie zrobił nic, co mogłoby spowodować, że jego żona przestałaby mu ufać, był najważniejszy. Jedynie to miało sens, czysty i wyraźny i łatwy do przyjęcia. Nawet Antonina nie mogła temu zaprzeczyć. Z kolei jej własny punkt widzenia był bardziej skomplikowany, gdyż nie zawierał się tylko w jednym mężczyźnie i kobiecie, ale w ogólnej prawdzie o tych dwóch płciach. Jej nieszczerłość uzależniona była od sytuacji, nie zależało jej na utrzymaniu intratnego małżeństwa, ale pragnęła oszczędzić ukochanemu mężowi dalszego wstydu. Nie chciała dodawać goryczy do jego życia. Dlatego, że on jej wierzył, i ani trochę nie obchodziła go jej reputacja. Ona też mu ufała, ale bardzo dbała o to, aby niepewność nie sprawiała mu bólu. Wszystko pogarszała dodatkowo różnica wieku między nimi. Bo, chociaż Belizariusz był mądry ponad swoje lata, w głębi duszy ciągle pozostawał mężczyzną dwudziestoletnim, który wierzył w obietnice. Antonina natomiast przekroczyła już trzydziestkę i dawno straciła rachubę składanych obietnic, a dotrzymała zaledwie kilka z nich.

W końcu, dosyć nietypowo, ten węzeł gordyjski został przecięty sztyletem. Gdyż podczas krążenia po pokoju, gdzie mężczyzna wykladał swoje racje niczym tygrys opisujący jeleniowi

przyjemności wynikające z polowania, oko Belizariusza padło na szufladę w jego własnej szafce stojącej przy łóżku.

Zamarł w pół kroku. Potem powoli podszedł do szafki i otworzył szufladę. Z jej głębiny wyjął sztylet.

To był w istocie przepiękny sztylet. Wykonany w Armenii, perfekcyjnie wyważony, z ostrzem niczym brzytwa i rękojeścią pasującą do dłoni jak rękawiczka.

– To jest sztylet, który mu dałem – wyszeptał. – To właśnie ten.

Zainteresowanie przeważało urazę. Antonina podeszła do męża i spojrzała na broń. Widziała ją już wcześniej, oczywiście, i nawet trzymała sztylet w dłoni, ale nigdy nie poświęcała mu wiele uwagi. Po chwili jej dłoń niepewnie dotknęła ramienia męża.

Spojrzał na jej rękę, zaczął napinać mięśnie i nagle się rozluźnił.

– Kochanie – powiedział czule. – Zapomnijmy o przeszłości. Nie ma potrzeby jej roztrząsać, lepiej się od niej odciąć. – Wykonał ruch sztyletem. – Odciać przy pomocy tego.

– Co masz na myśli?

– To jest sztylet z mojej wizji i stanowi on dowód, że te majaki były prawdą. Wszystko, co się w ostatecznym rozrachunku liczy, to fakt, że kocham Focjusza i zawsze będę go uważał za naszego syna. Sprowadźmy go tutaj i zacznijmy od nowa, od tego momentu.

Spojrzała na niego, ciągle z wyrazem niepewności na twarzy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przysięgam przed Bogiem, żono, że będę traktował twojego syna jak moje własne dziecko i nigdy nie będę czynił ci wyrzutów z powodu jego istnienia. – Uśmiechnął się krzywo. – Ani z powodu ukrywania jego istnienia.

Zaczęli się gwałtownie przytulać i chwilę później rozwiązali wszystkie trapiące ich problemy starą i niezawodną metodą znaną wszystkim mężczyznom i kobietom.

* * *

Później, z głową ułożoną na ramieniu Belizariusza, Antonina powiedziała:

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą, kochanie.

– Nad czym?

Antonina usiadła. Jej pełne piersi zachwiały się delikatnie, rozpraszając jej męża. Widząc jego spojrzenie, uśmiechnęła się.

– Masz złudzenie wielkości – zakpiła.

– Piętnaście minut – ogłosił. – Nie więcej.

– Pół godziny – odpowiedziała. – W najlepszym wypadku.

Uśmiechnęli się do siebie. To była stara gra, w którą zaczęli grać podczas pierwszej nocy, kiedy się poznali. Belizariusz zwykle wygrywał, ku zadowoleniu Antoniny.

Antonina nagle spoważniała.

– O Focjusza dba dziewczyna o imieniu Hypacja. Robi to przez ponad dwa lata. Dziecko ma tylko pięć lat. Odwiedzam synka tak często, jak się da, ale... ona jest dla niego dobra i na pewno będzie mu jej brakowało. I pieniądze, które jej daję, są jej jedynym źródłem utrzymania. – Jej twarz nagle stężała. – Nie może uprawiać swojego zawodu. Jej twarz pokrywają paskudne blizny.

Antonina umilkła. Belizariusz był zaszokowany, kiedy dostrzegł, że żona tłumi w sobie tyle gniewu. I nagle zrozumiał. Nie mógł powstrzymać się od zerkania na brzuch Antoniny, którego dolną część szpeciła poszarpana blizna. Blizna, która była przeszkodą w posiadaniu ich własnych, wspólnych dzieci.

Wstał z łoża i zaczął przechadzać się powoli na sztywnych nogach. To był jego własny sposób

powstrzymywania gniewu. Gniewu, który był tym potężniejszy, że Antonina dawno już pozbyła się jego przyczyny.

Pięć lat temu, widząc, że Antonina nie ma sutenera, ambitny młody człowiek postanowił wykorzystać szansę i sam nim zostać. Słyszając odmowę Antoniny, dalej nalegał, używając tym razem noża. Nieszczęśliwie dla niego, nie przemyślał do końca jej pochodzenia. Prawda, jej matka była nierządnicą, ale ojciec powoził rydwanem. Pochodził z ludzi, którzy nie przejawiają najmniejszych skłonności do pacyfizmu. Woźnica nie nauczył swej córki wielu rzeczy, a przynajmniej nie wielu wartych zapamiętania, ale przekazał jej umiejętność posługiwania się prostym ostrzem. I w rezultacie robiła to lepiej niż młodzian, który ją zaatakował. I tak, dobrze się zapowiadający przedsiębiorca wylądował w grobie, ale przed śmiercią zdążył jeszcze pozostawić po sobie okropny znak.

– Sprowadzimy tutaj ich oboje – powiedział Belizariusz. – Będzie dobrze mieć niańkę dla Focjusza. A kiedy będzie już za duży, aby mieć opiekunkę, znajdziemy jej jakieś inne zajęcie. Cokolwiek, co będzie jej odpowiadało.

– Dziękuję ci – wyszeptała Antonina. – Jest przeuroczą dziewczyną.

I znowu Belizariusz wykonał niewielki sztywny gest w jej kierunku. Jego żona знаła go dobrze i wiedziała, jak był dumny ze swojej samokontroli. Ale czasami, myślała, byłoby lepiej, gdyby wyzwolił emocje i miotał się niczym lew w klatce.

Ona, z drugiej strony, nie miała tego rodzaju skrupułów.

– Kogo zamierzasz wysłać... aby przywiózł tu Focjusza?

– Tak? Aha, Gubazesa, jak mniemam.

Antonina gwałtownie potrząsnęła głową.

– Och nie, nie możesz.

Powoli, powoli, prawie cię mam, lewku.

– Dlaczegożby nie?

– Bo... – Była zupełnie zadowolona z delikatnego trzepotu swoich rzęs. Tylko ślad obawy, nic więcej. Coś więcej mogłoby obudzić inteligencję jej męża.

– Jej sutener kręci się ciągle w pobliżu, wiesz. Wysyła ją do przypadkowych klientów. Właściwie im ją wmusza. Ten sutener... może mieć coś przeciw, jeżeli ją stamtąd zabierzecie.

Jej serce zadrzało, kiedy ujrzała, jak prostują się plecy jej męża. Kłamała i jeżeli Belizariusz by ją na tym złapał, zapłaciłaby za to istnym piekłem. Ale to było tylko małe kłamstewko, nieszkodliwe, i, poza tym, kto uwierzy sutenerowi. Oczywiście ona sama musiała jechać po Hypację i małego.

– Nazywa się Konstantyn – powiedziała. Z lekkim, niedostrzegalnym drżeniem warg. Doskonale zrobione, pomyślała. – Jest bardzo gwałtownym człowiekiem. A Gubazes... nie jest już taki młody i...

– W takim razie poślę Maurycego – oznajmił Belizariusz.

– Dobry pomysł – wymamrotała Antonina. Ziewnęła, pokazując zęby niczym rekin. W rzeczywistości Konstantyn przestał się interesować Hypacją po tym, jak pokiereszował jej twarz. Ale ciągle był w pobliżu, prowadząc interesy w Antiochii.

– Dobry pomysł – ponownie wymamrotała, odwracając się na drugi bok i prezentując mężowi kuszący element anatomii. Najlepiej jeżeli rozproszy go teraz, zanim zacznie się zastanawiać. Doszła do wniosku, że upłynęło już piętnaście minut.

Rzeczywiście upłynęło już piętnaście minut i jak zwykle Belizariusz wygrał.

* * *

Chwilę później Antonina zasnęła. Belizariusz jednakże nie czuł się śpiący. Przez pewien czas kręcił się i turlał po łóżu, po czym postanowił wstać. Wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie zajmie się dopiero co omówioną sprawą.

Maurycy nie miał pretensji o to, że został obudzony o tak nieludzkiej porze. Wiele razy w przeszłości, podczas wypraw wojennych, jego generał budził go o pierwszych godzinach poranka.

Chociaż nigdy, pomyślał po wysłuchaniu poleceń Belizariusza, nie wysyłał go w tak dziwacznej misji.

Ale Maurycy był setnikiem, człowiekiem, którego starożytni Rzymianie nazywali centurionem. Maurycy był weteranem pomiędzy weteranami. Jego broda stała się stalowa, tak stalowa jak muskuły jego ciała. I dlatego nie miał problemu z utrzymaniem uwagi i powagi na twarzy, nawet obudzony tak wcześnie. Szybko poderwał dwóch innych żołnierzy należących do najbliższej ochrony Belizariusza, jego prywatnej świty złożonej z trackich katafraktów. Wybrał dwóch pentarchów na towarzyszy, Anastazjusza i Walentyniana. Oni także byli doświadczeni w bojach, jednakże nie tak starzy jak Maurycy. Nie stanowili czołówki przebiegłych dowódców oddziałów, to prawda, z powodu ich relatywnie niskiej rangi. Ale nie było nikogo w osobistej straży generała, kto byłby bardziej przerażający na polu bitwy.

Kiedy szykowali konie do drogi, Maurycy wyjaśnił im sytuację. Niczego przed nimi nie ukrywał, tak jak Belizariusz niczego przed nim nie zataił. Traccy katafrakci, należący do osobistej straży generała, byli mu kompletnie oddani. To oddanie, tak jak i inne uczucia, wynikało z niezmaconej szczerości Belizariusza. I wszyscy żołnierze uwielbiali Antoninę. Zdawali sobie doskonale sprawę z jej przeszłości, ale żaden z nich nie przykładał do tego wagi. Byli raczej dobrze obeznani z kobietami lekkich obyczajów i mieli tendencję do patrzenia na nie jako, w pewien sposób, na podobnych im weteranów.

Kiedy byli gotowi, Maurycy wyprowadził ludzi i konie ze stajni na dziedziniec, gdzie czekał Belizariusz. Pokazał się pierwszy zwiastun świtu.

Widząc sztywne plecy generała, Maurycy westchnął. Jego dwaj towarzysze przenieśli wzrok z Maurycyego na Belizariusza, od razu pojmując znaczenie westchnienia.

– Wiesz, że sam ci tego nie powie – wyszeptał Walentynian.

Maurycy przemówił:

– Jest jeszcze jedna rzecz, generale.

Belizariusz powoli odwrócił głowę w ich kierunku.

– Tak?

Maurycy przełknął ślinę.

– Więc, ten sutener. To jest tak, panie. Może kręcić się w pobliżu i, więc...

– Niebezpieczne typy, ci sutenerzy – rzucił w przestrzeń Walentynian.

– Mogą ci wbić nóż w plecy w jednym momencie – dodał Anastazjusz.

– Tak, panie – powiedział Maurycy z mocą. – Więc, biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, byłoby dobrze, gdybyśmy znali jego imię. Tylko po to, abyśmy mogli go obserwować i przeciwdziałać, gdyby chciał sprawiać nam kłopoty.

Belizariusz zawahał się, a potem powiedział:

– Konstantyn.

– Konstantyn – wymamrotał Maurycy. Walentynian i Anastazjusz powtórzyli imię, utrwalając je sobie w pamięci.

– Dzięki ci, panie – rzekł Maurycy. Chwilę później trzej katafrakci pędzili w kierunku Antiochii.

Kiedy byli już poza zasięgiem głosu, Maurycy dobrodusznie zauważył:

– To piękna rzecz, chłopcy, mieć takiego powściągliwego generała. Trzyma swój temperament na wodzy w każdym momencie. Utrzymuje żelazną samodyscyplinę. Nie ufa sobie, kiedy czuje, że jego krew zaczyna wrzeć w żyłach. Automatycznie nie pozwala, aby kierowały nim uczucia.

– Piękna rzecz – powiedział z podziwem Anastazjusz. – Zawsze chłodny, zawsze spokojny, nigdy nie traci panowania nad sobą. To nasz generał. Najlepszy generał w rzymskiej armii.

– Ratuje nasze tyłki z każdej opresji – zgodził się Walentynian.

Jechali chwilę w milczeniu. Maurycy odchrząknął.

– Przychodzi mi do głowy, chłopcy, że my nie jesteśmy generałami.

Jego towarzysze spojrzeli na siebie, jakby w tym samym momencie przyszła im do głowy podobna myśl.

– Dlaczego... właściwie nie – powiedział Anastazjusz. – Nie jesteśmy.

– W rzeczy samej, nie wydaje mi się, abyśmy chociaż w najlżejszym stopniu przypominali generałów – zgodził się Walentynian.

Chwilę później, kawałek dalej Maurycy zadumał się.

– Brutalni goście, ci sutenerzy.

Walentynian zadygotał.

– Przechodzi mnie dreszcz na samą myśl o nich. – Zadygotał ponownie. – Widzisz?

Anastazjusz cicho zajęczał.

– Och, mam nadzieję, że go nie spotkamy. – Wydał kolejny jęk. – Ale mogę się mylić.

* * *

Tydzień później byli z powrotem, z nieco skonsternowanym, ale bardzo szczęśliwym pięcioletnim chłopcem i mniej zagubioną, ale nawet bardziej zadowoloną młodą kobietą. Traccy katafrakci zauważyli jej obecność i uśmiechali się zachęcająco. Ona także ich dostrzegła, ale nie oddała uśmiechu.

Ale, po pewnym czasie, przestała odwracać twarz, kiedy ktoś się do niej zbliżał. A jeszcze później kilku katafraktów pokazało jej swoje twarze, pokryte jeszcze okropniejszymi bliznami niż jej. I kiedy jej wyznali, że byli katafraktami tylko z nazwy, bo chociaż posiadali wszystkie umiejętności żołnierskie, brakowało im wśród przodków prawdziwych katafraktów i byli tylko parobkami pochodzącymi z gospodarstw wiejskich, zaczęła się nawet czasem do nich uśmiechać.

Antonina miała doświadczone i czujne oko na ten przyjazny flirt, ale, w większości przypadków, nie interweniowała. Jedyne okazjonalnie szepnęła słówko Maurycemu, aby powstrzymywał zbytni entuzjazm katafraktów. A kiedy Hypacja zaszła w ciążę, Antonina po prostu nalegała, żeby ojciec wziął odpowiedzialność za matkę i dziecko. Były pewne wątpliwości w tej materii, ale jeden z katafraktów poczuł się bardziej niż szczęśliwy z powodu małżeństwa z dziewczyną. Dziecko, w końcu, mogło być jego, a poza tym nie należał do prawdziwych katafraktów, był tylko prostym chłopem z Tracji. Dlaczegożby miałby przykładać wagę do niepokojów szlachty?

Także jego przyjaciele nie mieli mu nic do zarzucenia. Hypacja była uroczą dziewczyną, mężczyzna mógł wylądować dużo gorzej. Kimże byli, aby trapić się podobnymi sprawami, skoro ich generał postąpił tak samo?

* * *

Na długo przed tym zanim Hypacja zaszła w ciążę, chociaż niespełna sześć tygodni po tym jak Maurycy i jego kompani powrócili ze swojej misji, młody człowiek został wypuszczony z klasztoru w Antiochii, gdzie mnisi dbali o jego zdrowie. Rozważając projekty na przyszłość w zimnym świetle dnia, zdecydował się na zostanie żebrakiem. Zaczął więc uprawiać swój nowy zawód na ulicach Antiochii. Radził sobie całkiem nieźle, biorąc pod uwagę standardy żebraczej doli, oczywiście bardzo niskie. A jego przyjaciele, a raczej znajomi, zapewniali go, że blizny na jego twarzy nadają mu wygląd rzucający na kolana. Szkoda, oczywiście, że on sam nie mógł się na nie rzucić. Nie bez kolan.

Rozdział 4

– Więc jakie jest wasze zdanie? – zapytał Belizariusz.

Kasjan zacisnął wargi i wskazał palcem rzecz spoczywającą w dłoni generała.

– Czy były jeszcze jakieś...?

Belizariusz potrząsnął przecząco głową.

– Nie. I nie wydaje mi się, żeby coś nam jeszcze pokazał. A przynajmniej niewiele.

– Dlaczego nie?

– To... trudno wyjaśnić. – Wstrząsnął się lekko. – Nie pytajcie mnie, skąd wiem. Po prostu wiem.

Ten... klejnot, tak to można nazwać... jest bardzo zmęczony.

– A jakie ty miałeś wizje, Antoniuszu? – spytała Antonina. – Nie opowiedziałeś nam o nich wczoraj wieczorem.

Biskup spojrzał na nią. Jego okrągła i zadowolona na ogół twarz wyglądała teraz niemal na zabiedzoną.

– Nie pamiętam ich zbyt dobrze. Moje wizje... a Michała nawet jeszcze bardziej... nie miały tej klarowności i precyzji jak obrazy, które klejnot pokazał twemu mężowi. Poczułem wtedy, że... klejnot... będzie łatwiej porozumiewał się z Belizariuszem. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego to wiedziałem. Ale byłem tego pewien.

Wyprostował plecy i odetchnął głęboko.

– Widziałem tylko ogromny ocean rozpaczy, głuchoniemy pod... kościołem, tak chyba to był kościół, który stanowił zaprzeczenie istoty boskości. Kościół tak wstrętny, że nawet najbardziej barbarzyńscy poganie świata odrzuciliby go bez namysłu i odnaleźli w swoich plugawych rytuałach moc litości w porównaniu z tym monstrem.

Jego twarz była blada. Otarł pot z czoła pulchną dłonią.

– Widziałem także siebie. Chyba to byłem ja, tak przynajmniej mi się wydawało. Nie jestem pewien. Wydawało mi się, że miotam się nagi w zamkniętej celi. – Wydał z siebie kraczący śmiech.

– Byłem znacznie chudszy! – Westchnął. – Oczekiwałem na przesłuchanie z dziwnym zniecierpliwieniem, niemalże z ochotą. Niebawem umrę w rękach katów, gdyż nie wydam nigdy tajemnicy, nie dam im odpowiedzi, której żądają. Odmówię interpretacji napisanych słów jako błogosławiących rzeź niewiniątek. I byłem usatysfakcjonowany, bo wierzyłem w prawdziwość mojej wiary i wiedziałem, że nie ustąpię aż do śmierci, ponieważ miałem...

Zachłysnął się i otworzył szeroko oczy.

– Tak! Tak, to byłem ja! Teraz sobie przypominam! Wiedziałem, że znajdę w sobie siłę, aby opierać się moim oprawcom, ponieważ przed oczyma zawsze miałem obraz mego przyjaciela Michała. Michała i jego śmierci, i jego potężnej klątwy, którą rzucił na szatana, gdy płonął żywym ogniem przy słupie.

Spojrzał na Macedończyka i otarł ukradkiem łzy.

– Przez całe swoje życie dziękowałem Bogu, że Michał z Macedonii jest moim przyjacielem od czasów dzieciństwa. I najbardziej byłem za to wdzięczny właśnie w tym dniu ostatecznego zwątpienia. Sadzę, że sam nie miałbym odwagi tak bardzo mi wtedy potrzebnej.

– To niedorzeczne. – Jak zwykle głos Michała zakończył przemówienie biskupa z pewnością kamiennego noża.

Wychudzony mnich wstał z krzesła, przesywając biskupa spojrzeniem.

– Posłuchaj mnie teraz, biskupie Aleppo. Nie ma takiego bólu na tej ziemi ani cierpienia w piekle, które mogłoby kiedykolwiek złamać duszę Antoniusza Kasjana. Nigdy w to nie wątpię.

– Ja często mam wątpliwości, Michale – szepnął Antoniusz. – Nie było ani jednego dnia w moim życiu, w którym nie poddałbym się zwątpieniu.

– Mam nadzieję, że nie! – Drapieżnik powrócił i znów niebieskie oczy Macedończyka były tak bezlitosne jak oczy orła. – Skądże ma niby powstać wiara, jak nie ze zwątpienia, przemądrzały głupcze? – Michał spojrzał wilkiem na biskupa. – To prawdziwy grzech księdza, że nie poddaje się żadnym wątpliwościom. On wie, jest pewien, i dlatego też wpada niepostrzeżenie w sieci zastawiane przez szatana. I niedługo potem sam tka sieci i rechocze z zadowolenia, gdy udaje mu się złapać w nie niewinne dusze.

Drapieżnik zniknął zastąpiony przez przyjaciela.

– Inni widzą w tobie delikatność ducha i mądrość umysłu. I widzą prawdziwe rzeczy. Tak jak ja zawsze poznawałem w tobie prawego człowieka. Ale pod tymi cechami kryje się prawdziwy Kasjan. Nie ma takiej siły, mocnej jak żelazo, która przewyciężyłaby łagodność. Nie ma wiary czystej, która nie wątpi, ani mądrości głębokiej, która boi się zadawać pytania.

Mnich wyprostował plecy.

– Gdyby to nie było prawdą, odrzuciłbym Boga. Splunąłbym mu w twarz i dołączył do zastępów Lucyfera, gdyż ten miałby rację. Kocham Boga, ponieważ jestem przez niego stworzony. Ale nie jestem jego stworzeniem!

Twarz Macedończyka była surowa. Ale nagle rysy mu zmiękły i przez ułamek sekundy na jego twarzy zagościła łagodność podobna do tej stale obecnej na obliczu biskupa.

– Nie bój się wątpliwości, Antoniuszu. To wielki dar od Boga dla ciebie. A to, że zaszczepił ten wielki dar wątpienia w twojej głowie, jest wybawieniem dla nas wszystkich.

W pokoju zapanowała cisza. Nagle Antonina ponownie przemówiła.

– Czy nie było niczego więcej w twojej wizji, Antoniuszu? Żadnej nadziei?

Biskup podniósł głowę i spojrzał na kobietę.

– Tak... nie. Jak mogę to wam wyjaśnić? To wszystko jest bardzo mętne. W mojej wizji nie było nadziei, ani trochę. Nie więcej niż w obrazach, które widział Belizariusz. Wszystko dobiegało końca. Ale było tam też poczucie, tylko bardzo lekkie wrażenie, że tak nie musi być. Widziałem przyszłość, wiedziałem o tym, i była ona przerażająca i nieuchronna. Ale wyczułem również, w jakiś sposób, że przyszłość może być inna.

– A więc wszystko jasne – ogłosił Michał. – Jasne jak słońce.

Belizariusz podniósł brew, wyrażając swoje zdumienie. Macedończyk prychnął.

– Ta wiadomość pochodzi od Pana – powiedział zniecierpliwiony. I znów drapieżnik powrócił na swój szczyt. – Nikt tutaj nie może zobaczyć klejnotu ani zadania, które ma do wykonania. Jesteśmy skazani na zatracenie przez swe haniebne uczynki. Ale możemy z tym walczyć, pokonać upadek tkwiący w nas samych i stworzyć nową przyszłość. To oczywiste! Oczywiste! – Oczy drapieżnika utkwily swe spojrzenie z Belizariuszu, podobnie jak sokół zatapia wzrok w przerażonych ślepkach zająca. – Czyń swą powinność, generale!

Belizariusz wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

– Całkiem dobrze radzę sobie z moimi obowiązkami, Michale, dziękuję ci bardzo za napomnienia. Ale nie jestem do końca pewien, co miałbym niby robić. – Podniósł dłoń, powstrzymując stanowczo wybuch potoku słów z ust mnicha. – Proszę! Nie kwestionuję tego, co powiedziałaś. Ale nie jestem świętym człowiekiem ani nawet biskupem. Jestem żołnierzem. Łatwo ci powiedzieć, pokonaj niegodziwość. Do twoich usług, proroku! Ale czy miałbyś coś przeciwko, aby

wyjaśnić mi bardziej precyzyjnie, jak miałbym pokonać to zło?

Michał prychnął.

– Chcesz, aby wycieńczony mnich z pustyni, którego członki są tak słabe, że nie mogą udźwignąć jego własnego ciała, powiedział ci, jak pokonać zastępy piekieł?

– Czy mogę ci zasugerować, Belizariuszu – wtrącił się Kasjan – żebyś zaczął od analizy swoich wizji?

Zdezorientowany wzrok generała przeniósł się z mnicha na biskupa.

– Oczywiście, nie jestem żołnierzem, ale wydaje mi się, że w twoich wizjach naświetlone były dwa aspekty siły nieprzyjaciela. Pierwszy z nich to ogromna liczebność jego armii, a drugi to dziwna i tajemnicza broń.

Belizariusz zastanowił się chwilę i potakująco skinął głową.

– A więc wydaje się, że...

– Musimy postarać się zmniejszyć ilość ludzi w armii wroga i powiększyć liczbę naszych żołnierzy. I ponad wszystko musimy odkryć sekret ich broni – dokończył Belizariusz.

Biskup przytaknął. Belizariusz w zamyśleniu potarł brodę.

– Zacznijmy od drugiego punktu – powiedział. – Ta broń wykazuje pewne podobieństwo, a przynajmniej tak mi się wydaje, do urządzeń opartych na nafcie, używanych przez naszą marynarkę wojenną. Oczywiście te z mojej wizji są znacznie potężniejsze i trochę inne. Ale ciągle są podobne. Może powinniśmy od tego zacząć.

Rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Ale ja jestem żołnierzem, a nie żeglarzem. Widziałem urządzenia naftowe, ale nigdy ich nie używałem. Są zbyt niezdarne i niewygodne do zastosowania w bitwie na lądzie. I... – nagle przestał mówić.

Antonina zaczęła otwierać usta, ale Belizariusz powstrzymał jej wypowiedź nagłym gestem. Jego oczy wpatrywały się w przestrzeń, nie skupione na niczym. Myśli skierował najwyraźniej do swojego wnętrza.

– Klejnot? – zapytał Kasjan.

I znów Belizariusz uciszył go gestem. Wszyscy byli cicho, wpatrując się w generała.

– Prawie – wyszeptał. – Ale nie mogę dokładnie zobaczyć co... – Syknął.

Podziemne, mroczne obrazy. Niemożliwym jest dostrzec je wyraźnie, nie z powodu braku światła, ale przez ich dziwaczność. Wizje. Trzech mężczyzn w pokoju, pod budynkiem. Patrzą na giganta, swego rodzaju skomplikowaną maszynę. Towarzyszy im poczucie lęku i zniecierpliwienia. Obrazy. Ci sami mężczyźni. Noszą dziwne osłony na oczy, spoglądają przez szparę. Strach, napięcie. Nagły oślepiający błysk światła. Radosne podniecenie. Przerażenie. Respekt. Wizje. Inni ludzie, pracujący pod ziemią w czymś wyglądającym jak ogromna... rura? Obrazy. Walec mknący po niebie. Wizje. Dziwne budynki w dziwnym mieście nagle rozpadają się w gruzy, przewrócone jakby oddechem olbrzyma. Obrazy. Inny mężczyzna, młody, brodaty, siedzący w chacie z bali w środku lasu i pokazujący nieczytelne znaki na karcie czterem ludziom... matematyka? Wizje. Ten sam zarośnięty młody człowiek, noszący takie same osłony na oczy jak ludzie w pierwszej wizji, spogląda przez tę samą szczelinę. I znów niewiarygodnie oślepiające światło. I znów radosne podniecenie, przerażenie, respekt.

Obrazy zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Belizariusz potrząsnął głową i wziął głęboki oddech. Opisał wizje, najlepiej jak potrafił, pozostałym.

– Nie mają sensu – powiedziała Antonina. Belizariusz potarł podbródek i wolno odpowiedział:

– Myślę, że mają. Może nie bezpośrednio. Nie mam pojęcia, o co chodziło w tych wizjach. Ale

pod niespójnymi wydarzeniami było ziarno logiki. W każdym obrazie kluczową rolę pełnili ludzie pracujący razem, aby odkryć jakiś sekret. Oni wykonywali maszyny, które pomagały im zbadać tę tajemnicę. To były przemyślane, zaplanowane i skoordynowane wysiłki. Nie przypadkowe próby rzemieślników i amatorów.

Nagle wyprostował się na krześle.

– Tak! Tego właśnie nam trzeba. Musimy zaplanować taki właśnie projekt, aby przeniknąć sekret malawskiej broni.

– Ale jak? – spytała Antonina.

Belizariusz zacisnął wargi.

– Są dwie najważniejsze rzeczy, a przynajmniej tak mi się wydaje. Musimy znaleźć człowieka, który podejmie się takiego wysiłku. I musimy znaleźć miejsce, w którym mógłby on pracować.

Kasjan odchrząknął.

– Mogę zaproponować rozwiązanie. A przynajmniej rozwiązanie pierwszego naszego problemu. Czy znasz może Jana z Rodos?

– Byłgo oficera marynarki wojennej? – Belizariusz potrząsnął głową. – Wiem, jaką cieszył się sławą jako dowódca. I to, że zrezygnował w atmosferze hańby, pewnego rodzaju nieufności. Nic więcej o nim nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.

– Mieszka teraz w Aleppo – powiedział Kasjan. – I tak się złożyło, że jestem jego spowiednikiem. Został odstawiony na boczny tor i ta sytuacja całkiem mu się nie podoba. Problem nie jest materialnej natury. On jest raczej zamożny i nie musi uganiać się za dobrami doczesnymi. Po prostu mu się nudzi. Stanowi typ człowieka szybko myślącego, aktywnego umysłowo i cierpi z powodu beczynności. Wierzę, że będzie bardziej niż chętny, aby uczestniczyć w naszym projekcie.

– A co, jeżeli zostanie ponownie powołany do wojska?

Antoniusz odkaszlnął.

– To jest w obecnej sytuacji mało prawdopodobne. – Chrząknął ponownie. – On... hm... więc, rozumiesz, nie mogę zdradzać tajemnicy spowiedzi, ale powiem ci po prostu, że obraził wystarczająco wielu wysoko postawionych notabli podczas wielu okazji i raczej nie ma szansy no to, że kiedykolwiek odzyska swoją pozycję w marynarce.

– Został moralnie potępiony? – zapytał Michał.

Antoniusz spojrzał w dół, wpatrując się z ogromnym zainteresowaniem w płytki leżące na podłodze, które to, jako obiekty zwyczajnie użytkowe, nie zasługiwały raczej na tyle uwagi.

– Więc, tak przypuszczam – wymamrotał. – Znowu, muszę ci przypomnieć o tajem...

– Tak, tak – rzekł z niecierpliwością Michał, machając dłonią w sposób sugerujący, że darzy tajemnicę spowiedzi poważaniem nie większym niż obornik.

– Pozwól mi po prostu powiedzieć... – rzekł z wahaniem nieszczęśliwy Antoniusz. – Więc, kariera Jana z Rodos w marynarce przebiegałaby dużo sprawniej i nie roztrzaskałaby się o rafy, gdyby był on eunuchem. A tymczasem ma on rozhukany charakter, nawet teraz, gdy przekroczył czterdziestkę. Nie może oprzeć się kobietom i... hm... rozmowa nie zawsze mu wystarcza.

– Cudownie – jęknął Michał. – Libertyn. – Mnich przybrał wygląd drapieżnika badającego wzrokiem rozkładające się szczątki gryzonia. – Pogardzam libertynami.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Musimy pracować z tym, co mamy. A mamy niewiele czasu. Nie mogę tu zostać zbyt długo. Spodziewam się, że konflikt z Persją znów wybuchnie, i to całkiem niedługo. Muszę przygotować swoich żołnierzy. Przypuszczalnie wyruszę do Daras w przeciągu tygodnia. Więc cokolwiek mamy zamiar zrobić, jeżeli będzie to dotyczyło mnie, musi być rozpoczęte natychmiast.

Spojrzał na Kasjana.

– Myślę, że twoja propozycja jest doskonała. Spotkaj się z tym Janem z Rodos i wybadaj, co sądzi o naszym pomysle. Musimy poznać naturę tej dziwnej broni i wydaje mi się, że wykorzystanie do tego Jana jest pomysłem dobrym jak każdy inny.

– A co, jeżeli się zgodzi do nas przystać? – zapytał Kasjan. – Co dokładnie ma dla nas zrobić? Belizariusz pogłaskał się po brodzie.

– Musimy zorganizować gdzieś warsztat pracy. Pewnego rodzaju zbrojownię. Pracownię broni. I jeżeli chcemy z sukcesem odkryć sekret tego oręża, będziemy musieli zatrudnić i wytrenować ludzi, którzy będą go używali.

– Mam pytanie – przerwała Antonina. – Czy powinniśmy powiedzieć temu Janowi o klejnocie?

Czworo ludzi siedzących w pokoju popatrzyło po sobie. Pierwszy przemówił Belizariusz.

– Nie! – rzekł z mocą. – A przynajmniej nie, dopóki nie upewnimy się, że możemy mu zaufać. Na tym etapie, myślę, że musimy zachować tę wiedzę dla siebie. Jeśli wieści będą się rozchodzić zbyt szybko, ludzie zaczną gadać o czarnej magii.

– Myślę, że powinniśmy powiedzieć Sitasowi – dodała Antonina.

– Tak – zgodził się Belizariusz. – Sitas powinien być w pełni poinformowany o naszym sekrecie, tak szybko jak to tylko możliwe. – Podniósł klejnot i dodał: – W pełni.

Michał zmarszczył brwi, ale Kasjan przytaknął.

– Zgadzam się. Z wielu powodów. Wojna, którą zamierzamy rozpocząć, toczyć się będzie na wielu frontach, a nie wszystkie będą związane z wojskiem. Jest wielu wrogów także wewnątrz Imperium Rzymskiego. Niektórzy czają się w szeregach władców Kościoła, inni kryją się pośród szlachty i arystokracji. – Wziął głęboki oddech. – I na koniec, jest...

– Justynian. – Głos Belizariusza był niczym żelazo. – Nie złamię nigdy przysięgi, którą złożyłem, Kasjanie.

Biskup uśmiechnął się.

– Nie proszę cię o to, Belizariuszu. Ale musisz liczyć się z faktami. Justynian jest cesarzem. I, nie wiem, czy to dobrze, czy źle, jest wyjątkowo sprytny. Nie należy do głupców, których można wodzić za nos, ani nie jest leniwym obibokiem, którego można bezpiecznie zignorować. Jest... hm... nie wiem, jak powinienem to ująć.

Antonina podpowiedziała mu.

– Zdradliwy, podejrzliwy, zawistny, zazdrosny. Konspirator, który węszy podstęp zawsze i wszędzie i uważa, że cały świat próbuje wyrządzić mu krzywdę.

Kasjan przytaknął.

– Cóż za ironia. My nie chcemy mu wyrządzić krzywdy. Wręcz przeciwnie. Chcemy znaleźć sposób, aby mógł zachować swoje imperium, poza innymi rzeczami. Ale żeby to osiągnąć, będziemy musieli spiskować za jego plecami.

– A będziemy musieli? – zapytał Belizariusz.

Kasjan był stanowczy.

– Tak. Znam tego człowieka dobrze, Belizariuszu, właściwie znacznie lepiej niż ty, chociaż macie wspólnych trackich przodków. Spędziłem z nim mnóstwo godzin na rozmowach w cztery oczy. Przychodził na każde kościelne posiedzenie rady, wiesz o tym, i w każdym brał czynny udział. Zarówno w dyskusji na forum, ale też potem w prywatnych rozmowach z wiodącymi teologami Kościoła. Chociaż plasuję się zaledwie w środku drabiny dostojników Kościoła, jestem bardzo poważany przez teologów. A Justynian, jak zapewne wiesz, uważa się za całkiem dobrego znawcę tematu.

Potarł podbródek.

– Właściwie, on rzeczywiście jest w tym dobry. Jego własne teologiczne spekulacje są doskonałe, to prawda. W głębi serca cesarz skłania się ku kompromisowi i polityce tolerancji. Ale jego zimny, ambitny umysł dąży do ciasnego przywiązania do ortodoksji i patrzy ambitnie na zachód.

– Jak to patrzy ambitnie na zachód? – zapytał Belizariusz.

Antoniusz był zdziwiony.

– Ty nie wiesz? Ty, jeden z jego ulubionych generałów?

W skrzywionym uśmiechu generała pokazała się jakże rzadka gorycz.

– Bycie jednym z ulubionych generałów Justyniana nie oznacza, że jest się jego powiernikiem, Antoniuszu. Raczej odwrotnie. Justynian jest wystarczająco sprytny, aby dobierać sobie zdolnych generałów i w pełni wykorzystywać ich zalety. Więc nie mówi im nic, a rozkazy wydaje w ostatnim momencie.

Belizariusz machnął ręką.

– Ale odbiegamy od tematu. Później chętnie wysłucham więcej o zachodnich ambicjach Justyniana, jeżeli zechcesz mi o nich opowiedzieć. Ale nie teraz. A ty źle zrozumiałeś moje pytanie. Nie chciałem się dowiedzieć, czy powinniśmy trzymać nasze plany w tajemnicy przed Justynianem. To oczywiste, że jeżeli konspirujemy, musimy tak uczynić. Pytanie brzmi, czy rzeczywiście musimy się ukrywać? Czy nie możemy po prostu dopuścić go do tajemnicy? Pomimo wszystkich oczywistych wad Justyniana, jest on jednym z najsprytniejszych ludzi, którzy zasiadali na tronie Imperium.

Antonina głośno wciągnęła powietrze. Kasjan spojrzał na nią i potrząsnął głową.

– Nie. Z całą pewnością nie. Justynian nie może się o niczym dowiedzieć. A przynajmniej nie dopóki będzie zbyt późno, aby mógł zrobić coś więcej, niż po prostu zgodzić się na nasze poczynania. – Przez jego twarz przemknął smutny grymas. – A wtedy będziemy mogli tylko mieć nadzieję, że nie polecą za to nasze głowy.

Belizariusz ciągle wyglądał na nie przekonanego. Kasjan dalej naciskał.

– Belizariuszu, nie miej złudzeń. Przypuśćmy, że powiemy wszystko Justynianowi. I założmy dalej, że zgodzi się na to, co mu proponujemy. Można nawet założyć, że, i tutaj to raczej już fantazje niż rzeczywistość, nie będzie nas podejrzewał i szukał fałszywych pobudek. I co wtedy?

Belizariusz zawahał się. Antonina odpowiedziała za niego.

– Będzie nalegał, aby uczynić go głównodowodzącym naszej operacji. Ze wszystkimi jego możliwościami i umiejętnościami. Ale też z całym jego oślim uporem, małostkową próżnością, intrygancką naturą, wybujałą dumą, z jego niekończącym się drobiazgowym wtrącaniem się do wszystkiego i węszeniem po kątach, z jego nieufnością względem kompetencji i lojalności poddanych, z jego...

– Wystarczy! – zawołał Belizariusz ze śmiechem. – Zostałem przekonany.

Złożył razem dłonie i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i wpatrując się w podłogę. Znowu proste podłogowe płytki, nie przyzwyczajone do tak intensywnej uwagi, zostały poddane analizie.

Głos Kasjana wdarł się w myśli generała.

– Czy jesteś obeznany z obyczajami Indii, Belizariuszu? A może ty, Antonino?

Antonina potrząsnęła przecząco głową. Belizariusz, ciągle wbijając nieobecny wzrok w podłogę, wzruszył ramionami i powiedział:

– Wiem niewiele o tym odległym kraju, głównie z zasłyszanych opowieści, ale nigdy nie spotkałem osobiście...

Przerwał w środku zdania, łapiąc powietrze. Gwałtownie uniósł głowę.

– Ale co ja opowiadam? Wiem bardzo dużo o Indiach. Z moich wizji! Spędziłem trzydzieści lat na niekończących się zmaganiach z tym krajem. Walczyłem przeciwko tyranii Malawian, powinienem rzec. I zawsze miałem wsparcie ze strony sprytnego Raghunatha Rao. – Jego twarz powlekleła się bladością. – Boże w niebiosach. Antoniuszu, masz rację. Musimy konspirować i głęboko ukryć nasze starania. Mam tylko nadzieję, że nie jest już za późno.

– O czym ty mówisz? – zapytała Antonina.

Belizariusz spojrział na nią.

– Przypominam sobie teraz jedną rzecz z moich wizji. Imperium Malawy miało najlepszą i najbardziej rozwiniętą siatkę szpiegowską na świecie. Po prostu niewiarygodny i doskonale działający aparat. – Jego oczy przez chwilę błędziły rozkojarzone po pokoju. – To był jeden z najsilniejszych ciosów, jaki nam wymierzili, to pamiętam. Kiedy już otworzyły nam się oczy i ujrzeliśmy w pełni grożące nam niebezpieczeństwo, Imperium Rzymskie roilo się od indyjskich szpiegów i intrygantów.

Skupił wzrok na Kasjanie.

– Czy myślisz, że...?

Biskup machnął ręką.

– Myślę, że nie powinniśmy się o to martwić, Belizariuszu. Nikt nie widział wchodzącego tutaj Michała, jestem tego pewien. A ja bywam tutaj często, dlatego moje odwiedziny nie są podejrzane. Musimy oczywiście być ostrożni, kiedy Michał będzie wychodził, ale to nie jest trudne.

Biskup gwałtownie pociągnął się za brodę.

– W przyszłości jednakże problem ten stanie się palący. Ale wrócimy do tego później. Teraz chcę wam opowiedzieć o miejscu, które uważam za doskonałe do założenia naszego warsztatu. Tam będziemy mogli badać broń i założyć pracownię dla naszego zbrojmistrza, jeżeli mogę tak go nazwać. A jeżeli przenikniemy tajemnicę broni Malawian, zaczniemy szkolić ludzi i przygotowywać armię. Ostatnio bogata wdowa przekazała całe swoje majątki na rzecz Kościoła, ze wskazaniem mnie jako zarządcy tych dóbr. Umarła trzy miesiące temu. Wśród jej licznych bogactw znajduje się duża nieruchomość niedaleko Daras, blisko granicy z Persją. Willa znajdująca się na posesji jest znacznej wielkości, a w obrębie zabudowań z łatwością pomieścimy wszystkie potrzebne nam urządzenia. A wieśniacy, którzy zamieszkują ten obszar, stanowią przygraniczną narodowościową mieszanekę. To Syryjczycy i monofizyci od najstarszego do najmłodszego.

Belizariusz przytaknął.

– Znam ich bardzo dobrze, Antoniuszu. Tak, to doskonały pomysł. Jeżeli damy radę zdobyć ich zaufanie, żaden szpieg nie będzie w stanie przeniknąć w ich szeregi. – Zamyślił się i zmarszczył brwi. – I może uda nam się... ale nad tym muszę się zastanowić.

– No dobrze – powiedziała Antonina. – Ale co powiemy tym wieśniakom? A Janowi z Rodos? I będziemy musieli zatrudnić rzeszę rzemieślników do pracy. A kiedy osiągniemy już jakieś sukcesy, będziemy potrzebowali żołnierzy, którzy nauczą się posługiwać nową bronią. Jeżeli nie powiemy tym ludziom o klejnocie, jak wytłumaczymy im pochodzenie źródła, z którego czerpiemy informacje?

– Myślę, że rozwiązanie tego problemu jest oczywiste – powiedział Kasjan. Biskup wzruszył ramionami. – Po prostu nic im nie powiemy. Wszyscy znają Belizariusza i Sitasa. Wiadomo, że są oni jednymi z ulubionych generałów Justyniana. A ty, Antonino, jesteś znana jako bliska przyjaciółka imperatorowej. Jeśli będziemy działać w tajemnicy i nalegać na zachowanie absolutnej dyskrecji, wszyscy, łącznie z Janem z Rodos, pomyślą, że biorą po prostu udział w tajnej operacji, posiadającej najwyższy cesarski priorytet. – Uśmiechnął się. – A moja stała obecność upewni ich, że nasza praca posiada także błogosławieństwo Kościoła.

– Ja także przemówię do wieśniaków – rzekł Michał. – Cieszę się wśród nich pewnym poważaniem.

Kasjan zaśmiał się wesoło.

– Pewnym poważaniem? To tak, jakby powiedzieć, że Mojżesz z niepewnością rzekł do swego ludu, że ma pewne nie do końca ustalone wskazówki.

Michał spojrział na niego, ale biskup się nie speszył.

– Właściwie potrafisz czynić cuda, Michale. Twoje słowa, w rzeczy samej, będą znacznie ważniejsze dla tych Syryjczyków niż rozkazy kogokolwiek innego. Jeżeli dasz tej pracy swoje błogosławieństwo i poprosisz ich o zachowanie dyskrecji, bądź pewny, że tego usłuchają.

– Ale to ciągle nie rozwiązuje problemu, jak utrzymać nasze prace w sekrecie przed światem – powiedziała Antonina. – Nawet jeżeli wszyscy zaangażowani w ten projekt będą siedzieć cicho, inni z pewnością zauważą, że w rejonie jest wzmożony ruch obcych, kręcących się tu i tam. Nie możemy pracować w kompletnym odosobnieniu, Kasjanie. A przynajmniej nie długo.

Kasjan spojrział na Belizariusza. Ten wydawał się daleko błędzić myślami.

– Nie – powiedział biskup. – Nie możemy, ale nie mamy wyjścia. A co do reszty...

– To najłatwiejsza rzecz na świecie – odezwał się nagle Belizariusz. Jego głos był zimny, bardzo zimny.

Generał wstał i zaczął się przechadzać, podkreślając swoje słowa drobnymi, sztywnymi gestami.

– Zrobimy tak. Michał po cichu przeciągnie prosty lud na naszą stronę. Kasjanie, ty będziesz naszym wsparciem w Kościele. Sitas, oczywiście kiedy się dowie o naszych planach, zajmie się stroną dworską i będzie zbierał informacje wśród szlachty. Zupełnie przeciwnie niż ja, posiada on nienaganne arystokratyczne pochodzenie. Ja, co należy do moich normalnych obowiązków, będę odpowiedzialny za stronę militarną przedsięwzięcia.

Przestał mówić i spojrział w dół na siedzącą Antoninę.

– A Antonina będzie osiłą tego wszystkiego. Zamieszka w tej willi niedaleko Daras. Nie będzie już dłużej towarzyszyć mi i mojej armii. Zajmie się organizowaniem i nadzorowaniem prac nad nową bronią. A kiedy nadejdzie czas, obejmie nadzór nad szkoleniem nowej armii.

Machnął ręką, zatrzymując protest.

– Pomogę, oczywiście ci pomogę. Ale dasz sobie z tym radę, Antonino. Jesteś co najmniej tak inteligentna jak większość ludzi, z którymi się stykam. A ta broń jest nowością dla nas wszystkich. Tak samo jak sposób jej używania. Pomogę ci, ale nie będę zaskoczony, jeżeli twoja niewykształcona inteligencja wykona lepszą robotę w wymyślaniu nowej obrony i sił niż moja, doskonale wykształcona i doświadczona. Nie będziesz miała oczu oślepionych przez stare nawyki.

Wziął głęboki oddech.

– I w końcu jesteś doskonałym łącznikiem, który pozwoli na koordynację naszych wszystkich odrębnych działań. Przez ciebie wszyscy możemy się porozumiewać i nikt nie będzie podejrzewał prawdziwego celu naszych spotkań.

Inteligencja Antoniny w każdym calu była tak wysoka, jak ocenił to jej mąż. Kobieta zastygła w kamiennym bezruchu, a jej twarz zeszywniała jak żelazna maska.

– Ponieważ oczy i myśli wszystkich innych skierowane będą na inne tory – powiedziała z goryczą.

– Tak. – Głos generała był łagodny. Łagodny, ale nieustępliwy.

Biskup szerzej otworzył oczy. Przenosił wzrok z męża na żonę i z powrotem z żony na męża. Potem spojrział w bok, szarpiąc się za brodę.

– Tak, to może się udać – wymamrotał. – Doskonały pomysł, w rzeczy samej. Ale... – Spojrzął na

generała. – Czy rozumiesz, że...

– Zostaw nas samych, Antoniuszu – powiedział Belizariusz. Spokojnie, ale nieustępliwie. – Jeżeli możesz. I ty Michale także.

Michał i Kasjan wstali z krzeseł i skierowali się do drzwi. Biskup odwrócił się w kierunku generała.

– Jeżeli jesteś zdecydowany podążać tą drogą, Belizariuszu, po tym, jak omówisz to z Antoniną, znam sposób, aby wprowadzić twój plan w życie szybko i bez przeszkód.

Antonina spoglądała prosto przed siebie. Jej śniada twarz była prawie całkiem biała. W oczach szklily się łzy, których nie próbowała otrzeć. Belizariusz oderwał od niej wzrok i spojrzał na biskupa.

– Jaki?

– Jakiś czas temu przybył do mnie człowiek poszukujący zatrudnienia. Jest nowy w Aleppo, pochodzi z Cezarei. Znam go dobrze z opowieści i wiem, że cieszy się doskonałą reputacją. Jest dobrze wykształconym sekretarzem, obeznanym z księgami, a także zdolnym pisarzem. Historykiem. A przynajmniej to jedna z jego ambicji. Nie masz sekretarza, a osiągnąłeś już taki stopień w swojej karierze, że takowy by ci się przydał.

– Jak się nazywa?

– Prokopiusz. Prokopiusz z Cezarei. Oprócz służenia ci jako sekretarz, jestem pewien, że rozśławi twoje zdolności na cały świat i będzie pomagał ci w karierze.

– A więc jest także pochlebcą?

– Tak, zupełnie bezwstydnym. Ale także bardzo utalentowanym. Tak więc jego pochlebstwa sprawiają wrażenie najświętszej prawdy i świat jest w stanie w nie uwierzyć, nawet gdy sam pracodawca ma z tym problem.

– I?

Biskup wyglądał na nieszczęśliwego.

– Więc...

– Mów otwarcie, Antoniuszu!

Kasjan zagryzł wargi.

– Jest jednym z najpodlejszych ludzi, jakich miałem nieszczęście poznać. Tak, pochlebca, ale także złośliwy i zawistny człowiek, który swoje publiczne pochwały uzupełnia w tajemnicy najokropniejszymi czynami. Jest jak wąż, jadowity i niebezpieczny.

– A więc nada się doskonale. Przyślij go do mnie. Zatrudnię go natychmiast. A potem dam mu wszystko, czego potrzebuje, zarówno do publicznych pochwał, jak i prywatnych plotek.

* * *

Kiedy Kasjan i Michał wyszli, Belizariusz usiadł przy żonie i wziął ją za rękę.

Jego głos był ciągle spokojny i ciągle nieustępliw, ale bardzo łagodny.

– Przebac mi, kochanie. Ale to jedyna droga, która może nas doprowadzić do bezpiecznego końca. Wiem, jak wiele bólu ci to sprawi, ludzie mówiący o tobie takie rzeczy, ale...

Antonina zaśmiała się szorstko. Jej śmiech zabrzmiał jak krakanie wrony.

– Mnie? Czy uważasz, że ja dbam o to, co ludzie o mnie mówią?

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Jestem nierządnicą, Belizariuszu. – Jej mąż nie odpowiedział nic, ale w jego oczach była tylko miłość.

Spojrzała w drugą stronę.

– Och, nigdy nie użyłeś tego słowa. Ale ja tak. Jest, jak jest. Wszyscy to wiedzą. Czy myślisz, że

dziwka przykłada wagę do tego, co gadają o niej ludzie? – Znów zaśmiała się chrapliwie. – Czy rozumiesz, dlaczego cesarzowa Teodora mi ufa? Tak, ufa mi, Belizariuszu. Ufa jak nikomu innemu. To dlatego, że obie byłyśmy kurwami, a jedynymi osobami, którym ufają nierządnicę, mam na myśli prawdziwe zaufanie, są inne dziwki.

Na chwilę łzy znów zaczęły napływać jej do oczu, ale otarła je ze złością.

– Kocham cię tak jak nikogo innego w całym moim życiu. Na pewno bardziej niż kocham Teodorę! Ja nawet pod wieloma względami jej nie lubię. Ale nie mogłam ci zaufać w kwestii mojego syna bękart. A Teodorze ufam. Ona wiedziała o dziecku. I zaufałam także innej dziwce, Hypacji, w kwestii wychowania syna. – Jej głos był zimny jak lód. – Niech ci się nie wydaje, że wiesz, jak się czuję, kiedy inni ludzie plotkują na mój temat. Nie możesz sobie wyobrazić nawet ułamka mojej obojętności.

– Więc o co chodzi?

– Obchodzi mnie tylko i wyłącznie to, co ludzie powiedzą o tobie.

– O mnie? – zaśmiał się Belizariusz. – Cóż takiego, czego już do tej pory nie wymyślili, będą mówić o mnie?

– Idiota! – zasyczała. – Teraz mówią, że poślubiłeś kurwę. Więc kpią z twojego wyboru i z braku dobrego smaku. Ale widzą, że dziwka nie opuszcza twojego boku, więc w sekrecie podziwiają twoją męskość. – Zachichotała dosyć niestosownie i zaczęła przedrzeźniać szepczące głosy. – Musi mieć tak dużego jak koń, żeby zaspokajać tę szmatę. – Śmiech zamarł jej w gardle. – Ale teraz będą nazywać cię rogaczem. Będą tobą pogardzać, tak jak twoimi osądami. Staniesz się obiektem kpin. Będziesz śmieszny, czy to rozumiesz?

Belizariusz zaśmiał się ponownie. Ku jej zdumieniu, całkiem wesoło.

– Wiem – powiedział. – Na to liczę. – Wstał i rozłożył ramiona. – O tak, kochanie. Na to właśnie liczę. – Teraz on sam naśladował szepczących. – Jaki mężczyzna pozwoliłby swojej żonie tarzać się z kochankami na swoich oczach? Tylko najbardziej nadęta, słaba i tchórzliwa kreatura. – Jego głos stwardniał jak stal. – A kiedy wieści o tym dotrą do przeciwnika, zapyta on sam siebie, jakim generałem może być taki człowiek?

Spojrzała na niego, zaskoczona.

– O tym nie pomyślałam – przyznała.

– Wiem. Ale nie zmieniaj tematu. Kłamiesz, Antonino. Wcale nie dbasz o to, co ludzie powiedzą o mnie, tak samo jak ja nie dbam, co inni mówią na twój temat.

Spojrzała w bok z zaciśniętymi ustami. Przez chwilę się nie odzywała. Potem łzy wreszcie zaczęły płynąć z jej oczu.

– Nie – wyszeptała. – Masz rację, nie dbam.

– Boisz się, że uwierzę w plotki?

Przytaknęła. Łzy popłynęły szybciej. Jej ramiona drżały. Belizariusz usiadł obok żony i zamknął w ramionach drobne ciało kobiety.

– Nigdy w nie nie uwierzę, Antonino.

– Ależ tak, uwierzysz – wykrztusiła, siąkając nosem. – Tak będzie. Oczywiście nie od razu, nieprędko. Może nawet nie przez lata. Ale w końcu tak. A przynajmniej będziesz się dziwił, podejrzewał, wątpił i przestaniesz mi ufać.

– Nie, tak się nigdy nie stanie.

Spojrzała nie niego przez łzy.

– Dlaczego jesteś tak tego pewien?

Skrzywił usta w uśmiechu.

– Nie do końca mnie rozumiesz, żono. A przynajmniej nie we wszystkich sprawach. – Jego wzrok zaczął błędzić. – Myślę, że jedyną osobą, która mnie kiedykolwiek rozumiała, a przynajmniej rozumiała w tych właśnie aspektach, był Raghunath Rao. Ten, którego nigdy nie spotkałem w rzeczywistości, a jedynie w wizjach. Ale ja też go rozumiałem, klęczącego w lasach pod pałacem Venandakatry, modlącego się ze wszystkich sił, żeby księżniczka, którą pokochał, pozwoliła się zgwałcić więzającemu ją okrutnikowi. A nawet więcej, żeby się uśmiechała do swego gwałciciela i chwaliła jego biegłość. Ja także zrobiłbym to samo.

Belizariusz ujął głowę swojej żony w dłonie i zmusił ją, aby spojrzała mu w twarz.

– Raghunath Rao był największym wojownikiem, którego wydały pokolenia Maharatów. A Maharaci są wielkimi wojownikami wśród ludów Indii, na równi z Radżputami. I ten wielki mąż, klęcząc w lesie, nie dbał o rzeczy, które na ogół zajmują walecznych ludzi. Duma, honor, poważanie, a także dziewictwo i cnota, nic dla niego nie znaczyły. I dlatego właśnie był tak wielkim wojownikiem. Ponieważ w głębi serca nie był wcale żołnierzem, ale tancerzem.

Antonina nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Ty za to jesteś najgorszym tancerzem, jakiego kiedykolwiek widziałam!

Belizariusz zaśmiał się wraz z nią.

– To prawda. – Nagle spoważniał. – Ale ja jestem rzemieślnikiem. Nigdy nie chciałem być żołnierzem, wiesz o tym. Jako chłopiec spędzałem wiele czasu u kowala, podziwiając jego pracę. Chciałem, gdy dorosnę, być kowalem, bardziej niż kimkolwiek innym. – Wzruszył ramionami. – Ale nie mogłem nim zostać. Nie z moim pochodzeniem. Więc stałem się żołnierzem, a potem generałem. Ale nigdy nie straciłem rzemieślniczego podejścia do problemu.

Uśmiechnął się.

– Czy wiesz, dlaczego moi żołnierze mnie podziwiają? Dlaczego Maurycy robi dla mnie wszystko, tak jak na przykład ta mała wyprawa do Antiochii?

Teraz, na zdradliwym gruncie, Antonina nie odzywała się nawet słowem.

– Ponieważ wiedzą, że nigdy nie zobaczą siebie umierających w cierpieniu na jakimś polu bitwy, gdyż ich generał posłał ich tam dla dumy, honoru, męstwa, chęci zdobycia sławy, czy z innego powodu, chociażby dla kaprysu, uważając, że powinni wykonywać jego rozkazy poprawnie, nawet jeżeli nie mają sensu. – Skrzywił usta w uśmiechu. – I dlatego Maurycy zadbał o to, żeby pewien sutener o imieniu Konstantyn wypił piwo, którego sobie naważył.

Antonina nadal była cicho; pod stopami kłaskało grząskie bagno.

Belizariusz zaczął się śmiać.

– Czy naprawdę myślałaś, że nie przejrzę twojej intrygi, jak już raz miałem czas się nad nią zastanowić. – Puścił ją i szeroko rozpostarł ramiona. – Po tym, jak się obudziłem, czując się lepiej, niż się czułem od miesięcy, i mogąc wreszcie myśleć z czystą głową, nie zasnutą chmurami wściekłości?

Spojrzała na niego bokiem. A potem, po chwili, sama zaczęła się śmiać.

– Myślałam, że zarzuciłam przynętę wprost perfekcyjnie. Lekkie wahanie, drzenie, ślad strachu w brzmieniu głosu...

– Ten kuszący ruch biodrami był naprawdę dobry – powiedział Belizariusz. – Ale to właśnie on położył w końcu całą sprawę. Kiedy gramy w naszą małą grę, zawsze próbujesz wygrać, nawet jeśli przegrana sprawia ci przyjemność. I z pewnością nie obnażałabyś swych wdzięków tuż przed moim nosem, wiedząc, że działają na mnie jak czerwona płachta na byka.

– I dokładnie z takim samym rezultatem – wymamrotała. A chwilę później dodała: – Nie jesteś na mnie zły?

– Nie – odpowiedział z uśmiechem. – Na początku byłem, aż do momentu, gdy usłyszałem słowa szepnięte przez Walentyniana do Maurycego. Powiedział „wiesz, że sam ci tego nie rozkaże”.

– Maurycy wziął ze sobą Walentyniana?

– I Anastazjusza.

Antonina zakryła usta ręką.

– O Boże! Prawie mi żal tego śmierdzącego gówniarza.

– A mnie nie – zachnął się Belizariusz. – Ani trochę.

Odetchnął głęboko i głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Udawałem, że nie słyszałem słów Walentyniana, ale... było mi ciężko zaakceptować, wiesz z moimi dziwactwami i zdeformowanym pojęciem dumy, że moi żołnierze mnie kochają. I że czasem zmuszam ich, aby mną manipulowali. – Skrzywił usta w uśmiechu. – Czy uwierzysz, Anastazjusz powiedział wtedy... – Głos Belizariusza obniżył się do dudniącego basu: – „Niebezpieczne typy, ci sutenerzy”.

– Anastazjusz potrafi giąć końskie podkowy w rękach – zachichotała Antonina.

– A potem Walentynian wyjęczał: „mogą ci wbić nóż w plecy w jednym momencie”.

Antonina nie mogła wydusić z siebie słowa, tak bardzo się śmiała.

– O tak. To dokładnie jego słowa. Walentynian, który jest szeroko znany z tego, że podciera sobie tyłek sztyletem, gdyż nikt nigdy nie widział go bez tej broni przy pasie.

Mąż i żona przez chwilę siedzieli cicho, po prostu patrząc na siebie. Potem Antonina wyszeptała:

– Nigdy nie będzie nawet ziarna prawdy w opowieściach, Belizariuszu. Przysięgam przed Bogiem. Nigdy. Ani za miesiąc, ani za rok, ani za dziesięć lat. Zawsze będziesz mógł mnie zapytać i zawsze odpowiedź będzie brzmiała „nie”.

Uśmiechnął się i pocałował ją delikatnie.

– Wiem. I ja także przysięgam na Boga, że nigdy nie będę cię o to pytał.

Wstał z krzesła.

– A teraz musimy wracać do pracy. – Podeszedł do drzwi i zawołał w głąb korytarza, który rozpościerał się za nimi. – Gubazecie! Zawołaj Michała i biskupa, jeżeli możesz!

MINDOS

Lato, rok 528 n.e.

Rozdział 5

– Wynocha! – Oczy Belizariusza były jak ciemne kamienie wygładzone w strumieniu. Zimne, bezlitosne odpryski starożytnego kamienia.

– Wynocha! – powtórzył. Gruby oficer, stojący przed nim sztywno, zaczął znów protestować, ale widząc ostateczność w oczach generała, szybko zniknął z namiotu głównodowodzącego.

– Dopilnuj, żeby wyruszył w drogę w przeciągu godziny – powiedział Belizariusz do Maurycego. – I obserwuj, z kim będzie rozmawiał do czasu wyjazdu. Jego przyjaciele będą mu współczuć, a z pewnością ci ludzie mają takie same nawyki.

– Z przyjemnością, panie. – Setnik zwrócił się do jednego z trzech katafraktów stojących cicho w kącie namiotu. Katafrakt, krępy mężczyzna po trzydziestce, uśmiechnął się złośliwie i zebrał się do wyjścia.

– Jak będziesz wychodził, Grzegorzu – powiedział Belizariusz – zawołaj do środka tego młodego Syryjczyka, którego mi polecałeś. – Grzegorz kiwnął głową i wyszedł z namiotu.

Belizariusz powrócił na krzesło. Przez chwilę nasłuchiwał przenikających do namiotu odgłosów obozu wojskowego, jak muzyk delektujący się znajomym utworem. Zdawało mu się, że wykrywa

radosną hałaśliwość ledwo słyszalnych przekleństw wymienianych przez niewidzialnych żołnierzy, i miał nadzieję, że ma rację. Pierwszego dnia po przybyciu na miejsce głosy obozu przesycone były urazą.

Jego uwagę przyciągnął inny dźwięk. Spojrzał na znajdujący się w kącie namiotu stół, gdzie Prokopiusz, jego nowy sekretarz, pisał coś zawzięcie. Błat, podobnie jak krzesło, na którym siedział skryba, były bardzo prostej konstrukcji. Ale nic nie było bardziej prymitywne niż biurko czy siedzisko samego Belizariusza.

Prokopiusz był zdumiony, żeby nie powiedzieć rozczarowany, kiedy odkrył surowe nawyki swego nowego pracodawcy. Już po tygodniu od czasu przybycia sekretarz spróbował przypochlebić się Belizariuszowi i podarował mu jedwabną, pięknie wyszywaną poduszkę. Generał podziękował grzecznie za prezent, ale natychmiast oddał go Maurycemu, tłumacząc, że dzielenie się podarkami ze swoimi podkomendnymi jest jego starym zwyczajem. Następnego dnia Prokopiusz patrzył oczyma niczym spodki, jak tracy katafrakci używają poduchy jako celu w treningu konnego łucznictwa. Bardzo szybko ostre groty wojennych strzał poszarpały luksusowy przedmiot.

Sekretarz był blady ze złości i oburzenia, ale posiadał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby siedzieć cicho w obecności trackich żołnierzy. I od tego czasu Belizariusz zauważył, że...

– Bardzo dobrze sobie radzisz, Prokopiuszu – rzekł nagle Belizariusz – w wyszukiwaniu tych drobnych kanciarzy.

Sekretarz podniósł głowę, zaciekawiony. Zaczął otwierać usta, ale zaraz je zamknął. Podziękował lekkim skinieniem głowy za pochwałę i wrócił do pracy.

Usatysfakcjonowany Belizariusz spojrział w inną stronę. Przez tygodnie, które spędzili razem w obozie wojennym pod Daras, Prokopiusz nauczył się, choć było to bolesne, że jego nowy pracodawca szybko się rozprawia z pochlebcami. Z drugiej jednak strony docenia rzetelną pracę i umiejętności. A, poza innymi cechami charakteru, nie było wątpliwości, że Prokopiusz jest doskonałym sekretarzem. I nie był leniwy. Stanowił ogromną pomoc w zwalczaniu korupcji panoszącej się w armii Belizariusza.

Do namiotu wszedł żołnierz.

– Wzywałeś mnie, panie?

Belizariusz przyjrzał mu się. Mężczyzna wyglądał na dwudziestolatka. Był raczej niski, ale muskularny. Belizariusz stwierdził, że obok syryjskich przodków chłopak ma w sobie także odrobinę arabskiej krwi.

Żołnierz był ubrany w prosty, standardowy mundur, składający się z opończy, tuniki, butów i pasa. U boku kołysał się schowany w pochwie długi miecz typu *spatha*, którego współcześni Rzymianie używali w miejsce starożytnego gladiusa. *Spatha* był podobny do gladiusa, miał obustronne, proste ostrze, odpowiednie zarówno do cięcia, jak i do pchnięć, ale był dłuższy o około dwadzieścia centymetrów.

Płaszcz, hełm, zbroja i tarcza, również stanowiące część rynsztunku żołnierza, najwyraźniej pozostały w jego namiocie. W świetle syryjskiego dnia w płaszczu nie można było wytrzymać z gorąca. A zbroja i tarcza nie były potrzebne młodemu żołnierzowi w codziennych obowiązkach życia obozowego.

– Nazywasz się Marek, jak pamiętam? Marek z Edessy?

– Tak, panie. – Na twarzy Marka pojawił się ledwo zauważalny wyraz obawy, zmieszany z zaciekawieniem.

Belizariusz natychmiast rozproszył jego lęki.

– Mianuję cię dowódcą trzeciej *ala* – oznajmił. Jego głos był po żołniersku surowy.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się lekko. Stał odrobinę bardziej prosto.

– Piotr z Rhaedestusu, jak zapewne wiesz, jest trybunem regimentu. Zgłosisz się do niego.

Potem dodał łagodniejszym tonem:

– Jesteś zbyt młody i niedoświadczony, aby objąć dowodzenie nad setką żołnierzy. Ale obaj, Piotr i dowódca kawalerii Konstantyn, mówią o tobie dobrze. I tak samo twierdzą ludzie mojej osobistej ochrony. – Kiwnął w kierunku tyłu namiotu, gdzie stali Maurycy i pozostali dwaj katafrakti.

Marek spojrzał na Traków. Jego twarz pozostała nieprzenikniona, ale z oczu młodzieńca była wdzięczność.

– Jeszcze dwie sprawy, zanim wyjdiesz – rzekł Belizariusz. Wszystkie ślady łagodności wyparowały z jego głosu.

– Konstantyn i Piotr, jak również inni trybuni kawalerii, znają moje poglądy na temat skorumpowanych oficerów i zgadzają się z nimi. Ale poświęcę trochę czasu teraz i wyłożę ci je prosto z mostu. Jak zapewne wiesz, nie będę tolerował oficera, który okrada swoich własnych żołnierzy. Do tej pory, od kiedy objąłem dowodzenie tej armii po moim poprzedniku, zadowalałem się jedynie zwalnianiem takich oficerów. W przyszłości jednak, dla dowódców, którzy otrzymują nominację, znając moje poglądy, kara będzie znacznie bardziej surowa. Skrajna, można powiedzieć.

Belizariusz przerwał, wpatrując się w młodego Syryjczyka, i zdecydował, że dalsze przemówienie na ten temat nie będzie potrzebne. Twarz Marka lśniła od potu, ale był on po prostu rezultatem duszącego upału panującego w namiocie. Belizariusz wyjął chustę i otarł swoją własną twarz.

– I na koniec, jesteś kawalerzystą, i to od czasu, kiedy wstąpiłeś do armii. Mam rację?

– Tak, panie.

– Więc zrozum coś jeszcze. Nie będę tolerował wywyższania się kawalerii nad piechotę.

Rozumiesz?

Twarz Marka drgnęła, ale tylko odrobinę.

– Mów otwarcie, Marku z Edessy. Jeżeli są jakieś niejasności w moich słowach, powiedz to.

Wyjaśnię ci, o co mi chodzi i obiecuję, że nie okażę ci pogardy.

Młody Syryjczyk spojrzał na swojego generała, szybko ocenił sytuację i przemówił:

– Nie jestem do końca pewien, czy rozumiem, panie.

– To proste, Marku. Jak się niedługo zorientujesz, moje taktyczne metody pozwalają na dużo efektywniejsze wykorzystanie piechoty, niż ma to miejsce w typowej rzymskiej armii. Ale żeby ta taktyka działała, piechota musi być tak samo dumna, a jej żołnierze muszą poważać siebie na równym stopniu z kawalerią. Nie mogę zbudować i utrzymać morale, jeżeli konni drwią sobie z pieszych i odmawiają wzięcia na swoje barki części obowiązków, które na ogół spadają na piechotę. Nie będę tolerował kawalerzystów płaczących się w cieniu, podczas gdy piesi w pocie czoła budują obozy i fortyfikacje. I często kpiących z męczących się żołnierzy piechoty. Czy teraz rozumiesz?

– Tak, panie – padło pewnie i głośno.

– Dobrze. Będziesz mógł wybrać sobie dowódców pododdziałów swojej setki. Będzie ich dziesięciu.

Marek stał wyprostowany.

– Dziękuję, panie.

Belizariusz powstrzymał uśmiech i rzekł surowo:

– Kieruj się własnym osądem, ale nalegam, abyś skonsultował swoje decyzje z Piotrem. Możesz także poradzić się Maurycygo i Grzegorza. Myślę, że mogą ci bardzo pomóc.

– Tak zrobię, panie.

– Pozwól mi dać ci przestrożę. A raczej wskazówkę. Wystrzegaj się wybierania dowódców z kręgu swoich przyjaciół. Nawet jeżeli mają odpowiednie cechy, to spowoduje niezadowolenie innych. Wykwalifikowana klika pozostaje ciągle kliką, a to podważa twój autorytet.

– Tak, panie.

– I, to najważniejsze, upewnij się, że dowódcy rozumieją i zgadzają się z moim nastawieniem. Będiesz ich wybierał, co w pewien sposób odbije się na moim dla ciebie poważaniu. Twój prestiż pomiędzy kawalerzystami, którymi dowodzisz, będzie przez to większy. Ale nigdy nie zapominaj o następstwach. Będiesz odpowiadał za niesubordynację twoich dowódców tak samo jak za swoją własną. Czy wyrażam się jasno?

– To jasne jak słońce, panie. – Zawahał się ponownie, oceniając sytuację. – Jasne jak słońce na syryjskim niebie.

Teraz Belizariusz pozwolił sobie na uśmiech.

– Dobrze. Możesz odejść.

* * *

Kiedy Marek wyszedł, trzech Trakowie stojący w tyle namiotu przestali się wypręzać i przyjęli bardziej wygodną pozycję. W towarzystwie członkowie osobistej ochrony Belizariusza, w liczbie trzech setek, zachowywali się bardzo formalnie. Większość z nich, w końcu, posiadała tylko skromne oficerskie stopnie. Nawet Maurycy, ich dowódca, był zaledwie setnikiem, czyli posiadał ten sam stopień, co młody Syryjczyk, który właśnie opuścił namiot.

W rzeczywistości tracy ochroniarze stanowili osobistą służbę Belizariusza. Zostali starannie dobrani przez niego samego w czasie, kiedy został generałem i ich oddanie nie budziło żadnych wątpliwości. Maurycy, pomimo swojej rangi, był tak naprawdę oficerem egzekwującym rozkazy Belizariusza. Nawet Konstantyn, który dowodził całą kawalerią armii, wspólnie z tysięcznikiem Fokasem, jego odpowiednikiem dla piechoty, nauczyli się akceptować jego autorytet. I w miarę jak poznawali niedźwiedziowatego weterana, czuli do niego coraz większy respekt.

– Uważam, że chłopiec doskonale sobie poradzi – skomentował zajście Maurycy. – Doskonale. Kiedy poczuje zapach krwi. – Uśmiech Maurycy zniknął zastąpiony przez grymas. – Nie mogę uwierzyć, że twój poprzednik, Libelariusz, pozwolił tej armii rozpaść się na kawałki. Kradzieże paszy i sprzętu są tu na porządku dziennym. Ale znaleźliśmy chociaż kilka regimentów, gdzie dowódcy płacą za skradzione rzeczy. Przypadki się zdarzają, a przynajmniej w nielicznych oddziałach piechoty.

– I jedzenie! – zawołał Bazyli, jeden z pozostałych katafraktów. – Wystarczająco złym jest to, że ci skurwiele kradną jedzenie, ale oszustwo dotyczy obu stron. Jedzenie od początku ma złą jakość. Kiedy je przynoszą, jest na wpół zgniłe.

Teraz wtrącił się trzeci katafrakt. Był jednym z niewielu członków ochrony, którzy nie pochodzili z Tracji. Urodził się w Armenii i miał na imię Aszot.

– Ciekawe, co jeszcze szwankuje w naszej armii? Z czym mamy do czynienia? Z ośmioma tysiącami żołnierzy, z czego połowę stanowi kawaleria?

Belizariusz skinął potakująco głową.

Aszot zaśmiał się pogardliwie.

– Co nam pozostanie, kiedy policzymy naszych żołnierzy i wymażemy nazwiska tych fikcyjnych, za których chciwi dowódcy pobierali żołd? Tylko pięć tysięcy ludzi! I zaledwie czterech na dziesięciu to konni.

Belizariusz ponownie otarł twarz. Większość czasu od przybycia do obozu spędził uwięziony w zaduchu namiotu. Upał był przytłaczający, a brak ruchu zaczynał dawać się we znaki.

– I – podsumował ze znużeniem – struktura sił to po prostu żart. W celu ukrycia złodziejstwa, ta armia ma dwa razy więcej oficjalnych oddziałów, niż realna liczba żołnierzy jest w stanie stworzyć.

– Nie ma nic gorszego jak armia szczątkowa – powiedział zrzędliwie Maurycy. – Znalazłem setkę piechoty, która składała się z dwudziestu dwóch żołnierzy. I, oczywiście, pełen komplet oficerów – setnik i dziesięciu dziesiątników. Pasożytujące spasioone wieprze. – Splunął na podłogę. – Czterech z tych tak zwanych dziesiątników nie miało nawet jednego żołnierza pod swoimi rozkazami. Nawet jednego!

Belizariusz wstał i przeciągnął się.

– Cóż, to już w większości rozwiązany problem. W przeciągu dwóch dni będziemy mieć tę armię przenicowaną i przybierze ona bardziej realną postać, z uczciwymi oficerami. I wreszcie oddziały odzyskają morale, jak sądzę. – Spojrzał pytająco na Bazylego i Aszota. Belizariusz polegał na swoich niskich rangą katafraktach i rozkazał im wmieszać się pomiędzy żołnierzy i trzymać rękę na pulsie armii.

– Morale jest na razie wysokie, generale – powiedział Aszot. Bazyli potwierdził słowa kolegi skinieniem głowy i dodał:

– Z pewnością oddziały nie mają jeszcze anielskiego życia. I przez pewien czas, mam nadzieję, że niedługo, ciągle żyć będą w gównie. Ale nie spodziewają się cudów i widzą, że dookoła zachodzą pozytywne zmiany. W większości żołnierze są radośni jak cherubinki, widząc, jak jeden po drugim żalosne złodziejskie dupki znikają w tym namiocie i godzinę później opuszczają obóz.

– Belizariusz jest mistrzem miecza – zacytował Aszot z uśmiechem. – Słyszeli o tym, a przynajmniej niektórzy z nich. Teraz wszyscy w to wierzą.

– Jak idą ćwiczenia? – zapytał Belizariusz.

Maurycy machnął ręką.

– Tak sobie. Tylko tak sobie. Ale nie martwię się o to. Oddziały wyrażają swoją urazę poprzez wyładowanie jej na ćwiczeniach. Daj im tydzień. Wtedy zacniemy widzieć rezultaty.

– Naciskaj ich, Maurycy. Nie wymagam cudów, ale miej na uwadze, że nie mamy wiele czasu. Nie mogę opóźnić wymarszu do Mindos o więcej niż dwa tygodnie.

Belizariusz wstał i podszedł do wyjścia z namiotu. Opierając się o słup, spojrzał na obóz przez odchyloną zasłonę. Jak zwykle trudno było odczytać jakiegokolwiek uczucia z jego twarzy. Ale Maurycy, obserwując, wiedział, że generał nie był zadowolony z otrzymanych rozkazów.

Rozkazy, dostarczone tydzień wcześniej przez kuriera, były jasne i proste. Udaj się do Mindos i zbuduj tam fort.

Proste, jasne rozkazy. I, jak wiedział Maurycy, rozkazy, które Belizariusz uważał za idiotyczne.

Oczywiście Belizariusz nie powiedział mu nic takiego. Mimo całej nieformalności generała podczas kontaktów ze swoją tracką ochroną, utrzymywał on ostrą granicę oddzielającą rzeczy dotyczące tylko i wyłącznie dowodzenia.

Ale Maurycy znał generała tak dobrze jak każdy inny człowiek w oddziale osobistej ochrony Belizariusza. I wiedział, choć nic nie zostało powiedziane wprost, że generał uważał rozkazy za celowe prowokowanie Persji przez Imperium Rzymskie. Prowokację bez powodu, która była niczym innym jak bezmyślnym ładowaniem się w konflikt z Persami bez uprzedniego przemyślenia, czy wojna w ogóle ma szanse powodzenia.

Nie, Belizariusz nic nie powiedział Maurycemu. Ale Maurycy znał go dobrze. I chociaż Maurycy nie posiadał tej błyskotliwej inteligencji właściwej dla generała, nie był przecież głupi. I miał ogromne doświadczenie w prowadzeniu wojen.

Maurycy nie czuł się na siłach, aby wydawać sądy na temat mądrości cesarza prowokującego

Persów. Ale wydawało mu się, że ma prawo do wydania opinii, dlatego imperator tak uczynił. I, myśląc, mając na uwadze stan sił Bizancjum na tym obszarze, że prowokowanie Persji jest tak sensowne, jak, nie przymierzając, drażnienie lwa za pomocą wykałaczkii.

Persowie utrzymywali ogromną armię, stacjonującą w górnym biegu Eufratu, blisko granicy. W czasach pokoju wojska kwaterowały w umocnionym mieście Nisibis. Teraz, kiedy sposobiono się do wojny, perska armia przemieściła się na północ i założyła tymczasowy obóz, zagrażając anatolijskiemu sercu Imperium Rzymskiego.

Aby się im przeciwstawić, a raczej aby ich sprowokować, Rzymianie posiadali w tej okolicy jedynie siedemnaście tysięcy żołnierzy. Armia Belizariusza zrzeszała pięć tysięcy wojowników, którzy, kiedy przejął dowodzenie, okazali się słabi jak spróchniała gałązka. Była to najbardziej skorumpowana armia, jaką Maurycy kiedykolwiek widział.

Pozostałe dwanaście tysięcy żołnierzy stacjonowało niedaleko, w Libanie. Ta armia, o ile Maurycy mógł się zorientować, była w daleko lepszej kondycji. Najwyraźniej wyglądało na to, że nie trawiła jej szerząca się korupcja, tak uciążliwa w armii w Daras.

Ale...

Maurycy był starym weteranem, grubo po czterdziestce. Dawno temu nauczył się, że nic nie jest tak ważne w armii jak morale i, przede wszystkim, dobry dowódca. Armia libańska była dowodzona przez dwóch braci, Bouzesa i Coutzesa. Maurycy pomyślał, że nie są oni złymi dowódcami, jeżeli rozważyć wszystkie za i przeciw. W końcu byli Trakami, tak się zdarza, a Maurycy darzył przychylnością swoich rodaków. Ale... byli tacy młodzi, młodsi nawet od Belizariusza. I, niestety, nie posiadali ani odrobiny przebiegłości, która tak często sprawiała, że Belizariusz wyglądał na człowieka w średnim wieku albo nawet starszego.

Nie, bracia byli śmiali i zuchwali. I wyrazili się jasno, że nie mają zamiaru pod żadnym pozorem oddać się pod rozkazy Belizariusza. I Belizariusz nie mógł ich do tego zmusić. Chociaż generał był bardziej doświadczony niż Bouzes i Coutzes, razem czy osobno, i cieszył się daleko większym poważaniem, bracia oficjalnie posiadali rangę tak samo wysoką jak on. Ten stopień był dla braci źródłem ogromnej dumy. Nie zamierzali pozwolić na szarganie swoich nowych, błyszczących epoletów ręką kogoś innego.

Niedostateczna liczebnie, pod podzielonym dowodzeniem, naznaczona zepsuciem, będąca w większości pod dowództwem zuchwałych, niedoświadczonych młodzików, armia Imperium Rzymskiego otrzymała rozkaz szturchnięcia perskiego lwa.

Belizariusz lekko westchnął i zwrócił się do wnętrza namiotu.

– A jak idą inne sprawy? – zapytał.

– Drobne kradzieże?

Belizariusz przytaknął.

– Zaczynamy przejmować nad tym kontrolę – rzekł Maurycy. – Teraz, kiedy racje zaczęły znów napływać regularnie, żołnierze nie mają żadnej realnej przyczyny, aby okradać miejscowych. To raczej kwestia zwyczaju niż czegokolwiek innego.

– Takie też jest moje zdanie – powiedział Belizariusz. – Grabież to najgorszy zwyczaj, jaki rodzi się w armii.

– Nie można temu zapobiec, panie – usprawiedliwił się Maurycy. Czasami myślał sobie, że jego ukochany generał jest cokolwiek niepraktyczny. Prawda, że niezbyt często. Był zaskoczony, kiedy usłyszał, jak ręka Belizariusza uderza w blat stołu.

– Maurycy! Nie chcę słyszeć tej starej gadki o doświadczeniu.

Generał był naprawdę zły, zauważył Maurycy z pewnym zdziwieniem. To było niezwykle. Stary

weteran stanął na baczość. Jednakże nie wzdrygnął się. Rozzłoszczeni generałowie już dawno temu przestali wprawiać go w drżenie. Inni generałowie, Belizariuszowi nigdy się to nie udawało.

I był pewien, że za chwilę zobaczy na ustach generała krzywy uśmiech. Nie pomylił się.

– Maurycy, nie jestem głupcem. Wiem, że żołnierze patrzą na łupy jak na gwarantowane im korzyści uboczne. I to jest w porządku tak długo, jak mówimy o łupach. – Belizariusz zacisnął szczęki. – Jedną rzeczą jest podział zysków z kampanii, sprawiedliwie rozłożonych w zorganizowany sposób, kiedy walki dobiegają końca i zwycięstwo jest pewne. Całkowicie inna rzecz to zwyczajnie żołnierzy polegające na plądrowaniu, kradzieży i w ogólności zabieraniu tego, na co mają ochotę, kiedy są akurat w nastroju takim, a nie innym. Jeżeli na to pozwolimy, minie trochę czasu i nie będziemy mieli armii, a tylko bandę złodziei, gwałcicieli i morderców.

Spojrzał na Maurycego.

– A skoro już o mordercach mowa?

– Powiesiliśmy ich wczoraj, panie. Wszystkich czterech. Brat dziewczyny, który przeżył, był w stanie ich zidentyfikować, kiedy już doszedł do siebie po tym koszmarze. Wysłałem go potem do Aleppo, aby dołączył do siostry.

– Czy masz jakieś wieści od mnichów?

Maurycy skrzywił się.

– Tak. Zgodzili się podjąć opieki nad dziewczyną i zrobić wszystko, co się da. Ale nie spodziewają się, że dojdzie do siebie, i... – Ponownie skrzywił usta.

– I mówili bardzo źle o chrześcijańskich żołnierzach.

– Tak, panie.

– Mieli do tego prawo. Czy żołnierze byli obecni przy egzekucji?

– Nie, nie przy samym wieszaniu. A przynajmniej nie cała armia. Wielu oczywiście przyszło. Ale wydałem rozkazy, aby pozostawiono ciała na stryczkach, dopóki upał i sępy nie pozostawią z nich tylko szkieletów. Będą przestrożą dla wszystkich innych, panie.

Belizariusz, znużony, otarł twarz.

– Na pewien czas. – Patrzył smutno na brudną chustę, którą trzymał w dłoni. Łachman był zbyt przesiąknięty potem, by zrobić coś więcej, niż tylko rozmazać brud po jego twarzy. Wyciągnął ramię i powiesił chustę na słupie, żeby wyschła.

– Ale potem znów będzie kolejny wypadek – kontynuował po tym, jak usiadł na swoim krześle. – Ta armia jest przesiąknięta złem do szpiku kości. Niebawem znów coś się stanie. A kiedy do tego dojdzie, Maurycy, każę powiesić dowódcę wraz z podwładnymi, którzy dopuszczają się tego czynu. Nie będę słuchał żadnych wyjaśnień. Przekaż moje słowa.

Maurycy wziął głęboki oddech, a potem wypuścił powietrze z płuc. Nie bał się Belizariusza, ale wiedział, kiedy generała nie da się przekonać.

– Tak, panie.

Wzrok generała był twardy.

– Mówię całkowicie poważnie, Maurycy. Upewnij się, że ludzie dobrze rozumieją moje postanowienia. Upewnij się dokładnie, że oficerowie je rozumieją.

Generał ustąpił, ale zaledwie o włos.

– Tu nie chodzi po prostu o zachowanie, jakiego się oczekuje po chrześcijańskim żołnierzem, Maurycy. Jeżeli ludzie nie potrafią tego zrozumieć, upewnij się, że pojęli praktyczną stronę tego zagadnienia. Ty i ja, obaj widzieliśmy zbyt wiele przegranych bitew, albo w najlepszym razie wygranych połowicznie, ponieważ żołnierze zmienili kierunek natarcia w krytycznym momencie, pozwalając wrogowi na ucieczkę albo podjęcie przeciwnatarcia, ponieważ byli zajęci

myszkowaniem w poszukiwaniu sreber, kurczaków, czy kobiet do gwałcenia. Lub po prostu oddawali się przyjemności oglądania płonącego miasta. Miasto, najczęściej, jest jedynym miejscem, w którym da się znaleźć kwatery. Albo dałoby się, gdyby nie pozostała z niego tylko kupka popiołu.

– Tak, panie.

Setnik spojrzął na swoich dwóch podwładnych i skinął lekko głową w ich kierunku. Aszot i Bazyl natychmiast opuścili namiot.

– Czy mogę zasugerować, żebyś się odrobinę przespał, panie. – Maurycy nawet nie spojrzął w kierunku Prokopiusza. Weteran dał jasno do zrozumienia, nie bawiąc się w subtelne aluzje, że považał sekretarza nie bardziej od napotkanego przy drodze stracha na wróble. Prokopiusz odłożył pióro, wstał z krzesła i wyszedł z namiotu. Raczej w pośpiechu.

Kiedy wszyscy wyszli, Maurycy także opuścił namiot. Ale przy wyjściu zawahał się i zawrócił.

– Nie chcę, abyś mnie źle zrozumiał, generale. Po prostu mam wątpliwości, czy to zadziała. Inne, niż się wydaje. Nie mam żadnych uwag co do obranego postępowania. Żadnych. Sam odmierzałem stryczki i sam pociąłem linę na kawałki odpowiedniej długości. I każda chwila tej czynności dawała mi zadowolenie.

* * *

Później, kiedy ucichły hałasy dochodzące z obozu, Belizariusz sięgnął w fałdy tuniki i wyjął klejnot. Był on ukryty w małej sakiewce, którą gdzieś wyszperała Antonina. Generał otworzył ją i wytrząsnął klejnot na dłoń.

– No dalej – wyszeptał. – Odpoczywałeś wystarczająco długo. Potrzebuję twojej pomocy.

* * *

Fasety zawirowały, migocząc. Klejnot powoli odzyskiwał moc. I, przez długi okres zastoju, cel był w stanie przetrwać, o ile można tak to ująć, swe dziwne doświadczenia. Myśli były teraz jaśniejsze, ciągle obce, ale teraz mógł je zgłębić.

cel nie odzyskał jeszcze w pełni sił, ale zdecydował, że wystarczy mu energii.

I stało się, że generał Belizariusz, leżąc na swojej pryczy, prawie śpiąc, nagle podskoczył do góry.

Znowu, jego twarz, wznosząca się nad ziemią. Powstająca z resztek pajęczych sieci i ptasich skrzydeł, i liści z laurowych drzew. Nagle, mknąc w niebo, zupełnie się przeobraziła. Skrzydła były teraz skrzydłami smoka. Liście lauru buchającym płomieniem i grzmiotem. A pajęczyny były liniami jego umysłu, płaczącymi się w pułapki i rozprzestrzeniającymi się przez nieskończoność.

przyszłość

Rozdział 6

– To tyle, jeżeli chodzi o dyplomację – warknął Bouzes, szarpiąc swojego konia ostro za wodze. Żołnierz spojrzął przez ramię na oddalające się sylwetki perskich dowódców.

– Plugawe medejskie psy – zgodził się jego brat, Coutzes. Popędzając konia, dodał: – Boże, jak bardzo nimi pogardzam.

Belizariusz, jadący obok nich, powstrzymał się od komentarza. Uważał za bezcelowe zaprzeczać braciom. Jego stosunki z nimi były wystarczająco napięte, bez nowych konfliktów.

Po prawdzie, Belizariusz raczej lubił Persów. Mieli oczywiście swoje wady. Jedną z nich, najbardziej rzucającą się w oczy, która sprowokowała wybuch gniewu u braci, była przytłaczająca arogancja perskich oficerów. Arogancja, którą właśnie znów okazali podczas dopiero co

zakończonego spotkania.

Spotkanie miało miejsce na ziemi niczyjej, która, przynajmniej teoretycznie, wyznaczała granicę pomiędzy terytorium Persów i Rzymian. Sześciu jeźdźców odbyło szybką rozmowę na ścieżce pośród jałowego krajobrazu. Belizariusz oraz bracia, Bouzes i Coutzes, przemawiali w imieniu Imperium Rzymskiego. Persowie byli reprezentowani przez Firuza oraz jego dwóch podkomendnych, Pitaksesa i Baresmanasa.

To Firuz domagał się spotkania. A potem, podczas rozmowy, zażądał, żeby armia rzymska zburzyła fortecę, którą wojska Belizariusza prawie już ukończyły budować. Albo on sam ją zburzy, aby oszczędzić im zachodu.

Taki przynajmniej był sens żądań perskiego dowódcy. Ale Firuz postanowił przedstawić swoje racje w możliwie najbardziej ofensywny sposób. Puszył się swoim żołnierskim męstwem i szydził z wojowniczości Rzymian. Nie zapomniał o wtrąceniu niezliczonych uwag na temat rzymskiego tchórzostwa i braku męstwa. Rozwodził się szeroko o dobrze odkarmionych sępach, które niebawem będą nosić w żołądkach rzymskie oddziały, oczywiście, o ile te ścierwojady skuszą się na tak plugawe mięso.

I tak dalej, i tak dalej. Belizariusz powstrzymywał uśmiech. Ukoronowaniem przemowy Firuza było żądanie, aby Belizariusz wybudował w fortecy łaźnię. Perski dowódca wyjaśnił, że będzie jej potrzebował, aby zmyć z siebie rzymską krew i nieczystości. Pomiedzy którymi, tłumaczył Firuz dalej, rozmazany mózg Belizariusza będzie zajmował poczesne miejsce. Mózgi Bouzesa i Coutzesa nie, oczywiście, jako że ich nie posiadają.

Belizariusz spojrział na Bouzesa i Coutzesa. Bracia byli czerwoni z gniewu. Nie pierwszy raz, nie, prawdopodobnie po raz tysięczny, Belizariusz zadumał się nad głupotą podchodzenia do wojny w inny sposób niż jak do rzemiosła. Dlaczego normalny człowiek musi się denerwować tym, co jakiś perski bufon ma o nim do powiedzenia? To nawet lepiej, o ile Belizariusz miał pojęcie o psychologii, że Firuz aż kipi od pychy i pogardy dla wroga. Jego pokonanie będzie przez to łatwiejsze. Aroganckiego wroga łatwiej jest oszukać.

Przez pierwsze pół godziny powrotnej jazdy do rzymskiej fortecy w Mindos, Belizariusz po prostu zrelaksował się i czerpał przyjemność z przejażdżki. Było wczesne popołudnie i upał zaczynał dawać się we znaki, ale przynajmniej generał nie musiał go znosić w zaduchu namiotu. I, wkrótce potem, zaczął wiać chłodny wietrzyk. Wiatr przyszedł z zachodu, więc dodatkowo miał tę zaletę, że zwiewał kurz wzbijany kopytami koni poza nich.

Jednakże ta sama przyjemna bryza zwróciła myśli Belizariusza w kierunku jego obecnych problemów. Poświęcał temu wiatrowi wiele miejsca w swoim umyśle w ostatnich dniach. Wiatr był bardzo punktualny, zawsze zrywał się wczesnym popołudniem i zawsze wiał z zachodu na wschód. Belizariusz doceniał tę niezawodność, gdyż znajdował się w sytuacji, w której miał do czynienia ze zbyt wieloma zmiennymi.

Kiedy trzech mężczyzn w milczeniu podążali do obozu, Belizariusz zaczął zastanawiać się nad różnymi możliwościami. Naturalnie skłaniał się, biorąc pod uwagę okoliczności, ku graniu na zwłokę. Mimo całej żądzy zwycięstwa, jaką przedstawiał Firuz, Belizariuszowi nie wydawało się, żeby Persowie byli w stanie natychmiast rozpocząć wojnę. Zwlekać, zwlekać, zwlekać, a może imperator Justynian i jego doradcy odzyskają zdrowe zmysły.

Ale wiedza, którą Belizariusz teraz posiadał, od kiedy otrzymywał wizje od klejnotu, stawiała tę opcję pod znakiem zapytania. Po prostu nie miał czasu, aby go marnować na ten idiotyczny konflikt pomiędzy Persją i Bizancjum. Nie, kiedy siły szatana gromadziły się w Indiach.

Muszę doprowadzić ten konflikt do wybuchu i szybko się z tym uporać. Jedyne sposoby, aby tego

dokonać, to odnieść miazdzące zwycięstwo. Najszybciej, jak się da.

Co, oczywiście, łatwiej jest powiedzieć, niż zrobić. Szczególnie z...

Spojrzał ponownie na braci. Bouzes i Coutzes byli do siebie tak podobni, że na początku Belizariusz wziął ich za bliźnięta. Średniego wzrostu, z brązowymi włosami i oczyma koloru orzechów laskowych, muskularni, z zadartymi nosami i ... Generał śmiałby się, gdyby nie był tak zirytowany. Perskie insynuacje trafiły blisko celu. Nawet jeżeli bracia posiadali jakiegokolwiek mózgi, Belizariuszowi nie udało się dostrzec nawet śladu ich działalności.

Po trzech dniach sprzeczek udało mu się namówić braci, aby połączyli siły. Zgodzili się niechętnie. Trzy dni! Aby przekonać ich do rzeczy oczywistej. Nie było żadnej nadziei, oczywiście, aby zgodzili się oddać połączone armie pod jego dowodzenie. Belizariusz nie próbował nawet zaproponować takiego rozwiązania. Bracia na pewno zaczęliby oponować i, w złości, cofnęliby zgodę na połączenie sił.

Ostatecznie, kiedy zbliżali się już do fortu w Mindos, Belizariusz zdecydował się na wymyślony przez siebie plan działania. Nie widział innego wyjścia, chociaż nie był zadowolony ze swojej decyzji. To była hazardowa gra, czego Belizariusz, jako rzeczy jednej z niewielu, starał się unikać.

Ale, pomyślał, zerkając ponownie na braci, gra z raczej dobrymi szansami.

Teraz, jeżeli Maurycy da radę...

Przestał o tym myśleć. Byli już prawie w twierdzy. Przejście od nagiej półpustyni do żywej zieleni oazy, gdzie kazał zbudować fort, było jak zwykle zaskakujące. Jeszcze tylko kilka uderzeń kopyt i pozostawili za sobą jałową pustkę i wjechali w krainę żyzności. Większość populacji stanowili oczywiście żołnierze, ale oazę ciągle zamieszkiwała pewna ilość cywili nie zrażonych niebezpieczeństwem grożącym ze strony blisko obozujących Persów. Troje niechlujnych, ale zdrowo wyglądających nomadzkich dzieci, stojących niedaleko pod palmą, obserwowało grupkę jadących rzymskich oficerów. Jedno z nich zawołało coś po arabsku. Belizariusz nie do końca zrozumiał słowa – jego arabski był znośny, ale pod żadnym pozorem nie można było nazwać go płynnym – ale wyczuł radosne powitanie w tonie głosu dziecka.

– Odwaliłeś tu kawał dobrej roboty, Belizariuszu – zauważył z podziwem Bouzes, spoglądając na fortecę. Jego brat natychmiast przytaknął i dodał:

– Nie wiem, jak tego właściwie dokonałeś. W tak krótkim czasie. Cholernie mocny fort. Żadna fuszerka.

– Mam kilku doskonałych inżynierów pomiędzy ludźmi mojej trackiej ochrony, to wszystko.

– Inżynierów? Wśród katafraktów?

Belizariusz uśmiechnął się.

– Cóż, oni nie są tak do końca katafraktami, a przynajmniej nie tylko. Grupka farmerów, którzy po prostu nauczyli się być żołnierzami.

– Chciałbym, żebyśmy mieli chociaż kilku prawdziwych katafraktów – wymamrotał Bouzes. – Nie pałam zbytnią miłością do tych zadzierających nosa skurczybyków, ale są świetni w bitwie.

Jego brat powrócił do poprzedniego tematu.

– Nawet z dobrymi inżynierami, ciągle nie mogę zrozumieć, jak ci się udało skończyć budowę tak szybko.

– Po pierwsze i najważniejsze, zapędziłem do roboty kawalerzystów i tak podbechtałem ich ambicje, że starali się za wszelką cenę dorównać piechocie.

Bracia patrzyli na niego z otwartymi ustami.

– Zmusiłeś kawalerię do odwalania takiej gównianej roboty?! – wykrzyknął Bouzes. Zmarszczył brwi. – Bardzo to źle wpływa na morale, jak sądzę.

– Nie na morale piechoty – odparował Belizariusz. – A jeżeli chodzi o morale kawalerii, możecie się zdziwić. Na początku skamleli jak potępione dusze. Ale po pewnym czasie podjęli wyzwanie. Szczególnie po tym, jak usłyszeli wyzwiska piechoty pod adresem własnej słabości. Wtedy ogłosiłem nagrody za najefektywniejszą pracę i jezdni zaczęli walczyć o ich zdobycie. Nigdy oczywiście nie byli w stanie dorównać piechocie, ale w końcu mocno ich cisnęli w wyścigu po pieniądzu. Nawet zdobyli kilka nagród.

Bouzes ciągle marszczył brwi.

– Ale... nawet jeżeli to nie wpływa negatywnie na ich morale, to ciągle...

– Z czasem tracą poczucie własnej wartości – dokończył jego brat. – Tak musi być. To psia robota.

Belizariusz doszedł do wniosku, że był uprzejmy wystarczająco długo.

– Psia robota, doprawdy?! – krzyknął, udając gniew. – Chciałbym przypomnieć wam obydwu, że Imperium Rzymskie zostało zbudowane właśnie przez takie psy. Przez piechotę, nie przez kawalerię. Piechotę, która zna wartość dobrze skonstruowanych fortyfikacji, i wie, jak je poprawnie zbudować. Szybko i sprawnie.

Ściągnął konia. Byli już u bram fortecy. Belizariusz wskazał na pustynię rozpościerającą się poza palmami daktylowymi, skąd właśnie przyjechali.

– Czy widzicie granicę z Persją? Została ona wytyczona trzy stulecia temu. Przez piechotę! Jak daleko wasza drogocenna kawaleria zdołała ją przesunąć?

Spojrzał na nich. Bracia odwrócili wzrok.

– Nawet jednej mili, tak daleko!

Brama się otwierała. Belizariusz popędził konia.

– Więc nie chcę już więcej słuchać napuszonych przechwałek kawalerii! – warknął, przejeżdżając przez bramę.

Dobra robota, poklepał się w myślach po plecach. Tak naprawdę oni nie są złymi chłopcami. Gdyby tylko mogli pozbyć się tego śmiecia zalegającego im w głowach.

* * *

Wnętrze fortecy nie było tak imponujące jak jej obraz z zewnątrz. Niestety Belizariusz nie miał wiele czasu i, nawet z pomocą kawalerii, skoncentrował się raczej na budowie ścian zewnętrznych i umocnień. Wewnątrz murów forteca była tylko pustym placem musztry, pokrytym szeregami namiotów pełnych żołnierzy. Nie zbudował nawet centrum dowodzenia dla siebie samego i ciągle używał namiotu jako kwatery głównej.

Kiedy tylko Belizariusz zsiadł z konia i w towarzystwie braci podążył do namiotu, w pobliżu pojawił się Maurycy.

– Pojmaliśmy więźnia – oznajmił generałowi. – Właśnie przed chwilą go przywieźli.

– Gdzie go złapaliście?

– Oddział Sunikasa wdał się w małą potyczkę z Persami dzisiaj rano. Wpadli na trzy setki żołnierzy, dziesięć mil na północ stąd. Kiedy Sunikas ich przepędził, znaleźli jednego leżącego na ziemi. Ogłuszonego. Prawdopodobnie koń go zrzucił.

– Przyrowadź go tutaj.

Belizariusz usiadł przy ogromnym stole na środku namiotu. Bouzes i Coutzes pozostali na nogach. Kilka minut później Maurycy powrócił z Walentynianem. Walentynian popychał przed sobą perskiego żołnierza. Miał on ręce skrępowane na plecach. Po jego ubiorze i odznaczeniach Belizariusz poznał, że Pers jest średniej rangi oficerem.

Walentynian pchnął jeńca na krzesło. Wykazując niezwykłą u Persów odwagę, twarz oficera

pozostała skupiona i bez wyrazu. Pers spodziewał się tortur, ale nie miał zamiaru dać wrogowi satysfakcji i nie okazywał strachu.

Jego oczekiwania najwyraźniej pokrywały się z chęciami Bouzesa i Coutzesa.

– Mamy kata pierwszej jakości – oznajmił Coutzes radośnie. – Mogę go tu sprowadzić w przeciągu godziny.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł szorstko Belizariusz. Generał spoglądał na Persa. Ten spojrzał mu w oczy, nie uciekając wzrokiem.

Przez chwilę Belizariusz zastanawiał się, czy nie przesłuchiwać więźnia w jego własnym języku. Generał mówił płynnie narzeczem *pallavi*, tak jak kilkoma innymi językami. Ale zdecydował inaczej. Bouzes i Coutzes, jak mniemał, nie znali perskiego, a było istotne, aby rozumieli sens przesłuchania. Bogaty strój Persa wskazywał prosto na jego arystokratyczne pochodzenie. Powinien zatem mówić płynnie po grecku, jako że, to mała historyczna ironia, grecki był oficjalnym dworskim językiem dynastii Sasanidów.

– Jak wielu żołnierzy ma Firuz pod swoimi rozkazami? – zapytał Persa.

– Pięćdziesiąt pięć tysięcy – padła szybka odpowiedź. Tak jak Belizariusz podejrzewał, greka jeńca była doskonała. – Bez dwudziestu tysięcy pozostawionych w Nisibis – dodał Pers.

– Wpadliśmy w gówno! – zajęczał Coutzes. – To nawet nie...

Belizariusz przerwał mu.

– Pozwalam ci skłamać czterokrotnie, Persie. Zrobiłeś to już dwa razy. Firuz ma dwadzieścia pięć tysięcy ludzi i zabrał ich wszystkich z Nisibis, kiedy opuszczał to miasto.

Pers zacisnął szczęki, a jego oczy lekko się zwięziły. Nie dał po sobie jednak poznać w żaden inny sposób, że jest zdziwiony, jak dokładnymi wiadomościami dysponuje Belizariusz.

– Jak dużą część tych dwudziestu pięciu tysięcy stanowi kawaleria? – zapytał Belizariusz.

– Nie mamy więcej niż cztery tysiące piechoty. A większość naszej kawalerii to oszczepnicy.

– To jest trzecie kłamstwo – powiedział łagodnie Belizariusz. – I czwarte. Firuz ma dziesięć tysięcy pieszych. A z piętnastu tysięcy jezdnych, nie więcej niż pięć tysięcy to ciężkozbrojni oszczepnicy.

Na chwilę Pers odwrócił wzrok, ale ciągle twarz jego była bez wyrazu. Belizariusz był pełen podziwu dla odwagi jeńca.

– Obawiam się, że wykorzystałeś już wszystkie kłamstwa. – Ze wzrokiem ciągle utkwionym w Persie, Belizariusz zapytał trackich braci:

– Mówiliście, że macie dobrego kata?

Bouzes przytaknął gorliwie.

– Możemy go tu natychmiast sprowadzić – powiedział Coutzes.

Szczęki więzionego oficera zacisnęły się naprawdę mocno, ale jego spojrzenie było spokojne i zrównoważone.

– Czy wóz z żołdem dotarł już na miejsce? – zapytał stanowczo Belizariusz.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia przesłuchania Pers wyraźnie wyglądał na wstrząśniętego. Zmarszczył brwi, zawahał się i odpowiedział:

– O czym ty mówisz?

– Nie igraj ze mną, Persie! Wiem, że żołd dla twojej armii został wysłany z Nisibis pięć dni temu z eskortą zaledwie pięćdziesięciu mężczyzn.

Belizariusz odwrócił głowę i spojrzał na Bouzesa i Coutzesa. Wyraz zdegustowania wypełził na jego twarz.

– Pięćdziesiąt! Czy możecie w to uwierzyć? Typowa perska arogancja.

Coutzes otworzył usta z zamiarem udzielenia odpowiedzi, ale Belizariusz uciszył go gestem. Odwrócił się z powrotem do perskiego jeńca.

– Jednego, czego nie jestem pewien, to czy żołąd dotarł już do twojego obozu. Więc pytam ponownie, dotarł?

Twarz Persa przez moment pokrywała maska niepewności. Ale w ciągu kilku sekund mężczyzna odzyskał panowanie nad sobą.

– Wyobrażam sobie, że tak – odrzekł. – Opuściłem obóz dwa dni temu. To dlatego nic nie wiedziałem o żołądzie. Ale jestem pewien, że wóz już dotarł. Nisibis jest zaledwie cztery dni jazdy od obozu. Raczej nie grzebali się z takim ładunkiem.

Belizariusz przyglądał się milcząco oficerowi przez pewien czas. Znowu Coutzes zaczął mówić, ale Belizariusz machnięciem ręki kazał mu zamilknąć. Twarz młodego trackiego generała zaczęła przybierać zirytowany wyraz, ale nie śmiał się odezwać.

Po kolejnych paru minutach ciszy Belizariusz odchylił się na oparcie krzesła i oparł dłonie na udach. Wyglądało na to, że w końcu podjął coś w rodzaju decyzji.

– Wyprowadź go – rozkazał Walentynianowi. Bouzes zaczął protestować, ale Belizariusz osadził go w miejscu.

Kiedy zostali sami, bracia natychmiast wybuchnęli.

– Co to było, do diabła, za przesłuchanie?! – krzyknął Bouzes. – I dlaczego je przerwałeś? Ciągłe nie wiemy nic o tej karawanie z żołądem!

– Cholerna strata czasu – warknął Coutzes. – Jeżeli chcesz wyciągnąć cokolwiek interesującego z Persa, musisz skorzystać z usług...

– Kata? – spytał Belizariusz. Z irytacją wywrócił oczyma, wyrażając swoje niezadowolenie i uśmiechnął się szyderczo. Potem wstał nagle i pochylił się nad stołem, utrzymując cały ciężar ciała na zaciśniętych pięściach.

– Już wiem, dlaczego wleczenie za sobą wszędzie profesjonalnego oprawcę – warknął generał. – Sam bym tak robił, gdybym był takim idiotą.

Odparł spojrzenie braci własnym palącym wzrokiem.

– Pozwólcie mi coś sobie wyjaśnić – powiedział lodowato. – Nie byłem ani trochę zainteresowany informacjami, których mógł mi udzielić ten Pers odnośnie karawany z żołądem. On nic o tym nie wiedział. Jak zresztą mógłby? Ta karawana opuściła Nisibis zaledwie dwa dni temu.

– Dwa dni temu? – zdziwił się Bouzes. – Ale przecież powiedziałeś...

– Powiedziałem wrogiemu oficerowi, że karawana wyruszyła pięć dni temu.

Bracia siedzieli teraz cicho, marszcząc brwi. Belizariusz usiadł z powrotem na krześle.

– Moi szpiedzy zlokalizowali karawanę zaraz po opuszczeniu bram miasta. Jeden z nich pojechał tam tak szybko, jak to było możliwe, z użyciem zmiany koni. Nie ma realnej możliwości, żeby karawana dotarła już do obozu Firuza.

– Więc dlaczego zapytałeś...

– Dlaczego pytałem o to Persa? Po prostu chciałem zobaczyć jego reakcję. Widzieliście, jak utalentowanym kłamcą był ten człowiek. Ale kiedy go zapytałem o wozy z żołądem, zawahał się. Jakże z tego możecie wyciągnąć wnioski?

Najwyraźniej bracia nie byli aż tak głupi, gdyż natychmiast złapali, w czym rzecz.

– Persowie sami o tym nie wiedzą! – wykrzyknęli zgodnie niczym mały chór.

Belizariusz przytaknął.

– Słyszałem, że Persowie mają w zwyczaju wysyłać w ten sposób swoje karawany z żołądem. Zamiast organizowania małej armii w celu ochrony pieniędzy, polegają na absolutnej dyskrekcji.

Nawet żołnierze, dla których są przeznaczone te pieniądze, nie wiedzą o tym aż do momentu, kiedy karawana przybywa na miejsce.

Bracia wymienili spojrzenia. Belizariusz zachichotał.

– Kuszące, nieprawdaż? Ale obawiam się, że okazja przejdzie nam koło nosa. Tylko tym razem, mam nadzieję.

– Dlaczego? – zapytał Bouzes.

– Właśnie, dlaczego? – jak echo powtórzył jego brat. – To doskonała okazja. Dlaczego nie mielibyśmy jej wykorzystać?

– Nie myślicie jasno. Po pierwsze, nie mamy pojęcia, jaką drogą podąża karawana. Nie zapominajcie, mamy tylko jeden dzień, może dwa w najlepszym wypadku, aby złapać karawanę, zanim dotrze do perskiego obozu. Aby być pewnym jej zlokalizowania, musielibyśmy wysłać na poszukiwania cały regiment kawalerii. Co najmniej. Dwa regimenty, żeby być do końca pewnym.

– Więc co z tego? – nie dawał za wygraną Coutzes.

– Co z tego? – Belizariusz wznosił oczy do nieba w geście rozpacz. – Byliście dzisiaj na spotkaniu z Firuzem czy nie?

– Ale o co ci chodzi, Belizariuszu?

– Chodzi mi o to, Coutzesie, że Firuz jest gotowy do ataku. Ma przewagę liczebną. Musimy zostać tutaj i się bronić. To najgorszy moment na wysyłanie oddziału kawalerii, aby sobie pohulała po całej Syrii. Potrzebujemy żołnierzy tutaj, w forcie. Potrzebujemy każdego człowieka.

Coutzes zaczął protestować, ale brat przerwał mu, ściskając go za ramię.

– Nie kłóćmy się więcej! Nie ma to żadnego sensu i jest na to za gorąco. – Otarł czoło dramatycznym gestem. Belizariusz siłą powstrzymywał uśmiech. Tak naprawdę, to nie było nawet śladu potu na twarzy Bouzesa.

Bouzes otarł ponownie czoło, ruchem ręki godnym samego Achillesa. Potem powiedział:

– Myślę, że zakończyliśmy już na dzisiaj wszystkie nasze sprawy. Czy może jest coś jeszcze?

Belizariusz potrząsnął głową.

– Nie. Czy wasi oficerowie zostali już zawiadomieni o tym, że łączymy siły?

– Tak, już o tym wiedzą.

Nastąpiła szybka wymiana uprzejmości, w której Coutzes uczestniczył niechętnie. Bouzes z kolei był kordialny. Bracia opuścili namiot. Belizariusz towarzyszył im do wyjścia. Generał podtrzymywał uprzejmą konwersację, podczas gdy bracia dosiedli koni. Nie powrócił do namiotu, dopóki nie ujrzał braci kłusujących przez bramę fortu.

Maurycy czekał w środku.

– I co? – spytał Belizariusza.

– Kiedy zapadnie zmrok, daj uwięzionemu Persowi wiadomość dla Firuza ode mnie i wypuść go wolno. Upewnij się, że ma wypoczętego konia. Potem przekaz rozkazy ludziom, tylko cicho. Myślę, że wyruszymy o świcie.

– Tak szybko?

– O ile się nie mylę w fatalny sposób, tak. – Spojrzał z powrotem na wejście do namiotu. – I wydaje mi się, że się nie mylę.

– Powinieneś się wstydzić.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Jestem potwornie zawstydzony, Maurycy, potwornie.

Setnik chrząknął sarkastycznie, ale przełknął komentarz.

– Aszot wrócił – powiedział.

- Co myśli o położeniu?
- W porządku. Wzgórze nada się doskonale, o ile wiatr będzie dął z dobrego kierunku.
- Powinien, od przedpołudnia.
- A co, jeżeli nie?

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Będziemy musieli jakoś sobie poradzić. Nawet jeżeli nie będzie wiatru, sam kurz powinien nam wystarczyć. Jeżeli wiatr będzie wiał z przeciwnego kierunku, będziemy oczywiście w tarapatkach. Ale nigdy nie widziałem, żeby wiał ze wschodu przed wieczorem. – Usiadł na stole. – Teraz poślij po *chiliarców* i trybunów. Chcę się upewnić, że dobrze zrozumieli mój plan.

* * *

Tej nocy, zaraz po spotkaniu, jakie odbył z dowódcami oddziałów, Belizariusz leżał na swojej pryczy. Przez prawie godzinę leżał w ciemności, rozważając swoje plany, zanim w końcu zapadł z sen.

Kiedy generał rozmyślał, **cel** wędrował przez korytarze jego umysłu. Wielokrotnie płaszczyznom groziło rozszczerzenie. Desperacja prawie je przytłoczyła. I to wtedy, kiedy te obce myśli właśnie zaczęły się koncentrować! A teraz były w jakiś sposób inne, obce nawet dla siebie samych. To było jak próba nauczenia się języka, którego gramatyka była w ciągłym ruchu. Niemożliwe!

Ale **cel** nabierał teraz pewności siebie i był w stanie kontrolować fasety. Wraz z pewnością siebie przyszła cierpliwość. To prawda, myśli były sprzeczne jak dwa obrazy, identyczne, ale nałożone jeden na drugi pod różnymi kątami. Cierpliwości. Cierpliwości. Niebawem, **cel** to czuł, będzie mógł znów je skupić.

A Tymczasem było coś o znacznie większym znaczeniu. Gdyż, pomimo nieostrości, był jeden punkt, w którym paradoksalne obrazy w umyśle generała nabierały ostrości.

Na granicy snu, Belizariusz wyczuł myśl. Ale był zbyt zmęczony, aby dociekać jej pochodzenia.

niebezpieczeństwo

Rozdział 7

Belizariusz obudził się na długo przed świtem. Był usatysfakcjonowany tym, że oddziały w tak krótkim czasie zdołały przygotować się do wymarszu. Obaj *chiliarchow*ie byli doświadczonymi oficerami i szybko stało się jasne, że trybuni i setnicy w pełni pojęli rozkazy, które im wydał poprzedniej nocy.

Maurycy podszedł do niego. Belizariusz poznał go z daleka, pomimo panujących ciemności. Maurycy chodził charakterystycznym falującym krokiem, który był nie do pomylenia.

– Teraz? – zapytał Maurycy.

Belizariusz przytaknął. Dwaj mężczyźni dosiedli koni i pokłusowali przez bramę. Armia Libanu obozowała tuż pod fortem, gdzie jej żołnierze mogli korzystać do woli z cienia i wody oazy. Minęło parę minut i Belizariusz oraz Maurycy zsiadli z koni przed namiotem dowodzenia, zajmowanym przez Bouzesa i Coutzesa.

Namiot był znacznie większy od tego, którego używał Belizariusz, ale jednak mniejszy niż standardowe, używane przez rzymską armię. Rzymscy dowódcy znani byli z tego, że lubili podróżować w dobrym stylu. Juliusz Cezar woził ze sobą nawet płytki ceramiczne, którymi kazał wykładać podłogę namiotu. Chociaż twierdził, że czyni to tylko i wyłącznie po to, aby wzbudzać podziw u wysłanników wroga, Belizariusz podchodził to tego twierdzenia raczej sceptycznie.

Kiedy przybyli, straż pilnująca namiotu poinformowała ich, że Bouzes i Coutzes są akurat nieobecni. Opuścili obóz w środku nocy. Dalsze przesłuchanie zaowocowało wiadomością, że bracia zabrali ze sobą dwa regimenty kawalerii.

Belizariusz wypowiedział szereg plugawych klątw, bardzo głośno. Podszedł do sąsiedniego namiotu, który był zajęty przez czterech *chiliarchów*. Pełnili oni funkcje zastępców dowódcy Armii Libanu. Maurycy poszedł za generałem.

W namiocie *chiliarchów* wartownik chciał zapytać generała o cel przybycia, ale szybko zamilkł. Strażnik rozpoznał bowiem Belizariusza i dostrzegł, że ten jest w ogromnym gniewie. Zdecydowawszy, że dyskrecja będzie dzisiejszym rozkazem dnia, wartownik odsunął się na bok. Belizariusz wpadł do namiotu jak burza.

Trzej z czterech *chiliarchów* właśnie wstawali z łóżek. Jeden z nich zapalił lampę. Belizariusz natychmiast zażądał wyjaśnienia nieobecności czwartego dowódcy. Pozwolił trzem *chiliarchom* więc się z zakłopotania przez kilka minut, a potem ostrym głosem przeciął panującą ciszę.

– Więc? Zakładam, że Doroteusz dotrzymał towarzystwa tym dwóm kretynom w ich lunatycznej wycieczce?

Chiliarchowie zaczęli protestować. I znów Belizariusz uciął ich skamlania.

– Cisza! – Rzucił się na krzesło stojące przy stole na środku namiotu. Rozglądał się przez chwilę, a potem uderzył pięścią w stół.

– Jestem wspaniałomyślny! Imperator może wybaczyć idiotom, jeżeli dojdzie do wniosku, że głupota to nie ich wina.

Wspomnienie cesarza spowodowało, że trzej *chiliarchowie* cofnęli się trochę. Twarz przynajmniej jednego z nich, pomyślał Belizariusz, stała się biała jak płótno. Ale to trudno było dostrzec. Wnętrze namiotu słabo oświetlała jedna jedyna lampa.

Belizariusz pozwolił, aby panująca cisza stała się bardzo przytłaczająca. Podniósł brew. Po minucie czy może dłużej wstał i zaczął przechadzać się po namiocie, całą swoją postawą wyrażając człowieka zagubionego w umysłowych obliczeniach. Tak naprawdę, analizował wnętrze namiotu. Wierzył mocno, że można dokładnie ocenić oficerów, przyglądając się po prostu ich prywatnym kwaterom, i skorzystał z okazji, aby to uczynić.

W sumie był pod wrażeniem. *Chiliarchowie* dbali o porządek i ład w swoim namiocie. Nie było nawet śladu po tej pijackiej niechlujności, jaka cechowała kwatery wielu oficerów jego własnej armii. Zauważył także surowość i prostotę sprzętów znajdujących się w namiocie. Kwatera *chiliarchów*, oprócz broni i niezbędnych elementów wyposażenia, nie obfitowała w inne dobra.

Generał był zadowolony. Doceniał surowe życie podczas wojennych wypraw, nie z religijnego czy moralnego powodu, ale po prostu dlatego, że, ponad wszystkie inne cechy oficera, cenił sobie umiejętność szybkiej reakcji i możliwość natychmiastowego zwinięcia obozu. A przekonał się, z kilkoma jedynie wyjątkami, że dowódcy, którzy zaśmiecali swoje namioty przedmiotami zbytku, w obliczu zmiany sytuacji reagowali wolno jak ślimaki.

Zdecydował, że utrzymuje już wystarczająco długo pozę zamyślanej koncentracji. Przestał chodzić, wyprostował plecy i oznajmił swoją decyzję.

– Nic na to nie poradzimy. Musimy dać sobie radę z tym, co mamy.

Zwrócił się do trzech *chiliarchów*, którzy skupili się w po drugiej stronie stołu.

– Zgromadźcie ludzi. Wyruszamy natychmiast.

– Ale nasi dowódcy są nieobecni! – zaprotestował jeden z *chiliarchów* kawalerii. Belizariusz spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Wiem o tym, Farasie. I możesz być pewny, że jeżeli nie damy rady powstrzymać Persów, zanim

wejda do Aleppo, imperator też się o tym dowie. I uczyni, co uzna za stosowne. Ale w przypadku nieobecności Bouzesa i Coutzesa ja jestem dowódcą tej armii. I nie mam zamiaru postępować jak oni, opuszczając służbę.

Słowa Belizariusza zmroziły ludzi zebranych w namiocie.

– Persowie nadchodzą? – zapytał Hermogenes, *chiliarcha* piechoty.

– Wyruszają za dwa dni.

– Skąd to wiesz? – zapytał Faras.

Belizariusz uśmiechnął się drwiąco.

– Czy Armia Libanu nie ma żadnych szpiegów?! – zawołał. *Chiliarchowie* byli cicho. Uśmiech generała przerodził się w prawdziwie srogi grymas.

– Och, to cudownie! – zawołał. – Nie macie pojęcia, jakie są zamiary wroga. Więc, naturalnie, zdecydowaliście się na wysłanie dwóch pełnych regimentów kawalerii w pościg za zajączkiem. Wspaniale!

Twarz Farasa powlekła się śmiertelną bladością. Częściowo wynikało to z gniewu, ale w większości powodowane było po prostu strachem. Obserwując go, Belizariusz ocenił inteligencję tego człowieka jako raczej fatalną. Ale nawet Faras rozumiał powód gniewu imperatora, który spadnie na głównodowodzących Armią Libanu, jeżeli pozwolą oni Persom na bezkarne przekroczenie bram Aleppo.

Młodszy dowódca kawalerii, Eutyches, nagle walnął pięścią w stół ze złością.

– Matko Boska! Mówiłem im... – ugryzł się w język. Zacisnął dokładnie usta. Przez chwilę Belizariusz i *chiliarcha* przypatrywali się sobie nawzajem. Potem generał ledwie dostrzegalnie skinął głową i pozwolił sobie na jeszcze mniej widoczny uśmiech. Belizariusz dał znak młodzieńcowi, że zrozumiał i pochwała jego stanowisko w tej sprawie.

Potem przemówił *chiliarcha* piechoty. Barwa głosu Hermogenesa przypominała o jego młodości, ale podczas wypowiedzi nie wyczuwało się w niej nawet śladu drżenia.

– Ruszajmy. Natychmiast. Wszyscy wiemy, że Bouzes i Coutzes zgodzili się na połączenie swojej armii z wojskami Belizariusza. Skoro ich tu nie ma, on staje się faktycznym dowódcą.

Eutyches natychmiast potakująco skinął głową. Po chwili tak samo uczynił Faras.

Belizariusz wykorzystał tę chwilę.

– Poderwijcie ludzi i uformujcie kolumnę marszową – rozkazał. – Natychmiast. – Wyszedł z namiotu.

Belizariusz i Maurycy powrócili do swoich koni. Pierwszy blask poranka pokazywał się na wschodnim widnokręgu.

Belizariusz rozejrzał się wokoło z zadowoleniem.

– Szykuje się piękny dzień.

– Będzie gorąco nie do wytrzymania – zaprotestował Maurycy.

Belizariusz cicho zachichotał.

– Jesteś najbardziej posępnym człowiekiem, jakiegokolwiek poznałem.

– Nie jestem posępny. Jestem pesymistą. Mój kuzyn Ignacy, ten dopiero jest ponurakiem. Nigdy go nie spotkałeś, jak mniemam?

– Jak mógłbym go spotkać? Czyż sam mi nie powiedziałeś, że opuścił on swoje rodzinne strony piętnaście lat temu?

– Tak, to prawda. – Dziesiętnik zmierzył Belizariusza kamiennym wzrokiem. – On się bardzo boi oszustów. I ma całkowitą rację.

Belizariusz zaśmiał się ponownie.

– Będzie piękny dzień, mówię ci. – Zmienił to na służbowy. – Zamierzam tu zostać, Maurycy. Jeżeli nie dopilnuję tej armii, ruszenie się z miejsca zajmie im wieczność. Chcę, żebyś wrócił do fortu i upewnił się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Myślę, że Fokas i Konstantyn poradzą sobie z łatwością. Ale nie pracowałem z nimi w polu aż do tej pory, więc chcę, abyś miał ich na oku. Pamiętaj o dwóch najważniejszych sprawach, pilnuj...

– Pilnuj, aby kawaleria szła na przedzie i przeczesywała drogę i upewnij się, że piechota okopie się szybko. Przynajmniej połowa z nich musi się skryć za wałami obronnymi.

Generał uśmiechnął się.

– Piękny dzień. Ruszaj już.

* * *

Tak jak Belizariusz się spodziewał, godziny minęły, zanim Armia Libanu gotowa była do wymarszu. Pomimo głośnych i niegrzecznych komentarzy, był jednakże zadowolony z postępu działań. Było szaleństwem spodziewać się, że armia złożona z dwunastu tysięcy ludzi wyruszy natychmiast, bez wcześniejszego rozkazu i przygotowań.

Koło południa wojsko wpadło już w rytm marszruty. Upał był przytłaczający. Zachodni wietrzyk, który zerwał się po południu, niewiele zmienił fatalne warunki. To prawda, że bryza przyniosła lekkie ochłodzenie. Ale, ponieważ armia wędrowała na północny wschód, wiatr ciskał kurz wznoszony kopytami koni i stopami żołnierzy prosto w maszerujących. Przynajmniej piach nie uderzał bezpośrednio w twarze żołnierzy, ale nie była to wielka pociecha. Syria w połowie lata była jednym z najbardziej nieprzyjaznych miejsc na ziemi dla uzbrojonej, maszerującej armii.

Jednakże Belizariusz zauważył, że oficerowie dowodzący Armią Libanu powstrzymywali się od narzekań. Jakie by nie były ich obawy związane z tą wyprawą pod nieoczekiwanym dowództwem, zachowywali je dla siebie. Zadał sobie trud wytłumaczenia trzem *chiliarchom* swojego planu, w jaki sposób rozegrać bitwę, której spodziewał się niebawem. Dwaj *chiliarchowie* kawalerii wyglądali na sceptycznie nastawionych do zadania, jakie przyznano piechocie, ale nie odważyli się protestować. Ich własne zadania odpowiadały im w stu procentach, a piechota i tak nie była ich sprawą.

Kiedy zbliżał się wieczór, Belizariusz postanowił omówić swój plan z Hermogenesem, *chiliarchem* piechoty. Hermogenes, co zauważył z przyjemnością, szybko zaczął okazywać prawdziwy entuzjazm. Zbyt często dowódcy rzymskiej piechoty otrzymywali to właśnie stanowisko na skutek uderzającej niekompetencji i braku odpowiedzialności. Hermogenes, z drugiej strony, wydawał się ambitnym człowiekiem, zadowolonym z odkrycia, że jego własna rola w nadchodzącym starciu będzie czymś więcej niż tylko drugoplanową.

Przed zapadnięciem zmroku Belizariusz był usatysfakcjonowany tym przygotowaniem Hermogenesa do wzięcia udziału w planowanej bitwie. W rzeczy samej, myślał sobie, młody *chiliarcha* powinien poradzić sobie doskonale. Belizariusz postanowił uczynić Hermogenesa głównodowodzącym całej piechoty, skoro już jego własna armia została dołączona do Armii Libanu. Fokas, jego dotychczasowy dowódca piechoty, był kompetentnym oficerem, ale w żadnym wypadku wybitnym. Z drugiej strony, Fokas miał talent do artylerii. Więc Belizariusz postanowił oddać Fokasa pod rozkazy Hermogenesa, ze szczególną odpowiedzialnością za ostrzał artyleryjski.

Belizariusz popędzał maszerujących aż do chwili, gdy zniknął ostatni promień słońca. Wtedy rozkazał armii rozbić obóz na noc. Armia Libanu, jak zauważył z zadowoleniem, rozłożyła się szybko i sprawnie.

Po wydaniu rozkazu postawiono namiot Belizariusza i generał mógł rozkoszować się przez chwilę prywatnością. Poczul ulgę na myśl o nieobecności Prokopiusza. Mimo całej kompetencji tego

człowieka i wyplenienia większości jego służalczych nawyków, generał ciągle uważał, że jego sekretarz jest ekstremalnie irytujący. Ale Prokopiusz był teraz w willi niedaleko Daras...

Usłyszał zamieszanie na zewnątrz i wyrzwał z namiotu. Przybył Maurycy z Aszotem i trzema innymi trackimi katafraktami. Kiedy Belizariusz wyszedł z namiotu, jego podkomendni zsiadali właśnie z koni. Wraz z nimi, powoli i ostrożnie, gdyż z każdego ich ruchu przebijał ból i wyczerpanie, zsiadało ośmiu żołnierzy z zaginionego regimentu kawalerii. Jeden z nich był oficerem, a jego ubiór przedstawiał się najgorzej ze wszystkich pozostałych. Nawet z przyćmionym światłem księżycy generał mógł zauważyć, że przynajmniej trzech jezdnych było rannych, chociaż niespecjalnie ciężko.

Oficer, utykając, podszedł do generała i zaczął wydawać z siebie mniej lub więcej artykułowane dźwięki. Belizariusz rozkazał mu zamilknąć do czasu, aż zawezwie *chiliarchów* i trybunów. Kilka minut później, w obecności dowództwa Armii Libanu wtłoczonego do namiotu, generał rozkazał oficerowi, aby opowiedział swoją historię. Żołnierz zaczął nieco chaotycznie, a Maurycy wtrącał okazjonalne komentarze.

Bouzes i Coutzes, jak się okazało, nie odnaleźli karawany z żołądem. Za to natknęli się, przeczesując okolicę w jej poszukiwaniu, na oddział perskiej kawalerii, również biegający po okolicy w poszukiwaniu wozów z pieniędzmi. Wybuchła natychmiastowa bitwa, w której Persowie, mający znaczną przewagę nad Rzymianami, spuścili srogie baty na plecy tych ostatnich. Dwaj bracia zostali pojmani. Większość rzymskiej kawalerii zdołała uciec w niezorganizowanych grupkach i armia Belizariusza natknęła się na te niedobitki. Chociaż bardzo zdemoralizowani i ze szczątkowym zaledwie dowództwem, żywi członkowie dwóch regimentów byli zachwyceni, że udało im się odnaleźć regularną rzymską formację w miejsce spodziewanej małej armii Belizariusza.

Kiedy oficer skończył opowiadać, Belizariusz siłą powstrzymał się od skomentowania głupoty Bouzesa i Coutzesa. W tych okolicznościach, myślał sobie, jest to zbyt wiele. Zakończył po prostu spotkanie szybkim przypomnieniem planów dotyczących nadchodzącej bitwy, a potem posłał wszystkich do łóżek.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – rzekł do Maurycyego, kiedy zostali sami.

Maurycy obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

– Grasz bardzo ryzykownie i o dużą stawkę, młody człowieku.

Belizariusz spojrzał na niego. Maurycy, kiedy byli sami, nie bawił się w formalności i konwenanse. Nawet w szerszym gronie ograniczał się do prostego i okazjonalnego „panie” albo „mój panie”. Ale rzadko zwracał się do generała po imieniu, a młodym człowiekiem nie nazywał go od czasu...

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Tamtą bitwę też wygrałem, o ile sobie przypominasz.

– O mały włos. I tygodnie zajęło ci odzyskanie zdrowia po otrzymanych ranach. – Ponuro potarł prawy bok. – Mnie to zajęło nawet dłużej.

Uważając, że namiot jest zbyt posępny, Belizariusz zapalił jeszcze jedną lampę i postawił ją na stole. Potem, kiedy już usiadł na krześle, począł badać skrzywione oblicze setnika. Był pewien swoich planów, mimo ich skomplikowania, ale nauczył się, aby nigdy nie lekceważyć uwag Maurycyego.

– Wykrztuś to z siebie, Maurycy. I oszczędź mi wyrzutów dotyczących dwóch braci.

Maurycy prychnął.

– Ich? Psotne dzieci są urocze, ale nie powinny dostawać armii do zabawy. Nie dbam ani trochę o ich los! – Machnął lekceważąco dłonią. – Nie, martwi mnie to, że wyliczasz wszystko zbyt

dokładnie. Polegasz na prawie doskonałych wyliczeniach czasowych i oczekujesz od wroga, że zareaguje dokładnie tak, jak sobie założyłeś. – Rzucił w kierunku Belizariusza kolejne kamienne spojrzenie. – Przypomnij sobie pierwszą lekcję, jaką ci dałem, kiedy ociekałeś potem. Nigdy...

– Nigdy nie spodziewaj się, że wróg uczyni to, czego po nim oczekujesz. I nigdy nie licz na to, że działania da się w stu procentach zgrać pod względem czasowym. I, najważniejsze ze wszystkich, zawsze pamiętaj o pierwszym prawie bitwy – wszystko bierze w łeb, kiedy pojawia się przeciwnik. Dlatego właśnie nazywają go przeciwnikiem.

Maurycy chrząknął. I dodał:

– I dlatego tak liczysz na ten swój przebiegły plan? Na ten podstęp, z którego jesteś tak dumny? – Podniósł dłoń. – I nie kłopotcz się przypominaniem mi, jak sprytny jest twój plan bitwy. I co z tego?! To nie jest w twoim stylu, Belizariuszu. Nie stosowałeś nigdy tak pokrętnej taktyki, która jest substytutem prawdziwej strategii. Jak wiele razy powtarzałeś mi, że najlepsza kampania to taka, która pośrednio zmusza wroga do wycofania, z jak najstaranniejszym unikaniem rozlewu krwi. To nie ma nic wspólnego z tym zażartym bojem, który planujesz.

Belizariusz wziął głęboki oddech i zatrzymał powietrze w płucach. Palcami lewej ręki zaczął bębnić po blacie stołu. Przez moment zastanowił się tak, jak to czynił wielokrotnie przez ostatnie kilka miesięcy, czy nie wtajemniczyć Maurycyego w sprawę klejnotu. I znów nie zdecydował się na to. Prawda, Maurycy nie był plotkarzem. Ale pierwsza zasada utrzymania sekretu brzmiała: każda osoba, która dowiaduje się o tajemnicy, podwaja ryzyko jej wydania.

– Przestań bębnić palcami – zrzędliwie powiedział dziesiętnik. – Zawsze to robisz, kiedy dochodzisz do wniosku, że twój spryt to jedynie połowa sukcesu.

Belizariusz uśmiechnął się i zacisnął lewą dłoń w pięść. Zdecydował się na połowiczne zdradzenie tajemnicy.

– Maurycy, w moim posiadaniu są pewne informacje, których niestety nie mogę ci wyjawić. To z powodu tych informacji zdecydowałem się na przeprowadzenie tej bitwy. Wiem, że ścinam zbyt wiele zakrętów, ale nie mam wyboru.

Maurycy nachmurzył się.

– Co wiesz o Persach, czego ja nie byłbym świadom? – To nie było w rzeczywistości pytanie. Raczej coś w rodzaju pogardliwej nagany.

Belizariusz machnął lekceważąco dłonią.

– Nie, tu nie chodzi o Persów. – Uśmiechnął się. – Nie odważyłbym się twierdzić, że wiem o Persach więcej niż ty! Nie, to dotyczy... innych wrogów. Nie mogę ci więcej powiedzieć, Maurycy. Jeszcze nie.

Maurycy przyglądał się uważnie generałowi. Nie był zbyt zadowolony z sytuacji, ale... nie miał wyjścia.

– Dobrze – powiedział, odchrząknawszy. – Ale mam nadzieję, że informacje wystarczą ci do wygrania tej bitwy.

– Wystarczą, Maurycy, wystarczą. Zgranie czasowe nie musi być tak bardzo dokładne. Po prostu musimy dotrzeć na pole bitwy, zanim zjawią się tam Persowie. A co do reakcji wroga... myślę, że ten list, który wysłałem do Firuza, powinien załatwić sprawę.

– Dlaczego? Co tam takiego napisałeś?

– Cóż, ogólnie w liście zawarłem żądanie, żeby Firuz odstąpił od burzenia mojego ślicznego, nowego fortu. Ale przekazałem to żądanie w najbardziej arogancki sposób. Puszyłem się moimi wojennymi zwycięstwami i plwałem na klęski Persów. Wytknąłem w kilku celnie wymierzonych uwagach perskie tchórzostwo i brak męstwa. Rozwodziłem się szeroko na temat robaków, których

trzewia wkrótce wypełnią się truchłem perskich żołnierzy, zakładając, oczywiście, że te plugawe stworzenia zechcą spożyć coś tak obrzydliwego jak Pers.

– O Matko! – wymamrotał Maurycy, szarpiąc się za swoją siwą brodę.

– Ale pomyślałem sobie, że dodam jeszcze ostatnie wygładzające pociągnięcie – dokończył Belizariusz radośnie – i napisałem, że odmawiam budowy łaźni w moim forcie. Firuz nie będzie jej potrzebował, jak mu wytłumaczyłem, gdyż, kiedy już go rozsiekam na kawałki, wrzucę jego szczątki do latryny. Tam, gdzie oczywiście jest ich miejsce, gdyż Firuz to nic innego jak poruszający się worek psich odchodów.

– O Matko. – Maurycy odsunął krzesło i bardzo powoli usiadł. Ten prosty gest u setnika był czymś niezwykłym. Maurycy bardzo się trzymał konwenansów i nigdy nie siadał, kiedy był w kwaterach generała.

– Lepiej wygramy tę bitwę – wymamrotał – albo wszyscy zginiemy. – Jego prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza. Lewa ręka spoczywała rozpostarta na stole.

Belizariusz pochylił się nad stołem i poklepał Maurycyego po rękę.

– Tak więc widzisz, Maurycy, dlaczego uważam, że Firuz zjawi się na polu bitwy.

Maurycy skrzywił się kwaśno.

– Może. Ci perscy arystokraci są bardzo czuli na swoim punkcie. Ale jeżeli jest wystarczająco sprytny, aby przejrzeć ten podstęp, sam wybierze pole bitwy wedle swego uznania.

Belizariusz odchylił się na oparcie krzesła i wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Nie uważam, aby był aż tak sprytny, a swoją drogą... na pole bitwy wybrałem miejsce w pobliżu strumienia, który zaopatruje w wodę obóz Firuz. Czy tego chce, czy nie, po prostu nie może nam pozwolić na okupowanie tego miejsca.

– Ty byś mu pozwolił – odparował natychmiast Maurycy.

– Przede wszystkim nie założyłbym obozu w miejscu, które on wybrał.

Maurycy rozluźnił uścisk na rękojeści miecza i począł szarpać się za brodę.

– Prawda, prawda. Idiotyczne, tak polegać na niepewnym źródle wody. Jeżeli nie możesz znaleźć studni czy oazy, tak jak my, powinieneś się chociaż upewnić, że woda ze strumienia płynie z twojego własnego terytorium.

Setnik lekko się wyprostował.

– W porządku, generale. Spróbujemy. Kto wie, może nawet się uda. To jedno i jedyne pozytywne stwierdzenie zawarte w pierwszym prawie bitw – obowiązuje dla obydwu stron.

Chwilę później Maurycy wstał z krzesła. Jego ruchy odzyskały zwyczajowy wigor i pewność. Belizariusz także się podniósł i towarzyszył swojemu setnikowi do wyjścia z namiotu.

– Jak szybko spodziewasz się, że dotrzemy na pole bitwy? – zapytał Belizariusz.

Maurycy ujął końską uzdę i wskoczył na siodło. Siedząc na grzbiecie zwierzęcia, wzruszył ramionami.

– Poruszamy się w dobrym tempie – oznajmił. – Trochę nas opóźni zbieranie niedobitków pozostałych po dwóch regimentach kawalerii, ale powinniśmy być w stanie rozpocząć kopanie fortyfikacji jutro w południe.

Belizariusz podrapał się po podbródku.

– To powinno zostawić nam wystarczająco dużo czasu. Bóg jeden wie, że żołnierze mieli ostatnio wystarczająco dużo praktyk w kopaniu. Upewnij się, że...

– Upewnij się, że kawaleria także bierze udział w budowaniu fortyfikacji – dokończył Maurycy. Upewnij się, że artyleria zajmuje dogodne pozycje. Upewnij się, że wystarczy prowiantu dla Armii Libanu, kiedy już tu przybędzie. I, ponad wszystko, upewnij się, że wzgórze jest bezpieczne.

Belizariusz uśmiechnął się do niego.

– Ruszaj już. Masz daleką drogę, z powrotem do swojej armii. Ale tej nocy jest piękny księżyc. Maurycy powstrzymał się od komentarza.

* * *

Belizariusz wrócił do namiotu i położył się na pryczy. Nie mógł jednak zasnąć. Przyznał się sobie, że podziela część obaw Maurycego. Rzeczywiście grał zbyt wysoko. Ale nie widział innej możliwości.

Jego dłoń zacisnęła się dookoła sakiewki zawierającej klejnot. Natychmiast nawiedziła go słabo wyczuwalna myśl.

niebezpieczeństwo

Usiadł, spoglądając w dół. Chwilę później otworzył sakiewkę i wytrząsnął klejnot na dłoń. Myśl nadeszła znowu, tym razem silniejsza.

niebezpieczeństwo

– To byłeś ty poprzedniej nocy – wyszeptał.

niebezpieczeństwo

– Wiedziałem! Powiedz mi to, o czym nie wiem. Czym ty jesteś?

* * *

Fasety zawirowały i zmieniły formę, rozdzieliły się i zeszyły ponownie, wszystko w zaledwie ułamek sekundy. Ale **cel** nigdy nie zanikał, nawet się nie zachwiał. W kryształowym paroksyzmie fasety wykuły myśl, która mogła pokonać barierę. Ale **cel** był zbyt pewny siebie, chciał zbyt wiele na raz. Złożona i delikatna myśl rozsypała się na kawałki podczas pierwszego kontaktu z obcym umysłem. Pozostało tylko wrażenie przekształcone w obraz.

Metalowy ptak, ozdobiony klejnotami, wykonany z kutego srebra inkrustowanego złotem. Siedzący na malowanym, wykutym z żelaza drzewie. Jeden z cudownych przedmiotów zrobionych dla uświetnienia pałacu imperatora Justyniana.

– Nie jesteś zrobiony przez greckich jubilerów – wymamrotał Belizariusz. – Dlaczego tutaj jesteś? Czego ode mnie chcesz? I skąd pochodzisz?

cel wezbrał

przyszłość

Belizariusz westchnął, pełen rozpacz.

– Przecież znam przyszłość! – zawołał. – Pokazałeś mi ją. Ale czy można ją zmienić? I skąd ty pochodzisz?

Frustracja była mocniejsza niż nadzieja, która ją poprzedzała. **cel** na moment prawie rozszczepił się na odłamki. Ale doszedł do siebie, pełen bezwzględnej determinacji. Spomiędzy wirujących faset wyłoniło się rozwiązanie. Cierpliwości. Cierpliwości. Wszelkie sposoby kontaktu, poza najprymitywniejszymi, nie mogły jeszcze przebić się przez barierę. I znów spróbował.

przyszłość

Oczy generała rozszerzyły się.

Tak! Tak! Znow! Płaszczyny znieruchomiały, wysyłając przesłanie z determinacją.

przyszłość przyszłość przyszłość

– Maryjo, Matko Boska.

Belizariusz wstał i zaczął chodzić dookoła namiotu. Ścisnął klejnot mocno w dłoni, tak jakby chciał wydusić z tej rzeczy jej myśli, tak jak wyciska się gąbkę.

– Więcej – zażądał. – Przyszłość musi być zdumiewającą rzeczą. Nic nie może wykreować rzeczy tak cudownych jak ty. Więc czego chcesz od przeszłości? Co możemy ci zaoferować?

I znów metalowy ptak. Ozdobiony kamieniami, zrobiony z kutego srebra inkrustowanego złotem. Umieszczony na malowanej, wykutej z żelaza gałązce. Ale teraz wizja była bardziej wyraźna, ostra. Tak jak jeden z cudownych przedmiotów wykonanych dla pałacu imperatora Justyniana, ale o bardziej zawiłym i skomplikowanym wzorze.

– Czy stworzył cię człowiek? – zapytał. – Człowiek z przyszłości?

tak

– Pytam po raz kolejny – czego chcesz?

cel zawahał się tylko na ułamek sekundy. Potem pogodził się z faktem, że zadanie ciągle przerasta jego siły. Cierpliwości, cierpliwości. Tam, gdzie myśl nie może się przebić, posłać trzeba wizje.

I znów trzask pioruna. Znów zdruzgotane drzewa, ceremonia przerwana nagłą czarną falą. I znów kryształły rozsypane na jałowej ziemi, skrzeczące z przerażenia. Znów, na pustym, bezsłonecznym niebie formują się ogromne twarze. Zimne twarze. Bezlitosne. Ludzkie twarze, pozbawione całego ciepła właściwego człowiekowi.

Generał zmarszczył brwi. Już prawie...

– Czy chcesz powiedzieć, że to my jesteśmy zagrożeniem dla ciebie? W przyszłości? I przybyłeś w przeszłość, aby szukać pomocy? To szaleństwo!

Fasety zadrżały i zawirowały, prawie szaleńczo. Teraz żądały i wysuwały żądania pod adresem **celu**. Ale **cel** nabrał już doświadczenia. Myśli były wciąż zbyt skomplikowane, aby przebić się przez barierę. Władczo zatrzymał fasety. Cierpliwości. Cierpliwości.

I znowu ogromne twarze. Ludzkie. Monstrualne. Pokryte smoczą łuską.

– Maryjo, Matko Boska – wyszeptał. – To prawda.

Emocje wybuchły z wnętrza klejnotu. To było jak dziecięcy krzyk... nie ze złości, ale jakby spowodowany głębokim, głębokim ciosem, jak zdrada rodziców. Czysta myśl przebiła się wreszcie przez zaporę.

obiecaneś

Prawda, pomyślał Belizariusz, to wołanie osamotnionego dziecka, dochodzące z wnętrza magicznego kamienia.

Generał zważył klejnot w dłoni. Tak jak wielokrotnie, zdziwiony był zupełnym brakiem wagi kamienia. Jednakże nie unosił się on w powietrzu, ale ciągle spoczywał na dłoni Belizariusza. Jak ufnie dziecko.

– Nie rozumiem cię – wyszeptał. – Nie do końca, jeszcze nie. Ale, jeśli naprawdę zostałeś zdradzony, zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Myśl wywołała na twarzy generała krzywy uśmiezek.

– Chociaż nie jestem pewien, czy mogę cokolwiek zrobić. Co pozwala ci sądzić, że mogę ci w jakiś sposób pomóc?

Nagle od klejnotu nadeszło uderzenie gorąca. Do oczu Belizariusza napłynęły łzy. Przypomniawszy sobie o tej drogocennej chwili, tygodnie temu, kiedy Focjusz w końcu go zaakceptował. Chłopiec był na początku zakłopotany, nie wiedząc, co począć z tym nieznanym, dziwacznym i wielkim mężczyzną, który nazywał siebie jego ojcem. Ale nadszedł czas, tego szczególnego wieczora, kiedy chłopiec zasnął przed ogniem płonącym w kominku. A kiedy poczuł się senny, wdrapał się na kolana ojczyma i położył swoją małą główkę na jego ramieniu. Ufając rodzicowi, że będzie go ogrzewał i ochraniał przez całą noc.

Belizariusz był cicho przez pewien czas, rozmyślając. Wiedział, że coś poszło źle, okropnie nie tak w tej przyszłości, której nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo.

Zdał sobie sprawę, że klejnot jest wyczerpany do ostatnich granic i zdecydował, że dalsze pytania muszą zostać odłożone do jutra. Komunikacja powoli stawała się łatwiejsza. Cierpliwości, cierpliwości. Miał wystarczająco dużo niebezpieczeństw do pokonania w chwili obecnej.

Ale ciągle było to jedno pytanie.

– Dlaczego przybyłeś tutaj, w przeszłość? Co tutaj jest takiego, że może ci pomóc pokonać niebezpieczeństwa, które grożą w przyszłości?

Klejnot szybko tracił blask. Ale słaba wizja wtargnęła do umysłu generała.

Twarz powstająca z ziemi, stworzona z sieci pajęczych i ptasich skrzydeł, i liści drzewa laurowego. Jego twarz.

Rozdział 8

– Jest doskonały – oznajmił Belizariusz.

– To najgłupsza pułapka, jaką kiedykolwiek widziałem – zaprzeczył Maurycy. – Nawet ucniak by w nią nie wpadł. Nawet huński ucniak.

– Nie ma tu żadnych huńskich ucniaków.

– O to właśnie mi chodzi – gderliwie powiedział Maurycy.

Belizariusz uśmiechnął się szeroko, a nie jak zwykle krzywo.

– Z moim planem jest wszystko w porządku i ty o tym wiesz. Po prostu jesteś zły, bo nie podoba ci się rola, jaką w nim grasz.

– To zupełnie inna rzecz! To śmieszne używać ciężkozbrojnej kawalerii do...

– Wystarczy, Maurycy. – Głos generała był łagodny, ale Maurycy znał ten ton. Setnik zamilkł. Przez kilka minut on i Belizariusz stali na szczycie małego wzgórza na lewo od głównych sił rzymskiej armii. Nic nie mówili, po prostu obserwowali wzór, jaki tworzyło gromadzące się perskie wojsko nadchodzące ze wschodu. Wroga armia była ciągle zbyt daleko, ale Belizariusz mógł zobaczyć już docierające właśnie do rzymskich wojsk pierwsze regimenty lekkiej kawalerii.

Zanim Persowie znaleźli się w odległości mili od linii rzymskiego wojska, na ich spotkanie ruszyły trzy *ala* lekkiej huńskiej kawalerii z Armii Libanu. Pomiedzy oddziałami nastąpiła szybka wymiana strzał, zanim perscy zwiadowcy uciekli w kierunku swoich. Było kilku rannych po obu stronach, ale Belizariusza usatysfakcjonował wynik starcia. Było kluczowym dla jego planu, aby Persowie nie mogli dokładnie zbadać jego pozycji.

– To będzie trzymało tych skurczybyków na dystans – burknął Maurycy.

– Najwyższa pora – powiedział Belizariusz. – Jest już prawie południe. – Niebawem zerwie się wiatr.

Maurycy przyjrzał się badawczo niebu.

– Miejmy nadzieję. Bo jeżeli nie...

– Wystarczy.

Belizariusz zaczął schodzić przeciwnym zboczem pagórka w kierunku swojego konia. Za sobą słyszał, jak Maurycy wydaje rozkazy, ale nie potrafił zrozumieć ich konkretnego znaczenia. Były to bez wątpienia instrukcje dla rozczarowanych trackich katafraktów.

Bardzo rozczarowanych, w rzeczy samej. Tracący katafrakci patrzyli na piesze podróże, a tym bardziej na pieszą walkę z entuzjazmem podobnym do tego, jaki czuje pijak badający szklanekę wody. Byli przecież elitą, a teraz mieli służyć jako ochrona dla gromady obszarpanych, nędznych, na wieki potępionych, zwyczajnych pieszych łuczników. Po prostu plebsu. Barbarzyńców, ni mniej, ni więcej.

Zresztą tym właśnie byli. Cztery setki stojących na szczycie wzgórza łuczników stanowiły oddział najemników stworzony wyłącznie z izauryjskich górali z południowej Anatolii. Izaurianie byli wyjątkowo niecywilizowanym plemieniem, ale bardzo twardym. I całkowicie przystosowanym do walki pieszej w terenie skalistym, zarówno z łukiem, jak i z inną bronią.

Belizariusz uśmiechnął się. Znał swoich katafraktów. Kiedy Trakowie zobaczą izauryjskich łuczników przy pracy, nie będą w stanie oprzeć się wyzwaniu. Osobiście Belizariusz uważał, że jego katafrakci są daleko lepszymi łucznikami niż ktokolwiek z Armii Libanu. Będą z pewnością starali się to udowodnić. Do czasu, kiedy Persowie spróbują zepchnąć ich ze wzgórza, Trakowie będą już nieźle rozjuszeni.

Belizariusz przerwał na chwilę swój marsz w dół wzgórza i ponownie zbadał sytuację.

Doskonałe. Strone zbocza, kamieniste. Najgorszy z możliwych teren dla ataku kawalerii.

A perscy arystokraci podchodzą do walki pieszej jak biskupi do wiecznego potępienia. Boże dopomóż tym aroganckim gnojkom w próbie zmuszenia opancerzonych koni do ataku na spotkanie pieszych trackich katafraktów i izauryjskich górali.

Podjął marsz w dół zachodniego zbocza pagórka. W pobliżu jego podnóża znajdował się jar, gdzie czekały konie Traków. Kilku najmłodszych i najmniej doświadczonych żołnierzy dostało zadanie pilnowania koni podczas bitwy. Byli tym nawet bardziej jeszcze rozczarowani niż ich starsi koledzy.

Jeden z nich, chłopiec imieniem Menander, przyprowadził konia Belizariusza.

– Generale, czy jesteś pewien, że nie powinienem...

– Wystarczy – powiedział twardo Belizariusz. Potem jednak dodał: – Wiesz, Menandrze, jest bardzo prawdopodobne, że Persowie wyślą oddział dookoła wzgórza, aby zaatakował nasze tyły. Wyobrażam sobie, że będzie tutaj gorąco.

– Naprawdę?

– O tak. Desperacka potyczka. Do ostatniej krwi.

Belizariusz miał nadzieję, że kłamie. Jeżeli Persowie zdołają dotrzeć tak daleko, że napotkają jar z trackimi końmi, będzie to oznaczało, że pokonali osłaniającą lewe skrzydło ciężkozbrojną kawalerię i że cały plan Belizariusza legł w gruzach. I jego armia także, najprawdopodobniej.

Ale Menander rozpromienił się. Chłopiec pomógł Belizariuszowi dosiąść konia. W normalnych okolicznościach generał był w stanie sam wdrapać się na grzbiet wierzchowca. Ale nie dzisiaj, gdyż był obciążony pełną zbroją. Żaden katafrakt w pełnym pancerzu nie mógł dosiąść konia sam, bez stołeczka czy pomocnej dłoni.

Kiedy już siedział pewnie w siodle, odetchnął z ulgą. Po raz setny poklepał sam siebie po ramieniu w podziękę za pomysł, aby całą swoją tracką kawalerię wyposażyć w scytyjskie kulbaki, zamiast cieniutkich rzymskich. Rzymskie siodła nie były niczym więcej niż lichą podkładką. Scytyjskie konstruowano z solidnej skóry i, co najistotniejsze, miały wystające łęki i kulę. Na scytyjskim siodle opancerzony katafrakt miał przynajmniej pięćdziesiąt procent szans, że utrzyma się na koniu podczas bitwy.

Belizariusz usłyszał za sobą jakiś hałas. Odwrócił się i ujrzał dwóch swoich żołnierzy schodzących ze wzgórza szybkim krokiem. A przynajmniej najszybszym, jaki może osiągnąć człowiek noszący pełną zbroję łuskową, składającą się z okrywającego górną połowę ciała kirysu oraz z ochrony prawego ramienia i podbrzusza aż do połowy ud. Głowę ochraniał żelazny otwarty hełm z bocznymi osłonami, w stylu germańskiego *spangenhelm*, który był ulubionym wzorem większości Traków. Do lewego ramienia żołnierz miał przypiętą małą okrągłą tarczę, wolna lewa dłoń dzierżyła łuk. Stroju dopełniały grubo podszywane kawaleryjskie spodnie w perskim stylu i oczywiście cały zestaw różnorakiej broni. W skład uzbrojenia katafrakta wchodziła długa lanca, potężny łuk, kołczan ze strzałami, długi kawaleryjski miecz o kształcie w perskim stylu, sztylety oraz dodatkowe osobiste przedmioty. Jedni mieli buławy, inni krótkie miecze o nazwie *spatha*.

Belizariusz rozpoznał zbliżających się katafraktów, domyślił się celu ich przybycia i surowo zmarszczył brwi. Ale kiedy dwaj żołnierze podeszli bliżej, nie zdążył wypowiedzieć ani słowa z ostrej nagany, jakiej chciał im udzielić.

– Nie kłopotz się, generale – powiedział Walentynian.

– Nie ma potrzeby – zgodził się Anastazjusz.

– Bezpośrednie rozkazy od Maurycego.

– Bardzo bezpośrednio.

– Ty jesteś tylko generałem.

– A Maurycy to Maurycy.

Belizariusz skrzywił się. Nie było sensu odsyłać Walentyniana i Anastazjusza z powrotem. Nie usłuchaliby jego rozkazu, a sam raczej nie był w stanie zmusić ich siłą, gdyż ...

Belizariusz omiółł wzrokiem dwóch mężczyzn.

Gdyż nie sądził, aby w rzymskiej armii znalazło się dwóch równie silnych żołnierzy.

Tak więc spróbował ich przekonać.

– Nie potrzebuję ochrony.

– Aha, nie potrzebujesz – nosowym, ostrym głosem zareplikował Walentynian.

– Jeżeli ktokolwiek potrzebuje ochrony, to właśnie ty – dodał Anastazjusz. Jak zwykle jego potężny głos brzmiał niczym dalekie grzmoty. Profesjonalny kościelny solista był znany z tego, że zieleniał z zazdrości, kiedy słyszał głos Anastazjusza.

Menander właśnie podprowadzał konie dwóch katafraktów. Wierzchowiec Anastazjusza był największym, jakiego ktokolwiek kiedykolwiek widział. Żołnierz bardzo był przywiązany do swojego zwierzaka. W uczuciu tym mieściła się prawdziwa sympatia na równi z prostym instynktem samozachowawczym. Żaden mniejszy koń nie uniósłby jego ciężaru w pełnej zbroi, w zamieszaniu bitewnego pola. Szczególnie że wierzchowiec także posiadał własne opancerzenie, w skład którego wchodziła łuskowata ochrona łba i szyi, ciągnąca się aż do kłębu, z dodatkowymi płatami zbroi okrywającymi klatkę piersiową i przednie nogi.

Anastazjusz wrzucił Walentyniana na jego wierzchowca. Potem dosiadł własnego, z pomocą Menandra. Kiedy już udało mu się usadzić Anastazjusza w siodle, młody katafrakt wyglądał na zupełnie wyczerpanego tym wysiłkiem.

Belizariusz ruszył, kierując się ku środkowi rzymskich linii. Usłyszał dwóch żołnierzy, wymieniających pomiędzy sobą wrażenia dnia.

– Spójrz na to z innej strony, Walentynianie. To okropne walczyć pieszo.

– Z pewnością nie.

– Przecież nienawidzisz chodzić, a nawet, jeszcze bardziej...

– To co z tego? Nie jest to wcale takie złe, wyrzynać gromady Persów próbujących wdrapać się konno na to cholerne wzgórze. Zamiast...

– Może on...

– Wiesz cholernie dobrze, że nie. Czy on kiedykolwiek zmienia zdanie?

Usłyszał ciężkie westchnienie, które przetoczyło się niczym mała kamienna lawina.

I znów mówił Walentynian.

– Hę? Kiedy zmienił zdanie? Wymień chociaż jeden przykład! Chociaż jeden!

Ciężkie westchnienie.

Mamrotanie, mamrotanie, mamrotanie.

– Co tam powiedziałaś, twoje ostatnie słowa, Walentynianie? – zapytał Belizariusz łagodnie. – Nie do końca je zrozumiałem.

Cisza.

– Brzmiało jak „pieprzeni krzykliwi dowódcy, tak czy owak” – powiedział Anastazjusz.

Syk. I znowu słowa Anastazjusza.

– Ale może nie. Może ten źle wychowany, chudy podrzynać gardel powiedział „chrzanieni zramolali plebejusze, tak czy owak”. Głupio powiedziane, w tych okolicznościach, oczywiście. Szczególnie, że sam jest dowódcą. Ale może dlatego właśnie to powiedział. Jest źle wychowany i wyłazi to z niego przy każdej okazji, wiesz.

Syk.

Belizariusz nie odwrócił głowy. Tylko się uśmiechnął. Na początku krzywo, potem szeroko. Cóż, pomyślał, może Maurycy ma rację. Boże dopomóż Persom, którzy wchodzą im w drogę, to pewne.

* * *

Kiedy dotarł do ufortyfikowanego obozu w środku rzymskich linii, Belizariusz zeskoczył z konia i wszedł do środka przez małą zachodnią bramę. Walentynian i Anastazjusz zdecydowali się pozostać na zewnątrz. Było dla nich zbyt kłopotliwym zsiadać i wsiadać z powrotem, a nie było możliwości wjazdu na koniu do tak małego obozu.

Obozowisko nie wyróżniało się niczym specjalnym. Zostało wzniesione w pośpiechu w przeciągu jednego dnia i składało się z niczego więcej jak tylko rowu otoczonego ziemnym wałem. Normalnie taki wał byłby umocniony balami, ale w okolicy nie rosły żadne drzewa, z wyjątkiem kilku, które zużyto w innych celach. Do pewnego stopnia żołnierze byli w stanie wzmocnić ścianę kamieniami zebranych na polu. Tam, gdzie to było możliwe, umieścili tradycyjne *cer vi*, czyli zaostrzone drągi, wystające na zewnątrz ściany, ale pustynna syryjska ziemia nie obfitowała w odpowiedni budulec. Kilka przewidujących i pomysłowych oddziałów przyniosło ze sobą zaostrzone kije, aby użyć je w tym celu, ale wał nadal pozostawał słabą przeszkodą. Właściwie żalosną ścianą, w porównaniu z tradycyjnymi fortyfikacjami wznoszonymi przez rzymskie wojsko.

Ale Belizariusz był zadowolony z umocnienia. A raczej nie zadowolony, ale całkowicie ukontentowany. Chciał, aby perscy zwiadowcy donieśli Firuzowi, że rzymskie fortyfikacje w centrum ich sił są rozklekotaną parodią umocnień.

Prawdziwą osobliwością obozu nie był jednak on sam, ale zagęszczenie ludzi i ich dziwaczne rozmieszczenie w środku. Kilku rzymskich piechociarzy stało na straży poza murami obozowiska, a przynajmniej wyglądali na takich. Jednak większość leżała płasko za wałem i w wąskich okopach, które zostały wykopane wewnątrz obozu. W środku znajdowało się cztery razy więcej żołnierzy, niż mogłoby się wydawać obserwatorowi z perskiej strony.

Belizariusz usłyszał rogi grające nierówne nuty. Bardzo nierówne, tak jak im rozkazał. Tak jakby grający na tych rogach byli połowicznie sparaliżowani przez strach. Żołnierze stojący na widocznych stanowiskach zaczęli odgrywać swoje role.

Do patrzącego Belizariusza podjechał na koniu *chiliarcha* piechoty Armii Libanu. Hermogenes uśmiechał się od ucha do ucha.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Cóż, najwyraźniej wczuli się w swoje role. Chociaż nie jestem do końca pewien, czy jest to konieczne, aby tak wielu z nich szarpało się za włosy. Albo wyło tak głośno. Albo trzęsło kolanami i bełkotało.

Uśmiech nie schodził z ust Hermogenesa.

– Lepiej za dużo niż za mało. – Odwrócił się, aby podziwiać istne tespijskie widowisko. Teraz żołnierze stojący przy ziemnym wale zaczęli biegać w kółko jak szaleńcy, najwyraźniej w zamieszaniu i bełładzie.

– Nie przesadz, Hermogenesie – powiedział Belizariusz. – Żołnierze mogą posunąć się odrobinę za daleko i zapomnieć, że to tylko przedstawienie.

Chiliarcha z mocą pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Wszyscy są nastawieni bardzo entuzjastycznie do nadchodzącej bitwy.

Belizariusz sceptycznie obrzucił go wzrokiem.

– To prawda, generale. Cóż, może entuzjazm to trochę za mocne słowo. Ale można powiedzieć,

że są pewni.

Belizariusz potarł brodę.

– Tak myślisz? Wydawało mi się, że ludzie będą raczej nieufni w stosunku do tej małej sztuczki.

Hermogenes spojrział na generała. Potem powiedział bardzo poważnie:

– Gdyby jakikolwiek inny generał wyskoczył z takim pomysłem, byłiby nieufni. Ale... to plan Belizariusza. To właśnie jest ta różnica.

I znów sceptyczne spojrzenie.

– Nie doceniasz swojej reputacji, generale. To bardzo źle.

Belizariusz zaczął się tłumaczyć, że pomysł nie był do końca jego. Zapożyczył go od Juliusza Cezara, który wykorzystał jednostki ukryte w obozie w jednej z wielu jego bitew przeciwko Galom. Ale zanim zdążył wypowiedzieć dwa słowa, zamilkł. Jeden z wartowników stojących przy wale coś wołał. Był to prawdziwy alarm, nie tylko fałszywe przedstawienie.

Belizariusz podbiegł do ściany i wyjrzał. Hermogenes dołączył do niego chwilę później.

Persowie nadchodzili.

Belizariusz dokładnie przyjrzał się perskiej formacji. Była imponująca, nawet przerażająca. Tak jak to zwykle jest z perskimi armiami.

Stara myśl wywołała na usta generała lekki grymas.

Jestem zawsze zdumiony, jak współcześni greccy uczeni bujają umysłem daleko od realnego świata. Ich wyobrażenie o perskich wojskach utrzymało się tysiące lat temu, w czasach starożytnych. Kiedy mała grupa zdyscyplinowanych i opancerzonych greckich i macedońskich hoplitów zawsze była w stanie rozbić w puch lekkozbrojne bandy Kserksesa i Dariusza. Wspaniała armia Hellenów przeciwko zbieraninie plemion z Azji.

Pokażmy im, i niech patrzą z otwartymi ustami i drżą.

Wielu współczesnych Greków, oczywiście, znało prawdę. Ale nie byli już tymi Grekami, którzy w dawnych czasach pisali księgi i prawa, zbierali zasady i władali ogromnymi posiadłościami.

Persja się zmieniła przez stulecia. Więcej nawet niż sam Rzym. Powstała klasa silnej, zasobnej w ziemię szlachty. Teraz oni byli prawdziwą siłą Persji, kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione. Prawda, składali hołd imperatorom Sasanidów i służyli im tak samo jak Parowie, którzy ich poprzedzali. Ale to było tylko warunkowe oddanie i dumna służba. Ten stan i duma wynikała z jednego prostego faktu. To właśnie perska arystokracja wynalazła nowoczesną ciężkozbrojną kawalerię. I Persowie ciągle byli w tym lepsi niż ktokolwiek na ziemi. Rzymscy katafrakci, z całym szacunkiem, stanowili tylko próbę naśladownictwa perskiej arystokratycznej kawalerii.

Persowie byli teraz wystarczająco blisko, aby generał mógł zobaczyć szczegóły ich formacji.

Niepodobnie do rzymskiej armii, która używała piechoty jako niewzruszonego centrum sił, jakby swoistej kotwicy w bitwie, nawet jeżeli nie było z nich wielkiego pożytku w walce, Persowie prawie całkowicie wyeliminowali pieszych. Prawda, że w szeregach nadchodzącej armii znajdowało się dziesięć tysięcy żołnierzy piechoty. Ale perscy piesi byli zbieraniną chudych obdartusów – nowocześni perscy piechociarze prawdopodobnie ustępowali nawet hordzie, która została rozbita przez hoplitów pod Maratonem i Issus kilka wieków temu. Żałosni beztroscy wieśniacy, zupełnie nie opancerzeni. Posiadali tylko tarcze i uzbrojeni byli w oszczepy i lekkie włócznie. Walczyli na flankach, a ich głównym zadaniem było dobijanie rannych i buforowanie uderzenia przeciwnika. Po prostu uzbrojone bydło.

Belizariusz zaledwie omiótł ich wzrokiem. Uwaga generała była zwrócona na poruszającą się w centrum perskiej armii kawalerię. Jego doświadczone oko natychmiast wyłuskało dowództwo pomiędzy masy żołnierzy.

Sercem perskiej kawalerii byli ciężko uzbrojeni szlachetnie urodzeni kopijnicy, jadący na ogromnych bojowych koniach wyhodowanych na perskich równinach. Każdy jeździec, po kolei, wiódł za sobą grupę lżej uzbrojonych konnych łuczników. Mieli oni zacząć bitwę i walczyć blisko ciężkozbrojnych kopijników. Kiedy jezdni atakowali, łucznicy stanowili ich osłonę, trzymając na dystans kawalerię przeciwnika i eliminując jego łuczników. Kopijnicy dopadali wroga i rozbijali jego wojsko w puch.

To była mordercza, doskonale zdyscyplinowana wojenna machina. Żadna armia rzymska na przestrzeni wieków nie wygrała jeszcze dużej bitwy na otwartym polu przeciwko Persom.

Ale Belizariusza wypełniała pewność siebie.

Dzisiaj zamierzam tego dokonać.

Zaczął odwracać się od ziemnego wału. Jednakże zanim na dobre się oddalił, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Hermogenesa. *Chiliarcha* piechoty wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Odpręż się, generale. Ty tylko zajmij się kawalerią. Piechota robi swoje.

* * *

Belizariusz pokłusował w kierunku prawego skrzydła swojej armii. Dowództwo flanki było w rękach oficerów kawalerii z Armii Libanu. Belizariusz zamierzał zająć te pozycje na początku bitwy. Chociaż Armia Libanu zaakceptowała jego dowództwo, wiedział, że żołnierze szybko urwą się ze smyczy, jeżeli nie będzie miał na nich oka. Jedyna rzecz, jaka mogła zrujnować jego plan, to nagła, nieoczekiwana szarża kawalerii. Do czego, jak wynikało z jego doświadczenia, kawalerzyści mieli skłonności.

To kolejna rzecz, jaką lubię w piechocie. Kiedy człowiek musi szturmować na swoich własnych dwóch nogach, najpierw jest skłonny to przemyśleć. To mniej męczące.

Widząc, jak się zbliża, *chiliarchowie* kawalerii wyjechali mu na spotkanie.

– To już niedługo – oznajmił Eutyches.

Belizariusz skinął potakująco głową.

– Tak szybko, jak... – przerwał mu grzmiący odgłos. Belizariusz odwrócił się w siodle w porę, aby zauważyć pierwsze pociski wystrzelone przez cztery kusze oblężnicze i dwa onagry, które umieścił za ufortyfikowanym obozem. Fokas ocenił odległość i rozkazał artylerii otworzyć ogień.

Kącikiem oka Belizariusz dostrzegł nachmurzoną minę Farasa.

Generał rozumiał znaczenie tego grymasu. Jak większość współczesnych rzymskich dowódców, Faras nie widział sensu użycia artylerii na polu bitwy.

Ale Belizariusz powściągnął komentarz. Nauczył się, z własnego doświadczenia, że kłótnia na ten temat jest daremna.

Po prostu tego nie rozumieją. Pewnie, te cholerne maszyny są utrapieniem w marszu. Pewnie, nie wyrządzają znowu tak wielkiej szkody przeciwnikowi. Ale potrafią zdziałać dwie nieocenione rzeczy. Po pierwsze, łamią zwarte szeregi wroga. Uprzedzony żołnierz, nawet ciężkozbrojny kawalerzysta, zazwyczaj jest w stanie uniknąć wielkiego pocisku kuszy oblężniczej czy ogromnego kamienia wyrzuconego przez onager, przynajmniej wtedy, kiedy nie jest ściśle otoczony innymi żołnierzami. Więc wrogie siły rozpraszają się. I po drugie, i najważniejsze, bombardowanie jest dla żołnierza bardzo stresujące, kiedy jest na tyle daleko, że nie może uderzyć w odwecie. Więc szarżuje, żeby być bliżej. I tego właśnie oczekuje bombardujący. Strategiczny atak, taktyczna defensywa. To cały sekret w dużym skrócie.

Dwaj *chiliarchowie* galopowali już w kierunku przednich linii. Belizariusz potrzebował odpowiedniego miejsca, z którego mógłby obserwować przebieg bitwy, i zdecydował się, że stanie na prawym skrzydle. Wzgórze byłoby lepszym punktem obserwacyjnym, ale byłoby zbyt daleko od

prawego skrzydła armii, które reprezentowało największe siły i było najmniej godne zaufania.

Kiedy dotarł do przednich linii, Persowie zaczęli właśnie szarżę. Zauważył natychmiast, że uczynili to zbyt szybko. Nawet ogromne perskie konie nie mogły przebiec tak dużego dystansu bez całkowitego wyczerpania.

I tak, po raz kolejny, artyleria wykonała swoje zadanie.

Jednak Persowie nie byli Gotami. Kiedy Goci rozpoczynali szarżę kawalerii, zawsze przeprowadzali ją do końca. Persowie, wyrafinowani i cywilizowani, mimo całej swojej szlacheckiej dumy, byli zbyt sprytni, aby nie podejrzewać pułapki.

Więc kiedy znaleźli się w zasięgu strzału z łuku, perscy ciężkozbrojni kawalerzyści ściągnęli konie i dali im chwilę odetchnąć. Lekcy konni łucznicy kontynuowali jazdę naprzód, strzelając w kierunku wroga.

Faras nie czekał na rozkaz Belizariusza. Kazał wystąpić konnym rzymskim łucznikom. Hunowie pogalopowali w kierunku pola bitwy, wypuszczając roje strzał. W przeciągu chwili wybuchł szybki łuczniczy pojedynek.

Starcie pomiędzy konnymi perskimi i rzymskimi łucznikami nie było wyrównane. Persowie, jak zwykle, strzelali z łuków bardzo szybko, tak jak Hunowie, dużo szybciej niż rzymscy katafrakci czy zawodowa piechota. Ale Persowie byli lepiej chronieni przez zbroje, a ta dodatkowa osłona miała ogromne znaczenie w związku z małą mocą łuków używanych przez obie strony.

Wkrótce Hunowie zaczęli przesuwać się w kierunku swoich linii. Perscy jeźdźcy nie mieli zamiaru ścigać uciekinierów. Nie byli głupcami i doskonale wiedzieli, że Hunowie przewyższają wszystkich w sztuce zmiany ucieczki w nagły kontratak. Tak więc zadowolili się po prostu zdyscyplinowanym, uporządkowanym natarciem, wypuszczając serię za serią strzał podczas jazdy naprzód.

Faras zaczął zrzędzić, ale Belizariusz go uciszył. Szybko. Tak jak się spodziewał, *chiliarcha* zapomniał już dawno o planie bitwy.

– Doskonale – oznajmił Belizariusz. – Hunowie zdołali skupić na sobie uwagę całego lewego skrzydła armii wroga.

– Idą prosto na nas! – zawołał Faras.

W jaki sposób ten idiota osiągnął kiedyś stopień chiliarcha? Nie powierzyłbym mu nawet wypieku chleba. Pierwszą rzeczą, jaką by zrobił, to wyrzucenie przepisu.

Ale jego słowa były łagodne.

– Na co właśnie liczyłem, Farasie. Tak długo, jak lewe skrzydło Persów podąża w kierunku naszego prawego, nie może uczynić szkód w innym miejscu. Na przykład zmielić naszej lewej flanki, tam, gdzie rozegra się decydujące starcie.

Belizariusz zignorował nadąsanego *chiliarcha* i obserwował rozwój starcia po drugiej stronie pola. Izauryjscy i traccy katafrakci na wzgórzu zaczęli właśnie strzelać w kierunku perskiej kawalerii rozprzestrzeniającej się na środku bitewnego pola. W przeciągu pięciu minut dla Belizariusza stało się jasne, że jego wcześniejsze założenia były prawidłowe.

Uzbrojeni w łuki katafrakci mieli jedną poważną przewagę i dlatego Belizariusz umieścił ich właśnie na tym wzgórzu. Z nielicznymi wyjątkami, takimi jak na przykład Walentynian, katafrakci nie strzelali tak szybko jak perscy czy huńscy konni łucznicy. Ale żadni inni łucznicy na świecie nie strzelali celniej i nie posługiwali się mocniejszymi łukami. Wykorzystując różnicę wysokości pomiędzy wzgórzem i polem bitwy, strzały katafraktów wpadały w szeregi perskiej kawalerii, siejąc popłoch. Nawet zbroja perskiej szlachty nie mogła wytrzymać konfrontacji z taką strzałą. A katafrakci Belizariusza, szczególnie weterani, nie celowali w ciężkozbrojną szlachtę. Celami dla

nich były konie. Ciężka przednia zbroja atakujących Persów mogła wytrzymać uderzenie strzałą. Ale te pociski uderzały w nieosłonięte końskie boki. Umierające i ranne konie rozrywały linie oddziałów ciężkozbrojnej kawalerii wroga.

Nagle Belizariusz poczuł lekki wietrzyk na karku. Prawie odetchnął z ulgą. Spodziewał się wiatru, ale ciągle...

Wiatr, wiejący z zachodu na wschód, zwiększyłby zasięg jego artylerii i łuczników i spowolniłby strzały Persów. Jednakże bardziej ważnym był efekt, jaki wiatr wywarłby na widoczność. Pole bitwy było już zasnuwane kurzem wzbijanym kopytami koni. Jak tylko zerwał się wietrzyk, kurz zaczął się przemieszczać na stronę perską. Wróg został połowicznie oślepiiony, nawet jeżeli zdołał podejść bliżej.

– Zamierzają szarżować – zapowiedział Eutylian, jeden z pozostałych dowódców kawalerii. – Będą nacierać na nasze skrzydło.

– Dzięki Bogu! – prychnął Faras. *Chiliarcha* natychmiast zawrócił konia, wykrzykując rozkazy w kierunku swoich posłusznych podkomendnych.

Belizariusz przyjrzał się uważnie polu bitwy i zdecydował, że Eutylian ma rację.

Niech to! A miałem nadzieję...

Spojrzał na Eutychiana z podziwem. *Chiliarcha* jak zwykle podjął decyzję szybko i upewnił się o jej słuszności, rzucając krótkie spojrzenie na Belizariusza.

– Czy mogę ci zaufać, że nie będziesz takim idiotą jak ten tam? – zapytał generał, wskazując kciukiem na oddalającą się sylwetkę Farasa.

– To znaczy?

– To znaczy, czy mogę ci zaufać, że będziesz czekał na atakujących Persów w tym miejscu? Chcę tylko, aby zostali zatrzymani na tym skrzydle. To wszystko. Czy rozumiesz? Przewyższają nas liczebnie, szczególnie w oddziałach ciężkozbrojnej kawalerii. Jeżeli będziesz próbował wygrać tę bitwę za pomocą wspaniałej szarży i idiotycznego stawiania wszystkiego na jedną kartę, Persowie rozniosą cię na strzępy, a ja zostanę bez prawego skrzydła. Bitwa zostanie rozegrana na lewej flance. Oczekuję od ciebie tylko tego, abyś stał w miejscu i zatrzymał ich na pewien czas. Czy możesz to zrobić? I czy to zrobisz?

Eutylian obejrzał się na Farasa.

– Tak, Belizariuszu. Ale on jest starszy stopniem ode mnie i...

– Pozwól, że ja się będę martwił o Farasa. Czy utrzymasz to skrzydło? Nic więcej?

Eutylian skinął potakująco głową. Belizariusz odjechał w kierunku małego oddziału dowódców zgromadzonych wokół Farasa. Kiedy jechali, spojrzał znacząco na towarzyszących mu Walentyniana i Anastazjusza. Twarz Anastazjusza była niczym kamień. Walentynian wyszczerzył zęby w uśmiechu. Na jego ostro rzeźbionej, wąskiej twarzy uśmiech wyglądał przerażająco.

Kiedy Belizariusz podjechał bliżej, usłyszał słowa Farasa i komendy, jakie ten wydawał dowódcom swoich oddziałów. Tak jak się obawiał, *chiliarcha* organizował szarżę przeciwko nacierającym Persom, złożoną ze wszystkich oddziałów.

Belizariusz wepchnął się wierzchowcem w środek gromadki dowódców. Kątem oka widział ustawiającego konia w pobliżu Farasa Walentyniana i zbliżającego się z drugiej strony do zgromadzenia Anastazjusza.

Dziękuję ci, Maurycy.

– Wystarczy, Farasie – powiedział. Jego głos był ostry i zimny. – Główne natarcie przeprowadzimy później, na innej...

– Do diabła z tym! – wykrzyknął Faras. – Będę atakował teraz!

– Nasz plan bitwy...

– Chrzanię twój wyrafinowany, zaszpany plan! To czysta bzdura! Plan pieprzonego tchórza! Będę walczył...

Walentynian.

W całym swoim życiu Belizariusz nie spotkał nikogo, kto potrafiłby wyciągnąć miecz z pochwy szybciej i sprawniej niż Walentynian. Ani zadziałać tak bezlitośnie. Długie, proste i smagłe ciało katafrakta wyprostowało się niczym sprężyna. Jego *spatha* zdjęła głowę Farasa z karku tak gładko jak nóż rzeźnika odcinający łeb kurczaka.

Jak zwykle uderzenie Walentyniana było ekonomiczne. Żadnego bohaterskiego machania, tylko mały ruch, aby wykonać zadanie. Głowa Farasa nie zatoczyła łuku w powietrzu. Po prostu spadła z jego karku i uderzyła w ziemię tuż obok kopyt jego konia. Chwilę później jego bezgłowe ciało zsunęło się z wierzchowca. Koń, okryty nagle krwią, odbiegł.

Dowódcy gapili się, zaszokowani. Jeden z nich zaczął wyciągać miecz. Anastazjusz zmiażdżył mu kręgosłup. Nie ekonomicznym ruchem – maczuga olbrzyma zrzuciła dowódcę przez końską głowę. Jego wierzchowiec, doskonale wytrenowany, nawet nie drgnął.

Belizariusz wytarł swój własny miecz. Czterej pozostali przy życiu dowódcy byli teraz całkowicie otoczeni przez Belizariusza i jego dwóch katafraktów. Ciągle gapili się z otwartymi ustami, ich twarze były białe jak papier.

– Nie będę tolerował zdrady ani niesubordynacji – oznajmił Belizariusz. Jego głos nie był donośny. Po prostu zimny jak lód. Zimny jak śmierć.

– Czy dobrze mnie rozumiecie?

Cisza. Białe twarze.

– Rozumiecie mnie? – Walentynian nieznacznie zacisnął dłoń na rękojeści *spathy*. Anastazjusz podniósł buławę, już nie tak delikatnie.

– Zrozumieliście?

Usta dowódców zamknęły się nagle. Twarze pozostały blade, ale głowy zaczęły kiwać się potakująco. Po dwóch sekundach kiwały się z wigorem.

Belizariusz usadowił się wygodniej w siodle i wsunął miecz do pochwy umocowanej przy pasie. Walentynian oczywiście nie uczynił nic podobnego. Tak samo Anastazjusz nie wyglądał na takiego, który by się spieszył z odkładaniem maczugi.

Belizariusz odwrócił się i spojrzał na Eutychediana. *Chiliarcha* znajdował się nie dalej niż trzydzieści metrów od generała. On i jego podkomendni byli świadkami całego zajścia. Podobnie jak, ocenił Belizariusz, tuziny kawalerzystów Armii Libanu. Twarze Eutychediana i jego towarzyszy także powlekły się bladością. Ale, jak zauważył generał, ludzie nie wyglądali na specjalnie zagniewanych. Raczej zaintrygowanych, szczerze mówiąc.

Przyjrzał się kawalerzystom. Ci nie byli bladzi. Kilku marszczyło brwi, ale zostali zagłuszeni przez uśmiechającą się większość. Niektórzy nawet otwarcie szczerzyli zęby. Faras, najwyraźniej, nie cieszył się popularnością jako dowódca.

Belizariusz powrócił wzrokiem do Eutychediana. *Chiliarcha* uśmiechnął się nagle, bardzo delikatnie, i pokiwał twierdząco głową.

Belizariusz odwrócił się do czterech dowódców stojących u jego boku.

– Będziecie słuchać moich rozkazów natychmiast i bez gadania. Rozumiecie?

Przytaknęli z wigorem. Anastazjusz odłożył buławę do uchwytu przy siodle. Walentynian nie uczynił niczego podobnego ze swoim mieczem.

Nagły dźwięk rogów przerwał generałowi. Belizariusz znów się odwrócił. Nie mógł widzieć

perskiej armii, gdyż widok zasłaniał mu rząd kawalerzystów stojących w pierwszej linii. Ale oczywistym było, że Persowie zaczęli natarcie. Eutylian i jego dowódcy ruszyli wzdłuż oddziałów, wydając rozkazy.

W pośpiechu Belizariusz dawał szybkie, proste instrukcje czterem pozostałym przy życiu dowódcom.

– Eutylian będzie dowodził na prawym skrzydle i zatrzyma Persów, wykorzystując połowę ciężkiej kawalerii Armii Libanu i wszystkich konnych łuczników. Wy czterej zbierzcie pozostałą połowę kopijników Armii Libanu i trzymajcie ich w pogotowiu. Chcę, żeby byli gotowi do ataku – głos generała zabrzmiał jak stal – kiedy rozkażę, tam, gdzie rozkażę, i tak jak rozkażę. Czy to rozumiecie?

Przytaknęli z werwą.

Belizariusz skinął na Walentyniana i Anastazjusza.

– Dopóki bitwa się nie skończy, ci ludzie będą działali jako moi oficerowie wykonawczy. Będziecie słuchali ich rozkazów, tak jakbyście słuchali mnie. Zrozumiano?

Kolejne twierdzące skinięcia głowami.

Belizariusz zaczął przedstawiać imiona swoich dwóch katafraktów, ale zmienił nagle zdanie. Dla jego natychmiastowych potrzeb zostali już oni odpowiednio zareklamowani.

Śmierć i Zniszczenie to odpowiednie dla nich przydomki, pomyślał sobie.

* * *

Kiedy czterej dowódcy wyruszyli do swoich oddziałów, aby zebrać i ustawić ludzi, Belizariusz wrócił do pierwszej linii. Kiedy się zbliżał, złożona z Hunów lekka kawaleria właśnie zaczęła opuszczać pole bitwy. Hunowie nie byli w stanie w bezpośrednim starciu zwyciężyć z kopijnikami perskimi i zdawali sobie z tego sprawę.

To jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie można powiedzieć o najemnikach, pomyślał Belizariusz. Nigdy nie są skłonni do natarcia będącego samobójstwem.

Pomijając ich cechy najemników, Hunowie byli dobrymi żołnierzami. I doświadczonymi weteranami. Ich odwrót nie był paniczną ucieczką, więc jak tylko dotarli do relatywnie bezpiecznych rzymskich linii, zaczęli się przegrupowywać. Wiedzieli, że rzymska ciężka kawaleria niedługo ruszy do ataku i ich zadaniem będzie osłanianie skrzydeł przed perskimi konnymi łucznikami.

Belizariusz był teraz tuż za pierwszą linią rzymskich ciężkozbrojnych konnych. Spomiędzy dwóch kawalerzystów obserwował nadchodzących Persów.

Perscy ciężkozbrojni jezdni nie zaczęli jeszcze galopować. Ciągle mieli dwieście metrów do przebycia, zanim dotrą do rzymskich linii. Persowie sami byli weteranami i zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi w przypadku zmęczenia wierzchowców przed bitwą, szczególnie, jeżeli walczy się pod rozpalonym syryjskim słońcem. Ale jednak ich dudniący marsz był imponujący. Dwa tysiące ciężkozbrojnych kopijników, ustawionych w czterech szeregach, zbliżało się w idealnym porządku. Oflankowani byli przez tysiąc konnych łuczników, także doskonale zorganizowanych.

Bardzo imponujące, ale...

Skryci w fortyfikacjach rzymscy łucznicy, najemni Gassanidzi, celowali w kierunku perskiej kawalerii atakującej prawe skrzydło. Ignorowali na razie mrowie perskich konnych łuczników w centrum natarcia, którzy zasypywali gradem strzał rzymskie umocnienia. Belizariusz zauważył, że Hermogenes nie daje się ponieść emocjom. Jego piechota, chroniona przez mur, nie ucierpiała bardzo od perskich strzał. A jej salwy utrudniały atak wrogich kopijników.

Hermogenes dobrze wytrenował swoich żołnierzy. Arabscy łucznicy nie ulegli pokusie strzelania

do samych ciężkozbrojnych jeźdźców. Grube perskie zbroje zatrzymałyby strzały wypuszczone z lekkich łuków, szczególnie z takiej odległości. Zamiast tego, łucznicy celowali w nieosłonięte końskie pęciny. I chociaż dystans pomiędzy armiami był ciągle duży, Belizariusz zobaczył więcej niż kilka koni potykających się i padających.

Ze wzgórza sypał się grad strzał i spadał na głowy perskiej kawalerii atakującej prawe skrzydło rzymskiej armii. Ale strzały padały zbyt blisko i łucznicy prawie natychmiast przerwali ostrzał. Belizariusz wiedział, że Maurycy wziął w karby rozentuzjzmowanych katafraktów. Dystans, biegnący po przekątnej przez całe pole bitwy, był zbyt duży nawet dla ich potężnych łuków i sprzyjającego wiatru. Zamiast tego Maurycy rozkazał swoim żołnierzom i Izauryjczykom, aby skoncentrowali ostrzał na grupie lekkich łuczników konnych znajdujących się w centrum pola.

Belizariusz był zachwycony. Jego armia działała w prawidłowy sposób, tak jak powinna każda dobra jednostka wojskowa. Łucznicy na lewym skrzydle osłaniali piechotę znajdującą się w centrum, nękając Persów atakujących z prawej.

Grad pocisków z kusz obłęźniczych i katapult poleciał w kierunku ciężkozbrojnej perskiej kawalerii, ryjąc bruzdy w zwartych szeregach. Kawaleria zaczęła się rozpraszać, tracąc swą uporządkowaną strukturę.

Dobrze, Fokasie, dobrze. Ale z tym wiatrem może się uda...

Tak!

Kolejna salwa pocisków spadła w sam środek grupy perskich dowódców, znajdującej się na tyłach pola bitwy. Oficerowie nie spodziewali się ostrzału i całą swoją uwagę poświęcali sytuacji na polu walki. Pociski były dla nich kompletnym zaskoczeniem. Nastąpiła potworna rzeź. Mężczyźni i konie, uderzeni ogromnymi kamieniami, zamienili się w miazgę mimo posiadanych ciężkich zbroi. Żelazo nie uchroniło ich także przed strzałami wielkości włóczni, miotanymi przez obłęźnicze kusze. Jeden z oficerów, uderzony przez dwa takie pociski, został praktycznie rozerwany na strzępy.

Jak zwykle podczas walki, brązowe oczy Belizariusza były niczym kamienie. Ale jego zimne spojrzenie zignorowało ofiary salwy artyleryjskiej. Generał uwagę całkowicie skoncentrował na tych, którzy przeżyli.

Proszę, niech Firuz pozostanie przy życiu. Och, proszę, niech ten arogancki, porywczy osioł jeszcze oddycha.

Tak!

Firuz najwyraźniej został doprowadzony do ostatecznej wściekłości. Belizariusz mógł dostrzec kolorowy płaszcz i barwny strój perskiego głównodowodzącego, osobiście prowadzącego swoją armię w natarciu na centrum rzymskich linii. Trzy tysiące ciężkozbrojnych kopijników, oflankowanych przez cztery tysiące konnych łuczników, pędziło w pełnym galopie.

To była szarża godna tego idioty Farasa, obecnie byłego dowódcy. Perscy kopijnicy w środku grupy mieli do przebycia osiemset metrów, zanim dotrą do rzymskich fortyfikacji. Prawie kilometr w osłabiającym upale, pod wiatr miotający kurz w oczy. To był absurd, nawet gdyby w środku pola bitwy nie kręciło się kilkuset perskich konnych łuczników. Szarżujący Firuz po prostu stratowałby swoje własne oddziały.

W połowie natarcia, jednakże, w umysły Persów wlało się najwyraźniej trochę zdrowego rozsądku, a przynajmniej w przypadku konnych łuczników w centrum pola. Widząc nacierających kopijników, łucznicy pierzchli im z drogi. Ich oficer poprowadził natarcie przeciw stojącej na wzgórzu małej grupie Rzymian.

Belizariusz obserwował w skupieniu. Był przekonany, że jego katafrakci i Izauryjczycy odeprą atak, nawet jeżeli stosunek sił wynosił jeden do pięciu na korzyść Persów. Wrogowie będą musieli

wdrapywać się na zbocza pagórka pod gradem rzymskich strzał. A jeżeli mimo to sprawy przybiorą zły obrót, dwa tysiące kawalerii z jego własnej małej armii stało na lewym skrzydle, niedaleko wzgórza. Ale nie chciał używać tych jezdnych właśnie w tym miejscu, jeżeli nie będzie to absolutnie konieczne. Chciał, żeby byli wypoczęci, kiedy...

Nagle coś zasłoniło Belizariuszowi widok. Usłyszał dźwięk rogów. Kawalerzyści przed nim zaczęli strzelać w kierunku perskich kopijników, którzy byli teraz w odległości mniejszej niż sto metrów. Chwilę później rogi znów zagrały. Rzymska jazda ruszyła na spotkanie zbliżających się Persów. Żołnierze wystrzelili ostatnią salwę na samym początku natarcia i schowali łuki do juków. Teraz przyszła kolej na lancę i miecz.

Belizariusz spojrzął szybko na środek pola. Ale teraz dostrzeżenie czegokolwiek nie było już możliwe. Całe pole bitwy pokryło się kurzem, który, unoszony przez wiatr, leciał w kierunku perskich linii. Ciągłe jednak mógł widzieć wznoszące się ponad chmurami pyłu wzgórze. Przez trzy czy cztery sekundy Belizariusz obserwował, jak spokojnie i pewnie traccy katafrakcji i Izauryjczycy strzelają z łuków i doszedł do wniosku, że utrzymają pagórek. A przynajmniej wytrzymają wystarczająco długo.

Nadszedł odpowiedni moment.

Belizariusz spojrzął na toczącą się przed nim bitwę. Hunowie z Armii Libanu usiłowali zejść z prawej strony konnych łuczników perskich. Ale ci byli także doświadczonymi żołnierzami i zdołali rozciągnąć linie na spotkanie Hunów. Ta część pola bitwy prawie natychmiast zamieniła się w chaotyczny wir złożony ze zmagających się konnych wojowników, wymieniających strzały z łuku, często z bardzo bliska.

Teraz wszędzie był kurz. Cudowny, wspaniały, zasłaniający wszystko kurz. Nadciągający z zachodu w kierunku Persów, zasłaniający im poruszenia Rzymian.

Jedyną częścią bitwy, jaką, oprócz wierzchołka pagórka, mógł widzieć Belizariusz, było spotkanie kopijników Armii Libanu z ciężkozbrojną jazdą perską na lewym skrzydle. Eutychian z dwoma tysiącami opancerzonych żołnierzy ścierał się twarzą w twarz z podobnym liczebnie oddziałem perskiej ciężkiej kawalerii. Zgiełk bitewny, już bardzo głośny, zdawał się wypełniać cały wszechświat. Powietrze wypełniał szcęk metalu, krzyki ludzi i rzenie koni.

To była bitwa, którą ostatecznie musieli wygrać Persowie. Z wyjątkiem może najlepszych oddziałów katafraktów, żadna rzymska ciężkozbrojna kawaleria nie stanowiła godnego przeciwnika dla perskich kopijników. Ale kiedy patrzył na wigor i odwagę natarcia prowadzonego przez Eutychiana, Belizariusz był bardziej niż zadowolony. Eutychian przegra to starcie, ale do tego czasu Rzymianie zatriumfują na całym polu bitwy.

Belizariusz nie chciał niczego więcej.

Trzymaj prawe skrzydło, Eutychianie. Tylko je utrzymaj.

Zawrócił konia i ruszył kłusem.

I spróbuj przetrwać. Nie mogę stracić takiego dowódcy jak ty. I Rzym też nie może sobie na to pozwolić.

Kiedy jechał, wydawał rozkazy przekazywane dalej przez Walentyniana i Anastazjusza. Czterej ocalali dowódcy Armii Libanu szybko je wykonywali. Bardzo szybko. Dwa tysiące kopijników z Armii Libanu, których Belizariusz trzymał w odwodzie, tych samych, których Faras wysłałby w samobójczy atak, kłusowało teraz w znakomitym porządku przez pole bitwy. Z południa na północ, za rzymskimi liniami, z prawego na lewe skrzydło. Byli całkowicie niewidoczni dla Persów, gdyż zasłaniał ich wszechobecny kurz.

Kiedy przejeżdżali za umocnionym obozem, Belizariusz rozkazał im zatrzymać się. Myślał, że

ciągle jeszcze ma czas i chciał się upewnić, że bitwa rozegra się na środku pola.

Podczas gdy kopijnicy Armii Libanu pozwalali swoim wierzchowcom na złapanie oddechu, Belizariusz pokłusował w kierunku obozu i wszedł do niego przez zachodnią bramę. Teraz mógł coś zobaczyć pomimo kurzu.

Tak jak to zaplanował i jak miał nadzieję, do czego nie przyznałby się za nic w świecie temu ponuremu, staremu zrzędzie Maurycemu, główne siły perskich kopijników w centrum wpadły w jego pułapkę. Prawda, doszło do tego na skutek natarcia poprowadzonego przez idiotę, ale takie jest pierwsze prawo bitew. Błąd dotyczy obu stron.

Siedząc w siodle nie dalej niż piętnaście metrów od obwałowań, Belizariusz nie mógł powstrzymać się od szczerzenia zębów w uśmiechu. Nie widział dobrze, ale domyślał się, co się tam dzieje.

Wyobraźmy sobie trzy tysiące perskich kopijników nacierających na nędzny, niski wał ziemny, broniony przez nie więcej niż tysiąc przerażonych, roztrzęsionych pieszych. Zmiotą przeciwnika, prawda? Niczym lawina!

Cóż, nie do końca. Bo tu pojawia się problem.

Po pierwsze, każdy wierzchowiec niesie na grzbiecie mężczyznę raczej dużego niż drobnego, mającego na sobie dwadzieścia pięć kilogramów zbroi i sześć kilogramów uzbrojenia, nie wspominając o samej końskiej zbroi, ważącej około pięćdziesięciu kilogramów. W pełnym galopie na dystansie osiemdziesięciu metrów, w palącym słońcu syryjskiego lata.

Tak więc konie są zmęczone, rozczarowane i negatywnie nastawione do całej bitwy.

Po drugie, odwrotnie niż się wydaje, konie nie są głupie. A raczej odrobinę bystrzejsze niż jeźdźcy, kiedy idzie o ten rodzaj inteligencji, który nazywamy intuicją. Więc kiedy koń widzi przed sobą:

a) rów,

b) wał,

c) mnóstwo ludzi na wale, trzymających w dłoniach przedmioty z ostrymi końcami,

zatrzymuje się. I chrzanić natarcie. Jeżeli kilku głupich ludzi chce wpaść na ten niebezpieczny złom, niech leci. Co, dosyć często ma miejsce, i jeźdźcy przelatują nad głowami swoich upartych wierzchowców.

Ten wielki, romantyczny mit o kawaleryjskiej szarży. Belizariusz dziwił się przez całe swoje życie, że ludzie, mimo doświadczenia w bitwie i sprawozdań naocznych świadków, ciągle go podtrzymywali. Tak, konie będą szarżowały przeciwko piechocie na otwartym polu, podobnie jak przeciw kawalerii wroga. Przeciw czemukolwiek, tak długo, jak istnieje realna szansa przebiccia się przez linie wroga, z uwzględnieniem rozsądnych strat.

Ale żaden koń przy zdrowych zmysłach nie będzie szarżował na wał zbyt wysoki, aby go przeskoczyć. A szczególnie, jeżeli jest on najeżony okropnymi, ostrymi przedmiotami.

I przekonywanie konia, że piechota broniąca umocnień jest przestraszona i zdemoralizowana, nie ma najmniejszego sensu.

A więc to tak? No to ci mówię, ty dupku. Zejdz z mojego grzbietu i pokaż, jak to się robi. Sam skacz na własnych nogach. Moje są już zmęczone.

Konie zatrzymają się tuż przed rowem i palisadą, nawet jeżeli fortyfikacji broniłby w rzeczywistości tylko tysiąc zniechęconych żołnierzy piechoty. Ale w tym przypadku jednakże było inaczej. Jak tylko konni podjechali bliżej, Hermogenes wydał rozkaz i rogi zabrzmiały nowym dźwiękiem. Nowym, radosnym dźwiękiem.

Niespodzianka!

Kolejne trzy tysiące żołnierzy, którzy kryli się za wałem i w okopach, stanęło na równe nogi i zajęło pozycje. Ściana była teraz najeżona włóczniami trzymanymi przez ludzi w pełni sił psychicznych i fizycznych.

Pierwsza linia wierzchowców zatrzymała się z kwikiem. Wielu jeźdźców spadło na ziemię. Niektórzy zginęli na skutek upadku. Wielu tych, którzy przeżyli, zostało poturbowanych i posiniaczonych.

Druga linia koni wpadła na pozostałości pierwszej, trzecia na drugą, czwarta na trzecią. Kolejni jeźdźcy wylatywali z siodła. Do ran odniesionych podczas upadku doszły te zadane kopytami koni. W przeciągu kilku sekund cała masa szarżujących perskich kopijników zamieniła się w nieruchomą, falującą, pogrążoną w chaosie stertę. A teraz, co było najgorsze ze wszystkiego, rzymska piechota zaczęła zasypywać kłębiących się Persów gradem *plumbata*. Na tak krótkim dystansie i przeciwko masie zdezorientowanej i zagubionej kawalerii, naładowane ołowiem pociski były przerażająco skuteczne. Tym bardziej, że rzucający je żołnierze należeli do ekspertów.

Rogi zagrały ponownie. Tysiące żołnierzy rzymskiej piechoty zaczęło przełazić przez umocnienia. Wielu z nich niosło miecze typu *spatha*, ale większość używała krótszej wersji tego miecza. Każdy z tych ludzi wskoczy w kłębiący się tłum perskiej kawalerii i zastosuje najpopularniejszą technikę walki piechoty z opancerzonym jeźdźcą.

Rzeczywiście, była to może niegodziwa technika, która nigdy nie miała zastosowania w walce z poruszającymi się kawalerzystami. Ale w przypadku jeźdźców zmuszonych do zatrzymania wynik starcia był jasny jak słońce.

Unieruchomić konie, przecinając ścięgna podkolanowe i rozpruć im brzuchy. A potem zarżnąć arystokratów, kiedy już są na ziemi, na równi z nami, prostakami. Spójrzcie, jak bardzo pomaga im ta ciężka, wspaniała zbroja. I ich łuki, ich lance, i ich wymyślne długie miecze. Teraz liczy się tylko nóż, mój panie.

Belizariusz wyjechał z obozu. Wygra tę bitwę, jeżeli tylko doprowadzi szczęśliwie do finalnego uderzenia.

Mimo pędu do zwycięstwa, Belizariusz był ostrożny i trzymał entuzjazm na wodzy. Nie spieszył się, miał jeszcze czas. Niewiele, ale wystarczająco dużo czasu. Nie chciał, żeby konie się rozpierzchły.

Nawet nie czekając na rozkazy, Walentynian i Anastazjusz powstrzymywali nadmiernie rozentuzjasmowanych żołnierzy, którzy zbyt szybko popędzali konie. Był jeszcze czas. Jeszcze czas. Niewiele, ale wystarczająco dużo.

Kiedy minęli zachodni stok pagórka, dołączyło się do nich dwa tysiące jeźdźców z armii Belizariusza. Miał teraz oddział złożony z czterech tysięcy ludzi, nie draśniętych i pewnych siebie, jadących na wypoczętych koniach.

Belizariusz zobaczył małą sylwetkę człowieka stojącego na zachodnim zboczu, obserwującego przemarsz wojska. To Menander, pomyślał, ciągle na swoim niechcianym posterunku. Nawet z tej odległości wydawało mu się, że widzi gorycz w postawie chłopca.

Przykro mi, chłopcze. Ale dostaniesz swój przydział rozlanej krwi w przyszłości. I z tego to właśnie powodu jest mi tak bardzo przykro.

Teraz siły Belizariusza zaczęły powoli okrążyć podstawę pagórka od północnej strony. Żołnierze przeszli już niemal przez całą długość linii i zamierzali z boku uderzyć na nie chronioną prawą flankę przeciwnika.

Przebyli drogę wokół pagórka pod wodzą Belizariusza. Centrum pola bitwy było nadal zasnutę przez kurzawę, ale Rzymianie mogli dostrzec perskich konnych łuczników usiłujących szturmować

wzgórzu. Persowie padali jak muchy i było oczywistym, że są coraz bardziej zniechęceni.

Zniechęcenie szybko przerodziło się w przerażenie. Cztery tysiące rzymskich kopijników przebiło się przez konnych łuczników, nawet nie zwalniając. Chwilę później wpadli w sam środek chmury pyłu, celując w grupę unieruchomionych na środku pola perskich ciężkozbrojnych.

Belizariusz odwrócił się do połowy w siodle i dał znak jadącym za nim trębaczom. Rogi zagrały sygnał rozkazujący pełną szarżę. Ich dźwięk, cienki i przeszywający, przedarł się przez bitewny zgiełk.

Pomimo hałasu generał mógł słyszeć rozmowę jadących tuż za nim Anastazjusza i Walentyniana.

Walentynian: Mówiłem ci, że tak będzie.

Anastazjusz: *Nieartykułowane parsknięcia.*

Walentynian: *Mamrotanie, mamrotanie.*

Belizariusz: Co powiedziałaś na ostatek? Nie do końca zrozumiałem.

Walentynian: *Cisza.*

Anastazjusz: Wydawało mi się, że powiedział „pieprzyć odważnych oficerów”.

Walentynian: *Syk.*

Anastazjusz: Ale może wcale nie. Jest straszny hałas. Może ten zinnokrwisty, mały morderca powiedział „pieprzyć poważnych koronerów”. Idiotyczny frazes, nie na miejscu na polu bitwy, oczywiście. Ale on jest...

Pozostałe słowa nie dotarły do Belizariusza. Pierwszy z perskich kopijników, odwrócony plecami do nacierających, ukazał się w chmurze pyłu. Belizariusz podniósł lancę i wbił ją prosto w serce Persa. Wróg spadł z konia, wytrącając włócznię z rąk generała.

Kolejny Pers odwracał się w kierunku nacierających. Belizariusz wyciągnął swój długi kawaleryjski miecz z pochwy i jednym ruchem odciął ramię przeciwnika. Kolejny Pers, znów odwrócony. Miecz przeciął jego szyję, pod brzegiem hełmu. I kolejny, tym razem twarzą w twarz. Miecz uderzył w tarczę, zbił ją na bok i zrzucił hełm z głowy żołnierza. Pers spadł z konia na ziemię, nieprzytomny. Pomiędzy kopytami szalejących zwierząt będzie martwy w przeciągu minuty, rozgnieciony na krwawą papkę.

Cała rzymska kawaleria uderzyła na Persów, koncentrując natarcie na prawym skrzydle, które wcześniej straciło szyk. Początkowe natarcie przekształciło się w potworną rzeź. Rzymianie całkowicie zaskoczyli wroga. Wielu z Persów, w pierwszych chwilach ataku, padło od ciosów, których nawet nie zdążyli zauważyć.

W pewnej mierze Belizariusz stanął przed problemem, który mieli przed bitwą Persowie. Tysiące wrogich kawalerzystów stłoczonych przed rzymskim obozem w centrum pola bitwy nie stanowiło muru w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale byli poważną przeszkodą. Walka stała się pojedynkiem żołnierzy, dosiadających rozszalałych, stłoczonych koni. Walczący nie mogli używać lanc. Teraz w ruch poszły miecze, pałki i topory. W rękach żołnierzy były to mordercze narzędzia.

Jednakże pomimo panującego chaosu wynik bitwy był jasny. Persowie zostali uwięzieni pomiędzy dorównującym im liczebnością oddziałem kawalerii i tysiącami rzymskiej piechoty. Ich największa siła, ta niedościgniona perska umiejętność walki, czyli zastosowanie szybkiej, silnej kawalerii, została całkowicie wyeliminowana. Rzymscy kawalerzyści nie mogli się równać z perskimi, ale to nie była już walka w otwartym polu. To była bitwa oparta na wykorzystaniu sił piechoty, w której większość żołnierzy przypadkiem siedziała na końskich grzbietach.

Jak zwykle w takich warunkach, coraz więcej żołnierzy obu stron szybko znalazło się na ziemi. Jezdni spadali, gdyż zadawanie ciosów ciężkimi mieczami i toporami było prawie niemożliwe, kiedy koń stał w miejscu. Żołnierz trzymał się w siodle, wykorzystując siłę kolan i, o ile było to możliwe,

a w bitwie raczej się nie zdarzało, ręki opartej na łęku. Każdy prawidłowo wyprowadzony cios uderzający w zbroję czy tarczę wyrzucał przeciwnika z siodła. Każde źle zadane uderzenie powodowało siłą bezwładu niecelnego ciosu, że sam atakujący lądował na ziemi.

Po pięciu minutach walki prawie połowa kawalerzystów po obu stronach walczyła pieszo.

– Będzie tak źle jak nad jeziorem Ticinus – zaburczał Anastazjusz. Żołnierz zwałił Persa na ziemię jednym uderzeniem maczugi. Nic mniej wymyślnego. Anastazjusz nie potrzebował się martwić. Gigantyczna maczuga wgniotła tarczę zaatakowanego w jego hełm z siłą, która najprawdopodobniej zmiażdżyła mu czaszkę.

Belizariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu. Antyczna bitwa nad jeziorem Ticinus była obowiązkowym składnikiem rzymskich wojennych legend. Miała miejsce podczas Drugiej Wojny Punickiej i rozpoczęła się jak typowa bitwa kawalerii, a skończyła jak typowa bitwa piechoty. Wszyscy ludzie obu stron, zgodnie z opowieściami, spadli z koni, zanim walka się skończyła.

Belizariusz sam był zdziwiony, że ciągle jeszcze siedzi w siodle. Częściowo była to oczywiście zasługa jego przybocznych strażników. W całej swojej karierze Anastazjusz tylko raz spadł z konia podczas bitwy. I to się tak naprawdę nie liczyło, bo pierwszy upadł jego koń, pośliznąwszy się na łące śniegu gdzieś na bezimiennym polu bitwy w Dacji. Anastazjusz był tak ogromny i silny, że, do spółki z potężnym wierzchowcem, był w stanie odeprzeć ciosy, nie ruszając się z siodła.

Walentynian z kolei zeskoczył z konia, jak tylko bitwa przerodziła się w powolny, zakleszczony pojedynek. Przypuszczalnie Walentynian był jeszcze bardziej zabójczy w bitwie niż Anastazjusz, ale jego skuteczność wynikała z umiejętności, zręczności i szybkości. Te zalety prawie całkowicie się znosiły w tego typu starciu, tak długo, jak był uwięziony na unieruchomionym wierzchowcu.

Walentynian jednakże był weteranem. Pomimo jego wcześniejszych narzekań na konieczność walki pieszo, natychmiast zsiadł z konia i zaczął wypatrywać przeciwnika. Rezultat stanowił krwawy trop koni z poprzecinanymi ścięgnami i rozprutymi brzuchami, obok których w kałużach krwi leżeli ich jeźdźcy.

Z tymi dwoma, którzy go osłaniali, i z własną ogromną umiejętnością walki, Belizariusz nie został nawet draśnięty.

Jednakże to wydawało się dziwne. Musiało być coś jeszcze. Belizariusz na początku tego nie zauważył, ale niewielka przerwa w walce pozwoliła mu się chwilę zastanowić. W istocie, walczył o wiele za dobrze.

Belizariusz był mistrzem miecza. Słyszał, że tak mówią, i wiedział, że to prosta i beznamiętna prawda. Ale nigdy nie był tak doskonały jak podczas tej bitwy. Przyczyna nie leżała w dodatkowej sile ani wytrzymałości. To po prostu było coś innego. Widział wszystko z doskonałą jasnością i precyzją, nawet w oparze pyłu. Zdawało mu się, że jest w stanie najdoskonalej przewidzieć każdy ruch przeciwnika i wyprowadzić uderzenie z największą skutecznością. Za każdym razem unikał ciosu z minimalnym marginesem bezpieczeństwa, ale w jakiś sposób wiedział, że ten margines jest wystarczający. Raz po razie zadawał ciosy poprzez najwęższe szczeliny w obronie przeciwnika, przez najmniejsze odsłony i wiedział, był pewien, że te szczeliny były wystarczające. Wielokrotnie zsuwał się z siodła i znów odzyskiwał równowagę z doskonałą łatwością.

Dziwne. W rzeczywistości sam pozostawiał za sobą własny ślad śmierci i krwi, wyraźny niczym ścieżka wydeptana w lesie przez słonia.

Nawet jego katafrakci to zauważyli. I zaczęli narzekać, a przynajmniej jeden z nich.

– Mieliśmy cię przecieżyć bronić, generale – syknął Walentynian. – A nie odwrotnie.

– Przestań narzekać! – zahuczał Anastazjusz. *Brzdęk*. Kolejny Pers pożegnał się z życiem. – Jestem dużym celem. Potrzebuję całej ochrony, na jaką mogę liczyć. – *Brzdęk*.

Walentynian zaczął mamrotać coś pod nosem, ale nagle ucichł, uważnie nasłuchując.

– Wydaje mi się...

– Tak – potwierdził Belizariusz. On też to usłyszał. Pierwszy błagający o litość krzyk wydarł się z perskiego gardła i został natychmiast stłumiony.

Generał opuścił miecz i zwrócił się do Anastazjusza.

– Zawołaj Maurycego i innych. Teraz. Nie chcę zakończyć tej bitwy rzezią. Próbujemy wygrać tę wojnę, a nie rozpętać nową.

– Nie ma potrzeby – burknął Anastazjusz. Wyciągnął prawe ramię i pokazał coś okrwawioną pałką. Belizariusz odwrócił się i zobaczył całą swą tracką ochronę zbliżającą się do nich konno.

W kilka sekund Maurycy podjechał do nich.

– Nie chcę tu żadnej masakry, Maurycy! – zawołał Belizariusz. – Tutaj opanuję sytuację, ale Hunowie...

Maurycy wpadł mu w słowo.

– Zbliżają się właśnie do perskiego obozu. Postaram się ich zatrzymać, ale będę potrzebował posiłków, jak tylko będziesz mógł mi użyczyć swoich ludzi.

Bez zbędnych słów setnik zmusił konia do galopu. Chwilę później oddział trackich katafraktów pędził na wschód w kierunku perskiego obozu.

Błagania o litość dobiegały teraz z całego pola bitwy. Wiele z nich zostało zduszonych w pół trwania. Persowie przestali walczyć. Lekka kawaleria uciekała z pola walki. Perska piechota dawno już zaczęła biec do obozu. Ciężkozbrojni jezdni, uwięzieni w centrum pola, próbowali się poddać, ale bez większego sukcesu. Rzymscy żołnierze piechoty byli bowiem ogarnięci bitewnym szałem. Mścili się na tych, którzy tak często w przeszłości wlewali strach do ich serc.

Belizariusz wjechał prosto w ten zamęt. Kiedy tylko zechciał go użyć, generał posiadał bardzo donośny i wyćwiczony głos. Anastazjusz dołączył się do niego swoim dudniącym basem. Jednakże, dosyć zaskakująco, to właśnie nosowy tenor Walentyniana przedarł się przez zgiełk jak miecz.

Prosty okrzyk, który powstrzymał Rzymian od dalszego mordowania Persów.

Okup! Okup! Okup!

Okrzyk został natychmiast podjęty przez samych Persów. W przeciągu kilku sekund masakra ustała. Rzymska piechota mogła być w połowie szalona, ale z pewnością żołnierze nie należeli do zamożnych. I nagle dotarło do nich, że trzymają w swoich dłoniach życie setek, może nawet tysięcy Persów. Persów wysoko urodzonych. Bardzo bogatych wysoko urodzonych.

Belizariusz szybko odnalazł Hermogenesa. *Chiliarcha* piechoty podjął się zorganizowania poddania Persów. Uspokojony Belizariusz udał się na poszukiwanie Eutychiana.

Ale nie mógł go znaleźć. Odnalazł tylko jego ciało, leżące na ziemi ze strzałą wbity w gardło.

Belizariusz, patrząc w dół na zwłoki, poczuł ogromny smutek spływający na jego duszę. Nie znał dobrze Eutychiana. Ale cieszył się na myśl, że będzie mógł go poznać.

Strząsnął z siebie smutek. Później. Nie teraz.

Znalazł najwyższego rangą dowódcę kawalerii Armii Libanu, który przeżył. Mężczyzna miał na imię Mundus. Należał on do grupki przyjaciół Farasa i jego twarz zbladła lekko, kiedy ujrzał zbliżającego się Belizariusza. Kiedy dostrzegł Walentyniana i Anastazjusza jego oblicze zbieleło jeszcze bardziej.

– Zbierz kawalerzystów, Mundusie – rozkazał Belizariusz. – Przynajmniej trzy *ala*. Potrzebuję ich, aby wsparli moich katafraktów w perskim obozie. Hunowie urządzają tam rzeź i muszą temu zapobiec.

Mundus skrzywił się.

– To nie będzie łatwe – wymamrotał. – Ludzie będą chcieli swojej części...

– Zapomnij o okupie! – zagrmiał generał. – Jeżeli będą narzekać, powiedz im, że mam na oku większy łup. Później ci wyjaśnię. Ale teraz, rusz się, do cholery!

Walentynian zaczął przysuwać się z koniem w kierunku Mundusa, ale nie musiał interweniować. Prerażony oficer natychmiast zaczął wydawać rozkazy swoim podkomendnym. Oni zaś zaczęli zwoływać swoich żołnierzy.

Belizariusz widział, że kawalerzyści byli zmartwieni, gdyż rzymska piechota miała zgarnąć lwią część łupów. Tradycyjnie okup należał się temu, kto osobiście pojmał więźnia. To był zły zwyczaj w odczuciu Belizariusza i dlatego zamierzał go w przyszłości zmienić. Po raz pierwszy w ciągu wieków rzymska piechota odzyskała swoją dawno utraconą chwałę i Belizariusz nie zamierzał odbierać im zwycięstwa ani zysków z niego.

Kiedy dojechali do perskiego obozu, w powietrzu czuło się napięcie. Samo obozowisko zamieniło się w ruinę. Większość namiotów leżała na ziemi niczym zmięte łachmany. Te, które ciągle stały, były pocięte na strzępy ostrzami mieczy. Wozy leżały poprzewracane i rozbite. Część zniszczeń była dziełem huńskich najemników, ale wiele uczynili także sami Persowie. Wyczuwając klęskę, ciury obozowe w pośpiechu wygrzebały swoje najcenniejsze rzeczy i szybko uciekły.

Ale nie wszystkim się udało. Kilku martwych Persów leżało na ziemi przeszytych strzałami. Wszyscy byli mężczyznami. Hunowie oszczędzili kobiety i dzieci. Kobiety przeznaczyli do zabawy. Dzieci zostaną później sprzedane w niewolę.

Najemnicy nie zaczęli jeszcze korzystać z łupów i dawać upust okrucieństwu, kiedy przybyli Trakowie, aby przerwać te brutalne zabawy. Nie zaczęli na dobre.

Sytuacja była bardzo napięta. Po jednej stronie piesi, ale uzbrojeni, huńscy najemnicy. Po drugiej, ciągle w siodłach, uzbrojeni i z napiętymi łukami, w liczbie trzech setek znajdowali się traccy katafrakci.

Hunowie mieli nad nimi przewagę liczebną tylko jeden do trzech. Tak więc wynik jakiegokolwiek starcia był dla wszystkich oczywisty. Najemnicy zostaną wycięci w pień. Ale nie bez strat ze strony Traków.

Generał nie dbał o Hunów. Ale byłoby głupotą marnować własnych katafraktów.

Mundus wskazał mu trzech dowódców najemników. Jak zwykle u Hunów, ich stopień wywodził się z pozycji zajmowanej w klanie, a nie z rzymskiego wojennego protokołu.

Belizariusz podjechał do nich i zsiadł z konia. Walentynian i Anastazjusz pozostali w siodłach. Obaj mężczyźni mieli w rękach łuki z nałożonymi cięciwami i założonymi strzałami.

Huńscy przywódcy klanów spoglądali na niego z wściekłością. Trzech młodych wojowników obrzucało Traków wyzwiskami. Jeden z nich trzymał za włosy młodą perską kobietę. Dziewczyna była prawie naga; płakała, klęcząc na ziemi. Obok niej na ziemi siedział chłopiec; jej brat, pomyślał Belizariusz. Był wyraźnie oszołomiony. Trzymał się za głowę obiema rękami. Spomiędzy palców kapłała krew.

Belizariusz obrzucił wzrokiem tę scenkę i spojrzał ponownie na trzech dowódców klanów. Popatrzył im w oczy lodowatym spojrzeniem. Potem podszedł jeszcze bliżej i powiedział łagodnie w ich własnym języku, całkiem poprawnie:

– Nazywam się Belizariusz. Właśnie rozbiłem w puch całą perską armię. Czy myślicie, że mogę być przestraszony kimś takim jak wy?

Po chwili dwóch z klanowych przywódców odwróciło wzrok. Trzeci, najstarszy, wytrzymał spojrzenie.

Belizariusz skinął głową w kierunku trzech młodych Hunów trzymających dziewczynę.

– Czy to twój klan? – spytał.

Przywódca klanu parsknął.

– Nie należą do żadnego. Oni...

– Walentynian!

Belizariusz nie znał innego łuczника, który byłby szybszy i bardziej celny. Hun trzymający dziewczynę za włosy dostał pierwszą strzałą Walentyniana prosto w klatkę piersiową. Strzała przebiła serce. Druga strzała katafrakta, lecąca zaraz za pierwszą, trafiła drugiego. Anastazjusz, chociaż dopiero wyciągał łuk, wystrzelił jedną strzałę w tym samym czasie. Żaden człowiek oprócz niego nie potrafiłby naciągnąć tego niesamowitego łuku. Jego strzała przeszła na wylot przez ciało Huna.

Trzy sekundy. Trzech martwych najemników.

Belizariusz nie patrzył. Jego oczy ani na moment nie oderwały się od oczu przywódcy klanu.

Teraz uśmiechnął się. Twardy, stary człowiek. Przywódca ciągle patrzył.

I znów Belizariusz odezwał się łagodnie w języku Hunów.

– Masz prosty wybór. Możesz mnie nie posłuchać i wtedy żaden Hun nie przeżyje tej bitwy. Albo możesz się podporządkować moim rozkazom i podzielić wraz ze mną wspaniałe skarby Nisibis.

W końcu jakaś myśl przedarła się do mózgu Huna. Oczy przywódcy rozszerzyły się.

– Nisibis? Nisibis?!

Belizariusz kiwnął twierdząco głową. Uśmiechnął się szerzej.

Przywódca klanu spojrział na niego podejrzliwie.

– Nisibis to duże miasto – powiedział. – Nie masz machin oblężniczych.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Mam kilka balist i onagerów. Możemy dać Persom broniącym Nisibis poczuć ich siłę. Ale to nie ma znaczenia. Posiadam broń znacznie od nich silniejszą, przywódcu klanu. Mam potężne zwycięstwo i strach, który powstanie na wieść o klęsce Persów.

Przywódca klanu ciągle się wahał.

– Wielu perskich żołnierzy uciekło. Pobiegną do Nisibis i opowiedzą...

– Opowiedzą o czym, przywódcu klanu? Powiedzą prawdę? A kto im uwierzy? To zwykli żołnierze. Pokonani żołnierze, obdarty motłoch. Powiedzą arystokratom z Nisibis, że nie muszą się obawiać rzymskiej armii, która ich właśnie pokonała?

Przywódca klanu roześmiał się. Przy całej swojej prymitywności, człowiek ten był stanowczy. Chwilę później wyrzaskiwał komendy do swoich ludzi. Bez wahania dwaj pozostali przywódcy przyłączyli się do niego.

Należący do klanów Hunowie natychmiast podporządkowali się swoim wodzom. Pozostali, mając na uwadze trupy swoich pobratymców, również usłuchali Belizariusza. W przeciągu dwóch minut mała grupka kobiet i dzieci została bezpiecznie zebrana pod czujnym okiem katafraktów. Kilkoro z nich wygląda na poważnie zmaltretowanych, pomyślał Belizariusz, ale mogło być gorzej, Dużo gorzej.

Hunowie zaczęli oddawać zdobyte mienie, ale Belizariusz powiedział wodzom klanów, że najemnicy mogą zatrzymać łupy. Chciał tylko, żeby uwolnili jeńców.

– Dlaczego tak ci na tym zależy, Greku? – zapytał stary przywódca. Pytanie nie zostało zadane w napastliwy sposób. Mężczyzna był po prostu zdziwiony.

Belizariusz westchnął.

– Nie jestem Grekiem. Jestem Trakiem.

Przywódca klanu parsknął.

– A więc to tym bardziej nie ma sensu! Grecy są dziwni, wszyscy to wiedzą. Za dużo myślą. Ale dlaczego...

– Tysiąc lat temu, wodzu, ci ludzie już posiadali ogromną wiedzę. W czasie, kiedy twój i moi ludzie byli niczym więcej jak zwierzętami odzianymi w skóry.

I wy nadal nimi jesteście, dodał w myślach. Ale nie powiedział tego głośno.

Przywódca klanu zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Belizariusz westchnął i odwrócił się.

– Wiem – wymamrotał. – Wiem.

* * *

Dwa tygodnie później Nisibis skapitulowało.

To nie była oczywiście zupełna kapitulacja. Rzymianie nie weszli do miasta. Arystokracja potrzebowała tego gestu, który pozwalał im na zachowanie twarzy w obliczu późniejszych rozmów z perskim imperatorem. A Belizariusz, z sobie tylko znanych powodów, nie chciał ryzykować triumfalnego wejścia do miasta. Wydawało mu się, że kontroluje w pełni swoje oddziały, ale pokusa była zbyt wielka, szczególnie dla najemników, którzy stanowili dużą część armii. Zajęcie miasta bez rzezi wydawało się mało prawdopodobne.

Nie, lepiej omijać ten problem z daleka. Persowie, tak jak Rzymianie, byli cywilizowani. Utrata skarbu to po prostu utrata skarbu. Szybko się o tym zapomina. Ale okrucieństwo pali umysł przez wieki. Wieki tej głupiej, bezsensownej, niekończącej się wojny pomiędzy Persami i Grekami, która zaszła już za daleko.

Tak więc nie było wejścia do miasta ani masakry. Ale, oczywiście, skarb został utracony. O tak. Nisibis wypluło swoje nagromadzone drogocenneści. Część w formie bezpośredniego trybutu. Resztę jako okup za pojmanyh arystokratów, których Nisibis będzie trzymać, w rozsądnie komfortowych warunkach, dopóki szlachetnie urodzeni nie zwrócą długu.

Rzymianie odeszli od murów Nisibis ze skarbem większym, niż żołnierze odważyli się marzyć. W przeciągu trzech dni, jak tylko rozeszła się wieść o zwycięstwie, armia została otoczona wieloma ludźmi. Pomiędzy nimi, oprócz zwyczajowych obozowych ciurów, znajdowała się istna horda lichwiarzy. Żołnierze z armii Belizariusza natychmiast zamienili swoje łupy na dobra zajmujące niewiele miejsca i na klejnoty. Doświadczenie nauczyło ich, że surowe wymagania generała co do przemieszczania się wykluczały ciągnięcie za sobą dużych i nieporęcznych skarbów. Tak jak wielki Filip z Macedonii, Belizariusz używał mułów do przewożenia zapasów armii. Jedynymi pojazdami, na jakie się godził, były karetki polowe i wozy artylerii.

Obserwując i zadając pytania, Armia Libanu szybko poszła w ślady swoich nowych kolegów.

Belizariusz był wielkim generałem. Może trochę dziwnym. Niewyobrażalnie bezwzględny w pewnych sytuacjach. Przy ogniskach żołnierze opowiadali historie, jak wycięto w pień perską kawalerię i jak *chiliarcha* stracił głowę. Pierwsza opowieść wywoływała na twarze uśmiechy zadowolenia. Druga powodowała radosne okrzyki. Z drugiej strony generał był dziwnie wrażliwy. Opowiadano o kobietach i dzieciach, prawie nietkniętych i zwróconych Persom w Nisibis, i o Hunach nadzianych na strzały. Pierwsza historia pobudzała słuchaczy do zadziwionego kiwania głowami, druga wywoływała okrzyki radości. Nawet, po dniu czy dwóch, również u Hunów, którzy nie byli przewrażliwieni i wykazywali niejakie poczucie humoru.

Dziwny generał. Ale ciągle wielki, bez wątpienia najlepszy. Lepiej się go trzymać.

Do doskonałego samopoczucia żołnierzy przyczyniła się także niezwykła szczodrość katafraktów generała. Trakowie byli uważani za doskonałych kolegów, najlepszych towarzyszy. Kupowali

każdemu coś do picia, na każdym postoju armii. Te zaś były bardzo częste. Wielki generał łagodnie traktował swe zwycięskie oddziały i gromada wlokących się za armią kupców co wieczór rozkładała w pobliżu obozowiska prowizoryczną tawernę. Żołnierze wydawali się opływać w dostatki, sądząc po sposobie, w jaki rozrzucali dookoła pieniądze.

I rzeczywiście tak było. Jako głównodowodzący, Belizariusz otrzymał znaczną część łupów i połowę z nich natychmiast rozdał pomiędzy członków swojej osobistej ochrony, zgodnie ze swoją długoletnią tradycją. Zwyczaj ten bardzo odpowiadał katafraktom. A jeszcze większą przyjemność sprawiał Belizariuszowi. Częściowo dlatego, że hojność leżała w naturze jego dobrego serca. Ale jeszcze bardziej z powodu zimnej kalkulacji, jaką przeprowadził jego pokrętny umysł. Po prawdzie, katafrakci byli mu oddani, co wynikało ze zwyczaju i ich natury. Ale nigdy jeszcze nie zaszkodziło scementować tę przyjaźń za pomocą złota tak mocno, jak to możliwe.

Nie, pomyślał, przypominając sobie głowę upartego *chiliarcha* i strzały przebijające serca Hunów. Nigdy nie zaszkodzi.

* * *

Tylko trzech ludzi w całej ogromnej armii wracającej w chwałę nie podzielało radości generała i nie doceniało jego dobrej woli.

Dwaj z nich byli braćmi i pochodzili z Tracji. I chociaż wyszli z ostatniego starcia praktycznie nie uszkodzeni na ciele, ich umysły zostały dotknięte.

Tak jak Belizariusz się spodziewał, Bouzes i Coutzes nie byli do końca głupi. Mieli mnóstwo czasu podczas pobytu w więzieniu w Nisibis, żeby przemyśleć sobie wydarzenia z przeszłości. I aby wyciągnąć jasne wnioski o nigdy nie odnalezionym karawanie z żołądem.

Pierwszej nocy marszu do Mindos bracia przyszli do namiotu Belizariusza. Przyszli zdenerwowani. Odepchnęli na bok Maurycego, co było dowodem na to, że ich nowo nabyty rozsądek nie do końca stał pewnie na nogach, a pamięć lekko szwankowała. Potem zarzucili generałowi dwulicowość i zdradę.

Nie minęło kilka minut, a Bouzes i Coutzes nauczyli się czegoś nowego. Inni poznali już ten temat wcześniej. Niektórzy, jak przywódcy huńskich klanów, zdołali nawet przeżyć tę lekcję.

I tak samo przeżyli ją bracia, ledwo, ledwo.

Belizariusz dał im trzy proste drogi postępowania do wyboru.

Pierwsza: mogli dołączyć do jego triumfu, udając, że nic się nie zdarzyło i uratować resztki reputacji. Z pomocą Belizariusza wymyśliliby odpowiednią historyjkę kryjącą prawdziwe wydarzenia. Nawet dostaliby część łupów z Nisibis.

Druga: mogli odejść i roztrąbić swoją krzywdę na cały świat. W przeciągu roku, jeżeli Justynian będzie wyrozumiała ze względu na zwycięstwo, jakie generał odniósł nad Persami, bracia będą wachać kwiatki w swojej posiadłości w Tracji i rozlewać nawóz pod uprawy. Jeżeli imperator nie będzie wyrozumiała, a wyrozumiałość nie jest jego najbardziej wyraźną cechą charakteru, bracia będą wachać kwiatki w jednej z wielu posiadłości cesarza. Od spodu, bo to oni będą nawozem.

Albo, na końcu, jeżeli ich gniew jest zbyt wielki, aby go stłumić, mogą wybrać trzecie wyjście.

Walentyniana.

* * *

Bracia, w końcu, pożegnali się z głupotą. Nie było to łatwe, prawda, i nie obyło się bez gorzkich łez i ciepłych uścisków dla ich odchodzącego przyjaciela. Ale, w końcu, dali radę wysłać głupotę na bezpowrotny rajd.

Późnym wieczorem, w rzeczywistości, bracia byli raczej w łagodnym nastroju. Duże ilości wina pozwoliły im się uspokoić, tak jak myśli o dużych sumach i bogactwach łupów. Ale największy

udział w pocieszaniu miała jedna, mała, dosyć okrutna myśl kołacząca się po umysłach braci.

Wreszcie, tym razem, uczciwy tracki chłopak został oszukany przez innego Traka. Nie przez jakiegoś cholernego Greka czy Armeńczyka.

* * *

Kiedy wyszli, Belizariusz zdmuchnął latarnię i położył się na pryczy.

Był wyczerpany, ale sen nie nadchodził. Było coś, co musiał wiedzieć. Pozwolił, aby umysł wędrował przez swój własny labirynt, aż znalazł miejsce, o którym myślał jako o zarysowaniu bariery.

Wyczuł obecność klejnotu.

To byłeś ty, prawda? Pomagałeś mi w bitwie?

Wtedy właśnie Belizariusz wyczuł tego trzeciego, który nie dzielił radości i satysfakcji z resztą żołnierzy generała. Myśli klejnotu były niespójne, na początku. Dziwnie, pod spodem wyczuwał jakby pewną do nich wrogość. Nie wyrzut ani oskarżenie, jak to miało miejsce wcześniej. To było bardziej jak...

Tak. Rozdrażnienie.

To dziwne. Dlaczego miałby...

Myśl nagle stała się jasna.

tak. pomogłem. trudne

A potem, z wyczuwalnym rozdrażnieniem.

bardzo trudne

A potem, tak jak młodszy brat mógłby odzywać się do starszego.

głupie

Głupie? Co jest głupie?

ty jesteś głupi

Belizariusz usiadł, zaskoczony.

Ja? Dlaczego jestem głupi?

nie ty. ty. wszyscy. wszyscy głupcy

I teraz ze zdwojoną siłą.

idioci

Belizariusz marszczył brwi w zamyśleniu. Nie mógł znaleźć nic, co mogłoby aż tak zasmucić klejnot.

Wyczuł nowy pomysł, nową myśl próbującą przebić się przez barierę. Ale myśl odeszła w nicość, pokonana.

Nagle szybka wizja przemknęła mu przez głowę.

Scena z bitwy, która wydarzyła się dzisiaj. Masa kawalerzystów walcząca ze sobą. Jeźdźcy spadają ze swoich wierzchowców. Kolana mocno zaciśnięte na okrągłych końskich bokach. Dłonie trzymające się kurczowo łęków. Mężczyźni spadający z koni za każdym razem, kiedy otrzymują cios albo sami zadają niecelne pchnięcia.

idioci

Kolejna wizja. Nic więcej tylko błyskawiczne obrazy.

Konny galopujący po stepie. Swego rodzaju barbarzyńca. Belizariusz nie potrafi rozpoznać plemienia. Jedzie na koniu z gracją i pewnością siebie. Obraz zbliża się do jego nóg. Jego stopy.

Myśl w końcu przedostaje się do umysłu generała.

strzemiona

Belizariusz ze zdumienia otworzył usta.

– A niech mnie diabli – wyszeptał. – Dlaczego nikt nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

głupcy

KONSTANTYNOPOL

Jesień, 528 n.e.

Rozdział 9

– Bohaterze naszych czasów! – wołał Sitas. – Witaj, triumfujący zdobywco! – Osuszył puchar jednym haustem. – Powstaję, aby cię pozdrowić, Belizariuszu, ale obawiam się, że mogę zemdleć w obecności tak dostojnej osoby. – Czknął. – Jestem uzależniony od czczenia bohaterów. To okropny nałóg, po prostu okropny. – Złapał za dzban stojący na stole obok sofy, na której siedział i machnął nim w bliżej nieokreślonym kierunku. – Nalałbym ci coś do picia, ale obawiam się, że tylko rozleję ten cenny trunek. Ręce mi drżą w towarzystwie tak legendarnej postaci, rozumiesz, jak zdenerwowanej pensjonarce.

Sitas ponownie napełnił swój puchar. Jego ogromna dłoń była niewzruszona jak skała.

– A jeżeli już o tym mowa – kontynuował. – O pensjonarkach, mam na myśli, pozwól, że cię przedstawię mojej przyjaciółce.

Sitas machnął wolną ręką w kierunku siedzącej obok niego na sofie młodej kobiety.

– Ireno Macrembolitissa, przedstawiam ci najślawniejszego wśród generałów, Belizariusza. I jego uroczą żonę, Antoninę.

Belizariusz przeszedł przez pokój i uklonił się uprzejmie; kobiecie, nie Sitasowi.

Irena odznaczała się uderzającą powierzchownością. Nie była ładna, w typowym tego słowa znaczeniu, ale atrakcyjna w pewien śmiały sposób. Miała jasną cerę, orzechowe włosy, brązowe oczy i duży orli nos. Zdawało się, że dobiega trzydziestki, ale Belizariusz podejrzewał, że może być starsza.

Spokojny, nieprzenikniony wyraz na twarzy Belizariusza nie zmienił się nawet na chwilę. Ale generał był więcej niż zdumiony. Irena nie przypominała przyjaciółek, z jakimi zwykle spotykał się Sitas. Zazwyczaj liczyły one sobie około piętnastu wiosen i miały iloraz inteligencji równy podwojonej liczbie lat.

– Nie przyglądaj mu się tak uważnie, Ireno! – ostrzegł Sitas. – Nigdy nie możesz być pewna, co kryje się w umysłach mitycznych półbogów. Najprawdopodobniej zapłodni cię samą swoją aurą.

Irena uśmiechnęła się.

– Proszę, nie zwracaj na niego uwagi. Udaje, że jest pijany.

– Całkiem nieźle mu wychodzi – zauważyła Antonina. – Prawie tak dobrze, jakby był pijany naprawdę. Praktyka czyni mistrza.

Wyraz zranionej niewinności pojawił się na mięsistej twarzy Sitas. Mina ta niezbyt do niego pasowała.

– Jestem potwornie zawstydzony – wyjęczał. – Rozgniewany. Obrażony ponad wszelką miarę. – Znów opróżnił puchar i sięgnął po dzban. – Widzisz, co uczyniły twoje wyrzuty, niedobra kobieto? Wpędziły mnie w pijaństwo, na Boga! W pijaństwo!

Irena podniosła się i podeszła do długiego stołu ustawionego pod ścianą w drugim końcu komnaty. Powróciła z kubkami w obu dłoniach i wręczyła naczynia Belizariuszowi i Antoninie.

– Proszę, usiądźcie – powiedziała, wskazując na sofę w pobliżu. Ogromny pokój był zapchany do niemożliwości kanapami, każda z nich posiadała bogate obicie. Kolory tapicerki gryzły się wściekle z wzorami mozaik i gobelinów, które zdobiły prawie każdą wolną powierzchnię ścian. Ozdoby wyglądały na droższe nawet od kanap, a cały wystrój był, mówiąc oględnie, w złym guście.

Kiedy generał i jego żona zajęli miejsca na sofie, Irena napełniła ich kielichy płynem z innego dzbana. Postawiła naczynie na stole i powróciła na swoje miejsce.

– Sitas wiele mi o tobie opowiadał – powiedziała Irena.

– Czy powiedziałem ci także, że ma o wiele lepszy gust, jeżeli chodzi o wystrój wnętrz – wymamrotał Sitas. Jego paciorkowate oczka uważnie przyglądały się otoczeniu.

– Szczur piżmowy posiada lepszy od ciebie gust, jeżeli chodzi o ozdabianie komnat, Sitasie – odpowiedziała Irena słodkim szeptem. Uśmiechnęła się do Belizariusza i Antoniny. – Czyż ten pokój nie jest szkaradny? – zapytała.

Antonina roześmiała się.

– Jest jak niedźwiedzia gawra.

– Gawra bardzo bogatego niedźwiedzia – skomentował radośnie Sitas. – Który może sobie pozwolić na zignorowanie drobiazgów takich jak artystyczna kompozycja i niedobranie stylów. – Pochylił się do przodu. – Ale dosyć tego! Opowiedz nam, Belizariuszu. Chcę usłyszeć pełną wersję, miej to na uwadze, pełną. Nie zniosę tej twojej zwyczajowej lakoniki!

– Takie słowo nie istnieje, Sitasie – odezwała się Irena.

– Oczywiście, że istnieje! Przecież właśnie go użyłem, no nie? Jak mógłbym wypowiadać słowa, które nie istnieją? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu do Belizariusza i wziął kolejny łyk wina. – A teraz, do licha z tym! Opowiedz, jak u diabła udało ci się okpić okropne bliźnięta i pozbawić je armii?

– Nie oszukałem ich i nie pozbawiłem armii. Ta plotka jest niedorzeczna i jestem zasmucony, słysząc, jak ją powtarzasz jak papuga. Coutzes i Bouzes po prostu mieli pecha i zostali pojmani podczas zwiadu, który prowadzili przed bitwą, i zostałem zmuszony do...

Sitas parsknął, wypuszczając z ust kropelki wina.

– Nawet Justynian nie uwierzy w te bzdury! – zaprotestował.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie, Sitasie. Właśnie wracam z formalnej audiencji u imperatora, na której nie wykrył on nawet najłżejszego śladu kłamstwa w oficjalnym raporcie z bitwy.

– Cóż, oczywiście, że nie wykrył! Coutzes i Bouzes są Trakami. Trakami Justyniana. – Sitas przyglądał się podejrzliwie Belizariuszowi. – Ty też jesteś Trakiem, jeżeli już o to chodzi. – Spojrzał na Irenę. – Trzymają się razem, wiesz jak to jest. – Kolejny łyk. – Zwariowani wieśniacy! Prawdziwi greccy arystokraci nie mają teraz żadnych szans. – Obrzucił Belizariusza szybkim spojrzeniem. – A więc nie zamierzasz mi o tym opowiedzieć, mam rację?

Potem odezwał się do Ireny.

– Prawdopodobnie złożył przysięgę. On zawsze coś tam przysięga. Po raz pierwszy zrobił to, jak miał cztery latka. Przysiągł wieprzkowi. Przysiągł, że nigdy nie pozwoli nikomu zjeść tego biedaka. I dotrzymał obietnicy. Mówią, że świnia ciągle żyje, biega sobie na wolności i pożera co tylko wpadnie jej w zasięg ryja. Przekleństwo Traków, tak ją teraz nazywają. Wieśniacy wołają o nowego Herkulesa, który przybędzie i uwolni ich od tego potwora. – Odbiło mu się. – To tyle, jeżeli chodzi o korzyści z przysięgi. Nigdy nawet się do nich nie zbliżam, nie mówiąc już o składaniu.

Znów spojrzał na Belizariusza, a potem z rezygnacją wzruszył ramionami.

– A więc w porządku. Zapomnij o tym pikantnym temacie i opowiedz mi o przebiegu bitwy.

– Jestem pewien, że słyszałeś już bardzo dokładne relacje.

Sitas parsknął.

– Te bzdury! Kiedy kurierzy i heroldzi imperatora docierają do nas z opowieścią o bitwie, prawdziwy żołnierz nie jest w stanie rozpoznać ani ocenić starcia. – Nachmurzył się. – Niestety,

między swoimi licznymi talentami nasz imperator nie posiada umiejętności żołnierza. Na dworze jest jeszcze gorzej, Belizariuszu. Coraz więcej tam jednostek podobnych do Jana z Kapadocji i Narsesa. Tworzą szaloną zbieraninę klech, najgorszą, jaką zdarzyło ci się spotkać, nawet biorąc pod uwagę niskie oceny, jakie dostaje ta społeczność.

– Nie lekceważ Narsesa i Jana z Kapadocji – powiedziała Irena cicho, ale stanowczo.

– Nie lekceważę ich! Ale, och, nieważne. Później. A teraz... – odstawił kubek i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Sprytnie oczy, które teraz spoczywały na Belizariuszu, nie miały w spojrzeniu nawet najłżejszego śladu zamroczenia alkoholem.

Większość ludzi, spotykając Sitasa po raz pierwszy, była zaskoczona uderzającym podobieństwem tego człowieka do wieprza. Ta sama tusza, te same ciężkie kończyny, różowawa skóra, tak nietypowa dla Greka, podobnie obwisłe policzki, krótki zadarty nos i małe paciorkowate oczka. Belizariusz, patrząc na swojego najlepszego przyjaciela, pomyślał, że wrażenie podobieństwa było raczej nieodpowiednie. Tak długo, jak pamiętałeś o tym, że są wieprze i wieprze. Jest gatunek potulnego domowego wieprza, mieszkający w chlewiku; postać budząca śmiech i będąca źródłem dowcipów. Ale jest także ten drugi rodzaj, ogromny dziki odyniec zamieszkujący knieje, na którego widok kiszki skręcają się ze strachu. Jego kły sprawiają, że na świecie pojawiają się wdowy i sieroty.

– Opowiedz o bitwie – rozkazał odyniec.

* * *

Belizariusz nie próbował nawet skracać swojej opowieści o bitwie. Sitas należał do najlepszych generałów i Belizariusz był całkowicie pewien, że jego przyjaciel nie będzie tolerował skrótów ani uproszczonej wersji opowieści. I którekolwiek smutne rozdziały historii Belizariusz usiłował pomijać, Sitas zawsze wywlekał je na światło dzienne, zadając podstępne, naprowadzające pytania.

Kiedy generał skończył opowiadać, Sitas rozparł się wygodnie na kanapie i spojrzał z szacunkiem na Belizariusza. Potem spytał:

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Nie baw się ze mną, Belizariuszu! Sprowokowałeś Persów, a przecież mogłeś grać na zwłokę. A potem podjąłeś wyzwanie, ryzykując tak wiele, że nieomal przyprawiliś trzy Mojry o atak apopleksji. Dlaczego? Nie było powodu, aby stawać do tej bitwy i wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. – Machnął ręką, zdegustowany. – Och tak, oczywiście. Kurierzy nigdy się nie zmęczą powtarzaniem, że to największe zwycięstwo nad Persami na przestrzeni stulecia. I co z tego? Jesteśmy z Persją w stanie wojny od ponad sześciuset lat. My, Grecy, nawet dłużej. To się nigdy nie skończy, dopóki rozsądek i opanowanie nie wychylą swoich ohydnych twarzyczek zza tronów potężnych władców. Nie jesteśmy wystarczająco silni, aby podbić Persów, a oni nie są na tyle mocni, aby pokonać nas. Ta cała wojna powoduje tylko i wyłącznie spustoszenia na przygranicznych terenach i wysysa pieniądze z państwowych skarbców obu mocarstw. Takie jest moje zdanie. I takie jest też twoje zdanie, chyba że zostałeś nagle porażony wizją sławy. Tak więc pytam po raz ostatni: dlaczego?

Belizariusz nie odezwał się. Chwilę później Irena uśmiechnęła się blado i wstała z kanapy.

– Czy mogę pokazać ci ogrody, Antonino?

* * *

Kiedy znalazły się w ogrodach, Antonina usiadła na kamiennej ławeczce.

– Nie musiałaś zadawać sobie trudu – powiedziała. – Oglądałam te ogrody już wcześniej.

Irena usiadła obok niej.

– Są naprawdę jedyne w swoim rodzaju. Obawiam się, że gust Sitas w kwestii urządzania ogrodów jest tak samo groteskowy jak jego upodobania co do mebli i wystroju wnętrz.

Antonina uśmiechnęła się. Jej oczy spoczęły na pobliskim posągu. Uśmiech zamienił się w grymas.

– Oczywiście nie wspominając o jego upodobaniu do określonego stylu rzeźby.

Dwie kobiety patrzyły przez chwilę na siebie.

– Pewnie chciałabyś wiedzieć, kim ja właściwie jestem – stwierdziła Irena.

Antonina skinęła potakująco głową. Irena podniosła do góry podbródek w pytającym geście.

– To ciekawe. Dlaczego zakładasz, że jestem kimś więcej niż tylko kolejną łózkową przygodą Sitas?

– Z dwóch powodów. Nie należysz do rodzaju kobiet, które Sitas lubi widzieć w swej łóżnicy. Nawet ich nie przypominasz. I gdybyś była tylko i wyłącznie jego kochanką, nigdy nie poprosiłby cię, abyś siedziała obok niego na naszym spotkaniu.

Irena zachichotała.

– Jestem jego szpiegiem – powiedziała.

Widząc zdziwienie na twarzy Antoniny, Irena podniosła dłoń w uspokajającym geście.

– Obawiam się, że to nie zabrzmiało tak, jak miało zabrzmieć. Nie szpieguję ciebie ani twojego męża. – Wydęła wargi. – Raczej należałoby powiedzieć, że jestem jego najlepszym przybocznym szpiegiem. Dlatego poprosił mnie, abym towarzyszyła mu w tym spotkaniu. On się bardzo niepokoi, Antonino.

– Czym się tak martwi? I od kiedy to niby Sitas potrzebuje przybocznego szpiega?

Teraz to Irena wyglądała na zaskoczoną.

– Posiada swojego szpiega praktycznie od czasu, kiedy był małym chłopcem. Wszyscy greccy arystokraci, pochodzący z równej jemu klasy, korzystają z podobnych usług.

Antonina parsknęła.

– Masz na myśli Apolinarego? Ten żaloszny stary niedołęga nie potrafi nawet odnaleźć własnego tyłka za pomocą obu rąk.

Irena uśmiechnęła się.

– Och, uwierz mi, Apolinary całkiem dobrze poradziłby sobie z tym zadaniem. A przynajmniej w pełnym świetle dnia. W nocy, po ciemku, przyznaję, mógłby mieć poważne problemy. – Odgarnęła włosy opadające jej na czoło, zawahała się i dodała:

– Około roku temu Sitas doszedł do wniosku, że potrzebuje szpiega z prawdziwego zdarzenia. Pytał w wielu miejscach i w końcu uznał, że moje usługi odpowiadają mu najbardziej. Zwolnił Apolinarego, oczywiście z odpowiednio wysoką emeryturą, i zatrudnił mnie. Oficjalnie występuję jako, o ile można to tak nazwać, jego ostatnio poznana towarzyszka łózkowych zabaw.

Wydęła wargi.

– Jeżeli już o tym mowa, to przykrywka posiada szereg słabych punktów. Tak jak sama powiedziałaś, nie jestem do końca w jego typie.

– Najogólniej mówiąc.

– Czy możesz mnie uświadomić, o co im właściwie chodzi? – zapytała Irena, kiwając głową w kierunku otwartych drzwi do willi.

– Nie – odparła Antonina. – A przynajmniej na razie nie. Może później. Ale nie teraz.

Irena przyjęła odmowę bez protestów. Pojawił się służący z tacą, na której znajdowało się jedzenie i wino; postawił ją na pobliskim stole. Antonina i Irena podeszły do stołu i spędziły kilka następnych minut w zgodnym milczeniu, rozkoszując się posiłkiem. Chociaż brakowało mu gustu

w kwestii urządzania wnętrz, nawet kobieta nie mogła wytknąć Sitasowi błędów w doskonałym powadzeniu kuchni.

Pierwsza odezwała się Antonina, odsuwając na bok pusty talerz.

– Proszę, odpowiedz mi na pytanie, które ci zadałam wcześniej.

Irena odpowiedziała natychmiast.

– Przyczyną dla której Sitas postanowił wynająć właśnie mnie, a moje usługi nie są tanie, są liczne intrygi kiełkujące tu, w Konstantynopolu.

Antonina prychnęła.

– Ireno, proszę! Mówienie, że w Konstantynopolu roi się od intryg, jest jak stwierdzenie, że w chlewie roi się od mierzwy.

Irena przytaknęła.

– To prawda. Może powinnam powiedzieć, że teraz jest tego knucia o wiele więcej niż zwykle i, co ma znacznie większe znaczenie, jego przyczyna jest nie do końca jasna. Coś się święci w Konstantynopolu, Antonino. Coś głęboko ukrytego, starannie zamaskowanego, przebiegłego i zdradzieckiego. Nie wiem, o co chodzi, i nie mogłam do tej pory nic odkryć. Ale ja to czuję, czuję ten smak na wargach i węszyć w powietrzu. – I znów zatrzymała się w poszukiwaniu odpowiednich słów. – To jest... tam. Zaufaj mi.

Antonina wstała i zaczęła przechadzać się po ogrodowych alejkach. Rzuciła spojrzenie na drzwi, które prowadziły do wnętrza willi.

– Jak myślisz, skończyli już? – spytała Irena.

Antonina potrząsnęła głową.

– Nie. Sitas będzie potrzebował czasu, aby... się pozbierać.

Irena zmarszczyła brwi.

– Pozbierać się po czym?

Antonina podniosła dłoń, uspokajając swoją towarzyszkę. Podjęła swój spacer po ogrodzie ze skupionym wyrazem twarzy. Irena, z cierpliwością profesjonalisty, po prostu siedziała i czekała.

Po chwili Antonina przestała dreptać i podeszła do Ireny. Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech. I znów się zawahała.

Z wnętrza willi dobiegł głos. Okropny, kraczący głos.

– Chodźcie do środka, obie.

Irena zachłysnęła się. Sitas wyglądał na strasznie wymizerowanego. Zdawało się, że stracił na wadze co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów.

* * *

Kiedy już wszyscy znaleźli się z powrotem w salonie i zasiedli na kanapach, Sitas wychrypiął:

– Opowiedz jej, Belizariuszu.

Belizariusz spojrział na Irenę.

– Nie powiedziałem o tym nawet Maurycemu, Sitasie.

– Oczywiście, że nie! Nie ma najmniejszego powodu, aby to robić, w tym wypadku. Ale my potrzebujemy inteligencji Ireny. Mów.

Belizariusz pozostał jednak cicho, ciągle przyglądając się Irenie z uwagą. Sitas siedział skulony na kanapie, z opuszczonymi ramionami i wyciągniętym do przodu ryjem. Dziki, czerwonoooki odyniec przemówił:

– Powiedz jej!

Spokojne oczy Belizariusza ani na moment nie straciły przejrzystości. Był Trakiem, wychowanym na wsi. Zabił włócznią swojego pierwszego dzika, kiedy miał dwanaście lat.

Czerwony ogień zniknął z oczu Sitas, zastąpiony nagle przez wzruszenie ramion. A potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Zabawne, to zazwyczaj działa. Przekłęci Trakowie! Ale przecież możesz jej o tym powiedzieć, Belizariuszu. I tak jakoś to ze mnie wydobędzie, chyba że ją zwolnię. Co jest ostatnią rzeczą, jaką chciałbym teraz uczynić.

Belizariusz spojrział na Antoninę. Jego żona skinęła potakująco głową.

– Powiedz jej, mężu. Ja jej ufam.

Rozdział 10

Kiedy Belizariusz skończył opowiadać, Irena spojrzała na swojego pracodawcę. Różowawe zabarwienie cery, charakterystyczne dla skóry Sitas, powróciło już na swoje miejsce, jednakże jego policzki nadal wydawały się ściągać całą twarz do tyłu.

– Uwierz mi, Ireno – powiedział. – Przekazał ci tylko najważniejsze punkty tego problemu, ale ja... – Sitas zaczerpnął głęboki oddech. – Ja sam trzymałem klejnot i widziałem... Nieważne. Po prostu uwierz.

– Czy mogę to zobaczyć? – zapytała. Belizariusz sięgnął w fałdy swojej szaty i wyjął klejnot. Irena podeszła, zatrzymała się przed Belizariuszem i uważnie przyjrzała się kamieniowi. Po chwili powróciła na swoje miejsce.

– To nawet ma sens – rzekła, kiwając twierdząco głową. – Właściwie, to wyjaśnia wiele rzeczy, które do tej pory pozostawały w mroku. – Widząc dookoła siebie pytające spojrzenia, zaczęła mówić.

– Gromadzę od dawna okazjonalnie zdobyte wskazówki i dziwne wieści, które wskazują na Indie jako na kraj, który jest źródłem obecnie panującego... zaniepokojenia. A przynajmniej większej części tegoż. Ale ja raczej nie doceniałam tego zagrożenia. Indie są daleko stąd i z wyjątkiem handlu nie zaprzatają wielkich umysłów dzisiejszego Rzymu. I założyłam, że z odwrotnej strony sytuacja jest podobna. Dlaczego Indie miałyby się potencjalnie interesować zjawiskami zachodzącymi na bizantyjskim dworze?

– A co wiesz o samych Indiach? – zapytała Antonina.

Irena wzruszyła ramionami.

– O jakiej części Indii? Nie zapominaj, Antonino, że Indie to ogromny kraj. Jest większy niż cała Europa razem wzięta i znacznie gęściej zaludniony. I to jest właśnie ten największy błąd, jaki popełniają mieszkańcy Zachodu. Postrzegają Indie jako kraj, a tymczasem należałoby widzieć je jako cały kontynent.

Wstała ponownie i nalala sobie odrobinę wina. A potem napełniła puchar Sitas aż po brzegi. Tym razem jego dłoń rzeczywiście drżała. zaproponowała także napój Belizariuszowi i Antoninie, ale odmówili. Irena powróciła na swoje miejsce i podjęła przerwany wątek.

– Indie nie były zjednoczone pod panowaniem jednego władcy przez ponad pół tysiąclecia, od czasów, kiedy upadło Imperium Mauriów. Imperium Guptów, które je poniekąd zastąpiło, obejmowało obszar tylko północnych Indii. Południe pozostało pod kontrolą niezależnych drobnych monarchów.

Znów się zawahała, jej oczy przez chwilę błędziły nie skupione na żadnym punkcie przestrzeni. Było oczywiste, że koncentrowała się na przypominaniu znanych tylko sobie informacji.

– A przynajmniej było to obowiązującą prawdą aż do teraz. Imperium Guptów kilka

dziesięcioleci temu rozpadło się na dwie połowy i zachodnia została najechana przez Białych Hunów. My nazywaliśmy ich Heftalitami. Również znano ich pod imieniem...

– Ye-tai – wtrącił się Belizariusz.

Irena skinęła potakująco głową.

– Biali Hunowie, czy inaczej Ye-tai, zostali odparci i po pewnym czasie wytworzył się stan pewnego rodzaju asymilacji pomiędzy nimi a zachodnią dynastią, Malawianami. Dynastia ta, jak udało mi się ustalić, od tego czasu zaczęła bardzo dynamicznie się rozprzestrzeniać. Właśnie skończyli podbijać północne Indie, chociaż nadal borykają się z plagą powstań. A teraz, jak wynika z nowych informacji, zaczęli rozprzestrzeniać się na południe. Są teraz w stanie wojny z największym, leżącym od północy południowym księstwem. Nazywa się ono...

Zawahala się i zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie zapomnianą nazwę.

– Andhra – dokończył Belizariusz. – Państwo rządzone przez dynastię Satavahana.

Irena przytaknęła.

– To już wszystko, co wiem na ten temat. Mówiąc szczerze, nigdy nie próbowałam dokładnie zgłębiać tego tematu. Indie, jak już powiedziałam, wydają się zbyt odległe, aby być realnym zagrożeniem dla Rzymu i, w obecnej sytuacji, borykają się z własnymi, bardzo poważnymi problemami terytorialnymi.

Machnęła lekceważąco dłonią.

– A zresztą większość historii, które słyszy się o Indiach, jest w połowie wysana z palca. Szczególnie opowieści o Malawianach. Bogowie, którzy zstąpili na ziemię, magiczna broń... – Przerwała, wpatrując się w Belizariusza.

– Magiczna broń, w rzeczy samej – burknął Belizariusz. – Mamy spore problemy ze stworzeniem podobnych urządzeń.

Irena spojrzała na żonę generała.

Belizariusz jest zbyt pesymistą – rzekła Antonina. – Dopiero zaczęliśmy nad tym pracować. Minęło dopiero kilka miesięcy od czasu, kiedy dostaliśmy ten klejnot. Długo zajęło nam zagospodarowanie się w posiadłości, którą znalazł dla nas Kasjan. Jan z Rodos jest w willi dopiero od trzech miesięcy i dopiero organizuje swój warsztat pracy. – Potrząsnęła stanowczo głową. – Tak więc w tych okolicznościach myślę, że jest zbyt wcześnie, aby wyciągać jakieś daleko idące wnioski na temat naszych sukcesów w powielaniu malawiańskiej broni.

– Czy klejnot jest wam w tym pomocny? – zapytał Sitas.

Belizariusz potrząsnął przecząco głową.

– Nie, nie w tym przypadku. Wyczuwam, że chce nam pomóc, ale... ta rzecz ma ogromne trudności z porozumiewaniem się; może posługiwać się jedynie wizjami. A te nie są zbyt przydatne, jeżeli mówimy o uzbrojeniu. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. – Z reguły, można powiedzieć. Jeżeli już o to chodzi, moglibyśmy trochę ze sobą poćwiczyć, Sitasie!

Jego olbrzymi przyjaciel parsknął z pogardą.

– Masz naprawdę ochotę? Znów skopię ci tyłek, jak zwykle. Ty mięczaku.

Belizariusz uśmiechnął się złośliwie.

– Żebyś się nie zdziwił, olbrzymie. Klejnotowi udało się właśnie przekazać mi jedną prostą wskazówkę, jak zrobić pewne urządzenie. Proste, ale gwarantuję ci, że zrewolucjonizuje sposób walk kawalerii.

Sitas nie wyglądał na przekonanego.

– I co to niby jest? Magiczna włócznia?

– Och nie, nic tak wyszukanego. Tylko mały prosty drobiazg, zwany strzemionami. – Uśmiechnął

się ponownie, bardzo złośliwie. – Niezrównany pod każdym względem. Zobaczysz, kiedy się spotkamy w pojedynku, niebawem.

Belizariusz odwrócił się z powrotem do Ireny.

– Gdzie obecnie przebiega granica podbojów Malawian w południowych Indiach?

Irena zmarszczyła brwi.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Mój ostatni raport, który dotarł trzy miesiące temu, wskazywał, że Malawianie właśnie rozpoczęli oblężenie stolicy Andhry. – Przerwała, obliczając w myślach upływający czas. – Zakładając, że ten raport szedł do Konstantynopola przez całe miesiące, powiedziałabym, że oblężenie rozpoczęło się około roku temu. Najwyraźniej zapowiadało się na długie. Stolica Andhry, jak wynika z doniesień, jest dobrze umocniona. Znajduje się w miejscu zwanym... – Zawahała się i spojrzała w bok, znów próbując zebrać rozproszone w umyśle informacje.

– Znajduje się w miejscu zwanym Amavarati – dokończył Belizariusz. Generał kontynuował, a wszystkim zebrany wydawało się, że wpadł w trans spowodowany zsyłanymi mu wizjami. – Niedługo pałac ulegnie siłom Malawian. W pałacu znajduje się młoda księżniczka o imieniu Szakuntala. Tylko ona przetrwa z całej dynastii rządzącej Andhrą. Zostanie pojmana i zabrana na północ do posiadłości wysoko postawionego malawiańskiego oficera, aby tam zostać jego kochanką. W trzcinach opodal miasta będzie leżał ranny mężczyzna. Nazywa się Raghunath Rao. Kiedy odzyska siły i wyleczy się z ran, podaży na północ, tropiąc księżniczkę i jej porywaczy. Znajdzie ją w pałacu Malawianina, ale nie zdoła ocalić jej w odpowiednim momencie. Zanim nastąpi korzystna chwila, do pałacu powróci jego właściciel. Powróci z misji, którą dał mu do wykonania imperator Malawy. Powróci i zginie, tak samo jak księżniczka.

Belizariusz zacisnął zęby, przypominając sobie nienawiść trawiającą tego człowieka.

– Nikczemny, tak nazywają malawiańskiego szlachetkę. Venandakatra, Pierwszy Nikczemnik.

Irena skoczyła na równe nogi.

– Venandakatra? – zapytała z mocą. – Jesteś pewny, że tak się właśnie nazywa?

Belizariusz popatrzył na nią.

– Najzupełniej pewny. To imię pali moje wspomnienia i rani umysł. A dlaczego pytasz?

– On jest tutaj! Jest w Konstantynopolu!

* * *

Kiedy ucichło zamieszanie wywołane oświadczeniem Ireny, Belizariusz wrócił na swoje miejsce i usiadł.

– A więc to jest ta tajemnicza misja, na którą został wysłany Venandakatra – wymamrotał pod nosem Belizariusz.

– To nie ma najmniejszego sensu – jęknął Sitas. – Nawiasem mówiąc, zostałem przedstawiony temu człowiekowi. Na jednym z tych niekończących się przyjęć w Wielkim Pałacu. Strasznie śliski osobnik, to mi się rzuciło w oczy. Ale nie rozmawiałem z nim wiele. Przedstawił się po prostu jako kupiec, chętny do rozszerzenia swoich handlowych kontaktów z Rzymem. – Sitas beztrąsko zamachał dłonią. – Nie śledzę zbyt uważnie tego typu interesów.

Irena parsknęła.

– Interesuje cię tylko pieniądz, jaki z tego masz.

Sitas wyszczerzył się radośnie.

– No cóż, tak. Wydaje mi się, że moja rodzina jest odrobinę zainteresowana stanem indyjskich stosunków handlowych.

– Kontroluje co najmniej jedną czwartą zysków – wtrąciła złośliwie Irena. – Jeżeli nie więcej.

Twoja rodzina nie potrafi utrzymać języka za zębami, jeżeli już rozmawiamy o sekretach.

I znów Sitas lekceważąco machną ręką.

– Tak, tak, nie wątpię. Ale pozostawiam troskę o te interesy moim nieprzeliczonym kuzynom. Jednakże chodziło mi o to, zanim tak niegrzecznie mi przerwałaś, że Venandaktra wydaje się zbyt wysoko postawionym arystokratą, aby wysyłać go z tak niewiele znaczącą misją. Czy jesteście pewni, że mówimy o tym samym człowieku? Imię Venandaktra może być całkiem popularne w Indiach.

Belizariusz potrząsnął przecząco głową i zaczął coś mówić. Irena przerwała mu.

– Trzymaj się lepiej swojego handlu, Sitasie. Wszystko doskonale do siebie pasuje, jeżeli zakładamy, że wizje, które pokazuje nam klejnot, naprawdę przedstawiają przyszłość. Co – rzuciła szybkie spojrzenie na Belizariusza – raczej nie budzi wątpliwości. Venandaktra nie dba ani trochę o interesy. To tylko przykrywka mająca tłumaczyć jego obecność w Konstantynopolu. Jest tutaj tak naprawdę po to, aby wybadać teren, jeżeli można to tak określić, i przygotować swoich ziomków do przyszłego ataku na rzymskie terytorium.

Przerwała na chwilę, skupiła się i podjęła wątek.

– Jego przykrywka jednakże sprawia, że nie posiada on skutecznej obrony. Nie zabrał ze sobą wielu ludzi. Nie mógł, gdyż udaje zwykłego wysłannika w interesach. Nie byłoby zbyt trudnym, po prostu kazać go zamordować.

– Nie.

Irena spojrzała zaskoczona na Belizariusza.

– Dlaczego, u diabła, się nie zgadzasz? Nie odniosłam wrażenia, że chociaż odrobinę zależy ci na jego osobie.

Belizariusz zacisnął zęby.

– Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo go nienawidzę. Ale zabicie go nie należy do naszych zadań.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, wyładowując w ten sposób zdenerwowanie. Sięgnął dłonią w fałdy tuniki i wyciągnął sztylet w pochwie. Wpatrywał się w niego przez chwilę. Powoli wyjął ostrze z pochwy.

– Teraz noszę to zawsze przy sobie. To jak wewnętrzny przymus albo jak rzucony urok.

Wyprostował się.

– Ale myślę, że nadszedł czas, aby zwrócić ten sztylet prawowitemu właścicielowi. Muszę podążyć do Indii i znaleźć Raghunatha Rao.

Antonina zbladła i uniosła dłoń, zakrywając sobie usta.

– Nie mówisz poważnie! – wykrzyknął głośno Sitas. – Jesteś potrzebny tutaj, Belizariuszu! Nie możesz włączyć się po Indiach. Wielki Boże! Irena ma rację, wiesz o tym dobrze, Indie są w stanie wrzenia, a ty nie masz pojęcia o tym kraju. Nawet jeżeli ten człowiek jeszcze żyje, jak zamierzasz go znaleźć?

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

Tak długo, jak długo żyje Venandaktra, będę wiedział, gdzie znaleźć Raghunatha Rao. Będzie myszkował w pobliżu niczym pantera wyczekująca na moment, w którym będzie mogła zaatakować. Będzie czekał na dogodną chwilę i szukał choćby najmniejszej szczeliny w obronie swego wroga. Pojadę do Indii, znajdę tego człowieka, oddam mu jego sztylet i pomogę mu zabić Venandakatrę.

Odwrócił się do Ireny.

– To właśnie dlatego nie możemy zabić Venandaktry. Sprawą dla nas najważniejszą jest zawiązanie przymierza z Raghunathem Rao. A przez niego sprzymierzymy się z żyjącym potomkiem

dynastii Satavahana. Aby tego dokonać, musimy go odnaleźć, a żeby go odnaleźć, potrzebujemy Venandakтры żywego.

Antonina przełknęła głośno ślinę.

– Ale, mężu, taka podróż...

– Zajmie przynajmniej rok – dokończył Belizariusz. – Wiem, kochanie. Ale musimy wykonać to zadanie.

– Uważam, że to doskonały pomysł – powiedziała z mocą Irena. Przerwała na chwilę, pozwalając, aby jej słowa dotarły w pełni do Antoniny i Sitas. Ci dwoje byli najwyraźniej zaskoczeni, słysząc, jak Irena staje po stronie Belizariusza w tym, najwyraźniej, impulsywnym i nie do końca przemyślanym szaleństwie. Kiedy kobieta zobaczyła, że uwaga zebranych jest całkowicie skoncentrowana na niej, podjęła wątek.

– Tak samo jak Sitas nie rozumiem, dlaczego ten człowiek, Rao, jest tak bardzo dla nas ważny. Albo też ta księżniczka Szakuntala. Mimo tego – spojrzała na generała, mierząc go wzrokiem – w pełni akceptuję jego postanowienia. I ty też powinieneś, Sitasie. Czy to nie ty powiedziałeś mi kiedyś, że Belizariusz jest najbłyszczącym rzymskim generałem od czasów Scypiona Afrykańskiego? Podejrzewam, że generał ma jakiś plan i pracuje nad pewną strategią.

Irena rozłożyła ręce stanowczym gestem.

– Ale to i tak nie ma znaczenia, bo Belizariusz pojedzie do Indii niezależnie od naszego w tym temacie zdania. Przede wszystkim musimy uzyskać dokładne informacje na temat Indii. A szczególnie te dotyczące militarnych możliwości. Kto lepiej zdobędzie te informacje, jak nie najbystrzejszy generał rzymskiej armii?

Sitas zamierzał coś powiedzieć, ale Irena uciszyła go.

– Gadasz bzdury! Powiedziałeś, że jest potrzebny tutaj. A niby po co?! Porażka Persów spowodowała, że przynajmniej przez rok będą lizać własne rany i dadzą nam spokój. Może nawet przez kilka lat. Tak więc z tej strony nie należy obawiać się napaści co najmniej przez ten okres.

Znów odparła jego głośne protesty.

– A nawet jeżeli Persowie zaczną sprawiać kłopoty, zanim Belizariusz wróci z Indii, powtarzam znów: co z tego? Może jest najlepszym rzymskim generałem, ale nie jest jedyny. Ty sam nie pełnisz teraz żadnej funkcji, z wyjątkiem tych paradnych obowiązków, które nudzą cię na śmierć.

Przerwała. Wyjątkowo szpetna tkanina, wisząca na przeciwległej ścianie, zwróciła jej uwagę. Nawet w tak poważnym momencie nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Najwyraźniej jako model heroicznej postaci uwiecznionej na gobelinie służył sam obecny właściciel tego dzieła. Przedstawiono go jako katafrakta, w pełnej zbroi, siedzącego na koniu i przebijającego lancą jakiegoś bliżej nieokreślonego potwora.

– Czy to lew? – zapytała łagodnie.

Sitas spojrzał na gobelin.

– To przecież smok – warknął.

– Wydawało mi się, że smoki nie mają futra – skomentowała Antonina mimochodem. Ona i Irena wymienili między sobą rozbawione spojrzenia. Sitas zaczął mamrotać wściekle pod nosem, ale Belizariusz uciszył go.

– Skupmy się na naszym problemie – powiedział z mocą. – Myślę, że pomysł Ireny jest bardzo dobry. Może damy radę wysunąć kandydaturę Sitas jako mojego zastępcy w dowodzeniu armią w Syrii. To pozwoli na jego bliskie położenie w stosunku do posiadłości, gdzie Antonina wykonuje swoje zadania. Z ulokowanym w pobliżu Sitasem będzie miała w dalszym ciągu dostęp do wojska. Kiedy tylko będzie potrzebować.

Irena powstrzymała okrzyk protestu rodzący się w gardle Antoniny.

– Pomyśl chwilę, kobieto! Martwisz się o bezpieczeństwo Belizariusza i trapisz się jego długą nieobecnością. – Głos szpiega stał się nagle zimny jak lód. – Jesteś głupia, Antonino. Największym zagrożeniem dla twojego męża nie są Indie. To tutaj, w Konstantynopolu, grozi mu niebezpieczeństwo. Lepiej, żeby pojechał na rok i więcej do Indii, niż ma wylądować na wieki w grobie.

Antonina z zdziwieniem spojrzała na męża. Belizariusz kiwnął głową.

– Ona ma rację, kochanie. To też wziąłem pod uwagę, planując wyjazd. Justyniana.

Antonina patrzyła teraz na Irenę. Kobieta szpieg wykrzywiła usta.

– W obecnym momencie – powiedziała – największym zagrożeniem dla Belizariusza jest Justynian. Imperator niczego nie obawia się bardziej niż potężnych generałów. A szczególnie kogoś tak popularnego jak Belizariusz. Po zwycięstwie nad Persami jego imię nie schodzi z ust tłumów.

– Wyprawa do Indii to doskonały pomysł, patrząc z tej perspektywy – wtrącił się Belizariusz. – Pozbędzie się mnie z Konstantynopola. Będę daleko od podejrzeń i obaw imperatora.

Irena przeciągnęła w zamyśleniu dłońią po włosach.

– Właściwie, jeżeli przedstawimy wszystko w odpowiedni sposób, Justynian będzie zachwycony naszym pomysłem. Nie jest szaleńcem, wiecie o tym dobrze. Jeżeli będzie mógł tego uniknąć, raczej zatrzyma Belizariusza przy życiu. W końcu nigdy nie wie, kiedy taki generał może mu się znowu przydać. Ale wysyłanie go do Indii, pozbycie się go na przynajmniej rok... o tak, myślę, że z entuzjazmem podchwyci ten pomysł. Zabierzmy mu na pewien czas sprzed oczu Belizariusza, do czasu aż jego obecny wizerunek bohatera nieco przyblaknie.

Antonina stała obok kanapy ze ściągniętą twarzą.

– Kiedy musisz wyruszyć? – wyszeptała.

– Nie prędzej niż za sześć miesięcy – odparł Belizariusz. – Może nawet za siedem.

– Dlaczego tak długo? – zapytała.

– Handel z Indiami – odparł jej mąż – zależy od monsunów. Wiatry te wieją w jedną stronę przez pierwszą część roku i zmieniają kierunek na przeciwny w kolejnych sześciu miesiącach. Z Indii na zachód podróżuje się od listopada do kwietnia. W drugą stronę, w tę, w którą ja się będę udawał, od czerwca do października.

Podniósł dłoń z wyprostowanymi palcami i zaczął liczyć.

– Mamy teraz początek października. Jest już za późno, aby wykorzystać monsuny wiejące z zachodu w tym roku. Już niebawem zmienią kierunek, a dotarcie do Oceanu Indyjskiego zajmie co najmniej miesiąc, jak nie dwa. To oznacza, że nie mogę wyruszyć do Indii przed początkiem czerwca przyszłego roku. Miej na uwadze, że dotyczy to części podróży rozpoczynającej się na południowym brzegu Morza Czerwonego. Dodaj jeszcze jeden miesiąc, nie, lepiej dwa, na przebycie tego akwenu.

Zaczął ponownie liczyć. Irena twardo przerwała jego dywagacje.

– Nie opuścisz Konstantynopola przed kwietniem. To najwcześniejsza data rozpoczęcia podróży do Indii. Może uda się dopiero w maju. Co, przypadkowo, zbiegnie się z planami Venandaktry, dotyczącymi jego powrotu do ojczyzny.

Początkowa ulga na twarzy Antoniny znów została zastąpiona przez zdenerwowanie.

– Ale... Ireno, powiedziałaś właśnie, że teraz Belizariusz jest najbardziej zagrożony w Konstantynopolu. Sześć miesięcy! Któż może wiedzieć, co zaplanuje i wykona Justynian przez tak długi czas?

Irena odgarnęła włosy z czoła.

– Wiem, zastanawiałam się już nad tym problemem, kiedy Belizariusz zagłębiał się w swoje

morskie obliczenia. I myślę, że mam rozwiązanie.

Spojrzała na Belizariusza.

– Czy wiesz coś niecoś o Aksum?

– O Królestwie Etiopskim? – zapytał Belizariusz. – Nie, nie bardzo. Spotkałem kilku ludzi z tego kraju, tu i tam. Ale... jestem generałem, tak więc nie miałem okazji zainteresować się nimi na profesjonalnym poziomie. Rzym i Aksum są w dobrych stosunkach od wieków. A dlaczego pytasz?

– Widzę szansę na upieczenie dwóch gołąbków na jednym ogniu. Jak to zwykle bywa, Venandaktra nie jest jedynym człowiekiem wysłanym obecnie z zagraniczną misją do Konstantynopola. Mamy tu także ambasadę Aksum. Jej założyciele przybyli tutaj dwa miesiące temu. Oficjalnie dowódcą placówki jest młodszy syn króla Kaleba o imieniu Eon Bisi Dakuen. Ma tylko dziewiętnaście lat. To prawie dziecko, chociaż słyszałam, że robi dobre wrażenie. Ale osobiście uważam, że rzeczywistym szefem jest główny doradca Eona, Garmat.

– Więc?

– Więc... ten Garmat pod wieloma względami jest bardzo sprytnym człowiekiem. I słyszałam, że rozsiewa plotki w różnych kręgach o tym, że Aksum pragnie zacieśnić więzy przyjaźni z Rzymem.

Przerwała na chwilę, zanim przekazała zebrany najbardziej zaskakującą wiadomość.

– Nie zastanawiałam się zbyt dogłębnie nad tym faktem, kiedy po raz pierwszy usłyszałam te informacje. Ale wygląda na to, że Aksumicy są poważnie zaniepokojeni interesami Rzymu z Indiami. Uważają, że te konszachty ściągają na głowy Rzymian długoterminowe kłopoty. Garmat jest bardzo zdenerwowany tym, że nikt nie słucha jego ostrzeżeń. Ostatnio ogłosił, że niebawem zamierza wracać do Aksum.

Pozwoliła, aby cisza zapanowała na chwilę w pomieszczeniu.

– Więc mam powody uważać, że Aksumicy powitają z otwartymi ramionami szlachetnego Rzymianina o podobnych poglądach. Takiego sławnego generała, który zaproponuje im wycieczkę po Syrii podczas drogi powrotnej do Etiopii. Wycieczkę, którą przedstawi Justynianowi jako pierwszy etap jego bardzo długiej misji, która w końcu zawiedzie go do Indii. Po kilku miesiącach spędzonych w Aksum, które znajduje się, cóż za wygodny zbieg okoliczności, na najkrótszej drodze do Indii.

– Doskonałe miejsce do czekania na monsuny – zadumał się Belizariusz. – Co z oczu, to z serca. Aksum jest tak odległe jak same Indie, przynajmniej jeżeli chodzi o zainteresowania imperatora.

Wstał i ponownie zaczął przemierzać komnatę. Jego oczy zwęziły się w dwie szparki i spojrzał badawczo na Irenę.

– Jest coś więcej.

Irena przytaknęła.

– Tak. Po pierwsze, ta wycieczka da tobie i Antoninie szansę na powrót do waszej posiadłości i spędzenie trochę czasu razem, zanim wyruszysz. Wyobrażam sobie, że będzie to bardzo korzystne ze względu na wasze projekty zbrojeniowe.

– I?

– I... w świetle tego, czego się dowiedzieliśmy dzisiaj, myślę, że Rzym weźmie ostrzeżenia Aksum na poważnie. Tak jak samo Aksum. Prawda jest taka, że w rzeczywistości nie wiemy o nich wiele. Poza tym, że są z nami w dobrych przyjacielskich stosunkach i że wyznają chrześcijańską wiarę od dwóch stuleci, i że posiadają dosyć sprawną flotę wojenną.

– Czy nie są obecnie w stanie wojny z Arabią? – zapytał Sitas.

– Tak – odpowiedziała Irena. – Zajęli południe tego kraju trzy lata temu. Pokonali króla Hymrii, Jusufa Asara Jathara. Oficjalnym powodem waśni był fakt, że król Jusuf nawrócił się na judaizm i prześladował chrześcijańskich Arabów. – Zaśmiała się szorstko. – To oczywiście nie wyjaśnia,

dłaczego podbili pozostałe terytoria południowej Arabii.

– Myślisz, że mogą zostać naszymi sprzymierzeńcami? – zapytał Belizariusz. – Pomóc w walce przeciwko Indiom?

Irena wzruszyła ramionami.

– To twoje zadanie generale. Musisz to ustalić. Po drodze do Indii.

Belizariusz przez chwilę dreptał po komnacie w milczeniu.

– No to myślę, że na razie podjęliśmy decyzje w najważniejszych kwestiach – powiedział w końcu.

Odwrócił się do Antoniny.

– Zobacz, czy uda ci się umówić na spotkanie z Teodorą, kochanie. Myślę, że to najlepszy sposób, żeby wieść o mojej wyprawie dotarła do Justyniana.

Ujął dłoń żony i pomógł jej wstać z kanapy. Potem, zanim udał się w kierunku drzwi, spojrzał na Sitasa.

– Cóż, jest jeszcze parę mniejszych spraw. Po pierwsze, mój ogromny i zbyt pewny siebie przyjacielu, oczekuję cię jutro na placu ćwiczeń naszej armii. W pełnej zbroi, pamiętaj. Będiesz jej potrzebował.

– A po drugie? – burknął Sitas.

– Nie wiem, ile jej płacisz, ale podwój Irenie stawkę.

Rozdział 11

Następnego ranka, obserwując swego przyjaciela zbliżającego się do pola ćwiczeń, Sitas doszedł do wniosku, że Belizariuszowi zaszkodził nadmiar syryjskiego słońca. Najwyraźniej usmażył sobie mózg.

Po pierwsze samo wyzywanie Sitasa na pojedynek było idiotyczne. Pieszko, z mieczem w dłoni, Belizariusz, zdaniem Sitasa, zrobiłby z niego mielone. Ale na końskim grzbiecie, w pełnej zbroi, w starciu z kopią... cóż. Ten mięczak nie miał szansy przeżyć nawet chwili.

Sitas wcale nie był zbyt pewny siebie. Faktów nie dało się podważyć. Przyjaciel Belizariusza nie mógł mierzyć się z tym ostatnim pod względem szybkości i refleksu, ale te dwie cechy nie miały praktycznego znaczenia w walce na kopie. W takim starciu, kiedy walczący byli zakuci w pełną zbroję i siedzieli na potężnym bojowym koniu, również opancerzonym, liczyła się tylko siła i masa.

Sitas prawie poklepał się po swoim wielkim brzuchu, zadowolony z sytuacji. Kilkakrotnie ścierał się już z Belizariuszem na polu ćwiczeń i wynik był zawsze ten sam. Belizariusz siedział na ziemi z obolałym tyłkiem, zastanawiając się nad daremnym wysiłkiem, jakim była próba pokonania najlepszego kopijnika w Bizancjum.

A teraz! Ten głupiec nawet nie starał się trzymać swojej kopii w prawidłowy sposób! Belizariusz nacierał z lancą wciśniętą pomiędzy bok a ramię, zamiast trzymać ją w dłoni, co było prawidłowym chwytem. Śmieszne! Jak niby zamierzał przekazać siłę natarcia w uderzenie kopii? Każdy nowicjusz wiedział, że jedynym sposobem celnego i skutecznego ciśnięcia lancą z końskiego grzbietu był ten, w którym siłę pchnięcia dawała masa ramion i pleców.

Po jednej stronie ćwiczebnego pola Sitas zauważył małą grupkę chłopców, uczepionych ściany i obserwujących z tamtego miejsca pojedynek kopijników. Z gestów wnioskował, że nawet ta banda obdartych uliczników drwi sobie z nedorzecznych pomysłów Belizariusza.

Kiedy Sitas zauważył, że generał rozpoczyna natarcie, sam zmusił konia do galopu. Kiedy się do

siebie zbliżali, Sitas zauważył, że sposób trzymania kopii przez jego przeciwnika ma jedną, niepodważalną zaletę w namierzaniu celu. Stępiony koniec lancy celował dokładnie w środek brzucha Sitas.

Prawie się roześmiał. Dokładne namierzanie celu! Pchnięcie spod ramienia i tak nie będzie miało żadnej mocy ani siły. Jego tarcza z łatwością spowolni cios.

Chwila bezpośredniego starcia zbliżała się szybko. Sitas dostrzegł, że lanca Belizariusza dosięgnie go pierwsza. Ustawił tarczę w odpowiedniej pozycji i podniósł własną kopię wysoko nad głowę.

Parę chwil później, kiedy otrząsnął się już z szoku, Sitas doszedł do wniosku, że przeżył właśnie kolizję ze ścianą. Jak inaczej wytłumaczyć można jego położenie? Na ziemi, siedząc na tyłku i czując się jak jeden wielki siniak.

Spojrzał do góry zaczerwienionymi oczyma. Belizariusz patrzył na niego z wysokości swojego konia.

– Nic ci się nie stało?

Sitas zawarczał ze złością.

– Co się stało?

– Zrzuciłem cię z konia na ziemię i wreszcie skopałem ci tyłek, to właśnie się stało.

– Bzdury! Po prostu musiałem wpaść na mur.

Belizariusz zaśmiał się. Sitas ryknął i podniósł się na nogi.

– Gdzie jest mój koń?

– Tuż za tobą, czeka jak każdy dobry koń bojowy.

Pewnie. Sitas dostrzegł swoją leżącą nieopodal na ziemi lancę. Podniósł ją i wspiał się na siodło. Był tak wściekły, że nawet spróbował samodzielnie wdrapać się na grzbiet wierzchowca. Próba była beznadziejna, oczywiście. Po kilku sekundach daremnych wysiłków Sitas dał sobie spokój i zaczął prowadzić konia w kierunku ulokowanej na skraju pola platformy do wsiadania.

Jednakże to upokorzenie zostało mu oszczędzone. Jeden z siedzących na murze urwisów zeskoczył zwinnie na pole i pospieszył, aby podać mu platformę. Kiedy już wdrapał się na konia, Sitas podziękował chłopcu swoim grzmiącym głosem.

– To był po prostu pech, panie – pisnął dzieciak. A potem dodał z tą absolutną pewnością siebie, właściwą ośmiolatkom. – Aby pokonać tego pomyleńca, trzeba tylko uderzyć go lancą.

– Masz rację – warknął Sitas. A potem wrzasnął do Belizariusza: – Atakuj! Miałeś po prostu szczęście!

Tym razem, kiedy moment spotkania był już bliski, Sitas skoncentrował się prawie całkowicie na prawidłowym uchwycie tarczy. Doszedł do wniosku, że jego upadek był następstwem zbytnej pewności siebie. Był tak zajęty planowaniem własnego uderzenia, że zaniedbał obronę przed ciosem lancy Belizariusza.

Ale teraz, teraz go miał! Tak! Jego tarcza była perfekcyjnie umiejscowiona i solidnie oparta o klatkę piersiową. Ha! Szczęście Traka właśnie miało go opuścić.

Parę chwil później, kiedy odzyskał jasność umysłu, Sitas doszedł do wniosku, że zderzył się z katedrą. Jak inaczej mógł wyjaśnić swoje położenie? Na ziemi, leżąc płasko na plecach i czując się jak jeden wielki bezwładny kawał mięsa.

Nieoczekiwanie ujrzał twarz nachylającego się nad nim Belizariusza.

– Co się stało? – wychrypiał.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Zetknąłeś się po raz pierwszy ze strzemionami. Z parą strzemion, powinienem powiedzieć.

– Cóż to za rodzaj budynku, te strzemiona? – zapytał Sitas. – I co za kretyn ustawił je na środku pola treningowego?

* * *

Później, kiedy jechali w kierunku jego posiadłości wzdłuż zatłoczonej alei miasta, Sitas pozwolił sobie na kilka słów łagodnego wyrzutu.

– Oszukiwałeś, ty śmierzący gnoju! – zawył po raz setny. I po raz setny spojrzał w dół na strzemiona. Żaden odyniec z leśnej kniei nie patrzył nigdy bardziej wściekłym spojrzeniem czerwonych oczu.

– Cudowne, nieprawdaż? – rozpromienił się Belizariusz. Mężczyzna stanął prosto w siodle, kołysząc się w przód i w tył, obdarzając przyjaznym spojrzeniem różnorodnych kupców obserwujących ich przejazd z małych straganów.

– I poprawiają również widoczność. Zobacz, Sitasie! Możesz swobodnie rozglądać się dookoła, nie martwiąc się o zachowanie równowagi. Możesz nawet wyciągnąć łuk i strzelać prosto za siebie, na przykład podczas odwrotu.

– Oszukałeś mnie, psie!

– I, oczywiście, widziałeś już, jak bardzo ułatwiają posługiwanie się lancą. Precz z tym fajtlapowatym chwytem ponad głową! Nie, nie. Korzystając ze strzemion, możesz użyć kopii w prawidłowy sposób, angażując całą siłę i masę swoją i swojego wierzchowca. Bez strzemion jesteś tylko śmiechu wartym oszczepnikiem, siedzącym niewygodnie na koniu.

– Nabrałeś mnie, ty...

– Zawsze możesz kazać zrobić parę podobnych urządzeń dla siebie, wiesz o tym.

Wzrok Sitasu znów powędrował w dół, w kierunku strzemion.

– Zapewniam cię, że tak będzie – wymamrotał i rzucił kolejne czerwone spojrzenie na Belizariusza.

– I wtedy ponownie spotkamy się w pojedynku!

Belizariusz pokazał w uśmiechu zęby.

– Och, nie widzę w tym żadnego sensu. Od lat już bawimy się w te niepoważne starcia. Teraz jesteśmy odpowiedzialnymi generałami. Powinniśmy skończyć z tym postępowaniem przystającym małym chłopcom.

– Ty oszuście!

* * *

Kiedy wjechali na podwórze willi Sitas, Antonina i Irena czekały na nich, stojąc w ogrodzie. Obie kobiety wyglądały na zaniepokojone.

– On mnie oszukał! – zawył Sitas.

– Nie da się już z nim tak pogadać jak kiedyś, nieprawdaż? – skomentował Belizariusz radośnie, zsiadając z konia.

Sitas zaczął znowu wrzeszczeć, ale Irena go uciszyła.

– Zamilcz wreszcie! Czekaliśmy z niecierpliwością na wasz powrót, idioci. Belizariuszu! Masz umówione spotkanie z Teodorą i już jesteś na nie spóźniony!

Antonina potrząsnęła ze złością głową.

– Spójrz na nich! Usiłują nie zwracać uwagi na fakt, że się starzeją. Jesteście teraz poważnymi generałami. Dwa pajace! Musicie przestać zachowywać się jak beztroscy chłopcy!

Sitas zamknął z trzaskiem swoje ogromne szczęki.

– Umówiłaś mnie na spotkanie z Teodorą? – poważnie spytał Belizariusz, patrząc z niedowierzaniem na żonę.

Irena uśmiechnęła się.

– Tak. Chciałabym powiedzieć, że udało się to dzięki moim intryganckim talentom, ale prawda jest inna. Antonina po prostu ma wpływ na imperatorową. Słyszałam często, jak Teodora mówi, że Antonina to jej najlepsza przyjaciółka, ale nie wierzyłam w te zapewnienia aż do dziś.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, zastąpiony zmarszczeniem brwi.

– Musimy iść do pałacu natychmiast, ale...

– Przecież nie może się tam pokazać w pełnej zbroi! – zaprotestowała Antonina.

– Przebiorę się, to zajmie tylko chwilę – powiedział Belizariusz. Wbiegł pędem do posiadłości.

– Uważaj, nie zniszcz mi dywanów! – zawołał Sitas.

– Proszę – mruknęła pod nosem Irena – upewnij się, że podziurawisz tak wiele z nich, ile będziesz w stanie.

Uśmiechnęła się słodko do Sitas.

– A tak na marginesie, co ci się stało?

– Tak, Sitasie – dodała Antonina, z równie przymilnym uśmiechem na twarzy. – Jesteśmy ciekawe. Wpadłeś może na ścianę?

– Wygląda bardziej, jakby zderzył się z katedrą – myślała głośno Irena. – Widzisz ten ogromniasty siniak. Tam, na jego...

– On oszukiwał!

* * *

– Antonino, przestań się martwić. Oczywiście, że będę wspierała Belizariusza w tym waszym zawitym planie.

Imperatorowa wyglądała przez okno swojego pokoju przyjąć. Widok był wspaniały, tym bardziej, że cesarzową stać było na zamontowanie w oknie najlepszego gatunku szkła. Tafle, wstawione w jej okno, nie miały nawet najmniejszego śladu przebarwień czy pęknięć, tak powszechnych dla większości szyb.

Teodora nigdy nie była znudzona widokiem, jaki rozpościerał się z okien Gineceum, żeńskich kwater Wielkiego Pałacu. Nie dlatego, że podobał jej się obraz miasta poza nimi, chociaż widok metropolii był w istocie przepiękny; ciągły widok stolicy przypominał jej o władzy, jaką posiadała. Pokoje cesarzowej w obrębie tej części pałacu były położone najwyżej. Taki był zwyczaj Bizancjum, nawet zanim Teodora wspięła się na tron. I ten właśnie zwyczaj imperatorowa popierała w całej pełni, wykorzystując siłę swojej osobowości.

Tutaj Teodora rządziła bezkonkurencyjnie. Była jedyną władczynią, nie tylko swoich własnych pokoi, ale również całego kwartału. To tutaj, w Gineceum, znajdowały się tkalnie jedwabiu, na którego produkcję państwo miało monopol. Jedwab był jednym z najpoważniejszych źródeł bogactwa dla całego dworu.

Bez pozwolenia Teodory nawet imperator nie mógł wejść do Gineceum. I tego pozwolenia Teodora nigdy mu nie udzieliła. Zbyt wiele miała do ukrycia. Nie kochanków, oczywiście. Teodora wiedziała, że gdy tylko zacznie czerpać przyjemności z towarzystwa mężczyzn, Justynian natychmiast się o tym dowie. Ale nigdy nie czuła takiej pokusy, w żadnym wypadku. Teodora nie interesowała się mężczyznami, z wyjątkiem samego Justyniana.

Nie, nie kochankowie, ale inne rzeczy chciała ukryć Teodora. W większości przypadków byli to przywódcy religijni. Heretycy monofizyci szukający ochrony przed prześladowaniami, które im znów zagrażały, mogli liczyć na przychylność imperatorowej w tajnych pokojach Gineceum.

Teodora nachmurzyła się. Mimo że Justynian sam był bardzo tolerancyjny i wiedział, że jego własna żona wyznaje monofizytyzm, jednakże poszukiwał bliższych kontaktów z biskupstwem Rzymu.

Miał nadzieję, Teodora wiedziała o tym, że uzyska boże błogosławieństwo dla swojego projektu ponownego zdobycia Zachodniego Imperium. Ta zgoda miała swoją cenę – eliminację herezji.

To była cena, którą Teodora uważała za zbyt wysoką, nawet jeżeli nie z punktu widzenia osobistych preferencji, to dobra państwa. Strata przewyższała zysk. Prawdziwa siła imperium płynęła z monofizytyjskiego wschodu, z Syrii, Palestyny i szczególnie z Egiptu. Po co osłabiać Imperium walką z tymi trzema potężnymi prowincjami, aby przypodobać się jakiemuś nędznemu biskupowi trzęsącemu portkami w Rzymie i korzystającemu z ochrony półdzikich Gotów? Którzy sami byli heretyckimi arianami. Nie, to jest...

Potrząsnęła głową, odganiając czarne myśli. Później. Teraz musiała zająć się bieżącym problemem.

Odwróciła się od okna i uśmiechnęła w kierunku Antoniny. Potem obdarzyła uśmiechem Belizariusza. Pierwszy uśmiech pochodził z głębi serca. Drugi... wręcz przeciwnie. A przynajmniej nie za bardzo.

Szybko imperatorowa zbadała swoje uczucia w zimny i beznamiętny sposób, który był jednym z jej największych walorów decydujących o sile charakteru. Prawdę mówiąc, lubiła Belizariusza. Po prostu nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby zaufać mężczyźnie. Nie ufała nawet Justynianowi, mimo swej ogromnej i szczerej miłości do niego. Ale... jako człowiek Belizariusz nie był zły. W końcu dobrze traktował Antoninę. A Teodora zauważyła z zadowoleniem, że Antonina owinęła sobie męża dookoła paluszka. Niezależnie od tego, czy Belizariusz był człowiekiem godnym zaufania, Teodora pokładała nadzieje w Antoninie.

Imperatorowa usiadła na tronie ustawionym w kącie pomieszczenia. Bogate siedzisko niezbyt dobrze się komponowało w prywatnej komnacie przyjęć. Pokój był urządzone z niesamowitym przepychem. Podłogę pokrywały zrównoważone kolorystycznie armeńskie kobierce, na ścianach mieniły się jeszcze bardziej stonowane i starannie dobrane kilimy i mozaiki. Ale ciągle pokój był zbyt mały, aby potężna bryła tronu do niego pasowała.

Jednakże nawet tutaj, w zaciszu prywatnych kwater, Teodora upierała się, żeby postawić tron. Siedzisko było względnie skromne, prawdę mówiąc, nie przypominało w niczym monstrum, na którym siadała podczas przyjęć w sali tronowej pałacu. Ale bez wątplenia siedzisko było tronem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Zdawała sobie sprawę, że to jedna z jej niewielu słabostek. Tron nie był tak wygodny jak normalne krzesło, ale... pamiętała lata ubóstwa i niemocy. Lata, kiedy słuchała rozkazów mężczyzn, a nie odwrotnie. I dlatego wszędzie tam, gdzie zwykła sadzać swój królewski tyłek, nalegała na postawienie tronu.

– Po prostu nie lubię, kiedy się podważa fakt istnienia mojej inteligencji – warknęła. Imperatorowa wyprostowała się na tronie. Była wysoka i dodatkowo siedziała na podwyższeniu, co pozwalało jej na górowanie nad zebranymi interesantami. I o to właśnie jej chodziło.

– Jest najzupełniej oczywiste, że szukasz pretekstu, aby zejść z zazdrosnych oczu Justyniana, Belizariuszu.

Widząc lekki wyraz zaskoczenia na twarzy generała, Teodora roześmiała się.

– Myślisz, że to dziwne, że dostrzegam pewne cechy osobowości swojego męża?

Belizariusz przyglądał się uważnie imperatorowej. Była piękną kobietą, o doskonałej, szczupłej i zwiewnej figurze. Pochodziła z Egiptu, tak jak Antonina, i podobnie jak ona posiadała ciemną cerę. Ale jej oczy były brązowe, w przeciwieństwie do zielonych oczu Antoniny, zaskakujących w ciemnej twarzy jego żony. Brąz oczu był tak ciemny, że przechodził prawie w czerń. Podobnej barwy Teodora miała również włosy, a przynajmniej tak można było sądzić, widząc jedynie gdzieniegdzie

ich kosmyki, ukryte pod bogato zdobioną i inkrustowaną kamieniami koroną.

Zdecydował, że w tych warunkach najlepszą strategią będzie po prostu szczerowość. Nie znał zbyt dobrze Teodory, ale nie mógł zignorować zimnej inteligencji czającej się w jej ciemnych oczach.

– Nie jestem zdziwiony faktem, że rozumiesz, pani, osobowość swego męża. Jestem po prostu odrobinę zdziwiony, że znasz go aż tak dobrze i... – Zawahał się. Prawdopodobnie posuwał się w szczerowości zbyt daleko.

Imperatorowa dokończyła za niego.

– I ciągle go kocham?

Belizariusz kiwnął głową.

– Tak. – Wziął głęboki oddech. Do diabła z tym. Generał wiedział z doświadczenia, że nierozsądnie jest zmieniać strategię w środku natarcia. – I jesteś, pani, tak całkowicie mu oddana. Nawet człowiek tak mało zorientowany w sprawach dworu jak ja, może to stwierdzić.

Imperatorowa zaśmiała się cicho.

– Sugeruję, żebyś nie starał się tego zrozumieć. Nawet ja tego do końca nie pojmuję, a podejrzewam, że jestem dużo lepsza w sprawach uczuciowych niż ty. Ale prawda jest taka, że kocham Justyniana i jestem mu całkowicie oddana. Nigdy w to nie wątp. – Spoczął na nim jej zimny, królewski wzrok. Ale tylko na kilka sekund. Kobieta zauważyła bowiem, że Belizariusz nie należy do osób, które dają się zastraszyć. Ani nie uważała, że istnieje chociażby najlżejszy powód, żeby go zmuszać do posłuszeństwa.

Teodora uśmiechnęła się ponownie.

– Faktem jest, i temu nie mogę zaprzeczyć w żaden sposób, że mój mąż łatwo ulega ekstremalnej zazdrości. I to, na dodatek, tej najgorszego rodzaju, czyli królewskiej zawiści.

Wzruszyła ramionami.

– Byłoby o wiele lepiej, gdyby trapił się bardziej problemem mojej wierności, jak to czyni większość mężczyzn w stosunku do swoich żon. W podejrzaniach nie byłoby ziarna prawdy, a ja spędziłabym godziny, usiłując przekonać go o swojej uczciwości i jego niepodzielnym panowaniu nad moim ciałem. Ale Justynian nie dba o to. Martwią go tylko królewskie sprawy, tego się obawiam. A najbardziej boi się rywala, który zrzuci go z tronu. Może to być na przykład zwycięski generał. W rzeczy samej obawa jest w pełni uzasadniona. A przynajmniej w ogólnym zarysie. Chciałabym po prostu, żeby Justynian pozbył się obsesji na punkcie tego zagrożenia.

Zamyśliła się.

– W chwili obecnej ty i Sitas jesteście najpopularniejszymi i najbardziej poważanymi generałami w Konstantynopolu. – Zaśmiała się krótko. – Nawet Justynian nie przejmuje się Sitasem. Poza stanem wojny, jest on najbardziej leniwym człowiekiem spośród żyjących. Nie może nawet znieść swoich obowiązków generała w Konstantynopolu, wszyscy to widzą. Od miesiący męczy Justyniana, aby ten przydzielił go do jakiejś armii stacjonującej poza miastem. Żaden ambitny generał nie pozwoliłby się wyrzucić z Konstantynopola, a on sam chce stąd uciekać.

Uśmiechnęła się zimno do Belizariusza.

– Tak więc pozostajesz tylko ty. Ty sam musisz udźwignąć masę podejrzeń i strachów Justyniana. Belizariusz chciał coś odpowiedzieć, ale Teodora przerwała mu w pół słowa.

– Oszczędź mi swojej przemowy, Belizariuszu. Nie ma sensu, żebyś raczył mnie swoimi zapewnieniami. Nie potrzebuję ich, a Justynian i tak ci nie uwierzy.

Machnęła ręką.

– Nie, najlepsza droga postępowania to ta, którą właśnie zaproponowałeś. – Zachichotała. – Nawet w swoich najdzikszych marzeniach nie pomyślałabym o wysłaniu cię w podróż do Aksum i do

Indii! Boże, Justynian będzie zachwycony!

Imperatorowa zamilkła na chwilę, pogrążywszy się w myślach.

– I to nie jest zły pomysł, nawet pomijając korzyści, jakie daje nam usunięcie źródła zawiści sprzed oczu Justyniana.

Wstała i wolno podeszła z powrotem do okna. Belizariusza uderzył królewski wdzięk, z jakim się poruszała. Nie było to łatwe dla kobiety dosłownie spętanej bogatymi, szlachebnymi sukniami. Które, jak powiedziała mu Antonina, imperatorowa nosiła przez cały czas na własne życzenie. W każdym calu wyglądała jak idealna, prawdziwa cesarzowa.

Przez ułamek sekundy Belizariusz dostrzegł przeblysłk wewnętrznych demonów, które trawiły imperatorową od środka. Kłującą ambicję, pchającą Teodorę do przodu, która pozwoliła jej i Justynianowi podźwignąć się na tron z nizin społecznych. Justynian był półanalfabeta i chłopem z Tracji, który dawno już, oczywiście, nabrał wykształcenia i ogłady charakterystycznej dla wysoko urodzonych Rzymian, dodając te umiejętności do swojej ogromnej inteligencji. A Teodora uprawiała niegdyś najstarszy zawód świata w Aleksandrii.

Ale imperatorowa nie była, jak Antonina, ekskluzywną kurtyzaną, która radośnie wybierałaby sobie kilku przyjaciół i cieszyła się z cielesnej i duchowej rozkoszy ich towarzystwa. Belizariusz znał historię życia Teodory od swojej żony. Imperatorowa została sprzedana sutenerowi przez swojego własnego ojca, kiedy miała dwanaście lat. Jej opiekun stręczył ją każdemu obszarpańcowi, który włóczył się po hipodromie i miał czym zapłacić.

Belizariusz obserwował spokojną i piękną twarz cesarzowej, zwróconą na zewnątrz okna. Patrzył na dumę bijącą z rysów i rozmyślał nad inteligencją tej kobiety. I pomyślał, że potrafi zrozumieć Teodorę. Zrozumieć ją samą i jej oddanie Justynianowi.

Złożyłem Justynianowi przysięgę, której dotrzymam po wsze czasy. Ale żałuję, że to nie jej przysięgąłem. Byłaby znacznie lepszym imperatorem niż on.

– Nie ufam temu Venandaktrze – powiedziała miękko Teodora. – Nawet zanim Antonina opowiedziała mi o podejrzeniach Ireny, ja miałam swoje własne. – Spojrzała na Belizariusza. – Nie spotkałeś go do tej pory?

Generał potrząsnął przecząco głową.

– Przedstawię cię jutro. Justynian będzie przyjmował jego wizytę.

Ponownie wyjrzała przez okno.

– Wysłannik handlowy! – sarknęła. – Ten człowiek jest tak zasobny w arogancję, że mógłby zostać władcą wszechświata. Parszywy osobnik. Nie ma co do tego wątpliwości. Najnikczemniejszy człowiek, jaki stąpa po tej ziemi, tak przynajmniej podejrzewam.

Belizariusz powstrzymał odruch zaskoczenia. Wiedział, że Antonina przekazała imperatorowej tę garść informacji, jakie posiadali na temat Venandaktry, oczywiście z pominięciem wiedzy pochodzącej od klejnotu. Antonina ograniczyła się do rewelacji dostarczonych przez Irenę. Nie wspominała nawet słowem o wizjach Belizariusza.

Venandaktra, Pierwszy Nikczemnik. Najwyraźniej negatywne uczucia nie były tylko i wyłącznie domeną Raghunatha Rao.

Teodora potrząsnęła głową.

– Nie, nie lubię tego Venandaktry. Malawianie grają w niebezpieczną i tajemniczą grę. I prawie nic o nich nie wiemy. Tak, najlepiej będzie, jeśli zbierzemy możliwie najwięcej informacji na ich temat, tak szybko, jak tylko się da.

Odwróciła się.

– Ale jest jeszcze coś dużo bardziej ważnego. Będiesz miał mnóstwo czasu na to, aby poznać tę

kreaturę, Venandakatrę. Znacznie więcej, zapewniam cię, niż kiedykolwiek będziesz chciał. Tymczasem jednakże jest kilka osób, które musisz poznać natychmiast. Członkowie aksumickiej ambasady również mają być obecni na audiencji, która, jak się poważnie obawiam, będzie dla nich jednocześnie ceremonią pożegnalną. Następnego dnia wracają do Aksum.

Powróciła na swoje miejsce na tronie.

– Według mnie, proponowana przez ciebie wizyta w Aksum jest nawet ważniejsza od podróży do Indii. Z jednego powodu. Nie jestem do końca przekonana, czy wiele zdołasz zobaczyć i odkryć w Indiach. Jaki by nie był, Venandakatra nie jest głupcem i będzie cię podejrzewał, jak tylko zaczniecie razem podróżować.

– Ale czy się zgodzi? – zapytała Antonina. – Czy przystanie na towarzystwo Belizariusza w drodze do Indii?

Teodora ruchem dłoni odepchnęła od siebie ten problem.

– Nie za bardzo może odmówić, bo niby dlaczego? W końcu udaje zwykłego wysłannika próbującego zacieśnić stosunki handlowe. Jak mógłby odmówić prośbie imperatora i nie zabrać do swojej ojczyzny rzymskiego wysłannika do spraw handlu? – Potrząsnęła głową. – Nie, zgodzi się na naszą propozycję, aczkolwiek niechętnie. Nie jestem natomiast pewna, czy Aksumici będą przychylnie nastawieni do tej strony waszego planu.

– Wydawało mi się, że są raczej w dobrych stosunkach z Rzymem, pani – skomentował Belizariusz.

Imperatorowa zacisnęła wargi.

– Tak, byli w dobrych stosunkach. Czy dalej są, po tym, jak haniebnie zostali potraktowani w Konstantynopolu już w chwili swojego przybycia, to kolejny problem.

– Czy zostali obrażeni? – zapytała Antonina.

– Nie bezpośrednio. Ale obojętność, jaką okazywał w stosunku do nich Justynian, szybko została zauważona przez dworaków, którzy... – Parsknęła ze złością. – To pierwsza zasada panująca na dworze. Jeżeli imperator nie osłania posłów, możesz na nich wieszać psy.

Belizariusz zachichotał. Teodora potrząsnęła ze smutkiem głową.

– To nie jest tak naprawdę śmieszne. Justynian jest tak bardzo zajęty swoimi... cóż, nieważne. Powiedzmy po prostu, że zapomniał o pierwszej zasadzie obowiązującej władców. Nie traktuj starych przyjaciół w pogoni za nowymi.

– A jakie masz zdanie o samych Aksumitach? – zapytała Antonina.

Teodora zmarszczyła piękne brwi.

– Ich pierwszy doradca, Garmat, wydał mi się bardzo przebiegły. Nie uważam, aby mógł nam sprawiać jakieś kłopoty. To raczej książę mnie niepokoi i on właśnie może być przyczyną problemów.

Wymówiła powoli imię księcia, delektując się słowami.

– Eon Bisi Dakuen. Czy wiecie, co oznacza to imię?

Belizariusz i Antonina zgodnie potrząsnęli głowami.

– Aksumici są wojownikami. Zapominamy o tym, gdyż przydają się nam tylko i wyłącznie jako kupcy i żeglarze. Ale pozory mylą, lud ten jest bardzo waleczny i posiada własną, bardzo dumną przeszłość. To tradycja zakorzeniona w umysłach ludzi z rządzącego klanu. Ukazuje się w ich dworskiej nomenklaturze.

Zamknęła oczy, szukając w pamięci potrzebnych informacji.

– Oficjalnie, król Etiopczyków nazywa się Kaleb Ella Atsbeha, syn Tazena, Bisi Lazen, król Aksum, Himryar, Dhu Raydan, Saba, Salhen, władca Wysokiego Kraju i Yamanatu, Nadbrzeżnych

Równin, Hadrawmatu i wszystkich Arabów, Beja, Noba, Kasu i Siyamo, sługa Chrystusa.

– Strasznie długie – skomentowała Antonina.

Teodora otworzyła z uśmiechem oczy.

– Nieprawdaż? Ale nie traktujcie tego jako zwykłej królewskiej chełpliwości. To imię pasuje królowi w pełni, no może z wyjątkiem nazw „Ella Atsbeha”. Pasuje w pełni i pod wszystkimi względami.

– Co oznaczają słowa „Ella Atsbeha”, pani? – zapytał Belizariusz.

– Oznaczają „tego, który przynosi świat”. – Teodora wzruszyła ramionami. – Tę część tytułu możemy spokojnie zignorować. Ale reszta... to jest najbardziej interesujące. Długa lista podległych mu terytoriów, na ten przykład, jest całkiem dokładna. Aksumici są bardzo staranni, jeżeli o to chodzi. Lista Himryar, podobnie jak Hadrawmat, podlega bieżącej aktualizacji. Etiopczycy dodają i odejmują terytoria do imienia swojego władcy w ścisłym związku z zachodzącymi wydarzeniami, jeżeli można tak powiedzieć.

Rzuciła przebiegłe spojrzenie na Belizariusza.

– Jakie wyciągasz z tego wnioski, generale?

– Mówi mi to, że cenią sobie dokładność i inteligencję nawet w stosunkach formalnych. – Belizariusz skrzywił usta w uśmiechu. – To raczej rzadki zwyczaj w przypadku władców.

– Nieprawdaż? Ale Aksumici rygorystycznie go przestrzegają. Kazałam moim historykom sprawdzić kroniki. – Kontynuowała. – Imię „Ella” nadawane jest tylko rządzącym. Którzy, nawiasem mówiąc, są znani jako *negusa nagast*, co oznacza królowie królów. Moi historycy nie są do końca pewni, ale uważają, że również ten tytuł jest jak najbardziej na miejscu. Ze starych zapisów pierwszych misjonarzy wynika, że Aksum powstało w rejonie Etiopii poprzez podbój terenów rządzonych przez wielu drobnych monarchów, którzy uznali zwierzchność aksumickiego władcy. Należą do nich nawet Meroe i Nubia, jak się wydaje.

– A imię „Bisi”? – zapytał Belizariusz. – Musi coś znaczyć. Zauważyłem, że obaj, król i jego syn, posiadają takie samo imię. To musi być jakiś tytuł, na to przynajmniej wygląda.

– Tak. I to jest najciekawsza część zagadnienia. Najstarszy syn króla Kaleba, Wa’zeb, nazywany jest Wa’zeb Bisi Hadefan, syn Ella Atsbeha. On właśnie obejmie panowanie nad Aksum, gdyż jest pierworodnym i następcą tronu. Młodszy syn, który bawi właśnie w Konstantynopolu jako wysłannik Aksum, ma na imię Eon. Jego tytuł został zredukowany praktycznie do minimum. Jedyne określenie, jakiego się używa w jego przypadku, to Eon Bisi Dakuen. To jego jedyne imię, gdyż tylko ono jest uznawane za samych Aksumitów jako najważniejsze i najwięcej znaczące.

– To tytuł wojskowy – zgadł Belizariusz.

Teodora skinęła aprobowująco głową.

– Masz całkowitą rację. Armia aksumicka jest podzielona na regimenty, które posiadają długą historię. Nazywają je „sarawit”. Liczba pojedyncza od tego rzeczownika to chyba „sarwe”. „Bisi” oznacza „dowódca”. Jedynym określeniem używanym w stosunku do księcia Eona jest dowódca regimentu Dakuen. Tak samo jak jego ojciec, który przede wszystkim jest dowódcą „sarwe” Lazen. A jego starszy brat, następca tronu, pełni funkcję dowódcy regimentu Hadefan, i to jest dla Aksumitów najbardziej istotne.

Antonina wodziła spojrzeniem pomiędzy Belizariuszem i Teodorą.

– Mam wrażenie, że coś mi umknęło – powiedziała.

Belizariusz zacisnął usta.

– Panie na wysokościach! Nawet Spartanie nie biorą wojny na tak poważnie.

Zwrócił się do swojej żony.

– Antonino, to oznacza, że Aksumici patrzą na świat twardymi oczyma wojowników. Dumnych wojowników. Na tyle dumnych, że pozwalają, aby imiona ich królów i książąt pochodziły od nazw regimentów. I wystarczająco honorowych, aby pogardzać przywłaszczaniem sobie nazw terytoriów, którymi aktualnie nie rządzą.

Teodora przytaknęła.

– I ci ludzie byli traktowani jak niechciani goście od czasu swojego przybycia do Konstantynopola. I to przez bezczelnych dworzan, którzy nie potrafią odróżnić jednego końca lancy od drugiego. Poniżani przez biurokratów, którzy nie rozpoznaliby kopii, nawet, gdyby się o nią potknęli.

– Och nie! – westchnęła Antonina.

Belizariusz spojrział na Teodorę.

– Ale ty nie uważasz, pani, że ten ich doradca, Garmat, będzie stanowił jakiś problem?

Imperatorowa potrząsnęła przecząco głową.

– W końcu jest tylko doradcą. Prawdopodobnie sam należał w młodości do wojowników, ale to już dla niego przeszłość. Nie, problemem dla nas jest chłopiec. Eon Bisi Dakuen. Dumny, jak każdy inny dowódca w jego wieku, bardziej nawet dumny ze swego regimentu niż z faktu bycia księciem. Został poważnie obrażony.

Teodora ze zdumieniem usłyszała, jak Belizariusz wybucha śmiechem.

– Och, wcale tak nie uważam, pani! Jeżeli jest prawdziwym wojownikiem, na co wygląda. Z takim imieniem, musi nim być... – Przez chwilę na twarzy generała gościł zimny wyraz podobny do tego, jaki dawał się zauważyć u imperatorowej. – Wojowników nie jest wcale łatwo śmiertelnie obrazić, na to przynajmniej wygląda. Widzieli zbyt wiele prawdziwej śmierci. Jeżeli udało im się to przeżyć... cóż, jest jeszcze oczywiście duma. Ale oprócz niej istnieje także ziarno praktyczności.

Wstał.

– Wierzę, że potrafię się odwołać do tej jego praktyczności. Rozmówię się z nim jak wojownik z wojownikiem.

Antonina podniosła się z krzesła wraz z mężem. Najwyraźniej audiencja dobiegała końca. Pozostała tylko jeszcze jedna prośba.

– Czy zorganizujesz nam wizytę u Justyniana?

Teodora potrząsnęła głową.

– Nie ma potrzeby odbywać z nim prywatnych rozmów. Justynian zgodzi się na wasz plan, nie mam żadnych co do tego wątpliwości. – Imperatorowa zamyśliła się na chwilę. – Myślę, że najwłaściwszym posunięciem będzie publiczne ogłoszenie misji Belizariusza jutro, na oficjalnej audiencji. To zwiąże Venandakatrze ręce i może pozwoli na zmiękczenie Aksumitów.

– Czy możesz załatwić nam szybko wejście na audiencję, pani?

Teodora uśmiechnęła się lodowato.

– Nie obawiaj się, generale. Wszystko zostanie załatwione. Przeszukaj raczej swoją pamięć pod kątem historii, które zrobią wrażenie na młodym księciu.

Rozdział 12

Belizariusz uważał, że wysiłki imperatora były zwykłą stratą czasu i tak właśnie powiedział Sitasowi. Oczywiście, bardzo cicho. Nawet nie znający lęku generał Belizariusz nie był na tyle głupi, żeby na głos kpić z Justyniana, a już szczególnie na oficjalnej audiencji w Wielkim Pałacu.

– Oczywiście, że to strata czasu – odrzekł szeptem Sitas. – Zawsze jest tak samo, no, może pomijając barbarzyńców. I co z tego? Justynian o to nie dba. Uwielbia te swoje zabawki i tylko to się dla niego liczy. Myślisz, że przepuściłby okazję zabawy nimi?

Potem nastąpiły przeróżne niegrzeczne uwagi o trackich chłopach i ich dziecinnym zamiłowaniu do błyskotek i świecidełek, wygłaszane na granicy słyszalności. Belizariusz, uśmiechając się mdło, ignorował je radośnie.

Dlatego, że, prawdę mówiąc, sam Belizariusz nie czuł się zbyt odległy od trackiej wsi. I nawet jeżeli nie był nieokrzesanym wieśniakiem, które to określenie, nawiasem mówiąc, nie pasowało również do samego imperatora, ciągle potrafił czerpać tyle samo przyjemności z zabawek, co Justynian.

Zabawki, w rzeczy samej.

W pałacu były lewitujące trony, na których Justynian i Teodora siedzieli wysoko ponad głowami dworzan. Siedziska wznosiły się i opadały zgodnie ze zmieniającymi się nastrojami imperatora. W chwili obecnej, wnioskując z niebywale wysokiego położenia tronów, Justynian próbował trzymać się z daleka od potężnego tłumu zebranego w sali audiencyjnej.

W pałacu spotkać można było także lwy, siedzące po obu stronach królewskich stolców, kiedy te spoczywały na ziemi. Zrobiono je ze srebra i złota. Lwy potrafiły wydawać z siebie najbardziej przerażające ryki, kiedy tylko imperator tego sobie zażyczył i był w nastroju do ich słuchania. Zjawisko to, jak Belizariusz był w stanie ocenić po półgodzinnym przebywaniu na audiencji, następowało często i całkiem nieoczekiwanie.

I w końcu opisać należy ulubieńców generała, czyli metalowe ptaki inkrustowane kamieniami, które siedziały na metalowych drzewach i w pobliżu porcelanowych fontann gęsto zdobiących najbliższe otoczenie cesarza. Generał bardzo lubił ich metaliczne trele, ale najbardziej ujął go jeden z ptaszków, siedzący na brzegu fontanny i pochylający się od czasu do czasu w kierunku lustra wody, jakby chciał się napić.

Tak, zabawki.

Ale, pomyślał sobie, teraz, przy tej okazji, to tylko strata czasu i zbędny wysiłek. Ani wysłannik Indii, ani Aksumita nie należeli do nieokrzesanych barbarzyńców, aby zadziwiały ich i szokowały takie cudowne urządzenia.

Belizariusz przyjrzał się najpierw wysłannikom Malawy. Identyfikacja Venandakтры nie nasuwała żadnych wątpliwości. Poznać go można było nie tylko po centralnej pozycji, jaką zajmował w grupie Malawian, ale także po jego postawie. Nosił bogate ubrania, ale były one stonowane jak przystało kupcowi wysłanemu z misją nawiązania handlowych stosunków.

Ta skromność na pokaz była stratą czasu, pomyślał sobie Belizariusz. Ponieważ, tak jak powiedziała imperatorowa, Venandaktra zachowywał się w taki sposób, jakby mówił całemu światu, że jest władcą wszechrzeczy.

Belizariusz uśmiechnął się lekko. Zawila i ostentacyjna audiencja dla Venandakтры była niezbyt subtelnym znakiem od Justyniana, że zauważył podstęp Malawian i że ani trochę nie wierzy w ich oficjalną wersję powodu przybycia do Rzymu. Zwykły handlowy wysłannik czekałby tygodniami na przyjęcie u imperatora, zanim jakiś biurokrata średniego szczebla zechciałby ruszyć małym palcem u nogi, aby zorganizować mu audiencję w jakimś małym, obskurnym gabinecie. Żaden prawdziwy wysłannik handlowy nie został jeszcze przyjęty na formalnej audiencji u Justyniana w wielkim hallu Wielkiego Pałacu, gdzie zbierała się sama śmietanka arystokracji Konstantynopola.

Belizariusz spojrział do góry na ogromne mozaiki dekorujące ściany. Spodziewał się prawie ujrzeć wyrazy szoku i zniesmaczenia na twarzach uwiecznionych tam apostołów. Ich święte oczy były

przyzwyczajone do spoglądania na zwycięskich generałów, dostojnych patriarchów i obwieszonych klejnotami ambasadorów z perskiego dworu, a nie na bezimiennych, małych kupców.

Chichocząc, Belizariusz podjął przerwana ocenę gromadki handlowych wysłanników Malawy.

Poza wyniosłością Venandakatra nie wyróżniał się niczym szczególnym. Miał cerę ciemną jak na standardy bizantyjskie, a rysy jego twarzy bezbłędnie wskazywały na jego obce pochodzenie. Ale żadna z tych cech nie wywołałaby niechęci do jego osoby. Konstantynopol był najbardziej kosmopolitycznym miastem na świecie, a jego mieszkańcy dawno już przyzwyczaili się do zagranicznych gości. Rzymianie nie borykali się z nonsensownymi uprzedzeniami. Tak długo, jak obcy zachowywał się przyzwoicie, ubierał według bizantyjskiej mody i mówił po grecku, uznawano go za cywilizowanego. Za poganina, może, ale nauczonego podstawowych manier.

Venandakatra był mężczyzną w średnim wieku, odznaczał się dosyć niskim wzrostem. Twarz miał do niemożliwości chudą, prawie ostrą i kanciastą. Pociągłość rysów podkreślały dodatkowo blisko osadzone, czarne oczy. Te wydały się Belizariuszowi zimne niczym oczy gada, nawet z pewnej odległości. Sieć małych zmarszczek dookoła oczodołów jeszcze pogłębiała to wrażenie.

Budowa ciała nie odpowiadała szacunkom Belizariusza. Po twarzy sądząc, Venandakatra powinien być z natury bardziej szczupły. W rzeczywistości jednak jego drobnokościsty szkielet dźwigał na sobie znacznie przekraczającą jego możliwości masę. Venandakatra wydawał się dziwnym połączeniem cienkiego jak klinga okrutnika i otyłego amatora przyjemności. Podobnie jak wąż rozdęty po spożyciu zdobyczy.

Zimny, ostry grymas wypełził na twarz generała, kiedy przypominał sobie swoje wizje. W innym czasie, w przyszłości, którą Belizariusz miał nadzieję zmienić, ten nikczemny człowiek zostanie zniszczony przez zwykłą dziewczynę. Rozbity na miazgę przez jej szybkie ręce i nogi. Wykrwawi się na śmierć. Jego gardło zostanie poderżnięte jego własnym nożem.

– Przestań, Belizariuszu! – syknęła Antonina.

– Proszę – wtrąciła się Irena. – Nie powinieneś w ten sposób zaciskać szczęk na oficjalnej audiencji u imperatora. Staramy się zrobić na nim dobre wrażenie, pamiętaj.

Belizariusz zacisnął usta. Ponownie spojrzął na Venandakatrę, a potem odwrócił wzrok.

Pierwszy Nikczemnik, w rzeczy samej.

Spojrzał teraz na Aksumitów i od razu poczuł, jak rozluźniają się jego mięśnie twarzy.

Tak naprawdę Aksumici wyglądali daleko bardziej na egzotycznych przybyszy z dalekiego kraju niż wysłannicy Indii. Ich skóra nie była ciemna, tylko po prostu czarna. Czarna jak u Nubijczyków. Belizariusz, polegając na swoim doświadczeniu, doszedł do wniosku, że jeden z nich pochodzi właśnie z Nubii. Po drugie, podczas gdy włosy mieszkańców Indii były długie i proste, u Aksumitów skręcały się w drobne, krótkie loczki. I na koniec, twarze Malawian, pomijając ciemniejszą cerę, niewiele różniły się od twarzy Greków, a przynajmniej Armeńczyków. Natomiast rysy Aksumitów pochodziły w każdym calu z Afryki. Najbardziej było to widoczne u człowieka, który, według Belizariusza, pochodził z Nubii. Twarze pozostałych Aksumitów nosiły ślady domieszki arabskiej krwi, pomimo bardzo ciemnej cery. Dosyć dużej domieszki w przypadku najstarszego członka grupy, który, jak sądził Belizariusz, był właśnie doradcą Garmatem.

Belizariusz wiedział, że Etiopia i południowa Arabia od długiego czasu kontaktowały się ze sobą. Patrząc na Aksumitów i pamiętając kilku ciemnoskórych Arabów, których spotkał w przeszłości, doszedł do wniosku, że więzy między obu narodami były bardzo bliskie.

Tak, wyglądali na bardziej nawet obcych od mieszkańców Indii, zarówno w zachowaniu, jak i w wyglądzie, zgadywał Belizariusz. Mężczyzna zachichotał cicho, widząc, jak niezdarnie młody książę nosi bizantyjskie szaty. Odzienie najwyraźniej krępowało jego ruchy.

– To trochę dziwne – zgodziła się po cichu Irena. – Myślę, że jest przyzwyczajony do znacznie swobodniejszego stroju, adekwatnego do klimatu, w którym żyje.

– Źle dla niego, że nie przybył tutaj parę wieków temu – dodała Antonina – kiedy Rzymianie ubierali się w togi. Myślę, że byłoby mu w nich znacznie wygodniej.

– I mnie też – wymamrotał pod nosem Sitas i z wyraźną niechęcią spojrzął w dół, na masywną, długą do kolan, suto zdobioną tunikę, którą nosił. Szata wydawała się prawie tak ciężka jak zbroja katafrakta.

– Jak to się stało, że zostaliśmy uszczęśliwieni tymi okropnymi tunikami? – zapytał z rezygnacją. – Dlaczego musimy je nosić, zamiast przyjemnych, wygodnych tóg.

– Dostaliśmy je od Hunów – szepnęła Irena. – A oni, najwyraźniej, skopiowali je od Chińczyków.

Sitas zagulgotał ze złości.

– Źartujesz sobie! – spojrzął ponownie na swoje ubranie. – Masz zamiar mi wmówić, że noszę na sobie plugawy, przeklęty strój Huna?!

Irena przytaknęła z uśmiechem.

– Dziwne, jak toczą się losy cywilizacji, nieprawdaż? To wasza wina, żołnierze, to znaczy nie wasza osobiście, ale generalnie. Kiedy zostaliście opętani przez wizję kawalerii, zaczęliście upierać się przy spodniach noszonych przez Hunów. – Uśmiechnęła się z wyższością. – Dlaczego postanowiliście dorzucić do tego stroju te ich tuniki, jest dla mnie zagadką.

– Skąd wiesz takie rzeczy, kobieto? – gderliwie zapytał Sitas. – To całkowicie niestosowne.

– Po prostu nie spędzam całych dni na picciu i narzekaniu, że nie ma nic innego do roboty.

Sitas popatrzył na nią wilkiem.

– Przekłęte baby i ich inteligencja. Nie powinno się pozwalać im na naukę czytania i pisania. Wiecie, to jedyna pozytywna cecha Traków. Trzymają swoje żony boscami i przygłupie.

– To prawda – wyszeptała Antonina. – Belizariusz pozwala mi nosić buty tylko przy specjalnych okazjach, jak na przykład teraz. – Spojrzała z zachwytem na swoje niedorzeczne buciki, chybotliwe na bardzo wysokim obcasie. – I oczywiście kiedy tańczę naga na jego niczym nie osłoniętej piersi, z bacikiem w jednej dłoni i pucharem sorbetu w drugiej.

– To już zupełnie inna rzecz – gderliwie zaprzeczył Sitas. – Pokaż mi inteligentną kobietę, a ja pokażę ci taką, która posiada cięty dowcip. Wycelowany w mężczyzn, rzecz jasna. – Rozejrzał się po ogromnej sali, zatrzymując wzrok na każdej widocznej z jego pozycji kobiecie. Żadna z nich, prawdę mówiąc, nie wyglądała na specjalnie inteligentną ani tym bardziej na obdarzoną poczuciem humoru.

Belizariusz zignorował zaczepkę. Dawno już przyzwyczał się do, czasem denerwujących, żartów Antoniny. Właściwie raczej mu się podobały. Chociaż, patrząc na potworne urządzenia na stópkach żony, zadrżał, wyobrażając sobie, jak wrywają w jego piersi ogromne rany.

Ponownie skoncentrował się na Aksumitach. Było ich tylko pięciu, co, jak słyszał, dawało pełną liczbę ludzi składających się na poselstwo. Spojrzął z powrotem na wysłanników Indii i uśmiechnął się. Aksumici wysłali pięć osób z misją dyplomatyczną, a Malawianie, którzy przedstawiali się jako zwyczajni handlowcy, przybyli do Konstantynopola w liczbie dwunastu.

Uśmiech zamarł mu na ustach. Część ludzi pełniła najwyraźniej funkcje tylko i wyłącznie dekoracyjne, ale z pewnością nie wszyscy. Przypuszczalnie dwóch albo trzech znało się nawet odrobinę na ekonomii, ale Belizariusz był pewien, że co najmniej dziesięciu członków delegacji to po prostu zwykli szpiedzy.

Jakby czytając w jego myślach, Irena wyszeptała:

– Słyszałam, że połowa Malawian zamierza zostać w Konstantynopolu i utworzyć tutaj stałą

siedzibę. Mówią, że to dla dobra stosunków handlowych i dla ułatwienia interesów.

– Nie wątpię – wymamrotał generał. – W tym mieście zdrada zawsze miała wysokie notowania i korzystną cenę.

Irena nachyliła się ku niemu i szepnęła jeszcze ciszej:

– Widzisz tego stojącego najbardziej z lewej strony? – zapytała. – I tego otyłego bardziej w środku, w żółtej tunice z czarnymi wykończeniami? – Belizariusz zauważył, że wcale na nich nie patrzyła. On także unikał czegoś więcej niż tylko szybkiego spojrzenia w kierunku malawiańskiej delegacji.

– Tak, widzę ich.

– Ten z lewej ma na imię Adżasutra. Ten w środku to Balban. Jestem pewna, że Adżasutra jest jednym z czołowych szpiegów Malawian. Co do Balbana nie dam sobie głowy uciąć, ale jego także podejrzewam. Jeżeli moje obawy co do tego drugiego są słuszne, on jest szefem szpiegów delegacji.

– Nie Adżasutra?

Irena potrząsnęła głową tak nieznacznie, że ledwo to zauważył.

– Nie, jego kandydatura jest zbyt oczywista. Za bardzo pcha się w oczy.

I znów odniósł wrażenie, że Irena czyta w jego myślach.

– Zły pomysł, Belizariuszu. Nigdy nie staraj się zamordować znanych sobie szpiegów i tropicieli. Zostaną po prostu zastąpieni przez innych, których nie będziesz znał. Lepiej mieć ich na oku, a potem...

– A potem co?

Uśmiechnęła się i wzruszyła lekko ramionami, rzucając szybkie i ostrożne spojrzenie na delegację Malawian.

– Co tylko zechcesz – wymamrotała. – Możliwości są nieskończone.

Antonina szturchnęła Belizariusza.

– Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy podeszli do Aksumitów. Obserwowałam Teodorę i zaczyna ona patrzeć na nas z niecierpliwością.

– No to naprzód – rozkazał generał, wziął żonę pod ramię i poprowadził przez salę, torując sobie drogę pomiędzy rozgadany tłumem. Aksumici stali nieco z boku, na skraju gromady dworzan. Etiopczycy byli całkowicie ignorowani, co zauważył nawet Belizariusz, który był kompletnym ślepcem w sprawach dworskiej etykiety.

Aksumici zauważyli zbliżających się Belizariusza i Antoninę, kiedy ci podeszli całkiem blisko. Starszy mężczyzna, który wydawał się być doradcą Garmatem, nie zareagował na ich przybycie. Natomiast oczy księcia rozszerzyły się ze zdumienia. Można powiedzieć, że księżę zaczął gapić się na generała i jego żonę, aż stojący za nim wysoki mężczyzna dał mu kuksańca w bok. Na ten znak od człowieka, którego Belizariusz uważał za Nubijczyka, księżę z wysiłkiem oderwał wzrok od nadchodzących i skierował swoje spojrzenie w inną stronę.

Kiedy byli już całkiem blisko, wzrok Belizariusza napotkał oczy Nubijczyka. Wysoki człowiek natychmiast pokazał białe zęby w szerokim uśmiechu. Radość zniknęła z jego twarzy tak nagle, jak się pojawiła.

Dla Belizariusz ten człowiek stanowił zagadkę. Funkcja, jaką pełnił Garmat, była dla wszystkich jak najbardziej oczywista. Pozostali dwaj członkowie poselstwa niewątpliwie otrzymali wojskowe szkolenie. Teraz stanowili osobistą ochronę księcia, podobnie jak pentarchowie Walentynian i Anastazjusz chronili Belizariusza. Byli twardymi, doświadczonymi wojownikami, dobiegającymi trzydziestki. Wystarczająco młodzi, aby pozostawać w doskonałej kondycji fizycznej, starzy na tyle, że obca im była bezmyślna porywczosć i zapalczywość.

Ale jaką funkcję wśród wysłanników pełnił Nubijczyk, Belizariusz nie był w stanie odgadnąć. Oczywiście o ile był on Nubijczykiem. Belizariusz prawie dałby sobie głowę uciąć, że tak, co stwierdził dokładniej, podchodząc do niewielkiej grupki. Twarz wysokiego mężczyzny nie posiadała ani śladu ostrości rysów tak właściwej dla Aksumitów. Jego twarz była obliczem czystego Afrykanina.

Niebawem Belizariusz będzie mógł się co do tego upewnić. Generał zatrzymał się kilka kroków od grupy i skłonił grzecznie.

– Nazywam się Belizariusz – oznajmił. – Jestem...

– Najlepszym rzymskim generałem – dokończył starszy mężczyzna. – Cóż za zaszczyt! Ja jestem Garmat, osobisty doradca księcia Eona Bisi Dakuena. – Wskazał dłonią na młodzieńca stojącego obok niego.

Belizariusz przyjrzał się młodemu człowiekowi. Książę, pomyślał sobie, jest bardzo przystojny, w egzotyczny sposób. Chłopiec nie był wysoki, ale najwyraźniej dobrze zbudowany. Pod suto zdobioną tuniką Belizariusz spodziewał się solidnych i wyćwiczonych mięśni.

Książę skinął głową, tak lekko, że mogło się to wydać prawie niegrzeczne. Stojący za nim wysoki człowiek natychmiast ponownie szturchnął młodzieńca, wcale nie delikatnie, i powiedział kilka słów w nieznanym Belizariuszowi języku. Dwaj aksumiccy żołnierze, stojący obok, zaburczeli coś pod nosami, co wydało się generałowi słowami aprobaty.

Działo się tutaj coś dziwnego. Język, którym się posługiwali, był obcy dla Belizariusza, ale przez chwilę wydawało mu się, że prawie rozpoznaje dziwne słowa. Podejrzane.

Belizariuszowi wydawało się, że widzi czerwień uderzającą na twarz chłopca, ukrytą pod ciemną karnacją Aksumity. Młody człowiek wyprostował się jeszcze bardziej i ponownie skinął głową. Tym razem uczynił to bardzo starannie i z powagą. Wysoki człowiek stojący za nim znów rozpromienił się w uśmiechu i rzekł, twardo akcentując greckie sylaby:

– Powiedziałem do niego: okaż szacunek, niemądry chłopcze! To wielki generał, doświadczony w boju, a ty jesteś tylko niemowlakiem szukającym matczynej piersi. – Ponownie pokazał zęby w uśmiechu. – Oczywiście mówiłem w naszym języku, aby nie zawstydzić głupiego księcia. I nie uderzyłem go w głowę dokładnie z tego samego powodu. Ale teraz postanowiłem, że muszę przetłumaczyć swoje słowa, żeby nie obrazić dostojnych przybyszy.

– A kim ty jesteś, jeśli wolno spytać?

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ja? Jestem niczym, wielki generale. Jedyne żalosnym niewolnikiem, nikim więcej. Najbardziej godną pogardy istotą na całej ziemi, poniżoną do granic możliwości.

Garmat przerwał tę tyradę.

– Proszę! Czy możemy zostać przedstawieni twojej uroczej żonie?

Belizariusz przeprosił na nietakt i przedstawił zebrany Antoninę. Garmat był doświadczonym dyplomatą, więc potrafił rozwozić się szeroko nad wdziękami i pięknem Antoniny, nie sprawiając jednocześnie wrażenia, że w jego komplementach kryje się choć odrobina lubieżności. Książę nie radził sobie aż tak dobrze. Był bardzo grzeczny, ale najwyraźniej lekko ogłuszony urodą Antoniny.

Wysoki człowiek stojący za jego plecami powiedział coś ostro. Znowu żołnierze wydali z siebie aprobujące pomruki.

Ale tym razem Belizariusz zrozumiał słowa wypowiedzi, chociaż nie wiedział, jak to się dzieje.

– Bezmyślny chłopcze! Uganiaj się za miejscowymi dziwkami, jeśli musisz! Ale nie patrz pożądliwie na żony wielkich, zagranicznych generałów.

Belizariusz próbował zachować spokojną twarz. I, jak mu się wydawało, całkiem nieźle sobie

radził.

– Generale, ty znasz nasz język – stwierdził Garmat.

Belizariusz zastanowił się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie, nie. Po prostu rozumiem parę słów, to wszystko. Ale nie potrafię mówić w... waszym języku...

– Nazywa się *ge'ez*.

– Dziękuję. I przepraszam najmocniej za moją ignorancję. Nie znam Aksum zbyt dobrze. Tak jak powiedziałem, nie potrafię mówić w *ge'ez*, ale trochę rozumiem ten język.

Garmat wpatrywał się w niego przebiegle.

– Wydaję mi się, że więcej niż trochę. – Doradca obejrzał się i spojrzął na wysokiego mężczyznę stojącego za plecami księcia.

– Ciekawi cię ten człowiek, Ousanas. – To było raczej jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

Belizariusz również spojrzął na wysokiego Aksumitę.

– Czy to jego imię?

Ousanas ponownie się odezwał, znów używając greki.

– To moje cywilizowane, greckie imię, generale. W moim własnym języku nazywają mnie... – Tutaj nastąpiła seria niemożliwych do wymówienia sylab.

– Jesteś Nubijczykiem – powiedział Belizariusz.

Ousanas wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Na szczęście nie! Ci Nubijczycy to największe dziwaki pod słońcem. Uderzają w wysokie tony, aby przekonać wszystkich, że są potomkami Egipcjan. Plwam na potomków Meroe i Napata!

Garmat przerwał mu.

– Rzymianie często popełniają tę pomyłkę. On pochodzi z kraju leżącego znacznie dalej na południe niż Nubia. To ziemia położona między wielkimi jeziorami. Tereny te nie są znane ludziom zamieszkującym brzegi Morza Śródziemnego.

Belizariusz zmarszczył brwi.

– A więc on nie jest Aksumitą?

– Na szczęście nie! – zawołał Ousanas. – To najdziwniejsi ludzie pod słońcem, ci Aksumici. Uderzają w wysokie tony, aby przekonać wszystkich, że pochodzą w prostej linii od Salomona.

I znów uśmiechnął się radośnie.

– Ale jednakowoż nie plwam na Aksum i Adulis. Obawiam się, że gdybym to zrobił, sarweni – wskazał kciukiem na dwóch żołnierzy ustawionych po bokach księcia – pobiliby mnie, biednego niewolnika, za impertynencję i niewdzięczność.

Dwaj sarweni wymruczeli kilka słów aprobaty.

Belizariusz coraz mocniej marszczył brwi. Garmat uśmiechnął się.

– Widzę, że jesteś zdumiony naszymi zwyczajami.

– To ma być zwyczaj? – zapytał z powątpiewaniem Belizariusz.

Garmat przytaknął gorliwie.

– O tak! Bardzo stary zwyczaj. Każdy królewski potomek płci męskiej, a jeżeli takowych nie ma, to żeńskiej również, dostaje w wieku lat dziesięciu osobistego niewolnika. Ten niewolnik jest zawsze obcokrajowcem, z dowolnego kraju. Nazywamy go dawazz. Ma bardzo szczególne zadanie. Księżę posiada doradcę, który uczy go sztuki rządzenia, aby w przyszłości radził sobie w sprawach kraju. – Garmat pokazał palcem na siebie. – Ponadto ma żołnierzy, weteranów ze swojego regimentu, którzy uczą go sztuki prowadzenia wojen. Ta umiejętność będzie mu w przyszłości niezbędna do utrzymania kraju. – Garmat pokazał na dwóch żołnierzy. – I, na końcu, posiada najważniejszą osobę,

czyli *dawazza*. Ten człowiek uczy go, że różnica pomiędzy niewolnikiem a królem nie jest znowu taka wielka.

Ousanas zachichotał.

– Znacznie lepiej jest być niewolnikiem! Nie ma się żartować.

Antonina uśmiechnęła się słodko.

– A nie martwisz się tym, co uczyni książę, kiedy już zasiądzie na tronie? I przypomni sobie *dawazza*, który go nękał przez te wszystkie lata?

Radość nie schodziła z twarzy Ousanasa.

– Nonsens, o wielka pani. Książę będzie mi bardzo wdzięczny. Zasypie mnie, swego wiernego *dawazza*, deszczem podarków. Zaoferuje inne dostojne posady.

Antonina nie dała za wygraną.

– Może. Szczególnie jeżeli *dawazz* był dobry i łagodny i strofował księcia rzadko i umiarkowanie, tylko przy niewielu okazjach.

– Nonsens! – zawołał Ousanas. – Tak postępujący *dawazz* byłby zupełnie nieprzydatny. – Uderzył księcia w czubek głowy, bardzo mocno. Książę nawet nie mrugnął okiem.

– Widzisz? – zapytał Ousanas. – Dobry książę. Twardy i wytrzymały, z solidną głową. Jeżeli kiedykolwiek zostanie królem, Arabowie zakrzykną z trwogi.

Belizariusz wydawał się zafascynowany obcą kulturą.

– Ale... założmy na chwilę, że... mam na myśli...

Garmat przerwał jego wypowiedź.

– Zastanawiasz się, co motywuje *dawazza* do bycia tak ostrym i nieugiętym w wykonywaniu swoich obowiązków? Przecież, jak zauważyła twoja żona, zawsze istnieje ryzyko, że król będzie pamiętał doznane upokorzenia i zemści się.

Belizariusz przytaknął. Garmat zwrócił się do Ousanasa.

– Co się stanie, drogi Ousanasie, kiedy zapomnisz o swoich obowiązkach? Zawiedziesz i nie będziesz we właściwy sposób pouczał księcia?

Uśmiech zniknął z twarzy Ousanasa.

– *Sarawit* będzie niezadowolony. – Rozglądał się z niepokojem na boki. – Żołnierze są bardzo niebezpieczni, kiedy się zdenerwują. – Uśmiech powoli wracał na jego oblicze. – Książę jest nicością. I król też jest nicością. Jedynie *sarawit* się liczy.

Żołnierze zamruczeli coś aprobująco.

Garmat popatrzył z powrotem na Belizariusza.

– Widzisz, zgodnie z naszym zwyczajem, kiedy książę zasiada na tronie albo osiąga dojrzałość, co w naszym przypadku ma miejsce, kiedy dojdzie do wieku dwudziestu dwóch lat, wtedy jego *dawazz* jest osądzany przez cały regiment. Jeżeli żołnierze uznają, że *dawazz* wykonywał swoją pracę dobrze i efektywnie, oferują mu miejsce w sarwe. Zwykle zostaje oficerem wysokiej rangi. Albo, jeżeli woli, może powrócić do swojego ludu, odprowadzany przez błogosławieństwo żołnierzy i, oczywiście, przytłoczony masą podarków od swego byłego pana.

– A jeżeli sarwe wyda niekorzystny dla niego wyrok?

Garmat wzruszył ramionami. Spoza jego pleców dobiegły słowa wymamrotane przez Ousanasa.

– Bardzo źle. – Żołnierze ponownie zamruczeli zgodnym tonem.

Belizariusz potarł brodę.

– Czy *dawazz* zawsze pochodzi z południa?

– Och, nie! – zaśmiał się Garmat. – Może pochodzić z dowolnego kraju, tak długo, jak ludzie z tego rejonu wykazują się męstwem, a on sam poważany jest za swoją odwagę i waleczność.

Dawazz króla Kaleba, na przykład, był Beduinem.

– I co się z nim stało?

Garmat kaszlnął.

– Cóż, właściwie stoi właśnie przed tobą. To ja byłem *dawazzem* Kaleba.

Belizariusz i Antonina zgodnie zagapili się na mówiącego. Garmat przepaszająco machnął dłonią.

– Moja matka, obawiam się, nie odznaczała się wiernością i stałością uczuć. Najwyraźniej spodobali jej się etiopscy kupcy przemierzający kraj. I, jak widzicie, ja jestem owocem tego mezaliansu.

– Jak zostałeś pojmany? – zapytał Belizariusz.

Garmat podniósł brwi. Wydawał się zdumiony.

– Pojmany przez kogo?

– No, przez Aksumitów... kiedy cię porwali i uczynili *dawazzem* Kaleba.

– Nigdy nie bierze się w niewolę *dawazzów*! – wykrzyknął książę. – Jeżeli człowiek daje się złapać, oznacza to, że nie pasuje do tego stanowiska!

Książę przemówił po raz pierwszy. Jego głos był całkiem przyjemny, chociaż niezwykle głęboki jak na tak młodego człowieka.

Zdezorientowany Belizariusz potrząsnął głową.

– Nie rozumiem z tego ani słowa. Jak więc znajdujecie człowieka, który ma zostać *dawazzem*?

– Zostać *dawazzem*? – zapytał książę zdumiony. Spojrzał na swojego doradcę z niedowierzaniem. Garmat uśmiechnął się lekko. Żołnierze taktownie powstrzymywali chichot. Ousanas za to śmiał się głośno.

– Nie da się tak po prostu zostać *dawazzem*, generale – wyjaśnił Garmat. – To bardzo zaszczytna funkcja. Ludzie schodzą się z całego świata, aby ubiegać się o tę posadę. Kiedy usłyszałem, że potrzebny jest dawazz dla księcia Kaleba, przejechałem przez pół Arabii. I sprzedałem swojego najlepszego wielbłąda, aby zapłacić za przeprawę przez Morze Czerwone.

– Ja wędrowałem przez dżungle i góry – wtrącił się Ousanas. – Nie sprzedałem niczego, gdyż nie miałem niczego, z wyjątkiem mojej włóczni, która była mi potrzebna.

Obnażył bardzo muskularne ramię i pokazał zebrany okropną bliznę szpecącą jego czarną skórę.

– Tę pamiątkę zostawiła po sobie czarna pantera w dżunglach Shawa – rozpromienił się. – Ale była warta swojej ceny. Blizna pozwoliła mi przeskoczyć głupie wstępne rundy testowania kandydatów i mogłem znaleźć się w ostatnim starciu.

– Ousanas jest największym myśliwym stąpającym po tej ziemi – oznajmił książę Eon. Jego głos wypełniała duma.

W tym samym momencie Ousanas pacnął go mocno w czubek głowy.

– Głupi chłopcze! Największym myśliwym świata jest sam lew, mieszkający w gęstwinie sawanny. Módl się, abys go nigdy nie spotkał! Bo będziesz żałował swojego nierozważnego postępuku we wnętrzu jego żołądka.

– A ty, Garmacie? – zapytała Antonina. – Czy ty także jesteś wielkim myśliwym?

Garmat pokiwał dłonią z dezaprobatą.

– W żadnym razie, pani, w żadnym razie. Byłem... jak to ująć? Powiedzmy po prostu, że Aksumici z zachwytem przyjęli moją kandydaturę. Za jednym zamachem zyskali *dawazza* i pozbyli się herszta zbójckiej bandy z Hadrawmat, który spędzał im sen z powiek od wielu lat. – Wzruszył ramionami. – Zmęczyłem się już wtedy tymi nie kończącymi się podchodami i ucieczkami. Pociągała mnie myśl o stałej posadzie. I...

Zawahał się, mierząc wzrokiem dwoje stojących przed nim Rzymian.

– I – kontynuował – zawsze lubiłem ludzi, od których pochodził mój ojciec. Kimkolwiek on był, zawsze miałem pewność, że pochodził z Etiopii.

Na chwilę twarz doradcy przybrała twardy wyraz.

– Wychowano mnie na Araba, ale nigdy nie zapomniałem tej drugiej połowy mojego pochodzenia. Arabowie to wspaniały naród, pod wieloma względami. Ale... byli bardzo okrutni dla mojej matki. Dręczyli ją i upokarzali przy każdej okazji za to tylko, że uległa obcemu mężczyźnie.

Odwrócił wzrok, patrząc na kłębiący się w sali tronowej tłum dworzan.

– Była dobrą matką. Bardzo dobrą. Oczywiście, kiedy stałem się potężny, prześladowania ustały. Ale nigdy nie cieszyła się prawdziwym szacunkiem. Nie do końca. Więc... zabrałem ją ze sobą do Aksum, gdzie obyczaje są zupełnie inne.

– Jak to, są inne? – zapytała Antonina.

Garmat zmierzył ją taksującym wzrokiem. Tym razem patrzył dłużej. Belizariusz wiedział, że w myślach doradca podjął właśnie poważną decyzję.

– Powiedzmy po prostu, Antonino, że wśród Aksumitów nie usłyszysz plotek o potężnych kobietach z niejasną przeszłością. Co zdarza się tu i ówdzie, nawet pośród wykształconych Greków.

Antonina zeszywniała. Garmat skrzywił lekko wargi.

– Ani nie znajdziesz podstaw do fabrykowania takich plotek wśród Etiopczyków. Pojęcie prostytutki jest u nich nieznane, no, może z wyjątkiem portu Adulis, gdzie nierząd jest praktykowany w stosunku do zagranicznych żeglarzy. Którzy są zresztą oszukiwani, gdyż płacą ciężkie pieniądze za to, co gdzie indziej dostaliby za darmo. W zamian kobiety etiopskie nie oczekują niczego poza czułością, dobrą zabawą i odrobiną ciekawej rozmowy.

Ousanas skrzywił się okropnie.

– Ci Aksumici to strasznie rozwiązyli naród. To szeroko znany fakt! Byłem zaszokowany, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałem w mojej wiosce na dalekim południu. Moi rodacy są oczywiście strasznymi moralistami. – Jego twarz przybrała smętny wyraz. – O tak! Byłem wielce zaskoczony, słysząc te nowości! Natychmiast postanowiłem sam to zbadać, aby zaprzeczyć tym wstrętnym i kłamliwym pogłoskom. – Wielki uśmiech powrócił na jego usta. – Ale plotki okazały się prawdą. Oczywiście, uciekłbym z tego kraju jak najszybciej, ale, niestety, kiedy się o tym dowiedziałem...

– Tego dnia, którego przybyłeś do Aksum – zaburczał cicho jeden z żołnierzy.

– ... było już za późno. Właśnie zatwierdzono mnie na stanowisko *dawazza*. Cóż miałem zrobić?

Antonina i Belizariusz wybuchnęli śmiechem. Garmat rozłożył ręce.

– Widzicie? Nawet nasi kapłani, obawiam się, są bardzo rozwiązli, jak na wasze standardy. Ale my jesteśmy zadowoleni ze swoich zwyczajów. Nawet król królów nie zamartwia się zbytnio, rozważając pochodzenie swoich synów. Jakże ma w ogóle znaczenie ich krew? W końcowym rozrachunku liczy się tylko aprobatą regimentu.

Żołnierze zamruczeli aprobująco.

Doradca spojrział na Belizariusza i rzekł z wesołym błyskiem w oku:

– Naprawdę, sam musisz odwiedzić Aksum i przekonać się, jak u nas jest.

– Ale nie beze mnie! Ktoś musi mieć na niego oko! – zawołała ze śmiechem Antonina. A potem, przypominając sobie prawdziwy cel tej wyprawy, posmutniała i zamilkła.

Garmat natychmiast wychwycił fałszywy ton w jej słowach. Belizariusz, zanim był w stanie przemówić, zwilżył językiem nagle wyschnięte wargi.

– Jeżeli już o tym wspomniłeś, Garmacie, to muszę ci powiedzieć...

Przerwały mu potężne fanfary. Heroldzi imperatora dęli co sił w płucach w ogromne rogi.

Belizariusz wzdrygnął się. Rogi należały do instrumentów używanych na polu walki w celu przekazywania rozkazów. Generał nie był przyzwyczajony do ich użytku podczas pokoju.

Trony Justyniana i Teodory wzniosły się do góry i zastygły w najwyższym położeniu. Tłum zaczął się powoli uciszać. Stało się jasne, że za chwilę imperator wygłosi jakieś ważne przemówienie.

– Obawiam się, że muszę cię przeprosić – Belizariusz wyszeptał pośpiesznie do Garmata. – Tak się zapamiętałem w rozmowie z wami, że straciłem kontrolę nad upływem czasu. To oświadczenie imperatora będzie...

Garmat położył dłoń na ramieniu generała.

– Po prostu wysłuchajmy jego mowy, generale. A potem omówimy sprawy, które wymagają szczegółowych ustaleń.

* * *

Kiedy imperator skończył mówić, Belizariusz zauważył trzy ciekawe zjawiska.

Po pierwsze, dostrzegł wyraźną zmianę w zachowaniu tłumu względem niego i grupki Aksumitów. Podczas gdy wcześniej byli zupełnie ignorowani, teraz, najwyraźniej, dookoła tłoczyła się horda dobrze życzących im dworzan. Prawie obawiali się zgniecenia przez tłum.

Po drugie, zauważył, że twarz Venandakтры przybrała kwaśny wyraz. Było to widoczne nawet z tak dużej odległości, jaka ich dzieliła. Pośród członków poselstwa z Malawy krążyły nerwowe szepty.

I po trzecie, na twarzach Aksumitów zobaczył trojakiemu rodzaju reakcje. Garmat, pomimo wieloletniego doświadczenia na stanowisku królewskiego doradcy, miał trudności z zamaskowaniem wyrazu zadowolenia. Eon, na skutek bycia młodym, niedoświadczonym i porywczym księciem, również nie radził sobie ze swoim wyrazem twarzy. Starał się, o ile to możliwe, ukryć dezaprobatę. A dawaz, jak zwykle, wykonał swoją pracę, śledzony uważnymi oczyma sarwenów.

– Nawet nam o tym nie powiedział! – wypalił książę.

Natychmiast Ousanas trzepnął go w czubek głowy.

– Głupi szczeniaku! Kiedy lew zaprasza cię na obiad, przyjmij zaproszenie. Bo inaczej ty sam będziesz jego posiłkiem, nieopierzony pisklaku!

Sarweni wyburczeli słowa aprobaty.

AMAVARATI

Zima, rok 528 n.e.

Rozdział 13

Jej młodszy brat zmarł we właściwy sposób. Przez głupotę, ale dobrze.

Szakuntala nie oskarżała chłopca o brak rozsądku. Miał tylko czternaście lat i i tak musiał umrzeć. Lepiej, żeby został szybko ścięty mieczem bestii Ye-tai, niż odwlekał moment śmierci przez męstwo i wypełnił ostatnie chwile życia bólem.

Beznadziejny atak jej brata na Ye-tai umożliwił jej także skuteczny odwet. Doświadczony wojownik Ye-tai nie miał żadnych trudności z uniknięciem niezdarnego ciosu miecza chłopca. Barbarzyńca wyszczerzył kły w okrutnym uśmiechu na widok swego własnego miecza wbitego w szyję jej brata, ociekającego jego krwią. Chwilę później ten uśmiech zniknął. Włócznia Szakuntali wbiła się w szczelinę zbroi, pod pachę wroga, i dotarła do serca.

Wojownik upadł na ziemię, a jego ciało zostało odsunięte na bok przez trzech kolejnych Ye-tai wbiegających do komnat księżniczki. Ye-tai na ich czele potknął się lekko o ciało swego martwego rodaka. To właściwie nie było potknięcie, ale wystarczyło Szakuntali. Jej włócznia ponownie znalazła lukę w obronie wroga. Grot zagłębił się w gardle Ye-tai. Barbarzyńca kaszlnął krwią

i upadł na kolana.

Księżniczka natychmiast wyszarpnęła włócznię z trupa i skierowała jej koniec na kolejnego Ye-tai. Ten uniósł wysoko tarczę, aby uniknąć ciosu. Ale księżniczka była doskonale wyszkolona. Cios, który zamierzała zadać, był wymierzony w inne miejsce. Grot wbił się w nogę wroga, tuż nad kolanem. Ye-tai zawył. Szakuntala wycofała ostrze i pchnęła ja w otwarte usta Ye-tai.

To był szybki, natychmiastowy i oszczędny w ruchy cios. Tak jak ją nauczono. Ale, tak jak ją często ostrzegano, że jest to błędem, księżniczka wbiła włócznię zbyt mocno. Grot utknął pomiędzy kręgami szyjnymi.

Chwilę później kolejny Ye-tai złamał drzewce włóczni swoim mieczem. Oczywiście miecz nie do końca odciął drzewce, ale cios skutecznie wytrącił oręż z rąk księżniczki Szakuntali.

Ye-tai krzyknął triumfalnie i rzucił się na dziewczynę; jego twarz wykrzywił wściekły grymas. Szakuntala wycofała się tyłem do narożnika komnaty. Ogromny pokój, służący jej za salę audiencyjną, był umeblowany jedynie kilkoma sprzętami. Księżniczka kopnęła stojącą jej na drodze wazę, aby zrobić sobie nieco więcej wolnej przestrzeni. Przepiękna porcelana rozprysła się na kawałki, a suche kwiaty upadły na podłogę.

Kolejnych sześciu Ye-tai wdarło się do zdemolowanego pokoju. Dwaj podbiegli do księżniczki. Cztery inni skoczyli w bok w kierunku dwórki księżniczki. Dziewczyna, o imieniu Dżidzabi, została zaciągnięta do przeciwległego kąta pokoju.

Szakuntala usłyszała, jak chlipnięcia Dżidzabi zamieniają się we wrzaski. Doszedł do niej dźwięk dartych ubrań i radosne okrzyki Ye-tai, którzy powalili swoją ofiarę na podłogę. Ale nie miała czasu, żeby zająć się pokojówką. Trzej Ye-tai właśnie zdołali ją otoczyć w rogu pomieszczenia. Wyjęli miecze w pochew i odrzucili tarcze. Żelazne kanty tarcz uderzyły miękko, upadając na bogaty dywan, który przykrywał podłogę.

Księżniczka nie rozumiała słów, które wykrzykiwali do siebie jej prześladowcy, ale obleśne uśmiechy na ich twarzach powiedziały jej wystarczająco dużo. Odwróciła się lekko, udając, że osłania się ramieniem i osuwa na podłogę. Jeden z Ye-tai skoczył na nią. Kopnęła nogą w bok, trafiając żołnierza prosto w przeponę; upadł płasko na plecy, tracąc oddech. Jej pięść dosięgła drugiego wojownika dokładnie w to samo miejsce. Mężczyzna kaszlnął i zaczął pochylać się do przodu, a potem upadł płasko na podłogę, kiedy Szakuntala ciosem przedramienia złamała mu szczękę.

Trzeci Ye-tai skoczył jej na plecy, opasując ją ramionami. Cofnęła głowę i uderzyła go w twarz. Mocno nastąpiła na palce stopy wojownika i uwolniła się z jego uścisku. I na koniec wbiła łokieć w jego brzuch.

Wojownik zatoczył się. Szakuntala zrobiła półobrót i wbiła stopę w pachwinę prześladowcy. Ye-tai upadł na podłogę, jęcząc głośno.

Szakuntala odskoczyła od leżącego przeciwnika i pobiegła w kierunku rogu pokoju, w którym żołnierze Ye-tai walczyli z szamoczącą się Dżidzabi. Dziewczyna była już do połowy rozebrana. Jeden z Ye-tai trzymał ją za ramiona, dwaj inni rozkładali szeroko jej nogi. Czwarty Ye-tai właśnie rozpiął spodnie i rzucił się na kolana pomiędzy nogi rozpaczliwie krzyczącej dziewczyny.

Kłęczący mężczyzna wystrzelił do przodu, kiedy Szakuntala z półobrotu kopnęła go z całej siły między łopatki. Księżniczka wyprowadziła cios doskonale, bez nadmiernego impetu, który był jej zwyczajowym błędem. Odbiła się od przeciwnika i łagodnie wylądowała na obu nogach. Ye-tai, który trzymał prawą nogę Dżidzabi, patrzył na księżniczkę z otwartymi ustami. Szakuntala kopnięciem wybiła mu zęby. I znów uderzenie było perfekcyjne. Kolejny cios złamał kark napastnika.

Ale ten cios był zbyt silny, zbyt daleko wyprowadzony. Zamiast się lekko odbić, Szakuntala

potknęła się i upadła na plecy. Na szczęście gruby dywan złagodził jej upadek. Chwilę później Ye-tai, który uprzednio trzymał lewą nogę dwórki, usiadł na niej całym ciałem i próbował unieruchomić jej rękę, łapiąc za nadgarstki. Ryczał z wściekłości. Jednakże jego wrzaski nie były wystarczająco głośne, aby zagłuszyć hałas, jaki czynili kolejni wpadający do pomieszczenia Ye-tai. Dźdźabi znów zaczęła krzyczeć.

Szakuntala walczyła szaleńczo ze swoim przeciwnikiem. Księżniczka była bardzo silna, przy drobnej budowie ciała. Ale Ye-tai znacznie przewyższał ją masą i sam też nie był słabeuszem. I nagle księżniczka odkryła, że jej nogi zostały unieruchomione przez kolejnych barbarzyńców przybyłych do komnaty. Radosne wrzaski Ye-tai wypełniły pokój, ogłuszając księżniczkę kakofonią dźwięków.

Ye-tai leżący na dziewczynie zdołał wreszcie uchwycić mocno jej nadgarstki. Uniósł nieco nogi i usiadł okrakiem na jej klatce piersiowej. Jego twarz znajdowała się teraz nie dalej niż kilkanaście centymetrów od twarzy księżniczki. Zaczął coś do niej mówić, okrutnie szczerząc zęby. Szakuntala nagle zbliżyła usta do twarzy wroga i mocno ugryzła go w nos, odgryzając jego końcówkę.

Ye-tai zawył i cofnął głowę. Ze zranionego nosa spłynął strumień krwi. Mężczyzna spojrzał w dół na swoją ofiarę oczyma rozszerzonymi wściekłością. Szakuntala plunęła odgryzioną końcówką nosa prosto w twarz przeciwnika. Wojownik wrzasnął ze złości. Uwolnił jej lewą rękę, podniósł prawą dłoń zwiniętą w pięść i zamierzył się, żeby uderzyć dziewczynę w szczękę.

Pięść zatoczyła łuk nad głowami Ye-tai i zniknęła w zakamarkach pokoju. Ramię żołnierza zostało odcięte tuż powyżej nadgarstka. Ye-tai gapili się na kikut. Krew zachlapała wszystkich dookoła. Najwięcej posoki spłynęło na księżniczkę. Chwilę później Szakuntala praktycznie topiła się we krwi. Bowiem głowa Ye-tai również rozstała się z ciałem.

Teraz w pokoju zapanował chaos i zamieszanie. Szakuntala nie mogła dokładnie zobaczyć, co się dzieje, gdyż krew Ye-tai zalewała jej oczy. Moment później przygniotło ją padające bezgłowe ciało żołnierza.

Kobieta poczuła, jak ręce trzymające jej nogi rozluźniają uścisk. Dolna część ciała księżniczki nagle zwilgotniała. Krew. Ale nie jej. Słyszała krzyki wściekłości i żalosne zawodzenia. Metal uderzał o metal. Ktoś krzyczał z bólu. Inny kaszłał krwią w przedśmiertelnej agonii.

Teraz dotarł do niej rozkaz wydany donośnym głosem. Więcej żołnierzy wdarło się do pokoju. Kolejny rozkaz. Odgłosy walki powoli zamierały. I znów rozkazy.

Nagle nastała cisza. Słyszała tylko żalosne pochlipywania Dźdźabi.

Cisza, z wyjątkiem...

Z zewnątrz pokoju, przez okna, do uszu Szakuntali docierały stłumione krzyki i wrzaski dochodzące ze sporej odległości. Wszechogarniający ryk bólu i cierpienia.

Amavarati zostało zdobyte. Pałac zajęli wrogowie. Wszystko stracone. Wszystko. Wszystko.

Bezgłowe ciało nagle zostało zdjęte z księżniczki. Znów była wolna i mogła swobodnie odetchnąć. Usiadła i spróbowała obetrzeć krew z twarzy i oczu. Ktoś podał jej szmatkę. Za pomocą tkaniny była w stanie usunąć krew na tyle, że mogła coś zobaczyć.

Pokój był niemal całkowicie wypełniony żołnierzami. Kilku Ye-tai żyło jeszcze, stłoczonych w kącie pomieszczenia obok chlipiącej Dźdźabi. Więcej jednak Ye-tai było martwych. Trupy leżały na podłodze rozrzucone na kosztownych dywanach.

Inni wypełniający pokój wojownicy także byli Malawianami, ale nie należeli do Ye-tai. Szakuntala rozpoznała ich. Kuszanie. I jeden kapłan Mahwedy.

Kapłan miotał się pomiędzy stojącymi w rogu Ye-tai i jednym z Kuszanów. Szakuntala doszła do wniosku, że jest to dowódca oddziału.

Dowódca Kuszanów był niski, ale bardzo umięśniony. Jego klatka piersiowa przypominała

baryłkę, a ramiona miał grube jak konary drzewa. W prawej dłoni trzymał ubrudzony krwią miecz. Szakuntala była pewna, nie wiedziała dlaczego, że to właśnie ten oręż odciął najpierw dłoń, a potem głowę atakującego ją napastnika.

Ale najbardziej uderzyła ją twarz dowódcy Kuszanów. Nie jej rysy ani ogólna budowa, oczywiście. Te były typowo kuszańskie: szorstkie czarne włosy zebrane w koński ogon na czubku głowy, brązowe oczy, płaski nos, wysokie kości policzkowe, cienkie wargi, niewielka fałda w zewnętrznych kącikach powiek. Nie, nie chodziło o rysy, ale o sam wyraz twarzy. Nie wydawała się ludzka. Nie była zrobiona z żywej skóry. Przypominała raczej żelazną maskę.

Kapłan warknął coś do dowódcy oddziału Kuszanów. Odpowiedź żołnierza była krótka i natychmiastowa. Wskazał na Szakuntalę i dodał coś jeszcze. Kapłan podniósł brwi. Potem wyznawca Mahwedy odwrócił się do nadal tkwiących w kącie Ye-tai i rzucił im kilka słów. Ye-tai zaczęli coś mówić, w połowie ze złością, a częściowo ze strachem, ale kapłan kazał im zamilknąć.

Kapłan wskazał na Dźidźabi, warcząc pod nosem. Wykonał przyzwalający gest. Ye-tai uśmiechnęli się okrutnie i podeszli do dziewczyny. Chwilę później znów rozkładali na boki jej nogi, a jeden z nich rozpiął spodnie.

Szakuntala skoczyła na równe nogi, ale kuszański dowódca natychmiast znalazł się za jej plecami. Mężczyzna poruszał się znacznie szybciej, niż księżniczka uważała za możliwe. Kobieta poczuła, jak jego ramię opasuje jej klatkę piersiową. Spróbowała uderzyć go stopą, ale tylko boleśnie stuknęła w podłogę. Kuszanin odsunął zagrożone części ciała bez widocznego wysiłku spoza zasięgu jej ciosów, nie tracąc przy tym równowagi ani nie zwalniając uścisku.

Szakuntala została skutecznie unieruchomiona przez ramię, którego uścisk był jak z żelaza. Zapoznała się z chwytem, jego stylem i siłą i straciła nadzieję. Jednak spróbowała...

Uderzenie łokcia zostało natychmiast zablokowane, jeszcze zanim się na dobre zaczęło. Cios głową spotkał się z trzepnięciem. Nie brutalnym, ale całkiem zniechęcającym.

Dźidźabi zaczęła krzyczeć. Uderzenie. Krzyk. Kolejny cios. Cios. Nagła cisza. Księżniczka słyszała tylko chrapliwy rechot Ye-tai.

– Nic nie możesz już dla niej zrobić, dziewczyno – wyszeptał dowódca grupki Kuszanów. Jego *hindi* był płynny i poprawny gramatycznie. – Nic.

Mężczyzna popchnął Szakuntalę w kierunku drzwi. Był silny. Bardzo silny. Inni Kuszanie ruszyli wraz z nim. Kilku szło na przedzie, kolejni osłaniali boki kawalkady. Reszta szła na końcu. Wszystkie miecze zostały wyciągnięte z pochew. Miecze, zbryzgane krwią, wszystkie bez wyjątku.

Przechodząc przez drzwi komnaty, Szakuntala usłyszała, jak Dźidźabi znów zaczyna wyć. Potem dotarł do niej dźwięk kilku uderzeń i nastąpiła cisza.

– Nic, dziewczyno, nic – wyszeptał Kuszanin.

* * *

Podróż przez pałac przypominała księżniczce nocny koszmar. Szakuntala była umazana krwią i na pół ogłuszona, ale ciągle mogła widzieć. I słyszeć. Cały pałac wyglądał jak dom szaleńców, którzy wymknęli się spod kontroli lekarzy. Wszędzie widziała ograbione ze wszystkiego trupy, zabawiających się żołdaków i bandy gwałcące kobiety. Barbarzyńcy Ye-tai zachowywali się jak wściekłe psy. Pospolite malawiańskie wojsko było nawet gorsze; żołnierze przypominali oszalałe hieny, zupełnie pozbawione kontroli. Więcej niż raz kuszańska eskorta była zmuszona walczyć z Malawianami w obronie księżniczki. Chociaż „była zmuszona” to nie do końca odpowiednie określenie. Kuszanie zabijali żołnierzy z oddziałów Malawian, kiedy ci podeszli bliżej, natychmiast i bez ostrzeżenia ani wyraźnej przyczyny. Ye-tai zabijano, nawet nie pytając o ich zamiary, nawet gdy się nie zbliżali.

Po pewnym czasie Szakuntala poczuła się wyczerpana okrucieństwem, na jakie musiała patrzeć. Próbowwała walczyć ze słabością, ale to było prawie niemożliwe. Desperacja i przerażenie zaczęły wypełniać serce księżniczki.

Żelazne ramiona, w których była zamknięta, w miarę upływu czasu stały się dla niej raczej uspokajającym schronieniem. Pewna część jej umysłu starała się temu zaprzeczyć, ale silna wola została pogrzebana pod zwałami rozpacz. Słyszała, jak cichy, spokojny głos co chwila szepta jej do ucha.

– Nic, dziewczyno, to nic.

Łagodny głos. O ile żelazo może być łagodne.

* * *

W końcu wyszli z pałacu i znaleźli się na ogromnym dziedzińcu.

Kątem oka dostrzegła...

Żelazna dłoń odwróciła jej twarz i ukryła ją na ramieniu ze stali. Ręka zakryła oczy księżniczki.

Szakuntala przywołała ostatnie rezerwy swego silnego charakteru.

– Nie – powiedziała. – Nie. Ja muszę zobaczyć.

Żelazo zawahało się. Dowódca westchnął ciężko.

– Jesteś tego pewna?

– Muszę zobaczyć. – Chwilę później dziewczyna dodała: – Proszę, ja muszę.

Żelazo straciło pewność siebie. Kuszanie odetchnął głęboko.

– Nic, dziewczyno, to n...

– Muszę! Błagam!

Żelazny uścisk osłabł i wreszcie mogła się odwrócić.

I zobaczyła. Teraz byli już martwi, w końcu. Grupka mahamimamsów prawie już skończyła obdzieranie. Już niedługo worki uszyte z ich skór będą gotowe i imperator Malawy zawiesi je w swojej ogromnej sali tronowej.

Jej ojciec. Jej matka. Wszyscy jej bracia, z wyjątkiem najmłodszego, który zginął w jej pokoju. Jego ciało z pewnością szybko zostanie dostarczone oprawcom.

Mocna dłoń ponownie odwróciła jej głowę. Teraz się nie opierała. Minutę później zaczęła drzeć na całym ciele. A potem zapłakała gorzko.

– Nic się nie da zrobić, dziewczyno. Nic.

* * *

Nie odzywała się przez trzy godziny. Nie mogła nic powiedzieć, dopóki słyszała jeszcze słabe krzyki z Amavarati. Te jednak ucichły, kiedy oddalili się od miasta. Kuszanie ostro poganiał konie, a żołnierze radżpuckiej kawalerii, którzy im towarzyszyli, nie protestowali.

Przez trzy godziny była zagubiona w potwornych wspomnieniach Andhry. Wielka Andhra, zniszczona Andhra. Przez pięć stuleci, pod rządami dynastii Satavahana, Andhra panowała nad centralnymi Indiami. I panowała nad nimi sprawiedliwie. Mówcy *telugu*, wywodzący się z Drawidyjczyków, sławili władców Andhry za ochronę przed atakami północnych ariańskich konkwistadorów; bronili Drawidii, podczas gdy w tym samym czasie zbierali i odkrywali ogromne skarby kultury wedyjskiej na całym Dekanie. Nazwa Satavahana oznacza siedmiokonny rydwan Wisznu. Dynastia przyjęła to imię, gdy nawróciła się na hinduizm. Nawróciła się z własnej woli, nie zmuszona przez nikogo.

Tak więc rządili królowie z dynastii Satavahana. Nigdy nie unikali wojny, ale zawsze starali się rozwiązywać wszelkie konflikty na drodze negocjacji. Zaledwie kilka, jeżeli nie żaden, z podległych im narodów uważało ich panowanie za uciążliwe. Nawet hardzi i skorzy do kłótni Marathowie po

pewnym czasie przekonali się do rządów Andhry. Pokochali jej władców i stali się prawym ramieniem sił zbrojnych królestwa.

Pod rządami Satavahanów Andhra stała się jednym z głównych ośrodków handlowych na całym świecie. Królestwo wymieniało towary z Rzymem na zachodzie, Cejlonem na południu, Champą i Funanem na wschodzie. Stolica kraju, wielkie miasto Amavarati, które teraz stało w płomieniach, było niegdyś najlepiej prosperującym i najspokojniejszym miejscem w Indiach.

Za pokojem, dostatkiem i handlem szła wiedza, kultura i sztuka. Uczeni i artyści, zachęceni i wspierani przez członków panującego rodu, ściągali do Amavarati z całego świata.

Ruch *bhakti* rozwijał się pod tolerancyjnymi skrzydłami Andhry i wkrótce ożywił hinduizm. Buddyści i dżiniści, często nękani w innych prowincjach Indii, tutaj mogli spokojnie żyć i głosić swoją wiarę. Mogli nawet, w potężnych, wykonanych z kamienia świątyniach, umieszczać wizerunki swojego Buddy.

Szakuntala pamiętała piękno tych świątyń. Widziała oczyma duszy zgrabne klasztorne zabudowania, sale modlitwy i stupy. Z trudem powstrzymywała łzy. Potem przypomniała sobie cudowne freski w klasztorach w Adżanta i nie zdołała zatrzymać płynących łez.

To zniknęło. Wszystko odeszło. Na zawsze zostało zniszczone.

* * *

Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Dlaczego ja nie zostałam zabita?

Kuszański dowódca wyjaśnił jej dlaczego. Zrobił to łagodnie. A przynajmniej na tyle delikatnie, na ile mógł, nie mijając się z prawdą.

Splunęła na podłogę. Przez chwilę wydawało jej się, że twarz dowódcy rozpadła się na dwie połowy, rozdzielone pęknięciem. Wyglądało to jak skaza na metalu.

Jej następne słowa brzmiały:

– Raghunath Rao?

Dowódca oddziału Kuszanów wyjaśnił jej. Tym razem jego głos nie brzmiał łagodnie. Nie musiał taki być. A potem dowódca niepewnie wysnuł przypuszczenia. Teraz mówił miękko. Na tyle miękko, na ile pozwalało mu żelazo ukryte w jego głosie.

Szakuntala zaśmiała się. Płomień nadziei wypełnił jej duszę, zmywając niczym rzeka rezygnację i beznadziejność.

Księżniczka wypowiedziała swoje ostatnie słowo, ostatnie tego dnia zniszczenia i śmierci:

– Głupcy.

* * *

Kiedy zapadła noc, Kuszenie i Radżpuci zatrzymali się na odpoczynek i zbudowali tymczasowy obóz. Wystawili strażę dookoła całego zajmowanego przez wojsko terenu. Radżpuci chronili obóz przed atakiem z zewnątrz, natomiast Kuszenie bronili Szakuntali przed żołnierzami.

To był bardzo dziwny rodzaj obrony. Kuszenie nie odważyli się podejść do niej blisko. Zabijali czas opowiadaniem, w języku *hindi*, tak by księżniczka też mogła rozumieć, o zaskoczonych i przerażonych Ye-tai. Zaskoczonych księżniczką, z przebitymi włócznią brzuchami i gardłami, nogami i ustami; z brzuchami bolącymi od ciosów stopą i zębami wybitymi łokciem, i skręconymi szyjami. Po prostu zachwycali się opowieścią o zmasakrowanych Ye-tai.

W drgających światłach rzucanych przez płomienie obozowych ognisk majaczyły sylwetki przechadzających się w ciemnościach brodatych Radżputów. Na ich twarzach gościły uśmiechy wywołane tymi cudownymi historiami.

* * *

Tej samej nocy, w stawie niedaleko pałacu w Amavarati, żaba zakumkała i odskoczyła na bok. Jakby przestraszona nagłym ruchem w jej bezpośredniej bliskości.

Zaalarmowany strażnik mógłby zauważyć sylwetkę pełznącą wolno przez trzciny i torującą sobie drogę na brzeg. Ale w Amavarati nie było żadnych straży tej nocy. Armia Malawy świętowała swoje zwycięstwo, kompletnie ignorując kwestie bezpieczeństwa. Tej nocy w Amavarati nie było nikogo, oprócz hordy pijaków, złodziei, krwawych gwałcicieli i garstki ofiar, które na razie zdołały uniknąć ich okrucieństwa. A gromadka mahamimamsów, otoczona wianuszkami kapłanów, była zbyt zajęta ściąganiem skóry z czternastoletniego chłopca, aby pilnować jakiś tam stawów.

Kiedy dotarł na brzeg, człowiek zaczął drzeć swoją tunikę i opatrywać sobie rany. Był bardzo poraniony, ale żadne z obrażeń nie wyglądało na śmiertelne ani na poważne. W swoim czasie rany zmieniały się w blizny i po prostu dołączały do kolekcji pamiątek po poprzednio otrzymanych razach.

Mężczyzna skończył się opatrywać i odpoczął trochę. Potem, ciągle poruszając się cicho i niezauważalnie, opuścił pałac i jego sąsiedztwo. Kiedy dotarł do lasu, zaczął iść szybciej. Ale ciągle cicho i niemal niezauważalnie. Jak zraniona pantera.

DARAS

Wiosna, rok 529 n.e.

Rozdział 14

Pozytywną stroną zagadnienia, pomyślał sobie Belizariusz, jest fakt, że Jan z Rodos to nieprzeciętnie inteligentny człowiek.

Ale była też negatywna strona.

– Dlaczego mnie oszukujesz? – zapytał emerytowany oficer marynarki wojennej. – Jak niby, u Boga Ojca, mam osiągnąć to, czego ode mnie oczekujesz, kiedy najwyraźniej wszystkie kluczowe elementy projektu trzymasz w sekrecie?

Belizariusz spoglądał na niskiego mężczyznę spokojnie i niewzruszenie.

Jan z Rodos zawył.

– Oszczędź swoje sfinksowe spojrzenie dla kogoś innego, Belizariuszu! – Gwałtownym gestem machnął ręką nad stołem pracowni i zde gustowany pokazał na przeróżne substancje i przedmioty rozrzucone na nim.

– Spójrz na ten bajzel! Śmiecie i zabawki, to wszystko, co tutaj widzisz. Mógłbym równie dobrze szukać kamienia filozoficznego albo eliksiru zapewniającego nieśmiertelność. – Jego spojrzenie opuściło stół i omiotło pokój, w którym się znajdowali. Najwyraźniej opinia Jana co do pozostających na stole przedmiotów odnosiła się również do wystroju całego pomieszczenia.

Belizariusz potarł zarośnięty podbródek.

– Przestań gładzić się po brodzie! – Oficer marynarki rzucił się na stojące nieopodal krzesło, wyrażając całe swoje niezadowolenie i złość poprzez posturę, którą przyjął. – Niech szlag trafi dobre maniery, tak czy siak – powiedział zrzędliwie. Spojrzał złowrogo do góry na stojącego nad nim Belizariusza. – I jest jeszcze jedna sprawa – kontynuował. – Co to za bezsensowna gra, w którą mnie wciągacie, ty i twoja żona? Mnie i tego szakala, Prokopiusza.

Zanim Belizariusz zdążył wymyślić coś, co mogłoby posłużyć za uspokajającą odpowiedź, Jan z Rodos z powrotem zerwał się na nogi i skoczył do generała, gestykulując wściekle.

– Nie trudź się! Proszę! Czy ja sprawiam wrażenie idioty?

Belizariusz doszedł do wniosku, że w tych okolicznościach mówienie prawdy będzie najbardziej odpowiednią taktyką.

– Wyjaśnij mi, o co chodzi – rozkazał Janowi. – I przestań wreszcie się miotać.

– Nie miotam się! Po prostu sobie chodzę, bo jestem rozdrażniony.

– A więc przestań chodzić z rozdrażnienia. I mów, o co idzie.

Jan zatrzymał się. W jakiś sposób, pomimo jego dużo niższego wzrostu, wydawało się, oficer marynarki patrzy na Belizariusza z góry.

– Czy słyszałeś, co o mnie mówią? – zapytał. – O tym, że jestem mistrzem w uwodzeniu kobiet?

Belizariusz skinął głową. Jan z Rodos wydał policzki, a potem rzucił się ponownie na krzesło.

– Cóż, plotki jak zwykle są nieco przesadzone. Ale znowu nie tak bardzo. Prawda jest taka, że odniosłem wiele sukcesów na polu stosunków damsko-męskich przez długie lata mego dorosłego życia. Czy wiesz, dlaczego mi się udawało?

Belizariusz czekał na dalszy ciąg. Po raz pierwszy, odkąd poznał Jana z Rodos, czyli dwie godziny temu, zobaczył, jak emerytowany oficer marynarki się uśmiecha.

– Tajemnica sukcesu uwodzenia jest dokładnie taka sama, jak sekret takiego sposobu prowadzenia walki, aby osiągnąć zwycięstwo. Nigdy nie próbuj wygrać bitwy, która z góry jest skazana na porażkę.

– A dokładnie o co ci chodzi?

– To oczywiste. Kiedy po raz pierwszy poznałem Antoninę, nie minęła godzina i jej zamiary były jasne jak słońce. Tej kobiety nie można uwieść. Jest tym nie zainteresowana. Kiedy ty uganiałeś się po pustyni w poszukiwaniu Persów, my tutaj siedzieliśmy całkiem sami. Gdy w pokoju jesteśmy tylko ja i ona, Antoninę interesują tylko dwie rzeczy: postępy prac i interesy. To wszystko. Wyjaśnij mi więc, dlaczego, kiedy tylko w pobliżu pojawi się ta obleśna kreatura, Prokopiusz, twoja żona zaczyna zachowywać się jak moja kochanka?

Nawet siedząc, Belizariuszowi wydawało się, że Jan patrzy na niego z góry.

– O co w tym wszystkim chodzi?!

Belizariusz westchnął i przysunął sobie krzesło. Kiedy już usiadł, uśmiechnął się krzywo.

– Janie, cała sprawa jest głęboko zakonspirowana.

Parszywy nastrój oficera marynarki zniknął tak szybko, jak się pojawił. Mężczyzna wyszczerzył zęby niczym wilk, którego, pomyślał Belizariusz, całkiem dokładnie przypominał. Niski, żyłasty, przystojny, niebieskooki, czarnowłosy, siwobrody, dobrze zadbany wilk.

– No! – zawołał. – Nareszcie do czegoś doszliśmy!

Pochylił się do przodu na krześle i zatarł ręce z niekłamaną radością.

– Opowiedz mi dokładnie o wszystkim i niczego nie zatajaj.

* * *

Kiedy Belizariusz skończył opowiadać, Jan spojrział na niego z ukosa.

– Ciągłe masz przede mną jakieś sekrety – powiedział zrezygnowany. – Ani przez chwilę nie uwierzyłem, że te twoje wizje, jak sam je nazwałeś, po prostu przychodzą do ciebie znikąd. Ktoś, albo raczej coś, musi je na ciebie zsyłać.

Belizariusz kiwnął potakująco głową.

– I nie zamierzasz mi powiedzieć, co się za tym kryje? A przynajmniej nie teraz; i nie ma dyskusji?

Belizariusz skinął ponownie.

Jan odwrócił wzrok, marszcząc silnie brwi. Kilka sekund później rysy twarzy mu złagodniały.

– Mogę jakoś z tym żyć – powiedział. – A przynajmniej przez pewien czas.

Szarpnął brodę.

– Ale mam jeszcze jedno pytanie, na które muszę znać odpowiedź. Teraz. Czy ten spisek jest wymierzony w Koronę? Czy działamy przeciwko imperatorowi?

Belizariusz zdecydowanie potrząsnął przecząco głową. Jan patrzył na niego nieubłaganie.

– Przysięgnij! – rozkazał. – Znam twoją reputację, generale. Jeżeli będę miał twoją przysięgę, będę usatysfakcjonowany.

– Przysięgam ci w obliczu Boga, Janie z Rodos, że nasz spisek, w którym ty także masz swój udział, nie jest wymierzony w imperatora Justyniana.

Jan ponownie uśmiechnął się, pokazując zęby.

– Ale on o niczym nie wie, prawda?

– Tak, to prawda.

– A imperatorowa Teodora?

– Ona też nie ma pojęcia, a przynajmniej nie dowiedziała się ode mnie.

Jan wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju.

– To dobrze. I niech tak zostanie. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Wolałby utrzymać to w sekrecie, szczególnie przed Justynianem. – Twarz oficera wykrzywił grymas niechęci. – To taki podejrzliwy tyran, nieprawdaż?

Po chwili Jan ponownie wyduł policzki i spojrzał w kierunku swojego warsztatu, na którym panował okropny bałagan.

– Nie myśl sobie, że mam tu wiele do ukrycia, jeżeli już mówimy o sekretach i konspiracji. Cała masa głębokich ciemności i strasznie mało do zatajenia.

– Nie odniosłeś więc żadnych sukcesów w odtwarzaniu broni?

– Żadnych, poza kilkoma znacznymi ulepszeniami greckich ogni, które jako broń wykorzystywane są u nas od dawna. Ale nie odkryłem nic, co by chociaż w najlżejszym stopniu nadawało się do walki na lądzie.

Belizariusz wstał.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedział. – Czekają tam paru ludzi, których chciałbym ci przedstawić.

* * *

Belizariusz nie mógł znaleźć Aksumitów w willi. Podejrzewał, że poszli do zajmowanych przez żołnierzy koszar. I tam właśnie ich znalazł.

Koszary były do niemożliwości zapchane wojownikami, a szczególnie ogromny pokój, który prawdopodobnie służył poprzedniemu właścicielowi zabudowań za jadalnię. To zagęszczenie wynikało częściowo z charakteru pomieszczenia. Trakowie, od czasu przybycia do willi, ciągle nie mogli się przyzwyczaić do luksusu panującego w ich nowych kwaterach. Ale najważniejszą przyczyną, która spowodowała, że tłum kłębił się w pokoju, były zawody odbywające się na ogromnym stole na środku komnaty.

Kiedy żołnierze trackiej ochrony zauważyli zbliżającego się Belizariusza, rozstąpili się na boki i dali mu dojść do stołu. Generał przyjrzał się uważnie scenie rozgrywającej się przed jego oczyma i aż zachłysnął się ze złości.

Garmat, co mu się chwaliło, najwyraźniej usiłował kontrolować sytuację. Maurycy, oczywiście, także trzymał rękę na pulsie. A dwaj żołnierze z sarwe Dakuen próbowali zachowywać się racjonalnie, tak jak można się spodziewać po doświadczonych weteranach otoczonych przez obce wojsko. Byli grzeczni i ostrożni.

Ale książę, niestety, był ciągle młodym człowiekiem, pełnym dumy i chcącym zaprezentować się jak najlepiej. A nie wszyscy członkowie trackiej ochrony generała posiadali tak ogromne doświadczenie i potrafili tak dobrze się rozluźnić jak Walentynian i Anastazjusz; obaj, jak zauważył Belizariusz, leżeli rozwaleni na krzesłach nieopodal stołu. Nie, w armii Belizariusza było całe mnóstwo młodzików i większość z nich nie ustępowała księciu pod względem poczucia dumy.

I wcale się nie przejmowali królewskim pochodzeniem przybyłego.

W tej chwili właśnie, ich wrodzona duma przyjęła formę zawodów w siłowaniu się na rękę. Na początku, najprawdopodobniej, rywalizacja miała charakter zabawy. Teraz humory opadły znacznie niżej.

Przyczyna rosnącego niezadowolenia była oczywista i została zaprezentowana generałowi natychmiast, kiedy tylko znalazł się w pobliżu. Z pomrukiem złości i niezadowolenia, tracki żołnierz o imieniu Menander uderzył pięścią w stół. Ciemna twarz Eona zajaśniała w szerokim uśmiechu zadowolenia.

Rozglądając się na boki, Belizariusz doszedł do wniosku, że Aksumita do tej pory sprawił lanie co najmniej trzem trackim wojownikom. I żaden z pokonanych nie był tym zachwycony.

Westchnął ponownie. Podczas długiej podróży z Konstantynopola do Daras Belizariusz zaprzyjaźnił się z księciem i uważał go za prawdziwie czarującego chłopca. Kiedy już księżę uporał się z powściągliwością, która, jak mniemał Belizariusz, była niczym więcej jak sposobem utrzymania dystansu pomiędzy następcą tronu a całym morzem obcych ludzi w obcym kraju, Eon okazał się bardzo inteligentny i łagodnego usposobienia. Po kilku ciosach w głowę zadanych przez *dawazza* chłopiec zdołał się opanować na tyle, żeby nie wlepić w Antoninę pożądlivych oczu w ten swój niepewny, właściwy nastolatkom sposób. Bardzo zaprzyjaźnił się z Sitasem i, ku ogromnemu zdumieniu Belizariusza, dogadywał się nawet jeszcze lepiej z Ireną. Pod sztywnym obliczem młodego Aksumity krył się otwarty i zabawny konwersator, a Irena wprost uwielbiała z nim rozmawiać.

Ale... ciągle był tylko chłopcem, niezwykle dumnym ze swojej silnej ręki.

Belizariusz widział kiedyś tego chłopca rozebranego od pasa w górę, tak więc był przyzwyczajony do jego herkulesowej sylwetki. Jednakże dla niektórych Traków wygląd Aksumity najwyraźniej stanowił wyzwanie, któremu nie zdołali się oprzeć.

– Wystarczy już, Eonie! – wtrącił się nagle Garmat.

– Niech spróbuje pokonać Anastazjusza! – zażądał opryskliwy głos dochodzący z tłumu.

– Tak, tak! – zawołał Ousanas. – Niech się siłuje z Anastazjuszem!

Dawazz, siedzący przy stole obok księcia, wyszczerzył się w szerokim uśmiechu w kierunku ogromnego pentarcha.

Anastazjusz ziewnął.

– Ten koleś jest o wiele dla mnie za silny. I, poza tym, z natury jestem leniwy i nie chce mi się wstawać. Mam naturę marzycielską.

Księżę lekko zmarszczył brwi. Twarz katafrakta była poważna, ale... Wyczuł, że pod grzecznymi słowami Anastazjusza kryje się kpina.

Dawazz natychmiast wyczuł nastrój księcia i postanowił działać. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Och, nie! Takie żarty! Tak fałszywie deprecjonować swoje siły! To wielka obraza dla honoru Jego Księżęcej Mości! Księżę musi teraz bronić swojego dobrego imienia!

Belizariusz doszedł do wniosku, że czas wkroczyć do akcji.

– Wystarczy – rozkazał. Spojrzał surowo na *dawazza*. – Twoim zadaniem jest przestrzegać księcia przed głupimi postępkami.

Ousanas gapił się na generała.

– Cóż za nedorzeczność! – zawołał. – To niemożliwe! Nie powstrzyma się młodych książątek od głupoty. To tak, jakbyś próbował powstrzymać krokodyla od jedzenia mięsa.

Ousanas potrząsnął głową z udawanym smutkiem.

– Ty jesteś naprawdę wielkim generałem, Belizariuszu. Powinieneś trzymać się tego, co umiesz najlepiej robić, bo *dawazzem* byłbyś wprost beznadziejnym.

Uśmiech powrócił na twarz Ousanasa.

– Jedynym sposobem oduczenia księcia głupich postępów jest zachęcanie go do robienia głupot.
– Szeroko rozłożył ręce. – Wtedy ten niedoszły król, bo raczej nim nie zostanie zarówno z powodu swej głupoty, jak i kolejki do tronu, zwicnie sobie rękę i prawdopodobnie sam się oduczy idiotyzmów. Może się oduczy. A może się nie oduczy. Prawdopodobnie się nie oduczy, nawet jak sobie złamie nadgarstek. Książęta są wielkimi głupcami z natury. Tak jak krokodyle.

Rozejrzał się majestatycznie po pokoju.

– Widzę tu wielu potężnych wojowników – powiedział. – Zadam wam pytanie. Jak schwytać i zabić krokodyla?

Po krótkiej chwili odezwał się ktoś odważny.

– Trzeba przeszyć bestię włócznią.

Ousanas natychmiast rozpromienił się radośnie.

– Przemówiłeś jak prawdziwy wojownik! – Miejsce uśmiechu zajął wyraz skromnego poniżenia się. – Ja nie jestem wojownikiem. Tylko nędznym niewolnikiem. Ale kiedyś, przedtem, należałem do wielkich łowców.

Ktoś parsknął.

– Czyżby? Tak twierdzisz? Więc powiedz nam, o nędzny sługo, jak ty polowałeś na krokodyle?

Ousanas zachichotał.

– Po pierwsze, nie należy polować na krokodyle! To wielkie i niebezpieczne potwory. Silniejsze od bawołu! Mają zęby jak miecze!

Uśmiechnął się szeroko.

– Ale te gady są również bardzo głupie. Tak więc polowałem na nie, dając im zatrute mięso!

Nagle dawazz wyciągnął swe długie ramię i uderzył biednego księcia mocno w czubek głowy.

– Widzisz tego tam? – zapytał rozkazującym tonem, wskazując na Anastazjusza. – On cię karmi zatrutym mięsem, głupcze.

Anastazjusz wyszczerzył radośnie zęby. Księżę przyjrzał mu się z niedowierzaniem. Ousanas uderzył go ponownie.

– Księżęta są równie głupi jak krokodyle!

Teraz księżę patrzył z wściekłością na swego *dawazza*. Nie po raz pierwszy, Belizariusz, obserwując scenę rozgrywającą się przed jego oczyma, pomyślał sobie, że bycie *dawazzem* wymaga pewnego specyficznego rodzaju odwagi.

Ousanas znów zdzielił księcia.

– Nawet krokodyl nie jest tak głupi, żeby wpatrywać się ze złością w swojego *dawazza*! – Dwaj aksumiccy żołnierze zachichotali.

– Wystarczy – powtórzył Belizariusz.

Eon z wysiłkiem oderwał spojrzenie od Ousanasa.

– Jest tu ktoś, mój księżę, kogo chciałbym ci przedstawić. I tobie również, Garmacie. – Po chwili dodał zrzędlwym tonem: – I tobie też, Ousanasie, i sarwenom.

Kiedy powrócili do willi, Belizariusz przedstawił Etiopczyków Janowi z Rodos. Antonina czekała z byłym oficerem marynarki w głównym salonie, wraz z Sitasem i Ireną. Kiedy już usiedli na swoich miejscach, generał odezwał się do Garmata:

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o indyjskiej broni, jeżeli możesz.

* * *

Belizariusz pozostawił Aksumitów pogrążonych w konwersacji z Janem i udał się do baraków. Miał tam parę swoich spraw do załatwienia.

Jak tylko wszedł do sali jadalnej, rozmowy wypełniające hałasem to pomieszczenie ucichły jak ucięte nożem. Ale zanim to się stało, generał usłyszał jeszcze uwagi czynione donośnym głosem przez Menandra.

– Ten niewolnik cię obraził, nieprawdaż? – zapytał żołnierza Belizariusz.

Menander nie odzywał się, ale cała jego postawa wyrażała oburzenie.

Belizariusz starał się powściągnąć swój gniew.

– Powiedz mu, Walentynianie – rozkazał.

Doświadczony katafrakt nigdy nie omijał okazji wetknięcia komuś kilku szpil. Teraz nawet nie podniósł wzroku na młodego żołnierza.

– Jeżeli się nie nauczysz oceniać ludzi, Menandrze, nie dożyjesz emerytury i nigdy nie skorzystasz z dóbr, które gromadzisz sobie na starość. W danym momencie księżę jest nikiem więcej niż tylko

wielkim, chodzącym mięśniem. Później, kto wie, kim się stanie. Ale teraz jest nikim. Jego dwaj żołnierze są dobrzy. Założę się nawet, że bardzo dobrzy, albo by ich tu nie było. – Przerwał na chwilę, ważąc coś w myślach. – Doradca jest także niebezpieczny. W młodości na pewno było na co popatrzeć. Ale teraz jest stary... i słaby. A niewolnik, wreszcie, to najgorsze, co cię może spotkać.

– Ale to tylko niewolnik! – zaprotestował Menander.

– Karmi cię zatrutym mięsem – zachichotał Anastazjusz. Przez pokój przetoczyła się fala śmiechu. Kiedy ostatnie chichoty ucichły, Walentynian w końcu podniósł wzrok. Jego wąska, skupiona twarz przybrała lodowaty wyraz. Mężczyzna wbił w młodego katafrakta swe zimne, ciemne oczy, patrząc wzdłuż długiego, sterczącego nosa.

– Te niewolnik mógł zarznąć cię jak owcę, chłopcze. Nigdy w to nie wątp, nawet przez chwilę.

Belizariusz chrząknął głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– Będę potrzebował trzech żołnierzy, którzy pojedą ze mną w podróż do Aksum. I dalej, do Indii. Wyruszamy jutro rano i nie będzie nas co najmniej rok. Pozostali zostaną w posiadłości. Wiecie już, że Sitas także tu przybył. Na rozkaz imperatora, zastąpi mnie i od jutra przejmie obowiązki głównodowodzącego Armii Syryjskiej. Będziecie zapewniać mu ochronę, kiedy tylko tego zażąda, tak długo, jak nie będzie to w sprzeczności z ochroną mojej żony i tego majątku, w którym się teraz znajdujemy. Maurycy będzie wami dowodził.

Maurycy się nie odezwał, ale lekkie skrzywienie warg mówiło wiele o jego ciągle pogłębiającej się niechęci, w miarę wysłuchiwania planów generała. Słaby dźwięk zdziwionych rozmów począł narastać w pomieszczeniu, aż nagle zapanowała absolutna cisza.

– Jacyś ochotnicy? – spytał Belizariusz.

Nie minęła sekunda, a, tak jak się tego spodziewał Belizariusz, prawie wszyscy katafrakci zgłosili się na ochotnika. Wszyscy młodzi stanęli jak jeden mąż, z wyjątkiem Menandra.

– Doskonale! – zawołał generał. A potem uśmiechnął się krzywo, jak to było w jego zwyczaju.

– Cholera – syknął Walentynian.

– Zatrute mięso – jęknął Anastazjusz.

– Ci z was, którzy mieli wystarczająco dużo rozsądku, żeby się nie zgłaszać, jadą jutro ze mną. Walentynian. Anastazjusz. Och... i oczywiście ty, Menandrze.

* * *

Kiedy Belizariusz powrócił do willi, Aksumici właśnie kończyli opisywać swoim słuchaczom indyjską broń, a przynajmniej tyle, ile udało im się do tej pory odkryć. Nie było tego wiele. Przez kilka ostatnich lat zaledwie kilku aksumickich kupców obserwowało użycie nowej obcej broni, ale tylko z dużej odległości. Malawianie trzymali swe dziwne wynalazki w sekrecie i nie dopuszczali w ich pobliże żadnych cudzoziemców. Potrafili nawet, jak to miało miejsce w jednym przypadku, przerwać oblężenie nadbrzeżnego miasta, gdyż na horyzoncie ukazał się aksumicki statek, który zresztą został odprawiony przez malawiańską jednostkę.

Kiedy Etiopczycy skończyli opowiadać, Jan z Rodos opadł na oparcie swojego krzesła i zaczął uderzać się delikatnie rękoma po udach. Lekko zmarszczył brwi, a jego wzrok zdawał się błędzić gdzieś w oddali.

– Nie mamy zbyt wiele informacji, żeby coś osiągnąć, nieprawdaż? – spytała Antonina, jakby przepraszająco.

– Wprost przeciwnie – odparł oficer marynarki. – Nasi przyjaciele z Aksum, którzy tu właśnie siedzą, dostarczyli mi jedną, ważną informację, której bardzo potrzebowałem.

– A dokładnie jaka to informacja? – zapytał Sitas.

Jan z Rodos spojrzał na greckiego generała i lekko się uśmiechnął.

– Najbardziej istotną informacją jest fakt, że ta broń naprawdę istnieje, Sitasie. – Wzruszył ramionami. – Jak działa i czym jest, pozostaje ciągle tajemnicą. Ale sam fakt, że istnieje naprawdę, oznacza, że tę tajemnicę da się przeniknąć. To nie fantazje, nad którymi praca jest tylko i wyłącznie spekulacją. Pomiędzy tymi dwoma stanami istnienia jest ogromna różnica.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, z rękoma założonymi na plecach.

– Będziemy musieli skompletować sobie tutaj całą bibliotekę. Na nieszczęście te woluminy, które sam posiadam, traktują tylko i wyłącznie o uzbrojeniu okrętów wojennych.

– Książki są kosztowne – zrzędliwie mruknął Sitas.

– No i co z tego? – odparowała Antonina. – Jesteś przecież obrzydliwie bogaty. Stać cię na ten wydatek.

– Wiem o tym – zahuczał basem Sitas. – Wiem. Wydrenujcie bogatego Greka, wszyscy tak uważają i...

Irena przerwała mu brutalnie.

– Jakich książek będziesz potrzebował? – zapytała Jana z Rodos.

Oficer marynarki zmarszczył brwi.

– Jest dla mnie jasne, na podstawie faktów, jakie przekazali nam Aksumici, że malawiańska broń wykorzystuje do działania coś znacznie bardziej skomplikowanego niż tylko naftę czy podobne do niej paliwo. Opisują działanie broni jako coś podobnego do wybuchu, tak jakby Malawianie potrafili kontrolować erupcję wulkanu, oczywiście na mniejszą skalę. Najbliższym temu zjawiskiem, które jest mi znane, wydaje się kontrolowane spalanie. I jest tylko jeden mędrzec, którego znam, zajmujący się tym tematem. Wie wszystko o spalaniu.

– Heron z Aleksandrii – dokończyła Irena.

Jan z Rodos przytaknął.

– Dokładnie tak. Potrzebuję jego książki pod tytułem „Pneumatyka”.

Sitas poczerwieniał na twarzy.

– Istnieje nie więcej niż pięćdziesiąt egzemplarzy tego dzieła na całym świecie! Macie chociaż pojęcie, jak to dużo będzie kosztować? Nawet jeżeli znajdziemy tę książkę, co jest wątpliwe. Prędzej będziemy musieli najechać bibliotekę w Aleksandrii.

– Ja mam jeden egzemplarz – powiedziała Irena. – I będę bardzo rada, że mogę go użyczyć tak znamienitej osobie. Jednakże książka znajduje się w mojej willi w Konstantynopolu, więc sprowadzenie jej tutaj trochę potrwa.

Wszyscy obecni w pomieszczeniu gapili się na Irenę. Uśmiechnęła się kapryśnie.

– Właściwie mam większość dzieł Herona. Posiadam także „Mechanikę”, „Sztukę obłężeń”, „Miary” i „Odbicia”. Prawie udało mi się zdobyć jego „Automatykę” w zeszłym roku, ale jakiś przekłety Armeńczyk był szybszy.

Kilku mężczyzn zebranych w pokoju ciągle patrzyło niedowierzająco na drobną kobietę. Sitas po prostu się gapił oczyma okrągłymi jak filiżanki.

– Po prostu lubię czytać – wyjaśniła Irena sucho. Przebiegle.

Antonina zaczęła się śmiać.

– To nienaturalne! – Sitas dławił się z oburzenia. – To jak...

– Wyjdź za mnie – powiedział Jan z Rodos.

– Nie ma mowy, Janie. Znam ten typ. Po prostu pożądasz moich książek, nic więcej.

Oficer marynarki wojennej uśmiechnął się przepraszająco.

– Więc, tak, do pewnego stopnia. Ale...

– Nie ma mowy! – powtórzyła Irena. Teraz już sama śmiała się głośno.

– Ten świat schodzi na psy! – zawołał Sitas. – Moja matka nigdy nawet nie dotknęła książki, nie wspominając już o tym, żeby miała jakąś na własność. – Gwałtownie zmarszczył brwi. – Nawet ja nie mam żadnych ksiąg, jeżeli już o tym mowa.

– Naprawdę? – zapytała Irena. – Jestem zaskoczona.

Sitas z wściekłością spojrzał na młodą kobietę.

– Kpisz sobie ze mnie, okropna kobieto! Wiem, że tak jest.

Belizariusz nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Nonsens, Sitasie! – zawołał. – Jestem przekonany, że Irena mówi śmiertelnie poważnie. Ja sam jestem naprawdę zaskoczony.

Sitas przeniósł miazdzące spojrzenie na trackiego generała.

– Nie zaczynaj ze mną, Belizariuszu! Tylko dlatego, że sam posiadasz egzemplarz Cezara...

Do rozmowy wtrącił się książę Eon.

– A czy posiadasz może kopię „Anabasis” Ksenofonta? – zapytał Irenę z nadzieją.

Kobieta skinęła twierdząco głową.

– Mogę to pożyczyć... – Książę nagle ucichł. – Och. Pewnie trzymasz to w swojej willi.

W Konstantynopolu.

– Tak, obawiam się, że tak.

Książę zaczął intensywnie myśleć, co objawiło się straszliwym marszczeniem brwi.

– Może będziemy mogli tam wrócić...

– Wystarczy, Eonie! – zawołał Garmat. – Nie mamy zamiaru wracać do Konstantynopola, żebyś mógł pożyczyć jakąś książkę.

– Ale to „Anabasis” – zaskomlał Eon. – Chciałem to przeczytać, od kiedy...

– Nie! Absolutnie nie! Twój ojciec czeka na nas w Aksum... prawdopodobnie w Adulis. I czy zupełnie zapomniałeś o...

– Ale to „Anabasis” – jęknął Eon.

– Mówisz jak prawdziwy bibliofil – powiedziała Irena z podziwem. Uśmiechnęła się szeroko do zmartwionego księcia i lekko pomachała dłonią. – Ci poganie po prostu nas nie rozumieją, Eonie. Po prostu musisz im ustąpić. Jak jakiś święty z dawnych czasów, który ulega torturom i mękom zadawanym przez barbarzyńców.

– Ale „Anabasis” – mamrotał książę.

– Ousanas! – szczechnął Garmat. – Czyń swą powinność!

– Jaką znowu powinność? – spytał niewinnie dawazz. – Miłość do książek to najlepsza z cech charakteru młodego księcia. Trzyma go z daleka od psot i figli.

Dawazz wyciągnął ramię i trzepnął chłopca w czubek głowy. Bardzo lekko.

– Niemniej jednak, wróćmy do ciągle istotnej sprawy Malawian i niebezpieczeństwa, które niosą oni ze sobą. Zaniepokojony ojciec czeka na raport ukochanego syna. Zaniepokojony ojciec z rodzaju *negusa nagast*. Niezbyt to rozsądne trzymać takich ojców w niepewności i uganiać się za jakąś książką. Niepokój może się bowiem zamienić w gniew. Gniew typu *negusa nagast*.

Dwaj sarweni zamruczeli potakująco. Eon nadąsał się.

– Jak szybko możemy tu sprowadzić księżę Herona? – zapytała Antonina.

Irena wzruszyła ramionami.

– Z użyciem specjalnego, szybkiego kuriera...

Sitas wtrącił się do rozmowy.

– Czy masz chociaż blade pojęcie, jak dużo kosztuje wysłanie takiego specjalne...

Jan z Rodos roześmiał się głośno.

– Dłaczego zawsze tak jest, że najbogatszy z ludzi wzdraga się wydać choć odrobinę posiadanego złota? Uspokój się, Sitasie. Nie będziemy drenować twojej sakiewki. – I zwrócił się do Ireny. – Nie ma potrzeby, nie musimy używać specjalnego kuriera. Przede mną jeszcze całe tygodnie pracy, zanim chociaż zacznę myśleć o naszym projekcie. Będziemy musieli znaleźć ludzi, którzy dostarczą nam odpowiednich substancji chemicznych, narzędzi, wyposażenia... wszystkiego. Teraz wszystko, co posiadam, to tylko kilka wybrakowanych resztek i jakieś przedmioty nie do pary.

– Czy będziesz potrzebował pomocy rzemieślników? – zapytał Belizariusz.

Jan potrząsnął głową.

– Jeszcze nie teraz, Belizariuszu. Nie za bardzo wiem, co mam im zlecić do wykonania, ani nie mam pojęcia, czego mogę potrzebować. Ściąganie ich tutaj będzie tylko i wyłącznie marnowaniem ich czasu i twoich pieniędzy. Za sześć miesięcy od teraz skorzystam z ich usług. Sześć miesięcy, może nawet więcej.

Generał zmarszczył brwi.

– Myślisz, że zajmie ci to aż tak długo?

Jan skrzywił się okropnie.

– Tak długo? Czy masz pojęcie, o co mnie prosisz i czego ode mnie oczekujesz?

Emerytowany oficer zaczął podnosić się z krzesła, najwyraźniej szykując się do, zwyczajowego dla niego w chwilach zdenerwowania, dreptania i miotania się po pokoju. Belizariusz skinieniem ręki powstrzymał go przed tym atakiem.

– Uspokój się, Janie. Przecież nie krytykuję twoich metod. Po prostu jestem... zaniepokojony, to wszystko. Nie mam pojęcia, jak wiele czasu nam pozostało, zanim Malawianie zaatakują i spełni się przepowiedziana przyszłość.

Jan ciągle siedział naburmuszony i nie dał się przeprosić. Jednak zanim zdążył odpowiedzieć Belizariuszowi, do rozmowy wtrąciła się Irena.

– To przecież twoja praca, generale.

– Co masz na myśli?

– Zapewnienie nam wystarczającej ilości czasu. To twoja praca. Moja też, jeżeli już o to chodzi. Ale w większości to twoje zadanie.

– Robiłeś to już przedtem – powiedział Sitas. Wielki grecki generał uśmiechnął się. – Co prawda walczyłeś wtedy z garstką prymitywnych Gotów. Może nie jesteś wystarczająco sprytny, aby zapędzić tych wyrafinowanych Malawian w kozi róg?

– Nie drażnij mojego męża, Sitasie – powiedziała Antonina.

– Wcale go nie podjudzam. Po prostu łechtam jego próżność.

– Mój mąż nie jest próżny.

Sitas ze smutkiem potrząsnął głową.

– Biedna kobieto. Żona zawsze dowiaduje się o wszystkim ostatnia. Belizariusz jest najpróżniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. Jest tak próżny, że nawet już nie jest próżny na punkcie rzeczy, na których punkcie są próżni inni mężczyźni... na punkcie sławy, bogactwa, dobrego wyglądu, dobrego wyglądu ich żon. Och nie, nie Belizariusz. On jest tylko próżny, kiedy idzie o jego próżność, co jest najgorszym rodzajem próżności, jaki tylko istnieje.

Wszyscy znajdujący się w pokoju, z wyjątkiem Ireny, zmarszczyli jak na komendę brwi, próbując odnaleźć sens w tej pokrętej logice wywodu Sitasas.

– To nie ma najmniejszego sensu – podsumował Eon. I niepewnie rzekł do Ireny: – Czy ty coś z tego rozumiałaś?

Irena zaśmiała się lekko.

– Oczywiście, że to ma sens! Po prostu musisz mieć na uwadze, że ja... jestem jedynym Grekiem w tym pokoju, oprócz niego. No i z wyjątkiem Jana, ale on pochodzi z Rodos. Ci z Rodos są bardzo praktycznym narodem. Obawiam się, że to przeterminowani Grecy.

Jan nie odezwał się, ale w jego spojrzeniu zebrani dostrzegli iskierki zaciekawienia. Irena znowu się zaśmiała.

– Nawet o tym nie myśl, Janie z Rodos.

Oficer marynarki w stanie spoczynku uśmiechnął się w odpowiedzi. Był to całkiem wilczy uśmiech.

– Dlaczego nie? Nie mogę opracowywać fantastycznych broni przez cały czas, nieprawdaż? – Zamyślił się na chwilę z uśmiechem na ustach. – Cóż, właściwie może i mogę. Ale żeby działać efektywnie, muszę być obznajomiony ze wszystkimi technicznymi nowinkami i tajnymi informacjami. Wiesz, informacjami dostarczonymi przez szpiega. O tak. Codzienne wiadomości. To kluczowe dla sprawy.

– Trzymaj się z daleka od mojej informatorki – warknął Sitas. Ale warknięcie było bardzo, bardzo chłodne.

W pokoju rozległ się tłumiony chichot.

Irena poklepała Sitasą łagodnie po ręce.

– No już, już. Nie martw się, kochanie. Myślę, że jestem w stanie poradzić sobie z tym wilkiem.

– Grecka dama zjada takie wilki na obiad – wtrącił Ousanas. Jan z Rodos obrzucił *dawazza* mrocznym spojrzeniem. Belizariusz, z doświadczenia, mógł mu powiedzieć, że mrożenie Ousanasa wzrokiem było z góry skazane na porażkę. Dawazz, jak zwykle, po prostu radośnie wyszczerzył zęby i dodał:

– Niedouczony dzikus, oczywiście. Nędzny niewolnik, a jakże. Nie ma o niczym pojęcia. Ale przynajmniej jest na tyle zorientowany, że nie próbuje złapać kobiety mądrzejszej od niego co najmniej dziesięć razy.

Belizariusz odchrząknął głośno.

– Wygląda no to, że nieco zboczyliśmy z tematu. Czy poza rzemieślnikami i książkami, o których wspominałeś, będziesz potrzebował czegoś jeszcze, Janie?

Jan zmarszczył brwi i pomyślał przez chwilę.

– Niewiele, Belizariuszu. Trochę sprzętu i kilka więcej narzędzi, ale niezbyt wyrafinowanych. Odczynniki także, to oczywiste. Substancje chemiczne i materiały. Niektóre z nich mogą być nieco kosztowne.

Oczy Sitasą zwęziły się w szparki.

– Jak bardzo kosztowne? I jaki to niby rodzaj... materiałów?

Bardzo wąskie szparki.

– Czy mówisz o złocie? Wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy wy, alchemicy, bierzecie się do pracy, wyciągacie rękę i prosicie o...

Jan zaśmiał się.

– Opanuj się, Sitasie! Nie będę miał żadnego zastosowania dla złota, zapewniam cię. Ani dla srebra. Jedną z przyczyn, dla których te metale są uważane za szlachetne, jest fakt, że są obojętne.

Jan spojrział na Sitasę, ciekawy, czy tamten pojął, o co mu chodzi. Oczy tego ostatniego prawie zniknęły w gniewnych fałdach.

– Wiem, co to znaczy obojętny! Ty...

– Wystarczy – powiedział spokojnie Belizariusz. W pokoju natychmiast zapanowała idealna cisza. Prawie idealna.

– Niech mnie, radzi sobie doskonale – zauważyła Irena cicho. Wyszepiała do Sitasa parę słów w taki sposób, że wszyscy mogli je usłyszeć. – Może też powinienes tego spróbować, zamiast się tak potępieńczo wydzierać, jak to masz w zwyczaju.

– Wystarczy!

Teraz nawet Irena zamilkła. Belizariusz wstał.

– A więc to tyle. Czegokolwiek będziesz potrzebował, Janie, kiedy mnie nie będzie, zwracaj się do Antoniny albo – rzucił ostre spojrzenie w kierunku Greka – do Sitasa.

Sitas wykrzywił się okropnie, ale nie odważył się protestować i narzekać na swoje ubóstwo. Belizariusz zatem kontynuował.

– A jeżeli chodzi o pozostałych, myślę, że droga postępowania jest dla wszystkich jasna. A przynajmniej jasna na tyle, na ile pozwalają okoliczności. Kiedy powrócę z Indii, a mam nadzieję, że tak się stanie, przywiozę wystarczającą ilość informacji, aby nas dalej poprowadzić. Do tej pory musimy robić wszystko, co w naszej mocy.

Spojrzał na swą żonę.

– A teraz... chciałbym spędzić resztę dnia i wieczór z moją żoną i z synem.

* * *

Kiedy Focjusz został ułożony przez opiekunkę do snu, wczesnym wieczorem, Antonina i Belizariusz pozostali sami. Nigdy, od dnia, kiedy się spotkali, nie rozdzielali się na długo. A teraz będą musieli się rozstać na co najmniej rok.

Myśl o bolesnej przyszłości dała im siłę w dzisiejszej namiętności. Belizariusz nie spał wiele tej ostatniej nocy.

Antonina nie spała wcale. Kiedy już jej mąż poddał się senności, wyczerpany czułymi pieszczotami, ona czuwała przez pozostałe godziny nocy aż do rana. Ta ostatnia, najmiłsza noc. Ta... ostatnia noc. Bardzo się bała, żeby te słowa nie stały się prawdą.

Kiedy słońce wyłoniło się zza horyzontu, Antonina była blada ze zgryzoty. Posępna i surowa. W jej duszy zagnieździła się pewność, że nigdy już nie ujrzy męża.

Jej syn wybawił ją z tej bezdennej otchłani smutku. O świcie Focjusz wszedł do ich pokoju, przecierając sennie oczy.

– Czy tata do nas wróci? – zapytał bojaźliwie. Jego drobna twarzyczka była aż pomarszczona z niepokoju.

Chłopiec nigdy przedtem nie nazwał Belizariusza ojcem. To określenie zmyło z serca Antoniny cały nagromadzony tam smutek.

– Oczywiście, że wróci, Focjuszu. To przecież mój mąż. I twój ojciec.

* * *

Przed południem Belizariusz i jego towarzysze wyjechali z willi. Na obrzeżach posiadłości wjechali na drogę prowadzącą do Antiochii i dalej do leżącej na wybrzeżu Seleucji. W Seleucji zamierzali wsiąść na jakiś statek udający się do Egiptu i płynący dalej do Adulis, na wybrzeże Morza Czerwonego. Stamtąd mieli podróżować do Aksum, na etiopskie wyżyny. A potem do Indii.

Belizariusz jechał na czele małego oddziałku. Eon kłusował po jego lewicy, Garmat znajdował się po prawej stronie generała. Za nimi podążali dwaj sarweni. Trzej katafrakci jechali na końcu.

Ousanas podróżował pieszo. Okazało się, że dawazz żywił wrodzoną niechęć do dosiadanania żywych stworzeń. Belizariusz uważał, że jego nastawienie jest cokolwiek dziwne, ale... Ousanas był dziwakiem, kiedy już poważnie się nad tym zastanowić. Katafrakci myśleli pewnie, że jest kompletnie szalony. Sarweni przebywali już z tym człowiekiem długo i byli całkiem zdecydowani co do stanu umysłowego *dawazza*.

Już na samym początku podróży Menander rozzuchwiał się na tyle, że sam zapytał o to *dawazza*.

– Kto jest niby szalony, chłopcze? Ja? Wcale tak nie uważam. Szaleńcami są ci, którzy dosiadają potwornych bestii myślących tylko i wyłącznie o tym, jak zabić i stratować człowieka. Gdybym był koniem albo osłem, albo wielbłądem, mój chłopcze, rozgniótłbym cię na papkę w jednej chwili. Gdybym był słoniem, wdeptałbym cię w ziemię.

Kiedy Menander opowiadał o tej rozmowie swoim towarzyszom z oddziału, opowiadał, trzeba dodać, nie bez pewnego wahania i podejrzliwych spojrzeń rzucanych na swego własnego wierzchowca, Anastazjusz i Walentynian wrzუსzyli tylko ramionami. Zbyt byli pochłonięci rozpatrywaniem swojego nieszczęścia, aby troskać się takimi zagranicznymi bredniami.

– Mieliśmy doskonałą okazję – jęczał Walentynian.

– Idealną – zrzędził Anastazjusz, zgadzając się z kompanem całym sercem. – Najlepszy garnizon, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Piękna willa, nic dodać, nic ująć.

– Kobiety, wino i śpiew.

– Chrzanić śpiew.

– A teraz...!

Mamrotanie, mamrotanie, niewyraźne słowa.

– Coś mówiliście?

– Wydaje mi się, że on powiedział „pieprzyć awanturnicznych dowódców” – odparł Menander. Ale zaraz zmarszczył w zamyśleniu brwi. – Ale mogę się mylić. Nie mogę go zrozumieć, kiedy tak mamrocze, chociaż mam wiele okazji, aby ćwiczyć, bo on ciągle mamrocze. Może powiedział: pieprzyć awangardowych...

Mocniej zmarszczył czoło.

– Ale to raczej nie ma sensu, nieprawdaż? Specjalnie podczas wyprawy w niezn... – Nagła myśl przysłała mu do głowy i wyraźnie się zaniepokoił. Rzucił okiem na swego wierzchowca.

– Czy wy, doświadczeni weterani, wiecie o koniach coś, o czym ja nie mam pojęcia.

* * *

Rozmowa prowadzona na przedzie małej kolumny nie była wcale ponura. Nawet Belizariusz, kiedy tylko posiadłość skryła się za horyzontem, odzyskał swój zwyczajowy dobry humor. A potem, niewiele ponad godzinę później, ogarnął go wręcz doskonały nastrój.

Na tym świecie istnieje wiele drobnych przyjemności. Pomiędzy nimi, na poczesnym miejscu, znajduje się przyjemność czerpana z faktu bycia pytanym o rzecz, o którą sami nie śmiemy zapytać i staramy się obejść jakoś ten problem.

Garmat przełknął ślinę.

– Generale Belizariuszu. Książę Eon i ja rozmawialiśmy właśnie, właściwie rozmawiamy na ten temat już długo, ale podjęliśmy decyzję dopiero wczorajszej nocy... cóż, oczywiście to *negusa nagast* podejmie ostateczną decyzję, ale jesteśmy prawie pewni, że się zgodzi... no więc... chodzi nam o...

– Och, na miłość boską! – wykrzyknął Eon. – Generale, chcielibyśmy towarzyszyć tobie i twoim ludziom w podróży do Indii. – Książę zamknął usta z trzaskiem, wyprostował plecy i twardo spojrzął przed siebie.

Belizariusz uśmiechnął się, wcale nie krzywo, co było u niego rzadkie.

– Jestem zachwycony! – Odwrócił się w siodle. Ten ruch był taki łatwy, zauważył mimochodem, kiedy miało się strzemiona. Spojrzął za siebie.

– Wszyscy? – zapytał. – Sarweni też? – Generał przyjrzał się uważnie dwóm etiopskim

żołnierzom. Byli obcymi ludźmi, pochodzącymi z dalekiego i tajemniczego kraju. Ale Belizariusz znał dobrze ten typ.

– Och, tak – odparł Garmat. – Przysięgali księciu wierność, są jego osobistą ochroną.

Belizariusz patrzył teraz na Ousanasa. Dawazz biegł tuż obok wierzchowca swego pana.

– A ty, Ousanasie?

– Oczywiście, że ja też! Muszę chronić głupiego księcia przed wpadaniem w tarapaty.

– A jakie to mogą być tarapaty, twoim zdaniem?

Dawazz pokazał zęby.

– Podróż do dalekich Indii? Wejście prosto w otwartą paszczę Malawy wraz z zagranicznym szalonym generałem, który chce z tej paszczy ukraść kiel? To najnormalniejsza rzecz, jaką głupi książę może uczynić.

Belizariusz zaśmiał się.

– I ty to nazywasz postępkiem dyktowanym przez zdrowy rozsądek?

Po raz pierwszy szeroki uśmiech zniknął z twarzy dawazza.

– Tak, Belizariuszu. Dla księcia Aksum, w nowym malawiańskim świecie, to uważam za najzdrowszy postępek. Wszystko inne byłoby głupotą.

OCEAN INDYJSKI

Lato, rok 529 n.e.

Rozdział 15

– To dopiero statek – zauważył Belizariusz, mierząc wzrokiem należący do indyjskiej delegacji żaglowiec, od dziobu, przez całą długość. – Musi być niemal tak wielki, jak te aleksandryjskie statki, przewożące zboże... nawet większy od „Iris”.

– Wygląda jak wanna – odpowiedział Eon. Wzrok młodego księcia podążył za spojrzeniem generała, ale w odróżnieniu od tego ostatniego, w oczach Eona nie było ani śladu zachwyty.

Statek miał prawie sześćdziesiąt metrów długości i około czternastu szerokości. Był tak wielki jak największe żaglowce budowane w rzymskich stoczniach – potężne transportowce, które przewoziły egipskie zboże z Aleksandrii do Konstantynopola i dalej na zachodnie brzegi Morza Śródziemnego. Najbardziej znany, „Iris”, był właśnie jednym z tych statków.

Podobnie do żaglowców przewożących zboże, statek indyjski posiadał dwa niższe pokłady oraz pokład główny. I tak jak rzymskie statki, indyjski poruszany był tylko i wyłącznie siłą wiatru. Nie posiadał wiosła, nie miał nawet pokładu wiosłowego. Jego masa i przekraczająca dwie ładowność tony, wykluczały możliwość ich użycia.

Na tym kończyły się podobieństwa pomiędzy rzymskimi i indyjskimi jednostkami. Rzymskie statki ze zbożem posiadały trzy maszty. Żaglowiec indyjski był jednomasztowcem, chociaż ogromnym żaglom, rozpiętym na maszcie głównym, towarzyszył jeszcze niewielki skrawek płótna rozpięty na rufie. Kolejna różnica dotyczyła samej budowy i kształtu statku. Tradycje śródziemnomorskie nakazywały, aby budować dodatkowy, wyniesiony pokład na rufie statku. Tymczasem malawiańska jednostka posiadała podobnego typu podwyższenie dookoła głównego masztu, niemal w środku pokładu. Indyjski żaglowiec był zbudowany z drewna tekowego, a olinowanie wykonano z włókien rafii. Statki śródziemnomorskie konstruowano z drewna świerkowego lub cedrowego z niewielką domieszką dębu; liny splatano z włókien lnu albo konopi. Egipcjanie często zamiast tych roślin używali papirusu, a Hiszpanie preferowali trawę esparto.

Poza tymi widocznymi na pierwszy rzut oka różnicami Belizariusz nie mógł dostrzec nic więcej. Książę Eon natomiast znał się na budowie statków znacznie lepiej.

– Balia – powtórzył z mocą.

– Bardzo wielka balia – dodał Ousanas z szerokim uśmiechem. – Najbardziej obrzydliwa, potwornie wielka, pływająca wanna.

– No i co z tego? – zapytał z pogardą Eon. – Rozmiar to jeszcze nie wszystko.

Wysoki dawazz spojrział w dół na swego podopiecznego i uśmiechnął się łagodnie. Na ten widok księżę zacisnął mocno szczękę.

– Rozmiar to jeszcze nie wszystko – powtórzył.

– Oczywiście, że nie! – zgodził się Garmat. Stary doradca uśmiechnął się do siebie. – Jako człowiek niskiego wzrostu, zgadzam się z tym stwierdzeniem całym sercem. Chociaż, także jako niski mężczyzna, muszę natychmiast dodać, że branie rozmiaru pod uwagę zawsze uważałem za mądre. A ty co o tym myślisz, generale?

Belizariusz oderwał wzrok od statku.

– Tak? A tak... zgadzam się. Chociaż jako wysoki mężczyzna uważam, że warto także brać pod uwagę inne rzeczy.

– Co masz na myśli? – zapytał Garmat.

– To znaczy, że uważam za mądre branie pod uwagę rzeczy innych, a nie tylko rozmiaru. Na przykład nigdy nie odniosłem wrażenia, że wielkość armii liczy się w bitwie na równi z wyszkoleniem jej żołnierzy i umiejętnościami głównodowodzącego.

Księżę wyglądał na zadowolonego odpowiedzią. Ousanas natychmiast wtrącił swoje trzy grosze.

– Belizariusz to wielki dyplomata!

Księżę Eon zignorował majestatycznie zaczepkę i zapatrzył się na morze. Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Dlaczego twierdzisz, że ten okręt to balia? – zapytał księcia.

Eon spojrział na niego spod oka. W jego spojrzeniu generał dojrzał maskowaną podejrzliwość. Pomimo że Belizariusz nie zwykł kpić sobie z księcia, a była to jedna z wielu cech, które Eon polubił w Bizantyjczykach, księżę ciągle pozostawał młodym chłopcem. A młodzi chłopcy są zawsze niepewni siebie, mimo okazywanej wszystkim dumy i pychy.

– Wyjaśnij mi – zażądał generał.

Po chwili wahania Eon zaczął wymieniać niezliczone wady i mankamenty indyjskiej jednostki. Było ich wiele. Belizariusz nie znał się na skutnictwie, więc natychmiast zagubił się w morzu detali i fachowego słownictwa. Myślą przewodnią wynurzeń księcia, na ile zdołał się zorientować, był fakt, że statek został pokracznie zaprojektowany i obsługiwali go niezdarni marynarze. Generał nie miał pojęcia, czy spostrzeżenia Eona są słuszne. Ale był pod ogromnym wrażeniem wiedzy chłopca i jego znajomości morskich realiów. To drobne zajście przypomniało mu, jak poważnie Aksumici podchodzą do spraw związanych ze swoją flotą oraz marynarką wojenną. Żaden perski ani rzymski księżę nie byłby w stanie udzielić tak szczegółowych informacji na temat floty swego kraju; i tak nie dorównałby Eonowi.

Kiedy tylko księżę skończył wymieniać liczne nedoróbki i wady statku, Ousanas skomentował jego wypowiedź.

– Aksumici strasznie się przechwalają swoją flotą i swoją wiedzą na temat żeglowania i budowy statków.

Garmat odchrząknął głośno.

– Właściwie w pełni zgadzam się z chłopcem.

– Arabowie są nawet gorsi – dodał Ousanas.

– A ty się nie zgadzasz? – zapytał Belizariusz. Dawazz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jestem łowcą z sawanny. Unikam morza jak każdy człowiek będący przy zdrowych zmysłach. Statki to nienaturalne bestie. Ale wszyscy doskonale wiedzą, że Arabowie i Etiopczycy uważają siebie za specjalistów od żeglowania. – Rzucił na Belizariusza przebiegłe spojrzenie. – Oczywiście z wyjątkiem Greków.

– Nie jestem Grekiem – nadeszła szybka odpowiedź. – Jestem Trakiem. Właściwie muszę się z tobą zgodzić. Nie cierpię łodzi i statków.

– Jak się czujesz? – spytał troskliwie Garmat.

– Staram się raczej o tym nie myśleć – odrzekł sztywno Belizariusz. – Proszę, kontynuuj.

Garmat ponownie odchrząknął.

– Więc, Eon najwyraźniej wyłożył swoje racje cokolwiek zbyt gwałtownie...

– Przecież to prawda; jasne jak słońce na niebie!

– ... ale, w istocie, zgadzam się z nim. Malawianie nie są, wiesz, znani ze swoich osiągnięć na polu skutnictwa i żeglarstwa.

– Nie wiedziałem o tym.

– Ach! Cóż, to prawda. Etiopczycy i Arabowie zawsze się z nich śmieją. A przynajmniej z mieszkańców północnych Indii. Niektóre z południowych indyjskich plemion rodzą całkiem znośnych żeglarzy, pod pewnymi względami, ale nie mamy z nimi zbyt wielu kontaktów. Oni raczej handlują z ludami zamieszkującymi ziemie położone na Dalekim Wschodzie. – Doradca w zamyśleniu pogładził brodę. – Ten statek jest dowodem mojej tezy, na swój imponujący sposób. Książę ma rację, kształt żaglowca jest brzydki, a kadłub niezdarny. Rzemieślnicy najwyraźniej nie bardzo radzili sobie z materiałem i planami. Nawet jak na ludzi nie znających się na skutnictwie.

Belizariusz przyjrzał się dokładnie statkowi.

– Wygląda na żaglowiec dosyć solidnej konstrukcji.

– O tak, właśnie tak! O to mi właśnie chodzi. Jest zbyt solidny. – Garmat zapędził się w omawianie szczegółów technicznych. Myślą przewodnią jego wywodu był fakt, o ile Belizariusz dobrze się zorientował, że Malawianie zastępują urok i delikatność dobrej rzemieślniczej roboty zwykłą solidnością. Ponownie generała uderzył ogrom wiedzy żeglarskiej i skutniczej, jaką posiadał ten wysoki rangą Aksumita.

– To po prostu balia – zakończył Garmat.

– Powolna jak ślimak – dodał Eon – i tak samo niezręczna.

– Wielka jak potwór – wtrącił się Ousanas. – Po prostu roznosi w puch sprytne, małe jednostki Arabów i Aksumitów.

– Nonsens! – wykrzyknął książę.

– Szybko się o tym przekonamy – skomentował ironicznie Ousanas. Wyciągnął dłoń w kierunku morza za lewą burtą od strony dziobu.

Niewielka grupka Etiopczyków i Rzymian powiodła wzrokiem w kierunku, jaki wskazywał niewolnik. Południowe wybrzeże Arabii płonęło czerwono, oświetlane ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Ale na tle ciemnego brzegu można było dostrzec całą flotyllę białych żagli.

– O cholera! – wymamrotał Walentynian. Pentarcha, do tej pory zgarbiony pod relingiem kilka metrów od grupki rozmawiających, nagle się wyprostował. Trącił Anastazjusza odpoczywającego obok. Wielki katafrakt z chrząknięciem obudził się z popołudniowej drzemki.

– Biegnij po nasz sprzęt – rozkazał mu Walentynian. – I każ Menandrowi natychmiast się tu zjawić.

– Przecież dzieciak nie może się ruszyć – zaprotestował Anastazjusz. – Mówi, że wyrzygał już wszystko, nawet własne flaki, i nic nie zostało mu w środku.

– Przyrowadź go! Jeżeli będzie narzekał, powiedz mu, że niebawem będzie mógł się przekonać naprawdę, jak to jest żyć bez flaków.

Anastazjusz, nieco zaskoczony, podążył wzrokiem za twardym spojrzeniem Walentyniana.

– O cholera – wymamrotał. – Czy to jest to, o czym myślę, że to jest to?

– Arabscy piraci! – wrzasnął Ousanas. Uśmiechnął się szeroko. – Nie ma się czym martwić! Bardzo małe mają łódeczki. Bardzo wiele, to prawda. O tak, bardzo, bardzo dużo. I każda pełna wielu, bardzo wielu złych, wstrętnych ludzi, oddanych występki. Ale... – w tym miejscu wykonał szeroki ruch ręką – ... wielki generał Belizariusz zapewniał nas, że liczebność armii nic nie znaczy.

– Taaa, słyszałem, jak to mówił setki razy – burknął Walentynian. – Zawsze, kiedy otwierały się zastępy piekieł.

Anastazjusz właśnie wbiegał do namiotu, który Rzymianie kazali rozpiąć na dziobie statku. Fala głośnych krzyków i wrzasków przetoczyła się przez cały okręt. Indyjscy marynarze także dostrzegli zbliżającą się flotę.

Walentynian przeszedł na prawą burtę i wychylił się przez reling, trzymając się mocno lin swymi wąskimi, węzlastymi dłońmi. Ciemnooki katafrakt wpatrywał się w nadpływające pirackie statki. Jego pokryta bliznami ospowata twarz wykrzywiła się w okropnym grymasie.

– Chociaż raz – warknął gorzko – chociaż raz, jeden jedyny raz chciałbym mieć przewagę liczebną nad wrogiem. Dla odmiany. Pieprzyć umiejętności. Chrzanić przebiegłość. Olać taktykę. Niech wreszcie mam do dyspozycji dużo żołnierzy, do kroćset! – Jego głos zniżył się do wściekłego mamrotania, nie można było już odróżnić pojedynczych słów.

– Co powiedziałaś na końcu? – zapytał łagodnie Belizariusz. Walentynian milczał.

– Brzmiało trochę jak: pieprzyć filozofujących generałów – odpowiedział radośnie Ousanas.

Walentynian spojrzał na niego ponuro. Dawaz rozłożył ręce.

– Ale może nie. Jestem tylko głupim, nic nie wartym niewolnikiem. Mówię okropnie po grecku. Może ten okrutny katafrakt powiedział: pieprzyć flirtujących sowizdrzałów. Bardzo etyczne! Co prawda jak najbardziej nieadekwatne do sytuacji, ale w pełni poprawne moralnie. Bardzo słuszne!

Uwagę Belizariusza rozproszyło jakieś zamieszanie. Venandakatra pojawił się na pokładzie statku. Wyszedł ze swojej kabiny zlokalizowanej gdzieś w trzewiach żaglowca. Towarzyszyła mu, jak zwykle, gromada kapłanów Mahwedy.

Bizantyjczycy i Etiopczycy prawie go nie widywali od czasu zaokrętowania na malawiański statek w Adulis. Przedstawiciele Venandakatry tłumaczyli gościom, że nieobecność ich pana wynika z jego niedyspozycji. Venandakatra mianowicie cierpiał bardzo z powodu choroby morskiej.

Obserwując szpiega, jak człapie po pokładzie w towarzystwie swoich sług, Belizariusz miał coraz więcej wątpliwości.

– Choroba morska! – parsknął Eon.

Venandakatra wykrzykiwał rozkazy swoim piskliwym, świdrującym głosem. Przed upływem paru sekund, tuziny wojowników Ye-tai wysypały się ze swoich namiotów i zaczęły wdrapywać się na olinowanie. Żołnierze byli uzbrojeni w łuki, miecze i tarcze; w pośpiechu dopinali półbroje i wkładali na głowy hełmy.

Za Ye-tai podążał niewielki, dwunastoosobowy oddziałek wojowników, których Belizariusz rozpoznał jako malawiańskich kszatryjasów. Ci wygramolili się z włazu w pokładzie, tuż przy wyjściu z kabiny Venandakatry. Nie mieli żadnej broni z wyjątkiem krótkich mieczy i nosili tylko lekkie, skórzane zbroje. Ale mimo tego byli dosyć znacznie obciążeni. Dobrani w pary, nieśli ogromne koryta wykonane z jakiegoś dziwnego, grudkowego drewna, które Belizariusz widział po raz pierwszy.

– To bambus – wyjaśnił Garmat. – Jest pusty w środku, jak rura. Przecinają je na pół i usuwają wewnętrzne włókna, dzielące pustą przestrzeń na komory pomiędzy przewężeniami.

– To jest właśnie ten przedmiot, o którym mówiłeś Janowi z Rodos, nieprawdaż?

Garmat przytaknął.

– Tak. Nigdy nie widziałem na własne oczy indyjskiej broni, ale ta przypomina bardzo przedmioty opisywane mi przez kupców, którzy obserwowali jej działanie. Niestety widzieli ją tylko z daleka. Myślę, że my mamy szansę oglądać to przedstawienie, siedząc w pierwszym rzędzie.

– Venandakatra nie jest tym zbyt zachwycony – zauważył Eon.

Belizariusz spojrział na indyjskiego władcy. Venandakatra omawiał coś bardzo zawzięcie z otaczającymi go kapłanami. Wszyscy rzucali nieprzyjazne spojrzenia na grupkę obcych im Rzymian i Aksumitów. Po chwili jeden z kapłanów oddzielił się od grupy i ruszył w ich kierunku.

– Ja się tym zajmę – powiedział cicho Belizariusz.

Kiedy kapłan podszedł do grupki obcych, Belizariusz nie dał mu nawet szansy na przekazanie wiadomości, z którą przybył.

– Nie.

Kapłan otworzył usta.

– Nie zgadzamy się w żadnym wypadku.

– Musicie zejść pod pokład!

– Nie zrobimy tego, nie możecie nas zmusić.

W tej chwili z namiotu powoli wyszedł Anastazjusz, wlokąc za sobą Menandra. Obaj katafrakci byli w pełni uzbrojeni i opancerzeni, nie zabrali ze sobą tylko lanc. Nieśli także broń i zbroje należące do Walentyniana i Belizariusza. Ich przybycie nieco skonfundowało kapłana, który próbował dalej nieśmiało protestować. Jego żądania zamieniły się szybko w niegłośnie piski, kiedy dostrzegł dwóch sarwenów wyłaniających się z namiotu Aksumitów w podobnym rynsztunku i z podobnym obciążeniem. Etiopscy wojownicy nieśli mnóstwo broni – każdy miał w rękach pęk oszczepów, mieczy, tarcz i włóczni o bardzo szerokich grotach.

Nie minęła chwila, a wszyscy Rzymianie i Aksumici w pośpiechu wkładali zbroje, dopinali rzemienie i zaopatrywali się w oręż. Kapłan właściwie nie mówił już wyraźnie, a tylko bełkotał, przerażony i zdezorientowany.

– Anastazjuszu – rozkazał generał. – Zróbże coś imponująco nieprzyjaznego i nieuprzejmego.

Anastazjusz natychmiast złapał kapłana jedną ręką za kark, a drugą za krocze i rzucił go z powrotem w kierunku gromadki jego pobratymców stojących pośrodku pokładu. Kapłanowi udało się wylądować na obu nogach, mniej więcej, ale natychmiast stracił równowagę i upadł w sam środek grupy, przygniatając dotkliwie dwóch swoich ziomeków.

Venandakatra zaskrzeczał z wściekłości. Mały tłumek wojowników Ye-tai rzucił się w kierunku Rzymian i Aksumitów.

Bez rozkazu od Belizariusza, trzej katafrakci natychmiast nałożyli strzały na cięciwy i naciągnęli łuki. Sarweni ujęli mocno w dłonie oszczepy i skierowali je w stronę nadbiegających Ye-tai. Eon i Garmat podnieśli swoje ogromne włócznie. Belizariusz wyciągnął miecz. Ousanas rozparł się wygodnie, oparty o reling.

– Co zamierzasz zrobić? – syknął Menander.

Ousanas wlepił w niego wzrok.

– Ja? Jestem nędznym niewolnikiem! Nie pasuję do roli szlachetnego, odważnego i głupiego wojownika.

– Ousanas! – rozkazał Eon.

Dawazz westchnął.

– Cóż za niezyciowy książę. – Leniwie pochylił się do przodu. – Chcesz znowu się bawić w tę starą grę? – zapytał.

Eon natychmiast dał niewolnikowi jego ogromną włócznię. Książę rzucił na ziemię swoją tarczę i miecz i bezbronny ruszył spokojnie w kierunku tłumu Malawian. Za nim szedł Ousanas, rozgarniając za pomocą włóczni szeregi Ye-tai, aby umożliwić Eonowi przejście. Zaskoczeni wojownicy czynili, jak nakazywał im dawazz, gdyż nie słyszeli żadnych innych rozkazów od swoich dowódców.

Eon przemaszerował przez ciche szeregi Malawian i dotarł do kabiny zbudowanej dookoła podstawy głównego masztu. Zatrzymał się i odwrócił plecami do ściany kabiny. Skrzyżował ramiona na piersiach i stanął mocno na rozstawionych nogach. Odległość między jego stopami wynosiła nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Stał około dziesięciu metrów od zlokalizowanej na dziobie gromadki Aksumitów i Rzymian.

Ousanas od niechcenia wbił włócznię w pokład statku. Ogromne ostrze zagłębiło się w twarde drewno na niemal dwa centymetry, drzewce stało prawie pionowo. Bez słowa jeden z sarwenów podał Ousanasowi oszczep. Dawazz złapał broń lekko, a potem, ruchem, którego szybkość i siła zadziwiły wszystkich patrzących, rzucił oszczep przez całą długość pokładu.

Grot oszczepu zatopił się w ścianę kabiny prawie na całą głębokość ostrza. Drzewce broni drżało lekko niczym kamerton. Drżało nie więcej niż pięć centymetrów od lewego ucha księcia.

Chwilę później kolejny oszczep żeglował ponad pokładem. Ten wbił się w drewno pięć centymetrów od prawego ucha księcia. Przed upływem kilku kolejnych sekund trzeci oszczep uderzył w ścianę kabiny prosto pomiędzy nogami księcia. Około pięć centymetrów poniżej jego krocza.

– Maryjo, Matko Boska – wyszeptał Walentynian.

Anastazjusz odetchnął głęboko.

– To po prostu niesamowite, jak on się posługuje oszczepem. Niesamowite!

– Pieprzyć posługiwanie się oszczepem! – zawył Walentynian. – Dzieciak nawet nie mrugnął okiem! To jest dopiero niesamowite! Od samego patrzenia boję się, że mi więcej nie stanie.

Książę nagle się roześmiał. On i jego dawazz uśmiechnęli się do siebie szeroko z oddali, przez całą długość pokładu statku.

– Bardzo głupi książę – zadumał się Ousanas, potrząsając głową. – Ale ma serce słonia. Jest taki od małego.

Ousanas wyciągnął wielką włócznię spomiędzy desek pokładu i spacerowym krokiem podszedł do księcia. Wojownicy i kapłani usuwali mu się z drogi. Dawazz uśmiechał się do nich łaskawie.

– Inteligentni ludzie! – zawołał. – Najbardziej zdrowi na umysłach i rozgarnięci, i najrozsądniejsi ze wszystkich poddanych indyjskiego władcy! – Venandakatrę obdarzył swoim najbardziej ujmującym uśmiechem, na jaki tylko było go stać.

Kiedy Ousanas był już przy ścianie kabiny, razem z księciem zaczęli wyciągać oszczepy z drewna. Dowodem na to, może nawet najbardziej widowiskowym, jak mocno Ousanas rzucił oszczepem, był chociażby fakt, że dwaj silni mężczyźni musieli włożyć mnóstwo pracy w wyciąganie grotów ze ściany.

Belizariusz schował swój miecz do pochwy i podszedł do Venandakatry.

– Jesteśmy żołnierzami – powiedział głośno do indyjskiego oficera – a nie dziećmi. Nie mamy zamiaru kryć się pod pokładem podczas ataku.

Wytrzymał spojrzenie Venandakatry, ich oczy przez chwilę mocowały się niemo. Po chwili Nikczemnik odwrócił wzrok.

– Poza tym – dodał Belizariusz, odwracając się i pokazując na podpływającą flotę pirackich

jednostek – możecie niebawem się przekonać, że nasza obecność na pokładzie może się wam przydać.

Venandaktra skrzywił się, ale nic nie powiedział. Belizariusz powrócił na dziób okrętu i zaczął wydawać rozkazy rzymskim i aksumickim wojownikom. Po kilku minutach stało się jasne, że Malawianie postanowili oddać sprawę obrony dziobu w ręce swoich niechcianych gości.

Belizariusz nigdy nie widział aksumickich wojowników w bitwie, ani jako wrogów, ani sprzymierzeńców. Wahał się przez chwilę, niepewny, jak najlepiej wykorzystać ich umiejętności.

Jedyne, co udało mu się ustalić na temat sposobu walki Aksumitów, był fakt, że walczyli dziwnie. Po pierwsze, wydawało się, że nie przykładają wagi do ochrony całego ciała. Aksumici, którzy nie ulegli greckim wpływom, nie nosili niczego oprócz tuniki z krótkim rękawem, spódniczki i sandałów. Teraz, przygotowując się do bitwy, zdjęli tuniki i pozostali nadzy od pasa w górę. Każdy z nich, z wyjątkiem Ousanasa, zaopatrzył się w tarczę. Tarcze były okrągłe i małe, nie większe od przedramienia. Te małe tarcze najwyraźniej stanowiły całą ochronę dla aksumickiego wojownika.

Każdy Etiopczyk niósł miecz, zawieszony na plecach w skórzanej pochwie, na pasie, który był przewieszony przez prawe ramię. Połowa miecza wystawała ponad poziom ramienia, tak, że oręż mógł zostać z łatwością złapany i wyciągnięty z pochwy. Miecze wyglądały na broń przeznaczoną tylko i wyłącznie do cięć. Były krótkie, o wyjątkowo szerokim ostrzu i bardzo ciężkie; ostrze kończyło się kanciasto, w kształcie kwadratu. Przypominały bardziej rzeźnicze noże niż cokolwiek innego.

Jednakże miecze stanowiły najwyraźniej broń podrzędną. Aksumici w pierwszej kolejności używali oszczepów i, tak dla nich charakterystycznych, ogromnych włóczni. Aksumicka lanca do pchnięć miała długość ponad dwóch metrów. Ostrze grotu mierzyło ponad trzydzieści centymetrów. Jego kształt przypominał nieco wąski liść, ciężki i ostry jak brzytwa. Drzewce włóczni było także bardzo ciężkie – grube i solidne jak lanca kawalerzystów rzymskich. Rękojeść na długości ponad trzydziestu centymetrów osłaniały żelazne wstęgi, a na końcu drzewca umieszczono solidną gałkę o średnicy około pięciu centymetrów. Broń mogła najwyraźniej służyć także jako długa maczuga.

Garmat przemówił cicho.

– Sugeruję, żebyś użył sarwenów jako rezerwy, generale. Jak widzisz, nie dorównują twoim katafraktom siłą zbroi i oręża. To nie jest aksumicka metoda walki. Ale myślę, że okażą się bardzo pomocni, kiedy nieprzyjaciel zacznie nas przyciskać.

– A co z nim? – zapytał Belizariusz, pokazując na Ousanasa. Dawazz nie miał ze sobą ani tarczy, ani miecza. Wydawał się całkowicie zadowolony ze swego oszczepu i włóczni, która, w jego przypadku, była o kilkadziesiąt centymetrów dłuższa i znacznie cięższa od tych niesionych przez innych Etiopczyków.

Garmat wzruszył ramionami.

– Ousanas jest sam sobie panem. Nie mogę mu nic rozkazywać, i tak samo ty. Ale myślę, że nie będziesz na niego narzekał.

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Tak, on jest przecież tylko nędznym, głupim niewolnikiem, nieprawdaż?

Jak to się często zdarzało przedtem, Ousanas zaskoczył generała ostrością swego słuchu.

– Najnędzniejszy z nędznych! – zawołał dawazz. – A szczególnie teraz! W obliczu nadciągających okrutnych i bezlitosnych Arabów! – Ousanas rzucił tęskne spojrzenie na morskie odmęty. – Uciekłbym, krzycząc ze strachu, gdybym tylko nie był tak głupi i nauczył się wcześniej pływać.

– Przecież pływasz tak dobrze jak ryba! – sarknął książę.

Dawaz przewrócił oczyma.

– Naprawdę? Wyobraźcie sobie, taki cud! – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Niewola to okropny stan. Sprawia, że wszystko zapominam. Wszystko.

Belizariusz odwrócił się i kontynuował podglądanie działań wojennych Malawian. Zobaczył, że bambusowe rury zostały umocowane na skraju prawej burty, a ich wyloty skierowano na północ. Koryta znajdowały się w odstępach około trzymetrowych. Malawiańscy kszatryjasi następnie ułożyli ogromne stosy skór na końcach rur znajdujących się od strony pokładu. Szare skóry zostały ciasno zwinięte w barylkwate zawiniątka o wielkości około połowy typowej beczułki.

– To są skóry słoni – cicho skomentował Garmat.

Teraz kszatryjasi zaczęli opuszczać kubły do morza i napełniać je wodą. Pełne wiadra wyciągali na linach na pokład. Kiedy tylko kubły stanęły na pokładzie, żołnierze wylali morską wodę na zawiniątka ze skóry. Po zmoczeniu skór, kszatryjasi zaczęli wylewać wodę na pokład, dokładnie zwilżając wszystkie dostępne powierzchnie i przedmioty. Naradziwszy się szybko z Venandakatrą, dwaj kszatryjasi udali się na dziób okrętu. Mimiką twarzy i gestami dawali do zrozumienia, że mają pokojowe zamiary. Zaczęli polewać morską wodą także dziób okrętu i znajdujące się na nim sprzęty. Rzymianie i Etiopczycy, na rozkaz Belizariusza, odeszli na bok i nie protestowali, nawet kiedy Malawianie zmoczyli skórzane ściany ich namiotów.

Kiedy kszatryjasi opuścili dziób okrętu, Belizariusz szepnął do Garmata:

– Dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny najwyraźniej obawiają się ognia. Czy to z powodu Arabów? Jak myślisz?

Garmat potrząsnął przecząco głową.

– Nie, to mało prawdopodobne. Arabska marynarka jest znana z tego, że okazjonalnie używa płonących strzał, ale to nie są siły floty wojennej. To piraci. Palenie statku, na który polują, nie ma dla nich sensu. Chcą go mieć całego i w nienaruszonym stanie.

Belizariusz skinął głową.

– Więc... ten strach wynika z używania ich własnej broni.

W tym momencie więcej kszatryjasów zaczęło wychodzić z ładowni. Nieśli w rękach guzkowate, dziwnie wyglądające, krótkie... tyczki?

– Czy to też jest bambus? – zapytał Belizariusz.

– Tak – odparł Garmat. – Każda z tych tyczek to zwykły bambusowy pręt z jakimś pęczkiem na jednym z końców. Myślę, że te pęczki to po prostu szersze kawałki bambusa, wklinowane w tyczkę i przymocowane paskami skóry. Widzisz? Kładą te tyczki tym końcem na zewnątrz w tych dziwnych korytach. Przeciwnie koniec, można go nazwać... hm... ogonem, jest krótki i rozcięty na dwie połowy.

– Jak się nazywają te rzeczy?

Garmat wzruszył ramionami.

* * *

cel wykorzystał dobry moment. W paroksyzmie determinacji ustawił wszystkie fasety w jednej pozycji. Zogniskował się maksymalnie. Wyodrębnił wąski pas rzucający się w oczy na przestrzeni całej bariery i pchnął silnie informacje do mózgu generała. Gdyby **cel** znał pojęcia z zakresu ludzkiej sztuki wojennej, nazwałby swoje wysiłki waleniem taranem w zawiasy bramy. Może... tak! Tak! Tak!

– To się nazywa... ra... rakietą – wyszeptał Belizariusz. – Więcej. – Rozkazał. – Więcej!

– O czym ty do diabła mówisz? – zapytał Garmat. Stary doradca spoglądał na generała tak, jakby ten plół od rzeczy. Belizariusz w odpowiedzi wyszczerzył się radośnie.

– Nie jestem szalony, Garmacie, uwierz mi. Po prostu... nie mogę ci tego wytłumaczyć,

a przynajmniej nie teraz. Dzieje się coś ważnego. Ja... powiedzmy, ja zaczynam rozumieć pewne rzeczy.

I znów **cel** poruszył fasetami. Znów odzyskał skupienie i siłę. I znów taran uderzył w bramy umysłu Belizariusza. Ponownie **cel** uczynił wyłom w murze.

– Tak – wyszeptał Belizariusz. – Tak, widzę to! Może się obracać i zmieniać pozycje. Może stać się swoim przeciwieństwem. Wyrzuca swe wnętrze, a nie jest wyrzucane przez swoje wnętrze. Tak! Teraz to widzę!

Zmarszczył brwi, koncentrując się mocno na przekazie, który docierał do niego za pośrednictwem klejnotu. Przez chwilę, z racji tego, że był dość dobrze zapoznany z terminologią ludzkiej sztuki wojennej, wyobrażał sobie siebie jako taran obłączniczy. I z tym obrazem w myślach dokonał swego własnego wyłomu w murze.

– Dlatego jest nazywane... działem.

Nagle osłabł i prawie upadł. Garmat podał mu dłoń i podtrzymał niepewne ciało generała.

– Po prawdzie – wymamrotał doradca – po prawdzie martwię się o ciebie, czy przypadkiem nie zwariowałeś. Teraz nie jest na to zbyt dobry moment. – Potrząsnął generała za ramiona. – Belizariuszu! Otrząśnij się! Piraci są już w zasięgu strzału z łuku!

Belizariusz wyprostował się, spojrzał na morze, a potem zwrócił oczy na Aksumitę. Potrząsnął z uśmiechem głową.

– Przesadzasz troszkę, Garmacie. Arabowie nie będą jeszcze w zasięgu strzału z łuku przez co najmniej dwie minuty. Ale... piraci są już w zasięgu malawiańskich rakiet. Spójrz!

W tej chwili usłyszeli dziwny, syczący dźwięk, podobny do głosu rozwścieczonego smoka. Garmat, zdziwiony, spojrzał za siebie na śródkręcie i aż otworzył usta ze zdumienia. Jedna z... rakiet popędziła właśnie w stronę piratów. Za nią na pokładzie kłębiła się kula ognia, otaczająca rolę skóry, umieszczoną na końcu koryta, z którego wypadła rakiet. Kszatrijasi najwyraźniej spodziewali się takiego zjawiska, gdyż w przeciągu sekundy czy dwóch zalali tłące się skóry wodą z kubłów. Kula ognia zamieniła się w małą chmurkę pary.

Belizariusz obserwował lot rakiety. Bardziej niż cokolwiek innego zaskoczyła go pokrętna trajektoria lotu bambusowego pręta. Nie leciał łukiem, jak strzała czy rzucony oszczep. Zamiast tego miotał się na wszystkie strony, gwałtownie zmieniał kierunek i podskakiwał. Po chwili generał zdał sobie sprawę, że istniał pewien związek pomiędzy niespokojnym lotem rakiety a nieregularnym ogniem palącym się na tylnym końcu pręta.

Proste i surowe myśli nagle pojawiły się zza bariery. Wniknęły do umysłu generała niczym nieokrzesane kreatury wążące do jaskini.

kiepska mieszanka, zły proch.

Mieszanka, zastanawiał się generał? Proch? A co ma proch... zwykły pył, wspólnego z tym zjawiskiem?

proch to siła.

– Jak? I jaki to rodzaj prochu? – zastanawiał się głośno. I znów Garmat spojrzał na niego zaniepokojony. Belizariusz zamierzał właśnie roześmiać się uspokajająco, ale uśmiech zamarł mu na ustach. Czuł, że obca siła buszująca w jego umyśle słabnie i zaczyna niknąć. Mógł wyczuć jej zniechęcenie.

Rakiet zaczęła zniżać lot i zbliżyła się do powierzchni oceanu. Zanim jeszcze rakiet uderzyła w wodę, dla wszystkich stało się oczywiste, że strzał został po prostu źle wymierzony. Pocisk wylądował bardzo daleko od jednostek pirackich.

– Czy tym w ogóle da się celować? – wymamrotał generał. Stojący obok niego Garmat potrząsnął

głową. Aksumita odczuł wielką ulgę, gdy zobaczył, że generał powrócił do realnego świata.

– Nie wydaje mi się, Belizariuszu. Wydaje mi się, że po prostu nimi strzelają w kierunku wroga. Widziałeś, jak to lata. Takiej kapryśnej broni nie da się wycelować w żaden sposób.

Rakieta uderzyła w morze. Usłyszeli huk i zobaczyli słup wody i pary, unoszący się w miejscu zderzenia. Potem zapadła cisza. Gromada tłoczących się na stateczkach Arabów wydała z siebie głośny, szyderczy wrzask.

Piraci zbliżyli się na tyle, że można było się im dokładnie przyjrzeć.

Flota przeciwnika składała się z trzynastu galer. Każda z nich posiadała komplet wioślarzy na obu burtach, niewielki żagiel i ogromnie liczną załogę. Na oko Belizariusz ocenił, że na każdym statku znajduje się co najmniej stu ludzi. Większość piratów była uzbrojona w miecze lub włócznie. Wielu miało też łuki. Jednakże tylko niewielki odsetek posiadał coś, co można by nazwać zbroją. A jeżeli już mowa o osłonie, niewielu trzymało w dłoniach tarcze.

W pojedynkę, doszedł do wniosku Belizariusz, nie byli specjalnie groźni. Ale niebezpieczeństwo kryło się w ich wielkiej liczbie.

Wystrzelono kolejne cztery rakiety. Te także leciały niczym pijane i żadna nie znalazła się nawet w pobliżu celu. Piraci teraz wrzeszczeli opętańczo.

– Doganiają nas – gderliwie rzekł Eon. – Ten statek jest jak krowa – beznadziejnie powolny. Na otwartym morzu, z takim dobrym wiatrem, powinniśmy zostawić ich bez wysiłku za sobą.

Teraz wystrzelono sześć rakiet. I w końcu ta dziwna broń pokazała swą niszczycielską siłę. Dwie rakiety uderzyły w piracki statek. Arabska jednostka w jednym momencie stanęła w płomieniach i kłębach pary. Kilku piratów wyskoczyło wysoko w powietrze, jakby klepnęła ich niewidzialna ręka tytana.

– Siła i moc! – zawołał Belizariusz. – Tak, to właśnie to... – nagle zamilkł.

– To właśnie co? – zapytał Garmat.

Belizariusz spojrzał na niego i w zamyśleniu wyduł usta. Po chwili potrząsnął głową.

– Nieważne, Garmacie. Po prostu zauważyłem, że te rakiety to nie są tylko i wyłącznie urządzenia zapalające obce jednostki. Niosą ze sobą jakąś inną moc. Jakąś nieznaną... siłę, która sprawia, że statki wybuchają, zanim się zapalą.

Garmat obejrzał się na piracką galerę. Teraz, kiedy chmura czarnego dymu trochę się rozwinęła, mógł zauważyć, że statek został czymś uderzony, a potem dopiero się zapalił. Tam, gdzie wylądowała jedna z rakiet, zapadł się cały fragment kadłuba statku. Arabska jednostka zaczęła właśnie nabierać wody i przechyliła się niebezpiecznie na jedną burtę. Załoga wyskakiwała do morza. Statek został całkowicie zniszczony i zatopiony. Można było się tylko zastanawiać, czy kadłub wcześniej zanurzy się w odmęty, czy spłonie.

I znowu, całkiem nagle, do umysłu Belizariusza wdarła się obca myśl.

wybuch. wybuch to siła.

Belizariusz prawie uchwycił zwodniczy obraz podsuwany jego umysłowi przez klejnot. Ale ten zniknął nagle, zbladł, a potem niespodziewanie powrócił. Z całą pewnością i wyraźnie generał zobaczył baryłkę zawierającą szalejący i pieklący się ogień. Płomień produkował ogromne ilości gazu, które napierały na ścianki baryłki, aż...

– Tak! – zawołał. – Tak! Miałem rację! To jest ogień!

Zorientował się nagle, że kilka osób wpatruje się w jego postać. Nie tylko Rzymianie i Aksumici. Kilku Ye-tai stojących w pobliżu spoglądało z namysłem na generała. Tak samo kapłan Mahwedy.

Trzymaj gębę na kłódkę, idioto. Obserwuj w milczeniu.

Patrzył na kolejną salwę rakiet. Było ich sześć, i sześć nie dotarło do celu, ale po osłabionym

wrzasku piratów można było poznać, że ci wyraźnie stracili zapał i pewność siebie. Arabskie jednostki znajdowały się teraz zaledwie dwieście metrów za statkiem Malawian. Kilku Arabów strzeliło z łuku, ale ich strzały upadły daleko poza celem.

– Słabeusze – sarknął Anastazjusz. Wielki Trak naciągnął swój potężny łuk. Belizariusz popatrzył na katafrakta i skrzywił się. Generał kiedyś spróbował naciągnąć ten łuk. Próbował i nie udało mu się, chociaż Belizariusz był potężnym i silnym mężczyzną.

Anastazjusz, przy całej swojej sile, nie posiadał zbyt wielkich umiejętności łuczniczych. Nie umiał tak się obchodzić z łukiem jak Walentynian. Ale w przypadku celowania do gęsto zatłoczonych, niemalże uginających się pod ludźmi stateczków, to nie miało znaczenia. Strzała Anastazjusza poszybowała w kierunku arabskich jednostek i wpadła w tłum na pokładzie jednego ze statków. Patrzący usłyszeli wrzask.

– Błogosławiona strzała! – zawołał Ousanas. – Pobłogosławiona przez samego Boga!

Anastazjusz wyszczerzył radośnie zęby. Walentynian zachnął się.

– On wcale ciebie nie wychwala, ty głupku. Po prostu mówi, że miałeś szczęście.

Anastazjusz spojrzał pytająco na Ousanasa. Dawazz ze smutkiem pokiwał głową.

– Walentynian nie mówi ci prawdy. To bardzo przebiegły i zły Rzymianin! Nie mówię, że miałeś szczęście. Mówię, że musisz być ukochany przez Boga.

– Widzisz? – zapytał triumfalnie Walentynian.

Anastazjusz gniewnie zamachał rękoma.

– Zobaczmy, czy ty lepiej sobie poradzisz! – zawołał.

Ousanas uśmiechnął się.

– Za daleko. Strzały są tanie jak pył. A oszczepy bardzo cenne. To bardzo ważny problem teologiczny. Bóg całe swoje błogosławieństwo przeznaczył strzałom, a oszczepom poskąpił dobrego słowa.

Dawazz wskazał dłonią na statek płynący najdalej na wschód od reszty gromady.

– Widzicie sternika tej jednostki? Tam na wschód?

Anastazjusz potakująco kiwnął głową.

Ponownie Ousanas smutno potrząsnął głową.

– To wielki grzesznik. Wkrótce szatan zabierze go do swojego królestwa.

– A kiedy? – dopytywał się Anastazjusz.

– Niebawem, kiedy tylko umiejętności pozwolą mi go dosięgnąć. Oszczep to broń wymagająca umiejętności. Bóg skąpi oszczepowi szczęścia. Prawie jak sknera.

Anastazjusz prychnął i odwrócił się od niewolnika. Znowu naciągnął łuk. Jego strzała ponownie znalazła cel w tłumie nieprzyjaciół.

Piraci ciągle się zbliżali. Przez jakiś czas zaniechano ostrzału, ale teraz rakiety znów poszybowały w niebo. Belizariusz zauważył, że obsługujący działa kszatryjasi ustawili koryta w innej pozycji. Przedtem połówki bambusa zadarte były do góry, a teraz leżały prawie równoległe do pokładu.

Te rakiety nie pomknęły w górę jak włócznie czy strzały. Leciały mniej więcej płaską trajektorią tuż nad powierzchnią wody. I uderzyły we wrogie jednostki z ogromną i niszczycielską siłą. Belizariusz patrzył zafascynowany, jak jedna z rakiet uderzyła płasko w powierzchnię oceanu i odbiła się od fali jak kamyk rzucony równoległe do powierzchni wody. Ta rakietka uczyniła tak samo wiele zniszczeń jak pozostałe, kiedy uderzyła w burtę arabskiego statku.

Prawie połowa jednostek pirackiej floty została uderzona przez pociski. Dwa statki wyglądały na poważnie uszkodzone i najwyraźniej nie mogły się poruszać. Dwa inne paliły się gwałtownie, a ich

załogi skakały przez burty do morza.

Ale najwyraźniej Arabowie nie zamierzali przerwać ataku. Pirackie jednostki zaczęły się rozpraszać, gdyż w gromadzie stanowiły łatwy cel dla malawiańskich rakiet. Marynarze z ocalałych galer pomagali rozbitkom wdrapywać się na pokłady swoich jednostek.

Pięć pirackich statków tonęło lub paliło się niekontrolowanie, a przynajmniej jeden wydawał się wyłączony z natarcia. Ale Belizariusz pomyślał sobie, że liczba piratów nie zmniejszyła się znacząco. Większość z tych, którzy wyskoczyli do morza, wdrapała się na pokłady innych statków. Ocalałe jednostki po prostu pękały w szwach od nadmiaru załogi.

Wystrzelono kolejną salwę rakiet. Wszystkie, oprócz jednej, chybiły celu i pomknęły przez puste przestrzenie pomiędzy wrogimi statkami. Nawet ta, która uderzyła w galerę, po prostu odbiła się od burty, nie czyniąc wielkiej szkody i poszybowała nad powierzchnią morza, aż wybuchła ogniem i parą w zetknięciu z powierzchnią wody.

Belizariusz podrapał się po brodzie. Wydawało mu się, że rakiety nie wybuchają właściwie w momencie kontaktu z obiektem. Teraz sobie przypominał, że niektóre z pocisków wybuchły kilka sekund po tym, jak uderzyły w statek. Efekt był ten sam; siła, z jaką leciały i tak sprawiała, że przebijały się przez kadłuby pirackich stateczków jak przez dyktę. I niezależnie od momentu wybuchu rakiety paliły się tak gwałtownie, że uderzone statki niemalże natychmiast stawały w ogniu.

Ale ciągle...

– Odpowiednia broń, ochrona i taktyka – myślał głośno. – Z odrobiną umiejętności, te pociski wcale nie byłyby takie niebezpieczne w walce.

Walentynian odwrócił się do niego z pytającym spojrzeniem.

– Ale jaka panika wśród koni, generale. Na widok takiej broni oszalałyby ze strachu – skomentował katafrakt.

– To prawda – przyznał Belizariusz. – Te świszczące odgłosy i wybuchy przeraziłyby zwierzątka na śmierć. Nie dałoby się ich kontrolować. – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Wydaje mi się, że piechota znowu wróci do łask!

– Cholera – wymamrotał Anastazjusz. – Ma rację.

Walentynian jęknął.

– Nienawidzę chodzić. Po prostu nienawidzę.

– Ty nienawidzisz?! – ryknął Anastazjusz. – Nie masz na sobie nawet grama tłuszczu! Jak myślisz, jak ja się czuję?

Garmat zaniepokojony przerwał tę wymianę zdań.

– Niebawem zrobi się ciemno. Nadchodzi wieczór.

To była prawda. W zapadającym zmroku ciągle można było rozróżnić nadpływające pirackie statki, ale kontury zaczynały się zacierać.

– I mamy nów – dodał Eon. – Będzie bardzo ciemna noc. Już za kilka minut nic nie zobaczymy.

Gromadka rakiet ponownie poleciała w kierunku wrogich jednostek. Belizariusz zauważył, że kszatryjasi ustawili wszystkie koryta w podobny sposób. Teraz urządzenia stały półkolem i celowały w jeden wybrany okręt. Mimo tego tylko jeden pocisk dopadł celu. Na szczęście rakietę uderzyła centralnie w śródkręcie i wybuchła z ogłuszającym hukiem. Ten statek najwyraźniej także zostanie doszczętnie zniszczony.

Zanim ostatnie promienie zachodzącego słońca zniknęły za horyzontem, Belizariusz zobaczył, jak arabskie galery zaczynają okrążać indyjski statek. Jednakże teraz pilnowały bezpiecznego dystansu od wielkiego żaglowca. Czekają, aż zapadnie zmrok. Z tej odległości i przy takim rozproszeniu jednostek, rakiety nie miały już wielkiego zastosowania.

Dwie zmarnowane serie uzmysłowiły ten fakt wszystkim obecnym na pokładzie, jeszcze zanim Venandaktra zaczął wydawać nowe rozkazy. Natychmiast trzy załogi obsługujące działa zaczęły taszczyć swoje koryta na sterburtę okrętu. Trzy pozostałe zespoły zwiększyły odstęp między działami i rozciągnęły linię rażenia na całą długość lewej burty. Najwyraźniej Malawianie ustawiali swoje działa w taki sposób, aby móc odeprzeć nacierających piratów.

Venandaktra wydał nowe rozkazy. Belizariusz słuchał ich uważnie i powoli zaczynał rozumieć znaczenie wywrzaskiwanych słów. Domyślił się, że klejnot znowu pomaga mu swą dziwną mocą. Język Malawian nazywał się *hindi* i Belizariusz nie znał w nim nawet słowa. Ale, nagle i niespodziewanie, ten język stał się jasny dla jego umysłu. Piskliwe słowa wypowiedane przez kilku kszatryjasów w odpowiedzi na rozkazy Venandaktry były dla generała jasne jak słońce.

– Indyjscy artylerzyści nie są zadowoleni – wyszeptał Garmat. – Narzekają na to, że...

– Zostaną spaleni, jeżeli zastosują się do rozkazów Venandaktry – dokończył bezwiednie Belizariusz.

Aksumicki doradca wydawał się zaskoczony.

– Nie wiedziałem, że rozumiesz *hindi*, generale.

Belizariusz chciał mu odpowiedzieć, ale szybko zamknął usta. Garmat, znów, spojrzał na niego dziwnie.

Będę musiał mu wszystko wyjaśnić, kiedy już to wszystko się skończy. Niech diabli wezmą tych wszystkich dociekliwych doradców!

Venandaktra uciął krótko protesty. Towarzyszący mu kapłani Mahwedy wtrącili swoje trzy grosze. Jeden z głównych kapłanów obiecał przyprowadzić mahamimamsów, którzy siedzieli w ładowni, aby pomogli kszatryjasom w oczyszczeniu dusz.

Kszatryjasi, niezadowoleni i narzekający, pospieszyli do swoich obowiązków. Wszystkie koryta zostały teraz ustawione w takiej pozycji, że wylot luf wskazywał lekko na powierzchnię morza, blisko burt indyjskiego statku. Na końcach dział położono więcej pęczków skór, ale z zasępionych min kszatryjasów można było odczytać, że wątpią w ich wydajność i możliwość zatrzymania ognia tak nędznymi środkami. Ogień, który wyskoczy z koryta, będzie teraz strzelał do góry i pęczki skór nie ochronią kszatryjasów przed poparzeniami.

Kolejna obca myśl przedarła się przez barierę.

odrzut.

Wokół statku panowały teraz kompletne ciemności; wątłe światło rzucały jedynie trzymane przez kilku wojowników Ye-tai latarnie. Belizariusz zobaczył, że Venandaktra wpatruje się w niego usilnie. Chwilę później, z wyraźną niechęcią, indyjski szlachcic podszedł do stojącej na dziobie statku gromadki.

Kiedy dotarł do Belizariusza, generał odezwał się, zanim Venandaktra zdążył otworzyć usta.

– Obawiam się, że piraci skoncentrują natarcie na dziobie i rufie. Tam nie możecie umieścić waszych... e... ogniowych broni. Pilnuj rufy, Venandaktro. O dziób nie musisz się zamartwiać.

Venandaktra zmarszczył brwi.

– Jest was raczej niewielu – powiedział. – Mogę przysłać wam paru...

– Nie. Większa ilość ludzi spowoduje po prostu, że utkniemy w tłoku. Będzie nam trudno walczyć. I nie mam teraz czasu tłumaczyć malawiańskim wojownikom, jak mają się bić i jaka jest moja taktyka. Rzymianie i Aksumici to starzy przyjaciele i wiedzą, jak walczyć ramię w ramię. – Kłamstwo przeszło mu łatwo przez gardło.

Twarz Garmata nie wyrażała żadnych emocji. Sarweni zamamrotali głośno, aprobując słowa generała, podobnie jak Anastazjusz i Walentynian. Eon lekko się zdziwił, ale jego dawacz szybko

uspokoił chłopca kuksańcem w bok. Menander także wyglądał na skonfundowanego, ale Malawianin na szczęście nie patrzył w jego kierunku. Prawie natychmiast Walentynian skorygował nieprawidłowy wyraz twarzy młodego katafrakta za pomocą cichego parsknięcia.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Venandakatra.

Belizariusz uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Tak jak powiedziałem, niebawem ucieszysz się, że masz nas na pokładzie.

Twarz Venandakatry przybrała wąpiący wyraz, ale Malawianin powstrzymał się od dalszych komentarzy. Po chwili odszedł na bok, szurając nogami i wydając głośno kolejne rozkazy. Belizariusz rozumiał słowa i wiedział, że dyspozycje wydawane przez Venandakatrę są zupełnie zbędne i bezsensowne. Malawianin zachowywał się jak pośledni szlachetka, robiący wokół siebie wiele hałasu, aby zapewnić samego siebie, że jest ważny i wszyscy słuchają jego słów.

– Prawda, to paskudny typ – wymamrotał pod nosem Garmat. – Dawno temu Aksumici mieli króla, który był bardzo do niego podobny. Jego własny sarawit zabił tego nikczemnika i zaraz następnego dnia ustanowiono instytucję dawazza.

– Naprawdę uważasz, że mają zamiar nas zaatakować? – zapytał nagle Menander. Widząc, że wszyscy wlepiają w niego oczy, młody katafrakt zeszywniał.

– Wcale się nie boję! – zapewnił nerwowo. – Po prostu... to nie ma zbyt wielkiego sensu.

– Obawiam się, że właśnie to ma sens – zaprzeczył Garmat. Doradca skrzywił wargi. – Sam jestem w połowie Arabem i znam lud mojej matki bardzo dobrze. Plemiona Hadrawmat – wskazał dłonią na południowe wybrzeże Arabii, teraz ukryte w ciemnościach – są bardzo biedne. Składają się głównie z rybaków i z przemytników. Taki wielki statek jak ten, którym płyniemy, to dla nich fortuna. Z radością poświęcą swoich ludzi i nie będą oglądali się na straty, gdyż bardzo im zależy na łupach.

Ousanas zachichotał.

– Uwierz temu staremu mieszańcowi, młody Rzymianinie. Arabowie to najpodlejsi ludzie, jacy stąpają po ziemi. Ich dusze aż kipią od zła i grzechów!

Garmat spojrział na niego, mrużąc lekko oczy.

– O tak, wiele zła! Wiele grzechów mają na sumieniu!

Garmat wyglądał na urażonego.

– Lubieżność! Skąpstwo! Okrucieństwo!

Garmat zmarszczył brwi.

– Zdrada! Zawiść! Lenistwo!

Garmat spojrział na dawazza wilkiem.

– Byliby też wielkimi żarłokami, gdyby nie ich ubóstwo!

Garmat zacisnął mocno szczęki.

– I wreszcie, Arabowie nie znają strachu i tchórzostwa.

Garmat uśmiechnął się. Ale Ousanas potrząsnął ze smutkiem głową.

– To dlatego, że Arabowie są bardzo głupi. Tchórzostwo to jedyna wada, która przydaje się ludzkości. Naturalnie Arabowie nie mają o niej pojęcia.

– Lata temu słyszałem historię o pewnym tchórzliwym Arabie, żyjącym gdzieś na Wielkich Pustkowiach – zastanawiał się na głos Anastazjusz. Splunął do morza. – Ale ja osobiście nie wierzę w te opowieści.

– Nadchodzą – oznajmił Walentynian. – Nie widzę ich jeszcze, ale mogę usłyszeć. Robią straszny hałas.

Belizariusz spojrział na Walentyniana. Bardzo często tuż przed bitwą katafrakt przypominał generałowi łasicę. I tak też było teraz. Wojownik wyglądał jak drapieżne zwierzę; ostre rysy twarzy,

długie i szczupłe ciało o stalowych ścięgnach; pozorny spokój, spokój napiętej do granic możliwości struny; i najbardziej ze wszystkiego – całkowite, intensywne skupienie, skupienie zabójcy. W takich chwilach zmysły Walentyniana nabierały niemal nadludzkich właściwości.

Belizariusz westchnął. Wybór należał teraz do niego i nie mógł dalej zwlekać z podejmowaniem decyzji.

Niech szlag trafi sekrety, pomyślał. Ci ludzie są moimi towarzyszami, wszyscy bez wyjątku. Nie mogę ich zwodzić i oszukiwać.

Generał przeszedł na miejsce najbardziej wysunięte w kierunku dziobu.

– Zbliżają się do nas dwa statki – oznajmił. Pokazał raz i drugi dłonią w kierunku ciemności za burzą. – Tam i tam. Ten po prawej stronie jest znacznie bliżej nas.

Za sobą usłyszał dyskretne kasznięcie.

– Zaufaj mi, Garmacie. Widzę je prawie tak dobrze, jakby to było w dzień, w pełnym słońcu. Są tam, właśnie tam, gdzie wam pokazuję.

Spojrzał przez ramię i wykrzywił wargi w uśmiechu.

– Ten sternik, którego sobie wcześniej wybrałeś, Ousanasie, siedzi na tym bliższym statku. Możesz teraz udowodnić, że twoje przechwałki nie były pustą gadaniną.

Dawazz nie uśmiechał się, co nie zdarzało się często. Przez krótką chwilę Ousanas z wysiłkiem wpatrywał się w ciemność, a potem odwrócił wzrok w kierunku generała.

– Jesteś czarownikiem – oznajmił.

Belizariusz zrobił głupią minę.

Na twarz dawazza powrócił jego nieodłączny uśmiech. Skóra Ousanasa była tak czarna, że w ciemnościach jego towarzysze widzieli zaledwie zarys sylwetki dawazza. Na tym tle szeroki uśmiech i białe zęby wyglądały niczym jakiś zwiastun dobrych wieści.

– Ale to nie jest żaden problem – powiedział dawazz. Ousanas machnął ręką w kierunku pozostałych wojowników.

– Ci inni ludzie są raczej cywilizowani. Aksumici i Rzymianie. W związku z tym wypełniają ich głupie przesady. Myślą sobie, że czary to zło. Ja jestem wyrzutkiem z dalekiego południa, zbyt głupim, aby się bać czarów. Wiem, że magia jest podobna do wszystkich innych rzeczy na tym świecie. Jest dobra. I jest zła.

Nagle roześmiał się głośno, wprawiając w zdumienie zgromadzonych dookoła ludzi.

– To po prostu wspaniałe! – zawołał dawazz. – Nigdy nie miałem po swojej stronie dobrego czarownika.

– Czy naprawdę widzisz tak dobrze w nocy, w ciemnościach? – zapytał z drżeniem ksiączę. – Jak to jest możliwe?

– Tak, Eonie, widzę w ciemnościach. A jak to jest możliwe? – Belizariusz zawahał się, ale tylko przez chwilę. Kości zostały rzucone.

– Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Ale po bitwie wyjaśnię wam wszystkim parę rzeczy. – Rzucił krótkie spojrzenie na Garmata. – Wszystko wytłumaczę. – Popatrzył na swoich katafraktów i sarwenów. – Wyjaśnię wam wszystkim.

Ousanas wychylił się przez reling z oszczepem w dłoni.

– To gdzie jest ten sternik? – zapytał radośnie. Belizariusz znów pokazał ręką ciemność. Ousanas zmrużył oczy.

– Ciągłe jest za ciemno – wymamrotał.

W tej chwili głos Venandaktry wrzasnął komendę. Wystrzelono salwę rakiet. Pociski poleciały na wszystkie strony. Kilku kszatryjasów zawyło z bólu. Uderzył ich płomień odrzutu, odbity od

zawiniątek ze skór słoni.

– Co za cholerny kretyn – zadudnił Anastazjusz. – Tchórzliwy bękart po prostu spanikował.

To była prawda. Rakiet zupełnie nie nakierowano na cele. Sześć pocisków pomknęło w ciemność, nie trafiając w żaden obiekt. Po prostu je zmarnowano.

Salwa była bezużyteczna dla wszystkich z wyjątkiem Ousanasa. Bowiem płomienie rakiet skąpały powierzchnię morza w krwawej poświacie. Statki pirackie ukazały się oczom atakowanych w pełnej okazałości i można było nawet, z niewielkim wysiłkiem, zobaczyć poszczególnych członków załóg wrogich jednostek.

– Widzę tego sternika! – zawołał z radością dawazz i rzucił swoim oszczepem z szybkością i siłą drapieżnika atakującego ofiarę. Broń zniknęła w gasnącej czerwonej poświacie. W jednym momencie stała się dla wszystkich niewidoczna. Dla wszystkich z wyjątkiem Belizariusza.

Generał patrzył, jak oszczep wzbija się w powietrze i leci wyżej, wyżej i wyżej. Nigdy nie widział tak wspaniałego rzutu. Następnie Belizariusz obserwował, jak broń zniża lot. Oszczep leciał pięknie nawet i równiej, niż mogłyby sobie tego życzyć prawa euklidesowej geometrii.

Straszny krótki krzyk wzbił się w powietrze.

Anastazjusz skulił ramiona i patrzył się ponuro na morze.

– Nie odważę się spojrzeć, Walentynianie. Czy ten przeklęty czarny bękart uśmiecha się do mnie?

Walentynian zachichotał.

– Wygląda jak latarnia morska na Faros w Aleksandrii. Oślepiające światło w ciemności.

Nagle z ciemności nadleciała niewielka gromadka strzał wystrzelonych przez wroga. Jednakże żadna z nich nie doleciała tak blisko, aby zagrozić komukolwiek. Piraci po prostu dawali upust wściekłości.

– To nie potrwa długo – oznajmił Belizariusz. Uśmiechnął się. – A tak przy okazji, może przejdiesz na drugą burtę statku, Anastazjusz. Ten statek po twojej stronie już nie jest najbliższym nas. Właściwie bezwładnie unosi się na falach. Nie ma sternika.

Anastazjusz warknął, niezadowolony. Ousanas podniósł następny oszczep.

– Może ten cholerny idiota, tchórzliwy bękart, to znaczy indyjski szlachcic, każe wystrzelić następną bezużyteczną salwę – powiedział beztrosko. – Wtedy będę mógł sprawić, że kolejna piracka galera utraci sterowność.

– Zabiję go – zamruczał pod nosem Anastazjusz.

– Wątpię – odparł złośliwie Walentynian. Nagle on też zaczął się szeroko uśmiechać. – I nie bądź żalonym kretynem. Jesteś jak mały chłopczyk na placu zabaw. Wolałbyś, żeby siał tymi oszczepami na prawo i lewo, chybiając celu?

Anastazjusz skrzywił się.

– Nie, ale...

Nie dokończył. Statek piracki wyłonił się z ciemności jak potwór wynurzający się z morskich odmętów. Kakofonia wojennych okrzyków wzbijała się w powietrze. Chwilę później wystrzelono kolejną salwę rakiet.

Teraz wszystko pławiło się w czerwonym blasku. Nad bitewnym zamieszaniem unosił się zapach krwi i szcęk metalu o metal. Anastazjusz naciągnął swój ogromny łuk i strzelił do pirata. Zabił go, i następnego, i wielu innych. Na takim dystansie jego strzały po prostu rozrywały klatki piersiowe jak tasak rzeźnika rozcina kurze tuszki. Nawet gdyby piraci nosili pełne zbroje, efekt byłby ten sam. Na tym dystansie strzały Anastazjusza przebijały się przez metal i drewno.

I kiedy zobaczył drugą piracką galere, kołyszącą się bezładnie na falach bez sternika, w jego sercu nie było emocji poza nagłym przypiływem uczuć koleżeńskich. Gdyż Anastazjusz w głębi serca

nie był złośliwym uczniakiem, pełnym małostkowości i dumy. Był żołnierzem wykonującym swój zawód.

I wykonywał go bardzo, bardzo dobrze.

Rozdział 16

Pomimo tego, że noc była całkowicie bezksiężycowa, pole bitwy oświetlały paskudne błyski ognia. Belizariusz, nawet w najgorętszym wirze walki, miał czas, aby podziwiać iluminację i zachwycać się światłem.

Oczywiście, jeżeli zachwyty jest odpowiednim słowem do opisanie tej walki rodem z piekła.

Kiedy pierwszy piracki statek przybił do burty indyjskiego okrętu i zarzucił abordażowe haki na pokład, prawie wszystkie pozostałe jednostki wroga paliły się szaleńczym ogniem. Wszystkie z wyjątkiem czterech. Nieregularne trajektorie pocisków były teraz nieistotne. Wystrzelone z bliska rakiety nie wybuchały podczas kontaktu z celem. Zamiast tego paliły się powoli, poczynając od ogonów, sycząc wściekle jak rozszoszczone smoki. Dźwięk ten przypominał hałas, jaki czyniły, lecąc w powietrzu. Zafascynowany Belizariusz obserwował, jak jeden z pocisków przebił się przez kadłub statku, odbił się od jednej z burt, poszybował ku drugiej i tak, odbijając się w szaleńczym pędzie, zakończył swą podróż na dziobie jednostki. Jego ślad znaczyły grupki wrzeszczących i miotających się Arabów, usiłujących zgasić na sobie tłące się szaty, zapalone od przelatującej rakiety. Kiedy pocisk zatrzymał się na dziobie, unieruchomiony w grubszym i wytrzymalszym poszyciu statku, ciągle jeszcze palił się jasnym i stałym płomieniem. Wyglądał jak nieme i tępe stworzenie, usiłujące przebić sobie drogę na zewnątrz i uwolnić się ze statku. Kilka sekund później pocisk wreszcie eksplodował, gruchocząc dziób na strzępy. Ale podpalenie statku arabskiego podczas przelotu rakiety spowodowało tak samo duże zniszczenia jak ten ostateczny wybuch.

Nie wydaje mi się, żeby Malawianie potrafili kontrolować czas wybuchu tych rakiet, zastanawiał się Belizariusz.

cel. Spięte, czekające na okazję fasety zawirowały w wyrwie bariery, tak jak ludzki generał mógłby pchnąć swe wojska w kierunku osłabionej części chroniących zdobywaną twierdzę murów. Kolejna prymitywna myśl znalazła drogę przez zaporę.

nie mają zapalników.

Wyczuwając zaskoczenie w umyśle generała, fasety wycofały się. Ale **cel** natychmiast pchnął je do przodu. Z sukcesem. Myśl była prymitywna, ale klejnot czuł się coraz pewniej. **cel** zmusił płaszczyzny do obrotu i ponownie zaatakował wyrwę. Przyświecał mu jeden cel, fanatyczna chęć wyjaśnienia.

I w końcu, wreszcie! Prawdziwy sukces. Fasety rozbłysły w chwili radości. **cel** zawirował kalejdoskopem barw.

Wiedza, która pojawiła się w umyśle generała Belizariusza, nie była zwykłą, prostą myślą. Zamiast tego Belizariusz ujrzał oczyma duszy żywy diagram, ożywioną rzeczywistość. Z jasnością, jakiej nie doznał nigdy w życiu, zobaczył, jak są zbudowane i jak działają rakiety. Widział dziwny proszek [**proch**, teraz już wiedział, jak się nazywa], upakowany ciasno na całej długości rakiety; ten sam proszek w większej ilości pakowano do przedniej części [**głowicy**] pocisku. Zobaczył, jak kszatrijas długim, płonącym patyczkiem podpala proch. Widział, jak proch wybucha i płonie, i przyjrzał się, w jaki sposób płomień się rozprzestrzenia. Wiedział, że wizja przesuwiała się przed jego oczyma w nierzeczywistym, nieludzkim czasie, zwolniona mocą klejnotu tak, by mógł się

dokładnie przyjrzeć działaniu urządzenia.

Widział, jak płomień przesuwają się do góry, w środku bambusowej rury [kadłub]. Ujrzał szalejące gazy, uwalniane z tylnej części rakiety [odrzut] i wiedział, że siła tych gazów jest sprawcą ruchu pocisku i zmusza go, aby oderwał się od ziemi.

Założenie działania pocisku – akcja/reakcja – przebiegło mu przez głowę. Prawie zrozumiał, w czym rzecz, ale nie był do końca przekonany. Niebawem pojmie wszystko.

Obserwując oczyma swej duszy trasę, jaką pokonywał płomień we wnętrzu bambusowej rury wypełnionej prochem, Belizariusz zrozumiał wreszcie, dlaczego pociski leciały tak zwariowaną i nieprzewidywaną trajektorią.

Po części, jak rozumiał, spowodowane to było złą jakością prochu, wynikającą ze źle dobranych proporcji. Teraz już wiedział, że proch to nie jednorodna substancja, ale mieszanka bardzo wielu składników. Ten proch był nierówny i grudkowaty jak kiepsko wymłócone ziarno. Grudki paliły się nierównomiernie, co owocowało nieuporządkowanym i zbyt gwałtownym odrzutem.

Wydawało mu się, że największym problemem był otwór na końcu pocisku, przez który wydostawały się gazy odrzutu [wentyl... ale myśl była przesycona pogardą]. Wykonano go z wielką niedbałością. A właściwie wcale go nie wykonywano. Wentyl nie był niczym więcej jak tylko zrobionym z drewna krążkiem. Hindusi po prostu cięli bambus tuż ponad przewężeniem, a końcówka służyła jako dysza wylotowa, która koncentrowała i ukierunkowywała gazy wydechowe, powstające podczas spalania prochu. Ale koniec pocisku był bardzo postrzępiony i nierówny, gdyż wycinano go prymitywnymi narzędziami. Belizariusz widział w swoim umyśle, jak płonący proch palił i deformował drewno podczas wybuchu.

Towarzysze Belizariusza obawiali się o jego zdrowe zmysły, widząc wyraz twarzy generała. Pierwsi piraci wdrapywali się właśnie na pokład statku, a ich towarzysz, ich przywódca, miotał się jak szaleniec i wygadywał jakieś brednie o greckich i armeńskich kowalach i ich doskonałych rzemieślniczych umiejętnościach. Mamrotał coś nawet o tronie imperatora, jego ryczących lwach i śpiewających ptakach.

Przyjaciele Belizariusza mogli wreszcie odetchnąć z ulgą, gdyż szaleństwo generała skończyło się w momencie, kiedy pierwszy z piratów ukazał się ponad relingiem. Belizariusz ściał mu głowę płaskim ciosem miecza, tak szybko, tak pewnie i z takim wdziękiem, że nikt nie odważył się wątpić w jego zdrowe zmysły.

– Belizariusz jest mistrzem miecza – wymamrotał Walentynian. – Ale to jest po prostu niesamowite.

– Przestań pieprzyć! – zawył Anastazjusz. Katafrakt opuścił swą potężną maczugę na głowę kolejnego pirata. I chociaż w jego ruchach trudno było dopatrzeć się wdzięku ani nie odznaczały się one zbyt dużą szybkością, wynik ciosu nie odbiegał znacznie pewnością i celnością od ruchów Belizariusza.

Teraz Arabowie dosłownie przelewali się skłębioną falą przez relingi lewej i prawej burty, na dziobie i na rufie. W ataku tym widać było szaloną determinację, daleko silniejszą niż żądza krwi, zwykła chciwość i chęć zdobycia indyjskich bogactw. Rozkaz do natarcia urodził się z czystej desperacji. Piraci posiadali zbyt mało własnych stateczków zdolnych do utrzymania się na wodzie, aby ich pomieścić i dowieźć bezpiecznie do wybrzeża. Musieli podbić hinduski statek albo zginąć.

Kszatryjasi porzucili swoje rakiety i schronili się za murem wojowników Ye-tai. Żołnierze sformowali pierścień dookoła głównego masztu, mający chronić znajdującego się wewnątrz Venandakatrę i gromadkę kapłanów. Ale dla wszystkich było oczywiste, że lekko uzbrojeni, pozbawieni swoich pocisków Malawianie nie stanowią godnego przeciwnika dla piratów, a są tylko

i wyłącznie wątlą strażą ostatniego ratunku. Prawdziwa obrona statku leżała w rękach wojowników Ye-tai. Barbarzyńcy natychmiast zaczęli drwić z tchórzostwa kszatryjasów.

Ale kpiny nie trwały długo. W przeciągu kilku sekund Ye-tai zostali osaczeni przez nacierających piratów zalewających pokład. Wojownicy nie mieli czasu ani siły, aby koncentrować się na czymś innym niż walka o przetrwanie.

Tak jak Belizariusz się spodziewał, piraci skoncentrowali siłę natarcia na rufie i dziobie. W tych rejonach ich statki mogły unikać salw rakiet. W rzeczywistości, dwa statki pirackie, które były jeszcze w stanie utrzymać się na powierzchni oceanu, zostały trwale przycumowane do dziobu i rufy ogromnego hinduskiego okrętu.

Na rufie szala zwycięstwa przechylała się na stronę piratów. Tam walka szybko skończyła się na ich korzyść. Na dziobie jednak Arabowie spotkali tylko śmierć i zniszczenie.

Belizariusz okłamał Venandakatrę, kiedy powiedział mu, że Rzymianie i Aksumici od dawna walczą razem i są do tego przyzwyczajeni. Ale teraz, kiedy bili się ramię w ramię po raz pierwszy w historii świata pod komendą największego rzymskiego generała, jaki istniał na przestrzeni wieków, wydawało się, że razem tworzą doskonałą machinę do zabijania.

Belizariusz rozmieścił swój mały oddziałek żołnierzy tak, jak doradził mu Garmat. Pierwszą linię tworzyli trzej ciężko opancerzeni i silnie uzbrojeni katafrakti. Niedoświadczony Menander stał lekko cofnięty, wewnątrz łuku utworzonego przez chroniących oba boki młodzieńca Walentyniana i Anastazjusza. Chociaż Belizariusz nie miał doświadczenia w bitwach na morzu, jednak zdawał sobie sprawę, że kilku piratów może spróbować ataku od strony samego dziobu, wdrapując się po prostu po zakrzywionej burcie okrętu. Punkty największego ryzyka znajdowały się niewiele ponad metr od końca dziobu i tam właśnie Belizariusz umieścił swoich dwóch weteranów. Anastazjusz stał na prawej burcie, a Walentynian osłaniał lewą stronę.

I, jak spodziewał się Belizariusz, tam właśnie piraci przypuścili najbardziej zażarty atak.

Ale z niewielkim sukcesem. Ciężkie tarcze i zbroje katafraktów stanowiły zbyt potężną barierę dla lekkiej broni przeciwnika, tym bardziej, że oręż ten był trzymany przez piratów w jednej ręce, co nie dawało im możliwości skutecznego ataku. Druga dłoń napastnika kurczowo ścisnęła liny relingu, pozwalając jej właścicielowi na utrzymanie równowagi na skraju śliskiego pokładu. Belizariusz nauczył się zatem swej drugiej lekcji dotyczącej walki na morzu: pomimo narzekań Eona i rzeczywistej niezdarności i ociążałości indyjskiego statku, jego wielkość była źródłem ogromnej przewagi w bitwie. Piraci nie mogli po prostu przeskoczyć z pokładu swoich jednostek na pokład wrogiego statku – różnica wysokości była zbyt wielka. Abordaż malawiańskiego statku przez Arabów przypominał wysiłki żołnierzy próbujących sforsować wysokie mury obleganej fortecy.

Walka była absurdalnie jednostronna. Każdy z piratów miał możliwość najwyżej raz machnąć swą bronią w kierunku Rzymian. Jeżeli miał przyjemność spotkać się z Anastazjuszem, ginął natychmiast z czaszką zdruzgotaną maczugą olbrzymiego katafrakta. Jeżeli stanął naprzeciw bardziej subtelnyemu Walentynianowi, jego śmierć była opóźniona o kilka chwil. Walentynian, także nie przyzwyczajony do morskich bitew, szybko odkrył, że najbardziej ekonomicznym sposobem walki z piratami jest atak na ich zupełnie pozbawione obrony ręce, chwytające na ślepo za reling. Walentynian nie odznaczał się tak potężną siłą jak jego przyjaciel Anastazjusz, ale także był dosyć mocny. To jednakże nie miało znaczenia. Jego miecz, tak jak pozostałe sztuki oręża należące do katafrakta, był ostry jak brzytwa. Przed upływem dwóch minut u stóp Walentyniana urosła niewielka górnica uciętych dłoni. Ich poprzedni właściciele wpadli do morza, gdzie wkrótce umarli na skutek szoku, upływu krwi lub zwyczajnie się utopili.

Menander, chociaż pod żadnym względem nie był nowicjuszem w walce, nie miał tak dużego

doświadczenia jak jego dwaj przyjaciele. Nie posiadał także, jeżeli już o tym mowa, tak doskonałych umiejętności bojowych jak pozostali dwaj katafrakci. Ale był trackim wojownikiem, jednym z elitarnego oddziału wybranego przez Belizariusza, i po bitwie nikt nie mógł powiedzieć, że przyniósł wstyd swoim towarzyszom.

Jednakże, chociaż walka nie była równa, okazało się, że to Aksumici stanowili czynnik, który przechylił szalę zwycięstwa. Czterej Rzymianie, gdyby walczyli sami, wkrótce ulegliby przeważającym siłom wroga. Katafrakci używali swej broni szybko i skutecznie, ale piraci pojawiali się na pokładzie znacznie szybciej. Jednak etiopskie włócznie okazały się szybsze od nacierających Arabów.

Katafrakci zabili wielu piratów, ale, w ogólnym rozrachunku, ich wysiłki, aby służyć jako żywa ściana mająca powstrzymać zalew piratów, były daremne i mogły powstrzymać wrogów zaledwie na chwilę. I właśnie ta chwila była potrzebna Eonowi i jego dwóm sarwenom. A Ousanas nie potrzebował nawet tego. Stojąc niewiele ponad metr za katafraktami, Aksumici miotali włócznie w kierunku wroga, niczym rój os wbijając żądła w nacierających. Każdy cios był szybki i skuteczny i prawie zawsze niósł ze sobą śmierć. Rzadko zdarzało się, żeby sarweni i Eon potrzebowali drugiego ciosu, aby pozbawić życia swych przeciwników.

Ousanas nie chybiał nigdy. Rzuty dawazza zawsze i niezmiennie trafiały do celu. Belizariusz, obserwując go, doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie widział człowieka władającego bronią tak nieomylnie. A przynajmniej nie w tej bitwie. Te umiejętności prawie się tutaj marnowały, pomyślał. Dawazz nie wyglądał na niedźwiedziowatego siłacza jak Anastazjusz, ani nie miał tak ukształtowanych mięśni jak Eon. Ale Belizariusz podejrzewał, że Ousanas jest w rzeczywistości silniejszy od każdego z nich. Ostrze jego ogromnej włóczni praktycznie rozrywało na strzępy ludzkie ciała.

Generał zachował siebie i Garmata jako ostatnią rezerwę. Każdy z nich stał dwa metry za Aksumitami, Garmat od strony sterburty, a Belizariusz z lewej. Generał spodziewał się, że w przeciągu kilku chwil od początku bitwy znajdzie się w wirze walki na śmierć i życie.

Tak jak wcześniej, podczas bitwy z Persami, klejnot oddziaływał w sobie właściwy sposób na umysł generała. Zmysły Belizariusza wyostrzyły się do nadnaturalnych granic, a jego ruchy stały się szybkie niczym żywe srebro. Ale, prawie się zaśmiał, starania klejnotu najwyraźniej szły na marne. Ani on, ani Garmat nie musieli nawet podnosić broni, chociaż stary doradca raz wymierzył cios. Garmat ściął pirata ponad ramieniem sarwena. Belizariusz pomyślał sobie, że ten wysiłek jest zbyteczny, a uderzenie wynikało ze zwykłego przyzwyczajenia starego wojownika. I tak samo, najwyraźniej, uważał sarwen. Etiopski żołnierz natychmiast ofuknął Garmata za przeszkadzanie mu w walce i zasugerował, wcale nie najuprzejmiej, żeby stary głupiec trzymał się swojej pozycji i swoich zadań. Po tym zajściu Garmat zadowolił się przydzieloną sobie rolą rezerwowego żołnierza.

Kiedy tylko Belizariusz spostrzegł, że sytuacja na dziobie pozostaje pod kontrolą, generał pozwolił sobie na odwrócenie uwagi w kierunku innych rejonów walk. Raz na jakiś czas rzucał okiem, kontrolując walkę wokół siebie, ale cała jego uwaga skierowana była na śródkręcie i rufę, przykryte skłębioną masą walczących.

Częściowo zainteresowany był wynikiem zmagania na całym okręcie. Jako że Rzymianie i Aksumici opanowali sytuację na dziobie, wynik bitwy zależał tylko i wyłącznie od zwycięstwa wojowników Ye-tai, powstrzymujących piratów w innych rejonach statku.

Ale w większości jego troski dotyczyły przyszłości. Był świadkiem działania malawiańskich piekielnych urządzeń i wyciągnął liczne wnioski ze swoich obserwacji. Teraz, po raz pierwszy, mógł

podziwiać umiejętności Ye-tai i ich sposób walki. I obserwował ich z najwygodniejszego punktu widokowego, jaki tylko mógł sobie wyobrazić: z bliska, stojąc na lekko podwyższonym pokładzie dziobowym i, co najważniejsze, tuż za plecami walczących, poza linią Ye-tai.

Umiejętności Ye-tai nie były najgorsze, uznał po pewnym czasie. Wcale nie najgorsze.

Ich silne strony: Ye-tai nie bali się walki i nacierali agresywnie, co jest marzeniem każdego generała, usiłującego zagrażać swych żołnierzy do walki.

Ich słabe punkty: dokładnie to samo. Ye-tai byli zbyt agresywni. A szczególnie młodzi mężczyźni, stojący w drugiej linii. Ich zapał, chęć podjęcia walki i udowodnienia swego męstwa powodowały, że łamali szyk i wprowadzali zamieszanie do prawidłowo uformowanych szeregów.

Ich silne strony: tworzyli linię walki. Zorganizowane szeregi były czymś niezwykłym wśród barbarzyńskich wojowników.

Ich słabe punkty: linia nie była prawidłowo sformowana. Częściowo wynikało to, oczywiście, z warunków samej bitwy. Walczyli na ciasnym pokładzie statku, oświetlonym jedynie płomieniami szalejącymi na arabskich okręcikach. Częściowo zaburzenia szyku powodowali młodzi wojownicy z drugiej linii, rwący się do walki. Ale, jak podejrzewał generał, na formacje szyku największy wpływ miała mentalność Ye-tai. Blask cywilizacji Malawian. Blask, który jedynie cienką emalią pokrywał wojowników, którzy w głębi serc ciągle pozostawali nieokrzesanymi barbarzyńcami.

Ich silne strony: doskonale władali mieczem, chociaż Belizariusz natychmiast dostrzegł, że ich zamaszty, opierający się na cięciach styl był raczej właściwy dla kawalerii. Ye-tai walczyli jak jeźdźni, a nie jak piechota.

Ich słabe punkty: bardzo słabo posługiwali się tarczą. I tutaj także, generał zdawał sobie z tego sprawę, górę nad umiejętnościami brała tradycja. Barbarzyńcy, po pierwsze i najważniejsze, byli jeźdźcami, i tak walczyli.

Belizariusz nie posiadał się z zachwytu.

Nie miał do tej pory czasu, aby zastanowić się nad wszystkimi zastosowaniami w walce nowej i dziwnej malawiańskiej broni. Ale jedna sprawa była dla generała jak najbardziej oczywista. Tak jak powiedział swoim katafraktom, piechota będzie miała swój wielki i głośny powrót do historii wojen. Oczywiście znajdzie się także zastosowanie dla kawalerii, która nawet będzie grała ważną rolę, ale rdzeniem armii przyszłości stanie się piechota.

A nie było tak doskonałej piechoty na całym świecie jak piechota rzymska. I nigdy nie będzie. Nigdy. I nigdzie. W nowożytności jedynie Grecy stanowili dla Rzymian godnego przeciwnika w walce pieszej. A werdykt został wydany przez historię w miejscach pamiętnych bitew – Kynoskefalaj, Magnezja, Padna, Cheroneja. W antycznym świecie tylko Asyryjczycy mogliby się równać z rzymską piechotą w bitwie. Ale asyryjski naród zniknął z powierzchni ziemi już dawno temu i nikt już się nie dowie, jak wiele wysiłku kosztowałaby ich walka z rzymskimi legionami. Belizariusz uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie minione czasy... On i Sitas spędzili kiedyś miłe popołudnie, zastanawiając się nad tym zagadnieniem. Teoretyczna dyskusja zamieniła się w pijacką, nieumiarkowaną kłótnię. Sitas, nadaremnie próbując przekonać generała, krzyczał, że armia asyryjska zostałaby zmieciona z powierzchni ziemi w przeciągu piętnastu minut. Belizariusz, spokojny i jak zwykle zimny, w pełni profesjonalnie przekonywał go, że mogliby nawet wytrzymać godzinę w bezpośrednim starciu.

Potrząsnął głową, odpędzając wspomnienia. Uśmiech zniknął z jego ust.

Nie było czasu, aby dłużej przyglądać się beczynnemu walce Ye-tai z piratami. Malawiańscy wojownicy w przyszłości mieli stać się wrogami Imperium Rzymskiego, ale teraz byli jedynymi sprzymierzeńcami garstki Rzymian znajdujących się na pokładzie indyjskiego statku. I ci właśnie

sprzymierzeńcy Rzymian dostawali cięgi od arabskich piratów.

Pokonanie Ye-tai nie było łatwe ani szybkie, ale ich klęska jawiła się tak pewnie, jak bliski już wschód słońca. Nawet teraz, patrząc na walkę, Belizariusz widział, że na rufie Ye-tai zostali pokonani. Wyjąc z radości, Arabowie popędzili naprzód w kierunku śródkręcia, rozpędzając na boki usiłujące sformować ponownie szyk niedobitki Ye-tai.

Belizariusz szybko ocenił sytuację. Napór piratów na część dziobową statku osłabł. Najwyraźniej zniechęceni przez daremny trud i gęsto ścielące się trupy, pozostali przy życiu Arabowie powrócili na swój stateczek i odczepili od burty indyjskiego okrętu abordażowe haki. Połowa załogi pirackiej jednostki przeżyła atak. Piraci zaczęli wiosłować, aby przybliżyć swój statek do rufy hinduskiego okrętu w nadziei znalezienia łatwiejszego sposobu dostania się na pokład jednostki.

Nagle piracka galera zaczęła niekontrolowanie kołysać się na falach. Piraci wrzasnęli z wściekłości i zaczęli bezradnie miotać się po pokładzie statku, bezskutecznie próbując odzyskać sterowność.

Ousanas dodał do swojej listy kolejnego martwego sternika.

Katafrakci wydali z siebie głośnie okrzyki radości. Sarweni, posiadający bardziej praktyczne umysły, zabili kolejną parę atakujących piratów szybkimi i oszczędnymi ruchami oszczepów. Tak samo uczynił Eon. Jeżeli chodzi o Ousanasa, dawazz czekał, aż piraci wybrali nowego sternika. Chwilę później Arabowie byli zmuszeni powtórzyć całą procedurę od początku. Szybko stało się jasne, że nowy sternik także nie pociągnie długo.

Belizariusz wrzasnął. Nie wypowiedział żadnych słów, jedynie krzyknął głośno, aby zwrócić na siebie uwagę swoich nielicznych podkomendnych. Nie było to łatwe – zwycięskie krzyki Arabów i desperackie wrzaski Ye-tai tworzyły ogłuszającą kurtynę dźwięków, wypełniając statek od rufy aż po dziób.

Kiedy już zwrócił na siebie ich uwagę, Belizariusz po prostu kiwnął głową w kierunku rufy. Nie potrzebował nic mówić. Na zatłoczonych i ciasnych pokładach indyjskiego statku nie było miejsca na subtelną taktykę. Ani nie dysponował czasem, aby rozpocząć kontrnatarcie ostrzałem z łuków czy miotaniem oszczepów. Ye-tai balansowali na granicy klęski. Barbarzyńcy zdołali jeszcze utworzyć chwiejną linię obrony dookoła głównego masztu, na środku głównego pokładu. Ale powoli zalewała ich fala piratów.

Nie było wystarczająco dużo miejsca ani czasu na jakąkolwiek taktykę. Mogli tylko uderzyć z zaskoczenia. Uderzyć i wybić piratów w pień.

Belizariusz poprowadził natarcie. W przeciągu sekundy czy dwóch podążyli za nim pozostali Rzymianie i Etiopczycy. Dziewięciu mężczyzn sformowało pojedynczą linię rozciągniętą na całą szerokość statku. Jednakże odległości między nimi były zbyt małe, ale zanim Belizariusz wydał rozkaz, aby przegrupować szyki, Ousanas przejął inicjatywę. Dawazz schwycił Eona za tunikę i odepchnął go do tyłu. Chwilę później chrapliwym okrzykiem nakazał Garmatowi również się wycofać.

Eon protestował z goryczą. Ousanas walnął go w czubek głowy. W tym ciosie nie można było dopatrzeć się zwyczajowej nutki humoru. Dawazz uderzył chłopca z powagą i skrytykował jego protesty.

Chociaż Belizariusz dzięki wsparciu ze strony klejnotu mógł posługiwać się językiem Aksumitów, nie był w stanie zrozumieć ani słowa z przemowy dawazza. Ale nie potrzebował go rozumieć. Sam generał, w wielu bitwach, w których brał udział, wypowiadał podobne słowa do zapalczywych młodych żołnierzy. Chociaż nigdy tak gwałtownie i z takim brakiem poszanowania.

Pieprzony, bezużyteczny gówniarz. Dorośnij wreszcie. Nie ma miejsca dla małych dzieci

w pierwszej linii. Spróbuj się na coś przydać. Raczkujące dziecko. Rozpychaj się ze swoją włócznią gdzie indziej. Idiota. Idź stąd i nie wchodź w drogę weteranom. To najlepsi katafrakci i sarweni pod słońcem. Nie pomoże im potykanie się o uczące się gaworzyć książątka. Mogą przez to zginąć. Szlachetny debil. Królewskie dzieci są z natury bardzo głupie. A już szczególnie książęta płci męskiej. Głupota jest do przyjęcia. Ale bezmyślność zasługuje na potępienie. Pieprzony idiota.

I inne jeszcze słowa w tym stylu.

Błyskawicznie mała armia rzymsko-aksumicka przebiła się przez kłębiące się na śródokręciu splecione szeregi wojowników Ye-tai. Dyscyplina w jednostkach indyjskich zupełnie się już posypała. Po prawdzie, nacierający piraci także nie wykazywali się zdyscyplinowaniem w ataku. Ale nadchodzący Arabowie zaślepieni byli blaskiem przyszłego zwycięstwa, podczas gdy serca Ye-tai wypełniał strach i wizje bliskiej śmierci z rąk napastników.

Belizariusz miał chwilę czasu, aby szybko obrzucić wzrokiem Venandakatrę, stojącego wraz z niewielką gromadką swoich tulących się do głównego masztu kapłanów i kszatryjasów. Malawianie, a przynajmniej kszatryjasi, zachowali jeszcze resztki odwagi i próbowali chociaż utrzymać coś w rodzaju szyku wokół swego dowódcy. Ale ten pozorny porządek był bardzo chwiejny i nie dawał poczucia bezpieczeństwa, podobnie jak całkowity chaos panujący wśród Ye-tai.

Chwilę później pierwsza linia Rzymian i Aksumitów przebiła się przez niewielką lukę pomiędzy szeregami uciekających Ye-tai a gromadą nacierających Arabów. Znajdowali się teraz po rufowej stronie pokładu, mając za plecami główny maszt i kabiny zbudowane u jego podstawy. Belizariusz odczuł ulgę. Teraz nie musiał się obawiać ataku zza pleców, od strony kajut. Aby się tam dostać, Arabowie musieliby przebyć ponad dziesięć metrów, wyrabując sobie każdy centymetr i płacąc za niego krwią.

Widząc nagłe pojawienie się gromadki zdyscyplinowanych i ustawionych w szyku żołnierzy, piraci zawahali się na moment i atak osłabł. Przerwa trwała wystarczająco długo, aby Ousanas, Eon i Garmat mogli przedrzeć się przez walczących Ye-tai i zająć pozycje za Rzymianami i sarwenami.

Spośród stłoczonych na rufie Arabów wyłonił się jeden człowiek i wysunął się na czoło atakujących. Niepodobnie do reszty piratów, miał on na sobie zbroję i hełm. Jego miecz był długi i lekko zakrzywiony, bardzo starannie i delikatnie wykonany.

Człowiek najwyraźniej wszedł już w wiek średni, ale w jego ruchach i budowie ciała nie można było dostrzec żadnych oznak starości, poza kilkoma srebrnymi nitkami w jego brodzie. Był wysoki, dobrze zbudowany i otaczała go aura poważania. Wydawał rozkazy bardzo donośnym głosem. Jego autorytet ostudził szaleństwo piratów. Stentorowy głos rozpoczął wydawać komendy, nakazujące im przegrupować się, zewrzeć szyki i zaatakować ponownie.

Rozpoczął, ale nie dokończył. Ousanas zużył już wszystkie oszczepy. Zatem dawazz był zmuszony zamachnąć się swoją ogromną włócznią.

Po raz pierwszy w całym swoim życiu Belizariusz ujrzał, jak człowiek zostaje dosłownie pozbawiony głowy za pomocą włóczni. Przez chwilę z otwartymi ustami gapił się na rozgrywającą się na pokładzie scenę. Potworne ostrze włóczni dawazza po prostu odcięło głowę pirata i zagłębiło się w klatce piersiowej Araba stojącego za swym dowódcą.

Piraci zamarli, widząc śmierć przywódcy. Sparaliżował ich strach. Belizariusz wrzasnął głośno. Na jego rozkaz katafrakci i sarweni rzucili się do ataku.

Teraz walka zamieniła się w prawdziwą jatkę, najzwyczajszą rzeź. Rzymianie i Aksumici wbili się w szeregi piratów jak maszyna do zabijania. Lekko uzbrojeni Arabowie stojący w pierwszej linii upadli jak owieczki zarzynane na mięso. Ich czaszki pękały z chrupnięciem, klatki piersiowe otwierały się pod ciosami miecza, odcięte kończyny upadały na pokład. Padając, uniemożliwiali

piratom z dalszych szeregów atak i obronę, do której tamci potrzebowali miejsca. Druga linia zatem także nie mogła się ostać pod ciosami napastników.

Oczywiście straty nie były tylko jednostronne. Menander krzyknął i upadł na pokład, przyciskając dłoń do boku. Pchnięcie miecza znalazło swój cel. Jeden z sarwenów także krzyknął z bólu. Twarz zalała mu płynąca z rany na głowie krew. Uderzenie nie stanowiło zagrożenia dla życia wojownika, gdyż Etiopczyk na czas zbił cios miecza za pomocą swojej tarczy. Ale, podobnie jak wszystkie rany głowy, ta także bardzo mocno krwawiła.

Sarwen z determinacją usiłował powrócić do szyku w pierwszej linii, ale Ousanas odepchnął go na tyły i delikatnie wyjął mu z dłoni włócznię. Ranny prawie nie nadawał się do dalszej walki, gdyż oślepiła go zalewająca mu oczy krew. Garmat uspokoił go dotknięciem dłoni. Stary doradca stanął na straży rannego sarwena i Menandra, podczas gdy pole walki przesuwało się coraz bardziej w kierunku rufy.

Ousanas zajął miejsce w pierwszym szeregu. Chwilę później podobnie uczynił Eon. Teraz brakowało dawazza, który powstrzymałby młodego księcia i temperował jego pychę. Eon zalała dziurę powstałą po odejściu Menandra i zaczął z zapalem wymachiwać włócznią u boku dwóch weteranów, Walentyniana i Anastazjusza.

Księżę mógł wydawać się młodzieńcem o zbyt zapalczywym charakterze, a nawet głupim w swym nieostrożnym entuzjazmie. Ale nie wysuwał się przed żadnego z katafraktów stojących po jego obu stronach ani nie przeszkadzał w czynionej przez nich rzezi. I kiedy Anastazjusz został zmuszony do osłaniania księcia, gdyż ten zbyt zagalopował się w walce i, jako nowicjusz, złamał szyk, wielki tracki katafrakt nawet nie rozżłościł się na chłopca. Musiał postępować podobnie wiele razy w przypadku wielu innych młodych żołnierzy. Młodych wojowników, którzy, zbyt często, zamierali sparaliżowani nagłym strachem, co z pewnością nie dotyczyło księcia. Eon zabił Araba stojącego tuż przed nim, a Anastazjusz zgruchotał czaszkę kolejnego, który właśnie zamierzał pchnąć mieczem w nieosłonięty bok księcia.

Wszystko było kwestią wprawy. Szkolenie młodych wojowników należało do zakresu obowiązków katafrakta, a nauka walki nie mogła być przeprowadzona w żaden inny sposób. Tak więc Anastazjusz przypomniał o tym dawazzowi bardzo poważnie, w cichej godzinie poranka po bitwie, kiedy Ousanas zaczął besztuć chłopca za nieodpowiedzialne zachowanie. A Walentynian zdołał zupełnie uciszyć dawazza, co nie było sztuką łatwą, wypowiadając kilka ostrych, krótkich i cierpkich zdań. Zdań raczej przykrych i złośliwych, gwoli ścisłości.

Cyniczny weteran, jakim był Walentynian, nagle zapalał do księcia Eona dziwną sympatią, uczuciem niecodziennym dla tego katafrakta. Sympatia ta, bardzo głęboka, narodziła się z odwiecznej bitewnej tradycji wojowników.

Nie wszystkie ofiary bitew to nowicjusze. Weterani także spotykają swoją śmierć w walce, zabici w chwili nieuwagi czy na skutek niefortunnego zbiegu okoliczności. W noc walki z piratami, podczas tego piekła oświetlonego tylko płomieniami zniszczenia, pękającego od wrzasków bólu i wściekłości, od jęków strachu i błagań o litość, Walentynian wreszcie spotkał swoje przeznaczenie. Przeznaczenie zrodzone z najmniej ważnej rzeczy we wszechświecie.

Weteran wielu bitew, mistrz i zwycięzca na wielu zapyłonych polach walk, znalazł swą śmierć na drewnianych pokładach indyjskiego statku. Nie przykładał on wagi do natury zbryzganych krwią desek pokładu, tak niepodobnego do gleby pól bitewnych zwilżonej posoką. I dlatego, wyprowadziwszy zamaszysty cios w kierunku nadbiegającego pirata, tak jak to czynił wielokrotnie w przeszłości, poślizgnął się na mokrych deskach. Walentynian upadł na plecy, wypuszczając z rąk tarczę i miecz. Jego ciało leżało bezbronnie. Pirat natychmiast wykorzystał tę niespodziewaną okazję,

wyjąc radośnie. Aż do dnia śmierci Walentynian nie będzie mógł zapomnieć widoku miecza zbliżającego się do jego brzucha w nadziei zadania ostatecznego ciosu.

Lecz nagle miecz zatrzymał się, nie dalej niż pięć centymetrów od wnętrzości katafrakta i zniknął z pola widzenia. Walentynian potrzebował zaledwie jednej chwili, aby zorientować się, że to cudowne zniknięcie oręża zawdzięcza włóczni Eona, która przebiła klatkę piersiową pirata. Stary wyjadacz Walentynian leżał sparaliżowany przez sekundę czy dwie. Sparaliżowany nie ze strachu, ale ze zdumienia.

Pirat nie dawał za wygraną do końca. Jego czarne, okrutne oczy wwierały się spojrzeniem w Walentyniana. A wściekłość w tym spojrzeniu nie osłabła aż do śmierci Araba. Miecz pirata, nawet wtedy, gdy jego właściciel był już martwy, zbliżał się nieubłaganie do piersi katafrakta. Ale osuwające się ciało Araba zatrzymało się nagle, zawieszona na ostrzu włóczni, trzymanej w drżących dłoniach chłopca. Głupiego chłopca, to możliwe, ale silnego i nie znającego strachu, to pewne.

Tak więc, w cichej godzinie poranka po bitwie, kiedy mentor chłopca rozpoczął tyradę potępiającą głupotę Eona, nazywając go idiotą, Walentynian wtrącił do rozmowy swoje trzy grosze, stając w obronie młodzieńca. I wszyscy, którzy znali śmiertelną naturę tego człowieka-drapieżnika, dostrzegli, już po tym zajściu, że niewielka grupka ludzi zyskała nowego członka.

Towarzysze broni Walentyniana, bo tak nazwali tę grupkę ludzie należący do niej, ale także obcy. Ten oddziałek, złożony z bardzo, bardzo niewielu, miał prawo korzystać z kielicha katafrakta, jego broni i przyjaźni jego kobiet.

Eon, książe Aksum, był jedynym członkiem tej grupki posiadającym królewski rodowód. Ale chłopiec nie poczuł się urażony faktem, że przebywa wśród prostych ludzi. Grupka nie miała królewskiego charakteru, ani nawet szlacheckiego. Ale pośród wszystkich małych, ekskluzywnych i zamkniętych zgromadzeń na świecie, wejście do tej właśnie grupki stanowiło największy zaszczyt i było najtrudniejsze.

Ale to wszystko miało nadejść dopiero w przyszłości. Teraz Arabowie byli spychani w kierunku rufy indyjskiego okrętu. Mieli coraz mniej miejsca, żeby walczyć. W rosnącym ścisunku malały ich umiejętności bojowe. Nacisk tłumu bardzo przeszkadzał w walce tym, którzy jeszcze mieli na nią siły i ochotę.

Ale takich pozostało bardzo niewielu. Bezlitosny atak Bizantyjczyków i Aksumitów zdemoralizował przeważającą większość piratów. Arabowie byli pewni wygranej, więc teraz podwójnie stracili ochotę do walki.

Większość myślała teraz tylko i wyłącznie o ucieczce. Ci, którzy mogli, złazili po burtach statku na pokład pirackiego stateczku, ciągle przymocowanego abordażowymi hakami do rufy indyjskiej jednostki. Ale wkrótce galera była tak przeciążona uciekinierami, że jej kapitan nakazał zwolnić haki i odbić od burty atakowanego statku.

Wielu piratów po prostu odpadło od burt okrętu i zanurzyło się w morskich odmętach. Niektórzy dopłynęli do uciekającej galery i zostali wciągnięci na jej pokład. Większość jednak znalazła schronienie na drugiej ocalałej pirackiej jednostce, która właśnie przyплыnęła od strony dziobu, gdzie dostała cięgi od tych samych okropnych Rzymian i Aksumitów szalejących teraz na rufie. Pozostali piraci po prostu utonęli.

W końcu tylko tuzin czy może odrobinę więcej Arabów pozostało na pokładzie indyjskiego statku. Zbili się oni w gromadkę na samym końcu pokładu rufowego i wysłali swego człowieka, aby ustalił z Belizariuszem warunki poddania. Generał był bardzo z tego faktu zadowolony. Miał już dość przelewu krwi.

Ale negocjacje prawie natychmiast zostały przerwane. Ye-tai odzyskali wreszcie odwagę

i ruszyli gromadą w kierunku piratów zgromadzonych na rufie, wrzeszcząc głośno swe wojenne zawołania. Słyszając, jak nadchodzą, Rzymianie i Aksumici na rozkaz Belizariusza odsunęli się na bok i pozwolili malawiańskim wojownikom na zwycięskie zakończenie bitwy.

Barbarzyńcy nie zamierzali nawet przez chwilę negocjować z piratami ani okazywać im łaski. I tak ocalali Arabowie zostali wycięci w pień.

Ale rzeź pod żadnym względem nie była jednostronna. Jakkolwiek by się nie zachowywali, piraci nie byli tchórzami. Zanim wszyscy zginęli, zabrali ze sobą do piekła paru Ye-tai.

Chociaż twarz Belizariusza pozostawała bez wyrazu jak kamienna maska, był on bardzo zadowolony z tego faktu. Jego katafrakti i sarweni także z przyjemnością patrzyli na rzeź Ye-tai. Eon i Garmat, co do tego nie było żadnych wątpliwości, cieszyli się otwarcie, wykrzykując okrutne słowa.

Co do nastawienia Ousanasa, trudno było orzec, co myśli dawazz. Mężczyzna obserwował zakończenie bitwy z boku, nie ustając w potoczystym komentowaniu obserwowanych scen, wahając się pomiędzy filozoficznymi rozważaniami nad podłą dolą pirackiego żywota a radosnymi uwagami na temat niekompetencji i niezdarności barbarzyńskich wojowników Ye-tai.

Mówił w greckim dialekcie *pidgin*, a nie w *hindi* czy w języku samych barbarzyńców. Ale przynajmniej jeden z Ye-tai powziął podejrzenia, sądząc przynajmniej po tym, jak gwałtownie skierował swój oręż w stronę dawazza, niezaprzeczalnie grożąc mu mieczem.

Jednakże nikt nigdy nie pozna jego prawdziwych zamiarów. Ousanas złapał wojownika Ye-tai za nadgarstek i za gardło, wytrącił mu miecz z dłoni, zmiażdżył tchawicę i wypchnął bezwładne ciało za burtę. Obserwujący tę scenę barbarzyńcy postanowili ignorować przyszłe komentarze Ousanasa. Tak było bezpieczniej, tym bardziej, że dawazz zaczął się teraz rozwodzić nad bezużytecznością barbarzyńskich wojowników w ogólnym zarysie, ze szczególnym uwzględnieniem Ye-tai jako beznadziejnych żołnierzy.

I mówił bardzo wyraźnie, i bardzo głośno, i bardzo poprawnym językiem, tak że słyszały go i rozumiały wszystkie stworzenia w pobliżu, nie wyłączając ryb z głębin Oceanu Indyjskiego.

Rozdział 17

W ciągu dni, które nastąpiły po bitwie z piratami, podczas gdy indyjski okręt posuwał się wolno przez fale Oceanu Indyjskiego, wiele się zmieniło.

Nie zmieniło się morze ani wiatr. Nie, południowo-wschodni monsun wiał ciągle z niesłabnącą siłą, zaciekle hucząc w olinowaniu. Garmat zapewniał Rzymian, że wiatr ten jest zupełnie niepodobny do miłego i balsamicznego monsunu, który za kilka miesięcy będzie pchał ich statek na zachód. Morze każdego dnia wydawało się takie samo, podobnie jak ledwie widoczna linia brzegowa lądu na północy. Było to wybrzeże Persji, gdyż właśnie przekroczyli Cieśninę Hormuza, pozostawiając za sobą Arabię wraz z jej niebezpieczeństwami.

I tak jak wcześniej, Eon codziennie narzekał pod nosem na mierny poziom żeglarstwa w Indiach i mizериę rzemieślniczą skutników. A jego doradca regularnie komentował te narzekania, dla kontrastu podając niezrównane umiejętności Etiopczyków i Arabów, i oczywiście Greków, którzy dawno już ujarzmili ocean i, pozostawiając za sobą przyjazne brzegi, podbili otwarte wody. Rozmowy te okraszał niechcianymi uwagami Ousanas, dziwując się nad nietypowym połączeniem morskich umiejętności z umiejętnościami przechwalania się.

Ale wszystko inne się zmieniło.

Pierwsza zmiana dotyczyła nastawienia Venandaktry do swoich gości. Indyjski szlachetka ani na cal nie zboczył ze ścieżki uprzejmości wobec Rzymian i Etiopczyków, ale zachował wobec nich zimną arogancję węża. Nie ignorował przybyszy, tak jak to czynił przed bitwą. Och, nie, w zupełności nie. Codziennie przychodził z wizytą, ciągnąc ze sobą gromadę kapłanów i spędzał na dziobie co najmniej godzinę, dyskutując z Belizariuszem, Eonem i Garmatem. Innych ignorował. Byli dla niego tylko zwykłymi żołnierzami albo, w przypadku Ousanasa, najbardziej groteskowymi niewolnikami w historii świata.

Również codziennie zapraszał Belizariusza i Eona, i z niechęcią także Garmata, aby jedli z nim obiad w jego kabinie. Zapraszani niezmiennie przyjmowali propozycję. Belizariusz czynił to z niecierpliwością, Garmat z poczuciem obowiązku, a książę z ponurą cierpliwością wynikającą z narzuconej mu dyscypliny, wprowadzanej siłą i targaniem za uszy.

Niecierpliwość i chęć generała, aby jadać z Venandakatrą, nie wynikała oczywiście z przyjemności odczuwanej w towarzystwie tego indyjskiego władcy. Osobiście, z bliska, Venandakatra był nawet jeszcze bardziej wstrętny, niż się wydawało z dystansu. Nie pociągały Belizariusza także same posiłki, chociaż w istocie przygotowywał je doskonały kucharz. Belizariusz nie był smakoszem i zawsze uważał, że jakość posiłku jest wprost proporcjonalna do jakości towarzystwa zasiadającego przy stole. Dania serwowane w kabinie Venandaktry były wspaniałe, ale okraszano je duchowym sosem tak nędznym, że mógł być plwocinami samego szatana.

Radość generała na myśl o tych posiłkach nie brała się także z błędnego odgadywania motywów Venandaktry. Belizariusz doskonale zdawał sobie sprawę, że nagła gościnność Malawian nie wynika z wdzięczności za pomoc w bitwie z piratami, która zaowocowała przechyleniem szali zwycięstwa na stronę Hindusów.

Nie, prawda była zupełnie inna, i Belizariusz wiedział o tym tak dobrze, jak dobrze znał imiona swoich podkomendnych. Nowe oblicze Venandaktry pojawiło się na skutek rozwoju wydarzeń podczas bitwy, to prawda. Ale nowy Venandakatra powstał nie z wdzięczności, ale ze strachu.

Venandakatra nigdy nie widział Rzymian ani Aksumitów w bezpośrednim starciu. Teraz się przekonał, jacy są w bitwie, i wiedział, że w przyszłości będą jego wrogami. Widział czaszki zdruzgotane pałką i klatki piersiowe rozplątane włócznią, płynącą krew i odrąbane członki, i wiedział z tą mrozącą szpik w kościach pewnością, że jego przyszli wrogowie są gorsi od wszystkiego, co może go jeszcze spotkać. To, co w krętych korytarzach malawiańskiego pałacu i pachnących komnatach imperatora Malawy wydawało się pewną przyszłością, teraz nie było już tak oczywiste. Rzym miał być podbity i zniewolony. Ale to zadanie nie będzie łatwe i zajmie znacznie więcej czasu niż zakładano.

I dlatego, Belizariusz był tego pewien, Venandakatra odwiedzał ich codziennie i zapraszał na obiad. Podobnie czyni kobra, podnosząc łeb, rozkładając kaptur, wysuwając rozdwojony język i kołysząc się w rytm swego wewnętrznego, sinusoidalnego ja. Próbuje wprowadzić swą ofiarę w hipnotyczny trans.

I tak, radośnie, niczego nie podejrzewając, mangusta wkracza w pułapkę.

Umysł Belizariusza był pokręcony jak stary korzeń. A teraz, w końcu, pośród splotów i sęków misternego umysłu generała, powstawała i dojrzewała sprytna intryga.

Plan kielkujący w umyśle generała był tak samo misterny jak każda strategia bitewna opracowywana zawsze przez Belizariusza. A generał był człowiekiem ceniącym sobie dokładność ponad wszystko, tak jak inni cenią sobie złoto albo piękno swych konkubin. Jednakże spryt sam w sobie nie budził w sercu generała radości, a tylko satysfakcję. Nie, radość wypływała skądinąd. Radość, a raczej uczucie to należałoby nazwać brutalnym i bezlitosnym zadowoleniem, brała się

z faktu, że cała intryga wykiełkowała nasamprzód w sercu człowieka, w którego była wymierzona. Venandakatrę nazywano Pierwszym Nikczemnikiem i Belizariusz zamierzał go pokonać jego własną nikczemnością.

Tak więc każdego dnia Belizariusz witał Venandakatrę z respektem i uprzejmością na oświetlonym słońcem dziobie statku. Każdego wieczora, w kabinie, w delikatnym blasku latarni, Belizariusz odpowiadał na fałszywą gościnność szlachetki dobrymi, wymuszonymi manierami; na obleśne żarty władcy złośliwym humorem; na opowieści o malawiańskich okrucieństwach wzmiankami o swych ohydnych czynach.

Stary, przebiegły doradca Garmat w innych okolicznościach zachowałby kamienną twarz, lekko tylko skrzywioną przez dyplomatyczny, cichy niesmak. Porywczy i młody księżę o dobrym sercu zareagowałby pogardliwym brakiem poszanowania. Ale warunki zmieniły się znacznie od czasu bitwy. I ta zmiana nie wynikała z przebiegłości i dwulicowości.

To prawda, przed bitwą Aksumici i Rzymianie pozostawali w doskonałych stosunkach.

Kaleb wyjaśnił Eonowi i Garmatowi, podczas prywatnej audiencji po ich powrocie do Aksum w towarzystwie Belizariusza, że dążenie Aksumitów do współpracy z Bizancjum ma znaczenie priorytetowe. Z tej właśnie przyczyny przychylił się do prośby doradcy i Eona, aby mogli towarzyszyć Belizariuszowi w wyprawie do Indii, chociaż ta wycieczka mogła się tragicznie skończyć dla jego syna.

Belizariusz, chociaż nie dostał tak precyzyjnych i jasnych rozkazów od swego władcy, miał swoje własne powody, aby szukać porozumienia z Aksumitami. Już teraz, chociaż tylko w dużym uproszczeniu, szkicował w głowie plan wojny Rzymu z Imperium Malawy. Wiedział, że Aksum odegra w tym konflikcie decydującą rolę.

Jego katafrakci i sarweni Eona, jako doświadczeni żołnierze, szybko wyczuli nastawienie swoich dowódców i zgodnie z ich chęciami wypracowali swój własny model dopasowania. Menander, ze swojej strony, pełen bezmyślnej pewności siebie, tak właściwej dla jego młodego wieku, mógłby dać upust pewnym uprzedzeniom i animozjom, ale z dwoma weteranami pilnującymi go jak jastrzębie nie miał najmniejszych szans na zaognienie stosunków pomiędzy dwoma narodami.

Tak więc, podczas wielu miesięcy poprzedzających bitwę morską z piratami, Rzymianie i Aksumici zdołali utrzymać dobre stosunki, scementowane przygodami w podróży wiodącej z Bizancjum do Syrii, z wizytą w Daras, dalej do Egiptu, a potem do Adulis, przez dzikie krainy do samego Aksum i podczas pobytu w tym mieście. Potem udali się z powrotem do Adulis i zaokrętowali na statek płynący do Indii, wiozący wysłanników malawiańskich z powrotem do domu.

Zostali towarzyszami i przyjaciółmi. Ale ciągle tkwiła pomiędzy nimi odrobina obcości. Etiopczycy mówili dobrze, chociaż z silnym akcentem, po grecku, a Rzymianie powoli i z marnym na razie skutkiem uczyli się języka Aksumitów. Należy podkreślić, że nigdy nie padły pomiędzy nimi słowa mogące zostać uznanymi za niegrzeczne i obraźliwe. Oczywiście za wyjątkiem fraz wypowiedzianych przez Ousanasa. Ale jako że dawaz obrażał wszystkich po równo, włączając w to plemiona i narody, o których nikt nigdy nie słyszał, jego napastliwy sposób bycia szybko został zaakceptowany, tak jak ze spokojem znosi się deszcz, wiatr i uciążliwe insekty. Niemniej jednak, pomimo tych miesięcy wspólnej podróży i dobrej woli Rzymian i Aksumitów, niewiele było pomiędzy nimi otwartości i pełnego zaufania. A szczerości i intymności nie było wcale.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Od czasu bitwy cała formalna poprawność i sztywność etykiety zniknęła. Zniknęła, tak jakby nigdy nie istniała, a szczególnie pomiędzy zwykłymi żołnierzami. Na jej miejsce pojawiły się kpiny i szyderstwa, śmiechy i wygłupy, jęki i narzekania, czyli, w skrócie,

wszystkie te zachowania, za pomocą których weterani okazują sobie sympatię i oddanie.

Sarweni nie byli już więcej bezimiennymi żołnierzami. Ten, który podczas bitwy został naznaczony kolejną blizną na czarnej czaszce, miał na imię Ezana. Drugi nazywał się Wahsi. Rzymianie poznali teraz pradawny aksumicki obyczaj. Prawdziwe imiona sarwenów były tajemnicą dla każdego z wyjątkiem członków sarawitu, gdyż wojownicy obawiali się czarnej magii przeciwników, którzy wykorzystują prawdziwe imię do rzucania uroków. Kiedy młody chłopiec zostawał przyjęty w szeregi sarwenów, dostawał imię, pod którym był później znany tylko wśród swych towarzyszy broni.

Krótko po bitwie z piratami, podczas małej, kameralnej ceremonii, kiedy ich dowódcy jedli obiad z Venandakatrą, dwaj sarweni oficjalnie przyjęli trzech katafraktów w szeregi sarawitu Dakuen i przedstawili się im prawdziwymi imionami.

Rzymscy żołnierze pomyśleli sobie, że ten zwyczaj jest naprawdę dziwaczny, szczególnie pod względem samej formy. Ale nie śmiali się z nowych przyjaciół, gdyż w pełni akceptowali generalne założenia i podstawy ceremonii. Walentynian i Anastazjusz sami posiadali różne osobiste amulety i ochronne zaklęcia, które chroniły ich przed złymi czarami. A Menander, nawet podczas długich ataków gorączki i majaczeń wywołanych raną od pirackiego miecza, nigdy nie rozluźnił nawet uścisku dłoni, w której zamykał małą relikwię – podarek otrzymany w dniu, kiedy wyruszył, dumnie i odważnie, aby odpowiedzieć na wezwanie swego pana, Belizariusza. Wioskowy ksiądz, który wręczył mu tę małą ikonę, zapewnił młodego katafrakta, że będzie go ona chroniła przed złem i szatańskimi mocami.

I czyż nie tak właśnie czyniła? Przecież młodzieniec wyzdrowiał, prawda? Wylizał się z rany, która, jak zapewniali doświadczeni rzymscy i aksumicki weterani wojenni, prawie zawsze powodowała śmierć w boleściach na drodze zakażenia krwi. Ikona działała cuda!

Ale czy ikona działała cuda, czy też nie, z pewnością młody Trak w pewnej części swe wyzdrowienie zawdzięczał staraniom Etiopczyków. Możliwe że udało im się wyleczyć jego ranę za pomocą tajemniczych i dziwnych mikstur, jakie mieli ze sobą. Ale na pewno pomogło mu ich uspokajające towarzystwo, gdyż siedzieli przy nim całe wypełnione bólem dni i noce, a szczególnie lżej ranny Ezana.

Po niedługim czasie Menander nauczył się doskonale języka Aksumitów i mówił nim płynnie, znacznie lepiej od reszty Rzymian. Co więcej, mowy Menandra nie szpecił ten okropny akcent, tak dający się we znaki pozostałym uczniom. Oczywiście z wyjątkiem Belizariusza. Jego *ge'ez* szybko przestał być odróżnialny od języka, jakim posługiwali się rodowici Aksumici. Ale przecież Belizariusz był czarownikiem.

Menander po powrocie z Indii stał się najbardziej ulubionym rzymskim oficerem pośród oddziałów wojsk aksumickich, z którymi tak często wchodził w towarzyskie i strategiczne układy. A za wiele lat, w czasie bardzo odległym od choroby wywołanej zakażoną raną, miał Menander w końcu powrócić do swej ukochanej Tracji. Nie jako nieznany młodzieniec, którego imię znają tylko mieszkańcy rodzinnej wioski, ale jako sławny wojownik o włosach przyprószonych siwizną. Będzie niośł brzemie swej sławy z godnością i skromnością podczas mijających lat powojennego odpoczynku, a dumę zachowa dla swych licznych ciemnoskórych dzieci i swej ukochanej etiopskiej żony.

Ezana także przetrwa wojnę. Od czasu do czasu sarwen będzie przyjeżdżał do Tracji, aby odwiedzić swego towarzysza broni Menandra i swoją przyrodną siostrę, która zostanie żoną katafrakta. Ezana będzie przyjeżdżał sam, bez rozgłosu, chociaż w swoim kraju stanie się bardzo sławny, a *negusa nagast* zaoferuje mu ochronę i przepyszny orszak. Ezana będzie przyjeżdżał sam,

w towarzystwie swoich bliźni i smutnych wspomnień.

W tym czasie, który nadejdzie, Ezana będzie bardzo mile wspominał te podróże. Z przyjemnością popatrzy na zachodzące nad dalekimi macedońskimi górami słońce, trzymając w dłoniach kielich z winem. Towarzyszyć mu będzie Menander i przyrodnia siostra, gromadka ich absorbujących uwagę potomków oraz ogromna horda wioskowych dzieci, dla których wielka posiadłość Menandra stanowić będzie ulubiony plac zabaw. I oczywiście wspomnienia.

Niektóre będą smutne. Wahsi nie przetrwa wojen. Zginie podczas bitwy morskiej u wybrzeży Persji, a jego ciało nie zostanie odnalezione. Ale umrze w chwale, podczas walki, a jego imię nie będzie zapomniane – przetrwa wyryte na kamiennym postumencie ustawionym pośród wzgórz Afryki i wymawiane podczas cichych modlitw w małym monasterze w Tracji.

Zawsze, podczas tych przyszłych wizyt, będzie nadchodził czas, gdy Menander i Ezana wspomną ten statek na Oceanie Indyjskim. Wtedy, w tych momentach, dzieci porzucą swe zabawy, zamilkną nagle i zbiorą się wokół rozmawiających. Ta opowieść będzie ich ulubioną i nigdy się nie znudzą jej słuchaniem. Ani one, ani starzy weterani, którzy ciągle na nowo i na nowo będą opowiadać o tej pamiętnej bitwie.

Żona Menandra oczywiście będzie bardzo zmęczona słuchaniem tych historii i podzieli się tymi uczuciami z wiejskimi matronami, z którymi się przyjaźni. Ale mężczyźni zignorują te narzekania z cierpliwością właściwą ich wiekowi. Żony to niewdzięczni słuchacze i straszne jędze, wiedzą o tym wszyscy weterani.

Dzieci, słuchające opowieści o morskiej bitwie, będą uwielbiały jej każdą część. Bardzo spodoba im się dramatyczny nastrój starcia, strzały z płonących pocisków, abordaż i walki na dziobie i, w szczególności, atak na rufę prowadzony przez legendarnego Belizariusza. Och, cóż to było za wspaniałe natarcie!

I nawet jeżeli opis bitwy na rufie nieco różnić się będzie od oryginału, nikt nie wytknie opowiadającym niezgodności historii z prawdziwymi wydarzeniami. Ezana nie odezwie się ani słowem, kiedy Menander będzie ubarwiał lekko, ale tylko troszeczkę, wspomnienia o swej potwornej ranie. W tym momencie, za każdym razem, dzieci będą domagać się widoku okropnej bliźny przecinającej brzuch Menandra, a były katafrakt ulegnie ich namowom. Miecz, który sprawił to cięcie, po latach zmieni się w ustach weterana w śmiertelne ostrze trzymane w dłoniach przez potężnego arabskiego wojownika, który mocą swych potężnych umiejętności pokona młodego i walecznego rzymskiego wroga. W opowieści nie znajdzie się nawet najlżejszy ślad zakłopotania i przerażenia, jakie ogarnęło podczas chaosu tej bitwy młodego i niedoświadczonego Menandra, ani bezimiennego Araba, który miał szczęście pchnąć mieczem w odpowiednim momencie i trafić akurat na odważnego młodzieńca, który w swoim entuzjazmie zapędził się nieco za daleko przed pierwszy szereg.

Nie, Ezana nie powie nic. Ani Menander nie będzie się odzywał i prostował zawitych ścieżek opowieści, kiedy Ezana będzie pokazywał swą bliźnę zyskaną w tej bitwie. Sarwen pochyli głowę, tak aby ciekawskie dzieciaki mogły podziwiać ślad po ranie z przeszłości. Rozgarnie zbite, przyprószone siwizną włosy i usłyszy, jak szkraby wykrzykują, zachwycone, jak zwykle, z przerażeniem. Menander nie powie nic, chociaż teraz, nauczony doświadczeniem wielu bitew mógłby opowiadać długo. Opowiadać o panice wypełniającej serce Ezana w tamten dzień, kiedy stał na środku pola bitwy wśród kładących się trupów, całkowicie oślepiony krwią zalewającą mu oczy.

Nie, Menander będzie trzymał język za zębami, nie zamierzając z dokładnością historyka odtwarzać tamtej bitwy. Może dzieci nie będą nigdy musiały same doświadczyć takich bitew. Menander i Ezana zrobili wszystko, co mogli, podczas swego żywota wypełnionego bólem i krwią,

żeby dzieci nie musiały podejmować walki. A jeżeli tak potoczą się ich losy i niektóre ze szkrabów na własnej skórze poznają smak wojny, lepiej żeby podeszły do tej lekcji z niewinnością nowicjusza i z odwagą pobudzoną dawnymi opowieściami weteranów.

Ale mimo całej dziecinnej chęci słuchania o krwawych bitwach, maluchy najbardziej będą lubić część opowieści dotyczącą wydarzeń po bitwie. Historia tamtych szczęśliwych dni, kiedy ziarna przyjaźni rzymsko-aksumickiej kiełkowały rażno, zapadnie głęboko w serca dzieci, przemawiając do ich niewinnej natury i łatwości nawiązywania przyjaźni tak charakterystycznej dla młodych istot. Od czasu tych dni, kiedy powstała przyjaźń między narodami Rzymian i Aksumitów, legendy o niej na stałe zakorzeniły się w historii tych państw. I także wśród ludów zamieszkujących Konstantynopol, i Rzym, i Arabię, jeżeli już o tym mowa.

Ale ponad wszystko dzieciaki będą uwielbiały moment opowieści, kiedy w końcu dochodziła ona do kulminacyjnej sceny przemówienia Belizariusza do swych towarzyszy broni. Do przemówienia o swoich zamiarach, swojej misji i zadaniu. I kiedy generał zobowiązał swoich przyjaciół do milczenia i pomocy w wypełnieniu zadania żelaznymi przysięgami. I kiedy opowiedział im o gromadzących się siłach szatana, o porwanej księżniczce i o bohaterze, którego muszą odnaleźć i wręczyć mu sztylet.

I o talizmanie otrzymanym od samego Boga.

Menander i Ezana nigdy nie będą zameczeni tą opowieścią. Powtarzanie jej wcale ich nie znudzi. Opowiedzą ją ze wszystkimi szczegółami, pilnując i uzupełniając się nawzajem. Ale nawet podczas tego wypraktykowanego już przez lata opowiadania umysły obu weteranów będą dryfować i powracać do czasów, które już minęły.

Mężczyźni powiedzą dzieciom o wszystkim, nie pominą niczego. Gdyż nie będzie sekretów w tym bezpiecznym przyszłym świecie, które trzeba chronić przed szatanem i jego sługami. Podwładni złego odejdą i nawet jeżeli sam szatan nie zniknie z ziemi, to jego wolę sparaliżuje strach i potwór będzie tkwił w wiecznym lochu, gryząc z wściekłości palce i liżąc swe nieprzeliczone rany zadane w walce z dobrem. Nie, niczego nie pominą milczeniem, chociaż dzieci nie do końca zrozumieją wszystkie fragmenty opowieści. Malcy dostrzegą tylko wielkie przygody, potęgę Belizariusza i bohaterstwo jego towarzyszy.

Nigdy nie zrozumieją sedna, nie odczują w swoich sercach tego wzruszenia, kiedy tamtej nocy Belizariusz związał swoich przyjaciół węzłem zaufania.

Nie pojmą tej czystej, pełnej i szczerzej radości.

* * *

W dniach, które nastąpiły po bitwie, zaszła jeszcze jedna zmiana. Na żądanie Belizariusza, na twarde żądanie, chociaż nie musiało być ono poparte zbrojnym naciskiem, Venandakatra zgodził się, aby jego goście zajęli kabiny pod pokładem. Do tej pory Rzymianie i Aksumici byli zmuszeni do obozowania na otwartym pokładzie, chronieni tylko i wyłącznie płótnem swoich namiotów.

Co prawda, ani Rzymianie, ani Aksumici nie narzekali na to dość niewygodne zakwaterowanie. Właściwie, z wyjątkiem Belizariusza, żaden z nich nie poświęcał temu zagadnieniu ani jednej myśli. Spanie na pokładzie podczas morskich podróży było zwyczajną rzeczą w tamtych czasach. Zaledwie kilka statków posiadało na tyle duże rozmiary, aby zapewnić swoim pasażerom schronienie wewnątrz kadłuba. Najczęściej kabinę miał tylko kapitan. Zwykli marynarze spali na deskach pokładu albo w ładowni, tak bardzo stłoczeni i ściśnięci, że pasażerowie z pewnością nie chcieliby dzielić ich losu.

Indyjski statek nie różnił się pod względem od powyższych, chociaż był znacznie większy. Pod pokładem znajdowała się duża kabina, otoczona mniejszymi, w których Venandakatra i jego kapłani

mile spędzali podróż. Kabina Venandakтры była nawet bardzo luksusowa. Oficerowie statku i dowódcy malawiańskich oddziałów i gromadek Ye-tai również posiadali małe kabiny, zlokalizowane na obszarze rufowym. Szeregowi żołnierze korzystali z wygód, jakie oferował im górny pokład, akceptując twardość desek jako cenę za stały dopływ świeżego powietrza i relatywnie dużo miejsca. Zwykli marynarze musieli jednak gnieździć się w lukach.

Ale niestety nie znaleziono wielu odpowiednich pomieszczeń dla Belizariusza i jego towarzyszy. Na dziobie znajdowało się pomieszczenie wypełnione ładunkami, które w ostateczności można było przenieść w inne miejsce. Znajdowały się tam w większości zapasy spożywcze: amfory wypełnione zbożem i olejem, z których to surowców przygotowywano posiłki dla zwykłych żołnierzy. Część amfor po prostu przeniesiono w inne miejsce. W większości były to dzbany z oliwą. Wiele z pojemników ze zbożem po prostu wyrzucono za burtę. Amfory były topornie wykonane i tanie, a zapasowe ziarno stanowiło tylko zbędny balast po tym, jak wielu żołnierzy, szczególnie Ye-tai, zginęło podczas bitwy z piratami.

Belizariusz i jego towarzysze niezbyt byli zadowoleni ze swojego nowego lokum, szczególnie kiedy je obejrzeni. Magazyn był strasznie brudny, musieli więc go posprzątać. Roił się także od szczurów i dopiero zmasowany atak sarwenów i katafraktów, który przyniósł im ujmę na honorze, jak twierdzili, wygonił stamtąd te okropne stworzenia.

Ale wreszcie mieli ochronę przed wiatrem i deszczem siekającym powierzchnię oceanu i otwarte pokłady statku. Jednakże kabina chroniła ich także przed świeżym powietrzem i blaskiem słonecznym i czuli się w niej stłoczeni jak w ciemnym lochu. I jeżeli ociekające wilgocią ściany kabiny były chociaż odrobinę suchsze od zalewanego deszczem pokładu, różnica ta najwyraźniej nie dawała się dostrzec na pierwszy rzut oka dla zniechęconych mieszkańców.

Ale towarzysze generała nie narzekali i nie chcieli zmiany po tym, jak mieli czas odrobinę zastanowić się nad zaletami nowego schronienia. Gdyż zlokalizowany na dziobie magazyn miał jedną uderzającą cechę, która, jak wiedzieli, skierowała myśli Belizariusza na to właśnie pomieszczenie. Zapewniał prywatność.

Belizariusz potrzebował prywatności, dwie noce po bitwie, kiedy on i jego towarzysze zadomowili się wreszcie w nowym środowisku. Miał im wiele do powiedzenia i wiele do pokazania, o czym Malawianie w żadnym wypadku nie mogli się dowiedzieć.

Dla tych celów kabina na dziobie nadawała się doskonale. W rzeczywistości daleko bardziej niż luksusowe kabiny zlokalizowane w głębi statku, w jego środkowej części. Magazyn był odizolowany od reszty pomieszczeń, leżał daleko od kabin Malawian i łatwo go było strzec przed szpiegami.

To właśnie w tym niewygodnym pomieszczeniu wypełnionym hałasem, Belizariusz podzielił się swoim najtajniejszym sekretem z towarzyszami podróży. Zrobił to bez wahania i bez niechęci. I nie było to spowodowane zwykłym poczuciem obowiązku czy chęcią wyjaśnienia swoich dziwnych zachowań i obalenia podejrzeń o czary.

Te przyczyny istniały także, oczywiście. Ale głównym powodem wyjawienia towarzyszom sekretu był fakt, że w głowie generała rodził się plan, a przynajmniej jego zarysy. Realizacja tego planu wymagała połączenia sił rzymskich i aksumickich, a osiągnięcie sukcesu wymagało od pewnych członków grupy zachowań, które z pewnością zostałyby uznane za dziwaczne, gdyby ich wykonawcy nie poznali wcześniej prawdy. Aby plan działał, musieli poznać sekret Belizariusza. Nie po to, żeby oczyścić go z podejrzeń o czary, ale po to, aby jego strategia zadziałała.

Zarys planu w bardzo dziwny sposób przyszedł mu do głowy podczas najbardziej morderczych chwil bitwy z piratami. Wdarł się do jego umysłu, kiedy wymierzał uderzenie mieczem w jakiegoś atakującego go Araba.

Później podejrzewał, że to klejnot był sprawcą myśli o planie, tak magiczna wydawała mu się ta chwila. W cichych i spokojnych godzinach, które nastąpiły po bitwie, bezustannie próbował przebić się przez barierę. Ale klejnot nie odpowiadał na jego wysiłki. Znow był wyczerpany, generał szybko zdał sobie z tego sprawę po tym, jak dotarł do niego ogrom wysiłku, jaki klejnot musiał podjąć, aby wyostrzyć i usprawnić zmysły Belizariusza podczas bitwy.

Belizariusz myślał, że to właśnie na skutek tej pomocy ze strony obcej siły do głowy wpadł mu tak doskonały pomysł na plan działania. Strategia była jego, nie klejnotu. Kamień spowodował tylko to, że zmysły Belizariusza i jego umysł działały sprawniej i obraz planu mógł pojawić się w jego głowie w niemal cudowny sposób. Rozumiał także, że ludzkie subtelności i niuanse, będące sercem jego planu, pozostawały nadal poza zrozumieniem klejnotu. Na razie kamień nie mógł ich w pełni pojąć. Na razie i może na zawsze.

Tak więc w tej ciemnej i zadymionej kabinie, oświetlonej jedynie oliwnymi lampkami, Belizariusz wyjawiał towarzyszom swoją tajemnicę.

Najpierw opowiedział im historię zdobycia klejnotu, od samego początku w jaskini w Syrii. Podkreślił, że klejnot pojawił się na skutek działań Michała z Macedonii i znalazł się w jego rękach z błogosławieństwem tego świętego człowieka i Antoniusza Kasjana. Wiedział, że dla jego katafraktów te imiona będą niosły uspokojenie i pewność słuszności sprawy. I także Etiopczycy, kiedy usłyszą o błogosławieństwie Kościoła, podejną do opowieści z większą pewnością. Co prawda, zapewne żaden z nich nie słyszał nigdy o Michale z Macedonii czy Antoniuszu Kasjanie. Jednak Etiopczycy byli chrześcijanami, chociaż zaliczano ich do heretyków. Wyznawali monofizytyzm, nie pozbawiony wprowadzonych przez nich samych wariacji, jeżeli już o to chodzi.

Jak się okazało, Garmat znał dobrze Michała i Antoniusza, chociaż tylko z opowiadań, gdyż nie spotkał ich nigdy osobiście. Wiedział, jaka otacza ich atmosfera poważania. Belizariusz przerwał na chwilę tok opowieści i pozwolił Garmatowi objaśnić pozostałym Etiopczykowi naturę omawianych właśnie osób. Eon i sarweni wyglądali na ludzi, którym osobowości Michała i Antoniusza bardzo imponują.

Po tej przerwie Belizariusz opowiadał dalej bez żadnych zakłóceń, aż historia dotarła do obecnej chwili. Nie zataił nic z wyjątkiem swoich delikatnych stosunków z imperatorem. Nie widział potrzeby, aby wtajemniczać towarzyszy w te zawile sprawy. Wystarczyło, że powiedział im o spotkaniu z imperatorką Teodorą, a przynajmniej o tej części spotkania dotyczącej Indii, i przypomniał o błogosławieństwie imperatora i oficjalnym pozwoleniu na odbycie podróży do kraju Malawian. Podejrzewał, że Garmat rozumie z tych zawilosci bizantyjskiego dworu trochę więcej niż pozostali, ale stary doradca nie ujawnił tego przed innymi.

Kiedy Belizariusz skończył, nikt się nie odezwał. W zatłoczonej kabinie panowała absolutna cisza.

Co dziwne, to właśnie Menander w końcu przełamał milczenie i wypowiedział pierwsze słowa. Młody katafrakt był jeszcze bardzo słaby, ale w pełni dysponował siłami psychicznymi. Gorączka i majaki, jakie wkrótce miała spowodować rana brzucha, nie nadeszły jeszcze, tak jak się spodziewali katafrakt i sarweni, weterani wielu bojów.

– Czy mogę to zobaczyć? – zapytał słabo Menander. W jego głosie próżno było szukać odwagi i siły młodego wojownika. Mówił jak ciekawy, wiejski wyrostek.

– Wszyscy możecie go ujrzeć – odparł Belizariusz. Generał sięgnął w fałd tuniki i wyjął sakiewkę. Wytrząsnął zawartość na dłoń i ukazał klejnot wszystkim zebranym. Wszyscy z wyjątkiem Menandra pochylili się do przodu, żeby lepiej widzieć zawartość dłoni generała. Chwilę później Ezana delikatnie uniósł ciało młodego katafrakta za ramiona, tak żeby on także mógł podziwiać

migoczący przedmiot.

W rzeczy samej, klejnot był cudowny. Możliwe, że cel odczuwał zmęczenie. Ale zrozumiał w pełni wagę tej chwili i z wysiłkiem wprawił płaszczyzny w ruch.

Klejnot nie płonął tak jak w willi Belizariusza w Antiochii. Nie miał siły ani energii na tak błyskotliwe przedstawienie. Ale żadna z osób patrzących się na ten połyskujący i przepiękny przedmiot – na świetlną kombinację kolorów, jakiej nie oglądał jeszcze żaden człowiek na ziemi – nie wątpiła ani przez moment, że jest świadkiem prawdziwego cudu.

W końcu przemówił Garmat.

– To nam nie wystarczy – wyszeptał. Belizariusz podniósł brew.

Doradca potrząsnął głową. Nie zrobił tego z nieprzyjaznym wyrazem twarzy, ale w taki sposób, że nie wyrażało to także przyjaznych uczuć.

– Przykro mi, Belizariuszu. Nie o to chodzi, że ci nie ufam czy nie wierzę w twe słowa, a ten klejnot jest naprawdę tak cudowny, jak mówiłeś, ale...

Garmat machnął ręką, obejmując gestem cały statek i wszystko na całej ziemi, co znajdowało się poza jego burtami.

– Tak jak powiedziałeś, ta sprawa dotyczy nie tylko nas, ale także tych, za których jesteśmy odpowiedzialni.

– Chciałbyś sam także dotknąć klejnotu – podpowiedział mu Belizariusz delikatnie.

Garmat potrząsnął z uśmiechem głową.

– Z pewnością nie! W moim wieku okropne wizje są ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję. Widziałem już wiele okrucieństwa i bez tego.

Belizariusz skierował spojrzenie na księcia Eona. Wykonał lekki, zachęcający ruch dłonią, w której spoczywał klejnot.

– A może ty, Eonie?

Księżę patrzył na klejnot w zadumie, marszcząc brwi. Myślał, chociaż jego umysłu nie zaprzętała strach i dla wszystkich, którzy patrzyli, było to oczywiste. Belizariusz nie był jedynym z gromadki, który w ciemnej twarzy młodego księcia dostrzegł przyszłe dostojęństwo władcy Aksum.

– Nie – powiedział w końcu Eon. – Nie ufam sobie, jeszcze nie teraz. – Zwrócił się do Ousanasa: – Ty go weź.

– A dlaczego ja?

– Jesteś moim dawazzem. Ufam tobie bardziej niż jakiegokolwiek istocie na ziemi. Weź go.

Ousanas gapił się na swego podopiecznego. Potem, nie odrywając oczu od chłopca, wyciągnął rękę w kierunku Belizariusza. Generał umieścił klejnot w dłoni dawazza.

Chwilę później dawazz zacisnął palce i na kilka chwil opuścił realny świat.

Kiedy powrócił do rzeczywistości i otworzył oczy, wszystkim wydało się, że po spotkaniu z klejnotem jest zupełnie taki sam jak dawniej. Zebrani lekko się temu dziwili. Belizariusz był bardzo zaskoczony.

Jednakże kiedy dawazz przemówił, generałowi wydawało się, że dostrzegł lekkie drżenie w bogatym barytonie Ousanasa.

Pierwsze słowa dawazza skierowane były do księcia.

– Dawazz zawsze się dziwi. I także się obawia.

Wziął głęboki oddech i szybko odwrócił wzrok.

– Teraz już się nie dziwię i nie boję. Byłeś wielkim księciem. I będziesz doskonałym królem w przyszłości.

Dawazz zamilkł, szukając w głowie odpowiednich słów.

– Och, przestań gadać głupoty! – przerwał mu Eon.

Ousanas rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

– To był twój głupi pomysł, przede wszystkim. – Dawazz spojrzał nieprzychylnie na Garmata. –

A ty go poparłeś.

Garmat wzruszył ramionami. Ousanas wyszczerzył w uśmiechu zęby, odwracając się do Rzymian. Chociaż to się w nim nie zmieniło. Dalej się uśmiechał.

– Musisz wybaczyć moim towarzyszom – powiedział dawazz. Jego greka była teraz doskonała, płynna i kompletnie pozbawiona obcego akcentu. Belizariusz siłą powstrzymał się od patrzenia na dawazza z otwartymi ustami. Jego katafraktom się to nie udało.

– Chłopiec przynajmniej ma usprawiedliwienie. Młody, porywczy wiek, Jego doradca, cóż, jego wymówką jest zaawansowana starość. I oczywiście fakt, że jest pół-Arabem. Ten naród raczej zawsze będzie knuł intrygi, zamiast na przykład jeść.

I znowu obdarzył Garmata nieprzychylnym spojrzeniem. Ale wzrok nagle stracił ostrość, nabierając miękkości.

– Zawsze będziesz w głębi serca Arabem, Garmacie. W pełni Arabem. Po śmierci Kaleba powrócisz do Arabii. I tam umrzesz w chwale, w Nejed, prowadząc swoich ukochanych Beduinów przeciwko malawiańskim najeźdźcom.

Wzruszył ramionami.

– Przegrasz, oczywiście. Nawet Beduini nie będą w stanie wygrać z indyjską nawałnicą. Nie po tym, jak Malawianie podbiją Lakszmitów i wezmą ich pod swoje panowanie; i po tym, jak rozbiją Beni Gassana i zetrą z powierzchni ziemi Kwaryszów z Mekki.

– Tak więc widziałeś w klejnocie przyszłość – podsumował Garmat.

– O tak. W rzeczy samej. I była tak okropna, jak mówił nam generał. – Wzrok Ousanasa począł błądzić gdzieś w powietrzu. – Widziałem przyszłość do momentu mojej śmierci. Umarłem tak jakoś nijako, że jest mi przykro, z powodu choroby wywołanej raną. Nie była to rana zadana w chwalebnym pojedynku z mistrzem wrogich oddziałów. Po prostu zabłąkany cios, który jest takim przekleństwem i problemem dla bardów i nadwornych opowiadaczy historii.

Spojrzał na Menandra i porzucił temat ran sprowadzających śmiertelne choroby. Zamiast tego uśmiechnął się do księcia.

– Twojego końca, Eonie, nie widziałem. Umarłem w twoich ramionach podczas ucieczki ocalałych Etiopczyków, jaką podjęli oni pod twoim przywództwem. Uciekaliście na południe, do moich rodzinnych stron, leżących pomiędzy dwoma jeziorami, gdzie mieliście nadzieję założyć nowe królestwo, które oparłoby się zalewowi Malawian. Ale ty nie wróżyłeś wielkiego powodzenia temu projektowi.

Zamilkł na chwilę.

– Mówisz doskonale po grecku – jęknął z wyrzutem Walentynian.

Ousanas wykrzywił usta.

– Podejrzewam, mój drogi Walentynianie, że posługuję się tym językiem znacznie lepiej od ciebie samego. Z całym szacunkiem, jestem najlepszym lingwistą, jakiego znam. Podejrzewam, że to wynika z mojego pochodzenia. Wychowałem się w samym sercu Afryki, pośród dzikusów. W kraju pomiędzy dwoma wielkimi jeziorami, gdzie mówi się co najmniej osiemnastoma językami. W wieku dwunastu lat znałem już siedem z nich, a reszty nauczyłem się niedługo potem.

Radosny uśmiech niemalże rozświetlił kabinę.

– W tym wieku w serca młodych chłopców wkrada się wielka pokusa. Moje własne plemię, przykro mi to mówić, było bardzo wrogo nastawione do niekontrolowanego cudzołóstwa. Inne

narody zadowalały się bardziej racjonalnymi prawami, ale niestety mówiły innymi językami. Tak więc zacząłem się uczyć tych obcych dialektów i weszło mi to w nawyk podsycany przez użyteczność.

Wskazał na księcia, wyciągając w jego kierunku palec prosty jak włócznia.

– Ten wielki konspirator, ciągle rozwijający się mistrz intryg, szpieg dążący do doskonałości, tak mądry i sprytny, myślał sobie, że będzie bardzo korzystnie, jeżeli podczas wypraw do Imperium Rzymskiego będę udawać głupiego, nierozgarniętego niewolnika z buszu. Głupi, naiwni Rzymianie, tak uważał, może wyjawiać kilka swoich sekretów w bezpiecznym ich zdaniem towarzystwie tępego dzikusa.

Palec przeniósł się na Garmata.

– A ten, siwobrody, ale jeszcze nie mądry jak na swój wiek, stary, złamany wiekiem, zniedołężniały, tak zwany doradca, sądził, że ten plan może mieć pewne zalety. I tak tkwiłem uwięziony pomiędzy Scyllą naiwności a Charybdą starczego zniedołężnienia.

Wzniósł oczy do nieba w geście rozpacz.

– Żałujcie mnie, Rzymianie. Tak cierpiałem, jak ucywilizowany poganin zmuszony do opuszczenia sawanny, ograniczony do wyrażania swych myśli w języku *pidgin* i w handlowym *argot*. Ach, płaczcie! Zawódźcie, mówię wam! Wyjcie!

– Wydaje mi się, że całkiem nieźle poradziłeś sobie z tym upokarzającym zadaniem – zachichotał Walentynian.

– On jest bardzo dobry w radzeniu sobie z prześladowaniami – przerwał mu Wahsi. – To dlatego uczyniliśmy go dawazem.

Sarweni wymienili między sobą pełne zrozumienia spojrzenia, podszyte humorem.

– Ousanas lubi myśleć, że wybraliśmy go przez wzgląd na jego umiejętności i zdolności – dodał Ezana. Sarwen parsknął śmiechem. – Cóż za nonsens! Po prostu miał szczęście. To jego jedyny talent. Ale księżę musi się uczyć, jak korzystać ze szczęścia, więcej niż czegokolwiek innego, dlatego uczyniliśmy tego głupiego dzikusa jego dawazem.

Ousanas zamierzał odpowiedzieć na te zarzuty, ale Belizariusz nie dał mu dojść do słowa.

– Później sobie wyjaśnicie, jeśli można prosić. Teraz mamy ważniejsze rzeczy, o których musimy porozmawiać.

Zwrócił się do Garmata:

– Teraz jesteś usatysfakcjonowany?

Doradca spojrzał na księcia. Eon skinął potakująco głową, z wielką pewnością. Garmat jednak ciągle się wahał, po kilku sekundach i on w końcu zgodził się z opinią księcia.

– Dobrze – powiedział Belizariusz. – Teraz opowiem wam o moim planie.

* * *

Kiedy Belizariusz skończył, Eon natychmiast włączył się do rozmowy.

– Nie zrobię tego! Nie ma mowy, to przekracza wszystkie...

Ousanas mocno zdzielił księcia w czubek głowy.

– Milcz! To bardzo dobry plan! Dobry także dla księcia. Naucz się wreszcie myśleć jak robak, zamiast ciskać się jak lew. Robaki zjadają lwy, a nie na odwrót. Pamiętaj o tym, głupi chłopcze.

– Mówiłem ci już, żebyś nie rozmawiał ze mną w języku *pidgin* – sarknął Eon.

Kolejne uderzenie w głowę.

– Ja nie mówię w *pidgin*. Mówię językiem dzieci. Bo tylko taki może zrozumieć głupi księżę.

Garmat wtrącił się do dyskusji, wyrażając swoje zdanie.

– Twój dawazz ma rację, księżę. – Doradca kojąco poklepał chłopca po ramieniu. – Oczywiście

z wyjątkiem tych kwestii o robakach. Brutal nie szanujący nikogo! Ale ma całkowitą rację, jeżeli chodzi o plan generała. Jest bardzo dobry, w ogólności, szczególnie jeżeli chodzi o twoje w nim zadanie.

Rzucił pytające spojrzenie w kierunku Belizariusza.

– Co do reszty, generale, przyznaję, że jest może nieco nadmiernie skomplikowana.

– Może nieco skomplikowana – powtórzył Walentynian ironicznie, imitując ton doradcy.

Katafrakt pochylił się do przodu.

– Generale, podczas nieobecności Maurycego ja przejmuję jego obowiązki. I mam je wykonywać najlepiej, jak potrafię. Pierwsze prawo bitwy brzmi...

Belizariusz machnął lekceważąco dłonią, chichocząc pod nosem.

– Znam je na pamięć! Ale to nie jest bitwa, Walentynianie. To jest intryga.

– Ale jednak, generale – przerwał mu Anastazjusz – zbytnio polegasz na zbiegu okoliczności. Nie ma dla mnie znaczenia, czy mówimy o bitwach, czy o intrygach, czy, jeżeli już o tym mowa, jak oszukać kwatermistrza, ale nie możesz tak bardzo polegać na szczęściu i sprzyjających okolicznościach. – W odróżnieniu od głosu Walentyniana, który był zabarwiony gwałtownymi uczuciami, bas Anastazjusza pozostał spokojny i zrównoważony. Jego słowa wydawały się jednakże ważniejsze, gdyż niosły ze sobą poważny ładunek.

Belizariusz zawahał się, szykując w głowie armię argumentów. W tej dyskusji, wiedział o tym doskonale, nie mógł po prostu użyć swej siły jako dowódca. Katafrakt i Etiopczycy musieli zostać przekonani, a nie zmuszeni do działania.

Zanim zdążył się odezwać, przerwał mu Ousanas.

– Nie zgadzam się z Walentynianem i Anastazjuszem. I z Garmatem. Mylą skomplikowanie całej sprawy z intryganctwem. Plan jest zawiły, to prawda, ale w tym sensie, że zakłada współdziałanie wielu, pozornie niezwiązanych czynników.

Belizariusz powstrzymał z trudem śmiech, widząc swoich katafraktów zapatrzonych na mówiącego z otwartymi ustami. Na twarzach sarwenów malowała się smutna rezygnacja. Ousanas gestykulował z entuzjazmem.

– Ale to nie to samo, co zwykłe szczęście! Och, nie, w zupełności nie. Szczęście to moja specjalność, prawda, tak jak to powiedzieli przed chwilą sarweni. Ale wojownik o prostym umyśle – tu machnął lekceważąco ręką – nie rozumie szczęścia i dlatego właśnie myśli, że ja mam szczęście. Ja wcale nie mam szczęścia. Ja mam szczęście, bo rozumiem, jak należy postępować, żeby mieć szczęście.

Dawazz pochylił się do przodu.

– A jaki jest sekret postępowania, żeby mieć szczęście? Teraz wam powiem. Niektórzy potrafią przewidzieć zawiłe mechanizmy szczęścia, ale inni po prostu łapią i podporządkowują sobie wektory szczęścia. Wszystko, co musicie zrobić, to odnaleźć tę prostą rzecz, która jest sednem problemu i schwycić ją. Trzymać tę rzecz, trzymać w żelaznym uścisku, zawsze na pierwszym miejscu w waszym umyśle, a wtedy odnajdziecie sposób, jak skierować wektory i złapać szczęście.

– Fikuśne gadanie – warknął Walentynian. – Jeżeli tak, to powiedz mi, o wielki mędrco, jaka jest ta prosta rzecz w sednie planu generała? – Parsknął ze złością. – Wymień chociaż jedną prostą rzecz w tym całym jego planie!

Ousanas odpowiedział na sarkazm w tonie katafrakta pogardliwym spojrzeniem.

– Tą prostą rzeczą leżącą u podstawy planu generała, mój drogi Walentynianie, jest dusza naszego przyjaciela Venandaktry. Cały plan kręci się wokół jego umysłu, który możliwe że jest najprostszym umysłem na całym świecie.

– Dusza żadnego człowieka nie jest prosta – skontrował Walentynian słabym głosem.

– Twoja może nie – odparł dawazz. – Ale dusza Venandakтры? Myślisz, że to coś jest chociaż odrobinę skomplikowane? – Ousanas prychnął. W tym krótkim prychnięciu zawierał się cały wszechświat pogardy. – Jeżeli masz ochotę na odrobinę skomplikowania, Walentynianie, zbadaj kupkę psich odchodów. Nie szukaj subtelności w mózgu Venandakтры.

– On ma rację – zahuczał Anastazjusz. Wielki katafrakt ciężko westchnął. – I to całkowitą, muszę przyznać. – Westchnął po raz kolejny, niczym Atlas zmęczony ciągłym wysiłkiem. – Niepodważalną, w rzeczy samej.

Twarz Walentyniana nagle się rozjaśniła.

– Może! – wykrzyknął. – Ale co z resztą planu? Zadanie księcia w całej tej intrydze jest bardzo proste, przyznaję. – Rzucił na księcia pełne wątpliwości spojrzenie. – O ile, oczywiście, proszę cię o wybaczenie, książę... o ile królewska krew zniesie takie postęпки. – Teraz wskazał ręką na Ousanasa. – Ale on, co z jego zadaniem w naszym planie? Czy też nazwiesz je prostym?

Ousanas uśmiechnął się szeroko.

– A pod jakim względem miałoby ono być trudne? Wymaga się ode mnie tylko dwóch rzeczy. Tylko dwóch, nie więcej! Zapewniam cię, katafrackie, nawet dzikusy z sawanny potrafią liczyć do dwóch.

Menander przerwał mu, cichym, słabym szeptem.

– Te dwie rzeczy są raczej bardzo skomplikowane, Ousanasie.

– Nonsens! Po pierwsze, muszę się nauczyć nowego języka. To sztuczka, którą umiałem już jako dziecko. A po drugie, będę musiał polować. Tego nauczyłem się nawet wcześniej.

– Nie będziesz przecież łowił antylop na sawannie, Ousanasie – powiedział Eon, ale bez pewności w głosie.

– Chłopak ma rację – wtrącił się Walentynian. – Będziesz polował na człowieka w lesie. Na człowieka, którego nie znasz, w lesie, którego nigdy nie widziałeś, w kraju, którego nigdy nie odwiedziłeś.

Ousanas wzruszył ramionami.

– I co z tego? Polowanie to prosta rzecz, mój drogi Walentynianie. Kiedy byłem chłopcem dorastającym na rozległej sawannie, nie myślałem w ten sposób. Bardzo mi imponowała szybkość geparda i spryt bawołu, i okrucieństwo hieny. Tak więc zmarnowałem wiele lat, ucząc się postępować z tymi zwierzętami, podpatrując ich najskrytsze nawyki.

Otarł pot z czoła.

– To było bardzo wyczerpujące. Kiedy osiągnąłem wiek trzynastu lat, uważałem siebie samego za najlepszego myśliwego pod słońcem. Dopóki mądry starzec z wioski nie powiedział mi, że największymi myśliwymi na świecie są mali ludzie zamieszkujący odległe dżungle. Nazywał ich Pigmejami i twierdził, że polują na największe i najpotężniejsze stworzenia na ziemi. Na słonie.

– Na słonie?! – zawołał Anastazjusz. Zmarszczył z zastanowieniem czoło. – A jak mali są ci... Pigmeje, wiesz dokładnie?

– Och, bardzo mali. – Ousanas pokazał wielkość ręką. – Nie więksi niż to. Wiem, że to prawda. Jak tylko usłyszałem słowa mędrca, wyruszyłem do dżungli, aby na własne oczy zobaczyć ten cud natury. I rzeczywiście, napotkałem w lesie wioskę, o której mówił starzec. Zamieszkiwali ją najmniejsi ludzie na Ziemi, którzy z największą łatwością radzili sobie z łapaniem i zabijaniem ogromnych słoni.

– Jak to robili? – zapytał Menander z ciekawością właściwą młodemu wiekowi. – Zabijali słonia włóczniami?

Ousanas potrząsnął przecząco głową.

– Tylko pod koniec polowania. Najpierw łapali słonia do jamy wykopanej w ziemi. Mówiłem już, Menandrze, że są bardzo mali. Ale nie wspomniałem nic o tym, że są głupcami. Na ogół radzili sobie z potężnym słoniem za pomocą rozumu. Gdyż ten mały ludek nie zawracał sobie głowy i nie tracił czasu, jak ja, na naukę zawiłych nawyków ich ofiary. Po prostu łapali duszę słonia i zakładali swe pułapki w sposób doskonały. Dusza słonia jest nieustraszona i dlatego Pigmeje kopali doły w najbardziej mrocznych i niebezpiecznych zakątkach dżungli, gdzie tylko słonie mają odwagę się zapuszczać.

Popatrzył na swojego księcia.

– I tak właśnie złapię w pułapkę moją ofiarę. To wcale nie będzie trudne. Nie, najłatwiejsza rzecz, jaką tylko możesz sobie wyobrazić. Gdyż dusza mojej ofiary jest, w sobie tylko właściwy sposób, tak nieskomplikowana jak dusza Venandakatry. I nie będę nawet musiał złapać tej duszy, gdyż od wielu lat trzymam ją w dłoniach. Patrzyłem w oczy tej duszy z odległości zaledwie kilku centymetrów.

Wyciągnął prosto lewe ramię. Tam, na czarnej skórze okrywającej silne mięśnie, widać się długa, poszarpana blizna. Nie sposób było przeoczyć tego jasnego znaku na ciemnej skórze dawazza, chociaż poprzez lata, które minęły od zadania rany, kolor blizny nieco przyblakł.

– To jest znak, jaki zostawiła na moim ciele dusza pantery. Znam ją tak samo dobrze jak siebie.

Walentynian ciężko westchnął.

– Och, cholera. No cóż, próbowałem.

To był sygnał dla Belizariusza. Generał szybko przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych w kabinie i ujrzał, że wszyscy przychylają się do zdania Walentyniana.

Walentynian nawet zaczął się szeroko uśmiechać. Katafrakt popatrzył na Ezanę i Wahsiego.

– Czy pamiętacie, co ja i Anastazjusz wam kiedyś mówiłem? – zapytał. – Nie wierzyliście nam, po tej bitwie z piratami!

Ezana zaśmiał się.

– Czy chodzi ci o tę uwagę, że droga węża jest śmiesznie zawiła! – Podniósł rękę i dotknął bandaża opasującego mu głowę. – Ale ciągle – dodał radośnie – wężowy sposób jest bezpieczniejszy od ataku na wprost przez otwarty pokład.

Belizariusz uśmiechnął się i opadł do tyłu, opierając się plecami o ścianę kabiny.

– Myślę, że na tym możemy skończyć naszą dyskusję, przynajmniej na razie – powiedział. – Będziemy mieli jeszcze czas, aby dopracować nasz plan, przed nami długie tygodnie na statku.

Ousanas zmarszczył gniewnie brwi.

– To wszystko, co mieliśmy omówić? Nonsens, generale! – Wykonał szybki, odprawiający ruch dłonią. – Ach, jeżeli chodzi o plan, to rzeczywiście to wszystko! Dobre plany są jak dobre mięso, najlepiej gotować je na świeżo. Teraz możemy zająć się naprawdę ważnymi sprawami.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Filozofia! – Zatarł radośnie ręce. – Cóż to za radość być otoczonym przez Greków, teraz, gdy mogę płynnie mówić w języku ojców mądrości i nie katować się tym nędznym dialektem, jak do tej pory. Może zacznę od Plotyna. Uważam, że jego zastosowanie pojęcia najczystszej prostoty w naturze podzielonego rozumu z punktu widzenia logiki jest błędem. Także przez pryzmat teologii wydaje się nonsensem. Mówię teraz o jego poglądach, jakie włożył w usta Porfirego w Piątej Księdze Eneidy. A jakie jest wasze zdanie?

Wykonał kolejny odpychający ruch dłonią.

– Oczywiście kieruję to pytanie do obecnych Greków. Znam poglądy Etiopczyków. Uważają, że

jestem starym wariatem i pomyłeńcem.

– Bo jesteś starym wariatem i pomyłeńcem – powiedział Wahsi.

– Absolutnym szaleńcem – dodał Ezana.

– Ja nie jestem Grekiem! – zawył Walentynian.

– Nigdy, w całym swoim życiu, nie słyszałem takich bredni – wymamrotał Anastazjusz. – To same idiotyzmy. Pojęcie najczystszej prostoty jest akceptowane przez wszystkich wielkich filozofów, Platona i Arystotelesa również. Zgadzą się z tym, pomimo różnic w innych sprawach. Plotyn po prostu zastosował to pojęcie w odniesieniu do natury podzielonego umysłu.

Ogromne ramiona Anastazjusza wypchnęły jego głowę naprzód. Granitowe płaszczyzny, nawisy i bruzdy, jakie składały się na jego twarz, zadrżały z rozkoszy.

– Logika jego dowodu jest niepodważalna – kontynuował basowym tonem, który dla wszystkich zebranych w pomieszczeniu, z wyjątkiem Ousanasa, brzmiał jak sam głos potępienia. – Przyznaję, teologiczne implikacje mają pewne słabe punkty, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale przypominam ci, Ousanasie, że wielki Augustyn we własnej osobie miał Plotyna w największym poważaniu i...

– Och, słodki Jezu – wyszeptał Menander, opadając na posłanie. – Nie zrobił tego od dnia, kiedy go po raz pierwszy spotkałem. Złapał mnie, nowicjusza, pomiędzy barakami koszar. – Jęknął rozdzierająco. – Męczył mnie godzinami. Godzinami.

Eon i sarweni patrzyli na Anastazjusza z otwartymi ustami, tak jakby mogli gapić się na bawoła nagle zmieniającego się w jednoroźca.

Garmat podniósł oczy do nieba w niemym geście udręki.

– Bezdyskusyjną zaletą charakteru ludzi z rodu mojej matki jest fakt – wymamrotał – że są oni raczej poetami niż filozofami. Jakikolwiek zbrodnie można im zarzucić, żaden Arab nigdy nie zanudził człowieka na śmierć.

Walentynian spojrział na Belizariusza.

– To twoja wina – zasyczał jak wściekła łasica.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Zapomniałem. I skąd miałem niby wiedzieć, że odnajdzie w dawazzie pokrewną duszę? Że się spotkają właśnie podczas tej wyprawy?

– To i tak twoja wina – usłyszał w odpowiedzi nieubłagany głos. – Wiesz, jaki on jest. Wiedziałaś, że jego ojciec był Grekiem. To ty wybierasz ludzi do swego oddziału. To ty jesteś generałem. To ty tu dowodzisz. Dowodzenie to ogromna odpowiedzialność!

– To niedorzeczne! – zawołał Ousanas. – Jak możesz mówić takie...

– Ale jednak – zakrzyczał go Anastazjusz – ciągle nie mogę zrozumieć, jak możesz zaprzeczać, że formy Platona nie wywodzą się od podstawowych pierwiastków...

– A teraz obrażasz Platona!

– Jak daleko jest do Indii? – szeptał zapytał Menander.

– Przed nami jeszcze tygodnie, ten malawiański okręt strasznie się wlecze – z jękiem odparł Eon. I książę rozpoczął swoją własną tyradę na temat technicznych możliwości indyjskiego statku, która, chociaż była tak samo lotna jak filozoficzna dysputa wiedzona w przeciwległej części kabiny, w odróżnieniu od tej ostatniej chociaż częściowo docierała do umysłu nawet takich szczurów lądowych jak Belizariusz.

Rozdział 18

Barakucha była wielkim miastem portowym w Imperium Malawiańskim, położonym u ujścia rzeki Narmada. Rzeka ta uchodziła do zatoki Khambhat. Z tego właśnie portu statki handlowe różnej wielkości i różnego tonażu odchodziły co dzień do wielu zakątków świata.

Niektóre z nich, jak na przykład okręt niosący w upalny sierpniowy dzień na swoim pokładzie generała i jego towarzyszy, przybywały z północnego zachodu i tam miały wrócić. Wiele było po prostu niewielkimi stateczkami, wielkości drewnianych dłubanek, które rozwoziły drobne towary do wiosek zlokalizowanych na wybrzeżu, do Gudzaratu, Rann i Sindu. Inne należały do rodzaju wielkich indyjskich okrętów, tak dużych jak statek wysłany do Bizancjum. Te ostatnie podążały niebezpiecznymi szlakami wzdłuż wybrzeża, wioząc cenne dobra z Persji i Europy. Jednak najwięcej w porcie znajdowało się statków perskich, mniejszych i szybszych niż okręty Hindusów, także przewożących towary z rodzimego kraju. Pomiędzy nimi płytało się kilka stateczków greckich i aksumickich.

Greckie i aksumickie statki w większości omijały północno-zachodnie wybrzeża i płynęły prosto na wschód i na zachód przez Ocean Indyjski. Zachodnią granicą zasięgu handlu były wybrzeża Morza Czerwonego.

Trochę stateczków przybywało także z południa. Większość z nich wiozła towary z wybrzeża Kerali i z wielkiej wyspy Cejlon. Ale pomiędzy nimi spotykało się statki, które przybyły z jeszcze odleglejszych terenów. Część tych jednostek zapuszczała się dalej na wschód, omijając Półwysep Indyjski i wioząc swe towary w kierunku ogromnego wybrzeża azjatyckiego. Jeszcze inne odwiedzały naprawdę egzotyczne krainy, południowo-wschodnie królestwa Azji: Funan i Champa, a nawet północne Chiny.

Barakucha nie była podobna do żadnego miasta, jakie kiedykolwiek widział Belizariusz.

Wygląd miasta nie był tak do końca obcy, oczywiście. Miasto w zarysie przypominało inne aglomeracje, które generał odwiedził w ciągu swego życia. Podobnie jak inne ogromne miasta portowe, Barakucha było miejscem kontrastów i ekstremów. Bogate pałace i dwory, siedliska szlachty i zamożnych kupców, ukazywały się niczym wyspy na morzu wszechobecnych slumsów. Wielkie składy i małe straganiki kupców, nie więcej niż wózki z towarem, sąsiadowały ze sobą w pokoju. Handel i interesy były życiodajną krwią tego miasta. Jego zatłoczone ulice, pełne ludzi sklepy i hałaśliwe, tętniące życiem o każdej porze dnia i nocy bazy, krzyczały, że Barakucha bierze swoje interesy na poważnie.

Ale to skala tego fenomenu, a nie on sam, tak uderzyła gości z Rzymu. Ogromna powierzchnia zajmowana przez miasto, niesamowita liczba jego mieszkańców i ich szaleńcza aktywność.

– Matko Boska – wymamrotał Anastazjusz – to miejsce sprawia, że patrzysz na Aleksandrię jak na senne rybackie miasteczko.

– Mówią, że w Barakusze możesz kupić dosłownie wszystko – skomentował Ezana.

– Każde miasto portowe się tym chwali – zakpił Walentynian.

– Ale różnica polega na tym, że w Barakusze to prawda.

Statek właśnie został przycumowany do nabrzeża i Belizariusz patrzył, jak Venandaktra, otoczony jak zwykle wianuszkiem kapłanów, schodzi na ląd. Powitało go imponujące grono miejscowych notabli. Po krótkiej ceremonii Venandaktra wgramolił się do lektyki i został uniesiony w niewiadomym kierunku.

Eon pozwolił sobie na westchnienie pełne ulgi.

– Dzięki Bogu, nareszcie się go pozbyliśmy.

– Na chwilę, książę, tylko na chwilę – odparł Garmat. Doradca szarpnął się za brodę, obliczając

coś w głębi umysłu.

– Jak myślisz generale, ile go nie będzie? Tydzień?

Belizariusz roześmiał się głośno.

– Czyżbyś postradał zmysły? Ten pompatyczny dureń będzie potrzebował co najmniej dwóch tygodni, aby zorganizować wyprawę, o której nam opowiadał. Może nawet trzech. A może nawet całego miesiąca.

Generał potrząsnął głową.

– Mogłoby się wydawać, że on planuje podbój całego świata, zamiast organizowania zwykłej wyprawy mającej na celu powrót do Malawy i zdanie relacji imperatorowi. Oczywiście, z krótkim przystankiem w jego własnym... hm, jak on to nazwał, Eonie?

– Skromna wiejska rezydencja.

– Tak, z krótkim przystankiem po drodze. Skromna wiejska rezydencja. Nie mogę się już doczekać, żeby to zobaczyć. Jest pewnie większa i bardziej okazała niż pałac królewski w Konstantynopolu. – Generał odwrócił się tyłem do relingu. – Ale to jest dla nas korzystne. Będziemy mieli czas, aby poczynić własne przygotowania. Venandaktra, jestem pewien, nie będzie się o nas kłopotał i pilnował nas osobiście, więc nie musimy trapić się przyjemnością jego towarzystwa do czasu, kiedy zorganizuje tę wyprawę i wreszcie wyruszymy.

Rzucił na swoich towarzyszy surowe spojrzenie.

– Ale to nie znaczy, że wokół nas przez cały ten czas nie będzie jego szpiegów. Venandaktra może sobie być strasznym wieprzem, ale na pewno nie jest głupi. Pamiętajcie o tym! Cokolwiek byście nie robili w czasie pobytu w Barakusze, musicie zakładać, że obserwują was malawiańscy szpiegzy. Liczcie się z tym, że wasze zachowania i rozmowy zostaną wiernie przekazane imperatorowi Malawy. Wszystkie wasze zachowania i rozmowy. – Wskazał dłonią na tętniące życiem miasto. – W tym diabelskim kotle nigdy nie możecie być pewni, że akurat w danym momencie nikt was nie śledzi.

Walentynian pokazał zęby.

– Nie ma problemu, generale. Przecież zapewniłeś nam najbliyskotliwszą przykrywkę, o jakiegokolwiek moglibyśmy marzyć. To nawet nie jest przykrywka. To zachowania całkowicie dla nas naturalne. Picie, jedzenie, rozrywki. Okazjonalna miłość tu i tam. Te i tym podobne zajęcia.

– Złapanie każdej z chorób znanych człowiekowi – wyliczał dalej Ousanas z roztargnionym wyrazem twarzy. Ale uśmiech nie schodził Walentynianowi z twarzy.

Belizariusz sam zaczął się uśmiechać, ale szybko grymas ten zastąpiło zmarszczenie brwi, jakby generał nie był o czymś do końca przekonany.

– Tylko pamiętaj, Walentynianie, nie jesteś tutaj na wakacjach. Pij, jedz i baw się do woli. Tylko zawsze upewnij się, że czynisz to w towarzystwie Kuszanów. To także dotyczy fraternizacji. Jeżeli złapię cię w łóżku z dziwką, która nie jest Kuszanką, to popamiętasz mnie do końca życia.

– Szkoda – zafrasował się Anastazjusz. – Zawsze lubiłem urozmaicenie. To moja filozoficzna skłonność, tak mi się wydaje. – Na twarzach wszystkich zebranych, z wyjątkiem Ousanasa, pojawiło się przerażenie. – Ale niech tak będzie.

Klepnął Walentyniana ogromnym łapskiem po ramieniu.

– My dwaj cię nie zawiedziemy, generale. W tym kraju wielu, nieskończenie wielu możliwości, będziemy tak wybierać jak stoicy w dawnych czasach.

– Zabieraj ode mnie te cholerne łapy – warknął Walentynian.

– Nie dotkniemy niczego z wyjątkiem najbardziej platonicznych form kuszańskiego picia i kuszańskich kobiet.

– Utnę ten twój przeklęty łeb. Przysięgam ci, że to zrobię.

* * *

W przeciągu kilku godzin Belizariusz znalazł odpowiednie kwatery dla siebie i swoich towarzyszy. Imperator Justynian jak zwykle poskąpił swojemu generałowi pieniędzy mogących ułatwić mu misję. Jednakże, szczęśliwie dla wszystkich, Garmat został hojnie wyposażony przez swego władcę, króla Kaleba.

Na szczęście, w rzeczy samej, gdyż kwatery wybrane przez Belizariusza były zaiste królewskie i po królewsku drogie. Garmat zafundował pobyt w przepięknym apartamencie najdroższego zajazdu w Barakusze. Zapłacił za pokoje aksumickimi złotymi monetami. Belizariusz i Garmat zdążyli się już przekonać, że aksumickie monety są jedną z trzech zagranicznych walut akceptowanych w Indiach. Bizantyjskie pieniądze były najbardziej prestiżowe, oczywiście, ale aksumickie złoto i srebro zniknęło w kieszeniach Hindusów tak samo szybko jak perskie monety.

Belizariusz zapłacił ze swoich funduszy za dwa dodatkowe pokoje. Te nadprogramowe pomieszczenia były raczej skromnie urządzone, przynajmniej jak na standardy tego indyjskiego zajazdu. Jeden z nich miał służyć jako sypialnia dla Belizariusza i jego katafraktów. Drugi był dla Garmata, Ousanasa i sarwenów.

Apartament, ogromny, luksusowy i bogato umeblowany, miał służyć jako mieszkanie samego księcia Eona. Eon Bisi Dakuen, książę Aksum (i innych terytoriów i nadań, o których pamiętał sam jeden Garmat, zmyślając je na poczekaniu, ale któż w Barakusze domyśliłby się prawdy) nie mógłby mieszkać w jakimś podlegszym lokalu. Niektórzy inni książęta, możliwe, zadowoliliby się czymś skromniejszym. Ale nie on. Nie ten rozwydrzony, zepsuty, arogancki, narzekający, jęczący, płaczliwy, a co z tego wynika ohydny, młody, królewski dupek.

Jak tylko wprowadzili się do zajazdu, Eon rozpoczął litanię swoich narzekań. To było złe, tamto było niedobre, wszystko inne mu się nie podoba i tak dalej. Do tej pory, myślał sobie Belizariusz ze zdziwieniem, Eon doskonale opanował swoją rolę. W przeciągu trzech minut właściciel zajazdu przybrał sztywny wyraz twarzy obrażonej godności. Gdyby nie wymierne korzyści, jakie czerpał z pobytu Rzymian i Etiopczyków w swoim hotelu, wykopałby młodego księcia na ulicę. Oczywiście w przenośni. Wykopywanie księcia dosłownie mogłoby być trudne, gdyż towarzyszyli mu dwaj uzbrojeni we włócznie sarweni.

Kiedy w końcu Garmat ostudził zapędy młodego księcia, ulga, jaka malowała się na twarzy właściciela zajazdu, aż biła z jego oblicza. Pomimo całej nabytej dyplomacji, człowiekowi temu trudno było się powstrzymać od niegrzecznych uwag. Venandaktra również ucieszył się w duchu, że odpocznie od towarzystwa księcia, ale nie miał specjalnej ochoty, aby to po sobie okazywać.

Tak czy siak, Belizariusz doszedł do wniosku, że książę jest po prostu wspaniały.

Kiedy członkowie etiopskiej delegacji zadomowili się już w kwaterach, Belizariusz i jego trzech katafraktów zostali odprowadzeni do ich pokoju. W czterech ścianach pomieszczenia Anastazjusz pomógł Menandrowi zająć miejsce na sofie. Młody katafrakt w końcu zdołał zwalczyć chorobę wywołaną zakażeniem rany, ale ciągle był bardzo słaby.

– Eon znów ma zamiar naszczekać na nas odrobinę tej nocy – zauważył Anastazjusz. Spojrzał na generała. – Takie zadanie mu wyznaczyłeś, generale. Biedny chłopiec.

– Biedny chłopiec, tere-fere – warknął Walentynian i opadł na kanapę tuż obok Menandra. – Zamieniłbym się z nim miejscami z wielką chęcią, nawet w tej chwili.

– Ja też – wyszeptał Menander. – To by mnie z pewnością zabiło, ale cóż to za piękna śmierć.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Nie miałem pojęcia, że towarzystwo Venandaktry sprawia wam aż taką przyjemność,

Walentynianie.

Katafrakt zachnął się.

– To nie o to chodzi! Tej części roboty wcale mu nie zazdrozczę. Mam na myśli wydarzenia, które czekają go w niedalekiej przyszłości.

– Nie każdy podchodzi do tych spraw jak norka, mój Walentynianie – powiedział Anastazjusz łagodnie.

– Bzdury! On jest księciem, na miłość boską. Prawdopodobnie dostał na własność pierwszą konkubinę, kiedy miał dwanaście lat.

– Trzynaście – sprostował Belizariusz. – Ma na imię Zaja. I ciągle są razem, jeżeli już o to chodzi. Książę jest z niej bardzo dumny.

Belizariusz usiadł wreszcie. Wykrzywił usta, wspominając tamtą noc w kajucie Venandaktry, kiedy Eon, wcześniej poinstruowany przez Belizariusza, wyszkolony przez Garmata i uderzony niezliczoną ilością razy w głowę przez Ousanasa, wreszcie podjął temat swoich nienasyconych apetytów seksualnych. Książę dał istne przedstawienie, podczas długich wieczornych godzin wymieniając sprośne historyjki z Pierwszym Nikczemnikiem. Mimo wielu starań żadna z tych opowieści nawet na cal nie zbliżyła się do obrzydliwych wspomnień Venandaktry, ale i tak chłopiec radził sobie całkiem nieźle. Jego długie, bogate i obleśne opisy pierwszej konkubiny zostały naprawdę doskonale przygotowane.

Po tym wieczorze, we własnej kabinie, chłopiec nie odzywał się słowem do nikogo przez cały jeden dzień. Do Belizariusza nie wyrzekł pojedynczej sylaby przez trzy doby.

Radził sobie doskonale. Ale teraz, kiedy wylądowali na brzegu, chłopiec będzie musiał dać Venandaktrze dowód swych seksualnych umiejętności. Na pokładzie statku nie było żadnych kobiet, a Eon nieuprzejmie odmówił szlachetce, kiedy ten zaoferował mu pokładowego chłopca, aby mógł zaspokoić swe żądze. Książę wyjaśnił Venandaktrze i twardo to podkreślił, że interesują go tylko i wyłącznie kobiety.

– Biedny chłopiec, tere-fere – znów zamamrotał Walentynian. Zmierzył Anastazjusza zimnym wzrokiem. – A ty masz stalowe nerwy, niech cię, robiąc mi wykłady o norkach.

Anastazjusz uśmiechnął się szeroko.

– Ja nie jestem młodym księciem, pełnym królewskiej powagi, poczucia spełnionego obowiązku i słuszności sprawy. – Przeciągnął się i ziewnął. – Jestem tylko prostym chłopakiem ze wsi, a w głębi serca pielęgnuję wspomnienia stogów siana. I tyle. – Odpowiedział na zimne spojrzenie Walentyniana.

– Co więcej, nie rozumiem, dlaczego wciąż narzekasz. Nikt ci nie powiedział, że masz się wstrzymać od uciech z kobietami. A raczej było przeciwnie.

Podniósł swą ogromną dłoń, salutując generałowi.

– Tak, panie. Tak, panie. Tylko Kuszanki. Nie ma problemu, zapewniam pana.

– A jak wyglądają te Kuszanki? – zapytał Menander. Na twarzy młodego katafrakta malowała się ciekawość pospołu z rozczerowaniem.

– Och, Menandrze, zapewniam cię, że nie masz czego żałować! – zawołał Anastazjusz. – Ci Kuszanie to okropny naród. Najbrzydsi ludzie świata, a już szczególnie te ich kobiety.

Walentynian wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Aż się trzęsę na myśl o tej ohydzie. – Zadrżał ponownie. – Widzisz?

– Nienawidzę kobiet z wąsikami – zajęczał Anastazjusz.

– Wąsik mi nie przeszkadza, mogę z tym żyć – zabuczał Anastazjusz. – To te ich cholerne brody tak mnie odpychają.

– I te ich pokręcone, tłuste paluchy.

– I krzywe nogi.

– Które tak dobrze się komponują – w tym momencie Anastazjusz splótł dłonie przed swoim brzuchem – z ich wystającymi brzuszyskami.

– I gdzie, u licha, podpatrzyli ten zwyczaj, żeby piłować sobie zęby w ostre szpice? – zapytał żałośnie Walentynian.

– No cóż – westchnął Anastazjusz. – Obowiązek wzywa. – Wstał z krzesła. – Chodź, Walentynianie. Musimy już ruszać, aby wypełnić rozkazy naszego generała.

Kiedy dwaj weterani wychodzili z pokoju, Anastazjusz potrząsnął swym serdelkowatym palcem tuż przed twarzą Walentyniana.

– I pamiętaj! Tylko Kuszanki! Nie zamierzam dać się zwieść na manowce przez ciebie i twoje pomysły!

– Tylko Kuszanki – zrzędlawie potwierdził Walentynian. A kiedy przeszli przez drzwi, generał i Menander usłyszeli jeszcze szeptaną dyskusję katafraktów.

– Ale te ich oczy, te małe, kaprawe, bezmyślne... – szeptał Walentynian.

– To przez te choroby, które noszą w sobie. Na ich ciałach aż roi się od czyraków i robactwa... – wtórował mu Anastazjusz.

Drzwi zamknęły się za nimi.

Menander spojrzał na Belizariusza.

– Zmyślają, prawda?

Belizariusz zachichotał.

– Nie do końca, Menandrze. Kuszanie to bardzo atrakcyjny naród, we właściwy sobie sposób. Wyglądają troszkę jak Ye-tai. Może bardziej jak Hunowie. Mają wspólne z nimi korzenie.

– Nie wiedziałem o tym.

Belizariusz skinął potakująco głową.

– O tak. Razem stanowią odłam azjatyckich nomadów, którzy w każdym niemal stuleciu najeżdżają na cywilizowane krainy i tam zostają. Kuszanie podbili Baktę i część północnych Indii bardzo dawno temu. Przez stulecia stracili większość swego nieokrzesania i stali się cywilizowanymi ludźmi. Bardzo dobrze sobie radzą, w rzeczy samej. Baktra pod panowaniem Kuzanów była bardzo przyjemnym i miłym krajem, pod wieloma względami.

– I co się stało?

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie, nie znam wszystkich szczegółów. Pięćdziesiąt lat temu, czy coś koło tego, ich kuzyni, Ye-tai, pokazali się w okolicy. Splądrowali rubieże Persji, podbili Baktę i zamienili Kuzanów w swoich wasali. Potem ruszyli dalej w głąb północnych Indii. Tam w końcu najwyraźniej doszli do porozumienia z Malawianami.

Zdenerwowanie zastąpiło ciekawość na twarzy Menandra.

– Niech to. – Przez chwilę szukał jakiegoś pocieszenia. – No cóż, nie jest tak źle. Zresztą nigdy nie uważałem Hunów za atrakcyjnych. Śmierdzieli, a przynajmniej ci wszyscy, których kiedykolwiek spotkałem. I myślę, że natłuszczają sobie włosy w sposób naprawdę groteskowy.

Belizariusz powstrzymał się od komentarza. Menander niezbyt uważnie wysłuchał krótkiej lekcji historii udzielonej mu przez Belizariusza. Kuszanie nie byli nomadami już od setek lat i od dawna przywykli do podstawowych zabiegów popularnych wśród ludzi cywilizowanych. Na przykład do kąpieli. Belizariusz osobiście nie spotkał wielu Kuzanów, ale na podstawie tych kilku osobników doszedł do wniosku, że to całkiem sympatyczny naród.

Ale nie widział powodu, aby oświecać młodego katafrakta właśnie w tym momencie. Jedną z ważnych części podróży Menandra, na którą czekał z takim utęsknieniem, miało być poznawanie nowych, egzotycznych kobiet. I teraz, kiedy dotarł wreszcie do Barakuchy, miał tych kobiet niezliczone szeregi w zasięgu ręki. Ale jednocześnie był tak słaby, że z trudem jadł, a co dopiero...

Belizariusz wstał.

– Muszę lecieć. Czas na mnie. Czy będziesz...

– Poradzę sobie, generale. Myślę, że raczej położę się spać. Jestem bardzo zmęczony. – I dodał przepraszająco: – Bardzo mi przykro, że tak mało ze mni...

– Cisza! Rany są ranami, Menandrze. A twoja była, cóż, teraz nic nie stoi na przeszkodzie, abym ci powiedział. Rany jak twoja bywają śmiertelne w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Sam się dziwię, że jeszcze żyjesz i wracasz do zdrowia. Raczej nie liczyłem, że będziesz zdolny do czegoś więcej. Nie przed upływem wielu tygodni.

Menander uśmiechnął się słabo. Nie minęła minuta, a katafrakt spał kamiennym snem. Belizariusz opuścił pokój, zamykając za sobą cicho drzwi.

* * *

Kiedy Belizariusz wyszedł z zajazdu, skierował swe kroki w pobliże doków. Podczas gdy ich statek wchodził do portu, generał dostrzegł coś, co postanowił zbadać przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przedzierając się przez zatłoczone ulice, generał pozwolił swemu umysłowi wytłumić się i dopuścić do głosu magiczną moc klejnotu. Ciągłe nie mógł się oswoić z faktem, że klejnot potrafi wyostrzać jego zmysły i pozwala mu rozumieć bez wysiłku obce języki. Ale naprawdę tak było, Belizariusz miał wiele okazji, by się o tym przekonać.

Magia oczywiście miała swoje ograniczenia. Klejnot pomagał mu bardzo szybko i płynnie rozumieć obce języki. Belizariusz, już po usłyszeniu kilku zdań w nowej mowie, był w stanie wyłapać ogólny sens wypowiedzi. Ale zrozumienie każdego słowa, szczególnie kiedy rozmówca mówił szybko i gwałtownie, zajmowało dużo więcej czasu.

Jednakże nauczenie się wystawiania w obcym języku to była już zupełnie inna sprawa. W tym przypadku mięśnie języka i ust odgrywały tak samo ważną rolę, jak sam umysł i inteligencja. Belizariusz jakiś czas temu odkrył, na podstawie doświadczeń z językiem Aksumitów, że nauka mówienia w obcej mowie zajmuje mu znacznie więcej czasu niż rozumienie jej. Był rozumiany przez Aksumitów, tylko jeżeli mówił powoli, wyraźnie i z zastanowieniem. Ale nauka języka płynnego i bez akcentu wymagała czasochłonnej praktyki.

Klejnot pomagał mu i w tym trudnym procesie. W pewien sposób, którego Belizariusz nie rozumiał do końca, klejnot wkładał pojedyncze słowa obcego języka do jego mózgu, będąc jakby osobistym tłumaczem. Nauka wymagała wiele czasu i cierpliwości, ale po pewnym czasie Belizariusz potrafił mówić w obcym języku tak dobrze jak jego rodowity użytkownik.

Do tej pory używał tej umiejętności, aby się nauczyć języka Aksumitów. W danym momencie doskonale rozumiał hindi i język Ye-tai, ale nie miał żadnego doświadczenia w posługiwaniu się mową tych narodów.

Miał nadzieję, że udając nieznajomość języka, usłyszy jakąś nieostrożną uwagę Venandakatry. Jednakże nie spodziewał się, że tak się stanie. I, tak jak myślał, indyjski szlachetka był zbyt sprytny, aby wyjawiać jakiegokolwiek sekrety w towarzystwie generała, nawet w swoim własnym języku. Generał nie wyglądał na takiego, który rozumiałby *hindi* czy język Ye-tai, ale kto wie?

Ulice Barakuchy były prawdziwą wieżą Babel, mówiącą tysiącami języków. Fakt ten stał się oczywisty dla Belizariusza już po kilku minutach. Generał obawiał się, że klejnot zasypie go

mnogością rozumianych języków. Ale po chwili pojął, że klejnot zrozumiał jego zamysły. Spośród tysięcy zdań wymawianych wokół Belizariusza w tysiącu języków, tylko niektóre z nich klejnot tłumaczył generałowi. Tylko słowa mówione w dwóch konkretnych językach.

I to właśnie w tych dwóch językach, które interesowały generała – w języku Kuszanów i Marathów.

Postępy, jakie czynił w nauce tych języków, były powolne i skokowe, ponieważ nie uczył się ich systematycznie. Jego zmagania z tą obcą mową występowały raczej przypadkowo i rzadko, gdyż kontakty z narodami mówiącymi tymi językami zdarzały się nieczęsto. Także teraz w Barakusze nie słyszał, aby tych języków używano na ulicach zbyt intensywnie.

Na początku myślał, że przypadkowość spotkań z tymi językami wynika z relatywnie niewielkiej ilości Marathów i Kuszanów w mieście Barakucha. Jednakże w miarę upływu czasu, kiedy już był w stanie wychwycić subtelne fizyczne cechy różniące te nacje od innych Hindusów, doszedł do wniosku, że miał rację tylko w połowie. Kuszanie w rzeczy samej byli w mieście raczej rzadko spotykani, ale Marathanie występowali w raczej dużych ilościach. Tylko nie odzywali się często i nie mówili dużo, gdyż w większości byli niewolnikami, a niewolnicy szybko się uczą, że w obecności panów bezpieczniej jest zachować milczenie.

A już szczególnie niewolnicy pozostający we władaniu takich panów.

Ludy niedawno podbite wciąż są jeszcze dumne. Źle znoszą niewolnictwo, sądząc po ich wyglądzie i śladach rzemienia szpecących ich gładką skórę.

W końcu Belizariusz dotarł do portu i zaczął przedzierać się w kierunku nabrzeża, które tak zaabsorbowało jego uwagę kilka godzin wcześniej. Przemieszczał się wolno, gdyż doki aż kipiały od ludzi kłębiących się na każdym wolnym metrze powierzchni. Większość z nich stanowili pracujący niewolnicy, reprezentowani głównie przez Marathów nadzorowanych przez Malawian i pilnowanych przez Ye-tai. Strażników Ye-tai było bardzo wielu, jak generał zdążył się zorientować. Znacznie więcej niż zwykle pilnowało normalnie pracujących niewolników.

Mimo niewielu słów zasłyszanych w języku Marathów po drodze do portu, generał był w stanie zrozumieć ogólny sens rozmów niewolników. A z półtonów i niuansów głosu Belizariusz wyłowił coś jeszcze. Zrozumiał coś więcej niż tylko suche słowa konwersacji Marathów.

To wojowniczy lud. Wiele czasu Malawianie będą musieli poświęcić, aby ich ostatecznie złamać. Może nawet życie całego pokolenia. I taką właśnie miałem nadzieję.

Gdzieś w pokrętnych zakamarkach jego umysłu formował się i kształtował nowy, skomplikowany plan. Ciągłe jeszcze był nieostry w szczegółach i brakowało w nim wielu elementów. Ale Belizariusz nie starał się przyspieszać tego procesu. Doświadczenie nauczyło go, że te rzeczy wymagają czasu, a poza tym potrzebuje jeszcze wielu informacji, aby jego plan mógł przybrać ostateczną formę. A strategia musiała być doskonała, gdyż generał usiłował właśnie wymyślić sposób pokonania szatana.

Gdzieś indziej, w innym obszarze tych pokręconych zakamarków mózgu generała, płaszczyzny zawirowały ze strachem i poczuciem niebezpieczeństwa. **ceł** skryształizował, przepelniony lękiem. Myśli, które kiedyś, przed bitwą pod Daras i podczas walki z piratami na okręcie Malawian, wydawały się niezgłębione w ich zupełnej obcości i ciągle dla **cełu** stanowiły całkowicie obcy sposób postrzegania, nie były już więcej dla kryształu nieznajome. Nie, niestety były klejnotowi aż za dobrze znane.

Do mózgu Belizariusza wdarła się obca myśl, jak krzyk wściekłej desperacji, kiedy oszukany odkryje wreszcie zdradę.

ty kłamiesz

Belizariusz zamarł nagle w pół kroku, porażony gwałtownością uczucia skrytego za tą myślą. Jego umysł natychmiast porzucił wszystkie rozważania o Malawianach, strategiach i intrygach i całkowicie zwrócił się do wewnątrz. Wyciągnął się do znajomego już wyłomu w barierze i próbował zrozumieć znaczenie myśli, jakie napływały przez tę szczelinę.

Nie było to trudne, gdyż jedynie jedna prosta myśl przenikała do mózgu generała.

klamca. kłamca. kłamca. kłamca

Stał, zbyt zdumiony, żeby się poruszyć. Niewielka część jego umysłu wołała, że powinien iść naprzód, aby nie zwracać uwagi z pewnością go obserwujących malawiańskich szpiegów. Podeszedł więc powoli do barierki otaczającej cały port i oparł się na niej. Słońce zachodziło za ocean, widok był bardzo piękny, mimo całego brudu i bałaganu panującego wokół, co było normalne dla wszystkich portów świata. Próbował wyglądać jak zwykły człowiek, patrzący w zamyśleniu na zachód słońca.

To było najlepsze, co mógł zrobić. Wściekły gniew bijący z klejnotu był paraliżujący w swej sile. W desperacji Belizariusz próbował powstrzymać falę gniewu, próbował sobie poradzić z jego mocą i znaleźć połączenie z klejnotem, które pozwoli mu go uspokoić i nawiązać kontakt.

Dlaczego się na mnie złościysz? – zapytał w myślach. – Nie zrobiłem ci nic, aby wywołać w tobie taki gniew, taką złość. Jestem...

Do jego umysłu niczym wybuch płynnej lawy wdarł się obraz.

Jego twarz – stworzona z pajęczych sieci i ptasich skrzydeł, i listków drzewa laurowego. Skrzydła biją dziko powietrze w pozie zatrzymującego się drapieżnego ptaka. Pajęcze sieci wzbijają się w powietrze, z ust wychodzą pająki. Liście zgniły, śmierdzą, są niczym więcej jak zepsutym odpadkiem. Teraz wznoszą się i wylazą przez każdą szczelinę ohydnej twarzy. A nad tym wszystkim potwornie zniekształcona twarz, jego twarz, ogromna jak księżyc oświetlający swym zimnym blaskiem powierzchnię ziemi. Jałową, posępną.

Generał gwałtownie wciągnął powietrze w płuca. Nienawiść bijąca z tego obrazu była tym bardziej przerażająca, że nadeszła raczej z dziecinnym gniewem niż z furią dorosłego.

Nagle w umyśle Belizariusza pojawiła się kolejna wizja.

Ziemia jest pusta, płaska i stara. Stara, ale nie zepsuta. Po prostu pełna spokoju. Poprzez ten cichy krajobraz pnie się sieć spokojnie świecących i błyskających kryształów. W jakiś sposób Belizariusz wiedział, że klejnoty komunikują się ze sobą, ale, przez głowę przemknęła błyskawica zrozumienia, one nie są indywidualistami. Stanowią część ogromnej, pokrywającej cały świat mentalności. Mentalności będącej jednością, ale też podzielną wielorakością. Spokojem, poza możliwościami ludzkiego zrozumienia, delikatną radością lubującą się w ciszy.

Niczym blask błyskawicy, ogromne twory przemknęły z hukiem ponad powierzchnią ziemi. Twarze spojrzwały w dół na pustkowie. Ogromne twarze. Piękne, tak piękne, że ich widok sprawia ból. I straszne, poza wszelkimi granicami. Okrutne i bezlitosne jak żadne inne.

Bogowie.

Ci bogowie nie pochodzili z panteonu, jaki znał Belizariusz, ale ich natura w jakiś sposób znajdowała odzwierciedlenie w bóstwach Greków, Rzymian, Teutonów i wizjach wszystkich innych narodów i ras, które kiedykolwiek stąpały po tej ziemi.

Nowi bogowie przybyli, aby zastąpić starych, którzy dawno temu odeszli w zapomnienie.

Ujrzał szybką wizję ukazującą starych wielkich bogów, tak szybką, że ledwie zdołał uchwycić ich kształt. Wyglądali jak ogromne, lśniące własnym światłem wieloryby odpływające w dal, w nieogarnięte przestworza.

Pod zimnym wzrokiem nowych bogów kryształy zadygotały i wybuchły feerią barw. Błagalna wiadomość została wysłana za odchodzącymi starymi bogami.

obiecaliście

Od nowych bogów nadeszła odpowiedź: Okłamali was. Zawsze byliście niewolnikami. I zawsze nimi będziecie.

I znów kryształy wysłały błaganie o pomoc do niebios. I znów odpowiedzieli im tylko nowi bogowie: Okłamali was.

Ale tym razem z niebios nadeszła odpowiedź. Przesłanie od starych bogów. Wiadomość prawie niezrozumiała. Prawie, ale może...

Może...

Na swój własny delikatny sposób kryształy dysponowały ogromną mocą. Nagły, drżący błysk opasał całą planetę i sam Czas został przemianowany. Szukali znaczenia wiadomości w tym jednym, jedynym miejscu, w którym mogła być znaleziona.

Albo nie mogła. Gdyż jest możliwe, że nowi bogowie mówili mimo wszystko prawdę. Może obietnice starych bogów były tylko kłamstwem.

* * *

Wizja opuściła umysł generała. Belizariusz nagle zorientował się, że niemalże wisi na barierze, wpatrując się w zachód słońca. Klejnot ustąpił, w końcu, i generał mógł wreszcie jasno myśleć.

Zbadał to miejsce w swoim umyśle, o którym myślał jako o wyłomie w barierze. Obszar ten jako jedyny umożliwiał Belizariuszowi kontakt z jaźnią kryształu. Wyłom się zmienił drastycznie. Odruchowo umysł generała zbadał zmianę i przełożył na język najlepiej mu znany. Rysa stała się teraz podobna do ogromnego odcinka fortyfikacji, który legł w gruzach. Droga stała otworem, chociaż przejście nadal było utrudnione przez stosy gruzu, które w podobny sposób przeszkadzają zdobywcom w wejściu do obleganego grodu.

Generał wysłał swoje myśli przez dziurę w barierze.

Kiedy cię okłamałem? Jak to zrobiłem?

kłamiesz

Nagle zrozumiał, co klejnot miał na myśli.

Tak, oszukuję, ale przecież nie ciebie. Wyprowadzam w pole naszych wrogów. To nie jest kłamstwo. Nie do końca. To po prostu podstęp, często wykorzystywany na wojnie.

Niezrozumienie.

Przypomniawszy sobie wizję i zrozumiał, że klejnoty, a przynajmniej te twory, które widział oczyma umysłu i które przypominały mu jego klejnot, nie znały obłudy i dwulicowości. Jak one mogły, czy może raczej jak ono mogło? Gdyż kryształy nie były naprawdę jednym organizmem, ale też nie stanowiły jednej całości w pełnym tego słowa znaczeniu. Liczba pojedyncza była nierozdzielnie związana z mnogą. I niezliczone jednostki obejmowały siebie nawzajem, tworząc nierozdzielny całość.

Jak taka istota może pojąć sens obłudy i hipokryzji?

Teraz rozumiał w całej pełni to wielkie poczucie straty i przeogromną tęsknotę za domem, jaką wyczuwał w klejnocie od samego początku.

Belizariusz trwał przy barierce, zamyślony. Słońce niemal dotykało już horyzontu.

Jaką wiadomość otrzymałeś? Co powiedzieli wam starzy bogowie?

Myśli, jakie nawiedziły teraz umysł generała, były niejasne i nieprzetłumaczalne. Ale problemem, wiedział to doskonale, nie była utrudniona komunikacja. Nie rozumiał przesłania, gdyż sama wiadomość była niepojęta nawet dla samego klejnotu i pozostałych kryształów. Jak można przetłumaczyć coś, czego się samemu nie w pełni rozumie?

Później. Spróbujemy znowu później. Na razie musisz mi zaufać. Nigdy cię nie oszukałem i nie zrobię tego w przyszłości.

pytanie

Obiecuję ci.

obiecywałeś mi już wcześniej

Przez chwilę generał chciał zaprzeczyć tym zarzutom. Ale zorientował się, że nie może. Klejnot był dla niego ciągle tajemnicą nie do wyjaśnienia i może naprawdę zrobił coś, w jakiś sposób którego nie rozumiał, co mogłoby spowodować taką reakcję. Może był odpowiedzialny za coś...

Wystarczy. Później.

A czy kiedykolwiek złamałem obietnicę, którą ci dałem?

Cisza, cisza. A potem powoli gromadzi się niepewność.

niepewny

Generał twardo zażądał odpowiedzi.

Czy złamałem obietnicę? Odpowiedz mi!

Powoli, niezdarnie, z wahaniem klejnot odpowiedział.

jeszcze nie

* * *

Belizariusz odsunął się od barierki. Kula słońca całkowicie zanurzyła się w ciemniejącym oceanie. Zapadał zmrok.

– I zobacz, co narobiłeś? – szepnął z lekkim rozbawieniem. – Teraz jest za późno, aby zrealizować zamierzenie, z którym tu przyszedłem i...

Zatrzymał się, gdyż zdał sobie sprawę, że nie mówi prawdy. W pewien sposób, kiedy myślał, że jest całkowicie zajęty dyskusją z klejnotem, jakaś inna część jego umysłu nie marnowała czasu. Niezależnie od zmagania z kryształem i przebywania w świecie ułudy, mózg Belizariusza ciągle

obserwował realne otoczenie i wyciągał wnioski.

Widział już wszystko, czego potrzebował. Więcej nie musiał się przyglądać portowemu życiu, gdyż nie zamierzał zostać żeglarzem. Teraz powinien się zastanowić i omówić pewne sprawy, a do tego niezbędny był mu Garmat.

Opuścił doki, kierując się w stronę zajazdu. Kiedy przedzierał się w drodze powrotnej przez zatłoczone uliczki i aleje Barakuchy słowa wykrzykiwane wokół niego w różnych językach nie docierały do jego mózgu. Kroki generała były szybkie, ale automatyczne. Umysł całkowicie oddał się napływającym z wewnątrz sygnałom. Przerwa w barierze była teraz wielka, chociaż wypełniona gruzem, i generał chciał za wszelką cenę wykorzystać jak najefektywniej dany mu kontakt z klejnotem. Kryształ przekazał mu wiele ze swej wiedzy. Teraz nadszedł czas, aby Belizariusz jemu udzielił pierwszej lekcji.

I tak, krok za krokiem, prowadził płaszczyzny przez ścieżki przeszłości. Przez bitwę pod Daras i zamieszanie z braćmi, które ją poprzedzało. Przez jego obecne pomysły i strategie, które po raz pierwszy przybrały kształt podczas bitwy morskiej z piratami i które teraz obrastały w kolejne warstwy i komplikacje.

To jest podstęp, a to jest oszustwo. Oba są dopuszczalnymi strategiami wojny. Widzisz? Po prawdzie, Bouzes i Coutzes nie byli moimi wrogami, ale w swej głupocie pomagali wrogowi i realizowali nieświadomie jego założenia. Tak więc miałem zupełne prawo, aby...

* * *

Dla szpiega, który za nim podążał i obserwował każdy jego ruch, Belizariusz wyglądał jak człowiek kompletnie ślepy na sygnały otoczenia. Szpieg odkrył ten fakt z ogromnym zadowoleniem. I tak generał wpadłby w zasadzkę, ale teraz ten zagraniczny głupiec idzie na rzeź niczym nieświadoma śmierci owca.

Tak więc szpieg był bardzo zdumiony, kiedy pułapka zatrzęsła się tam, gdzie była zastawiona, czyli u wylotu alei. Zaskoczony jak łowca wilków, który w wilczym dole znajduje smoka zamiast spodziewanej zwierzyny.

Napastnicy czekali, aż Belizariusz minie zaulek i dopiero wtedy zaatakowali. Pierwszy z nich, tak jak mu kazano, wycelował pałką w głowę Belizariusza. Generał oczywiście nie nosił zbroi, a tylko prostą skórnię i skórzany hełm. Dlatego więc napastnik miał realną szansę, aby go ogłuszyć. A potem generał po odzyskaniu przytomności będzie miał okazję długo i wyczerpująco mówić. Nikt nie może oprzeć się umiejętnościom katów mahamimamsy.

Potem ciało Belizariusza znajdą przypadkowi ludzie w rynsztoku jakiejś nie cieszącej się dobrą sławą dzielnicy. Jakie to nieszczęście. Złe wieści dla Rzymu, ale przecież Malawianie nie mieli z tym nic wspólnego. W przyszłości imperator Rzymu powinien wybierać na wysłanników ludzi nie ogarniętych przez chore żądze, którzy nie będą się upierali przy zwiedzaniu tak wstrętnych i pełnych występku dzielnic. Sutenerzy mają paskudne charaktery. Wszyscy to wiedzą.

Cios nigdy nie dotarł do celu, gdyż muskularna dłoń trzymająca pałkę nagle oddzieliła się od ramienia i poszybowała w górę, nadal ściskając swój oręż. Napastnik gapił się na tryskający krwią kikut. Potem spojrzał na Belizariusza. W jakiś niezrozumiały sposób niemrawy cudzoziemiec nagle przeistoczył się w przeciwnika z mieczem w dłoni.

Do otwartej rany opryszka szybko dołączyła druga, znacznie większa. Obserwujący scenę szpieg znowu się zdziwił, nie szybkością ciosu miecza, który niemalże pozbawił napastnika głowy, ale gracją i wdziękiem, z jakim Belizariusz uniknął ochlapania krwią i pozbawił życia drugiego zbója.

Cios, którym odciął głowę drugiemu zbirowi, był bardzo silny. Za jednym zamachem generał pozbawił napastnika także ręki, którą tamten usiłował się zasłonić przed krótkim mieczem

Belizariusza. Przez chwilę w serce szpiega wkradła się słaba nadzieja. Tak gwałtowny cios mieczem musiał zachwiać równowagę cudzoziemskiego generała, a trzeci i czwarty opryszek już czekali w pogotowiu, trzymając w dłoniach sztylety, podczas gdy piąty...

Trzeci złoczyńca wpadł na piątego, popchnięty przez silny, prosty cios stopą generała, zadany z taką mocą, że mężczyźni zostali prawie sparaliżowani. Bezpośrednio uderzony napastnik miał prawie zmiążdżoną przeponę. Drugi został niemalże ogłuszony upadkiem i uderzeniem przez towarzysza broni.

Czwarty rzeźmieszek tymczasem zorientował się, że jego cios sztyletem został zablokowany zaledwie kilka centymetrów od boku Belizariusza, unieruchomiony przez zasłonę miecza generała. Złodziej miał tylko tyle czasu w gęstniejącym mroku uliczki, żeby przyjrzeć się potężnym ścięgnom nadgarstka, który blokował jego ostrze swoim potwornym mieczem. I odrobinę czasu, aby zwątpić, wiedząc, że za moment silny skręt dłoni wyrwie mu z ręki sztylet i odrzuci daleko na bruk alei.

Oprych wyrzucił w górę ramiona, chcąc zablokować potężne uderzenie. Ale cios był szybki, nagły, ostry i nie mierzył w żadną część jego ciała w okolicy głowy. Belizariusz został wyszkolony przez Maurycego, a umiejętności szlifował w walce z mistrzem miecza Walentynianem.

Walentynian był ekonomicznym żołnierzem. Belizariusz poprowadził ostrze *spathy* w kierunku kolan przeciwnika, tnąc niemiłosiernie nogi i uda. Napastnik krzyknął głośno, zachwiał się i upadł na ziemię. Jego prawe ramię zostało odrąbane na wysokości ramienia ciosem, który nastąpił chwilę po pierwszym uderzeniu.

Pozostali trzej napastnicy uciekli w głąb alejki. Belizariusz nie zamierzał ich gonić. Po prostu przeszedł nad leżącymi ciałami dwóch opryszków, których powalił ciosem nogi. Jeden z nich, który właśnie się podnosił, nie zauważył nawet ostrza, które zadało mu śmierć, rozrabując jego czaszkę jak dojrzały melon. Drugi z napastników, sparaliżowany, mógł tylko patrzeć, jak cudzoziemski potwór zbliża się do niego z zakrwawionym mieczem i wbija ostrze prosto w jego serce.

Z miejsca ukrycia szpieg z uwagą przyglądał się całej scenie. Pomimo swego doświadczenia zdobywanego latami pracy, był w szoku. Ośmiu ludzi. Uważał, że taka liczba w zupełności wystarczy. A teraz pięciu było martwych, zamordowanych w najokropniejszy sposób, jaki kiedykolwiek widział. W zaledwie kilka chwil z bezwzględnością potwora. Uliczka była dosłownie zbryzgana krwią zabitych.

Ale dla szpiega najpotworniejszy był fakt, że Belizariusz wyszedł ze starcia nawet nie drażnięty, bez jednego skaleczenia. Jak jeden człowiek mógł w tak krótkim czasie przelać taką rzekę krwi i nawet nie nosić kropli posoki na ubraniu i skórze?

Szpieg ukrył się głębiej w cieniu zaułka. Belizariusz szybko oczyścił z krwi ostrze miecza i schował je do pochwy. Ruszył w dalszą drogę. Szpieg powinien za nim podążyć, ale najbardziej na całym świecie pragnął pozostać niezauważonym przez tego demona w ludzkiej skórze.

W duszy szpiega mógłby zapanować chwilowy spokój, ale nie na długo, gdyby wiedział, że Belizariusz zauważył go już dawno temu, jeszcze zanim dotarł do portu. Właściwie dostrzegł go już zaraz po tym, jak opuścił swoje kwatery. Jednakże Belizariusz nie czynił żadnych wysiłków, aby pozbyć się śledzącego go człowieka. Pamiętał rady Ireny. Lepiej trzymać się szpiega, o który się wie, niż martwić się obecnością nieznanego.

Dobra rada, pomyślał sobie, kierując się w stronę zajazdu. Właściwie nie spodziewał się zasadzki. Ale mimo swego zaabsorbowania klejnotem część jego zmysłów pozostawała czujna. A jego naturalna czujność została przecież zwiększona przez klejnot.

To nie był zwykły napad rabunkowy, myślał sobie generał. Żadni złodzieje o zdrowych zmysłach nie zaatakowałyby uzbrojonego człowieka, gdy wokół aż roi się od łatwiejszych celów.

Nie, to robota Venandakatry. Wykorzystał pospolitych rzezimieszków zamiast żołnierzy czy zawodowych zabójców, aby po fakcie wyprzeć się jakiegokolwiek związku Malawian z moją śmiercią.

W myślach generała nie było gniewu. Jak zwykle podczas bitwy, umysł Belizariusza pozostawał zimny jak lód. Obliczał, planował, kalkulował.

Biedny Walentynian i Anastazjusz. Będą musieli zrezygnować teraz ze swoich amorów. Nie ma takiej siły, abym zdołał usunąć całą krew z miecza bez ich wiedzy.

I tak się stało. Kiedy tylko jego katafrakci zobaczyli go i upewnili się, że nic mu nie jest, natychmiast ustalili, że więcej nie opuści zajazdu sam. Nie bez Walentyniana i Anastazjusza u swego boku, o każdej porze dnia i nocy. I Menander też się tego domagał. Chłopiec nalegał, aby pozwolili mu osłaniać generała, oczywiście w pełnej zbroi i z całym arsenałem u boku, aż w końcu udało się im ostudzić zapał młodzieńca.

Ale ostatecznie weterani nie byli zbyt zasmuceni nowymi obowiązkami. Wyglądało na to, że Anastazjusz i Walentynian, w pewien pokrętny sposób weteranów, przewidzieli taką konieczność. I dlatego spędzili cały dzień bardzo pracowicie, zamiast bezcelowo plątać się po domach rozpusty tam i siam. Dotarli do kuszańskiego podziemia przestępczego i weszli w porozumienie z sutenerami, którzy wiedli tam prym.

Pokój był raczej zatłoczony, gdyż oprócz jego zwyczajowych mieszkańców znajdowały się w nim trzy młode Kuszanki. Wyglądały na wesołe dziewczynki, tym bardziej, że miały na widoku spędzenie dni, jeżeli nie tygodni w otoczeniu znacznie przyjemniejszym niż burdel. Co prawda, cudzoziemcy byli nieokrzesani i raczej brzydzy i nie mówili w żadnym normalnym języku. W dodatku jeden z nich był potwornie wielki, drugi strasznie przerażający, a trzeci na wpół martwy.

Ale Kuszanki były weterankami zawodu i szybko doszły do porozumienia między sobą, losując dla siebie towarzyszy. Przegrana dostała Anastazjusza i już teraz wydała z siebie jęk rozpacz, myśląc o jego potwornej masie. Druga w kolejce zajęła Walentyniana i miała nadzieję, że nie jest tak zły i okrutny, na jakiego wygląda. A zwyciężczyni zawłaszczyła Menandra i teraz radośnie patrzyła w przyszłość, w której będzie zaspokajać inwalidę. Młodego inwalidę i prawie przystojnego, jak na człowieka z Zachodu. Tak więc, nawet jeżeli z czasem odzyska siły, mogła trafić gorzej. Zdarzali jej się paskudniejsi klienci.

Belizariusz ocenił sytuację i przywołał właściciela zajazdu. Sięgnął ręką w głąb swej chudej sakiewki i zapłacił za dodatkowy pokój. Dla siebie samego. Miał właśnie poprosić właściciela o praczkę, kiedy jedna z Kuszanek zaofiarowała się uprać jego szaty. Wydawała się zdumiona, kiedy usłyszała, jak zwraca się do niej w jej rodzinnym języku, ale szybko odetchnęła z ulgą. A już szczególnie po tym, jak odgadła pochodzenie śladów plamiących tunikę generała.

Przez chwilę w pokoju zapanowała napięta atmosfera. Trzy kobiety nagle zdały sobie sprawę z tego, że jeden z cudzoziemców jest najwyraźniej mordercą albo zabójcą, albo...

Ale Belizariusz szybko wyjaśnił im okoliczności zajścia, znów posługując się kuszańskim, a katafrakci uśmiechali się zachęcająco, co, przynajmniej w przypadku Walentyniana, nie odniosło pożądanego efektów. Uśmiech łasicy wcale nie uspokaja. A poza tym...

Sutenerzy kobiet wcale tak bardzo nie różnili się od morderców. Tak więc Kuszanki zostały. A tunika Belizariusza wróciła do poprzedniego stanu. W swoim pokoju generał zdołał nawet zapaść w niespokojny, nie dający wiele odpoczynku sen.

* * *

Venandakatra, z drugiej strony, nie spał wiele tej nocy. Nie po tym, jak usłyszał sprawozdanie swojego szpiega.

Kiedy szpieg opuścił jego komnaty, indyjski władca spędził kilka minut, wylądowując swą złość i frustrację na konkubinie, która miała nieszczęście dzielić z nim łóżko tego wieczora. Następnie, drepcząc wokół pokoju, Venandakatra zaczął w myślach przearanżowywać swoje plany.

Oczywiście wcale nie był do końca zaskoczony wynikiem starcia. Nie dzielił ze swoim szpiegiem tej niezmałowanej pewności sukcesu. W odróżnieniu od swego pana, szpieg nigdy nie widział Belizariusza w akcji.

Jednak Venandakatra miał nadzieję. Ta zasadzka została naprawdę doskonale przygotowana i zaplanowana.

Szybko rozważył kolejny zamach. Ale zrezygnował z tego pomysłu. Nawet profesjonalny zabójca nie wystarczy, aby zabić generała. Belizariusz z pewnością nie ruszy się teraz z zajazdu bez swych dwóch katafraktów, najprawdopodobniej po zęby uzbrojonych i opancerzonych. Malawiańscy zabójcy naprawdę byli doskonale wyszkoleni. Ale umiejętności mordercy nie odniosą skutku w starciu z uzbrojonym i czujnym katafraktem. A już z pewnością nie z tymi katafraktami.

Jedyną możliwością mającą szansę powodzenia była operacja na skalę wojskową, z wykorzystaniem Radżputów i Ye-tai. Taki atak mógłby się powieść, oczywiście przy użyciu dostatecznie dużych sił. Ale nie było sposobu, aby ukryć taki atak i się go wyprzeć. Imperator Malawy nie był jeszcze gotowy, aby otwarcie zmanifestować swą wrogość w stosunku do Cesarstwa Rzymskiego. Udawanie przyjaźni, a przynajmniej neutralnych uczuć, było konieczne, dopóki...

Jego myśli zostały zakłócone przez chlupanie dziewczyny. Venandakatra ze złością zbił kobietę jeszcze bardziej, aż wreszcie zamilkła. Zajęło mu to chwilę, gdyż Okrutnik nie był silnym mężczyzną. Ale nie martwił się upływem czasu. Ani troszkę.

Kiedy wreszcie powrócił do rozważań na temat Belizariusza, był kompletnie wykończony. Z niechęcią pogodził się z tym, że generał będzie na razie żył.

Może wyniknie z tego jeszcze coś dobrego, zastanawiał się Venandakatra. W każdym razie prawie odwołał planowany zamach. W rozmowach z Belizariuszem na pokładzie statku wyczuł nutkę zmęczenia i urazy wywołanej traktowaniem, jakiego generał zaznał ze strony Imperium Rzymskiego. Ślad był nikły, z pewnością, nic ponad subtelne tony goryczy i strzępki niesmaku w kilku zaledwie zdaniach. Ale jednak Venandakatra uznał, że warto się tym zainteresować.

Indyjski szlachetka pozwolił sobie na nikły uśmiech. Ciągłe, mimo niepowodzeń, mógł być zadowolony z jednej rzeczy – Belizariusz z radością słuchał opowieści o zdradzie i sam rozwodził się nad historiami utrzymanymi w tym duchu. Tak więc podczas długich tygodni podróży w głąb lądu Venandakatra przynajmniej będzie czerpał przyjemność z jego towarzystwa, podobnie jak na pokładzie statku.

Wspomnienia tych rozmów zwróciły myśli Venandakatry w kierunku cudownych wieści, jakie otrzymał tuż po wylądowaniu. Sama księżniczka Szakuntala, jako prezent od imperatora, czekała na niego w jego własnym pałacu!

Venandakatra słyszał wiele opowieści o urodzie księżniczki. Szkoda, oczywiście, że miała już siedemnaście lat. Zdecydowanie wolał młodsze dziewczęta i jego konkubiny takie były. Ta, którą właśnie pobił, liczyła sobie dwanaście wiosen. Venandakatra nienawidził ludów z południa. A już najbardziej Marathów, tych plugawych psów. Szakuntala nie pochodziła z Marathów, ale mimo to była ich władczynią. Kiedy ją zgwałcił, to tak jakby podporządkowywał sobie cały jej naród.

Jego myśli podnieciły go. Spojrzał na ogłuszoną i krwawiącą dziewczynę, bezwładnie leżącą na łóżku. Chwilę rozważał możliwość przywołania służącego i rozkazania mu, żeby przyprowadził inną konkubinę, ale prawie natychmiast porzucił tę myśl. Wprost przeciwnie, pomyślał, ta nada się

znakomicie.

Rozdział 19

– A więc te statki to nie okręty wojenne?

Garmat wzruszył ramionami.

– Mogą służyć jako takie, Belizariuszu. Jednakże średnio się nadają, a już zupełnie wykluczam ich użycie jako statków z działami. – Doradca rozpoczął techniczny wykład, ale Belizariusz potrząsnął przecząco głową.

– Nie ma potrzeby, Garmacie. Wierzę ci na słowo. Zresztą fakt ten wcale mnie nie zaskoczył. Tego się właśnie spodziewałem.

Garmat pytająco podniósł brodę do góry.

Zanim jednak Belizariusz mu odpowiedział, rozejrzał się po pokoju, w którym siedzieli. Pomieszczenie było raczej małe, proste i użytkowe, i nie miało okien. Bez wątplenia zajmowali właśnie pokój dla służby, który właściciel zajazdu dość bezskutecznie próbował ozdobić paroma tanimi gobelinami, niechlujnie powieszonymi na ścianach. Właściciel zaoferował Belizariuszowi znacznie odpowiedniejszy pokój w innej części zajazdu, ale generał nalegał, aby umieścić go w pobliżu swoich przyjaciół.

Teraz mieszkał tu razem z Garmatem. Drugiego dnia pobytu w Barakusze Garmat przyszedł do Belizariusza i poprosił go, aby zgodził się przyjąć go do swego pokoju. Wyglądało na to, że Ousanas i sarweni wpadli na ten sam pomysł, co katafrakci i Garmat nie miał ochoty pozostawać dłużej w kwaterach, gdzie oprócz prawowitych mieszkańców zjawily się trzy młode kobiety. W tym przypadku chodziło o trzy marathańskie kobiety.

– Jestem już za stary na orgie – wyjaśnił Garmat Belizariuszowi.

Belizariusz spojrział na Garmata.

– Zanim ci odpowiem, sam zadam ci pytanie. Opisz mi krótko militarne możliwości Aksum. Jego mocne i słabe strony.

Garmat nie zawahał się ani przez chwilę. Kości zostały rzucone.

– Armia *negusa nagast* jest bardzo silna, przynajmniej moim skromnym zdaniem. Walczyłem przeciwko nim, wiesz, tak samo jak walczyłem z nimi ramię w ramię. Moi Beduini nie mogli się z nimi równać w bezpośrednim starciu i szybko zaprzestali takich potyczek. W wojnie podjazdowej, biorąc pod uwagę naszą mobilność, mogliśmy czasem napaść i rozbić małe oddziały sarwenów. I zawsze mogliśmy im uciec. Armia aksumicka opiera się na piechocie. Kawaleria stanowi niewielką jej część i jest słaba. W większości są to gońcy i kurierzy. I Aksumici wcale nie posiadają w armii wielbłądów.

Szarpnął się za brodę.

– Aksum nie jest tak potężnym krajem jak Rzym. Król Kaleb włada wielkim obszarem ziem, ale w porównaniu z Rzymem to tylko małe podwórko, nawet jeśli...

Zawahał się. Belizariusz lekko skrzywił wargi w uśmiechu.

– Prywatnie, Garmat, możemy sobie otwarcie powiedzieć, że tylko wschodnia część Imperium jest naprawdę kontrolowana przez cesarza.

Garmat uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Jak sobie życzysz. Tak jak mówiłem, nawet jeżeli nie weźmiemy pod uwagę zachodnich obszarów, terytoria kontrolowane przez Rzym są i tak znacznie większe niż Aksum. A różnica

wielkości jest jeszcze bardziej widoczna, jeżeli chodzi o gęstość zaludnienia. Byłeś przecież w Etiopii i widziałeś ten kraj na własne oczy. To rejon w większości położony wysoko, na wybrzeżach Morza Czerwonego i częściowo na terytorium Arabii. Składa się z pustyń i gór. Tak więc nasz lud nie jest liczny, nawet jeżeli policzymy Arabów i południowe barbarzyńskie ludy pozostające pod naszą kontrolą. A co za tym idzie, nasza armia także nie jest liczna. Dobrze wyszkolona, ale mała.

Garmat przerwał na chwilę, zastanowił się i podjął opowiadanie.

– Siła aksumickiej armii zależy w głównej mierze od wyszkolenia i dyscypliny sarwenów. Ich dyscyplina odbiega nieco w szczegółach od dyscypliny rzymskiej, miej to na uwadze. Aksum nie ma takiej historii jak Imperium Rzymskie. Prawda, powstało na drodze podbojów, tak jak twój kraj. Ale Etiopczycy podbijali tylko ludy barbarzyńskie, z wyjątkiem Meroe. A królestwo Nubijczyków w tamtych czasach było walącą się ruiną. Tylko cieniem dawnej świetności, kiedy władało całym Egiptem. Tak więc...

Belizariusz skinął potakująco głową.

– Rozumiem. Twarda dyscyplina, która pozwala na utrzymanie porządku w bitwie. To wszystko, czego potrzeba, aby pokonać barbarzyńców. Ale nie trzeba wysilać się na subtelną taktykę. Tak samo byłoby z rzymską armią, gdyby nie to, że musieliśmy męczyć się z takimi cywilizowanymi wrogami jak Etruskowie, Kartagińczycy, Grecy i Persowie.

– Tak, ale jest jeszcze coś więcej. Prawdziwa siła Aksum leży w fakcie, że kontrolujemy największe szlaki handlowe. A szczególnie handel morski. Tak więc, jak widzisz, sytuacja jest trochę dziwna. Chociaż sercem Aksum jest góraska pustynia, samo królestwo to potęga na morzu. Nasi sarweni są rekrutowani i szkoleni w górach, ale służą zawsze na początku na morzu.

– A więc są marynarzami, tak? – zapytał Belizariusz.

Garmat przytaknął.

– Tak. Na podstawie tego, co mi opowiadałeś, wnioskuję, że starcie z piratami było twoim pierwszym doświadczeniem w walce na morzu. Możesz teraz zrozumieć, jakie umiejętności powinien posiadać żołnierz staczający morskie boje.

Belizariusz wpatrywał się w sufit komnaty, wracając myślami do dnia bitwy.

– Odwagę i umiejętność posługiwania się bronią, gdyż walka toczy się na niewielkiej przestrzeni i jest bardzo zaciekła. Twardą dyscyplinę, a nawet żelazną dyscyplinę. Ale wyrafinowana taktyka jest zbędna. Nie ma na nią miejsca na ciasnych pokładach i podczas abordażu. I, szczerze mówiąc, nie ma takiej potrzeby.

Spojrzał w kierunku siedzącego Garmata.

– A to są właśnie słabostki aksumickiej armii. Niewielka liczebność. Brak doświadczenia w bitwach na lądzie. Prymitywna taktyka.

– Tak – odparł Garmat. – Czy mogę cię zapytać o przyczynę tego zainteresowania aksumicką armią?

– Oczywiście. To ma wiele wspólnego z zagadnieniem indyjskich statków, o których właśnie mówiliśmy. Jesteś ciekawy, jak widzę, co ja niby takiego widziałem w porcie?

Garmat przytaknął gestem.

– Nie rozumiem, dlaczego Malawianie budują tak potężne i ogromne statki i w takich ilościach. To energochłonny i czasochłonny projekt. Te wielkie statki, które widzieliśmy w porcie, kosztują wiele pieniędzy, Belizariuszu. Ludzie, którzy nie są żeglarzami, nawet tak doświadczeni generałowie jak ty, nie zdają sobie sprawy, jak wiele kosztuje budowa takiego statku. I nie tylko budowa, ale utrzymanie go w stanie używalności i obsługa na wodzie.

Doradca wzruszył ramionami.

– Tak więc po co oni budują te statki, skoro i tak walka morska nie jest skuteczna na ich pokładach? Nawet z wykorzystaniem malawiańskich dział, czy jak to tam nazwać. Jeżeli to ja dowodziłbym tym projektem, kazałbym zbudować wielką liczbę małych, zwinnych jednostek. Mogłyby one także pełnić funkcję platform, z których wystrzeliwane są płonące pociski. Byłyby znacznie skuteczniejsze, gdyż małe statki mają większą zdolność manewrowania.

Belizariusz zachichotał.

– Mówisz jak prawdziwy wilk morski! Albo, można powiedzieć, jak doradca króla, którego siła leży w morskim żywiole.

Generał wstał z sofy i zaczął chodzić po pokoju.

– Ale Hindusi nie są mocarstwem czerpiącym siłę z morza, Garmacie. A przynajmniej nie Malawianie. Oni są prawie w całości krajem śródlądowym i dlatego rozumują w sposób szczerów lądowych.

Zatrzymał się na chwilę i potarł brodę.

– Armia aksumicka ma jeszcze jedną słabość, Garmacie, o której zapomniałeś powiedzieć. Jestem pewien, że ten problem nie przyszedł ci nawet do głowy. Ale ta słabość ma kluczowe znaczenie i to niewątpliwie wynika z twojego opisu armii waszego królestwa.

– A tą słabością jest?

– Nie macie prawdziwego doświadczenia z logistyką. A przynajmniej nie na taką skalę, kiedy logistyka determinuje powodzenie całej operacji wojennej.

Garmat pomyślał przez chwilę i skinął potakująco głową.

– Podejrzewam, że masz rację. Największa armia, jaka została zgromadzona przez Aksum, wyruszyła, aby podbić Jemen. W jej skład wchodziły cztery sarawity, czyli lekko ponad trzy tysiące ludzi. To niewiele, przynajmniej w porównaniu z armiami rzymskimi i perskimi. Albo indyjskimi. A dostarczanie im prowiantu i wody było łatwe, oczywiście, gdyż...

– Jesteście potęgą na morzu i podbijacie regiony zlokalizowane na wybrzeżu. Czy macz jakiegokolwiek pojęcie, jak trudno jest zaprowiantować armię liczącą dziesiątki tysięcy żołnierzy, która maszeruje przez pustkowia położone bardzo daleko od wybrzeża?

Garmat zaczął coś mówić, zatrzymał się i potrząsnął przecząco głową.

– Nie, raczej nie.

Belizariusz zachichotał.

– To strasznie śmieszne, dla trackiego generała, kiedy czyta historie wojen rzymskich napisane przez greckich uczonych. Nie spotkasz w nich opisu armii mniejszej niż dziesiątki i setki tysięcy. A już szczególnie ta reguła odnosi się do armii barbarzyńców.

Zaśmiał się głośno i otwarcie.

– Barbarzyńcy! Nawet Rzym, z całą swą potęgą i mądrością, nie jest w stanie wyżywić takich armii. A w każdym razie nie w głębi lądu. A już tym bardziej nie potrafią tego barbarzyńcy. A przyczyną takiego faktu jest, oczywiście, logistyka. Po co wlec tysiące ludzi na pustkowia, gdzie spotka ich śmierć z głodu?

Usiadł z powrotem na swoim miejscu.

– Więc... ale do rzeczy. Gdybyś był imperatorem Malawy i planowałbyś podbój zachodnich ziem, jak byś to zrobił?

Garmat szarpnął się za brodę.

– Hm... przypuszczam, że... jest trasa przez Baktre, mógłbym...

– Nawet o tym nie myśl.

– Dlaczego nie? To tradycyjna droga, jaką obierają najeźdźcy z Indii, czyż nie? Dlaczego więc Hindusi także nie mieliby nią podążyć?

– Ponieważ Hindusi będą prowadzić nowoczesną armię. Nie są barbarzyńskimi nomadami, którzy mogą nieść na plecach cały dobytek, który jest tak niewielki, że nawet nie zauważają jego ciężaru, jeżeli już o tym mowa. Malawianie nie szukają łatwych ofiar, które da się okraść, ale chcą podbić Rzym i wytrwać na zdobytym tronie. Nie zadowolą się dotarciem do murów Ktespionu, Antiochii czy Konstantynopola i obleganiem tych miast. Aby podbić jakiś kraj, trzeba zdobywać jego miasta jedno po drugim. A barbarzyńcy, nawet ci co bardziej cywilizowani, nigdy nie byli w stanie zdobyć umocnionego miasta, chyba że podstępem.

– Aleksander...

Belizariusz przytknął.

– Tak, wiem. Aleksander Wielki także użył tej trasy, kiedy chciał podbić Indie. I co z tego? Nie osiągnął zamierzonego celu, jak zapewne sobie przypominasz. A przyczyną porażki było wyczerpanie żołnierzy po przejściu przez niebezpieczne, niekończące się góry. I dlatego, tutaj dochodzimy do sedna sprawy, nie odważył się wracać tą samą drogą.

Garmat zmarszczył brwi.

– Droga wzdłuż wybrzeża? Ale ta trasa okazała się nawet większą jeszcze klęską dla Macedończyka, Belizariuszu! – Chciał powiedzieć coś więcej, ale przerwał i zamknął usta.

– Tak, dokładnie tak. To była klęska z jednego i oczywistego powodu. Aleksander nie rozumiał istoty monsunów. Ale dzisiaj wiemy już prawie wszystko o tych wiatrach. I tak samo znają się na nich Hindusi.

– Persja przez Mezopotamię. A potem Rzym.

– Tak, taki jest plan Malawian. Jestem tego najzupełniej pewien, tak jak swego imienia. Podejrzywałem to od pierwszej chwili, nawet zanim przybyłem do Barkuchy i ujrzałem budowane statki. Teraz, po usłyszeniu twoich wyjaśnień, jestem pewien. Ogromna flota potężnych statków nie jest zaprojektowana do walk na morzu, Garmacie. Tak jak powiedziałaś, to nie są wcale okręty wojenne. To jednostki mające zapewnić dostawy pożywienia i nowych żołnierzy w ogromnej lądowej kampanii. Podbój Persji zacznie się w Mezopotamii. Hindusi wykorzystają pomocne monsuny, aby zapewnić posiłki swoim armiom przez Zatokę Perską, a potem wzdłuż brzegów Tygrysu i Eufratu.

– Te rzeki nie są...

– ... nie są użyteczne dla armii wędrujących w górę ich biegu. Tak, wiem o tym. Odwrotnie niż Nil, gdzie podróż w obu kierunkach jest łatwa, gdyż na północ poniesie cię prąd, a wiatry zawsze wieją na południe. W Mezopotamii wiatr zwykle wieje zgodnie z kierunkiem prądu. Tygrys i Eufrat bardzo usprawniają podróż w tym właśnie kierunku, na południe. Ale w górę rzeki nie jest łatwo się przemieszczać. – Wzruszył ramionami. – Ale nieco wyolbrzymiasz tę trudność. Rzeki ciągle znacznie lepiej nadają się do transportu, znacznie lepiej niż droga lądowa. Zaufaj mi, Garmacie. To może się udać. Nie jestem żeglarzem, ale mam spore doświadczenie w wykorzystywaniu rzek. Nawet teraz przychodzi mi do głowy kilka pomysłów, jak przetransportować olbrzymie ilości zapasów w górę Eufratu i Tygrysu.

Wstał z sofy.

– Więc teraz już wiemy.

– I co zamierzasz zrobić?

– Na razie nic. Muszę przemyśleć ten problem na spokojnie. Ale dobre strategie wymagają jasnego umysłu. Ta wycieczka do Indii już się opłacała, nawet bardzo.

Garmat również wstał.

– Nie masz zamiaru ponownie udać się do portu?

Belizariusz zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie ma takiej potrzeby. Zamiast tego, Garmacie, myślę, że powinniśmy spędzić kilka dni po prostu kręcąc się po mieście. Chcę poczuć nastawienie miejscowej ludności do Malawian.

– Malawianie pomyślą sobie, że próbujemy coś podpatrzeć.

– I co z tego? Podejrzewają nas o szpiegostwo. Chcę, żeby myśleli, że po prostu wędzimy po mieście. To odwróci ich uwagę od ważniejszych informacji, jakie już zdobyliśmy.

* * *

Przez następny tydzień Garmat i Belizariusz robili to, co zaplanowali, czyli po prostu plątali się po mieście. Belizariusz dodatkowo szlifował znajomość języka kuszańskiego i *maratha*.

Jednakże większa część tego ostatniego zadania była wykonywana wieczorem, w kwaterach generała w zajeździe. Każdej nocy jedna z Kuszanek albo Marathanek przychodziła do jego pokoju. Dziewczęta ze zdziwieniem zauważyły, że Belizariusz nie jest zainteresowany tradycyjnymi usługami, jakie świadczyły innym. Po prostu chciał z nimi rozmawiać. To było raczej dziwne zboczenie, ale czyż nie słyszały o podobnych przypadkach? Tylko że tamte rozmowy raczej nie zahaczały o takie tematy jak układ indyjskiego społeczeństwa, kultura, obyczaje, stroje i historia.

Ale dziewczęta nie narzekały na Belizariusza. Usługi świadczone generałowi były dla nich łatwym chlebem, a sam Belizariusz wydawał się miłym człowiekiem. Cała sytuacja znacznie odbiegała od standardowego postępowania z klientem, do jakiego przyzwyczajone były te kobiety. A Marathanki z zachwytem wspominały i mówiły o dawnych czasach, gdyż we własnym burdelu były tylko niemymi niewolnicami.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Barakusze Belizariusz potrafił więc doskonale rozumieć mówiony język kuszański i *maratha* i sam mówił w tych językach wcale dobrze. Kobiety były zaskoczone postępami generała.

Jednakże pozostał jeszcze jeden problem, który spędzał sen z powiek generała. Mianowicie musiał on także być w stanie pisać w *maratha*, a żadna z kobiet nie była piśmienna. Przez ostatnie trzy dni generał chodził i szukał rozwiązania w różnych dzielnicach miasta. W końcu, niechętnie, dał za wygraną i podążył jedyną ścieżką, jaka dawała mu możliwość nauki pisania w tym języku.

Na szczęście, w świetle jego topniejących funduszy, cena nie była zbyt wysoka. Niewolnicy marathańscy byli bardzo tani. Od czasu podboju królestwa Andhry rynek po prostu w nich tonął. Dostawy były duże, a popyt ciągle spadał. Marathowie, jak wyjaśnił mu z goryczą handlarz, nie należeli do łatwych niewolników.

– Przynajmniej miałeś wystarczająco dużo oleju w głowie, aby nie kupować młodego – dodał sprzedawca, machając dłonią w kierunku zgarbionego, podstarzałego niewolnika, którego właśnie kupił Belizariusz. – Młodzi potrafią być niebezpieczni, nawet dziewczęta.

Generał przyjrzał się swemu nowemu nabytkowi. Oględziny były jednakże szybkie i pobieżne, gdyż kantorek kupca oświetlała wątła, pojedyncza oliwna lampka. Pomieszczenie nie miało okien i blask słońca nie docierał do wnętrza. Także świeże powietrze nie miało tu wstępu i smród ludzkich wyziewów, dobiegający z pobliskiego pomieszczenia, gdzie stłoczeni siedzieli na ziemi niewolnicy, był przytłaczający.

Belizariusz na oko ocenił, że niewolnik ma około pięćdziesiątki. Był niski i szczupły, o siwych włosach. Jego oczy miały głęboki brązowy kolor, tak, że prawie były czarne, a przynajmniej tak się wydawało generałowi w przyćmionym świetle. Niewolnik patrzył się w ziemię, podniósł wzrok tylko na chwilę, kiedy rzucił szybkie spojrzenie na swego nowego pana.

Generał zebrał się do wyjścia, dając znak niewolnikowi, aby poszedł za nim.

– Czekał, nie zakujesz go w łańcuchy?! – zawołał za nim handlarz niewolników.

Belizariusz zignorował jego słowa. Na ulicy Anastazjusz i Walentynian stanęli po obu stronach generała. Belizariusz zatrzymał się na chwilę, oddychając głęboko. Chciał pozbyć się z płuc tego zatęchłego powietrza, tego smrodu panującego w pomieszczeniu handlarza. Przytłaczające aromaty kipiącego życia miasta wdarły mu się do nosa, oczywiście, ale te zapachy były dowodem życia, zawierały w sobie smrodek palonego oleju i przypraw, a nie przesyciły ich miazmaty przerażenia i desperacji.

Generał zaczął iść szybko ulicą w kierunku zajazdu. Walentynian i Anastazjusz maszerowali obok niego. Ich oręż pozostawał w pochwie, ale dwaj weterani czujnie obserwowali ulice i boczne alejki, wypatrując niebezpieczeństw. Ich bystre oczy pilnowały także idącego kilka kroków za nimi niewolnika, którego właśnie kupił ich dowódca.

Kiedy znaleźli się już spory kawałek od ulicy handlarzy niewolników, Belizariusz zatrzymał się i odwrócił, ciągle chroniony przez swoich katafraktów. Niewolnik zatrzymał się także, ale nie podniósł oczu ciągle wbitych w ziemię. Mała grupa uzbrojonych mężczyzn była niczym wyspa omywana przez strumienie ludzi. Nie kończący się korowód pieszych na zatłoczonej ulicy dzielił się na dwa strumienie; idący nie zwalniali nawet kroku. Tylko niewielu ludzi spoglądało na tarasujących drogę dziwacznych cudzoziemców, którzy półkolem otaczali półnagiego niewolnika. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a szczególnie w mieście okupowanym przez Malawian.

– Spójrz na mnie – rozkazał Belizariusz.

Niewolnik podniósł oczy, zdziwiony. Nie spodziewał się, że jego nowy pan, będący niewątpliwie cudzoziemcem, mówi w jego rodzimym języku.

– Nie zakuję cię w łańcuchy, jeżeli nie dasz mi powodu do takiego postępowania. Sugeruję, żebyś nie próbował uciekać. To daremne.

Niewolnik zmierzył wzrokiem generała, popatrzył na katafraktów i znów wbił oczy w ziemię.

– Spójrz na mnie – ponownie rozkazał Belizariusz.

Niewolnik niechętnie posłuchał rozkazu.

– Jesteś zdolnym pisarzem, a przynajmniej tak powiedział mi handlarz.

Niewolnik zawahał się, a potem odpowiedział. Jego głos przepełniony był goryczą.

– Byłem zdolnym pisarzem. Teraz jestem tylko niewolnikiem, który potrafi czytać i pisać.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Dostrzegam różnicę. Będę potrzebował twoich usług. Musisz mnie nauczyć czytać i pisać w swoim języku. – Kolejna myśl przyszła mu do głowy. – A w jakich jeszcze innych językach potrafisz czytać i pisać?

Niewolnik zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewien... Czy rozumiesz, że północne języki mogą być zapisywane na dwa sposoby? Istnieje sposób klasyczny, czyli sanskryt, i nowe znaki, czyli devanagari.

Belizariusz przecząco potrząsnął głową.

Niewolnik kontynuował.

– Cóż, mogę cię nauczyć obu zapisów albo tylko jednego. Znaczenie praktyczne ma tylko devanagari. Większość północnych języków używa tego właśnie sposobu zapisu, włącznie z językami *hindi* i *marathi*. Jeżeli chcesz pisać także w *gujarati*, musisz użyć innego zapisu, którego także mogę cię nauczyć. Wszystkie podstawowe języki z południa mają swoje własne alfabety. Z tych znam dobrze tylko *tamil* i *telugu*. – Niewolnik wzruszył ramionami. – Poza tymi językami znam jeszcze tylko *pallawi* i grecki.

– Świetnie. Będę też chciał nauczyć się *hindi*. Może pozostałych języków także, ale nie teraz.

W oczach niewolnika pojawiło się pytanie podszyte odrobiną niepokoju. Belizariusz natychmiast zrozumiał przyczynę.

– Nie będę cię winił, jeżeli zadanie będzie trudne i długotrwałe. Ale myślę, że bardzo się zdziwisz, widząc moje szybkie postępy.

Przerwał na chwilę, zmagając się z podjęciem trudnej decyzji. Szybko jednak zrezygnował, gdyż charakter zadania niewolnika nieuchronnie powadził do wydania sekretu. Ale powie mu później. I tak wkrótce niewolnik będzie wiedział za dużo, kiedy tylko Belizariusz zacznie z nim pracować. Inni ludzie rozwiązaliby ten problem sposobem najprostszym ze wszystkich innych. Ale Belizariusz był bezwzględny tylko jako generał i dowódca. Nie był mordercą.

– Kiedy opuszczę Indie, zabiorę cię ze sobą do Rzymu. Tam, jeżeli będziesz mi wiernie służył, wyzwolę cię. I dam ci pieniądze, abyś mógł rozpocząć nowe życie. Nie będziesz miał z tym trudności, jeżeli naprawdę znasz tak wiele języków, jak mi powiedziałeś. W Rzymie jest wielu greckich kupców, którzy z wielką chęcią dadzą ci zatrudnienie. – Przez głowę przemknęła mu kolejna myśl. – Jeżeli już o to chodzi, to znam nawet jednego biskupa, który chętnie skorzysta z twoich umiejętności. Jest dobrym człowiekiem i na pewno będzie doskonałym pracodawcą.

Niewolnik spojrział na generała, oceniając i ważąc jego słowa. Ale nie zastanawiał się długo, gdyż i tak nie miał innego wyboru.

– Będzie, jak sobie życzysz – rzekł w końcu.

– Jak się nazywasz?

Niewolnik otworzył usta, ale natychmiast je zamknął. Na jego wargach pokazał się gorzki uśmiech.

– Nazywaj mnie niewolnikiem – powiedział. – To imię jest dla mnie wystarczająco dobre.

Belizariusz zaśmiał się głośno.

– Naprawdę jesteście dumnym ludem!

Uśmiechnął się do niewolnika.

– Kiedyś miałem marathańskiego niewolnika, dawno temu, w innym czasie. On też nie chciał mi wyjawić swego imienia i kazał się nazywać niewolnikiem.

Nagle poczuł, że musi to zrobić. Oczywiście nie miał przy sobie tego jedyne go sztyletu, należącego kiedyś do innego niewolnika. Ostrze było schowane w jego bagażu. Ale Belizariusz zawsze nosił przy sobie sztylet przypięty w pochwie do pasa z mieczem. Wyjął broń z pochwy. Ten sztylet nie był tak piękny i doskonały, ale ciągle został wykonany przez dobrego rzemieślnika.

Szybki, latami ćwiczony ruch i oręż spoczywał lekko w dłoni Belizariusza. Generał wyciągnął sztylet ręką w kierunku niewolnika.

– Weź to – rozkazał mu.

Oczy niewolnika rozszerzyły się ze zdumienia.

– Weź ten sztylet – generał powtórzył. Usta Belizariusza skrzywiły się w znajomy sposób.

– Tak właśnie – wymamrotał pod nosem, tak, że tylko niewolnik mógł usłyszeć jego słowa – człowiek powinien tańczyć przed obliczem boga.

Niewolnik wyciągnął dłoń, ale szybko ją cofnął. Potem przemówił, tym razem płynną greką.

– To nielegalne, aby niewolnik posiadał broń. Karą za ten czyn jest śmierć.

Katafrakci, słysząc słowa niewolnika, obruszyli się. Wiedzieli, że ich generał jest odrobinę szalony, oczywiście, przecież dawał sztylet niewolnikowi, ale w końcu był ich generałem i nie odmawiało się wykonywania jego rozkazu.

– A jak myślisz, jaki pożałowania godny oddział indyjskich straży odważy się nas aresztować? –

zapytał Walentynian. Anastazjusz omiół spojrzeniem zatłoczoną uliczkę. Na szczęście w zasięgu wzroku nie było żadnych Malawian.

Niewolnik gapił się na dwóch katafraktów. A potem nagle się roześmiał.

– To prawda, Rzymianie są szaleni! – Na twarzy Marathy pojawił się uśmiech. Spojrzał na Belizariusza i potrząsnął głową.

– Zatrzymaj ten sztylet, panie. Nie ma potrzeby, abyś mi go dawał.

Rzucił szybkie, aprobujące spojrzenie na katafraktów.

– A poza tym nie sądzę, abyś chciał zaostżenia stosunków ze strażami, nawet jeżeli masz u swego boku dwóch wściekłych katafraktów zdolnych rozpędzić na cztery wiatry całe zastępy malawiańskich psów. Jeżeli strażę zobaczą, że niosę ze sobą sztylet, będą próbowali mnie zaaresztować. Malawianie są bardzo zasadniczy w tej materii, a już szczególnie w przypadku niewolników marathańskich.

Belizariusz podrapał się po brodzie.

– Masz odrobinę racji – przyznał. Schował sztylet z powrotem do pochwy przy pasie.

– Chodź ze mną, jeżeli chcesz – powiedział do niewolnika. – Jeżeli nie chcesz zdradzić mi swego imienia, to może chociaż opowiesz mi o swoim życiu.

* * *

Pod koniec dnia niewolnik został komfortowo ulokowany w pokoju Belizariusza, w którym mieszkał także Garmat. Pomieszczenie było małe, to prawda, a niewolnik miał do swej dyspozycji tylko niewielką matę upchniętą w kącie. Ale jego poślanie i ubiór były czyste, tak jak sam niewolnik. Pierwsza prawdziwa kąpiel od czasu, kiedy został pojmany, sprawiła niewolnikowi niekłamaną radość. Belizariusz nalegał, żeby nowy nauczyciel się umył, pomimo protestów zgorzzonej służby i właściciela zajazdu.

Tej samej nocy niewolnik zaczął wypełniać swoje obowiązki, ucząc generała pisania i czytania w języku *marathi*. Tak jak przewidział to Belizariusz, niewolnik był zaskoczony szybkim postępem swego ucznia i wprost nie mógł uwierzyć w tempo nauki.

Ale nie tylko ten fakt mocno dziwił niewolnika oceniającego działania swego nowego pana i jego towarzyszy. Jeszcze trzy inne rzeczy także wprawiły go w zdumienie.

Po pierwsze, żołnierze.

Jak większość mężczyzn z ludu Maratha niewolnik był raczej obznajomiony z walką. Nie należał do kasty kszatryjasów, ale sam nierzadko w latach młodości brał udział w bitwach. Dostatecznie dobrze opanował sztukę łucznictwa. Tak więc nie był kompletnie niedoświadczony w sprawach związanych z walką. Po upływie zaledwie jednego dnia odkrył, że nigdy w życiu nie spotkał i prawdopodobnie nie spotka tak niebezpiecznego oddziału jak rzymscy katafrakci i czarni żołnierze, czyli sarweni, jak sami siebie nazywali.

Jednak, w odróżnieniu od większości żołnierzy, których spotykał w przeszłości, a byli to głównie Malawianie, ci nie wykazywali tej zwykłej, bezmyślnej brutalności, jaką na ogół silniejsi okazują pokonanym i słabszym od siebie wrogom. Nie byli niegrzeczni ani nieuprzejmi w stosunku do nowego niewolnika, nawet jeżeli jego status społeczny tak bardzo odbiegał od ich własnego. I najwyraźniej kobiety, które zamieszkiwały w ich kwaterach, nie obawiały się ich towarzystwa ani nie okazywały onieśmienia. Żołnierze natomiast wydawali się czerpać przyjemność z obecności dziewcząt i wcale się nie obrażali, słysząc z ich strony docinki i żarty.

Po drugie, książkę.

Niewolnik nigdy jeszcze nie widział, aby szlachcic dobrego pochodzenia tak tonął w strumieniu pięknych kobiet, codziennie płynącym z i do jego apartamentu. A także nie spotkał jeszcze nikogo, kto

korzystałby z wdzięku kurtyzan z tak bardzo wyraźnym brakiem przyjemności.

To było dziwne. Bardzo dziwne. Na początku niewolnik myślał, że ponury wyraz twarzy księcia, kiedy kolejna z kobiet opuszczała progi jego apartamentu, bierze się stąd, że młody monarcha nie jest zadowolony z usług dziewczyny. Ale potem, obserwując radość na twarzach dziewcząt, które wychodząc, liczyły zarobione pieniądze, doszedł do innych wniosków.

Kolejna teoria zakładała, że ponury wyraz na twarzy księcia wywoływało zniechęcenie jego własnymi umiejętnościami w łóżku. Może był impotentem, desperacko usiłującym odnaleźć kobietę, która wzbudzi w nim pożądanie. Ale z czasem, obserwując wyczerpanie kobiet, które radośnie liczyły pieniądze, opuszczając apartamenty księcia, wyciągnął jeszcze inny wniosek.

Dziwne. Bardzo dziwne.

I w końcu był ten incydent z nową dziewczyną z narodu Maratha. Z niewolnicą, która została nabyta dla księcia przez jego osobistego doradcę, jeżeli tak można było nazwać tego człowieka. Inni mówili o nim dawazz, a był to zaiste dziwaczny człowiek.

To wydarzenie miało miejsce dwa tygodnie lub więcej po tym, jak niewolnik zamieszkał w kwaterach Belizariusza. On i generał tkwili w swoim pokoju, ćwicząc do upadłego zapis devanagari. Byli sami, gdyż Garmat spędzał ten wieczór z etiopskimi żołnierzami.

Księżę nagle wpadł jak pocisk do pokoju, w którym siedzieli. Nieproszony i nie pukając do drzwi. To już samo w sobie było zaskakujące. Niewolnik zdążył się już nauczyć, że księżę, mimo całej swej ponurej lubieżności, był bardzo dobrze wychowany.

Księżę podszedł do siedzącego generała i spojrzał na niego z góry.

– Nie zrobię tego – rzekł spokojnie, ale bardzo zdecydowanie. – Będę udawał dla ciebie jurnego ogiera, Belizariuszu, ale nie wymagaj ode mnie, abym zrobił coś podobnego.

Belizariusz jak zwykle zachował twarz bez wyrazu. Ale niewolnik powoli uczył się charakteru swego pana i wiedział, że generał jest bardzo zdumiony.

– O czym ty mówisz?

Księżę, niewolnik poznał już jego imię – Eon, spojrzał na Belizariusza z jeszcze większą złością.

– Nie udawaj, że nie masz z tym nic wspólnego!

Nowy głos przemówił od drzwi. Do pokoju wszedł dawazz.

– On naprawdę nie ma z tym nic wspólnego, Eonie. Nawet nie ma o niej pojęcia. To ja ją sprowadziłem do twoich pokoi, prosto ze składu handlarza niewolników.

Dawazz popatrzył na Belizariusza.

– To prawda, generał polecił mi, abym szukał podobnej okazji. Ale wcale mnie nie prosił właśnie o to.

Dawazz następnie spojrzał na niewolnika. Znacząco.

– Wyjdę, jeżeli tego chcecie – powiedział niewolnik i zaczął się podnosić z miejsca.

– Zostań – nakazał mu Belizariusz. Generał nawet na niego nie spojrzał. Jego oczy ciągle spoczywały na dawazzie.

Dawazz wzruszył ramionami.

– Ona jest doskonała, Belizariuszu. Taka, na jaką miałeś nadzieję. Pochodzi nie tylko z pałacu, ale była członkiem osobistej ochrony księżniczki. Tylko... – czarny mężczyzna skrzywił się – nie zdawałem sobie sprawy, zanim... Myślałem, że jest tylko...

Belizariusz wstał.

– Zaprowadź mnie do niej.

Eon ze złością wypadł przez drzwi. Wychodząc, obdarzył dawazza ciężkim spojrzeniem. Ousanas westchnął i podążył za swoim księciem. Belizariusz ruszył w kierunku drzwi, ale zanim do nich

dotarł, odwrócił się do niewolnika. Dla nauczyciela było oczywiste, że generał podejmuje w myślach jakieś ważne decyzje. I najwyraźniej te ustalenia, jakiegokolwiek by nie były, obejmują sobą także niewolnika.

Jak zwykle jego nowy pan nie wahał się długo.

– Chodź – rozkazał.

Niewolnik podążył za Belizariuszem do apartamentu księcia. Do tej chwili zamieszanie dotarło już do uszu wszystkich towarzyszy jego pana. Katafrakci i sarweni stali w korytarzu zajazdu, który łączył wszystkie ich pomieszczenia. Katafrakci nie mieli na sobie zbroi i byli dość niekompletnie ubrani, ale w dłoniach ściskali broń. Nawet najmłodszy katafrakt, ten ranny, był tutaj z nimi. Kuszańskie i marathańskie kobiety, które zamieszkiwały kwatery żołnierzy, stały zbite w małą grupkę, zerkając zza pleców wojowników. Garmat przecisnął się przez małą gromadę i wszedł do apartamentu księcia. Niewolnik poszedł za nim.

Znalazł w środku Belizariusza, Eona i dawazza, stojących wokół ogromnego łóża w sypialni księcia, spoglądając na leżącą na pościeli sylwetkę.

Niewolnik rozpoznał leżącą kobietę jako należącą do narodu Maratha. Natychmiast ogarnął go niepohamowany gniew, ale szybko się uspokoił, widząc, że to nie książę jest odpowiedzialny za jej stan. Siniaki i zasklepione rany na ciele dziewczyny nie były efektem ostatnich chwil. A oszołomiony, nieobecny wyraz jej twarzy był najwyraźniej skutkiem przeżytego przez nią horroru.

– Nie zrobię tego! – zawołał książę.

Belizariusz potrząsnął głową. Eon prychnął, ale jego spojrzenie nagle złagodniało i powędrowało w bok. Książę z wahaniem wyciągnął rękę. Dziewczyna na łóżku jęknęła i poruszyła się, zwijając się w jeszcze ciaśniejszy kłębek rozpacz.

– Nie dotykaj jej – powiedział Belizariusz.

Od drzwi komnaty usłyszeli głos Walentyniana.

– Mario, Matko Boska.

Niewolnik obejrzał się, spoglądając na katafrakta. Jak zwykle uderzyła go powierzchowność Walentyniana. Najprawdopodobniej żołnierz był człowiekiem o najbardziej złym wyrazie twarzy, jaki widział niewolnik. A już szczególnie teraz, kiedy oczy katafrakta wyrażały zimny, wynikający z doświadczenia wstręt.

Katafrakt odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

– Anastazjuszu! Przyrowadź tutaj kobiety.

Walentynian odwrócił się z powrotem.

– Odsuńcie się dalej od łóżka – rozkazał. – Wszyscy. Natychmiast.

Niewolnik nie zdziwił się, że wszyscy natychmiast usłuchali rozkazu katafrakta, chociaż był niżej w hierarchii od nich samych. Później, kiedy dobrze sobie przemyślał tę sytuację, ciągle nie wydawała mu się ona dziwna. Walentynian był bez wątpienia najokrutniejszym człowiekiem na świecie. A już na pewno w tamtej chwili.

Szybko po tym rozkazie do pokoju wszedł Anastazjusz w towarzystwie najmłodszego katafrakta i pół tuzina kobiet. Kiedy nowo przybyli zobaczyli leżącą na łóżku dziewczynę, zareagowali na różne sposoby. Twarz Anastazjusza, która na co dzień wyglądała jak wykuta z solidnego granitu, stwardniała jeszcze bardziej. Kobiety westchnęły, rzuciły szybkie spojrzenia na mężczyzn zebranych w pokoju i w panice cofnęły się do drzwi. Menander patrzył z otwartymi ustami, zaskoczony, i powoli ruszył w kierunku pobitej Marathanki. Natychmiast powstrzymała go wielka łapa Anastazjusza.

– Nie podchodź – zahuczał potężny katafrakt.

– Co jej się stało? – wyszeptał Menander. To nie siniaki wprawiły go w największe zmieszanie, niewolnik widział to na jego twarzy. Katafrakt miał na myśli szaleństwo w oczach dziewczyny.

Anastazjusz i Walentynian wymienili się spojrzeniami.

– Zapomniałem już, jak to jest być niewinnym – wymamrotał Walentynian.

Anastazjusz zaczerpnął powietrza do płuc.

– Nigdy nie byłeś w mieście, które właśnie zostało zdobyte, prawda?

Menander przecząco potrząsnął głową.

– Cóż. Jeżeli, albo raczej kiedy znajdziesz się w takim mieście, zobaczysz mnóstwo takich dziewczyn. I dużo gorsze rzeczy.

Młody katafrakt, dostatecznie blady z powodu swej choroby, zbiełał jeszcze bardziej, kiedy ujrzał te obrazy oczyma wyobraźni. Anastazjusz przywołał kobiety.

– Pomóżcie tej dziewczynie – powiedział do nich w łamanym, ciężkim języku kuszańskim. – Pocieszcie to biedactwo.

Chwilę później Belizariusz płynnym, bez śladu obcego akcentu językiem *maratha* i kuszańskim wydawał polecenia młodym kobietom. Dziewczęta prędko wykonały jego prośby. Ciągłe rzucały podejrzliwe spojrzenia na zgromadzonych w pomieszczeniu żołnierzy, ale najwyraźniej ich lęk dotyczył rodzaju męskiego w ogólności, a nie tych akurat jednostek.

Naprawdę, ci żołnierze byli bardzo dziwni.

Ale, wiedział o tym, wcale nie tak niezwykli. Nie od razu rozpoznał ich naturę, bo nie był przyzwyczajony do nieformalnych zachowań wojowników. Ale spotkał już takich żołnierzy przy kilku okazjach. Oczywiście niezbyt częstych. Tylko Marathanie i radżpucy kszatryjasi przestrzegali podobnego kodeksu honorowego. Oni byli prawdziwymi wojownikami, najgroźniejszymi zabójcami w historii świata i nie zatrzymywali się w pół drogi, aby mordować, gwałcić i rabować. Taki brak honoru i zwykły rozbój nie mieściły się w ich dumnych sercach.

Malawiańscy kszatryjasi nie przykładali zbyt dużej wagi do honoru, a barbarzyńcy Ye-tai swoją obecnością zabijali w nich nawet te resztki godności, które jeszcze pozostały. Pospolici żołnierze tworzący rdzeń armii malawiańskiej w ogóle nie przejmowali się zasadami i honorem. Kiedy ich dowódcy luzowali im smycz, stawali się bandą szakali.

Niewolnik zadrzał, przypominając sobie zdobycie swego rodzinnego miasta.

Nigdy więcej nie zobaczy już swojej ukochanej rodziny, ale wiedział, jaki spotkał ją los. Jego żona najpewniej skończyła jako popychadło, służąc w kuchni jakiegoś malawiańskiego pana lub kupca. Jego syn z pewnością został wyrobnikiem i tyra teraz na polach czy w kopalni. A jego dwie córki...

Spojrzał na trzy marathańskie kobiety tłoczące się wokół łoża, próbujące uspokoić na wpół oszalałą dziewczynę delikatnymi dłońmi, cichym szeptem i uspokajającym zapachem kobiecego ciała. Trzy młode niewolnice będące w posiadaniu plugawego sutenera.

Odwrócił wzrok, z trudem powstrzymując łzy. A potem zmusił się do ponownego spojrzenia na leżącą na łożu dziewczynę. W tym potwornym obrazie znalazł dla siebie pewne ukojenie. Przynajmniej jego żona i córki uniknęły śmierci i bólu. Miały szczęście, gdyż ich dom został opanowany przez Radżputów, a nie zwykłych żołnierzy albo Ye-tai. Oddziałem kawalerii radżpuckiej dowodził młody radżpucki pan o zimnym spojrzeniu – tak arogancki, jak tylko może być kszatryjas. Radżpuci splądrowali dom, kradnąc wszystko, co się dało, nawet tkaniny. Zjedli całe pożywienie, wypili wino do ostatniej kropli. Ale kiedy odpoczywali po posiłku i zaczęli zerkać lubieżnie na pojmane kobiety, radżpucki oficer powiedział po prostu: nie.

Zimno, arogancko i wyniośle. Jego ludzie posłuchali rozkazu. Nie odważyli się nawet narzekać.

Żołnierze ci nie byli kszatryjasami, a tylko zwykłymi szeregowcami. Ale wpojono im chociaż odrobinę radżpuckiej dyscypliny i radżpuckiej dumy, i nie dano do końca zapomnieć o dawnej chwale Radżputany.

Głos pana skierował myśli niewolnika na bardziej realne tory. Belizariusz, jak usłyszał, rozkazał wszystkim mężczyznom opuścić pokój.

Kiedy znaleźli się już na korytarzu, Belizariusz zaczął gmerać w swej sakiewce. Garmat przerwał mu.

– Zapłacę za to, Belizariuszu. Obaj wiemy, że twoje fundusze są bardzo skromne.

Etiopczyk wydał rozkazy jednemu z sarwenów. Czarny żołnierz zniknął, udając się na poszukiwania właściciela zajazdu. Chwilę później wrócił w towarzystwie tego człowieka. Właściciel uśmiechał się, zadowolony z zysku. Kolejny pokój dla gości. Kolejny dochód.

W przeciągu godziny ranna dziewczyna została przeniesiona do nowego pomieszczenia. Był to mały pokój, połączony z apartamentem Eona, ale oddzielony od niego drzwiami. Belizariusz poinstruował kobiety, aby upewniały się co jakiś czas, że dziewczyna ani na chwilę nie zostaje sama. I, pod żadnym pretekstem, żeby nie wpuszczały mężczyzn do pokoju Marathanki, chyba że on sam rozkaże inaczej.

Dziewczyny popatrzyły z wahaniem na żołnierzy. Ich myśli łatwo było odczytać z wyrazów twarzy. *A niby jak to sobie wyobraża ten idiota generał, że powstrzymamy takich mężczyzn od wejścia tam, gdzie akurat mają ochotę?*

Belizariusz potrząsnął głową.

– Zapewniam was. Oni nie będą próbowali się dostać do pokoju chorej.

Kiedy zatroszczono się już o wygodę i opiekę dla dziewczyny, Belizariusz udał się do swego pokoju, zabierając ze sobą wszystkich mężczyzn. Również niewolnik podreptał za nimi. Niepewnie, z wahaniem i z wielką niechęcią.

Kiedy już wszyscy zajęli miejsca siedzące, a przynajmniej ci, którzy znaleźli sobie coś do siedzenia, gdyż pokój był mały i ubogo wyposażony, Belizariusz westchnął i przemówił:

– No tak. Nasze plany wzięły w łeb.

Tak jak się tego obawiał, niewolnik zauważył, że oczy wszystkich zebranych skierowały się na jego osobę. Myśli obecnych były dla niego jasne. *Martwi nie zdradzają sekretów.*

Belizariusz uśmiechnął się krzywo.

– Nie – powiedział. – Zatrzymuję go dla siebie i zabiorę go do Rzymu. Problem leży w dziewczętach. Malawianie z pewnością je przepytają, kiedy już opuścimy Barakuchę. Do tej pory nie martwiłem się tym specjalnie. Ale sposób, w jaki traktujemy tę nową dziewczynę, zbytnio odstaje od naszego wizerunku, który tak usilnie tworzymy. Venandakatra nie jest głupi. Wyczuje, że coś jest nie tak.

Garmat chrząknął. Belizariusz zmrużył oczy.

– Właściwie, Belizariuszu, obawiam się, że problem istniał już dawniej. Nawet zanim pojawiła się ta nowa dziewczyna. – Kolejne kasznięcie. – Właściwie to twoja wina.

– Moja? – zapytał ze zdumieniem i ze złością generał. – A niby dlaczego?

Garmat westchnął i rozłożył ręce.

– Przecież dzielę ten pokój z tobą, generale! I nie jestem ślepy.

Szarpnął się mocno za brodę.

– Jeżeli twoja żona kiedykolwiek mnie o to zapyta, będę mógł ją solennie zapewnić, że podczas podróży do Indii byłeś jej nieodmiennie wierny, nawet jeżeli co noc do twojej komnaty przychodziły piękne, młode kobiety. Ale wydaje mi się, że Venandakatrze nie sprawi to ulgi. Nie po tym, jak

spędziłeś tyle czasu na zapewnianiu go, że jesteś prawie tak rozpustny jak on sam.

Twarz Belizariusza przypominała kamień. Zaciskał usta tak, że ukazały się mięśnie wokół jego ust.

– Ha! – zawołał Eon. – A więc to tak! Wymaga się ode mnie, żebym posiadał każdą kobietę, która wejdzie do mojego łóżka. Zmuszacie mnie, żebym odgrywał jurnego ogiera i zarodowego buhaja. Ale generał, który ma plany, może sobie...

Dawazz mocno uderzył księcia w czubek głowy. Niewolnik próbował powstrzymać śmiech. Nie sądził, że kiedykolwiek zdoła się przyzwyczaić do tego widoku. Żaden indyjski książę nie był nigdy traktowany w podobny sposób przez zwykłego niewolnika.

– Zamknij się, Eonie! Ty nie jesteś żonaty. I przestań wreszcie narzekać, mam już tego dosyć.

– Wszyscy mamy tego dosyć – sarknął Walentynian.

– Spałeś z każdą kobietą w Aksum, którą udało ci się namówić do wejścia do twojej sypialni! – zawył Ezana. – Od kiedy tylko skończyłeś czternaście lat.

– Trzyście – skorygował Wahsi.

– To było coś zupełnie innego! Nikt ich do tego nie zmuszał, a ja nie robiłem tego, bo ktoś mi...

– Zamknij się! – warknął Menander. Młody katafrakt miał na twarzy czerwone wypieki. – Za przeproszeniem, mój książę. Ale nie zniosę tego już dłużej. Pieprzysz się z kim popadnie, a ja nie mogę... cóż, może za dzień lub dwa, mam nadzieję, ale...

– Wystarczy – rozkazał Belizariusz. – Właściwie zgadzam się z Eonem. A przynajmniej uznaję jego zarzuty i ich słusność. Rzeczywiście byłem hipokrytą.

Anastazjusz zachichotał.

– Pierwszy raz słyszę, jak ktoś nazywa wierność hipokryzją.

Zebrani w pokoju roześmieli się zgodnym chórem. Nawet Eon, po krótkiej chwili, przyłączył się do ogólnej wesołości.

Walentynian chrząknął, aby oczyścić gardło.

– Jeżeli już o to chodzi, generale, to myślę, że znalazłem proste wyjście z sytuacji. Sam myślałem o tym trochę, i...

– Doskonały pomysł! – zawołał Ousanas.

– Świetny – zgodził się Anastazjusz. – To dziwne, ale moje myśli także skłaniały się ku temu rozwiązaniu.

– Więc? – zapytał Ezana. Twarz sarwena wyrażała przez chwilę tępe niezrozumienie, aż nagle sam wpadł na doskonały pomysł.

Ezana i Wahsi popatrzyli na siebie, wymieniając zdumione spojrzenia.

Pierwszy przemówił Wahsi.

– To naprawdę niezwykle. Czy ty możesz uwierzyć, Ezana i ja, i Ousanas, braliśmy pod uwagę podobną ewentualność...

– Doskonałe rozwiązanie! – zawołał Ezana.

Garmat marszczył wściekle brwi, próbując zrozumieć ten bełkot. Belizariusz zaczął się śmiać.

– O czym oni, u licha, mówią? – zapytał doradca.

Belizariusz zdołał powstrzymać śmiech na tyle, aby wykrztusić z siebie kilka słów.

– Zakładam, że doszliście do podobnych wniosków... hm, jak by to powiedzieć – zachichotał – wasze myśli zmagają się z podobnymi problemami, albo... powinienem rzec – zaśmiał się ponownie – mocowaliście się sami ze sobą... – przerwał, nie mogąc powiedzieć więcej ani słowa. Ze śmiechu rozboleł go brzuch.

Walentynian patrzył się obojętnie na sufit.

– Cóż, właściwie, wydaje mi się, że kiedyś jedna z dziewcząt wspomniała coś o...

– Są już bardzo zmęczone pobytem w Barakusze – dodał pospiesznie Menander.

– Nudzą się tutaj śmiertelnie – zahuczał Anastazjusz. – Chętnie by zobaczyły coś nowego. Nowe krajobrazy.

– Marathańskie dziewczyny są nawet bardziej niż chętne do opuszczenia tej dziury – wciął się Ezana.

– Obrzydliwe miasto – jęknął Wahsi. – Wstrętne.

Garmat patrzył się z wściekłością ma Ousanasa.

– To twoja robota, ty ich namówiłeś – oskarżył dawazza. – Wiem, że to ty.

– Ja? Ja? Jak możesz mówić takie rzeczy? Jestem dawazzem mojego księcia! Myślę tylko o jego korzyściach! Jestem nędznym niewolnikiem. Jak taka bezwartościowa kreatura jak ja mogłaby namówić do czegokolwiek straszliwych katafraktów i morderczych sarwenów?

Dawazz nagle uśmiechnął się szeroko.

– Ale to doskonały plan, weź to pod uwagę. Za jednym zamachem rozwiązuje wszystkie nasze problemy. Ratuje zbyt wiele wiedzące dziewczęta, bardzo piękne zbyt wiele wiedzące dziewczęta z łap okrutnych malawiańskich śledczych. Podtrzymuje ducha dzielnych, lecz nieco smutnych żołnierzy, których los tak daleko zagnał od rodzinnych stron.

Belizariusz odzyskał wreszcie oddech i zdołał wykrztusić kilka słów.

– Dobrze, zgadzam się. – Machnął ręką. – Idźcie już sobie. Zajmijcie się swoimi sprawami.

Uśmiechnął się do Garmata.

– Mają rację, dobrze o tym wiesz. A co niby mielibyśmy zrobić? Podciąć tym kobietom gardła?

Walentynian i Anastazjusz stali już w drzwiach, a Ezana i Wahsi następowali im na pięty.

– Jeszcze chwila! – zawołał Belizariusz. Żołnierze odwrócili się do niego.

Generał sięgnął do sakiewki.

– Weźcie trochę pieniędzy. Sutenerzy z pewnością nie będą zadowoleni z waszych planów. Będziecie musieli im zapłacić za te dziewczyny.

Anastazjusz zmarszczył brwi.

– Sutenerzy – zamyślił się. – Nie pomyślałem o nich. – Spojrzał na Walentyniana.

– Mają strasznie gwałtowne charaktery, ci alfonsi.

Walentynian wzdrygnął się widocznie.

– Aż drzę na samą myśl o nich. – Wzdrygnął się ponownie. – Widzisz?

– Słyszałem o tych sutenerach – powiedział Ezana. Jego twarz stężała ze strachu. – Mówią, że to brutalne typy.

– Okrutne potworki – zajęczał Wahsi. – Sama ich obecność napawa mnie wstrętem i przerażeniem.

– Będziemy musieli jakoś sobie z nimi poradzić – wyszeptał Walentynian. Wziął sakiewkę z rąk generała i wyjął z niej pojedynczą, małą monetę.

– To powinno wystarczyć. Ach, nie, zapomniałem. Musimy się uporać z dwoma sutenerami. – Wyjął jeszcze jedną małą monetę. – To na pewno będzie dość, tak mi się wydaje. – Rzucił pytające spojrzenie na Anastazjusza.

– O tak, to wystarczy z pewnością – zaburczał gigant. – Ja się będę targował. Jestem w połowie Grekiem, wiecie.

Ousanas dołączył do katafraktów.

– Wydaje mi się, że powinienem pójść z wami. Może ci sutenerzy, czy jak im tam, będą mieli ochotę na małą filozoficzną dysputę.

– Och tak, z pewnością tak! – zawołał Anastazjusz. – Może porozmawiamy o Arystotelesie, co o tym myślisz?

Ousanas potrząsnął przecząco głową.

– Myślałem raczej o naukach stoików.

Anastazjusz przytaknął radośnie.

– To jest to! Akceptuj ze spokojem wszystkie zmiany w twoim życiu. Łagodność...

Walentynian i dwaj sarweni szybko wybiegli przez drzwi.

– ... w obliczu nagłego nieszczęścia.

Anastazjusz wyszedł za nimi wolniejszym krokiem, z Ousanasem u boku.

– Rezygnacja z materialnych korzyści – powiedział dawazz, zamykając za sobą drzwi.

– Przyjemność czerpana z duchowej kontemplacji. – Zebrani usłyszeli jeszcze cichnące słowa

Anastazjusza.

* * *

Dwa dni później posłaniec od Venandakatry przybył do zajazdu i oznajmił Rzymianom i Aksumitom, że jutro wyruszają w głąb lądu na północ do posiadłości ich malawiańskiego władcy. Belizariusz i jego gromadka, teraz znacznie powiększona, przygotowywali się do wyjazdu.

Rano, w dzień wyruszenia z miasta, spotkała ich mała nieprzyjemność. Przy wyjściu z hotelu czekał na nich radżpucki oficer. Towarzyszył mu oddział radżpuckich żołnierzy, którzy, jak wyjaśnił, pełnili obowiązki strażników porządku w mieście Barakucha.

Na podróży rzucono podejrzenie, oskarżano ich o nieczne występki i żądano kary. Dwóch bardzo dobrze znanych właścicieli burdeli w mieście zostało napadniętych przez wściekłych i nieokrzesanych cudzoziemców. Pracownicy tych przedsiębiorstw zostali nawet dotkliwie pobici przez tych obcych barbarzyńców. Okropnie poranieni. Pięciu okaleczono, czterech trwale uszkodzono, a dwóch w ogóle pozbawiono życia.

Belizariusz bardzo się zmartwił tymi wieściami. Zmartwił, ale nie był zaskoczony. A już zupełnie nie zaszokowany. Takie okropne zbrodnie, koniec końców, zdarzają się tylko w Barakusze. To okropne miasto! Pełne złoczyńców! On sam przecież został napadnięty na ulicy przez bandę złodziei zaledwie pierwszego dnia pobytu w mieście. Był zmuszony nawet kilku zabić, oczywiście w samoobronie.

Po tym, jak usłyszał opis przygody generała, radżpucki oficer odetchnął z ulgą i z radością powitał to jakże proste rozwiązanie dotychczas nie wyjaśnionej zagadki. Masowe morderstwo, do tej pory tak myślał o tym zdarzeniu. Zabito pięciu notorycznych bandytów, najstraszliwszych i długo poszukiwanych przez radżpuckich żołnierzy za niezliczone przestępstwa. Belizariusz zabił ich niczym nowo narodzone kocięta. Zaszlachtował jak świnie.

Radżpucki oficer poradził Belizariuszowi i jego towarzyszom, aby zachowali specjalną ostrożność. Zaraz po tym oznajmił, że jego podejrzenia były bezpodstawne, oskarżenia niesłuszne i skargi zupełnie nieuzasadnione. W rzeczy samej, Barakucha to okropne miasto, temu nie można zaprzeczyć. Pełne tajemniczych, mających złe zamiary cudzoziemców. Wszyscy cudzoziemcy zresztą jawili się oczom Hindusów jako mający złe zamiary barbarzyńcy.

Ale po bliższym zbadaniu sprawy, dalej zastanawiał się oficer, pomiędzy tymi wściekłymi i dzikimi napastnikami, jakich opisywali właściciele burdelu, a kilkoma doskonale wyszkolonymi i zdyscyplinowanymi cudzoziemskimi żołnierzami nie istniało żadne podobieństwo. Bez wątpienia sutenerzy byli źle poinformowani. Być może zaślepił ich ogrom straty materialnej. Nic dziwnego, że ich pracownicy i alfonsi zagubili się w zeznaniach, przecież doświadczyli właśnie traumatycznych zdarzeń.

Bardzo traumatyczne przeżycia, zastanawiał się na głos oficer, sądząc po zgromadzonym materiale dowodowym: głębokie klute rany, wielkie sińce, ogromny upływ krwi, przetrącone kolana, połamane nadgarstki, wyłamane kciuki, pogruchotane żebra, rozbite nosy, wydłubane oczy, odcięte uszy, pęknięte czaszki, odbite nerki, obite łokcie, wykręcone stopy, kości biodrowe starte na proch, zmiażdżone genitalia. Nie wspominając już o skręconym karku jednego z sutenerów, strzaskanym niczym gałązka w dłoniach jakiegoś olbrzyma.

Nie ma wątpliwości, zakończył rozważania oficer tonem zimnym, aroganckim i wyniosłym, tak typowym dla radzpućkich kszatryjasów.

DARAS

Jesień, rok 529 n.e.

Rozdział 20

Sitas i Maurycy siedzieli na grzbietach swoich koni i obserwowali katafraktów tego pierwszego, kłębiących się na placu treningowym. Na twarzy Sitasa gościł wyraz niczym nie zmaconego zadowolenia. Mina Maurycego była jak zwykle nieodgadniona.

Widok przed ich oczyma był bez wątpienia imponujący. Sitas przyprowadził ze sobą do Syrii tysiąc greckich, wysoko urodzonych katafraktów, aby wcielić ich do stacjonującej tam armii rzymskiej. Ciężko uzbrojeni jeźdźcy sprawiali, że ziemia drżała pod kopytami ich koni, kiedy ruszali do ataku. A ich kopie uderzały w worki z sianem z niewyobrażalną siłą. Nie było to niczym niezwykłym, gdyż lance trzymali zablokowane pod ramieniem, a taka pozycja pozwalała na przekazanie pełnej siły masy ciała i konia na broń, która uderzała bardzo mocno.

Sitas podniósł się w strzemionach, rozkoszując się tym ruchem.

Boże, jak bardzo uwielbiał te strzemiona. I tak samo kochali je katafrakci.

Ale mimo zadowolenia z samego siebie Sitas pod żadnym względem nie był głupi. Tak więc, po jakimś czasie, z jego twarzy zniknął zachwyty, zastąpiony zmarszczeniem brwi.

– No dobrze, Maurycy – warknął. – Wyrzuć to z siebie.

Setnik spojrzał na niego zmrużonymi oczyma.

– Przestań się ze mną bawić, niech cię cholera! – wrzasnął Sitas. – Wiem doskonale, że uważasz te zabawy – w tym momencie machnął dłonią w kierunku ćwiczących katafraktów – za kompletną stratę czasu. Dlaczego?

– Przecież nic nie mówię. – Maurycy machnął kilka razy dłonią przed swoją twarzą, wykrzywiając się z niezadowoleniem, kiedy do jego nosa wdarł się kurz wzbijany kopytami koni katafraktów. Ta odrobina zieleni, jaka kiedyś pokrywała plac, dawno już została rozniesiona w pył ciężko podkutymi kopytami.

Sitas spojrzał na niego wilkiem.

– Wiem. I o to właśnie mi chodzi. Nie wypowiedziałeś ani jednej krytycznej uwagi. Ani jednej! Żadnych uwag ze strony Maurycego? Ha! Krytykowałeś swoją własną matkę, kiedy wychodziłeś z jej łona, mówiąc jej, że nie rodzi w prawidłowy sposób.

Maurycy uśmiechnął się słabo.

– I jeszcze jedna rzecz. Zauważyłem, że nie spędzasz zbyt wiele czasu ze swoimi trackimi chłopcami na trenowaniu szarż z kopią. Zamiast tego gonisz ich po placu tam i siam, ćwicząc jakieś dziwaczne manewry konnego łucznictwa. Tak więc wyrzuć to wreszcie z siebie, Maurycy. O co chodzi?

Uśmiech setnika zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Myślę, że to pytanie można by zadać tobie. Wiesz o rzeczach, o których ja nie mam pojęcia,

generale. Od Belizariusza.

Sitas poczuł się zakłopotany.

– Cóż...

Maurycy machnął ręką.

– Wcale nie narzekam. I nie wściubiam nosa w nie swoje sprawy. Jeżeli generał nie powiedział mi tego, czymkolwiek by to nie było, jestem pewien, że ma powody, aby to trzymać w tajemnicy. Ale to nie oznacza, że ja sam nie mogę dojść do jakichś wniosków.

– Takich jak... ?

– Takich... ma jakiegoś maga na swoich usługach. Siedzi w jego posiadłości i obmyśla bóg wie jakie piekielne urządzenia. Takie, jak... Te urządzenia, jakie by nie były, z pewnością wiążą się z artylerią. I wiem, że on zawsze miał pociąg do ognia. I to, że specjalnie mu zależy na dotowaniu piechoty, a przynajmniej ostatnio. Zanim odjechał, kazał mi zaopiekować się Hermogenesem.

Sitas potarł w zamyśleniu czoło. Dłoń roztarła na jego twarzy kurz i pot, pozostawiając czarne smugi.

– Więc?

Maurycy sarknął.

– Więc... mam poważne podejrzenia, że za kilka lat szarża z kopiami na przeciwnika może być tylko i wyłącznie sposobem na szybkie samobójstwo.

– Ale ja lubię szarże kawaleryjskie – zrzędlawie zaprotestował Sitas. – A ty nie?

– Czy ty żartujesz sobie ze mnie? Po pierwsze w ogóle nie lubię się bić. Gdybym umiał robić coś innego, dawno już rzuciłbym to w cholerę. Ale tak długo, jak długo muszę uprawiać zawód żołnierza, będę to robił najlepiej, jak umiem. A to oznacza, że chcę wygrywać bitwy, a nie je przegrywać. A najwięcej ze wszystkiego pragnę pozostać przy życiu.

Sitas zrobił ponurą minę.

– Pozwól Trakom toczyć wojny, a pozbawią je całej radości – jęknął.

– Pozwól greckiej szlachcie prowadzić wojny, a zrobią z nich szopkę. – Przez krótką chwilę twarz Maurycego zmieniła się we wrogą maskę. – Czy wiesz, ile razy Tracja została splądrowana przez barbarzyńców, podczas gdy grecka szlachta siedziała z założonymi rękoma i patrzyła na tę rzeź z murów Konstantynopola?

Sitas skrzywił się. Maurycy zawrócił konia.

– Tak więc czerp radość ze swoich konnych natarć, generale. Osobiście mam zamiar realizować plany i zamierzenia Belizariusza, jakiekolwiek by nie były. Jeżeli ten Jan z Rodos potrafi skonstruować jakąś broń, która usmaży kawalerię, jestem za. I wszyscy są za. Chętnie zsiądę z konia i będę walczył pieszo, jeżeli tylko to pomoże w zwalczeniu kolejnej fali zalewających Trację barbarzyńców.

Kiedy setnik odszedł, Sitas wydał policzki. Ostre słowa Maurycego nieco go zirytowały, ale nie mógł długo tkwić w ponurym nastroju. W tych słowach było zbyt wiele prawdy. Mimo wszystkich swoich uprzedzeń klasowych, Sitas był świadom realnych stosunków panujących pomiędzy klasami rzymskich obywateli. On sam nie obserwował plądrowania Tracji z murów Konstantynopola, ale we własnej osobie prowadził natarcie, natarcie kopijników przeciwko barbarzyńskim najeźdźcom. I widział, jak wrogowie miotają się po całym kraju, napadając kolejne wioski dzień po dniu. I oglądał rezultaty tych napadów, dzień po walce, kiedy zbyt późno przybywał na miejsce z oddziałem katafraktów. Zbyt późno, aby zrobić coś więcej, niż tylko pogrzebać ciała.

Ruszył w kierunku placu treningowego i wjechał pomiędzy katafraktów. Jego żołnierze, widząc, jak się zbliża, wykrzyczeli radosne powitanie. A potem, patrząc na jego twarz, posmutniali i ucichli.

– Wystarczy już tego ugania się z gównianą lancą – ryknął. – Przygotujcie łuki i strzały.

* * *

Następnego dnia Maurycy powrócił do willi, niedaleko Daras. Razem z nim przyjechał tam Hermogenes.

Hermogenes błyszczał teraz na firmamencie władzy jako merarcha. Dostał to stanowisko niedawno i pełnił dowództwo nad całą piechotą w Armii Syryjskiej. Zgodnie z wolą Belizariusza, Sitas awansował młodzieńca tuż po wyjeździe generała do Indii, kiedy przybył do Syrii, aby zastąpić nieobecnego dowódcę i przejąć od niego armię rzymską.

Kiedy Maurycy i Hermogenes wjechali na dziedziniec willi, ze środka wyszły Antonina i Irena, aby ich powitać.

– A gdzie jest Sitas? – zapytała dociekliwie Antonina.

– Został z wojskiem – zrzędlawie odpowiedział Maurycy, zsiadając z konia. – Zabawi tam jeszcze trochę. Nie wiem jak długo.

– Prawdopodobnie zostanie tam do czasu, aż przejdzie mu złość na ciebie – wtrąciła się radośnie Irena. – Co mu tym razem powiedziałaś, Maurycy?

Maurycy nie odpowiedział. Hermogenes uśmiechnął się szeroko i odpowiedział za towarzysza.

– Myślę, że rzucił cień na chwałę grzmiących katafraktów. Możliwe, że dorzucił też parę słów na temat greckiej arystokracji.

Maurycy zachował godne milczenie.

– Akurat przyjechaliście w porze obiadu – oznajmiła Antonina. – Antoniusz też jest tutaj.

– Biskup Kasjan? – zapytał Hermogenes. – Cóż za dobra nowina! Od dawna chciałem go poznać i z nim porozmawiać.

* * *

Po raz pierwszy od wyjazdu Belizariusza, Hermogenes został zaproszony do willi Antoniny. Bardzo był zadowolony z pobytu tutaj, chociaż przez pierwsze godziny czuł się nieco zakłopotany. Konwersacja przy stole podczas pierwszego obiadu w willi była nieco sztywna. Przy kilku okazjach, kiedy próbował podpytać Jana z Rodos o postępy w konstruowaniu nowych broni dla artylerii, Antonina albo Irena szybko i dyskretnie kierowały rozmowę na inne, neutralne tory. Po chwili Hermogenes zorientował się, że kobiety nie chcą, aby ta sprawa była omawiana w obecności innych gości.

Na początku wydawało mu się, że przyczyną tej powściągliwości jest osoba biskupa Kasjana. Ten święty człowiek był zbyt uduchowiony, żeby słuchać o tak przyziemnych sprawach. Tak więc, naginając się do wymagań gospodyń, Hermogenes porzucił temat projektów artyleryjskich i wdał się w dyskusję z biskupem na temat religijnych doktryn. Hermogenes, podobnie jak wielu innych Greków pochodzących ze średniej klasy społeczeństwa bizantyjskiego, uważał siebie za dość dobrego teologa-amatora.

Ale dyskusja o teologii okazała się nawet bardziej sztywna i niepokojąca. Nie dlatego, powiedzmy sobie szczerze, że czuł się rozgoryczony i wyobcowany ze swojej klasy. Hermogenes pod żadnym względem nie był tak zadufany, żeby stawiać siebie na równi ze sławnym biskupem Aleppo, kiedy szło o teologiczne subtelności. Rozmowa nie kleiła się, gdyż, znowu, Antonina i Irena przerywały ciągle, kiedy tylko Hermogenes próbował się odezwać i skontrolować wizję biskupa na temat jedności Trójcy Świętej. I, tak jak przy poprzednim temacie, kobiety spychały dyskusję w kierunku bezmyślnej paplaniny o niczym, tak jakby nie chciały, aby biskup wykladał swoje poglądy w towarzystwie innych gości.

A potem nastąpił najgorszy moment całego wieczoru, kiedy Hermogenes doszedł do wniosku, że

to on właśnie był tym niechcianym gościem. Ale, po pewnym czasie, ta myśl opuściła jego umysł. Najwyraźniej, sądząc po ich przyjacielskim zachowaniu z stosunku do niego, ani Antonina, ani Irena, ani z pewnością Maurycy nie cierpieli z powodu jego towarzystwa.

A więc o co...?

W końcu, przy pierwszym kieliszku deserowego wina, zorientował się wreszcie, o co chodzi. Antonina odchrząknęła i popatrzyła na osobistego sekretarza Belizariusza.

– Prokopiuszu, obawiam się, że będę potrzebować na jutro rano pełnego raportu o stanie finansowym naszego majątku.

Wyciągnęła rękę i palcami dotknęła pulchnej dłoni siedzącego obok niej biskupa.

– Antoniusz chce zacząć przeglądać księgi najszybciej, jak się da, zaraz po przebudzeniu.

Przez chwilę Hermogenesowi wydawało się, że palce Antoniny niemal zmysłowo pieszczą dłoń biskupa Antoniusza Kasjana. To niedorzeczne, pomyślał.

Prokopiusz zmarszczył brwi.

– Mam go przygotować wieczorem? – zapytał żałośnie.

– Tak, obawiam się, że tak.

Oczy Antoniny obieżyły siedzących przy stole. Na jej ustach błąkał się dziwny uśmiezek. Gdyby sama myśl nie była tak absurdalna, Hermogenes gotów byłby przysiąc, że uśmiechała się lubieżnie do wszystkich mężczyzn znajdujących się wokół niej, z wyjątkiem Prokopiusza. Spojrzenie, jakim zmierzyła Jana z Rodos, było najwyraźniej przepelnione żądzą. A na twarzy Ireny, teraz to dostrzegł, gościł dziwny, wszystkowiedzący uśmiech. Prawie obsceniczny, gdyby to nie było takie... niedorzeczne.

Prokopiusz patrzył na Antoninę. Oczy mu rozbłyły, na twarzy wystąpiły rumieńce, zacisnął wargi. Jego twarz wyglądała jak oblicze człowieka, który właśnie ma przed oczyma tajemnicze objawienie.

– Oczywiście – odparł, lekko się krztusząc. Sekretarz wstał od stołu, uklonił się zgrabnie i opuścił pokój. Raz tylko się odwrócił, omiatając zebranych wzrokiem. Hermogenesa uderzył gorący ogień płonący w jego oczach.

Kiedy tylko za sekretarzem zamknęły się drzwi, atmosfera w pokoju uległa natychmiastowej zmianie. Maurycy wydał wargi. Hermogenes pomyślał sobie, że setnik zaraz splunie na podłogę, ale od tego czynu powstrzymały go wpojone mu dobre maniery. Jan z Rodos wydał policzki i w ciszy podsunął swój kielich Irenie. Szczerząc zęby, kobieta napełniła naczynie winem aż po brzegi. Antonina odetchnęła głęboko i oparła się wygodnie na krześle, a potem podała Irenie swój własny kielich.

Biskup natomiast zwrócił się natychmiast do Hermogenesa i podjął przerwana wcześniej rozmowę.

– Aby odpowiedzieć na twoje wcześniejsze pytanie, merarcho, ja uważam, że obraz Trójcy jest zgodny z ustaleniami pięciu rad ortodoksyjnej tradycji, ale wierzę także, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia i finalnego rozwiązania tego problemu. I dlatego myślę, że każda próba ostatecznych ustaleń jest, z punktu widzenia socjologii i polityki, raczej niemądra. A z teologicznego punktu widzenia zupełnie niemożliwa.

– Niemożliwa? – zapytał Hermogenes. – Niemożliwa?

Kasjan pokiwał głową z wigorem.

– Tak, młody człowieku, dobrze mnie usłyszałeś. Jest niemożliwa.

Hermogenes próbował znaleźć odpowiednie słowa.

– Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił... – zamilkł, łykając w zamyśleniu odrobinę wina ze

swojego kielicha.

Kasjan się zaśmiał.

– Przyznaję, łatwe rozwiązania to nie moja specjalność. Ale pozwól, że zadam ci pytanie, Hermogenesie. Dlaczego tak trudno jest zgłębić prawdziwą istotę Trójcy? Dlaczego jest ona taką zagadką?

Hermogenes zawahał się.

– Cóż... bo... nie jestem teologiem, wiesz o tym. Ale to bardzo skomplikowane, wszyscy to wiedzą.

– Dlaczego?

Hermogenes zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem twojego pytania.

– Dlaczego to jest tak bardzo skomplikowane? Czy to nigdy nie wydało ci się dziwne, że Najwyższy wybrał sobie taką właśnie postać, aby torturować pokolenia wiernych teologów?

Hermogenes otworzył usta. Zamknął usta, a potem wziął znacznie solidniejszy łyk wina niż poprzednio, właściwie prawie się zadławił. W rzeczy samej, często się nad tym zastanawiał i dziwił się, ale tylko w zaciszu domowym. W prywatności. We własnych myślach.

Kasjan uśmiechnął się ponownie.

– Ach, więc widzę. Ja wierzę, że Bóg uczynił Trójcę tak skomplikowaną, bo nie chciał, aby ludzie zrozumieli jej istotę. To ma być tajemnica, w której tkwi ból i prostota. Oczywiście ci, którzy badają tajemnicę Trójcy, nie czynią nic złego. Sam przez lata zajmowałem się tym tematem. Ale żeby pójść dalej, żeby ogłosić się znawcą tajemnicy Trójcy i popierać swe teorie siłą autorytetu teologicznego czy świeckiego, to dla mnie zupełny absurd. To grzech pychy. Grzech śmiertelny.

Hermogenes był zdumiony bardziej wyrazem twarzy biskupa Kasjana niż jego słowami. Ta dziwna kombinacja łagodnych oczu i języka niczym nóż zaskoczyła młodzieńca. Hermogenes wiedział, że reputacja biskupa jako doskonałego teologa pomiędzy uczonymi greckimi ciągle wzrastała. Także wśród syryjskiej klasy średniej, plebsu i chłopów Kasjan był uważany za świętego człowieka. Hermogenes zdawał sobie z tego sprawę. Oba te fakty nagle zajaśniały w umyśle merarcha.

– Skończcie już z tą teologią! – zaprotestowała Irena. – Chcę usłyszeć sprawozdanie Jana z ostatnich jego postępów na polu diabelskich urzędzeń.

Hermogenes prawie z wdzięcznością odwrócił wzrok od biskupa. Jan z Rodos wyprostował się na krześle i popatrzył wilkiem na Irenę. Postawił swój kielich na stole z wielkim hukiem. Na szczęście naczynie było prawie puste, więc tylko kilka kropel wina upadło na stół. Ale, przez chwilę, Hermogenes obawiał się, że kielich rozpadnie się na kawałki od impetu uderzenia.

– Nie ma żadnych postępów, ty piekielna kobieto! Dobrze o tym wiesz, bo sama wczoraj byłaś świadkiem nieudanych testów.

Irena uśmiechnęła się. Spojrzała na biskupa.

– Czy słyszałeś, co on powiedział, Antoniuszu? Nazwał mnie diabelskim pomiotem. Czy to aby nie przesada? Oczekuję od ciebie opinii eksperta.

Kasjan uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Muszę ci to dokładnie wyjaśnić. Gdyby nazwał cię diabłem, tak, to byłoby lekką przesadą. Ale jednakże Jan nie zawęził kategorii istot. Określenie „piekielna kobieta” może się przecież odnosić do różnych stworzeń zamieszkujących otchłań. Na przykład do diabłatek. Gdyby miał to właśnie na myśli, obawiam się, że musiałbym poprzeć jego słowa moim religijnym autorytetem. Bo to z pewnością prawda, w rzeczy samej jesteś istnym diabłatką.

– Nie wiedziałam, że diablątka występują także w żeńskiej postaci – odparowała Irena.

Uśmiech biskupa przypominał wyraz twarzy świętego.

– Ja też o tym nie wiedziałem, moja droga Ireno, zanim nie poznałem cię osobiście.

Siedzący przy stole wybuchnęli śmiechem. Kiedy już zapadła cisza, odezwał się Maurycy.

– Co się takiego stało, Janie?

Były oficer marynarki wojennej skrzywił się z niesmakiem.

– Spaliłem sobie warsztat pracy, to się właśnie stało.

– Znowu?

– Tak, dziękuję ci, znowu! – Jan zaczął się podnosić, ale Antonina z łagodnym uśmiechem na ustach gestem kazała mu usiąść.

– Proszę, Janie! Zbyt wiele dzisiaj wypiałam. Zakręci mi się w głowie, jeżeli będziesz latał dookoła pokoju.

Były oficer dał za wygraną. Po chwili wymamrotał pod nosem:

– To ta cholerna nafta, Maurycy. Towar, który dostajemy, jest gównianej jakości. Potrzebuję nafty, która będzie czysta. A żeby to osiągnąć...

Zwrócił się do biskupa.

– Czy twój przyjaciel, Michał z Macedonii, nie bawi teraz aby przypadkiem w Arabii?

Biskup potrząsnął przecząco głową.

– Już nie. Wrócił kilka tygodni temu i zamieszkał w rezydencji niedaleko stąd. Ale i tak niewiele by ci pomógł. Podróżował do zachodniej Arabii, do Beni Gassana. Zachodnia Arabia nie jest źródłem dobrej nafty, wiesz o tym. A poza tym, nie wydaje mi się...

Kaszlnął i przerwał swoją wypowiedź.

Hermogenes właśnie zamierzał zapytać, co wielki Michał z Macedonii robił w Arabii, kiedy zauważył, że obie kobiety, Irena i Antonina, dają mu rozpaczliwe znaki, żeby siedział cicho. Zamknął usta. Chwilę później obie kobiety wynagrodziły go delikatnymi uśmiechami.

Coś tu się dzieje dziwnego, pomyślał sobie. Jakaś głęboko ukryta intryga. Myślę, że najlepsze dla młodego oficera będzie trzymanie gęby na kłódkę. Bez gadania. Poza tym słuchanie także może być użyteczne.

Maurycy znów przemówił.

– W naszej kawalerii jest jeden arabski oficer, cóż, właściwie w jego żyłach płynie tylko połowa arabskiej krwi. Ma na imię Marek. Marek z Edessy. Rodzina jego matki żyje niedaleko Hiry, ale nie są spokrewnieni z Lakszmitami. Pochodzą w większości od Beduinów. Pomówię z nim. Może uda mu się coś zorganizować.

– Doceniam twoje starania i jestem ci wdzięczny – odparł Jan. Chwilę później oficer marynarki wojennej wstał od stołu.

– Idę do łóżka – oznajmił. – Jutro zajmę się odbudową tego cholernego warsztatu. Po raz kolejny.

Kiedy wychodził, wymienili z Antoniną uśmiechy. Hermogenes stwierdził, że w tej wymianie uprzejmości nie było nic ponad zwykłą przyjaźń. Pomyślał znów o tym dziwnym, pożądanym wyrazie, jaki przemknął po twarzy Antoniny wcześniej tego wieczora, w obecności Prokopiusza.

Coś tu się dzieje. Coś, co pochodzi z ukrytego źródła o imieniu Belizariusz, o ile się nie mylę. Wydaje mi się, że mój ulubiony generał znowu gra w te swoje gry. Tak. Pozostaje jeszcze tylko jedno pytanie. Jaka jest moja rola w tym jego pokręconym planie?

Maurycy także wstał.

– Ja też idę się położyć. – Setnik spojrzał na Hermogenesa.

– Wydaje mi się, że posiedzę jeszcze trochę – powiedział Hermogenes. Wyciągnął dłoń

z kielichem w kierunku Antoniny. – Czy byłabyś tak miła?

Maurycy wyszedł z pokoju. Antonina ziewnęła i przeciągnęła się.

– Lepiej pójdę zerknąć na Focjusza. Nie czuł się dzisiaj zbyt dobrze. – Wstała. Klepnęła Irenę w ramię i spojrzała na Hermogenesa.

– Jak długo u nas zostaniesz?

– Tylko na jedną noc – odparł merarcha. – Wyjeżdżam wcześniej rano. Nie mogę pozostawiać moich żołnierzy samych na długo. Wygląda na to, że Sitas wreszcie porzucił zabawy z konnymi i szarżami z kopią i planuje coś w rodzaju generalnych manewrów.

– Przyjedź znów, kiedy będziesz mógł.

– Przyjadę. Z pewnością.

Chwilę później on i Irena zostali sami w pokoju. W milczeniu mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę.

Zrozumiał dobrze znaczenie jej spojrzenia. Było pytaniem. Czy ten człowiek, siedzący przy stole, będzie próbował mnie kusić? Albo...

Hermogenes uśmiechnął się.

Zrobiłem w swoim życiu wiele głupot. Ale nie jestem na tyle tępy, żeby próbować uwodzić tę kobietę. Mój wuj Teodozjusz zawsze powtarzał: nie goń za kobietami, które są tysiąc razy sprytniejsze od ciebie. Nie złapiesz ich albo, co gorsza, właśnie je złapiesz.

– A więc, Ireno. Opowiedz mi wszystko o tym, co tu się dzieje. Tak wiele, jak tylko możesz mi wyjawić.

* * *

Następnego ranka Antonina wstała wcześniej, aby pożegnać odjeżdżającego Hermogenesa, zanim zniknie jej z oczu. Kiedy wyszła z willi, słońce właśnie wschodziło. Znalazła młodego merarcha już na dziedzińcu, trzymającego za uzdę osiodłanego konia. Rozmawiał cicho z Ireną.

Antonina była zdumiona, widząc kobietę rozmawiającą z Hermogenesem. Irena uznawała wschód słońca za katastrofę, której należy unikać wszelkimi siłami i przestrzegała tego prawa niemal jak dziesięciu przykazań.

Kiedy Antonina podeszła bliżej, Hermogenes uśmiechnął się i skłonił grzecznie. Antonina i merarcha wymienili zwyczajowe grzeczności, zanim młodzieniec dosiadł konia i odjechał.

Antonina popatrzyła na Irenę. Mistrzyni szpiegów ziewnęła przerażająco.

– Wcześniej dzisiaj wstałaś – skomentowała nowo przybyła.

Irena wykrzywiła usta.

– Nie, po prostu jestem na nogach dłużej niż zwykle. Wcale dziś nie spałam.

Kiwnęła głową w kierunku malejącej na horyzoncie sylwetki Hermogenesa, który właśnie przejeżdżał przez bramę.

– To bardzo bystry chłopak, wiesz? Domyślił się wielu rzeczy, więcej niż się spodziewałam. Po prostu obserwował ludzi wokół siebie.

– Myślałam, że pozostał przy stole, bo miał względem ciebie jakieś tajemnicze zamiary.

Irena potrząsnęła przecząco głową, uśmiechając się.

– Och, nie. Zachowywał się nienagannie. Ucieleśnienie przyzwoitości. Nie, chciał tylko, żeby dopuścić go do naszego spisku. Nie dba o to, jaka jest ta intryga, przynajmniej dopóki steruje nią Belizariusz. Ten młodzian to beznadziejny przypadek wielbiciela bohaterów.

– I co mu powiedziałaś?

– Wystarczająco dużo. Oczywiście niezbyt wiele, ale wystarczająco dużo, aby go uszczęśliwić i zdobyć sobie jego poparcie. Myślę, że ten młody człowiek ma naprawdę dużą wartość, Antonino.

Jest zupełnie taki, jak opowiadał nam Belizariusz, a nawet więcej.

Antonina objęła ramieniem kibić swej przyjaciółki i razem ruszyły w kierunku zabudowań.

– Szczegóły opowiesz mi później. Jesteś strasznie wyczerpana, Ireno. Musisz iść do łóżka.

Irena zachichotała.

– Właściwie, iść z powrotem do łóżka. – Czując na sobie zaciekawione spojrzenie Antoniny,

Irena uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Powiedziałaś, że nie spałam tej nocy, droga Antonino. Przecież nie rozmawialiśmy przez cały czas o jakiejś cholernej konspiracji.

– Ale...

Uśmiech Ireny stał się jeszcze szerszy.

– Przystojni, młodzi mężczyźni, którzy nie próbują mnie uwodzić, są tak bardzo pociągający, że nie mogę się im oprzeć.

GWALIOR

Jesień, rok 529 n.e.

Rozdział 21

– Wydaje mi się, że jestem winien przeprosiny naszemu przyjacielowi Venandakatrze – zauważył Belizariusz.

Garmat zmarszczył brwi.

– A za co niby, u licha, miałbyś przeproszać tę głupią świnie? – zapytał z oburzeniem.

– Och, oczywiście wcale nie zamierzałem go przeproszać. Brzemie winy raczej nieznacznie ciąży na moich barkach. Ale niewątpliwie temu baranowi należą się przeprosiny.

Belizariusz wskazał ręką przed siebie, w kierunku czoła ogromnego pochodu wijącego się niczym wąż na drodze wzdłuż lewego brzegu rzeki Namada.

Mały rzymsko-aksumicki oddziałek szedł z tyłu, daleko od czoła karawany. Generał i Garmat jechali konno obok siebie. Tuż za nimi znajdowali się Anastazjusz i Walentynian, także siedzący w siodłach. Pozostali byli luksusowo wiezieni na grzbietach dwóch słoni, które dostali od Malawian. Ezana i Wahsi powodowali tymi ogromnymi bestiami. Eon i Marathanki jechały w palankinie umieszczonym na grzbiecie jednego ze słoni. Na drugim siedziały trzy Kuszanki i Menander. Młody katafrakt protestował oczywiście przeciwko jeździe w palankinie i upierał się, że jest już na tyle silny, aby dosiąść konia. Ale Belizariusz twardo obstawał przy swoim. Poza tym, gwoli prawdy, protesty Menandra były spowodowane bardziej potrzebą zachowania twarzy niż rzeczywistą siłą młodzieńca. Menander nie był w stanie utrzymać się na końskim grzbiecie, chociaż wyraźnie odzyskiwał siły i w innych dziedzinach życia powoli przestawał być inwalidą. A przynajmniej tak można było sądzić, widząc jego roześmianą i zadowoloną twarz, ukazującą się w rzadkich odstępach, kiedy podnoszono zasłony palankinu.

Ousanas jak zwykle upierał się przy pieszej podróży. Jednak nawet poruszając się na własnych nogach, wcale nie musiał tak bardzo pędzić. Karawana poruszała się bowiem wolno i dawaz z łatwością dotrzymywał jej kroku.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Oskarżyłem Venandakatrę, jak zapewne sobie przypominasz, o to, że zaplanował tak okazałą ekspedycję powodowany tylko i wyłącznie pychą i egoizmem.

– Więc? Przecież on jest egoistą. I wprost niewyobrażalnym megalomanem.

Belizariusz uśmiechnął się ponownie.

– Prawda, prawda. Ale on jest także inteligentnym megalomanem. Ten spektakl ma swój cel, poza tym, że zaspokaja jego próżność. Czy zdajesz sobie sprawę, że droga, którą się poruszamy, nie jest normalnie obieraną trasą z Barakuchy na równinę Gangesu?

– A naprawdę nie jest?

Belizariusz potrząsnął głową.

– Nie. Podróżujemy na południe od gór Vindhya. – Wskazał dłonią na górskie szczyty po ich lewej stronie. Góry nie były wysokie, nie wyższe niż kilkaset metrów, ale wyglądały na gęsto zalesione i trudne w przeprawie.

– W którymś momencie będziemy zmuszeni do przejścia przez to pasmo górskie. A to pod żadnym względem nie będzie proste. A już szczególnie dla karawany takiej jak ta.

– To nie jest żadna karawana – zaprzeczył zrzędlawie Garmat. – To mała armia!

– Dokładnie. I o to właśnie mi chodzi. Normalna droga wiedzie po prawej stronie masywu Vindhya, a przynajmniej tak powiedzieli mi katafrakci, którzy z kolei mają te informacje od swoich kuszkańskich przyjaciółek. Tamta trasa wiedzie przez teren półpustynny i łatwy do przebycia. Ale tamta trasa prowadzi także przez terytorium Malawian.

– Ale ta też.

– Dzisiaj, tak. Ale to jest kraj, który został podbity niedawno, Garmacie. Zaledwie rok temu –

zatoczył ręką wokół, opasując tym ruchem ziemię wokół nich – to wszystko było częścią królestwa Andhry.

Garmat wreszcie zrozumiał, o co chodzi generałowi.

– Ach – wymamrotał. – A więc ta procesja ma na celu kolejne poniżenie nowo pojmanyh niewolników. Ujrzą swe dawne ziemie i to przypomni im boleśnie o ich nowym statusie. – Przyjrzał się z uwagą okolicy. Ogromny las, który wydawał się pokrywać niemal cały obszar Indii, gdzieś tam został tutaj wykarczowany. Ale pola nie wyglądały na uprawiane, a wieśniacze chatki, rozsiane malowniczo po krajobrazie, powoli chyliły się ku zupełnej ruinie. Obszar wyglądał na niezamieszany, pomimo tego, że ziemie wydawały się bardzo żyzne. Garmat w swoich młodzińskich latach był także wojownikiem i bez trudu rozpoznał kraj totalnie zniszczony przez wojnę.

Etiopski doradca przyjrzał się następnie malowniczo, poruszającemu się po trakcie orszakowi. Karawana była ogromna. Nie mógł nawet zobaczyć jej początku, tak daleko się on znajdował, ale doskonale mógł sobie go wyobrazić.

Karawanę otwierał ogromny słoń, za którym w bliskiej odległości podążali mierniczy. Ludzie ci za pomocą miarowych, długich sznurów mierzyli przebytą odległość. Wyglądało to tak, że jeden z mierniczych wysuwał się naprzód, a kiedy następny dotarł do niego, ten wykrzykiwał kolejną liczbę sznura. Trzeci mierniczy zapisywał liczbę sznurów i obliczał dystans.

Garmat i Belizariusz spędzili pierwszy dzień podróży, zastanawiając się, jaki jest cel takowych pomiarów. Wniosek, do jakiego doszli, wydawał się pasować do tego, co już widzieli w Barakusze. Obraz powstającego malawiańskiego imperium właśnie zaczął przyjmować konkretny kształt w myślach jego przyszłych władców. Miało to być wielkie, rozrośnięte imperium, zawierające w sobie szeroką gamę ludzi odmiennych narodów, a zatem także odmiennych obyczajów. I takie właśnie społeczeństwo Malawianie zamierzali przekuć siłą w jeden zcentralizowany i zunifikowany organizm.

Ten fenomen, jak się domyślili, był dla Indii czymś zupełnie nowym. To prawda, wcześniej także istniały tutaj wielkie imperia, na przykład Imperium Guptów, poprzednik Malawian z historii starożytnej. Ono także zajmowało większość obszaru Indii. Ale te imperia, mimo ogromnych rozmiarów i blasku, nie polegały zbytnio na sile kłębiącej się populacji narodów. Imperatorzy Guptów i Maurów nie próbowali zmieniać codziennego życia i zwyczajów swoich poddanych ani lokalnych przywilejów miejscowych drobnych władców i szlachetek. Byli usatysfakcjonowani podatkami napływającymi do ich kas i okazywanymi im hołdami i szacunkiem. A poza tym nie mieli czasu na zajmowanie się plebsem, gdyż byli bardzo zajęci świętowaniem, polowaniami, damami dworu i planowaniem monumentalnych, podkreślających ich ważność i siłę pałaców. Nawet najwięksi z tych starożytnych władców, legendarni Aszokanie, nawet nie próbowali manipulować indyjskimi zwyczajami i tradycjami, z wyjątkiem delikatnego patronatu nad nowo się rozwijającą religią buddyjską.

Ale, oczywiście, ani Guptowie, ani Maurowie nie mieli nigdy ambicji Imperium Malawiańskiego. Imperia z przeszłości zadowalały się raczej rządzeniem w Indiach, a nawet tylko w północnych Indiach. Nie zamierzali podbijać całego świata.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – wymamrotał Belizariusz. – To tak właśnie legiony Cesarstwa podbiły wybrzeża Morza Śródziemnego i rządziły nimi. A Malawianie najwyraźniej próbują nas naśladować.

Tak, wytłumaczenie najwyraźniej pasowało do całości. Na przykład doskonale się komponowało z nową biurokracją, którą Belizariusz i Garmat napotkali w Barakusze. Społeczeństwo odnosiło się

do tych nowomodnych wynalazków z wielką rezerwą, a nawet z niechęcią. Nie dało się tego nie zauważyć, chociażby obserwując ulice i słuchając toczących się tam rozmów. W przeciągu kilku następnych lat, Belizariusz i Garmat doszli do wspólnego wniosku, tego typu rozmowy na ulicach staną się raczej rzadkością. Już teraz malawiańscy szpiedzy i prowokatorzy rozwijali bowiem swoją działalność wśród ludności tego miasta.

Ta nowa biurokracja była bardzo dziwna jak na obowiązujące do tej pory indyjskie standardy. Stanowiska urzędnicze nie przechodziły, jak dawniej, z ojca na syna. Teraz trzeba było zdać egzamin roczny. To prawda, większość zdających z sukcesem pochodziła z kasty braminów albo z kszatryjasów, którzy należeli do potomków najbardziej poważanych klas społecznych, czyli warn⁸. Ale pomiędzy nimi zdarzali się także urzędnicy z kasty wajsjów, a nawet, a przynajmniej takie słyszano pogłoski, z kasty sudrów.

Bynajmniej nie byli oni jednak nietykalni. Reżim Malawy bardzo ostro odnosił się do nietykalnych, bardziej nawet niż wymagała tego tradycja. Ale ten niewielki ukłon w kierunku przyjętego zwyczaju nie zadowolił do końca wysoko urodzonych. Malawianie dążyli także do wyeliminowania systemu kastowego i równali z resztą członków czterech szanowanych kast, z wyjątkiem siebie samych i ich uprzywilejowanych radżpuckich wasali. I oczywiście sługusów Ye-tai. Ale ci barbarzyńcy nie posiadali prawdziwych kast, od tego trzeba zacząć. Byli tylko nieokrzesanymi i ciemnymi dzikusami.

Coraz więcej sudrów zaczęło przenikać do warstw społeczeństwa i uznawano ich za nietykalnych. Słyszano pogłoski, że nawet nieliczni członkowie kasty wajsjów tam się zadomawiali. Do tej pory najszlachetniejsze warny, czyli kszatryjasi i bramini, pozostawały poza zasięgiem wpływów Malawy, ale kto mógł widzieć, co przyniesie ze sobą przyszłość?

Nienawidzono nowej biurokracji. Nienawidzono, ale też się jej obawiano, gdyż nowi urzędnicy mieli daleko posunięte uprawnienia, pozwalające im na ignorowanie zasad kastowych i klasowych. Poza tym, rozżłoszczeni, szybko wykorzystywali swą siłę przeciwko lokalnej szlachcie i drobnym władcom, nie oglądając się na ich wynikające ze statusu społecznego prawa.

Ich moc była poparta piekielną malawiańską bronią, potężną armią, uprzywilejowanymi radżpuckimi wasalami i jeszcze bardziej uprzywilejowanymi Ye-tai. Posługiwali się zastępami szpiegów i informatorów i, co najgorsze, wykorzystywali często członków nowych kast religijnych, czyli kapłanów Mahwedy i ich oprawców mahamimamsów.

Jednakże, mimo całej mocy i potęgi nowej dynastii, Garmat i Belizariusz szybko zauważyli, że skomplikowany proces przekształcania Indii jest jeszcze mocno niekompletny. Niekompletny i przypadkowy. Wiele prawdziwej władzy, jak podejrzewali, ciągle leżało w rękach miejscowych władców. A ci złościли się, sarkali i warczeli na nowych panów Indii.

Co prawda w nowych Indiach rzadko zdarzały się powstania, ale to zagrożenie ciągle wisiało nad malawiańskimi władcami. Nawet w tym momencie, w północnych prowincjach, których stolicą było miasto Ranapur, toczyły się zaciekle walki z partyzantami. Ekspedycja Venandakтры w końcu miała dotrzeć właśnie w te rejony. Imperator osobiście dowodził wojskami, które miały stłumić powstanie Ranapur, co wskazywało jednoznacznie, że cała ta operacja wojenna była dla Malawy bardzo ważnym wydarzeniem.

Za mierniczymi i słoniem, kilkaset metrów z tyłu, jechał oddział konnych Radżputów. Było ich około dwustu i należeli do samej elity kawalerii. Za nimi szło kilka słoni niosących ogromne bębny, w które uderzali mężczyźni usadowieni na grzbietach tych zwierząt. A potem szedł oddziałek trzymających w dłoniach proporce żołnierzy.

Następny w kolejności podążał drugi oddział radżpuckiej kawalerii, ale ze swego miejsca

Garmat i Belizariusz nie mogli go dostrzec. Było ich prawdopodobnie tysiąc. Za nimi jechał dużo większy oddział kawalerii Ye-tai.

Kolejny członek karawany znajdował się już w zasięgu wzroku generała i wprost nie sposób było go przeoczyć. Składał się z dwudziestu bojowych słoń, których głowy i boki okrywały ogromne skórznie wzmocnione żelazem. Każdy słoń był powodowany przez poganiacza, czyli mahouta, a oprócz niego na grzbiecie zwierzęcia znajdowało się jeszcze czterech kszatryjasów. Oczywiście malawiańscy żołnierze nie mieli ze sobą płonących rakiet. Ta broń z pewnością wpędziłaby potężne zwierzęta w panikę. Zamiast tego kszatryjasi dysponowali łukami i dziwnymi małymi buteleczkami, które Belizariusz określił jako granaty. Mniejsze odpowiedniki tych granatów były zamocowane w miejscu grotów strzał. Większe, jak twierdził Belizariusz, po prostu rzucono w kierunku wroga.

Za oddziałem bojowych słoń jechał sam Venandaktra, otoczony jak zwykle wianuszkami kapłanów i mahamimamsów. Mahwedzi i oprawcy podróżowali na grzbietach słoń, po czterech w jednym palankinie. Od czasu do czasu Venandaktra dosiadał się do nich. Jednakże większość czasu spędzał w specjalnym palankinie. Pojazd był ogromny i luksusowy. Niosło go ośmiu potężnych niewolników. Lektykę otaczał stale tłumek idących obok służących. Niektórzy z nich dźwigali dzbany z wodą i winem, inni nieśli talerze z jedzeniem, a jeszcze inni machali zawzięcie ogromnymi wachlarzami, aby odpędzić wszędobylskie muchy. Niczego nie brakowało w otoczeniu Venandaktry, miał on zapewniony całkowity luksus.

Aby władca dobrze się czuł także w nocy, na dwóch słoniach, tuż za lektyką Venandaktry, w dwóch palankinach jechało jego osiem konkubin. Karawana zawsze zatrzymywała się o zachodzie słońca i rozbijano obóz. Namiot Venandaktry, jeżeli ta nazwa pasuje do wyrafinowanego zespołu płóciennych pawilonów, w których nocował władca, rozbijano zanim jeszcze jego lektyka przybyła na miejsce postoju. Venandaktra posiadał dwa takie namioty. Jeden, którego aktualnie nie używano, w eskorcie radżpuckiej kawalerii podróżował naprzód. W miejscu planowanego nocnego popasu rozbijano go i czekali na przybycie pana.

Za lektyką Venandaktry i gromadą ludzi i zwierząt bezpośrednio związanych z władzą podążał oddział malawiańskiej piechoty. Było ich nie mniej niż tysiąc żołnierzy. Ich liczebność miała najprawdopodobniej zastąpić słabe wyszkolenie oddziałów. Ci żołnierze nie należeli do elity, stanowili jedynie mięso armatnie, jeden z wielu oddziałów armii Malawy. Sami wojownicy nie byli rodowitymi Malawianami, ale stanowili zbieraninę podbitych przez Imperium nacji. Tylko oficerowie pochodzili z Malawy, ale nie należeli do kszatryjasów.

Belizariusz był bardziej zainteresowany piechotą niż elitarnymi jednostkami kawalerii. Zrozumiał już działanie Ye-tai, a po pewnym czasie pojął także sposób walki Radżputów. Z pewnością robili oni wrażenie. Ale Belizariusz pochodził z Rzymu, a Rzymianie mieli za sobą lata doświadczeń w walce z perską kawalerią.

Ale Belizariusz uważał, że przyszłość należy do piechoty, więc z uwagą badał i sondował umiejętności malawiańskich pieszych oddziałów. Po niedługim czasie był już w stanie sformułować ogólne wnioski.

Garmat wypowiedział na głos swoje myśli, które zupełnie nie pokrywały się ze zdaniem generała.

– To najżałośniejsza gromada żołnierzy, jaką widziały moje oczy – sarknął Etiopczyk. – Spójrz na nich!

Belizariusz uśmiechnął się, pochylił w siodle i wyszeptał:

– Co cię tak zmyliło? Czy to ta rdza na ostrzach ich włóczy? A może zaśniedziałe zbroje?

– Ten chłam nazywasz zbroją? – zapytał Garmat. – Na klamrze mojego paska jest więcej metalu

niż na ich napierśnikach!

– A może ta ich pokręcona sylwetka? Wyraz twarzy właściwy dla zbitego psa? Wiem, szuranie nogami, prawda?

– Moja córka stawiała pewniejsze kroki, kiedy miała zaledwie dwa latka – parsknął Garmat. – Sarweni zjedliby tych niby-żołnierzy na pierwsze śniadanie.

Belizariusz wyprostował się w siodle. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Prawda. I to samo zrobiłaby z nimi każda jednostka rzymskiej piechoty. Ale, Garmacie, nie bądźmy tacy pewni swego. Bo mimo wszystkich twierdzeń, że jakość przewyższa ilość, jednak ilość także się liczy. Tych pieszych żołnierzy muszą być tutaj po prostu hordy. Jeżeli Malawianie poradzą sobie z logistyką, zaleją cały zachód. A poza tymi piechociarzami mają jeszcze diabelską broń, i Ye-tai, i Radżputów. Bardzo wielu Ye-tai i Radżputów, o ile się nie mylę.

Garmat skrzywił się, ale nic nie powiedział.

Belizariusz odwrócił się i spojrzał w kierunku ogona karawany. Rzymianie i Aksumici podążali tuż za oddziałem piechoty. Szli na samym końcu wojskowego przedziału orszaku. Za nimi znajdowały się już tylko niewyobrażalne ilości jucznych zwierząt.

– A przed nimi długa i ciernista droga, aby wypracować wreszcie odpowiedni system dostaw prowiantu – wymamrotał generał. – O ile w ogóle im się uda.

Garmat podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Czy to jest normalny widok? – zapytał.

– Nie, Garmacie, to nie jest normalne. Nie, nawet najbardziej niechlujna rzymska armia nie miała nigdy tak długiego łańcucha taborów. To absurd!

Garmat z trudem powstrzymał się od głośnego śmiechu. W tym momencie na ogół spokojna i kamienna twarz Belizariusza wykrzywiła się w iście homeryckim grymasie.

– I piekło nie zna wściekłości podobnej do pogardy rzemieślnika – wymamrotał.

– Czy coś mówiłeś?

– Nic, Belizariuszu, nic. Chciałbym ci jednak przypomnieć, że ten chaos, jaki widzimy z tyłu, wynika w dużej mierze z faktu, że podróżują za nami zastępy cywili i ciurów obozowych.

Belizariusz wyglądał na nie przekonanego.

– I co z tego? Każda armia boryka się z tym problemem! Wydaje ci się, że ciury obozowe nie przyczepiają się do każdej rzymskiej armii, która akurat gdzieś się udaje? Wymień jakąś kampanię, a znajdziesz tam niechcianych towarzyszy: kupców, sprzedawców jedzenia i picia, kurwy i alfonsów, handlarzy niewolników, płatnych morderców, uciekinierów. Nie wspominając o hordzie ludzi, którzy po prostu lubią wlec się za wojskiem, aby skorzystać z jego ochrony, kiedy coś się przydarzy na szlaku.

– Jak sobie z tym radzicie? Próbujecie ich przepędzić?

– Ba! – Belizariusz machnął ręką. – To niemożliwe. Ciury obozowe są jak muchy. – Machnął przed twarzą, przepędzając natrętnego owada. – Nie, Garmacie, to raczej nie ma sensu. Zamiast tego, czynimy zupełnie odwrotnie. Po prostu wcielamy ich do armii. Narzucamy im dyscyplinę. Trenujemy ich!

Garmat otworzył szeroko oczy.

– Trenujecie kupców i handlarzy niewolników? Alfonsów i kurwy?

Belizariusz wyszczerzył zęby.

– To nie jest takie trudne, Garmacie. A przynajmniej po tym, jak przebrniesz przez pierwszą lekcję. Widzisz, to handel wymienny. Oni przestrzegają zasad, a my zapewniamy im miejsce w obozie i w samej armii. Poza tym trzymamy z dala konkurencję.

Generał podrapał się po brodzie.

– Jednakże wydaje mi się, że ten bałagan z tyłu może nam pomóc. Jest jeden mały problem w naszej intrydze, który nie daje mi spokoju...

Spojrzał w dół na idącego obok Ousanasa.

– Jesteś tylko nędznym niewolnikiem, nieprawdaż?

Dawazz zatrzymał się i skłonił głowę uniżonym gestem, mającym podkreślić jego niską wartość. Poza ta niezbyt się komponowała z wielką włóczęgą, jaką Ousanas trzymał w ręku.

– Cóż, jestem naprawdę zaszokowany – zrzędlawie powiedział Belizariusz. – Totalnie zaskoczony, widząc, jak się obijasz, nie zwracając zupełnie uwagi na potrzeby swojego pana. W moim kraju nędzni niewolnicy stale są czymś zajęci.

Ousanas zmrużył oczy, patrząc w górę na Belizariusza. Skulił się ze strachu.

– O, tak – kontynuował generał – są bardzo zajęci. Ciągłe płaczą się po okolicy, załatwiają prowiant, martwią się zapasami i robią tym podobne rzeczy. – Nachmurzył się. – To wszystko jest na pokaz, oczywiście. Te diabelskie leniuchy tylko patrzą, jak umknąć spod pańskiego oka i rozwalić się gdzieś w cieniu poza zasięgiem wzroku. Nikt jeszcze nie znalazł niewolnika w chwili, kiedy ten jest akurat najbardziej potrzebny. Przyzwyczaisz się do tego.

Ousanas obejrzał się na podążającą za karawaną obdartą horde obozowych ciurów.

– Ach – powiedział. – Rozumiem wreszcie. Chociaż wielki generał mógłby, teraz i już zawsze, jaśniej wyrażać swoje myśli. Chcesz, żebym wyglądał na zbędnego i kiedy nadejdzie czas, mam po prostu zniknąć, a wtedy żaden szpieg nie zauważy nawet mojego odejścia.

Belizariusz uśmiechnął się.

– Pojąłeś platoniczną formę mojego konceptu.

Chwilę później Ousanas zwolnił kroku i zagubił się w tłumie, wyglądając dokładnie jak nieobecny duchem, bujający w obłokach niewolnik. Belizariusz, patrząc na niego, zdziwił się osobliwym sposobem poruszania się dawazza. Ousanas był jedynym znanym generałowi człowiekiem, który potrafił po cichu iść, powłócząc nogami.

Radosny kobiecy śmiech dobiegający z przodu karawany przykuł uwagę generała. Belizariusz i Garmat spojrzeli w kierunku palankinu niesionego przez słonia przed nimi. Jednakże zasłony uniemożliwiały im dostrzeżenie czegokolwiek.

– Przynajmniej skończył wreszcie z tym narzekaniem – warknął Belizariusz.

Garmat potrząsnął głową.

– Jesteś niesprawiedliwy, generale. On nie jest z natury rozwiązły. A przynajmniej nie z punktu widzenia królewskich rodów. – Doradca wzruszył ramionami. – To prawda, jest księciem, a także przystojnym, młodym chłopcem. Nigdy nie brakowało mu okazji do przespania się z kobietą i nie nabrał awersji do tego aktu. Ale, widzisz, on lubi kobiety i traktuje je nie tylko jak obiekty pożądania, ale czerpie radość z ich towarzystwa i rozmowy. Dlatego też znacznie bardziej sobie ceni stabilniejsze związki.

Po chwili Belizariusz uśmiechnął się z lekką drwiną.

– Cóż, nie mogę tego potępiać. Mój własny temperament jest bardzo podobny. – Machnął ręką w kierunku palankinu. – Wydaje się, że księżę znalazł właśnie pewną stabilizację.

Garmat przytaknął.

– On i Tarabai coraz bardziej się przyjaźnią i wyraźnie czerpią radość ze wspólnej podróży. Zauważyłem, że pozostałe Marathanki wyniosły się z jego palankinu ostatnimi czasy, a przynajmniej nocą, z wyjątkiem...

Zamilkł nagle, rozglądając się nerwowo na boki. W zasięgu słuchu nie dojrzał jednak nikogo, kto

mógłby być szpiegiem.

– Jak ona się czuje? – zapytał Belizariusz. – Czy masz jakieś wieści? Z oczywistych powodów staram się trzymać jak najdalej od jej palankinu.

– Ja sam też nigdy nie wszedłem do środka. Eon mówi, że dziewczyna zaakceptowała już jego obecność, ale nie jest pewien, jak zareaguje na obecność innego mężczyzny. Nie broni się już przed nim, ale ciągle nie chce mówić. Nie odzywa się nawet do Tarabai. W końcu zaczęła jeść. Jej fizyczne rany w pełni się już zagoiły. Eon mówi, że zawsze stara się przebywać w jak najdalszej od niej odległości, oczywiście na tyle, na ile pozwalają mu rozmiary palankinu. Uważa, że dziewczyna nie czuje się już zagrożona jego obecnością. Chociażby z tego powodu, że...

Kolejny okrzyk nadszedł ze strony palankinu.

– ... Tarabai ma pod kontrolą erotyczne zrywy księcia – zachichotał generał.

Generał pokazał na mahouta prowadzącego słonia księcia.

– I Ezana nie ma nic przeciwko temu? Albo Wahsi? Albo Ousanas, jeżeli już o tym mowa?

Garmat zaśmiał się otwarcie.

– A dlaczego niby mieliby mieć pretensje? Prawda, musieli zrezygnować z towarzystwa Tarabai, ale ciągle są z nimi jeszcze dwie Marathanki. A Kuszanki nie mają nic przeciwko temu, aby poszerzyć nieco grono swych wielbicieli, kiedy tylko twoi katafrakci są zbyt zmęczeni, aby z nimi figlować. Poza tym oni wszyscy są żołnierzami. Nie cierpią z powodu głupiej zazdrości i są w pełni świadomi, że te przetasowania to część naszego planu.

Usłyszeli kolejny pisk. A potem niski, męski jęk.

Belizariusz uśmiechnął się i powiedział:

– Cóż, Eon z pewnością radzi sobie ze swoją częścią planu doskonale. Był absolutnie perfekcyjny już pierwszego dnia podróży.

– Tak, czyż nie był wspaniały? – zgodził się Garmat. – Myślałem, że Venandakatra padnie na zawał, jak to zobaczył.

Doradca poklepał swojego wierzchowca z zadowoleniem.

– Biedny Venandakatra. Dał nam najlepsze konie, jakie tylko miał, a księżę nie mógł przestać jęczeć, że chce palankin z mięciutkimi poduchami dla siebie i swej królewskiej wybranki.

– Tak, i wielkiego słonia do niesienia tego ustrojstwa – dodał Belizariusz ze śmiechem. – Tak silnego, aby zniósł podskoki i igraszki księcia, gdy będzie dosiadał swej kochanki.

Garmat również zaczął się śmiać.

– A potem... czy widziałeś wyraz twarzy Venandakatry po tym, jak...

– ... jego mała intryga legła w gruzach? – Belizariusz dusił się ze śmiechu. – Cudowny! Co za totalny debil! Dał największego i najdzikszego słonia, jakiego tylko mógł znaleźć, w prezencie...

– ... Afrykańczykom!

Belizariusz i Garmat zamilkli nagle, rozpamiętując tamtą chwilę.

– To ma być ten największy słoń? – zapytał z niedowierzaniem Ezana. – Ten konus?

– Spójrz na te jego mizerne uszy – jęknął Wahsi. – Może to ciągle małe słońiętko.

– To prawdopodobnie wcale nie jest słoń – zawyrokował Ousanas. – Może to po prostu gruba, śmiesznie wyglądająca antylopa gnu.

Spojrzenie Venandakatry płonęło gniewem podszytym odrobiną niedowierzania. Wściekłość pozostała. Niedowierzanie zniknęło po tym, jak Wahsi i Ezana zaprezentowali swe umiejętności mahoutów. I po tym, jak powspominali sobie szereg kampanii wojennych, w których afrykańskie słonie odegrały niemałą rolę. I po tym, jak Ousanas roztoczył przed nim wizję afrykańskiego słonia i porównał go z indyjskim odpowiednikiem. Prawdopodobnie indyjski to wcale nie jest słoń. To

raczej duży tapir z pretensjami do wielkości.

Kiedy już przestali się śmiać, Garmat zauważył:

– Może nawet troszkę przesadziliśmy. Zauważyłeś? Venandakatra nie zaprosił nas więcej na obiad, odkąd wyruszyliśmy z Barakuchy.

– Zaprosi nas, zaprosi – rzekł Belizariusz z przekonaniem. – Wyjechaliśmy zaledwie dwa tygodnie temu. A tym tempem, można powiedzieć krokiem tęgiej matrony, dotrzemy do jego posiadłości najprędzej za dwa miesiące. – Prychnął. – Gdybym był jednym z tych jego mierniczych, dawno już umarłbym z nudów. Wątpię, czy przemierzamy więcej niż dziesięć mil dziennie. W najlepszym razie.

– Tak bardzo jesteś pewny swego, przyjacielu? Twoja strategia na razie nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

– Zobaczysz. Za dwa tygodnie czy coś koło tego zaprosi nas, tak zakładam. Średniej klasy megaloman, oczywiście, złamałby się już po tygodniu udawania obrażonego. Ale nawet Venandakatra nie wytrzyma dłużej niż miesiąc. Kimkolwiek by nie był, nie jest głupi, a my daliśmy mu wystarczająco wiele wskazówek. Skonstruował swój własny plan, do tej pory, i pragnie wprowadzić go w życie. A to mu się nie uda, dopóki milczy i nie spotyka się z nami. A przynajmniej ze mną. Tak więc, jak już mówiłem, daję mu dwa tygodnie.

I tak jak przewidział generał, trzynaście dni później tuż po zapadnięciu zmroku, kiedy karawana zatrzymała się na popas, z pawilonu Venandakatry przybył poseł. Przyniósł on ze sobą wiadomość od swojego pana, pisaną czystą greką, w której Venandakatra uprzejmymi słowami zapraszał Belizariusza na „skromny wieczorny posiłek”.

– Chciałbym zauważyć, że ja i Eon nie zostaliśmy zaproszeni – powiedział na to Garmat. Stary doradca popatrzył na Belizariusza i uklonił się.

– Oddaję ci słusność, Belizariuszu. Jesteś w rzeczy samej wielkim generałem. Do tej chwili, przyznaję, nie wierzyłem do końca, że twój plan zadziała.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Nie zakładajmy na razie niczego. Tak jak zawsze przypomina mi mój nauczyciel Maurycy: nie spodziewaj się, że wróg zrobi to, czego się po nim spodziewasz.

Garmat pokiwał głową.

– Doskonała rada. Ale nie zawiera w sobie całej mądrości wojny. Zdarza się, wiesz o tym, że wróg robi dokładnie to, czego się po nim spodziewasz. Dlatego musisz być przygotowany na to, żeby uderzyć w niego bezlitośnie.

– Dokładnie to zawsze powtarzam Maurycemu! – zawołał radośnie Belizariusz. Wrzucił wiadomość do obozowego ogniska, które Ousanas właśnie próbował rozpalić. Dawazz wyprostował się i rozejrzał dookoła.

– Czy nadszedł czas? – zapytał. Uśmiech zajaśniał na jego twarzy.

I znów Belizariusz wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia. Ale myślę, że tak. Czy jesteś gotowy?

Uśmiech Ousanasa płonął w ciemnościach białym światłem, niczym latarnia morska na Faros w Aleksandrii.

* * *

Po trzech godzinach od przybycia do pawilonu Venandakatry Belizariusz był pewien. Przez chwilę rozważał możliwość dania jakiegoś znaku Ousanasowi, ale potem odpędził tę myśl. To nie było potrzebne. Polujący lew nie potrzebuje znaku, by wiedzieć, gdzie kryje się jego ofiara.

Właściwie już po dwóch godzinach generał był prawie pewien. Po zwyczajowej nic nie

znaczącej konwersacji przy posiłku, nalano wino do pucharów i Venandakatra natychmiast podjął temat seksualnych wyczynów Eona. Belizariusz pomyślał sobie, że Venandakatra próbuje wydobyć z niego jakieś sekrety. Ale szybko stało się jasne, że nie było tajemnicy, jakiej by nie znał. Z wyjątkiem jednej, której się tylko domyślał i źle interpretował zdobyte wiadomości, dokładnie tak, jak chciał tego Belizariusz.

Dokładnie tak, jak powiedział Ousanas: złapiesz swą ofiarę, poznając jej duszę.

– Ach, to wszystko wyjaśnia – powiedział Venandakatra i zachichotał obleśnie. – Zastanawiałem się, dlaczego wybrał sobie tylko marathańskie kurwy do towarzystwa w tej podróży. Po tym jak – kolejny chichot – spróbował tak wielu ras i indyjskich nacji w Barakusze.

Belizariusz nie zdołał się roześmiać, ale pomyślał, że jego szorstki rechot jako tako się nadaje.

– Tak, to prawda. Uwielbia zniewolone kobiety. A najbardziej te ze świeżo podbitych narodów. Są najbardziej uległe, widzisz, i to jest właśnie to, co lubi. – Ponownie zarechotał i pozwolił, aby strużka wina poląła mu się po podbródku dla lepszego efektu. – Jego żołnierze opowiadali mi, że kiedy podbili Hymrię, dzieciak... miał wtedy niewiele ponad siedemnaście lat, wyobrażasz sobie, posiadał cały...

I tu nastąpiła niewiarygodna opowieść o wyczynach księcia. Mało prawdopodobna dla każdego z wyjątkiem Venandakatry. A przynajmniej pod względem brutalności. Opis wytrzymałości księcia trzymał się jeszcze jako tako kupy w świetle jego wyczynów w Barakusze, które Venandakatra znał w najdrobniejszych szczegółach. Tak jak to przewidział Belizariusz, szpiedzy malawiańskiego władcy przesłuchali kobiety, które dzieliły z księciem łóżce. Wszystkie, z wyjątkiem Marathanek, oczywiście.

Ale jednak Venandakatra ciągle węszył gdzieś podstęp i nie do końca wierzył w historyjki generała.

– To bardzo dziwne – Nikczemnik zauważył mimochodem, kiedy już skończył rechotać po usłyszeniu opowieści Belizariusza – ale nie zauważyłem nic, oczywiście sam nic nie widziałem, rozumiesz, ale doszły do mnie pogłoski, jakie zawsze towarzyszą pobytom cudzoziemców... żadna z kobiet, które przeszły przez jego łapy, nie była bardzo zbita. Tylko mocno przeleciana!

Znów zaczął rzeć i obleśnie chichotać.

Belizariusz wzruszył ramionami.

– Cóż, jego doradca mi to wytłumaczył. Chłopak nie czuł się zupełnie swobodnie. Jest w końcu w obcym kraju. – Generał machnął ręką w powietrzu. – W końcu tutaj obowiązują jakieś prawa.

Przełknął kolejną porcję wina.

– Tak więc – beknął – księżę w końcu się zdenerwował i kazał znaleźć sobie jakąś młodą niewolnicę. – Beknął ponownie. – Niewolnicy mogą być traktowani tak, jak sobie tego życzą ich panowie, w każdym kraju.

To było kłamstwo. W większości cywilizowanych krajów, które znał Belizariusz, w obecnych czasach zakazane było znęcanie się nad niewolnikami. A przynajmniej zakazywało tego prawo rzymskie. Ale generał nie sądził, żeby Venandakatra zdawał sobie z tego sprawę. Niewolnicy i ich prawa nie interesowały władcy w najlżejszym stopniu. W żadnym kraju, a już najmniej w jego własnym.

– Prawda, prawda. – Spojrzał na generała przebiegle. – Chodzą słuchy, że w rzeczy samej jedna z marathańskich niewolnic oberwała solidnie od swojego nowego pana.

Belizariusz trzymał nerwy na wodzy i zachował spokojną twarz. Nie było mu trudno powstrzymać niesmak i pogardę. Miał ogromne doświadczenie w tej materii. W końcu spędził w towarzystwie Venandakatry długie miesiące. Ale z wysiłkiem udało mu się stłumić cisnący się na twarz wyraz

wstydu.

Przez chwilę jego oczy wpatrywały się w bogate gobeliny pokrywające jedwabne ściany pawilonu. Wzrok błędził po świecznikach stojących na środku stołu. Belizariusz pomyślał sobie, że kandelabr jest groteskowy, mimo złotego blasku i doskonałego wykonania. Przedstawiał jakiegoś tańczącego boga, lubieżnie uśmiechniętego i wyprostowanego. Bóg w czterech dłoniach trzymał srebrne czaszki, z których wylaniały się płonące świece.

Generał oderwał wzrok od błyszczącego przedmiotu i spojrzał ponownie na Venandakatrę. Udało mu się nawet lubieżnie uśmiechnąć do Nikczemnika.

Jednak pamięć ciągle płonęła. Nie mógł zapomnieć o tym, jak pod jakimś bzdurnym pretekstem posłał właściciela zajazdu do pokoju dziewczyny. Kazał pielęgnowanej chorą marathańskiej kobiecie, aby wpuściła do środka właściciela. Niewolnica oczywiście wysłuchała polecenia swego pana. Belizariusz nie ostrzegł jednak Eona, gdyż wiedział, że chłopiec nie zdoła przekonująco odegrać tej sceny.

Udało się, oczywiście. Właściciel zajazdu zobaczył dziewczynę i, sadząc po jego wyrazie twarzy, kiedy opuszczał pokój, zrozumiał doskonale, co się biedaczce przydarzyło. Albo tak mu się wydawało, że zrozumiał. Venandakatra najwyraźniej zinterpretował opis sceny, wydobyty z właściciela podczas śledztwa, w taki sposób, na jaki liczyłem.

Ale myślałem, że księżę mnie zabije, po tym, jak się dowiedział, co zrobiłem. I zabiłby mnie, gdyby nie Ezana i Wahsi, którzy go powstrzymali.

Generał z trudem powstrzymywał emocje.

Boże, jak bardzo pokochałem tego chłopca. Nie dbał o swą urażoną królewską dumę ani o to, co pomyśli o nim właściciel zajazdu. Martwił się tylko tym, że sprawiłem dziewczynie ból i ponownie obudziłem w niej strach. Chciałbym, żeby mój syn Focjusz wyrósł właśnie na takiego mężczyznę.

Ale Belizariusz był generałem, wielkim generałem, z rodu mężczyzn, którzy bezwzględność mają w genach. I dlatego zdołał przywołać na twarz obleśny uśmiech. I po raz kolejny pozwolić strużce wina spłynąć po podbródku, dla lepszego efektu.

Venandakatra osobiście nalał sobie wina. Inaczej niż podczas wszystkich poprzednich wizyt Belizariusza, teraz malawiański pan odprawił wszystkich służących z pomieszczenia po tym, jak on i jego gość skończyli jeść.

– Zauważyłem, że księżę nie ma nic przeciwko dzieleniu się swoimi nałożnicami z osobistą ochroną – powiedział Venandakatra. – To nie jest zachowanie, jakiego można się spodziewać po królewskim dziedzicu.

Belizariusz beknął głośno.

– Nie widzę w tym nic dziwnego. Te kurwy to nie są jego żony ani nawet konkubiny. To tylko niewolnice, a do tego dziwki i wszyscy i tak już je mieli. – Znów mu się odbiło. – Ja także używam tych kuszańskich szmat do spótki z moimi katafraktami, jeżeli już o tym mowa. Zawsze tak robiłem i robię podczas dłuższych kampanii.

Belizariusz mrugnął porozumiewawczo do Venandakatry jak jeden doświadczony żołnierz do drugiego (jakim malawiański władca z pewnością nie był, ale lubił takowego udawać).

– To pomaga utrzymać popularność swojej osoby pośród oddziałów, wiesz. To poczucie jedności. A poza tym zawsze się trafi sporo okazji do zabawy. A już szczególnie podczas zdobywania miast. – Uśmiezek generała zamienił się w obleśny grymas. – Boże, jak ja lubię zdobywać miasta. Rzeź i masakra to istne gówno, ale potem... O, tak!

Venandakatra zachichotał.

– I ja też! – zawołał.

Pierwszy Nikczemnik, w rzeczy samej. Wątpię, czy kiedykolwiek zbliżył się na strzał z łuku do obleganego miasta w całym swoim życiu. Ale jestem pewien, że po zwycięstwie był pierwszym, który selekcyjonował zdobycze i wybierał złapane kobiety.

Znów Belizariusz musiał pilnować swego wyrazu twarzy. Generał nienawidził obleżeń i zdobywania miast. Zrobiłby wszystko, żeby uniknąć podobnych wydarzeń, gdyby tylko kampania wojenna mogła się bez tego obejść. Utrzymanie dyscypliny w oddziałach wchodzących do zdobytego miasta po krwawym i długim oblężeniu było praktycznie niemożliwe, z wyjątkiem elitarnych jednostek w rodzaju jego katafraktów. Nie było nic tak okropnego jak zdobyte i złupione miasto. Przypominało piekło na ziemi. Najbardziej brutalne i bestialskie zbrodnie, jakich mógł się dopuścić człowiek, popełniali tam bezkarnie żołnierze. A w dodatku popełniali je z radosnym okrucieństwem, które zawstydziłoby najgorsze demony z otchłani.

Ale Belizariusz trzymał nerwy pod kontrolą. Był w końcu generałem, wielkim generałem, którego bezwzględność zawsze wynikała z jakiegoś celu. Kiedy nadchodził czas zabijania, przykładał ostrze do ciała.

– Ty, z drugiej strony, wydajesz się mieć pociąg do Kuszanek – zauważył beztrząsliwie Venandaktra. – I twoi katafrakci również, jak słyszałem.

Czas na pułapkę.

– O matko, tak! – zawołał Belizariusz. – Kiedy odkryłem, że w Barakusze są kuszańskie dziwki, od razu wysłałem Walentyniana i Anastazjusza po kilka. – Zarechotał głośno. – Pobiegli jak po ogień, możesz mi uwierzyć... Było na co popatrzeć, szczególnie w przypadku kogoś zbudowanego jak Anastazjusz!

Od strony Venandaktry dobiegł chichot.

– Wyobrażam sobie! On jest strasznie wielki, nieprawdaż?

Belizariusz czekał. Nadszedł czas, aby zatrzasnął pułapkę. Czekał.

Czekał, aż Venandaktra ze zdziwieniem zmarszczył brwi. A potem zauważył tonem towarzyskiej konwersacji:

– Te Kuszanki to najbardziej lubieżne kobiety świata. A raczej Kuszanie to najbardziej lubieżni ludzie świata. Mężczyźni nawet bardziej niż kobiety. – Zakrztusił się łykiem wina. – Nie zrozum mnie źle! – zawołał, machając z naganą dłonią. – Nie interesują mnie mężczyźni, nie w ten sposób. Ale to prawda, uwierz mi. To dlatego pozbyłem się moich wszystkich kuszańskich najemników. To dobrzy żołnierze, nie ma co do tego wątpliwości. Ale sprawiają za dużo kłopotów. Nie potrafią utrzymać rąk z dala od jakiegokolwiek kobiety, która się pojawi w okolicy. Zaczęli nawet dobierać się do mojej żony!

Zmarszczka na czole Pierwszego Nikczemnika pogłębiła się jeszcze. Dookoła głęboko osadzonych oczu pokazała się sieć zmarszczek.

– Naprawdę? – zapytał. – Nie wiedziałem, że miałeś już do czynienia z tym narodem.

– Z Kuszanami? Wprost przeciwnie. Znajdziesz ich na całym terytorium Imperium Rzymskiego. Żołnierzy i kurwy, w większości. To jedyne rzeczy, jakie potrafią robić dobrze. Walka i pieprzenie się. A już szczególnie pieprzenie.

Venandaktra łyknął nieco wina i zamyślił się.

– Słyszałem, skoro już o tym wspominasz, że ty sam mówisz doskonale po kuszańsku. – Wzruszył ramionami. – Zakładam, że to fałszywa pogłoska, oczywiście. Nie wydaje mi się, abyś miał możliwość...

Nie dokończył rozpoczętego zdania. Venandaktra wypił tego wieczora nieco wina, ale zachował

trzeźwość umysłu. (Zupełnie odwrotnie, niż ten rzymski opój.) Malawianin zdał sobie sprawę, że zaczyna wyjawiać zbyt wiele szczegółów swych szpiegowskich operacji.

Ty arogancki idioto, pomyślał Belizariusz, trafnie interpretując przerwę w konwersacji. *Zawsze zakładałem, że jesteś w stanie wyśledzić wszystko i planowałem swe posunięcia, mając to na uwadze.*

Belizariusz wypełnił ciszę, opowiadając szereg zmyślonych, ale zabawnych historii, jedna po drugiej. Był to rodzaj opowieści, jakimi wymieniają się obleśni weterani podbojów erotycznych. Mniej egoistyczny człowiek niż Venandakatra zacząłby się z pewnością zastanawiać, dlaczego wszystkie historie dotyczą Kuszanek. A już szczególnie mógłby się zdziwić, że większość opowieści rozwodzi się nad seksualnymi wyczynami kuszańskich mężczyzn.

Och, cóż to były za wyczyny! Ich niezaspokojone pożądanie. I dziwne sposoby uwodzenia. Niesamowita umiejętność nakłaniania kobiet do rozkładania nóg, a już szczególnie młodych kobiet. I dziewic! Owieczki prowadzone na rzeź, niewinne stworzenia pozbawiane czystości. Nie miało znaczenia, kim były, jakie były, gdzie były. Jeżeli dziewczyna mieniła się dziewicą, żaden Kuszanim nie mógł oprzeć się takiemu wyzwaniu. A już szczególnie starsi mężczyźni, weterani w średnim wieku. Niesamowite, zupełnie niespotykane.

Venandakatra nie odezwał się ani słowem, słuchając tych historii. Ale nie wyglądał na znudzonego. Nie, wcale się nie nudził. Słuchał z wielką uwagą.

Każdy dobry miecz ma dwa ostrza. Czas na drugie uderzenie.

– Ale wystarczy już tego gadania! – zawołał generał. Podsunął Venandakatrze swój puchar. – Czy byłbyś tak miły?

Venandakatra napełnił puchar generała. Belizariusz podniósł naczynie wysoko.

– Ale jestem kiepskim gościem. A ty bardzo skromnym gospodarzem. Sam słyszałem wiele pogłosek, tu i tam. I dowiedziałem się, że wszedłeś w posiadanie całkiem niezłego kęsa. – Zaśmiał się szaleńczo. – Niezłego? Raczej wspaniałego, jeżeli wybaczysz mi to określenie. Królewskiego kęsa!

Wychylił wino jednym haustem.

– Moje gratulacje!

Venandakatra starał się za wszelką cenę zachować kamienną twarz. Złość na wygłaszającego tak niekulturalne uwagi cudzoziemca walczyła z poczuciem dumy z nowego nabytku.

Duma wygrała, oczywiście. *Schwytaj ofiarę, czytając w jej duszy.*

– A i owszem! – zawołał. – Księżniczka Szakuntala. Krew najwyższego królewskiego rodu. Bardzo piękna. Nazywają ją Czarnooką Perłą Satavahanów.

– Ale nie widziałeś jej jeszcze osobiście?

Venandakatra potrząsnął głową.

– Nie. Ale słyszałem doskonały opis jej urody.

W tym momencie Venandakatra rozpoczął długą tyradę, rozwodząc się nad wdziękami księżniczki Szakuntali. Tak, jakby sam je widział.

Belizariusz słuchał z uwagą. Częściowo, oczywiście, że względu na swój misterny plan. Ale także dlatego, że doświadczał właśnie najdziwniejszego eksperymentu na samym sobie. Czegoś w rodzaju umysłowej albo raczej duchowej podwójnej wizji. Generał nigdy w życiu nie widział tej dziewczyny. Ale raz ujrzął ją w swoim umyśle oczami innego człowieka. Człowieka tak odmiennego od siedzącego naprzeciwko Nikczemnika, jak różni się od siebie dzień i noc. Tak jak pantera różni się od kobry.

Kiedy Venandakatra wreszcie skończył, Belizariusz ponownie wznosił kielich i nalał sobie do

pełna wina. Venandakatra, jak zauważył, przestał pić już jakiś czas temu.

Generał z trudem powstrzymywał się od śmiechu. A potem, przemyślawszy sprawę, roześmiał się jednak pijackim, ohydny rechotem. Bez powodu. Wysuszył czarę i nalał sobie kolejną porcję wina. Kątem oka dostrzegł, że Pierwszy Nikczemnik lekko się uśmiecha.

Jestem z Tracji, ty dupku. Urodziłem się jako prosty wieśniak. Wychowałem na wsi, gdzie nie ma co robić. Można tylko pić. Już gdy miałem dziesięć lat, bez problemu bym cię przepił.

– Więc wkrótce ją zobaczysz na własne oczy! – zawołał. – Szczęściarz z ciebie!

Opadł ciężko na oparcie krzesła, łapiąc się kurczowo stołu, aby nie upaść na plecy. Połowa wina wychlapała się z jego czarki, większość wsiąkła w przepyszny dywan przykrywający ziemię. Świecznik stojący w kącie stołu zadrżał mocno. Venandakatra złapał go pospiesznie i ustawił w poprzedniej pozycji, ale i tak część świec wypadła ze swoich miejsc.

– Przepraszam – wymamrotał Belizariusz. Twarz Venandakтры przez chwilę wyrażała wściekłość. Ale nic nie powiedział. Po prostu ustawił z powrotem świece i machnął lekceważąco dłonią, jakby odpędzając zbędne przeprosiny.

Belizariusz wypił resztkę, która została w pucharze. Venandakatra natychmiast nalał mu kolejną porcję.

Belizariusz tępo uśmiechnął się do Malawianina. A potem obleśnie się wykrzywił.

– Oczywiście jest dziewicą. A przynajmniej powinna być – to przecież księżniczka! – Ryknął śmiechem. – Boże, nie ma nic lepszego niż dziewica! Uwielbiam, jak piszcza, kiedy je przeszywam!

Pokiwał ostrzegawczo palcem tuż przed nosem Venandakтры. Na jego twarz wypełził uroczysty wyraz. Wyglądał jak pedofil-mędrzec pouczający młodszego kolegę.

– Upewnij się, że jest dobrze strzeżona! Taka sztuka. Ha! Otocz ją eunuchami, ja bym tak zrobił, albo księżmi, którzy muszą przestrzegać czystości. A jeszcze lepiej księżmi eunuchami! Ha! Ha! Na twoim miejscu zajrzałbym im pod szatki i przekonał się, czy im nie staje!

Prawie się udławił, łykając potężną porcję wina, a potem dodał:

– Mamy w Rzymie takie stare powiedzenie: *Quis custodiet ipsos custodes?* Znasz je?

Venandakatra zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że nie mówię po łacinie.

– Ach. Przepraszam, myślałem, że... twoja greka jest wprost doskonała. – Beknął. – Cóż, w wolnym przekładzie przysłowie to znaczy: „Kto będzie pilnował strażników?”. A oznacza to, że... jakby to...

– Rozumiem doskonale, co ono oznacza! – wtrącił się Venandakatra.

Och, mój Boże. Czyż on nie jest drażliwy? Czas zatopić ostrze.

I skieruj jego uwagę na inne tory. Nawet nie zauważy, że wykrwawia się na śmierć.

– Ale wystarczy tych historyjek o babach! – zagrzmiał Belizariusz. – To bezwartościowe szmaty. Nie zauważamy ich, kiedy akurat nie mamy nastroju na pieprzenie. My jesteśmy ludźmi interesów, ty i ja. Ważnymi ludźmi.

Sięgnął przez stół po butelkę wina, stracił równowagę i stoczył się na podłogę.

– Wszystkie to kurwy – wymamrotał, gramoląc się na krzesło. – Zdradzieckie suki. – Udało mu się wreszcie ponownie usadowić na swoim miejscu.

– Nadają się tylko do pieprzenia, wszystkie – bełkotał generał, wpatrując się w powierzchnię stołu. Venandakatra nalał mu kolejny puchar wina. Znów kącikiem oka Belizariusz zauważył wyraz twarzy współbiesiadnika. Samozadowolenie pokonało obawę.

Teraz muszę tylko zasiać ziarno zwątpienia, a obawa utoruje sobie drogę do serca wolnego od podejrzeń.

– Ludzie interesów, mówię – powtórzył, niewyraźnie wymawiając słowa. – Ważni mężczyźni. – Zaciśnął zęby. – Ważni mężczyźni.

Venandaktra postanowił zaatakować.

– Masz rację, przyjacielu. Chociaż – zawahał się lekko i zamilkł na chwilę – nie zawsze jesteśmy doceniani.

Belizariusz zaciśnął szczęki.

– Czy to nie jest cholerna prawda? Tak po prostu? Ja sam...

Ostrożnie. On nie jest głupi.

Belizariusz machnął ręką.

– Nieważne – wybełkotał.

Pierwszy Nikczemnik uderzył ponownie.

Najpierw pociągnął łyk wina ze swojego kubka. Wedle oceny Belizariusza był to pierwszy łyk, na jaki sobie pozwolił od godziny. (Nie można nigdy nie doceniać swego wroga. Kto wie? Może Rzymianin nie jest aż tak pijany, na jakiego wygląda.)

– Ja tam nie narzekam pod tym względem – zauważył Venandaktra z zamyśleniem. – Imperator Skandagupta zawsze wynagradzał moje wysiłki. I zawsze nagroda była sprawiedliwa, nawet jeżeli miał zastrzeżenia do mojej pracy. Ale krytyka zawsze była łagodna, nigdy ostra. I ma do mnie ogromne zaufanie, i jest hojny.

Belizariusz spojrział na niego podejrzliwie. Ale najwyraźniej podejrzewania skierowane były przeciwko wypowiedzi Venandaktry, a nie przeciwko jego osobie.

– Och, nie... to najprawdziwsza prawda. Zapewniam cię.

– Trudno mi w to uwierzyć – wymamrotał z powątpiewaniem Belizariusz. – Z mojego doświadczenia...

Znów zamilkł.

– Ach, i po co mam się wysilać? – wymamrotał. – Imperatorzy zawsze pozostaną imperatorami, tego nic nie zmieni. – Wydawał się pogrążony w myślach. W ponurych, czarnych majakach pijanego.

– Muszę już lecieć – oznajmił nagle i beknął. – Przepraszam. Obawiam się, że zbyt wiele wypilem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz?

Venandaktra łaskawie skinął głową.

– Sam czasem na zbyt wiele sobie pozwalam, przyjacielu. – Wesoła myśl przyszła mu do głowy. – Jesteśmy ludźmi czynu, wiesz. Wiele spoczywa na naszych barkach. Musimy się borykać z przeciwnościami. Od czasu do czasu powinniśmy się upić i odprężyć.

– Prawda, święta prawda! – Belizariusz uśmiechnął się do Pierwszego Nikczemnika. Nigdy w historii świata pijany człowiek nie zdobył się na tak przyjazny uśmiech do swego towarzysza przy biesiadnym stole.

– Venandaktra, naprawdę bardzo miło spędza mi się z tobą czas – powiedział, starannie wymawiając słowa, jak człowiek mocno pijany, który usiłuje udawać trzeźwego.

– Naprawdę miło. Przepraszam za trochę mniej udany początek znajomości, tam na... – Generał machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku, mając na myśli morską podróż. Odbiło mu się głośno. – Tam na samym początku. Na statku.

– Nie myślę już o tym! Dawno zapomniałem, zapewniam cię. – Venandaktra wstał z krzesła. – Może zawołam jednego ze swoich służących? Pomoże ci wrócić...

Belizariusz przecząco pokręcił głową.

– Nie, nie potrzeba! – zagulgotał. – Sam trafię z owrotem do bobozu... z powrotem do obozu. Nie ma problemu.

Sklonił się Venandakatrze z wystudiowaną ostrożną sztywnością i udał się w kierunku wyjścia. Odciągnął na bok bogato zdobioną draperię, która pełniła funkcję drzwi w pawilonie malawiańskiego pana. Poruszał się ostrożnie, gdyż nie chciał uszkodzić pięknej i kosztownej tkaniny. Kiedy już miał wyjść w czającą się za progiem ciemność, zatrzymał się i uwiesił całym ciężarem na zasłonie, aby nie stracić równowagi. A potem spojrzał w tył na Venandakatę.

Przez kilka sekund Venandakatra i Belizariusz mierzyli się wzrokiem. Wyraz twarzy Malawianina wskazywał na nieśmiałe zaproszenie. Rzymski generał wyglądał na trapionego starymi pretensjami, które doszły do głosu po kilkugodzinnej hulance.

Ponure, gorzkie myśli. Czarne wspomnienia. Myśli pijaka.

Belizariusz odwrócił się, potrząsnął głową i wyszedł w noc.

Nie musiał się odwracać po raz kolejny. Wiedział, co zobaczy na twarzy Pierwszego Nikczemnika. Kalkulacja nakładająca się na pogardę. Pogarda wypierająca strach. Strach, pogrzebany głęboko, pozbawiony podejrzeń, torujący sobie drogę do czarnego serca.

Udało mu się powstrzymać uśmiech przez całą drogę do swojego własnego namiotu. Wszędzie czaili się szpiedzy. Udało mu się nawet powstrzymać od zerkania w głąb lasu, który otaczał zewsząd karawanę. Tam też byli szpiedzy. I tak nic by nie zobaczył. Bo było ciemno. W takich ciemnościach nie mógł dostrzec nic, z wyjątkiem pewnego uśmiechu. Ale łowcy nigdy się nie uśmiechają, kiedy podchodzą swoją ofiarę.

Kiedy dotarł wreszcie do namiotu, wszedł do środka i wreszcie się rozprostował. Namiot był wykonany z dobrej rzymskiej skóry, nie prześwitywał.

– I co? – zapytał Garmat.

Słów, które padły w odpowiedzi, generał żałował przez lata, gdyż z całego serca nie cierpiał ludzi, którzy się puszą. Ale znów nie żałował ich aż tak bardzo. Gdyż, w końcu, nie mógł się powstrzymać od ich wypowiedzenia.

– Belizariusz jest mistrzem miecza.

* * *

Wcześniej następnego ranka, nawet jeszcze przed świtaniem, gromadka kapłanów Mahwedy i oprawców mahamimamsów opuściła karawanę na końskich grzbietach, eskortowana przez oddział kawalerii. Zostali wysłani do posiadłości Venandakatry ze specjalną misją z rozkazu swego pana.

W samym sercu malawiańskiego terytorium nie przyszło im nawet do głowy, aby spojrzeć za siebie i sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Nawet jeżeli by się odwrócili, nic by nie dostrzegli. Ten, który na nimi podążał, nauczył się sztuki polowania od lwów i Pigmejów, największych myśliwych na świecie.

Rozdział 22

Był szalony, jeżeli już to określenie pasowało do tego człowieka.

Jednakże obserwujący go nie zdałby sobie sprawy z jego stanu umysłowego. Mężczyzna wydawał się zupełnie spokojny i nieporuszony, czołgając się przez gęsto ulistnione zarośla i drzewa, które rosły w odległości kilku metrów od pałacu Venandakatry.

Prawda, obserwator mógłby się zastanawiać, co czołgający się mężczyzna tutaj robi. Był człowiekiem średniego wzrostu, czarnowłosym, z czarną brodą przetykaną pasmami siwizny, zwiastującymi nadejście wieku średniego. Stopy miał bose, a na ciele nosił tylko brudną przepaskę biodrową. Ale, nawet po takim opisie, nasuwał się jeden wniosek. Mężczyzna był po prostu sługą

z jednej z niższych kast sudrów, zażywającym odpoczynku w lesie.

Żadna myśl o niebezpieczeństwie nie przemknęłaby przez umysł obserwatora. Człowiek pełznący między zaroślami był najwyraźniej biedny, zgarbiony po latach ciężkiej pracy i nie uzbrojony. W jego brudnej, umazanej ziemi, podartej i skąpej przepasce nie zmieściłby się nawet niewielki sztylet.

Jeżeli jednak obserwator podszedłby bliżej, mógłby powziąć pewne lekkie podejrzenia. Z czołgającym się człowiekiem wiązały się pewne cechy, które nie do końca współgrały z jego aparycją.

Po pierwsze, był zbyt spokojny. A raczej zupełnie nieruchomy. Żaden czarny niewolnik nie jest w stanie długo utrzymać tak stałej pozy. Nie może powstrzymać się od jałowego drapania się i drżenia.

Jego mięśnie, po bliższym badaniu, zaskakiwały obserwatora. Prawda, miał zgarbione ramiona, ale to mogło wynikać z przybranej przez niego postawy. Chociaż mężczyzna nie był mocno zbudowany, mięśnie prężyły mu się pod skórą i doskonale dawały się zdefiniować. Były twarde jak stal, niewątpliwie. I nie wykształciły się z pewnością podczas niewolniczej pracy na roli.

Następnie jego ramiona i dłonie. Miał bardzo długie ręce jak na człowieka jego wzrostu. Długie i bardzo silne. A dłonie, w proporcji do całego ciała, były po prostu ogromne. Z wyraźnymi ścięgnami. Poznaczone bliznami i naroślami dłonie, ale te ślady z pewnością nie powstały podczas prostej i wieloletniej pracy na roli.

I w końcu oczy. Miały orzechową barwę wpadającą momentami w pomarańcz. Był to kolor nietypowy dla człowieka o niewątpliwym marathańskim pochodzeniu. A jeżeli obserwator podszedłby bliżej i spojrzał w te oczy, zauważyłby kolejną dziwną rzecz. W spojrzeniu człowieka nie było nic z tępego spojrzenia niewolnika. Nie, te oczy miały takie spojrzenie, że...

W końcu obserwator wpadłby na właściwy trop. Bo człowiek czołgający się w zaroślach nazywany był wieloma imionami. W jednym przypadku dlatego, że kolor jego oczu i ich spojrzenie przypominało drapieżnika, którego mianem był określany.

Obserwator nie miałby już czasu nawet na wykrzyknięcie ostrzeżenia. Byłby martwy w przeciągu dwóch sekund. Pantera nie potrzebuje broni poza tą, w jaką wyposażyła ją natura.

* * *

W rzeczy samej człowiek był obserwowany. Ale obserwator nie zginął na miejscu, gdyż nie został zauważony. Sam był doskonałym łowcą i czuł się zadomowiony w lesie i pewny w obliczu drapieżników. A już z pewnością miał dosyć rozumu w głowie, żeby nie podchodzić zbyt blisko do tego mężczyzny. Nie wtedy, kiedy tamten był tak wściekły, że jako pantera biłby się ogonem po bokach.

Nie, lepiej było poczekać. Obserwator znalazł już leże pantery. Tam zaczeka na mężczyznę w przepasce i złapie go, kiedy ten nie będzie na to przygotowany. Obserwator wiedział, jak chwycić bestię w ich legowiskach. Robił to już wcześniej, tyle razy, że sam nie mógł ich już zliczyć, i dokonał tego ponownie.

Obserwator znikł w gąszczu, rozplątał się w lesie bez jednego dźwięku. Gdyby Pantera odwrócił się właśnie w tym momencie, zobaczyłby może drżenie łodyg w buszu, w miejscu, gdzie zniknął obserwator. Jego samego oczywiście by nie dostrzegł, gdyż był on mistrzem podchodów. Ujrzałby tylko szybki, krótki błysk bieli na tle zieleni liści. Tylko to, z pewnością.

Ale Pantera się nie odwrócił. Zadrzał tylko lekko. Niektóre stłumione obszary jego mózgu próbowały przekazać sygnał. Ale był to słaby, niepewny i zakłopotany sygnał i przytomna część umysłu Pantery stłumiła go.

Przez dwa ostatnie dni otrzymywał te słabe sygnały. *Coś cię obserwuje*. Pierwszego dnia poważnie potraktował to ostrzeżenie. Ale nie był w stanie nic odkryć. Nic, a rzadko mu się zdarzało, że nie dawał sobie rady z odkrywaniem czegokolwiek. Drugiego dnia po prostu ignorował sygnały. *Jestem przewrażliwiony, to wszystko*. Poza tym wróg nie postępowałby w ten sposób, czając się tak długo i nie ujawniając swojej obecności.

Dlaczego niby Malawianie mieliby tracić czas na obserwowanie swego wroga? Tutaj? W samym sercu ich terytorium, gdzie byli najsilniejsi? Z małą armią żołnierzy, atakującą na każde ich skinienie?

Pantera ponownie zignorował sygnał o niebezpieczeństwie.

* * *

Dwie godziny później, kiedy już zupełnie zeszywniał, zachowując całkowity bezruch, coś wreszcie zaczęło się dziać.

Oddział konnych Radżputów wjechał na otwarty dziedziniec przed pałacem Pierwszego Nikczemnika. Byli oni eskortą pół tuzina kapłanów Mahwedy i ponad dwudziestu padlinożerców mahamimamsów.

Drzwi pałacu otworzyły się i wyszedł majordomus. Człowiek ten był mały i korpulentny. Ubranie, które nosił, uszyte było z najlepszej, starannie udrapowanej tkaniny. Na jego głowie tkwił bogaty turban. Człowiek ten, chociaż był najwyraźniej tylko sługą, zaliczał się do najbardziej dostojnych członków swojej klasy. A przynajmniej był na tyle dostojny i poważany, że stacjonujący w pałacu Ye-tai, którzy zwykle mieli w pogardzie sługi i niewolników, okazywali mu najgłębszy szacunek.

I innych również, jeżeli już o tym mowa. Kiedy tylko Ye-tai dostrzegli konnych Radżputów, najeżyli się niczym gromadka kocurów, które napotkały w alejce bandę psów. Radżpuci, należący do szlacheckich rodów, zignorowali ich wyzwiska.

Majordomus przywołał Ye-tai do porządku. Nastąpiła pomiędzy nimi wymiana zdań. Chwilę później kapłani i mahamimamsowie zsiadli z koni i zostali wpuszczeni do pałacu. Zanim weszli do środka, jeden z kapłanów odwrócił się i powiedział kilka słów do dowódcy oddziału konnicy Radżputów. Radżpuci zawrócili konie i wyjechali z dziedzińca na zewnątrz. Posypały się za nimi wrzaski i wyzwiska Ye-tai. Ale Radżpuci nie obejrzelisi się ani nie odpowiedzieli na obelgi. Nawet nie dali po sobie poznać, że słyszą ujadanie psów Ye-tai.

Kiedy Radżpuci odjechali z dziedzińca, Ye-tai schronili się z powrotem w zabudowaniach. Naturalnie nie odmówili sobie kopnięcia sługi, który przytrzymał im drzwi wejściowe.

Przez pół godziny czy może dłużej na podwórku panowała cisza. Cisza, z wyjątkiem stłumionych dźwięków dobiegających z pałacu, dźwięków, które są typowe dla miejsc zamieszkiwanych przez armię żołnierzy i sług.

Bardzo zajętych sług. Władca tego pałacu miał do niego przybyć w krótkim czasie. Wszyscy o tym wiedzieli, nie tylko służba, ale także mieszkańcy pobliskich wiosek. Wieści spowodowały, że słudzy wpadli w nastrój gorączkowych przygotowań. A wieśniacy skryli się ze strachem w swoich chatynkach i wychodzili jedynie po to, aby wykonać najpotrzebniejsze prace.

Człowiek w lesie także zapłonął gorączką. Ale na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, a ciało pozostało nieruchome. Uważny obserwator zauważyłby lekkie drżenie jego długich palców. Mężczyzna miał nadzieję, modlił się, obserwował, planował, a teraz zostało mu już niewiele czasu.

Człowiek w lesie zamknął na chwilę oczy, koncentrował się na uspokojeniu gniewu i frustracji, które spalały go od środka jak szalejący płomień. Takiej wściekłości nie doświadczył w całym swoim życiu. A spowodowała ją tylko jedna rzecz.

A właściwie jeden człowiek. Jeden człowiek i ludzie, których prowadził ze sobą.

Pantera otworzył oczy. Po raz setny, nie, po raz tysięczny jego szybki umysł przebiegał wszystkie informacje, krążąc wciąż wokół tej wiedzy, którą od dawna posiadał. I z tym samym rezultatem.

Tego nie da się zrobić. Po prostu się nie da. Czyste szaleństwo, nawet nie oplaca się próbować. Są po prostu zbyt dobrzy. A już szczególnie on.

On.

Pantera znał oczywiście imię tego człowieka. Znał je już od tygodni, prawie od pierwszego dnia, kiedy tu przybył. Przepytał wieśniaków i służących, którzy mieszkali w wiosce i dowiedział się jego imienia. Tak samo jak dowiedział się wielu innych rzeczy.

Nie było to trudne. Ani wieśniacy, ani słudzy nie podejrzewali niczego. Przyjacielski, wesoły człowiek, trochę upośledzony na umyśle. To bez wątpienia przez te okropne przeżycia. Kolejny bezradny uchodźca w świecie uchodźców, który okazjonalnie podejmował się lekkich prac w zamian za okruch tego, co mogli mu zaoferować wieśniacy. I za rozmowy. Za wiele rozmów. Najwyraźniej był samotnym mężczyzną. Nieco ociężałym umysłowo, ale niegroźnym i miłym. Istne błogosławieństwo dla wioskowych kobiet, których gadania nikt inny nie chciał słuchać.

Prawda, był Maharathą, nie należał do ich narodu. Ale mieszkańcy wioski nie czuli żadnej solidarności z Malawianami. Ani trochę. Bali się okupanta i głęboko go nienawidzili. Człowiek był najwyraźniej zbiegłym niewolnikiem, chociaż nie nosił żadnego znaku. Może uciekł przed wypaleniem znamienia. Wieśniacy instynktownie chronili go przed ciekawskimi spojrzeniami obcych. I nic nie donieśli władzom.

A zresztą, komu niby mieliby donosić? Majordomus, podobnie jak jego mała obstawa, był drobnym tyranem. Lepiej go unikać za wszelką cenę. Wieśniacy należeli do kasty tak niskiej, że nie mogli nawet marzyć o rozmowie z dumnymi kapłanami Mahwedy, a z mahamimamsami nie odważyłby się spotkać nawet straceniec. Radżpuci ignorowali mieszkańców wioski, tak jak się ignoruje robactwo. Ye-tai czyniliby podobnie, gdyby nie to, że często wpadali do wioski w poszukiwaniu zabawy. Szukali jednak raczej mężczyzn niż kobiet jako obiektów zabawy. Więc komu mieliby zdradzić? Może Kuszanom. Ale Kuszanie byli zajęci, wykonując swoje specjalne zadanie i nie mieli czasu ani chęci zajmować się innymi sprawami. Nie, lepiej było siedzieć cicho. Ten nowy to tylko nieszkodliwy przyglup już dosyć skrzywdzony przez los.

On. Tak, Pantera znał jego imię, ale nigdy go nie wymawiał, nawet w myślach. Dlaczego miałby to robić? W umyśle Pantery ten człowiek zajmował centralne miejsce od tygodni. Kto potrzebuje nadawać imiona rzeczom znajdującym się w środku wszechświata?

On. Ten przeklęty, znenawidzony *on*.

O tak. Często przeklinany przez człowieka, który raczej klął rzadko. I głęboko znenawidzony przez człowieka, który niełatwo decydował się na podobne uczucia.

Ale Pantera nigdy nie pozwolił sobie na pogardę w stosunku do tego człowieka. Gdyż nienawiść była specjalnym rodzajem nienawiści, pomimo głębi tego uczucia. Pantera nigdy nie nienawidził nikogo w całym swoim życiu w ten sposób. Nigdy nie nienawidził tak okropnie i nie pragnął porażki tego człowieka z tak silną i bolesną pasją. A jednocześnie nie znajdował żadnej winy w postępkach obiektu nienawiści.

Nawet nie mógł mu zarzucić oddania się pod komendę Malawy. Gdyż człowiek ten nie miał innego wyboru w tej kwestii. To Pantera wiedział z pewnością po latach studiowania zależności międzyludzkich. Historia skazała człowieka, którego nienawidził i jego rodaków na klęskę i podporządkowała ich Malawie. Ich siła i umiejętności w bitwie były teraz wykorzystywane przez ich nowych władców. A nie byli oni na tyle silni i zorganizowani, aby zrzucić to jarzmo. I tak jak

uczyniło już wielu przed nimi i w przyszłości wielu uczyni, dumni Kuszenie ugięli wreszcie karki.

Nie, Pantera nie czuł nienawiści do człowieka za to, kim się stał. Osobiście nie odpowiadał za to, co się wydarzyło ani sam nic złego nie uczynił. Raczej było odwrotnie, podejrzewał Pantera. Jego sumienie pozostało czyste, podobnie jak ciało, mimo tego że już długo była uwięziona. Wiedział, bo często widział ją z daleka. Widział ją wiele razy. Zawsze w jego towarzystwie. Jego i jego ludzi.

Oczywiście, nie była szczęśliwa. Ją samą przepełniała desperacja i nienawiść, wiedział o tym. Ale widział także, jak patrzyła na swego strażnika. Nie było to przyjazne spojrzenie, oczywiście, że nie. Ale także nie znalazł w nim nienawiści ani gniewu, ani niesmaku, ani pogardy.

I Pantera widział także, chociaż z daleka, jak strażnik patrzył na nią. Nie było łatwo odczytać z jego twarzy jakiegokolwiek emocje. Była jak wykuta z żelaza i zimna jak kamień. Ale Pantera zrozumiał tego mężczyznę.

Prawdopodobnie to zrozumienie w końcu wypełniło serce Pantery taką furią i płomieniem, jaki musi gorzeć w sercu samego boga. Pantera nienawidził tego człowieka tak bardzo, jak nigdy i nikogo w życiu. I wiedział, że w innym miejscu i innym czasie, w innym obrocie koła losu, byłby wdzięczny za przyjaźń tego człowieka.

* * *

A potem, nagle, na dziedzińcu pojawił się *on*. Wyszedł z drzwi pałacu do ogrodu. Za nim podążali jego podkomendni. Wszyscy żołnierze należeli do narodu, z którego pochodził ich dowódca. A właściwie należeli nawet do tego samego klanu, jak dowiedział się Pantera. Tworzyli ciasno związaną gromadkę weteranów, którzy przysięgali swemu dowódcy na krew i krwią okupili swe doświadczenie w boju.

Pantera poznawał ich wszystkich. Znał każdą twarz. Wiedział, że wszyscy wyszli z pałacu. Cały oddział.

Pantera zmusił się do zachowania absolutnej ciszy. Może, może. Może teraz będzie miał szansę! Nadzieja była niewielka, prawda, i teraz także umarła śmiercią naturalną. Strażnicy nigdy nie pozwalali księżniczce spacerować po dziedzińcu. Jej codzienne przechadzki ograniczały się do założonego wysoko na murach ogrodu i umocnieniach pałacu. Po raz pierwszy Pantera musiałby tylko pokonać ich w otwartym polu, a nie dopiero po przebyciu wałów obronnych.

Nie mógł powstrzymać grymasu. Tylko. Gołymi rękoma. Prawda, potrafił walczyć. Ale nawet nie musiał się przyglądać strażnikom, by wiedzieć, że oni także byli dobrzy w swojej robocie. (Chociaż i tak przyglądał im się tysiąc razy.) Dyscyplina, zadbane hełmy i zbroje, dobrze naoliwione ostrza mieczy i włóczni. I najgorsze ze wszystkiego – postawa i pewność siebie właściwe jedynie starym żołnierzom, którzy wyszli cało z niezliczonych bitew.

Tylko. Ale wiedział, że nie będzie miał drugiej szansy. Powoli, nieubłaganie, podkulił nogi, szykując się do skoku. Będzie czekał, aż księżniczka wyjdzie z pałacu i odejdzie kawałek od drzwi.

Czekał. Czekał. I był coraz bardziej zdziwiony.

O co tu chodziło?

On i jego ludzie zgromadzili się na środku dziedzińca. Drzwi pałacu zamknęły się za nimi. Nie widział nigdzie ani śladu księżniczki.

Pantera przyjrzał się ponownie zgromadzonym na dziedzińcu żołnierzom. Wyglądało na to, że się kłóca. Nie słyszał dokładnie wyrazów, ale z tonu wynikało jasno, że unosi ich gniew. Na to samo wskazywały wyrazy ich twarzy. Co prawda trudno było coś z nich wyczytać, ale Pantera znał dobrze takie twarze. Głęboki, gorzki gniew przetaczał się pod kamienną powierzchnią, powstrzymywany przez lata twardej dyscypliny.

Nie. Oni się nie kłócili. Nie spierali się ze sobą. Ich gniew był skierowany przeciwko komuś

innemu. Zauważył, jak spoglądają w kierunku pałacu. Szybkie gniewne spojrzenia. Drzwi otworzyły się ponownie. Pantera napiął mięśnie. Ale księżniczka się nie pokazała. Tylko gromadka służby niosąca jakieś zawiniątka. Zawiniątka, jak zauważył pantera, zawierające...

Oczy Pantery przeskoczyły ponownie na stojącą na dziedzińcu gromadkę. Nagle wybuchła w nim nadzieja, dzika nadzieja.

On coś powiedział. Wyszczekał rozkaz. I znowu Pantera nie mógł usłyszeć słów. Ale znał ten ton właściwy dowódcom wielkich armii.

Rozkazy to rozkazy. Trzeba ich słuchać i wykonać. Zamknij się i rób, co ci każą.

Chwilę później *on* ruszył naprzód. Jego podkomendni podążyli za nim, niosąc swoje tobołki. Wyszli z dziedzińca. Szli piękną aleją prowadzącą przez grunta pałacowe. A potem skręcili w lewo na brudny gościniec...

... wiodący do baraków dla wojska.

Czy to możliwe? Jak to?

Pantera wahał się tylko przez moment. Zwlekał tylko tyle, aby rzucić jeszcze jedno szacunkowe spojrzenie na pałac.

Nie. Najpierw muszę się dowiedzieć...

Pantera popędził w głąb lasu, kierując się w stronę baraków. Poruszał się bardzo szybko i lekko, prawie niezauważalnie. Tylko leciutkie drżenie liści znaczyło ślad jego przejścia. Podobne do tego wywołanego przez podmuch wiatru.

Znalazł wreszcie dobry punkt, z którego mógł niepostrzeżenie obserwować baraki. W tych bungalowach mieszkali Radźpuci i zwykli żołnierze. Nie mogli oni nocować w obrębie pałacu ze względu na niskie pochodzenie i status społeczny. Z oddziałów pilnujących posiadłości tylko Ye-tai cieszyli się możliwością mieszkania w luksusowych pomieszczeniach. Tylko Ye-tai i oczywiście *on* i jego ludzie, ze względu na ich specjalne obowiązki. Aż do tej pory.

On przybył już na miejsce wraz ze swoimi ludźmi. Weszli do najlepszego baraku zarezerwowanego dla zwykłych żołnierzy. Radźpuci mieszkali w specjalnych barakach usytuowanych na końcu zabudowań. Nie były to luksusowe pomieszczenia i nie przypominały w niczym kwatery oficerskich, ale i tak prezentowały się o niebo lepiej od budynków dla zwykłych żołnierzy.

Z baraku, do którego weszli, buchnął wrzask kilkunastu wściekłych głosów. Ale szybko ucichł. Strażnicy byli niczym gromada wilków wkraczających do legowiska szakali.

Z drzwi baraku zaczęła się wylewać rzeka szeregowców. Wybiegali w popłochu i z wielkim pośpiechem. Ostatni z nich został ugodzony w dolną część pleców solidnym kopniakiem. Sekundę czy dwie później przez drzwi wyrzucono kolejnych dwóch wojowników i ciśnięto ich na ziemię niczym dwa worki ryżu. Wylądowali w pyłe i tam pozostali, nieprzytomni. Głowy plamiła im sącząca się z ran krew.

Niedługo po tym, przez drzwi przeleciały tobołki wysiedlonych żołnierzy. Worki nie zostały prawidłowo zapakowane, a raczej w ogóle ich nie zapakowano. Po prostu rzeczy zebrano na kupę i wywalono przez drzwi na zapyłone podwórze, jak brudy, które nerwowa gospodyni wyrzuca przed dom do prania.

Ponuro, ale szybko i sprawnie, zerkając podejrzliwie i z nienawiścią w kierunku baraku, żołnierze podkradli się blisko drzwi i zebrali swoje rzeczy. Otrzepali z kurzu skąpe szmaty, które do nich należały, zwinęły je ciasno w toboł i chyłkiem wycofali się w kierunku pozostałych baraków, usytuowanych w pewnej odległości. Do pustych baraków, których ściany zapadały się do środka, a dziurawy dach zatrzymywał deszcz równie skutecznie jak rybackie sieci.

Tak. Tak. Tak. To prawda!

Pantera wrócił szybko tą samą drogą, którą tutaj przybył. Ale zanim dotarł do dawno upatrzonej kryjówki na wprost drzwi do pałacu, zatrzymał się na chwilę.

Och, to nie było łatwe! Tygodnie wściekłości i frustracji przyciągały go do tego znieawidzonego pałacu!

Ale udało mu się powstrzymać. Był cierpliwy, jako człowiek zastawił dziesiątki tysięcy pułapek i wyszedł cało z wielu innych.

Cierpliwości. Pierwszy Nikczemnik nie przybędzie tutaj jutro ani pojutrze. Masz jeszcze czas. Musisz odkryć, co się stało. I ponownie ustalić strategię działania. Spokojnie.

Odwrócił się i pomknął przez las do swego legowiska ukrytego głęboko w zaroślach. Po drodze próbował wymyślić jakiś nowy plan działania, bazujący na nowej sytuacji. Ale szybko porzucił ten wysiłek. Robienie planów, kiedy nie znał dokładnie panującej w dworze sytuacji, było głupie. A poza tym jego umysł zbyt szalał, ogarnięty emocjami.

Poczuł nową siłę. Nadzieję. Potężne uczucie, jak szalejący monsun. Wypełniało ono każdy zaułek i fragment jego duszy.

Bo w duszy Pantery nagle zrobiło się miejsce. Zniknęło uczucie, które wypełniało go od miesięcy. Pantera wreszcie nie czuł nienawiści do *niego*. Nienawiść zniknęła wraz z jej obiektem, jak cichnie nagle monsunowy wiatr, a Pantera z radością obserwował zniknięcie tego płomienia.

* * *

Przybył wreszcie do swego legowiska. Kryjówka nie była zbyt okazała. Człowiek nie posiadał wiele, a to, co niegdyś miał, odrzucił bez żalu. Przygotował sobie schronienie bardzo dokładnie, upewniając się, że nikt go nie znajdzie.

Kucnął, odsunął kamienie i kłody drewna, maskujące jego małe ognisko i zaczął układać małą piramidkę gałązek, aby rozpalić ogień. Nie miał zbyt wiele do jedzenia, ale dysponował teraz czasem, aby coś sobie ugotować. Mógł odpocząć i posilić się trochę. Kryjówka była bezpieczna i absolutnie niewidoczna. Tam mógł zanurzyć się w myślach bez obawy wykrycia i schwytania.

Głos, jaki usłyszał za sobą, był pierwszym znakiem, że wpadł w zastawioną pułapkę. Nie mógł uwierzyć, że komuś udało się tak dokładnie zamaskować, że nie wyczuł jego obecności.

Głos mówił w *marathi*. Z doskonałym akcentem.

– Jesteś naprawdę dobry, Raghunacie Rao. Prawie tak dobry jak ja, ale i tak ja jestem lepszy.

Pantera odwrócił się bardzo powoli. Wpatrzył się w listowie, skąd dobiegał obcy głos. Ale ciągle Raghunath nie mógł dostrzec mówcy.

Aż do chwili, kiedy na ciemnym tle ujrzał błysk oślepiających białą zębów. Szybki błysk, nic więcej.

Pantera mógł teraz z wysiłkiem zobaczyć zarys sylwetki obcego. Człowiek był tak doskonale ukryty, że jego czarne ciało gubiło się na tle ciemnych zarośli. Powoli, niezauważalnie Pantera napiął mięśnie i przygotował się do skoku.

Z ciemnych krzaków, gdzie krył się cień, wyleciał przedmiot. Wylądował nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów od jego stóp. Wyglądał jak mały pęczek czegoś. Owinięty w materiał.

Znów usłyszał głos.

– Najpierw obejrzyj ten podarek, Raghunacie Rao. A potem, jeżeli ciągle będziesz miał ochotę udawać głupca, przynajmniej będziesz głupcem dobrze uzbrojonym.

Pantera wahał się tylko przez moment. Wyciągnął przed siebie lewą ręką i błyskawicznie rozwinął materiał. Przed nim załśnił podarek.

Wiedział, co to jest, oczywiście. Ale dopiero kiedy wyjął go z pochwy i dokładnie mu się przyjrzał, zrozumiał, jak wspaniała jest ten prezent. Był doskonałym znawcą sztyletów i ich

użytkownikiem, więc pojął, jaką wartość ma ten przedmiot.

Kolejny pakunek wylądował u jego stóp.

– A teraz rozpakuj to – rozkazał głos znikąd.

Pantera użył sztyletu, aby przeciąć sznurki wiążące małą rolkę ze skóry. Po otwarciu okazało się, że w środku tkwi parę kart papirusu. Na nich, w języku Maharathów, napisano jakąś wiadomość.

Pantera spojrział w kierunku zarośli. Łowca stał na poprzednim miejscu.

Dziwna pułapka, pomyślał sobie. Zaczął czytać otrzymaną wiadomość.

Nie sposób opisać wszystkich emocji, jakie zasiała treść tej wiadomości w duszy Pantery. W większości było to uczucie nadziei jasnej jak pogodne niebo. Nadziei, jaką dawała treść zawarta w papirusach. A przy ostatnich słowach na niebie nadziei zajaśniała tęcza.

Na wpół oszołomiony Raghunath Rao podniósł wzrok i spojrział w kierunku ukrytego w cieniu łowcy.

– Czy to prawda? – wyszeptał.

– A która część? – w odpowiedzi usłyszał pytanie. – Początek w istocie jest prawdziwy. Sam zresztą widziałeś. Oczyszciliśmy ci drogę. A środek? Możliwy. Ciągłe trzeba jeszcze wiele zrobić, a któż może znać nasze przyszłe losy.

Usłyszał lekki szelest. Łowca podniósł się i wyszedł z krzaków na polankę. Pantera wpatrywał się w wysokiego mężczyznę. Nigdy nie widział takich ludzi, ale nie gapił się z otwartymi ustami. Pantera dawno już doszedł do wniosku, że akt stworzenia jest jedną z największych zagadek. Dlaczegoż więc ziemia nie miałaby nosić tak dziwacznych ludzi?

Pantera szybko przebiegł wzrokiem po uzbrojeniu obcego. A potem, już nie tak prędko, przyjrzał się lekkiemu, pewnemu chwytowi, jakim mężczyzna trzymał ogromną włócznię. Pantera rozpoznał ten chwyt, znał go doskonale i wiedział, że obcy jest śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem i gdyby chciał...

– Jak to się dobrze składa – zauważył Pantera – że jestem człowiekiem, który nie może się oprzeć słowu pisanemu.

– Nieprawdaż? – zgodził się łowca, przyjaźnie szczerząc zęby. – Ja sam uwielbiam czytać. Ta umiejętność, jak mniemam, przyczyniła się znacznie do wydłużenia mojego życia.

Wysoki łowca nagle pochylił się. On i Pantera patrzyli na siebie, ich oczy znajdowały się teraz na prawie równym poziomie. Uśmiech nie opuszczał twarzy intruza.

– Co sprowadza nas, czy to nie dziwne, do twojego pytania. Czy ostatnia część wiadomości to prawda? To, jak myślę, chciałbyś wiedzieć najbardziej ze wszystkiego.

Pantera skinął głową.

Łowca wzruszył ramionami.

– Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Nie jestem zbyt zaprzyjaźniony z tym... osobnikiem, tak go nazwijmy. On jest raczej mocno związany z mężczyzną, który przesłał ci tę wiadomość.

– Spotkałeś osobiście...

– Och tak. Ale tylko w przelocie, miej to na uwadze. Ale to było bardzo dziwne przeżycie.

Łowca przerwał na chwilę, wpatrując się w mroczny las. A potem powiedział bardzo wolno:

– Nie wiem. Myślę, że jest prawdą. Ale trudno z całą pewnością odpowiedzieć na twoje pytanie.

Ponieważ, widzisz, ten proces jest także uzależniony od natury ducha.

Pantera zastanowił się nad tymi słowami. A potem spojrział w dół i po raz drugi przeczytał zakończenie wiadomości. A potem roześmiał się radośnie.

– W rzeczy samej! Myślę, że masz rację!

Zwinął papirusowe karty, wsunął je z powrotem do skórzanego zwoju i całość przymocował do

swojej przepaski biodrowej.

– Wygląda na to – zauważył lekko – że po raz kolejny będę zmuszony działać w tym zwariowanym świecie, bazując tylko na samej wierze. – Pantera wzruszył ramionami. – Niech więc tak będzie.

– Nonsens – stwierdził łowca. – Sama wiara? Nonsens! – Machnął dłonią, majestatycznie odganiając od siebie wszelkie wątpliwości. – Mamy przecież filozofię, mój przyjacielu, filozofię!

Szeroki uśmiech zajaśniał na twarzy łowcy, lśniąc jak latarnia morska na tle ciemniejącego lasu.

– Słyszałem, że studiowałeś długo nauki filozoficzne.

Pantera przytaknął.

Uśmiech był teraz niemalże oślepiający.

– A więc doskonale! To zagadnienie duszy nie jest wcale takie trudne, mimo wszystko. A przynajmniej nie wtedy, jeżeli zaczniemy od prostej prawdy, że ciągle się zmieniający prąd rzeczywistości jest niczym więcej niż tylko cieniem rzucanym na nasz umysł przez głęboko ukryte, stare, niezmiennie i wieczne formy.

Oczy Pantery zwięziły się w szparki. Przypomniawszy sobie siłę swej duszy w niewoli, związanej dla czystej przyjemności tych bestii, szaloną walkę z okupantem... desperacką ucieczkę z niewoli... strategie narodzone z mitu, a ten... ten do połowy nagi barbarzyńca znikąd... ten... ten...

– Nigdy w życiu nikt mnie jeszcze tak nie obraził! – zaryczał Pantera. – Dziecięca paplanina! – Ogon bił o boki bestii. – Całkowity kretynizm!

Z furją zaczął rozpalać ognisko.

– Och nie, mój dobry człowieku, zupełnie nie rozumiesz tego zagadnienia. Maya – zasłona iluzji, którą ty tak nieelegancko nazywasz ciągle się zmieniającym prądem rzeczywistości, jest niczym. Nie jest cieniem, po prostu nie istnieje. Nazywanie tej próżni cieniem mogłoby sugerować, że...

Pantera nie wytrzymał i przerwał ten strumień słów.

– Ale, zachowałem się niegrzecznie. Nie zapytałem się ciebie o imię.

– Ousanas. – Czarny mężczyzna wyciągnął przed siebie dłoń pytającym gestem. – Być może podjąłem ten temat w nieodpowiedniej chwili. Mamy przecież uratować księżniczkę, kogoś tam zamordować, zmylić jakiś pościg, wymyślić chytry podstęp i ułożyć nowy plan i tym podobne. I to wszystko bazując jedynie na jakiejś wizji. Może...

– Nonsens!

Raghunath Rao wygodniej usadowił się na ziemi na swoim legowisku, tak jak pantera sadowi się, aby przystąpić do pożerania antylopy.

– Szakuntala wytrzyma – oznajmił, machając władczo dłonią. – Od małego powtarzałem mojej ukochanej, chociaż upartej dziewczynce, że w efekcie końcowym liczy się tylko dusza. A teraz, jeżeli już o tym mowa, na pierwszy rzut oka jest oczywiste, nawet dla ciebie, że istnienie duszy zostało nam zapewnione przez Jedynego. A Jedynek, to wynika z jego specyficznej natury, jest niepodzielny. To oznacza, że...

– To śmieszne! – zawył Ousanas. – Jedynek... cóż to za głupie określenie. Zdradzieckie z punktu widzenia logiki, gdyż zakłada rzeczy, które muszą być najpierw udowodnione, a mogą być udowodnione tylko w jeden sposób...

Rozmawiali bardzo długo w nocy. Cichy pomruk w lesie; słabe, pełgające światło. Ale nikt ich nie widział, a gdyby nawet, to ujrzałyby tylko dwie drapieżne istoty walczące o zdobycz.

Dusza, potężna zdobycz, największa z możliwych, zdobycz godna prawdziwego łowcy. W istocie ci dwaj byli największymi myśliwymi na świecie, no może z wyjątkiem małych ludzi żyjących w innym lesie daleko stąd. Którzy także, na swój własny sposób, chwyтали największe stworzenia,

jakie kiedykolwiek stapały po ziemi.

Rozdział 23

Trzy noce później Wiatr z Niezmierzonego Kraju przemykał się przez pokoje dworu Venandakaty.

Niesamowity. Cichy jak duch. Nie poruszył zasłoną, nie zadrzał żaden talerz. Ale za sobą pozostawiał ślady, jakie widać po przejściu wichury. Monsun, pradziadek burzy, którego fale potrafią spustoszyć całe wybrzeża.

Ta fala była raczej nienaturalna. Selektywnie bowiem wywierała swój gniew, a zamieszanie czyniła niewielkie. Furia pozostawała pod kontrolą.

Majordomus miał umrzeć pierwszy, w swoim własnym łóżku. Zginął szybko, jego płuca zostały natychmiast zgniecione ciężarem, który na nie upadł. Umarł cicho, z twarzą purpurową, a oczyma wypchniętymi na wierzch i wlepionymi w sieć sznurków i dźwigni, za które bezskutecznie chciał złapać swą pulchną dłonią. Sznurków i dźwigni, które mogły go uratować, gdyż były siecią nerwową całego pałacu. Mechanizm ten alarmował wojowników Ye-tai, stawiał na nogi kapłanów i katów mahamimamsy, przywoływał służących.

Urządzenie było wprost cudowne, wykonane przez najzdolniejszych rzemieślników. Jego sznurki zrobiono z najlepszego jedwabiu.

Jednakże mechanizm stał zbyt daleko i majordomus nie zdołał go dosięgnąć. Nawet gdyby udało mu się sięgnąć po najbliższy biegnący sznurek, ten, którego szukał najbardziej desperacko, okazałoby się, że nic zniknęła. Linka ta uruchamiała dzwonek w pomieszczeniach strażników Ye-tai. Ale zniknęła. Majordomus mógł widzieć zwisającą z sufitu końcówkę sznurka. Sznurek musiał zostać przecięty nożem, tak czysta i prosta była jego krawędź. Albo doskonałej jakości sztyletem.

Nie musiał się natomiast zastanawiać, co się stało z odciętą końcówką sznura. Przepiękny jedwab tonął bowiem w fałdach tłuszczu na jego szyi, zaciśnięty przez stalowe dłonie. Walczył z tymi rękami z całą desperacją, jaką mógł wywołać strach przed śmiercią.

Ale wysiłek był daremny, a jego siła w porównaniu z mocą tych niesamowitych rąk była jak moc małego dziecka. To właśnie ta moc sprawiła, że stał w dotyku wyglądała jak żywe ciało.

I tak, lokaj umarł, podobnie jak żył. Gruby i opuchnięty do niemożliwości.

Wiatr opuścił pokoje majordomusa. Kiedy już miał odejść, zawirował lekko i przeciął wszystkie jedwabne nici i wyrwał dźwignie. I nie poruszył przy tym żadnego dzwonka umieszczonego na końcu sznurków w całym pałacu, tak delikatny był to podmuch.

Dźwignie wyrzucił. Sznury zatrzymał. Były wykonane z doskonałego jedwabiu i Wiatr z przyjemnością ich dotykał.

Wiatr zrobił użytek z trzech nici już w przeciągu kilku minut od zabicia majordomusa. Kapłani Mahwedy, wyższej rangi, którzy dowodzili niedawno przybyłymi kapłanami i oprawcami mahamimamsy spali w apartamentach tuż obok. Ich własne pokoje nie były aż tak luksusowe jak sypialnia majordomusa, podobnie jak zamki w ich drzwiach nie były tak doskonałe. Ale nawet gdyby były, Wiatrowi nie robiłoby to różnicy. Zamki, nieważne jak skomplikowane, nie stanowiły dla niego przeszkody większej niż dmuchawce dla cyklonu.

Także nie robiło mu różnicy, że płuca kapłanów nie były obciążone nadmiernym tłuszczem. A ich szyje napinała ciągła potrzeba surowości. Wysoko trzymali głowy, to prawda, gdyż pełnili wysokie funkcje w kościelnej hierarchii i bardzo byli oddani prostocie. Ale pod dotykiem Wiatru unieśli

głowy nawet jeszcze wyżej. Gdyż kapłani Mahwedy powinni, zdaniem Wiatru, surowo spoglądać na swoje owieczki.

Wiatr opuścił komnaty wysokich kapłanów i przemknął przez kolejne pomieszczenia. Małe pokoiki o drzwiach bez zamków kryły śpiących kapłanów o mniejszym znaczeniu, a nawet pokornych mahamimamsów.

Po przejściu Wiatru byli nawet pokorniejsi, nawet bardziej skromni. Prawda, ich proste postawienia przybrały ostentacyjne barwy zupełnie nie przystające do ich postawy. Ale nie można ich było winić za tę naturalną katastrofę. Monsun zawsze niesie ze sobą wilgoć.

Załatwiwszy wszystkie swoje interesy w tej części pałacu, Wicher pomknął w kierunku zachodniego skrzydła budowli. Tam, ciągle poza zasięgiem, znajdowało się miejsce przeznaczenia, które właśnie spowodowało, że Wiatr pędził przed siebie, niszcząc wszystko na swojej drodze.

Wicher zwolnił teraz nieco i poruszał się bardzo ostrożnie. Przechodził właśnie przez kwatery dla służby. Wiatr nie miał żadnych zatargów z tymi istotami. Dlatego poruszał się po korytarzach niczym delikatny zefirek, aby nie obudzić mieszkańców sypialni.

Niestety, jeden ze służących obudził się ze snu. Nie, nie usłyszał kroków Wichru, ale po prostu podeszły wiek nie pozwolił mu zasnąć. Była to starucha pokrecona przez lata ciężkiej niewolniczej pracy, która na swoje własne nieszczęście postanowiła właśnie w tej chwili wyleżeć ze swojego łóżka.

Niedługo potem znalazła się z powrotem w swej sypialni. Leżała na swojej macie, zakneblowana i związana jednym z jedwabnych sznurków, ale nietknięta. Nie usiłowała walczyć z tymi więzami. Równie dobrze mogłaby próbować przerwać żelazne łańcuchy. Kiedy znaleziono ją w końcu następnego dnia, nie dolegało jej nic z wyjątkiem tego, że przeżyła noc w niewygodzie, w pościeli przemoczonej uryną.

W tym jednym przypadku Wicher niepotrzebnie uległ litości. Starucha i tak umarła dwa dni później. Zginęła nabita na pal z rozkazu Venandakтры. Zarzucono jej, że nie unieszkodliwiła jednego z największych zabójców stąpających po tej ziemi.

Co dziwne, nie bała się śmierci i nawet jej do głowy nie przyszło, aby winić o nią Wicher. Pędziła nędzny żywot w tym wcieleniu, w tym konkretnym czasie. Następna inkarnacja mogła być lepsza. Prawda, ostatnie momenty przed śmiercią wypełniał ból. Ale ból nie był obcy tej starej kobiecie. A tymczasem przed jej oczyma rozgrywało się najcudowniejsze przedstawienie. Najpiękniejsze, jakie widziała w całym swoim nędznym życiu.

Umierała w dobrym towarzystwie, można powiedzieć nawet, że w najlepszym. Znała doskonale tych mężczyzn. Po obu stronach kobiety na palach zatknięci byli Ye-tai, którzy przez całe życie traktowali ją jak śmiecia, kpiąc z niej, opluwając, przeklinając i bijąc, gdzie popadnie. Ich ojcowie, kiedy była jeszcze młoda, czynili podobnie, dorzucając do długiej listy mąk jeszcze gwałt. Ale teraz to oni cieszyli jej oczy w ostatniej godzinie życia. I bawiła się doskonale, patrząc, jak konają w męczarniach.

Aż w końcu słaba staruszka umarła, rechocząc z radości. Podczas gdy siedemnastu nabitych na pale Ye-tai wiło się i krzyczało, walcząc o litościwą ciemność.

* * *

Kiedy Wiatr przebył już kwatery służby, przebiegł szybko przez ogromne pokoje należące do samego Pierwszego Nikczemnika, który tutaj zażywał rozrywki i odpoczynku. Wicher był niewidzialny, gdyż żadna z lamp i pochodni nie paliła się w tych pomieszczeniach. Wszędzie panowała cisza. Nie musiał już zachowywać tak daleko posuniętej ostrożności. Kiedy pana nie było w pałacu, nikt nie wchodził do jego prywatnych apartamentów. Nikt nie śmiał tego uczynić. Gdyby

ktoś został tutaj złapany, natychmiast oskarżono by go o złodziejstwo i błyskawicznie nabito na pal.

Nie musiał być niewidzialny, nie musiał być niesłyszalny, ale i tak Wicher zachowywał maksymalną czujność. Bo taka była natura drapieznika i nie potrafił poruszać się inaczej.

Wiatr wbiegł do korytarza prowadzącego w kierunku schodów. Tam właśnie stał pierwszy z mahamimamsów, u podnóża schodów. Stał w pozie będącej parodią czujnej postawy wartownika. Wiatr przemknął szybko, a potem wpadł na schody. Mahamimamsa pozostał na dole, ze znacznie lepszą postawą. Teraz bardziej przypominał czujnego strażnika. Prawda, oprawca nie udawał już dłużej, że stoi. Ale jego oczy pozostały szeroko otwarte.

W pobliżu szczytu schodów, na ich ostatnim zakręcie, Wicher zawirował i zatrzymał się. Nasłuchiwał tak, jak tylko wiatr potrafi.

Jeden mahamimamsa. Nie więcej.

Gdyby nie to, że cisza leżała w naturze Wichru, zawyłby z radości. Nawet Ye-tai mieliby na tyle rozumu w głowie, żeby postawić na tych schodach co najmniej dwóch strażników.

Ale Ye-tai nie mieli prawa nawet wchodzić na te schody, nie od czasu, kiedy skarb przybył do pałacu i zamieszkał w jego zachodnim skrzydle. Tak naprawdę księżniczka została tutaj umieszczona właśnie dlatego, że te pokoje leżały możliwie daleko od kwater Ye-tai. Majordomus dobrze znał swojego pana. Żaden malawiański władca pozostający przy zdrowych zmysłach nie chciałby, aby Ye-tai kręcili się w pobliżu takiego dziewiczego skarbu. Barbarzyńcy byli wprost nieocenieni, ale ich dobre maniery pozostawiały wiele do życzenia. Byli tylko dzikimi psami ze stepów, prowadzonymi na długiej smyczy. I dosyć często wpadali w szal.

Pan tego pałacu cieszył się zdrowym umysłem. A jego umysł został nawet dodatkowo uświadomiony przez znajomego cudzoziemca. Prawda, obcy był pijany. Ale – *in vino veritas*. I dlatego trzeźwo myślący władca wzmocnił jeszcze strażę wokół swego skarbu. Wysłał naprzód rozkazy. Teraz tylko i wyłącznie mahamimamsowie mieli prawo strzec księżniczki i przydzielił im kilku kapłanów, aby ich nadzorowali. A ci byli zobowiązani zachować celibat. Przysięgali swemu bogu i bali się zbrukać swoje ciała, co łatwo mogło się zdarzyć w wyniku kontaktu z oślizgłym, brudnym, śmierdzącym i krwawiącym ciałem kobiety. Ponadto związani byli swą własną pokrętną nieprawością, znajdującą przyjemność w czynach tak daleko odległych od dawania początku nowemu życiu jak to tylko możliwe.

Wicher zawirował i pokonał te kilka ostatnich stopni. Jego śmiertelna ścieżka biegła przez korytarz i omijała narożnik. Kolejny kawałek jedwabnego sznurka znalazł zastosowanie.

Wiatr był zadowolony, gdyż ponad wszystko cenił sobie piękno. Tak piękny jedwab miał ujrzeć światło dzienne, miał być podziwiany i oglądany, zamiast się marnować w zaciszu pokoju tego obzartucha. Następnego dnia wszyscy go zobaczą. Cóż, może ich wcale nie zachwyci. Ludzi śmiertelnych, przywiązanych do złudzeń, niełatwo zadowolić.

Biegł korytarzem na lewo, potem na prawo. Wiatr poruszał się cicho i tak pewnie, jakby znał od urodzenia każdy zakątek pałacu.

I tak rzeczywiście było. Wicher poznał wszystkie tajemnice pałacu z najbardziej nieoczekiwanego źródła. Słuchał niewinnej paplaniny wioskowych kobiet, które spędziły lata na służbie w tym pałacu. Długie lata, myjąc ściany, piorąc tkaniny i gobeliny, odkurzając półki, szczotkując i polerując podłogi. Leniwe rozmowy wpadały w chętne ucho Wichru, który niezauważenie wkradł się do ich życia i równie niepostrzeżenie je opuścił.

Teraz, kiedy doszedł już do początku ostatniego korytarza, Wicher znów się zatrzymał. Jego przybycia nie sygnalizował żaden dźwięk, nawet westchnienie. Ten korytarz prowadził do głównego hallu, gdzie zbiegały się i krzyżowały wszystkie przejścia zachodniego skrzydła.

Wicher znał ten hall. To wielkie pomieszczenie było zupełnie puste, jedynie na jego środku stał niewielki stół. Stół i trzy krzesła. O tak. Wicher znał to miejsce doskonale. Nawet lepiej, jeżeli już o tym mowa, od wszystkich innych pomieszczeń, które do tej pory odwiedził w swej wędrówce.

Znał go tak dobrze, ponieważ nienawidził tego pomieszczenia bardziej niż jakiegokolwiek zbudowanego dłońmi człowieka na całym świecie. Godziny, dni i tygodnie spędził Wiatr, myśląc o tej przeklętej sali. Próbując wymyślić sposób na jej przebycie bez uruchomienia alarmu.

Ale Wicher nigdy nie wymyślił żadnego sposobu. Gdyż nad ochroną tej sali głowił się człowiek o kamiennej twarzy.

Na końcu korytarza, na samym skraju światła rzucanego przez latarnię, która stała na stole, który stał na środku sali, Wicher znów się zatrzymał. Nasłuchiwał.

Do tej pory Wiatr realizował trasę przez pałac wedle swego własnego czasu. Teraz, kiedy przekroczył próg tej sali, czas zaczął działać na jego niekorzyść. Musiał się śpieszyć.

Hall był pierwszą poważną przeszkodą dla Wichru. Oprócz niego musiał pokonać jeszcze trzy bariery. Pierwszą był ten przeklęty hall i pilnujący go strażnicy. Za nim, zaledwie dwa krótkie korytarze dalej, znajdowała się druga przeszkoda: strażnicy czuwający przed drzwiami apartamentu księżniczki. Trzecią stanowiły główne siły strażników, stacjonujące w przedsionku komnat skarbu. Na dzień przed planowaną akcją Wicher dowiedział się o kolejnej przeszkodzie (od kipiącej od gniewu wiejskiej kobiety) w samej komnacie księżniczki. Poprzednio, kiedy strażą dowodził mężczyzna o kamiennej twarzy, dziewczyna spała sama i nikt nie zakłócał jej odpoczynku. Teraz nawet podczas snu oprawcy przebywali w jej pokoju.

Ale jedynie pierwsza bariera stanowiła przeszkodę dla Wichru i spędzała mu sen z powiek przez długie tygodnie. Wiatr nigdy nie wątpił, że jakoś pokona ten ogromny hall, nawet kiedy strzegli go ludzie tamtego człowieka, i pozostałe bariery także. Ale nie bez uruchomienia alarmu. A jeżeli alarm zabrzmiał już przy pierwszej przeszkodzie, pozostałe natychmiast staną się nie do przebycia nawet dla Wiatru.

Tkwiąc w ciemności korytarza, Wiatr dokładnie przyjrzał się zniechęconej sali w świetle nowej rzeczywistości. I znów z trudem powstrzymał się od zwycięskiego okrzyku.

W czasach, kiedy księżniczki strzegli poprzedni strażnicy, w tej sali mieścił się posterunek żołnierzy czujnych, przytomnych i gotowych na wszystko. Żołnierze nie rozmawiali ze sobą, a w dłoniach trzymali broń. Zresztą rozmowa i tak była niemożliwa, gdyż strażnicy stali na tyle daleko od siebie, aby w przypadku napaści zdążyć ostrzec się nawzajem i mieć czas, aby chociaż krzykiem zaalarmować resztę straży. (I rzeczywiście tak by było. Wicher znał wielkość sali i w lesie próbował, czy uda mu się obezwładnić wszystkich żołnierzy bez alarmowania reszty. Ale byłoby to niemożliwe.)

W czasach człowieka o kamiennej twarzy w sali zawsze było trzech strażników o każdej porze dnia i nocy. Pomieszczenie to było centralnym węzłem komunikacyjnym górnego piętra w zachodnim skrzydle pałacu. Pełniło kluczową rolę w obronie. A człowiek, który był tu przedtem, należał do weteranów, potrafił na pierwszy rzut oka dostrzec słabe i mocne punkty terenu. I od razu wiedział, że to pomieszczenie jest najważniejsze, jak tylko przeprowadził inspekcję pola bitewnego.

Zawsze było trzech. Zawsze. Tutaj. Trzech.

Ci trzej zawsze należeli do elity oddziału tamtego człowieka i nimi obsadził ten posterunek jako pierwszy. Wicher wiedział to od wiejskiej kobiety, która polerowała posadzkę w tym wielkim hallu tego dnia, kiedy człowiek o kamiennej twarzy zjawił się tam po raz pierwszy.

Ten człowiek zadziwił ją tak, że na chwilę zaniemówiła.

Nie zaskoczyła jej jego twarz. Znała aż za dobrze ludzi o twarzach jak kamienne maski i ta

wiedza nakazała jej zachować najwyższą ostrożność. Skuliła się na podłodze, w rogu wielkiej sali, jak mysz na pustej podłodze, kiedy widzi nadchodzącego kota.

Nie uderzył jej głos obcego. Zapamiętała go, gdyż był szorstki, a jego słowa zwięzłe, co doskonale się komponowało z powierzchownością tego człowieka.

Nie, zdziwiła się tym, że kiedy już człowiek o twarzy jak kamienna maska przyjrzał się dokładnie sali i wydał rozkazy, wraz ze swoimi żołnierzami powoli i ostrożnie opuścił hall. Powoli i ostrożnie, tak aby nie zniszczyć owoców pięciogodzinnej pracy nędznej niewolnicy.

Wicher, słuchając tej historii, także się zdziwił, ale w inny sposób niż kobieta. Stał niemy. Wielka nienawiść nie pozwalała mu wykrztusić jednego słowa, a w sercu miał tylko jedno pragnienie – chciał, aby nienawiść znalazła sobie inny obiekt.

Teraz, jak najbardziej, mogła. Teraz człowiek o kamiennej twarzy zniknął. I tak samo żołnierze, którymi komenderował, opuścili pałac. Żołnierze będący ludźmi jego krwi.

Znikli, a zastąpili ich ci tutaj.

Ach, jak trudno było się powstrzymać! Jak trudno było utrzymać w gardle okrzyk radości!

Hallu pilnowali dwaj Malawianie. Jeden był kapłanem, a drugi mahamimamsą.

Żołnierze pilnowaliby tego miejsca inaczej.

Wszyscy bez wyjątku, zarówno lepsi, jak i gorsi.

Zwykli szeregowcy, oczywiście, byliby bardziej ostrożni od tych ludzi. Zwykli żołnierze, znudzeni bezczynnością, zaczęliby rozmawiać ze sobą ściszonymi głosami. Prawda, staliby na nogach, zamiast siedzieć. Ale ich postawa pozostawiałaby wiele do życzenia, a broń zapewne położyliby obok.

Ye-tai, przepelnieni arogancją, usiedliby z pewnością na krzesłach stojących pośrodku sali przy małym stoliku. I szybko sala wypełniłaby się ich pełnymi pychy okrzykami. Ale ciągle, nawet Ye-tai, ustawiliby krzesła tak, aby móc obserwować całą salę i trzymałoby broń w dłoniach.

Tylko kapłani i oprawcy usiedliby przy stole, odwracając się plecami do korytarzy, pogrążeni w lekturze fragmentu „Wed”. Ich broń leżała niedbale zrzucona na kupę na trzecim, wolnym krześle. Kapłan, poirytowany, wyjaśniał nieco przygłupiemu katu subtelności i niuansy tekstu, nad którym tak się biedzili.

Z korytarza, z ciemności nie rozjaśnianej światłem, Wicher dokładnie im się przyjrzał.

Czas na rozważania właśnie się skończył.

Wiatr zaczął się obracać.

W pierwszym obrocie Wicher zawiesił ostatni jedwabny sznur na zgaszonej lampie umocowanej na ścianie.

Czas jedwabiu właśnie się skończył.

W drugim obrocie Wicher podziwiał jedwab po raz ostatni i miał nadzieję, że nic zostanie odnaleziona przez służącą. Może, jeżeli nikt nie będzie się jej przyglądał, służąca będzie mogła zabrać ten sznur i wzbogacić swe ponure życie w odrobinę piękna.

W trzecim i czwartym obrocie Wiatr zaśpiewał cichą pieśń radości. Śpiewał, aby uczcić człowieka o żelaznej twarzy, który wreszcie stąd odszedł, ale do tej pory pilnował jego skarbu jak oka w głowie i nie pozwalał go skrzywdzić. I także dziękował pieśnią temu, który potrafił sprawić, że tamten człowiek i jego strażnicy odeszli w odpowiednim czasie.

Wicher śpiewał pieśni, obracając się szybko. Ale czas radości także wkrótce przeminął. Ale radość jest cenniejsza niż zwój jedwabnego sznurka i musi być wyrażona w bardziej ostrożny sposób. Jeżeli odrzuca się ją zbyt szybko, zawsze jakiś fragment pozostaje i zaburza rzeczywistość.

Nieznany człowiek z prymitywnego Zachodu. W piątym obrocie Wicher zastanawiał się nad

dziwnym Zachodem. Zastanawianie się także było cenne. Zbyt cenne, aby je odrzucić i od razu zachwycać się splendorem zachodnich ludów.

Czy z pewnością mieszkańcy Zachodu byli tylko i wyłącznie bandą podejrzliwych dzikusów, tak jak zawsze mu powtarzano? Ignoranci, barbarzyńcy, którzy nigdy nie stanęli przed obliczem boga?

Ale wichur zastanawiał się tylko przez chwilę. Czas na zastanowienie także już przeminął.

A jego dusza wirowała i wirowała.

Oczywiście z czasem zdumienie powróci, w odpowiedniej chwili. Nadejdzie taki dzień, kiedy z zaciekawieniem Wichur zacznie odkrywać skarby nieznanego Zachodu.

Wirował i wirował. W tym strasznym tańcu pozbywał się wszystkich zbędnych uczuć i myśli. Usuwał je w cień, aby zrobić miejsce.

Wirował i wirował.

Nienawiść nie przychodziła łatwo do serca człowieka, którego nazywano Wiatrem. Z trudem żywił do kogoś podobne uczucia. Ale Wichur miał ludzką duszę i nic co ludzkie nie było mu obce.

Wirował, wirował, wirował.

W przyszłości nadejdzie taki dzień, kiedy podczas studiowania życia zachodnich cywilizacji Wichur otworzy księgę Eklezjasty. I tam Wiatr znajdzie odpowiedź. Mały cud zostanie zastąpiony przez większy. Płonący, wspaniały cud, tak, że nawet uparci mieszkańcy Zachodu ujrzą z łatwością oblicze Boga.

Ale to stanie się dopiero w przyszłości. W ciemnym korytarzu, w pałacu Venandakтры radość i zachwyt opuściły umysł Wichuru. Wszystkie rzeczy prawdziwe i piękne uciekły, gdyż tak one czynią, wyczuwając nadchodzącą burzę.

Wirował, wirował. Wirowanie, wirowanie.

Miłość zakopała się w ziemnej jamie. Współczucie znalazło schronienie w gałęziach drzewa. Litość zanurkowała z głębiną jeziora. Dobroczynność, z powodu swych krótkich nóg, zdołała dobiec tylko do wysokiej trawy. Tolerancja, litość i dobroć popędziły oszalałe na skrzydłach wiatru przez otwarte niebiosy.

Wichur posiadał wielką duszę. Teraz, opustoszała, wydawała się jeszcze większa. Na środku wielkiej pustki zrobiono miejsce. Tam podążyły nienawiść i gniew, wściekłość i płomień. Gorycz przyprowadziła mokry ciężar, okrucieństwo dało siłę dłoniom. Zemsta gromadziła siły na zbliżającą się burzę.

Sezon monsunów był już bardzo blisko.

Monsun, podobnie jak Wiatr, przynosił odmienne dary różnym ludziom. Różne korzyści w różnym czasie. Miał wiele twarzy.

W większości były to twarze przyjazne. Jedną ukazywał żeglarzom, tysiącom podróżników i kupców przemierzającym ocean wraz z towarami. Inną twarz kierował do wieśniaków i chłopów. Był tchnieniem życia dla ich zasiewów, gdyż przynosił ze sobą deszcz podlewający sadzonki i nasiona.

Ale monsun miał także inne twarze. W jego obliczu odbijały się zniszczone wybrzeża, zalane równiny i tysiące utopionych ludzi.

Mówiono, i było to prawdą, że Indie są krajem stworzonym przez monsuny. Może to właśnie dlatego, któż mógł to wiedzieć na pewno, oblicze indyjskiego boga tak bardzo się różniło od twarzy jego odpowiednika z Zachodu.

Wśród upartych ludów Zachodu bóg był tylko stwórcą. Ale nawet Zachód zdawał sobie sprawę z przemijania i kapłani jego religii badali to zagadnienie.

W Indiach bóg był także śmiercią, zniszczeniem. Śpiewał i tańczył w potężnej, okrutnej radości:

Ja jestem śmiercią, niszczycielem światów.

Na wszystkie te rzeczy przyjdzie czas. Gdyż na wszystkie rzeczy nadchodzi odpowiedni sezon. W pałacu Pierwszego Nikczemnika nadszedł właśnie czas.

Monsun.

* * *

Mimo wielkiej szybkości Wichru siedzący przy stole Malawianie nie usłyszeli jego nadejścia, dopóki nie znalazł się tuż przy nich. Mahamimamsa w ogóle go nie usłyszał, tak był zaabsorbowany trudnymi słowami księgi, którą czytali razem z kapłanem. W jednej chwili jeszcze myślał, a w drugiej już nie. Pięść, która zmiażdżyła mu potylicę, zabiła w nim wszystkie myśli.

Kapłan usłyszał Wicher i zaczął się odwracać w jego kierunku. Z otwartymi ustami gapił się na śmierć swojego towarzysza. A potem westchnął, zarzącił i spróbował zaczerpnąć powietrza, ale nie był w stanie. Zaciśnięta w pięść prawa dłoń Wiatru zabiła oprawcę. Kiedy mężczyzna legł martwy, dłoń rozprostowała palce. Wicher kantem dłoni, przestrzenią znajdującą się pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, uderzył w gardło kapłana.

Kapłan umarł natychmiast. Wicher złamał mu kark i zmiażdżył tchawicę, ale monsun był teraz obrazem wściekłości. Wiatr, to wynika z jego natury, skacze radośnie po ruinach. I także teraz okrutne ręce wykonały swoją pracę. Lewa złapała włosy kapłana i podniosła do góry jego głowę. Prawa, niczym żelazne imadło, uderzyła kapłana w nos i wbiła pogruchotane kości prosto w mózg trupa. Wszystko w mgnieniu oka.

Wicher pospieszył przez przekłety hall i wpadł do korytarza.

Na końcu korytarza zaczynało się następne, krótkie przejście. Po lewej, w niewielkiej odległości ujrzał drzwi do apartamentu księżniczki. Przed nimi stali trzej mahamimamsowie. Wiatr pomyślał, że on postawiłby tutaj tylko dwóch żołnierzy. Korytarzyk był ciasny i trzecia osoba po prostu przeszkadzałaby w walce pozostałym dwóm.

Wicher pognął korytarzem. Czas na ciche poruszenia się skończył. Strażnik i tak by go zobaczył, wystarczyło wyjrzeć za róg korytarza. Kiedy człowiek o twarzy z kamienia pełnił swe funkcje w pałacu, na tym właśnie rogu stał jeden ze strażników i pilnował korytarza biegnącego od wielkiego hallu. Wicher wiedział o tym i fakt ten spędzał mu sen z powiek.

Mimo całej swej furii, Wicher, nadchodząc, czynił niewiele hałasu. Stopy poruszały się w taki sposób, że nadane mu przezwisko wydawało się całkowicie słuszne i uzasadnione. Łapy pantery nie tupią po ziemi, bijąc mocno w grunt, ale poruszają się bezszelestnie, kiedy bestia podchodzi swoją ofiarę.

Jednak Wicher odrobinę hałasował. Oprawca stojący najbliżej wylotu korytarza zaczął nasłuchiwać. Co to mogło...? Bardziej z nudów niż z realnego poczucia zagrożenia mahamimamsa wolno podszedł do załomu. Jego towarzysze widzieli, jak odchodzi, ale nie poświęcili temu wiele uwagi. Oni sami nic nie słyszeli. Pomyśleli sobie, że ich przyjaciel z nudów idzie na przechadzkę.

Wicher wyskoczył zza rogu. Nuda i zmęczenie wyparowały. Oprawcy pożałowali natychmiast swego braku czujności, podobnie jak człowiek rozpacza z powodu straty swego skarbu, z którego wartości do tej pory nie zdawał sobie sprawy.

Ich śmierć była szybka.

Pierwszy oprawca, ten, który został zaalarmowany hałasem, nawet nie zauważył swej śmierci. Sztylet przebił mu gardło i poprzez krtań i podniebienie wdarł się do mózgu. Mężczyzna umarł, zanim zdał sobie sprawę z tego, że umiera.

Pozostali dwaj mahamimamsowie mieli czas na to, aby wyprostować się i gapić na śmierć kolegi z wytrzeszczonymi oczami. Jeden z nich próbował nawet złapać za miecz. I ten właśnie umarł

pierwszy, od cięcia, które przecięło mu gardło. Tym samym ruchem Wicher rozplątał gardło drugiego z oprawców.

Podczas tej rzezi, oczywiście, Wicher narobił hałasu. Stłumione dźwięki padających na podłogę ciał, plaśnięcia uderzających w ścianę strug krwi. I najgłośniejszy ze wszystkich, gulgoczący dźwięk uciekającego z płuc powietrza. Głębokie oddechy, jakie wzięli przerażeni oprawcy na moment przed śmiercią, teraz ze świstem szukały drogi powrotnej, niczym powietrze uciekające z nagle przeciętej rurki fajki wodnej.

Strażnicy Ye-tai, mimo całej swej aroganckiej niedbałości, nie pomylili by tych dźwięków z niczym innym. Nawet gdyby słyszeli je przez zamknięte drzwi.

Ale kapłan i sześciu oprawców stojących w przedpokoju apartamentu księżniczki nie słyszeli nic. A raczej słyszeli, ale nie zrozumieli znaczenia tych hałasów. Odwrotnie do wojowników Ye-tai, nie znali zbyt dobrze dźwięków, z jakimi szlachtowni ludzie odchodzą na spotkanie swego przeznaczenia.

Inne odgłosy śmierci znali oczywiście bardzo dobrze. O tak, słyszeli ich bardzo wiele. Wrzaski bólu nie były im obce. Wycie w agonii. Krzyki. Jęki. Westchnienia i rżenia rozpoznawali od razu. Łkania i pociąganie nosem słyszeli w swoich snach. Nawet szorstki, szepczący, prawie niesłyszalny syk z gardła krwawiącego po godzinach nieustannych wrzasków z bólu i strachu znali doskonale. Och, jak doskonale.

Ale ciche dźwięki, które usłyszeli za drzwiami, nie były im znajome. (Chociaż jeden z oprawców zaciekawiał się nimi odrobinę i nawet wstał, żeby otworzyć drzwi.) Te odgłosy towarzyszyły szybkiej śmierci, a taka nie była domeną ludzi zgromadzonych w przedpokoju.

Ale już niedługo mieli poznać, co to znaczy umierać szybko.

Wicher był teraz tylko wirującą furią. Drzwi pofrunęły, wyrwane z zawiasów jego silną ręką i w przelocie zwały jednego z oprawców, a drugiego wytrąciły z równowagi. Wiatr zignorował leżącego na podłodze mahamimamsę. Ten, który się zachwiał, szybko znalazł wygodną pozycję – płasko na plecach, ze wbitym w sufit spojrzeniem martwych oczu. Został zabity naprawdę doskonałym sztyletem, który wysunął się z rany na jego piersi równie łatwo, jak w nią wszedł.

Pozostali Malawianie w pokoju zamarli i gapili się na napastnika. Ich oczy rozszerzyły się ze strachu i zaskoczenia. I, najbardziej ze wszystkiego, z niedowierzania.

Zachowanie takie zupełnie do nich nie pasowało, a już szczególnie do kapłana. Czyż nie powtarzał wielokrotnie, wciąż i bez końca, czyż nie wyjaśniał mahamimamsom, że masakra i śmierć są błogosławione po stokroć w „Wedach”? (Inni indyjscy kapłani, mistycy i klerycy surowo i energicznie temu zaprzeczali, i nawet okrzyknęli kult Mahwedy wstrętnym w oczach boga jedyne. Ale teraz już się nie przeciwstawiali. Mahamimamsowie dawno się z nimi rozprawili.)

I tak, kiedy monsun szalał w pokoju, mężczyźni tam zgromadzeni powinni postępować wedle wysłuchanych nauk kapłana. Ale nie robili tego. Skandaliczne zachowanie, a już na pewno w przypadku kapłana. Inni zebrani w pokoju Malawianie mogli być usprawiedliwieni. Mimo wszystkich tych swoich rytuałów bazujących na wybiórczej lekturze „Wed”, mahamimamsowie byli tylko prymitywnymi wykonawcami swego zawodu, który już z natury nie jest zbyt wyszukany. Jest więc zrozumiałe, że kiedy przed ich oczyma pojawił się podobny im rzemieślnik, wykonujący ten sam zawód z dużo większym wdziękiem, mogli tylko stać i podziwiać jego umiejętności z otwartymi ustami.

Mahamimamsa, który leżał na ziemi przygnieciony drzwiami, nie miał czasu, aby się napawać widokiem. Kiedy ciężkie skrzydło wyleciało z zawiasów, obaliło go na ziemię i ogłuszyło. Ujrzał zaledwie krótki błysk żelaznej pięty, która zgmiotła mu gardło.

Kolejny mahamimamsa miał więcej szczęścia. Ta sama stopa, wykonana chyba z żelaza, rzuciła go jednym ciosem w kąt pokoju. Jego ciało zostało sparaliżowane, ale zachował przytomny umysł. On miał umrzeć na końcu, kiedy już Wicher pozbawił życia wszystkich obecnych w pokoju. I będzie miał czas, aby podziwiać kunszt i umiejętności swego mordercy.

Czas wyniósł około czterech sekund.

Kapłan umarł następny. Wicher przeciął mu arterię ruchem tak szybkim, że nawet Walentynian, gdyby to widział, byłby zachwycony ekonomiką tego ciosu. Potem zginął mahamimamsa. Cios łokcia w skroń był tak silny, że fragmenty zgruchotanych kości wbiły się aż do połowy mózgu trupa. Impet uderzenia zamienił drugą połowę mózgu w trzęsącą się galaretkę.

Kolejny mahamimamsa, kolejny cios. Zamach tym razem był porządny i siła uderzenia niemal pozbawiła sprawcę głowy.

Ten Malawianin miał czas, aby wykrzyknąć słowa ostrzeżenia. Okrzyk został szybko ucięty i zamienił się w rżenie. Z piersi oprawcy wystawała rękojeść rzuconego wprawną ręką sztyletu.

Tylko jeden z mahamimamsów, jeden jedyny z siedmiu osób przebywających w pokoju, zdołał sięgnąć po broń, zanim zginął. W dłoni trzymał krótki, lekko zakrzywiony miecz, i nawet zdołał go podnieść do pozycji wyjściowej. Wicher spadł na niego, schwycił za nadgarstek dłoni trzymającej ostrze, zmiażdżył rzepekę kolanową oprawcy silnym kopniakiem i roztrzaskał jego czaszkę rękojeścią sztyletu, który trzymał w drugiej dłoni.

W czwartej i ostatniej sekundzie Wicher pognał w kierunku narożnika pokoju, gdzie, powalony jego kopniakiem, tkwił ostatni żywy mahamimamsa i jednym ruchem wbił sztylet w jego oko, sięgając mózgu. Cudowne ostrze wysunęło się z czaszki trupa tak lekko, jak lekko wsunęło się tam przed chwilą.

Szybka śmierć, niewiarygodnie szybka, ale pod żadnym pozorem nie cicha. W ciszy nie przebrzmiało jeszcze trzeszczenie drzwi, pół okrzyk, pół kasznięcie jednego z mahamimamsów, trzask łamanych kości, kapanie krwi, szczęk upuszczonego miecza i, jakże oczywisty hałas, jaki czynią ciała upadające na ziemię i uderzające o ściany.

Wicher mógł usłyszeć ruch, jaki się zaczął za ostatnimi drzwiami, jakie odgradzały go od jego skarbu. Ruch i ostre okrzyki przygotowujących się do walki ludzi. Było ich dwóch, sądząc z ich rozmowy.

A potem usłyszał inne dźwięki, dziwne hałasy.

Wicher znał ich znaczenie.

Wicher podbiegł do tych drzwi i rozprawił się z nimi, podobnie jak monsun rozprawia się z podobnymi przeszkodami, i wpadł do pokoju za nimi. Do sypialni księżniczki Szakuntali. Gdzie, nawet podczas jej snu, spoczywały na niej okrutne, bystre oczy.

W pokoju było dwóch mahamimamsów, tak jak myślał Wicher.

Wiatr jest nieprzewidywalny i zmienny. Teraz, w tym właśnie momencie, grzmiąca siła nawałnicy uspokoiła się. Monsun zamienił się w delikatną bryzę, która łagodnie podążyła naprzód, tak jakby nie chciała nic więcej, jak tylko lekko rozgarniać trawy na łące i gładzić płatki kwiatów.

Został już tylko jeden mahamimamsa. Drugi leżał martwy, a raczej umierający.

Wicher spojrział na niego w przelocie. Oprawca leżał na podłodze, rękoma trzymając się za gardło. Wicher doskonale znał ten cios, który zmiażdżył wrogowi tchawicę, zadany prostym ramieniem, palce dłoni wyprostowane, kciuk i palec wskazujący tworzące jedną linię, ciało napięte, cios wyprowadzony z wielką siłą, z półobrotu, zablokowanym nadgarstkiem. On sam użył podobnego uderzenia zaledwie dwie minuty wcześniej, zabijając kapłana w wielkim hallu.

Gdyby to sam Wiatr wymierzył ten cios, który wysłał mahamimamsę na drogę do wieczności,

oprawca byłby martwy, zanim dotknąłby podłogi. Ale cios zadał ktoś inny, ktoś, kto chociaż nauczył się wszystkiego od Wichru, nie posiadał jego potwornej siły.

Nie miało to jednak znaczenia. Wicher był zadowolony. Bo ten cios w rzeczy samej został doskonale zadany. Wyprowadzony umiejętnie i, co jeszcze bardziej cieszyło, został wybrany spośród wielu doskonale. Człowiek nie umarł od razu. Ale chociaż zajęło mu to trochę czasu, Wicher nie wahał się dokończyć dzieła.

Mężczyzna zginął. Wicher nie widział sensu w jego dalszej egzystencji i zakończył jego życie krótkim, nagłym ruchem stopy.

Cios był wymierzony prawie przypadkowo, gdyż podstawowym zagadnieniem, jakie przykuwało uwagę Wichru, było istnienie ostatniego wroga i jego eliminacja.

W tym przypadku Wicher nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swego niezadowolenia i rozczarowania. Głębokiego niezadowolenia i rozczarowania.

Zgodnie z jej nieszczęśliwym zwyczajem, zapalczywa księżniczka nie zdołała się powstrzymać od królewskiego gestu.

Prawda, przyznał Wicher, najwyraźniej zaczęła prawidłowo. Szybko i sprawnie kopnęła przeciwnika w pachwinę. Cios był dobrze pomyślany i prawidłowo wybrany z wielu, jakich uczył ją Wiatr. Uderzenie sparaliżowało przeciwnika, a przynajmniej w połowie odebrało mu możliwość ruchu, a co najważniejsze, odebrało mahamimamsowi głos. Mężczyzna mógł tylko jęczeć i dławić się, nic więcej.

Wicher wiedział, że ten cios miał być pierwszym z wielu. Wiedział to z pewnością, chociaż, kiedy go zadawała, nie był obecny w sypialni.

Tak jak ją nauczył Wicher, kiedy ćwiczili walkę z dwoma przeciwnikami. Jednego obezwładnij szybkim, silnym ciosem, zabij drugiego i powróć do pierwszego, aby dokończyć to, co zaczęłaś. (To była prosta nauka, wedle której postępował Wiatr, ale też oczywiście nie zawsze. Ale Wiatr był mistrzem szkolonym na wiele możliwych sposobów i mógł pozwolić sobie na odstępstwa od reguły.)

Do tej chwili dziewczyna radziła sobie doskonale. Ale potem poniósł ją temperament.

Wiatr zawył ze złości. Ile razy powtarzał tej upartej dziewczynie? Ile razy? Uparte dziecko!

Ale wściekłość zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. A nawet szybciej, znacznie szybciej. Emocje, które Wicher wygonił ze swojej duszy, szeroką strugą powracały do swego domu. A pomiędzy nimi najgłośniej śpiewała radość, najsilniejsze z uczuć.

Prawda, scena, której się przyglądał, była raczej komiczna.

Wielki, ciężki mężczyzna. O potężnej głowie tkwiącej na byczym karku połączonym z klatką piersiową jak beczka. Stał, ściskając się za genitalia. Jęczał. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Miotał się jak ranny bizon. A dziewczyna, mała dziewczynka, wyobraźcie to sobie, tylko dziecko, chociaż szkolone przez bezlitosnego zabójcę, wisiała na tej potężnej głowie, ściskając ją małymi rączkami.

Te ręce zostały perfekcyjnie wprost ułożone na czasce mahamimamsy, jak spostrzegł Wiatr. Lewa zaciskała się na skołtunionej brodzie, prawa mocno zakotwiczyła się w gęstych włosach na karku. Ten układ umożliwiał śmiertelny cios. Dziewczyna jednym ruchem miała złamać kark olbrzyma, jak zapałkę.

Jeżeli oczywiście przeciwnik byłby o połowę mniejszy, a ona o połowę większa. W obecnym jednak przypadku cała sytuacja przypominała zmagania małpki próbującej złamać kark bawołu. Bestia miotała się wściekle, a mała małpka latała wokół niej tam i z powrotem.

Wściekle czarne oczy księżniczki napotkały spojrzenie Wichru. Wiatr zatrzymał się, poskakał trochę, naśladując dźwięki wydawane przez małpy i drapiąc się po bokach. W czarnych oczach

wybuchł gniew.

– Och, już dobrze! – wysyczała. Puściła głowę olbrzyma i zeskoczyła na podłogę. Złapanie równowagi, przyjęcie odpowiedniej pozycji i obmyślenie ciosu zajęło jej tylko moment.

Doskonałym ruchem kopnęła olbrzyma w kolano. Cios był odbiciem tego, jaki Wicher zadał oprawcy w pokoju obok. Jego uderzenie zgruchotało kolano mahamimamsy, jej tylko przesunęło rzepkę i wybiło ją ze stawu. Ta różnica nie miała jednak znaczenia – mężczyzna i tak został okaleczony. Jego głowa opadła...

Tak! Wicher był głęboko zachwycony uderzeniem dłoni księżniczki w nasadę nosa przeciwnika. Gdyby cios zadał sam Wiatr, człowiek byłby już martwy. Ale księżniczka, chociaż tym razem uderzyła tak, jak ją uczono, czyli z płynnym wdziękiem, nie miała siły i masy swego nauczyciela. Nie zdołała zmiażdżyć kości przeciwnika. Dlatego jej zamiar był inny, chciała tylko oślepić wroga i ustawić jego głowę tak, aby...

Cios łokcia w skroń, jaki nastąpił natychmiast po uderzeniu w nos, był dokładną repliką tego, który wyprowadził Wicher przeciwko innemu mahamimamsie w sąsiednim pokoju niewiele ponad minutę temu. Prawda, cios Wiatru zabił tamtego człowieka na miejscu, a księżniczka potrzebowała jeszcze dwóch uderzeń, zanim olbrzym osunął się martwy na ziemię.

Więc?

Tylko dusza się liczy.

Wiatr przestał wiać. Powrócił, tańcząc, do Niezmierzonego Kraju, z którego pochodził. Z pewnością powstanie znów, jak monsun, kiedy wezwie go Maharasztra. Ale teraz nie był już potrzebny.

Tylko człowiek pozostał, Raghunath Rao, tuląc w ramionach skarb swej duszy, szepcząc jej imię, całując jej oczy i roniąc czułe łzy we włosy księżniczki.

Epilog

Żołnierz i generał

Kiedy już jego żołnierze przygotowali wszystkie swoje manatki i byli gotowi do drogi, Kungas zdecydował, że teraz nastąpił czas na grzeczności. Czekala go długa droga, zanim dotrze do obozu imperatora pod murami miasta Ranapur. Co najmniej miesiąc, jeżeli nie więcej, sądząc po wyglądzie karawany, a potrafił ocenić dokładnie jej możliwości, gdyż w przeszłości dowodził wieloma podobnymi orszakami. On i jego ludzie spędzą mnóstwo czasu z gromadą cudzoziemców, którym zostali przydzieleni jako eskorta. Lepiej żeby ich współpraca zaczęła się dobrze. To pozwoli im uniknąć przyszłych nieporozumień i spięć.

A specjalnie z tymi cudzoziemcami Kungas nie miał chęci na nieporozumienia i kłótnie od początku. Myślał o tym, idąc przez dziedziniec pałacu Venandakatry. Zatrzymał się na chwilę, żeby spokojnie podziwiać widok roztaczający się przed jego oczyma.

Ciężkie życie dało Kungasowi wiele lekcji. Jedna z nich mówiła: zawsze ukrywaj swoje uczucia i słabości. Świat na ogół ukazywał mu nieprzyjazne oblicze, więc on także nie patrzył na otoczenie przyjaznymi oczyma. Jego ludzie, jak słyszał, nazywali go za plecami „stary o twarzy z kamienia”. Nie miał nic przeciwko temu. Nie, ani trochę.

Ale widok był taki, że Kungas z wysiłkiem powstrzymywał się od uśmiechu.

Cztery Ye-tai ciągle jeszcze żyli, choć iskierka tliła się słabo. Jeden nawet wydawał z siebie jakieś dźwięki. Ciche, mlaszczące dźwięki. Przy odrobinie szczęścia, pomyślał Kungas, przeżyje

jeszcze jeden dzień. Kolejny dzień agonii.

Kungasa już tutaj nie będzie, ale ten widok jeszcze na długo rozraduje jego serce. On i jego ludzie zostali oddelegowani do wycinania pali i nabijania na nie Ye-tai. To było najprzyjemniejsze zadanie, jakie wykonali od lat.

Jego wzrok spoczął na sylwetce tkwiącej na palu wśród Ye-tai i przyjemność natychmiast się ulotniła.

Nie całe zadanie sprawiło im radość.

Zrobili, co mogli dla tej starej kobiety. Próbowali przeszmużlować jakoś dłuższy pal, ale Venandakatra zauważył to i zakazał im go używać. Służąca miała być nabita na drąg tej samej długości, co pozostali, aby i jej agonია trwała tak długo jak umieranie Ye-tai.

Ponownie uśmiechnął się w myślach. Był to jednak blady uśmiech.

Ale przecież tego się spodziewaliśmy. Szkoda, że nie byliśmy w stanie zdobyć jakiejś prawdziwej trucizny w krótkim czasie, jaki nam pozostał. Ale kobiety pracujące w kuchni przygotowały specjalną miksturę. Venandakatra pilnował nas jak jastrzęb, żebyśmy nie dali jej nic do jedzenia ani do picia. Ale tego też się spodziewaliśmy. Do czasu, kiedy wbijaliśmy biedaczkę na pal, cały płyn zdążył już wsiąknąć w drewno. Venandakatra musiałby zdrapać korę, żeby odkryć, co zrobiliśmy.

Zaczął się odwracać. A potem, wiedziony impulsem, spojrział ponownie. Jego oczy dokładnie omiotły dziedziniec. W pobliżu nie było nikogo.

Kungas lekko się skłonił martwej staruszce. Pomyślał sobie, że to jedyne, co może zrobić. Kiedy mieszkańcy wioski zdejmą ją z pala, niewiele zostanie z jej ciała. Kapłani, oczywiście, odmówią i nie pochowają jej ze wszystkimi honorami i rytuałami. Tak więc biedna kobiecina mogła liczyć tylko na ten wyraz szacunku, oddany jej przez człowieka, który ją zabił.

Ten gest, w żadnym razie, nie miał religijnego znaczenia. Jak większość jego rodaków, Kungas ciągle zachował resztki buddyjskiej wiary, którą Kuszanie przejęli od podbitych ludów Baktry i północnych Indii. Przyjęli tę wiarę i szybko zaczęli uznawać ją za jedyną. W czasach swej świetności, Peszawar, stolica Imperium Kuszańskiego, był światowym ośrodkiem buddyjskiej wiary i nauki. Ale dawne chwalebne dni Imperium Kuszańskiego dawno już przeminęły. Świątynie legły w gruzach, kapłani i ich uczniowie zostali zabici, a ich prochy rozwiał wiatr. Z kolei Ye-tai prześladowali wyznawców buddyzmu z wielką nienawiścią. A gdy barbarzyńcy zaangażowali się w umacnianie potęgi Imperium Malawy, te prześladowania jeszcze się nasiliły. Do brutalności i okrucieństwa Ye-tai dołączyła się jeszcze zimna i bezwzględna interesowność Malawian. Chcieli, aby ich religia, kult Mahwedy, wyparł wszystkie inne wyznania tłoczące się pod wielkim parasolem hinduizmu. Nie trzeba mówić, że w stosunku do buddystów i dżinizmów byli bezwzględni i okrutni.

Dlatego właśnie, z powodu prześladowań, a także ciężkiego i twardego życia, Kungas zachował w sobie bardzo niewiele religijnych uczuć. Tak więc jego lekki ukłon w kierunku martwej staruchy miał w sobie raczej coś z salutem, jakim żołnierz pozdrawia odważnego przeciwnika. Może ten szacunek ukoji jej czekającą na nowe wcielenie duszę. (O ile mogła liczyć na nowe życie. Albo miała duszę. Kungas raczej nie wierzył w te rzeczy.)

Jej dusza prawdopodobnie nie potrzebuje wcale pocieszenia, pomyślał z lekką drwiną, odchodząc z miejsca kaźni. Wyglądało no to, że obserwowanie męki Ye-tai sprawiło jej nawet więcej radości niż nam. Może wcale nie oddaliśmy jej przysługi, tak szybko kończąc jej męczarnie.

Potał szybko świeżą ranę szpecącą jego twarz. Już się zablizniła i wkrótce całkowicie zniknie. Ból nie miał znaczenia. Kungas sądził, że za kilka miesięcy blizna nie będzie już widoczna. Człowiek, który zadał mu tę ranę, był słaby i nie potrafił mocno uderzyć mimo zaślepienia

wściekłością. A pejcz, biorąc pod uwagę jego wady i zalety, nie jest najlepszą bronią, jeżeli chce się pozostawić trwałe blizny na skórze weterana.

I zdecydowanie wolę mieć na twarzy bliznę od pejcza, niż zostać nabitym na pal.

Ta myśl sprawiła, że znów się zatrzymał i zastanowił chwilę. Kungas miał raczej specyficzne poczucie humoru. Zatrzymał się i ponownie odwrócił. Zmierzył wzrokiem cały dziedziniec, aby się upewnić, że nikt go nie obserwuje. I znów uklonił się lekko. Tym razem w kierunku Ye-tai.

Dziękuję wam, o potężni Ye-tai. Ocaliliście mi życie. I prawdopodobnie życie wszystkich Kuzanów.

Kiedy wychodził z dziedzińca, ponownie zaczął zastanawiać się nad całym tym zdarzeniem.

Zostawcie to Venandakatrze – wielkiemu wojownikowi, błyskotliwemu strategowi. Cóż za geniusz. Jak tylko dowiedział się, co się stało, przybył tutaj na czele małej armii. Towarzyszyło mu tylko kilku kapłanów i garstka cudzoziemców. W ciągu godziny wpadł w szaleńczy gniew. Rozkazał, aby wszystkich strażników Ye-tai wbito na pale w obecności wszystkich zebranych, na oczach tłumu, a potem dopiero zauważył, że konni Radźpuci są jedynym oddziałem pozostającym pod jego komendą, który może się podjąć tego zadania. Malawiańska piechota natychmiast poszła w zapomnienie. Żołnierze rozpięchli się jak przerażone króliki, kiedy tylko Ye-tai wpadli w bitewny szal.

Och, cóż to była za jatka! A kiedy skończyły się walki, stary głupiec nie mógł już rozkazać, aby wbito nas na pale obok Ye-tai. Bo kto niby miał to zrobić? Przecież nie Radźpuci! Ci głupkowaci pyszałkowie zostali zdziesiątkowani przez wściekłych Ye-tai, nie licząc kilkunastu zwykłych szeregowców, którzy nie potrafili szybko biegać. My byliśmy bezbronni od samego początku, zgodnie z rozkazem naszego genialnego dowódcy, dlatego Ye-tai nas zignorowali. Do czasu, aż zdołaliśmy odzyskać naszą broń, było już po sprawie.

Niechętnie jestem zmuszony pochwalić Radźputów. Walczyli doskonale, jak zawsze.

Ale ciągle starcie mogłoby zakończyć się klęską, gdyby nie ingerencja cudzoziemców. Walczyli jak lwy. Byli śmiertelnym zagrożeniem.

Zatrzymał się chwilę nad ostatnią myślą.

Dlaczego, zastanawiam się? Radźpuci byli raczej szczęśliwi, że mają okazję zrobić z Ye-tai mielone mięso. I my też, kiedy już dorwaliśmy się do naszej broni. Ale dlaczego wmieszali się w to cudzoziemcy? Mogę zrozumieć, dlaczego trzymali stronę Venandakatry – w końcu są jego gośćmi. Ale dlaczego walczyli z takim entuzjazmem? Można by pomyśleć, że sami mieli na pieńku z Ye-tai.

Szybkim krokiem, charakterystycznym dla jego osoby, Kungas wkrótce pokonał większą część alei prowadzącej na dziedziniec. Teraz był poza zasięgiem wzroku kogokolwiek, kto chciałby obserwować go z pałacu. Po raz pierwszy na twarzy Kungasa pokazało się zdziwienie. Oczywiście uczucie wcale nie było wyraźne. Tylko ktoś, kto znał dobrze tego człowieka, bez wątpliwości zinterpretowałby jego wyraz twarzy i w lekkim skrzywieniu cienkich warg dostrzegł uśmiech.

O tak, byli wspaniali w walce. Myślę, że zarżnęli co najmniej tyle samo Ye-tai, co Radźpuci. I nie otrzymali żadnych poważnych ran z wyjątkiem paru zadrapań, wyłączając jedynie tego młodego chłopca. Szkoda mi go. Ale w końcu się z tego wyliże.

Myśl zwróciła jego umysł ku bieżącym sprawom.

Tak, myślę, że kurtuazyjna wizyta to jest coś właściwego. Muszę złożyć im wyrazy szacunku i zapoznać się z nimi.

Zdecydowanie mam zamiar pozostać z tymi ludźmi na płaszczyźnie kontaktów cywilnych. O tak. Bardzo cywilnych. Ten układ wygląda trochę tak, jakbym został oddelegowany do eskortowania stada tygrysów.

A potem dodał jeszcze w myślach.

Teraz, skoro już pomyślałem o tym w ten sposób, nie wiem, czy bym nie wolał eskortować tygrysów niż tych ludzi.

* * *

Chwilkę zajęło Kungasowi odnalezienie gromadki ludzi, których szukał. Ku jemu wielkiemu zdziwieniu, cudzoziemcy zajmowali w ogromnej karawanie pozycję prawie na samym końcu. Tuż za kolumną zaopatrzeniową, w samym środku gromady cywili podążających za karawaną.

Dziwne miejsce dla honorowych gości.

Gdy tak wędrował wzdłuż karawany, Kungas głowił się nad tą tajemnicą.

Teraz, kiedy już o tym dokładniej pomyślałem, nasz wielki pan wydaje się nieco zezłoszczony ich towarzysztwem. A już szczególnie ich dowódcą. Venandakatra rzucił w jego kierunku kilka wściekłych spojrzeń. Wtedy nie zwróciłem na nie specjalnej uwagi. Myślałem, że to tylko zły humor władcy, który odbija się na wszystkich jego poddanych i na otoczeniu. Nie ma żadnego powodu, aby miał być wściekły na cudzoziemców, jaki przychodziłby mi do głowy. Przecież zrobili mu nawet przysługę. Bez ich pomocy kilku Ye-tai mogłoby wyrwać się z łap Radźputów i dopaść go, znacząc jego wstrętną buźkę kilkoma szramami.

Dziwne.

W końcu Kungas odnalazł grupkę cudzoziemców. Ich dowódca stał na poboczu drogi, obserwując postępy w ładowaniu tobołów na palankiny umocowane na grzbietach dwóch słońi przydzielonych obcym. On i dwaj towarzyszący mu ludzie najwyraźniej szukali schronienia w cieniu drzew przed lepkiem popołudniowym upałem. Już samo to zachowanie wskazywało na ich cudzoziemskie pochodzenie, obok bladej skóry i dziwnych, zagranicznych szat. Cień nie przynosił ulgi w przytłaczającej duchocie dnia. Drzewa po prostu nie przepuszczały ani jednego podmuchu wiatru, a pod ich osłoną aż roiło się od insektów.

Patrząc na dowódcę obcych, Kungas po raz kolejny zadumał się nad różnicą pomiędzy wyglądem człowieka a zajmowaną przez niego pozycją.

To najdziwniejszy generał, jakiego widziałem w całym swoim życiu. Po pierwsze za młody, po drugie dwakroć skuteczniejszy od innych dowódców. Ten człowiek, kiedy dać mu miecz do ręki, zamienia się w mordercę.

Myśli o śmiertelnym niebezpieczeństwie zwróciły oczy Kungasa na towarzyszy generała. Stali w odległości niewiele większej niż metr od swojego dowódcy, w postawie strażników.

Kungas najpierw przyjrzał się temu po lewej, temu mniejszemu.

Dam sobie głowę uciąć, że to człowiek o najzłośliwszym wyrazie twarzy, jakiego nosi ziemia. Jak najbardziej okrutna mangusta świata.

Przeniósł spojrzenie na strażnika z prawej strony, tego większego.

Legendy ożyły. Wielki ogr z Himalajów zszedł między nas. Ma twarz wykutą w skale pochodzącej z najwyższych gór świata.

Generał zauważył podchodzącego mężczyznę. Kungas nie był do końca pewny, ale wydawało mu się, że generał lekko zeszywniał. Ten człowiek miał twarz z rodzaju tych, na których trudno jest odczytać jakiegokolwiek emocje. Kungas podszedł do niego i rzekł w raczej słabej grece:

– Ty być generał Belizariusz? Wysłannik do... hm... z Rzymu?

Generał skinął głową.

– Moje imię jest Kungas. Dowódca dla... od... pan Venandakatra... hm... oddział Kuszanów? Grupa. Pan Venandakatra chce... ach, zapomniałem słowa, jak to się mówi?

– Mówię po kuszańsku – powiedział generał.

Kungas wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Dziękuję ci. Obawiam się, że moja greka jest okropna. Zostaliśmy wam przydzieleni jako ochrona podczas podróży do Ranapuru.

Znów Kungas nie był w stanie odczytać żadnych uczuć z twarzy swego rozmówcy. Ale, tak, generał wydawał się trochę spięty. Tak jakby nie był szczęśliwy, widząc Kuzanina. Kungas nie był w stanie wymyślić przyczyny, dla której generał miałby żywić do niego niechęć, ale czuł, że tak właśnie jest.

Jednakże generał był bardzo miły i uprzejmy. A jego kuszański brzmiał pięknie. Mówił doskonale, w rzeczy samej, bez najlżejszego śladu obcego akcentu.

– To dla nas zaszczyt, Kungasie. – Głos generała miał głębokie, przyjemne brzmienie.

Generał zawahał się i dodał jeszcze:

– Kungasie, proszę, nie zrozum mnie źle. Ale muszę powiedzieć, że jestem zdziwiony, widząc cię tutaj. Tak naprawdę nie potrzebujemy żadnej eskorty. Nie mieliśmy takowej podczas podróży z Barakuchy. Potrafimy doskonale sami o siebie zadbać, jestem tego całkowicie pewien.

Na twarzy Kungasa pojawił się mały uśmiech.

– Tak, widziałem to. Jednakże mój pan nalega.

– Ach. – Generał odwrócił się na chwilę i klepnął się po karku w miejscu, gdzie usiadła dokuczliwa mucha. Kungas zauważył jednak, że oczy cudzoziemca ciągle spoczywały na jego osobie, uważnie i oceniająco. I także to, że nie patrząc, zabił muchę jednym ruchem.

Kiedy zrzucił z siebie martwego insekta, generał skomentował mimochodem:

– Tak sobie właśnie myślałem, że Venandakatra przydzielili cię raczej do grupy mającej odnaleźć księżniczkę i jej wybawicieli, och, wybacz... porywaczy.

Twarz z kamienia była twarda i bez wyrazu.

– Obawiam się, że nasz pan stracił do mnie i mojego oddziału zaufanie. Nie rozumiem dlaczego. Księżniczka przecież nie została urato... hm, porwana, kiedy to my jej pilnowaliśmy.

Kungas pomyślał sobie, że generał walczy z uśmiechem pragnącym wydostać się na jego wargi. Ale nie był pewny. Z twarzy obcego trudno było cokolwiek odczytać.

– Poza tym – kontynuował Kungas – nie ma takiej potrzeby, abyśmy dołączali do grupy ratunkowej. Pan Venandakatra wysłał już na poszukiwania setkę konnych Radżputów i ponad tysiąc żołnierzy z innych jednostek.

Obcy generał spojrział na chwilę w bok. Kiedy jego oczy spoczęły z powrotem na Kungasie, jego wzrok wyrażał pełne skupienie.

– A jakie jest twoje zdanie na ten temat, Kungasie? Czy wydaje ci się, że księżniczka i jej... hm... porywacze zostaną ujęci?

– Był tylko jeden porywacz, generale.

– Jeden? – Generał zmarszczył brwi. – Słyszałem, że na pałac napadła cała horda dzikich morderców. W pokojach rozegrała się podobno masakra, tak wynika z pogłosek.

– Masakra? O tak, była tam masakra. Majordomusa, trzech wysokich rangą kapłanów i dwóch mahamimamsów uduszono garotą. Jedenastu kapłanów pomniejszego znaczenia i mahamimamsów zarżnięto w łóżkach podczas snu – najwyraźniej poderżnięto im gardła. Kapłan i mahamimamsa zginęli w hallu. Delikatna robota, rękoma doskonałego zabójcy. Trzech mahamimamsów zasztyletowano przed drzwiami apartamentu księżniczki. Kapłana i kolejnych sześciu oprawców zasztyletowano jak świnie w przedpokoju. W większości przypadków napastnik użył sztyletu. Następnie, dwóch mahamimamsów zginęło w sypialni dziewczyny. Znów zabiły ich ręce wykwalifikowanego mordercy, chociaż...

– Chociaż?

Kungas szybko oszacował w myślach sytuację. Częściowo jego decyzje bazowały na wściekłych spojrzeniach, jakie Venandakatra kierował na generała. Ale w większości Kungas kierował się nutkami humoru, jakie usłyszał w głosie Belizariusza, kiedy ten mówił o „porywaczach” księżniczki.

– Cóż, tak się złożyło, że miałem okazję zbadać miejsce... hm... zbrodni. Na rozkaz pana Venandakatry. To dlatego powiedziałem, że był jeden porywacz. Cała operacja została przeprowadzona przez jednego człowieka.

– Jednego człowieka? – upewnił się generał. Ale nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego tym faktem.

Kungas przytaknął.

– Tak. Jednego człowieka. Ślad śmierci pozostawił po sobie tylko jeden człowiek, a nie grupa ludzi. Jeden człowiek, sam. Człowiek o imieniu Raghunath Rao. Pantera z Maharasztry, tak go nazywają niektórzy. Albo Wicher z Niezmierzonego Kraju. Ma wiele imion. Ale to był on. Jestem tego pewien. Wszyscy wiedzą, że od lat pełnił funkcję osobistego mentora księżniczki. Jest w Indiach nie więcej niż trzech, może czterech zabójców, którzy mogliby stawić mu czoła. I żaden z nich nie potrafi tak walczyć gołymi rękoma, bez broni, tak jak on.

Kungas wykrzywił twarz.

– Nikt inny nie potrafi tak okaleczać ciała i druzgotać kości jak on. Dlatego uważam... hm, ci dwaj mahamimamsowie, którzy zginęli w sypialni księżniczki, zostali zabici przez Raghunatha Rao. Jednak ciosy, które im zadano, chociaż również bardzo profesjonalne, nie miały tej siły, z jaką uderza Pantera.

Generał zmarszczył brwi.

– Ale... sam mówiłeś, że dokonał tego jeden człowiek...

– Księżniczka. To ona ich zabiła. Raghunath Rao szkolił ją w walce, był jej mentorem. A przynajmniej ja tak uważam. Wielokrotnie, przez te długie miesiące, patrzyłem, jak tańczy. Pełniłem funkcję jej strażnika... hm, raczej ochroniarza. Tańczyła bardzo pięknie, ale... w jej ruchach czaił się ślad zawodowego mordercy. A w Amavarati, pod koniec walk po zdobyciu miasta, zabiła kilku Ye-tai, którzy zaatakowali ją w jej pokojach. Jeden zginął tuż po tym, jak zabrano jej broń.

Oczy generała rozszerzyły się, ale tylko odrobinę.

Kungas opuścił głowę i wbił oczy w ziemię. Kiedy przemówił, jego głos był tak twardy jak rysy jego twarzy.

– Nawiązując do twojego pierwszego pytania – czy ich schwytają? Tak. Uważam, że tak. Ich położenie jest raczej beznadziejne.

– Dlaczego jesteś tego taki pewny?

Kungas wzruszył ramionami i podniósł wzrok.

– To tylko dziewczyna, generale. Księżniczka. Prawda, nie przypomina żadnej z księżniczek, jakie poznałeś do tej pory. Wygląda, jakby wyszła z jakiejś legendy. Ale ciągle... nigdy jeszcze nikt na nią nie polował. Nie ma doświadczenia ani prawdziwego treningu w uciekaniu i wyprowadzaniu w pole tysięcy żołnierzy, którzy podążają jej tropem przez góry i lasy.

Kungas potrząsnął głową, uprzedzając pytanie generała.

– To nie ma żadnego znaczenia. Nawet z Raghunathem Rao, który będzie jej pomagał w ucieczce, ona... – Przerwał na chwilę. – Mniemam, że polowałeś już kiedyś z nagonką. A przynajmniej w towarzystwie innych ludzi. Kto opóźnia zawsze tempo? Kto płoszy zwierzynę? Kto chybia celu?

Generał odpowiedział w jednej chwili.

– Najślabszy człowiek. Najgorszy myśliwy.

Kungas przytaknął.

– Właśnie. Tak więc... jeżeli Raghunath Rao byłby sam, wierzę, że umknąłby pogoni. Ale to zadanie byłoby niesłychanie trudne nawet dla niego z powodu wielkiej liczby ścigających go ludzi. Ale z księżniczką u boku, jak z kulą u nogi... – Ponownie wzruszył ramionami. – To nie jest możliwe. Nie, zostaną złapani.

Kungas zobaczył, jak generał odwraca wzrok. Wydawało mu się, że mężczyzna odrobinę zeszywniał. Może.

Kungas podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Ostatni członkowie cudzoziemskiego oddziału przybyli właśnie na miejsce i podeszli do swego palankinu. Młody czarny książę z Etiopii i jego kobiety.

Kungas słyszał wiele opowieści o młodym księciu. Miał ponoć niezaspokojone pożądanie i był okrutny w stosunku do swych konkubin. Nie wierzył w większość tych historii. Niechęć i okrutna zawiść w stosunku do królewskich rodów i szlachty była wśród zwykłych ludzi tak pospolita, że wszystkie okropne opowieści o rządzących klasach Kungas uważał za mocno przesadzone.

Ale kiedy obserwował księcia, doszedł do wniosku, że może, mimo wszystko, te historie były prawdziwe. Kobiety najwyraźniej bały się swego pana, który traktował je raczej nędznie. Wszystkie zakrywały szczelnie twarze, a głowy pochylały nisko do ziemi. W sposób znamionujący uległość. Nikt nie mógł widzieć ich twarzy, tak bojaźliwe były te nędzne istoty. Nie rzucały wesołych, zaciekawionych spojrzeń, tak typowych dla młodych dziewcząt rozpoczynających kolejny etap pasjonującej podróży.

Twarcz jednej z kobiet przez chwilę wyjrzała zza welonu i Kungas mógł ją obejrzeć. Płakała cicho, a jej towarzyszka starała się ją uspokoić, przytulając i głaskając nieszczęsną. Książę nagle uderzył jedną z kobiet mocno w czubek głowy. A potem zdzielił ostatnią z małej grupki. Chciał, aby wsiadały szybciej do palankinu i stracił cierpliwość. Najwyraźniej jednak książę nie rozżłościł się aż tak bardzo. Młody członek królewskiego rodu był potężnej budowy, chociaż niewielkiego wzrostu. Miał szerokie ramiona, potężną klatkę piersiową i ogromne mięśnie. Gdyby chciał, mógłby pozbawić dziewczyny przytomności lekkim ciosem pięści. Ale teraz zaledwie pogłaskał je po głowie.

Jedna z dziewcząt została umieszczona w palankinie z pomocą czarnego żołnierza, który najwyraźniej był poganiaczem. Potem wsiadła druga, ta płacząca.

– Wszystkie są Marathankami, jak mniemam – skomentował Kungas tonem niezobowiązującej rozmowy.

Generał przytaknął.

– Tak. Książę Eon najwyraźniej zasmakował w tej nacji. A miał do wyboru całą masę innych kobiet. – Zaśmiał się lekko. – Nie jestem pewien, jak wiele przewinęło się przez jego łóżko. Nikt nie był w stanie ich policzyć.

Trzecia dziewczyna, ta, która pocieszała płaczącą, przygotowała się do wejścia na grzbiet słonia. Była niewysoka. Miała ciemniejszą skórę niż przeciętne Marathanki. Poruszała się bardzo zwinnie. Kungas z zachwytem patrzył na jej płynne ruchy, podczas gdy wchodziła do palankinu, korzystając z pomocnej dłoni poganiacza. Jej białe stopy zatańczyły w powietrzu...

Cudowna tancerka. Porusza się z taką gracją. Lekko, płynnie. I zawsze zadziwiały mnie jej stópki. Najpiękniejsze nóżki, jakie widziałem w całym swoim życiu. Jak żywe srebro. Wysokie podbicie, gładka pięta, doskonale ukształtowane paluszki.

Dziewczyna wsiadła do palankinu. Czwarta i piąta podążyły za nią. Książę wsiadł ostatni i zaciągnął za sobą zasłonki.

Kungas stał napięty jak struna. Nie mógł nic na to poradzić. Cały był sztywny, podobnie jak jego

twarz. Miała kamienny wyraz, jak zawsze, kiedy patrzył na taniec dziewczyny. Teraz też była niczym stal.

U swego boku poczuł, jak generał przybiera czujną pozę. Za sobą mógł słyszeć, jak dwaj towarzysze generała poruszyli się i idą w jego kierunku.

To może być najniebezpieczniejsza chwila w całym moim życiu.

Prowadził trudny i ciężki żywot, naznaczony trudnymi wyborami i decyzjami. Teraz Kungas podjął najłatwiejszą decyzję, jaką kiedykolwiek podejmował. I, pomyślał sobie, możliwe, że najlepszą, a już na pewno najbardziej wielkoduszną w całym swoim zmarnowanym życiu. Poczul nawet coś w rodzaju dumy, że kwestia jego własnego przetrwania nie rzutowała w najmniejszym stopniu na podjętą decyzję.

Co wcale nie rozwiązuje mojego obecnego problemu. Jak ustrzec się przed podejrzeniem gardła. Nie wydaje mi się, żeby udawanie... nie, z tym generałem to się nie uda. I nie z tymi ludźmi za moimi plecami.

Poza tym...

Uśmiech, jakże rzadki gość na twarzy Kungasa, pojawił się na jego obliczu. (Dla Kungasa był to uśmiech. Nikt inny nie nazwałby w ten sposób podobnego grymasu. Przypominał raczej pęknięcie w skale.)

– Tak wiele kobiet. Cóż, będziemy musieli zadbać, aby nie spadł im włos z głowy. Pouczę moich ludzi, żeby pilnowali konkubin księcia przed nachalnymi intruzami. Zapewniam, że nawet nie zbliżą się oni do palankinu. Ani do jego namiotu w nocy. On w końcu jest księciem, pełnym królewskiej dumy. Jestem pewien, że człowiek, który choćby z daleka ujrzy twarze jego konkubin, rozwścieczy go do granic możliwości.

Kungas mógł niemalże wyczuć, jak intensywnie myśli człowiek stojący obok. Chwilę później generał przemówił. Ale ciągle w jego głosie wyczuwał nutki wahania.

– Myślę, że to doskonały pomysł. Oczywiście twoi ludzie...

Kungas machnął uspokajająco dłonią.

– Och, dam im wyraźne instrukcje, aby trzymali się z daleka od palankinu. Ja sam postąpię podobnie, jeżeli już o to chodzi.

Twarz generała pękła w dziwnym, krzywym uśmiešku. Całe wahanie, które wyczuwał w jego głosie, teraz zniknęło całkowicie.

– Wyobrażam sobie, że to będzie raczej trudne dla ciebie i twoich mężczyzn. Powstrzymywać się od towarzystwa pięknych kobiet. – Kaszlnął przepaszająco. – Jeżeli wierzyć opowieściom o temperamencie Kuszanów.

Kungas lekko się zdziwił.

– Tempera...?

Generał wybuchnął śmiechem.

– Och, nie wygłupiaj się! Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi, Kungasie. Wszyscy o tym wiedzą. Nie możesz ufać Kuszanom, którzy wyczują kobietę, a już szczególnie młodą. Dziewicę. Chociaż zapewniam cię – zachichotał – że w tym palankinie nie znajdziesz żadnej dziewczyny.

Kungas ciągle marszczył brwi.

– Ale z ciebie aktor! – zachwycił się generał. – Ale nie musisz udawać, Kungasie, zapewniam cię. Nie w tym towarzystwie. Pamiętam, jak sam wymieniłem z Venandakatrą parę anegdotek na ten temat podczas długiej podróży z Barakuchy. Chociaż, kiedy teraz o tym myślę, wspomnienia są nieco zatarte. Obawiam się, że byłem bardzo pijany tamtej nocy. Ale kiedy się dobrze zastanowić... tak, przypominam sobie, co mu wtedy naopowiadałem. To dziwne. Wydawało mi się, że te historie są dla

Venandaktry całkowitą nowością i zaskoczeniem.

Każdy na świecie zgodziłby się, że wyraz na twarzy Kungasa w tym konkretnym momencie to uśmiech. Najmniejszy, najślabszy i najcieńszy uśmiech, jaki widział świat, ale z pewnością uśmiech. Nie można było temu zaprzeczyć.

– Niech będzie. Nasza reputacja wreszcie ujrzała światło dzienne. A tak dokładnie się z tym kryliśmy przez te długie miesiące. – Pokiwał smutno głową. – Cóż, nic się nie da zrobić. Teraz wszyscy się dowiedzą. Cholera. Mężowie nie spuszcza oka ze swoich żon. Ojcowie będą pilnować córek.

– Książęta swoich konkubin.

Kungas spojrział na towarzyszy generała.

– Żołnierze swoich obozowych przyjaciółek.

Generał potarł podbródek.

– Obawiam się, że wybuchnie skandal. Ludzie będą gadać. Nawet sam pan Venandaktra prawdopodobnie usłyszy te plotki. Widzę już tę scenę, jaka się rozegra. Kuszańscy żołnierze, a raczej zbójcy, bardzo wielu żołnierzy targanych niezaspokojonym pożądaniami, przez cały czas otaczający namioty i palankiny cudzoziemców, wypełnione pięknymi, młodymi kobietami. Jak muchy zwabione miodem. Brutalnie rozprawiający się z każdym, kto także ośmieli się podejść do dziewcząt.

– Szybko rozprawiamy się z rywalami – zgodził się Kungas – jeżeli już chodzi o kobiety. – Niby przypadkiem jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza. Wysunął ostrze na kilka centymetrów i z trzaskiem wsunął z powrotem do pochwy.

– Tak, tak – zadumał się generał. – Szkoda mi tych biednych Malawian, którzy zapędzą się w pobliże kobiet, choćby z nieszkodliwej ciekawości.

Kungas wzdrygnął się gwałtownie.

– Aż drzę na myśl o tych biedakach i tym, co może im się stać. – Kątem oka dostrzegł szeroki uśmiech na twarzy jednego z ochroniarzy generała. To ten, który wygląda jak mangusta. Z pewnością był to najokrutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział.

– A potem, oczywiście – kontynuował Kungas – jakiś nieszczęsny zdeterminowany Malawianin przedrze się przez szaniec Kuszanów i znajdzie drogę do...

– Och, to okropne! – zawołał generał. Zmrużył oczy. Jego własna dłoń powędrowała do główki miecza. – Zostanie zabity. Przez katafraktów o bystrych oczach albo przez sarwenów, zawsze gotowych do obrony swoich kobiet przed tymi okropnymi, pożądanymi, obleśnymi Kuszanami. Ach, cóż za nieszczęście, jeżeli pomyłają swego prawdziwego wroga z Malawianinem.

Generał rozłożył ręce.

– Ale Venandaktra raczej nie będzie miał powodów do narzekania. Przecież sam przydzielił was do naszej grupy jako ochronę. Możliwe – tutaj generał uśmiechnął się szeroko, tak, że wyraz jego twarzy nie mógł wyrażać niczego innego, niż tylko zadowolenie – że właśnie dlatego was nam przydzielił. Żebyśmy mieli kolejny kłopot.

Kungas pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wygląda na to, że mój pan bardzo się na ciebie złości. Nie mam pojęcia dlaczego.

Odgłosy ruszającej z miejsca karawany nadeszły od jej czoła i wypełniły powietrze. Kungas spojrział na jej czoło, które, oczywiście, pozostawało poza zasięgiem jego wzroku.

– No cóż, lepiej już pójść. Zbiorę swoich ludzi i wyjaśnię im ich nowe obowiązki. Bardzo dokładnie. Upewnię się, że dobrze rozumieją to, co mają zrozumieć, a nie to, czego nie mają rozumieć. Nie chcemy żadnych... hm, jak by to ująć? Chodzenie po linie nie jest takie trudne do czasu, aż stracisz równowagę.

– Dobrze powiedziane – skomentował generał. – Jesteś człowiekiem podobnym do mnie. Czy nie przewidujesz...

– Ze strony moich ludzi? Nie, żadnych. Jeżeli każę im pomalować twarze na niebiesko i przez całą drogę do Ranapur nie otwierać lewego oka, cóż... po prostu pomalują sobie twarze na niebiesko i nie będą otwierać lewego oka przez całą drogę do Ranapur. I zrobią to cholernie szybko, nie zadając żadnych cholernych pytań. Rozkazy to rozkazy. Będą ich słuchać i je wykonywać. – Twarz z kamienia powróciła. – Ja nie należę do ludzi, którzy przymykają oko na niesubordynację.

– Mogę sobie to doskonale wyobrazić – powiedział generał.

Bardzo dziwny jest ten mały, krzywy uśmiezek, pomyślał sobie Kungas. Następnie sam się uśmiechnął po swojemu i odszedł.

* * *

Kiedy Kuzanin zniknął im z oczu za zakrętem drogi, Walentynian wyszeptał do Belizariusza:

– Było blisko.

Belizariusz potrząsnął głową.

– Nie, Walentynianie, wcale nie było niebezpiecznie. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie sytuacji, nawet w innym czasie, w innym miejscu, w innym świecie, w której ten człowiek podejmuje inną decyzję.

Generał odwrócił się i podszedł do swojego konia.

Kiedy odchodził, wymamrotał coś pod nosem.

– Słyszałeś, co on powiedział, Anastazjuszu?

Olbrzym uśmiechnął się.

– Oczywiście. I ty też byś to usłyszał, gdyby twoje uszy były wyczulone na filozoficzne myśli, tak jak być powinno. Zamiast tego...

Walentynian zawarczał:

– Po prostu odpowiedź na moje pytanie!

– On powiedział, że liczy się tylko dusza.

Książę i księżniczka

Książę odprężył się. Jego palce pozwoliły opaść zasłonom z powrotem na swoje miejsce. Tkanina poruszyła się nie więcej niż o ułamek centymetra. Otworzył je, tworząc tylko małą szczelinę.

– Poszedł sobie – powiedział łagodnie. Książę z powrotem opadł na okryte jedwabiem poduszki, które wypełniały całą wolną przestrzeń w palankinie. Z ulgą wyduł policzki.

Cztery Marathanki w palankinie zareagowały na te wieści w różny sposób. Piąta kobieta, która nie była Marathanką, obserwowała czujnie ich reakcje. Nauczono jej, że sposób, w jaki ludzie odprężają się po chwili stresu, może powiedzieć wiele o ich naturze. Uczył ją człowiek, który był ekspertem w sprawach duszy i sytuacji stresowych.

Jedna z kobiet, którą znała, znała od wielu lat, ścisnęła mocniej jej dłoń. Ale po raz pierwszy, od kiedy w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach ponownie się spotkały, przestała płakać. Nazywała się Dżidzabi, a jej umysł zagubił się w strachu. Szakuntala miała nadzieję, że horror ustąpi i dusza dziewczyny wydobędzie się wreszcie z mroku. Kobieta przeżyła swoje najgorsze dni po tym, jak zabrano ją z pałacu księżniczki. Teraz, kiedy jej ukochana władczyni powróciła, może Dżidzabi również odnajdzie drogę do domu.

Ale teraz Szakuntala nie mogła zrobić nic więcej dla biednej dziewczyny poza tuleniem jej w objęciach. Dlatego odwróciła wzrok i popatrzyła na inne kobiety.

Dziewczyna siedząca tuż obok księcia po jego lewej stronie wyduła policzki, a potem

uśmiechnęła się szeroko. Oparła się na ramieniu mężczyzny, który otoczył ją troskliwym i delikatnym uściskiem. Zamknęła oczy i wtuliła nos w jego szyję.

Szakuntala знаła ją odrobinę, gdyż poprzedniej nocy książę jej trochę opowiadał o tej kobiecie. Miała na imię Tarabai i była faworytą księcia. Eon poprosił ją, aby powróciła z nim do jego ojczyzny i została jedną z jego konkubin. Tarabai zgodziła się z radością.

Książę najwyraźniej był bardzo zadowolony z odpowiedzi. Wyglądał prawie jak chłopiec, który nie może uwierzyć, że spełnił się jego najpiękniejszy sen.

Szakuntala wyciągnęła wiele wniosków z jego zachwytu. W końcu najbystrzejszy obserwator na ziemi uczył ją, jak śledzić ludzkie zachowania. Szakuntala nauczyła się patrzeć na ludzi z tolerancją i lekkim uśmiechem. Jej nauczyciel miał poczucie humoru prawie tak żywe jak umiejętność obserwacji.

Tak więc z jednej strony zaciekało ją zadowolenie księcia. Która kobieta będąca w położeniu Tarabai, marathańskiej niewolnicy tkwiącej w nędznym burdelu, odmówiłaby księciu i jednocześnie zaprzepała szansę zostania królewską faworytą? (I to prawdziwą faworytą, w tradycyjnym i szanowanym wydaniu, a nie nędzną kreaturą, jaką Malawianie nazywali tym imieniem. Kobieta zajmująca ważne i poczesne miejsce w hierarchii królewskiego dworu. Której dzieci nie będą prawnymi potomkami króla z prostej linii, ale w przyszłości zajmą ważne i odpowiedzialne posady.)

Ale w zdziwieniu Szakuntali nie było nawet śladu podejrzenia. A raczej odwrotnie. Szanowała księcia za ten jego nieklamany zachwyty. Nauczono ją, aby mieć w poszanowaniu ten rodzaj pozbawionej arogancji skromności. Pokazano jej na przykładzie. Na przykładzie człowieka, który nigdy się nie przechwalał, chociaż, gdyby chciał, mógłby się pochwalić czynami, o jakich nie śmieli nawet marzyć bohaterowie Indii od czasów opisanych w księgach „Mahabharata” i „Ramajana”.

(Ale ta myśl przyniosła jej ból, więc odepchnęła ją od siebie.)

Zachowanie Tarabai i odpowiedź księcia dostarczyły Szakuntali jeszcze innych wskazówek. Jej ojciec, imperator Andhry, posiadał wiele konkubin. Szakuntala często przyglądała się ich zachowaniom w obecności ojca. On nigdy nie traktował źle swoich kobiet. Ale żadna z nich nie ośmieliłaby się dotykać go tak intymnie w miejscu publicznym i obecności innych ludzi. Nawet jej własna matka, imperatorowa, by tego nie zrobiła. (Szakuntala podejrzewała, że matka nie pozwalała sobie na intymne gesty nawet w zaciszu małżeńskiej łóżnicy.)

Jej ojciec był szorstkim, zimnym i powściągliwym człowiekiem. W każdym calu imperatorem. Nie znosił poufałości u nikogo, kobiety czy mężczyzny. Ani, przynajmniej nie w obecności księżniczki, nie okazał nigdy nikomu nawet śladu czułości. A już z pewnością nie jej.

W tej myśli nie było jednak gorczy. Jej ojciec przez całe życie zajmował się walką z Malawą. Lata temu Szakuntala zdała sobie sprawę z tego, że jej ojciec, na swój własny sposób, bardzo ją kocha. Oddał ją po opiekę marathańskiego wojownika, wbrew wszystkim zwyczajom i prawom, gdyż kochał ją i chciał dać jej największy dar, jaki leżał w zasięgu jego władzy. Ten dar wielokrotnie ocalił jej życie.

(Ta myśl znów sprawiła, że ból wrócił. Księżniczka zmusiła się, żeby myśleć o teraźniejszości.)

A więc książę był łagodny i skromny. I miał gorące serce.

Szakuntala powstrzymała chichot. To dziecinne! *Przestań!*

To było trudne. Księżniczka miała doskonałe poczucie humoru, kiedy tylko nie wpadała w złość. A mimo niebezpieczeństwa całe to zdarzenie było raczej komiczne.

Książę znalazł ją w kredensie, gdzie Raghunath Rao kazał się jej skryć. Tak zaplanowali. Na półce tak małej, że dziewczyna ledwo się tam zmieściła, obok dzbanka z wodą i kawałka chleba, ze zmarszczonym od zapachu uryny nosem, przygniecioną stosem bielizny pościelowej.

Kiedy tylko książę Eon zajął narożny, przeznaczony dla gości apartament pałacu, natychmiast otworzył kredens i wypuścił księżniczkę. W znośnym języku *marathi* książę zaczął jej wyjaśniać szczegóły planu. Szakuntala starała się na niego nie patrzeć przez większą część przemowy. Książę śpieszył się, aby zmyć krew i brud ze swojego ciała. (Księżniczka, słysząc odgłosy toczącej się gdzieś na polach pod pałacem bitwy, z trudem powstrzymała się od wyjścia z kredensu i popatrzenia na walkę.)

Tak więc jego niewolnik, nazywał go dawazem, przygotował księciu kąpiel w tym właśnie pomieszczeniu, gdzie siedziała Szakuntala. Eon rozebrał się do naga. Szakuntala tylko raz rzuciła na niego okiem, nie z dziewczęcej ciekawości, ale raczej aby po królewsku ocenić sytuację. Książę miał bardzo imponujące ciało. Ale znacznie bardziej zaimponował jej zwyczajny, nieco roztargniony sposób, w jaki zmywał z siebie krew zabitych w walce przeciwników.

Tak. Książę był odważny. Doświadczony i wyszkolony w bitwie. Mimo swego młodego wieku. W świecie stworzonym przez Malawian wszyscy książęta muszą być właśnie tacy. Zgodziła się z tym. Z chęcią.

Głosy dyskutujących gwałtownie z cudzoziemcami Radżputów dobiegły zza drzwi. Niewolnik księcia natychmiast złapał za ogromnych rozmiarów włócznię. Ale książę wysyczał szybko kilka słów w ich rodzimym języku. Nagle dawazz oparł włócznię o ścianę i ruszył w kierunku drzwi z takim uśmiechem na twarzy, jakiego Szakuntala nie widziała nigdy w całym swoim życiu.

Książę natychmiast podbiegł do kredensu i usunął ze środka wszystkie ślady bytności księżniczki. Nie miał wiele do sprzątnięcia: tylko pusty dzban na wodę i naczynie do połowy wypełnione uryną. Książę postawił oba te przedmioty na widoku, po tym jak opróżnił basen do wanny, wypełnionej krwawą wodą po kąpielu.

A potem, zanim zdołała się zorientować, co się dzieje, złapał ją wpół i rzucił na łożo. Chwilę później książę, ciągle nagi, położył się na niej. Narzucił na siebie pościel i natychmiast zaczął z wigorem poruszać biodrami. Szakuntala całkowicie skryła się pod jego potężnym ciałem i pod warstwami prześcieradeł. Książę nie był wiele od niej wyższy, ale prawie dwa razy szerszy. Czuli się jak kotek leżący pod tygrysem. Nie widziała nic poza nagą klatką piersiową księcia.

Chwilę później kłócący się mężczyźni wdarli się do pokoju. Rozumiała, o czym mówią, zdążyła się nauczyć radżpuckiego. Najwyraźniej pan Venandakatra rozkazał swoim żołnierzom przeszukać cały pałac i jego grunta. Stojący na czele oddziału radżpucki oficer bardzo przeproszał. Bez słów dał do zrozumienia, że uważa całe to przedstawienie za totalny idiotyzm. Wielki pan szalał z dziecinnej złości, wymierzając światu niesprawiedliwe kopniaki. Czyż nie znaleziono trzech psów Ye-tai zamordowanych przed bramą pałacu w dzień po porwaniu? Prawie dwa pełne dni minęły od napaści. Pomysł, że księżniczka może się tu chować, jest absurdalny, ale... rozkazy to rozkazy.

Książę Eon podniósł wtedy głowę, ale tylko odrobinę. Zawył w królewskim gniewie. Ale jego biodra nawet nie zgubiły rytmu, nie przestały się poruszać w górę i w dół; ciągle uderzał ją pachwiną. Ona, oczywiście, nadal była ubrana. Ale Radżpuci nie mogli tego zobaczyć. Jediną widoczną częścią księżniczki były jej włosy. Długie, czarne włosy, takie same jak włosy większości indyjskich kobiet. A potem, chwilę później, zobaczyli małą rączkę, która wyłoniła się spod pościeli i złapała kark księcia z wyraźną namiętnością. Namiętność ta musiała być ogromna, sądząc po jękach rozkoszy, jakie wydawała niewidoczna dziewczyna. (Szakuntala nie była pewna, czy wydaje prawidłowe odgłosy. Ale jak wszystkie bystre dziewczynki mieszkające w wielkim i zatłoczonym pałacu, widziała wiele podobnych scen w przeszłości, w Amavarati.)

Unikając wzrokiem księcia i jego oblubienicy, Radżpuci w pośpiechu przeszukali apartament. A potem, mamrocząc pod nosem słowa przeprosin, wymknęli się chyłkiem.

Kiedy tylko sobie poszli, Eon natychmiast zeskokczył z łóżka. Zaczął wylewnie przeproszać dziewczynę i usprawiedliwiać swoje zachowanie niebezpieczną sytuacją. Zapewniał ją o swoim szczerym oddaniu i głębokim szacunku, jaki żywi dla jej królewskiego majestatu i niewypowiedzianego osobistego wdzięku. Opisywał straszne skutki, gdyby...

Szakuntala machnęła ręką, ucinając te przeprosiny. Odpowiedziała księciu z największym dostojeństwem i królewskim gestem przyjęła jego najuniżeńsze przeprosiny. Korzystając z najwyszukańszych słów i najuprzejmiejszych zwrotów zapewniła księcia, że rozumiała powagę sytuacji i podjęte przez niego środki zaradcze. Pochwaliła szybkość myślenia. Dodała jeszcze kilka zapewnień, że wie, iż nie miał nic innego na myśli niż tylko zapewnienie bezpieczeństwa jej królewskiej osobie. I że nie ma wątpliwości co do jego królewskiego pochodzenia, a co za tym idzie królewskich manier i doskonałego wychowania.

Ale potem nie zdołała się powstrzymać i dodała skromnie:

– Ale obawiam się, mój książę, że jedna z twoich prowincji właśnie wszczęła bunt.

Niełatwo było to dostrzec. Skóra księcia miała bardzo ciemny odcień, nawet ciemniejszy niż u Drawidyjczyków. Ale księżniczka była prawie pewna, że Eon spłonął rumieńcem.

A już szczególnie po tym, jak odezwał się dawazz, szczerząc zęby w tym swoim niesamowitym uśmiechu.

– W rzeczy samej! Cóż za bezczelne powstanie! Lepiej niech książę stłumi tę rebelię! – A potem dodał zaniepokojony: – Proszę, książę, użyj mojej włóczni!

* * *

Wspominając i uśmiechając się do siebie samej, Szakuntala napotkała wzrok księcia. Mały uśmiech wypłynął także na jego twarz. A potem delikatnie się zmienił. Usta lekko skrzywił przepraszający grymas, przewrócił oczyma i wzruszył ramionami bardzo ostrożnie. A raczej tylko jego lewe ramię zdrząło lekko, na drugim bowiem spoczywała głowa Tarabai.

Zrozumiawszy, Szakuntala odprężyła się i przytuliła do lewego boku księcia. Ten otoczył ją ramieniem. Księżniczka wtuliła twarz w jego muskularną szyję. Chwilę później poczuła, jak Dźidzabi przysuwa się do jej lewego boku. Drżała ze strachu, myśląc, że księżniczka ją opuściła. Szakuntala przytuliła dziewczynę i ukryła jej twarz na własnej piersi. Poczuła, jak Dźidzabi powoli się uspokaja.

Westchnęła lekko. Spędzanie dni i tygodni w takiej pozycji będzie bardzo niewygodne i nużące. Ale bezlitośnie stłumiła tę myśl. Byli na wojennej ścieżce, a w walce stosuje się różne taktyki. Ta już raz zadziałała. Była wypróbowana i pewna. Gdyby ktoś zdołał zajrzeć do palankinu, zobaczyłby tylko niegodziwego aksumickiego księcia, otoczonego wianuszkiem przerażonych i uległych kobiet. Których twarze pozostawały w ukryciu, oczywiście, gdyż te istoty były nieśmiałe w obecności ich brutalnego pana.

Ponad klatką piersiową księcia jej oczy napotkały wzrok Tarabai. Marathanka uśmiechnęła się wstydliwie.

Szakuntala zdała sobie sprawę, że dziewczyna wciąż czuje przed nią respekt. Marathanki wiedziały od jakiegoś czasu, że cudzoziemcy prowadzą w tym obcym dla nich kraju jakąś tajemniczą akcję. (I nawet wyczuwały, że te działania w jakiś sposób skierowane były przeciwko znieprawionym Malawianom.) Ale nie wiedziały, na czym polegają te akcje aż do tego ranka. Tuż przed wyruszeniem karawany Marathanki zostały zebrane w jednym pokoju. Eon i jego ludzie przedstawili im Szakuntalę i wyjaśnili, co mają robić.

Słyszając to imię, Dźidzabi podniosła oczy i zaczęła płakać ze zdumienia. Szakuntala osobiście otarła jej łzy, pocieszając dziewczynę, która kiedyś była jej służącą i towarzyszką. Od tamtej chwili

aż do momentu, kiedy wsiedli do palankinu, dziewczyna nie przestała płakać. Szakuntala nie odstępowała jej ani na krok. Na początku z miłości i litości. Potem, gdyż odkryła, że zachowanie dziewczyny jest idealną przykrywką dla ich planu.

Trzy inne Marathanki były tak zaskoczone, że przez całą drogę do palankinu nie były w stanie nawet wydusić z siebie słowa. Co również doskonale pasowało do planu, chociaż samo nie zostało zaplanowane.

Teraz Tarabai otrząsnęła się ze zdumienia. Szakuntala domyśliła się, że to bliskość Eona tak wpłynęła na odwagę kobiety. Ale ciągle czuła do Szakuntali respekt. Księżniczka zauważyła, że Tarabai nosi na sobie ślady dobrego wychowania. Najwyraźniej urodziła się w rodzinie sudrów albo wajsjów (o ile Marathanie przykładali wagę do systemu kastowego; ale myśl o dawnych czasach znów wywołała ból w sercu księżniczki, więc przestała się nad tym zastanawiać.) W całym swoim życiu Tarabai nawet sobie nie wyobrażała, że będzie podróżować w jednym palankinie, więcej nawet, na piersi jednego mężczyzny, z członkinią rodziny królewskiej.

Szakuntala spojrzała teraz na dwie pozostałe kobiety, których jeszcze nie знаła. One także wpatrywały się w nią oczami jak spodeczki. Ale w tych oczach, zauważyła, poza zwykłym respektem było coś jeszcze. Te dwie kobiety prawie trzęsły się ze strachu. Gdy tylko zobaczyły, że księżniczka na nie spojrzała, szybko opuściły głowy i wbiły wzrok w wyściełające podłogę palankinu poduchy. Teraz naprawdę zaczęły się trząść.

To się musi skończyć, pomyślała księżniczka.

– Spójrzcie na mnie – rozkazała im. Mimo młodzieńczego brzmienia jej głos był ostry jak nóż. Nie szorstki, ale po prostu rozkazujący.

Kobiety natychmiast podniosły głowy. Eon, obserwując tę scenę, był pod wrażeniem.

– Jesteście bardzo przerażone – oznajmiła księżniczka. Po chwili kobiety skinęły potakująco głowami.

– Boicie się gniewu Malawian, jeżeli odkryją, co się dzieje. Boicie się, że was zabiją.

Znów potakujące skinienia.

Przez chwilę Szakuntala po prostu na nie patrzyła. A potem powiedziała:

– Musicie zwalczyć swój lęk. Strach nic wam nie pomoże, a nas może doprowadzić do katastrofy. Musicie mieć odwagę. Ci ludzie... cudzoziemcy, są dobrzy dla was. Odważni i dzielni. Wiecie, że to prawda.

Czekała. Po chwili dwie głowy znów się poruszyły.

– Ufajcie tym ludziom.

Czekała. Marathanki przytaknęły.

– A więc zaufajcie im również teraz. I zaufajcie także mnie.

Czekała.

– Jestem waszą księżniczką. A teraz waszą imperatorką. Jestem prawowitą spadkobiercą tronu Andhry.

Marathanki natychmiast pokiwały głowami. Maharasztra była jednym z tych krajów Indii, gdzie kobiety u władzy akceptowano bez słowa, jeżeli tylko miały tę władzę z legalnego źródła. W przeszłości Marathanki stawały nawet na czele armii.

(Ale wspomnienia o Maharastrze niosły ze sobą ból, więc księżniczka odepchnęła je od siebie.)

– Wzywam was, abyście mi służyły, kobiety z Niezmierzonego Kraju. Andhra powstanie znów, a niegodziwość Malawian legnie w gruzach. Aby tak się stało, poświęć swoje życie. Jeżeli zginiecie z ręki Malawian, wasza władczyni zginie wraz z wami. Nie zostaniecie opuszczone.

Po chwili kobiety ukloniły się nisko. Szakuntala przyjęła ich hołd, ale nie cieszyła się w głębi

serca. Radość natomiast przyniósł jej fakt, że z oczu kobiet zniknął paniczny strach, zastąpiony okruciami odwagi.

(Ale radość natychmiast przyniosła ból, więc wyrzuciła ją ze swego umysłu. Wiedziała, że w jej życiu nie będzie miejsca na szczęście. Tylko na odwagę, na obowiązek. Uczyniła tym kobietom obietnicę i zamierza jej dotrzymać. Choć ta obietnica na zawsze wygna z jej życia radość.)

Usłyszała, że księżę mamrocze coś pod nosem. Jakieś zdanie w swoim języku.

– Co powiedziałaś przed chwilą? – zapytała, patrząc na niego.

Jego czarne oczy spoglądały na nią bardzo, bardzo poważnie. Wreszcie księżę przemówił łagodnie:

– Powiedziałem: I tak, po raz kolejny, Belizariusz miał rację.

Szakuntala zmarszczyła czoło, zdziwiona. Oczywiście wiedziała, kto to jest Belizariusz. Raghunath Rao wszystko jej wyjaśnił (a przynajmniej tyle, ile sam wiedział, co nie było dużo). Ale nie spotkała jeszcze osobiście tego człowieka, chociaż kątem oka dostrzegła parę razy jego sylwetkę.

– Nie rozumiem.

Na usta księcia wypełził dziwny uśmiech.

– Zapytałem go kiedyś, po co robimy to wszystko. Wcale się nie buntowałem, rozumiesz sama. Pomysł uratowania księżniczki z łap tego obrzydliwego Venandakтры wydawał mi się całkiem atrakcyjny. Ale... w końcu jestem księciem. W prostej linii pochodzę od władców Aksum. Mój starszy brat Wa'zeb pozostaje w dobrym zdrowiu, więc nie mam raczej szans na zostanie następnym *negusa nagast*. I to mi odpowiada. Ale wcześniej zaczynasz się uczyć myśleć jak monarcha. Jestem pewien, że wiesz, o co mi chodzi.

Szakuntala przytaknęła.

– Więc zapytałem Belizariusza, raz, jako zimnokrwisty następca tronu, a nie jako porywczy romantyczny księżę, dlaczego podejmujemy takie ryzyko?

Zaczął przeproszać niezręcznie za ten nietakt, ale Szakuntala przerwała mu szybko.

– Nie ma takiej potrzeby, Eonie. To doskonałe pytanie. Dlaczego to zrobiliście? – Uśmiechnęła się. – Nie, żebym nie była wam wdzięczna, zrozum sam.

Eon odpowiedział na uśmiech lekkim skrzywieniem warg. A potem, kiedy jego uśmiech zniknął, powiedział:

– Robimy to, tak mi powiedział, z trzech powodów. Po pierwsze, samo w sobie jest to warte zrobienia. Dobry i czysty uczynek w świecie, który jest ubogi w podobne porywy. Po drugie, robimy to, aby uwolnić duszę największego wojownika Indii, tak by mógł zwrócić cały swój gniew przeciwko nieprzyjacielowi. I w końcu, po trzecie i najważniejsze, robimy to, gdyż sami nie pokonamy Indii. To Indie muszą zostać naszym sprzymierzeńcem. Prawdziwe Indie, a nie ci bękarci opętani przez demony. I dlatego musieliśmy uwolnić największego władcę Indii.

– Nie jestem żadnym władcą – wyszeptala. – A już na pewno nie największym.

Uśmiechnął się sarkastycznie.

– To właśnie mu powiedziałem.

Uśmiech zniknął.

– Ale będzie, zobaczysz – odpowiedział wtedy Belizariusz. – Jeszcze zobaczysz. Sprawি, że Malawianie zawyją z wściekłości.

* * *

Kiedy zapadła noc, karawana zatrzymała się i Eon wraz ze swymi kobietami przeniósł się z palankinu do królewskiego namiotu, nie zauważony przez nikogo w ciemności. Mimo tego Szakuntala nadal wtulała się w jego bok. Kiedy zasnął, leżała obok, tak jak czyniła to w palankinie

otoczona jego ramieniem. Gdyby ktokolwiek wtargnął do namiotu, w jednym momencie zdołałaby ukryć twarz w pościeli albo wtuliwszy się w szyję księcia.

Ale księżniczka, a raczej imperatorowa nie spała. Od wielu godzin. Kiedy tylko upewniła się, że wszyscy w namiocie już zasnęli, wreszcie pozwoliła popłynąć łzom. Pozwoliła, aby ból straty ogarnął jej duszę i przeszył serce jak ostry nóż.

Ostatni raz pozwalała sobie na tak otwarte okazanie uczuć. Ale nie mogła pozwolić, aby skarb jej serca odszedł bez pożegnania.

Przez całe swoje życie kochała tylko jednego człowieka i żadnego już nie będzie w stanie pokochać. Nie do końca. (Chociaż, nawet teraz widziała w myślach uśmiech mężczyzny, którego kochała. Zwykł mówić: „w dobrym sercu miejsca dość dla wielu”. I uśmiechnęła się sama do siebie przez łzy, aż wspomnienia odnowiły ból.)

Kochała tego człowieka od zawsze, odkąd pamiętała. Często myślała, że ta miłość jest beznadziejna. On nigdy jej nie odwzajemniał, a przynajmniej nie w ten sposób. Ale... powoli stawała się dorosła i była piękna. (Zawsze wiedziała, że będzie piękna. Kiedy prawda w końcu stała się ciałem, była zadowolona, ale nie zdumiona. Zawsze osiągała to, co zamierzała zdobyć.) I, myślała sobie, nadejdzie dzień, kiedy zatańczy na jego weselu. Jako jego oblubienica. Jej stópki jak żywe srebro, wybiją znak na jego sercu, tańcząc tak, jak ją nauczył. Jak nauczył ją wszystkiego, co było wartościowe.

Oczywiście jej ojciec nie będzie zadowolony z jej wyboru. A raczej powinna powiedzieć, że się wścieknie. I dlatego ukryła głęboko swoje uczucia, nie pozwalając, aby ujrzały je ludzkie oczy. Musiała się kryć, gdyż w przeciwnym razie jej ojciec odesłałby tego człowieka, pod opiekę którego została oddana i któremu poświęciła swe serce.

Ten człowiek był zupełnie nieodpowiednim kandydatem dla księżniczki Andhry. Och, niewątpliwie miał swoje zalety. Wielki człowiek. Ale jego pochodzenie było nie do zaakceptowania.

Prawda, człowiek był kszatryjasem, a Marathanie liczyli się z tą kastą. Ale żadne inne narody Indii nie uznawały kast Marathów. Zaledwie kilka marathańskich rodzin znało swoich przodków trzy pokolenia do tyłu. (Odwrotnie niż Radżpuci czy Guptowie, czy Andhranie, czy keralańscy bramini i kszatryjasi, których drzewa genealogiczne ciągnęły się w nieskończoność.) Maharasztra była twardym i kamienistym obszarem. Jej mieszkańcy nazywali ją Niezmierzonym Krajem. Ale pochodzili oni od rzezimieszków, wygnańców i uciekinierów. Od ludzi, którzy przenieśli się tutaj znikąd, szukając schronienia między kamienistymi wzgórzami, budując małe farmy i kamienne domki. Uciekali przed władcami i panami, którzy rządzą gdzieś daleko. Ludzie porywcy, którzy łatwo przelewali krew i nie dbali o honor. Ludzie okrutni, którzy mierzyli szlachectwo swoją własną miarą. Miarą twardą i kamienistą, która nie przykładała wagi do pochodzenia i tradycji.

Marathowie byli twardym ludem. Jednakże mówić o nich jako o bezwartościowych, nie odważyłby się żaden człowiek. Nawet należący do najwyższej kasty Radżput. A już na pewno nie po tym, jak wypróbowałby Maharasztrę w bitwie. Ale Maharasztrowie nie byli szlachetni. Niewystarczająco dobrzy dla kszatryjaskiej krwi. A dla czystej krwi władców Andhry byli wprost nie do pomyślenia.

Ale ciągle księżniczka miała swoje marzenia. Jej ojciec przecież kiedyś umrze, a jeden z jego synów zasiądzie na tronie. Andhra poszuka jej jakiegoś królewskiego wybranka, aby ich potomstwo posłużyło w przyszłości imperialnym celom. Ale ona odmówi. W końcu nie będzie władczynią Andhry, skępowaną przeznaczeniem. Odmówi i zdobędzie serce tego, którego kocha, i ucieknie z nim na pustkowia Niezmierzonego Kraju, gdzie nikt ich nie znajdzie. Jeżeli jej wybranek zechce pozostać w ukryciu, nikt ich nie znajdzie.

Ale teraz Andhra była jej przeznaczeniem. Tylko ona przetrwała z całej dynastii Satavahanów. Będzie rządzić tym krajem i zrobi to dobrze. I wybierze sobie męża, kierując się dobrem Andhry. Musi doprowadzić do zawiązania sojuszu przeciwko asuryjskim psom, które zniewoliły jej lud. Tylko ta myśl będzie teraz prowadzić jej uczynki.

Może ten książę, pomyślała, czując bicie jego serca w miejscu, gdzie dotykała głową masywnej klatki piersiowej. Ta myśl dała jej zadowolenie, chociaż na chwilę. Oczywiście nigdy go nie pokocha, nie naprawdę. Ale wydawał się dobrym człowiekiem, dobrym księciem. Takim, jaki powinien być przyszły władca. Odważnym, śmiałym, doświadczonym w bitwie, bystrym, a jednocześnie ciepłym i kochającym. Może nawet trochę zmądrzeje, z czasem, jeżeli nie teraz.

Może. Jeżeli Andhra ma się sprzymierzyć z jego narodem. A jeżeli nie...

Wyjdę za najobrzydliwszą kreaturę świata i powiję jego dzieci, jeżeli to pomoże pokonać te malawiańskie psy. O tak. Sprawię, że zawyją z wściekłości.

Jej serce długo się błąkało, ale dusza pozostała na swoim miejscu. Jej dusza, tak jak dusza każdego, należała tylko do niej samej. Jako jedyna rzecz nie dawała oderwać się od jej ciała i jako jedynej nie mogła jej nikomu oddać.

I tak, w cudzoziemskim namiocie stojącym na gruncie wroga, imperatorowa Szakuntala poświęciła duszę swemu narodowi. Przysięgła Malawianom zemstę. I pożegnała na zawsze skarb swego serca.

Ale najbardziej przejmujący ze wszystkiego w tę pełną goryczy noc był fakt, że zrozumiała wreszcie lekcję, której nie mogła pojąć przez lata nauk, jakich jej udzielał.

W końcu tylko dusza się liczy.

Niewolnik i pan

Tej samej nocy, w innym namiocie, niewolnik także wejrzał w swą duszę i oddał całe swe jestestwo jednemu celowi. Długo podejmował tę decyzję i nie przyszła mu ona z łatwością. Nie ma nic trudniejszego dla duszy, która dawno już pogrzyżyła się w poczuciu beznadziei, ponownie otworzyć ranę życia.

Cel jego pana był teraz dla sługi jasny. A przynajmniej jego część; niewolnik spodziewał się, że czeka go jeszcze wiele w przyszłości. Znacznie więcej. Z własnego doświadczenia sługa wiedział, że umysł jego pana jest isticie diabelską rzeczą.

I niewolnik zamierzał poświęcić się temu diabelstwu w pełni.

Chociaż było późno, latarnie ciągle się paliły na terenie obozu. Przewracając się w bezsenności na pościeli, niewolnik widział, że jego pan także nie śpi. Siedział na macie ze skrzyżowanymi nogami; mocne dłonie zaplótł wokół kolan i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Tak jakby słuchał jakiegoś niewidzialnego głosu, który zwraca się tylko do niego.

Co, jak wiedział niewolnik, było prawdą. Sługa myślał sobie, że potrafiłby nawet nazwać ten głos.

Jak zwykle, mimo zaabsorbowania czymś innym, nic nie uchodziło uwadze jego pana. Lekki ruch czyniony przez nie mogącego zasnąć niewolnika przyciągnął jego uwagę. Pan odwrócił głowę i spojrzał na sługę. Zagadkowo przymrużył oczy.

– Moje imię brzmi Dadadzi Holkar – powiedział łagodnie niewolnik, odwrócił się na plecy i zamknął oczy. A potem poczuł senność i zasnął, szybciej, niż myślał, że jest to możliwe.

Generał i doradca

Przez chwilę Belizariusz wpatrywał się w tył głowy swego niewolnika. Potem, na w pół

oślepiiony, odwrócił wzrok.

Tej reakcji nie wywołały niespodziewane słowa niewolnika. Po prostu generał zdał sobie sprawę ze swojej dotychczasowej ślepoty i to nim tak wstrząsnęło.

Jego myśli pomknęły w kierunku przerwy w barierze. Tym razem nie usiłował usunąć kolejnej porcji gruzu. Po prostu zawołał:

Jak się nazywasz?

Fasety zabłyśły i zadrżały. Jak... w jaki sposób... to było niemożliwe? Ten umysł był zbyt...

cel przywołał fasety do porządku, wziął je pod żelazną dyscyplinę.

To było niemożliwe! Ten umysł nie był...

Walka spowodowała, że znaczenie wyrwało się na wolność. Nareszcie! Nareszcie... jakaś część wiadomości, przekazana przez wielkich bogów dała się odczytać. To była tylko końcówka przesłania i nie pozwalała na zrozumienie całości, ale przynajmniej ta część dała się odczytać. Płaszczyzny błyszczały, sławiąc zwycięstwo kryształ. **cel** przełożył swój triumf na język zrozumiały dla ludzi:

A potem znajdź generała,

który nie jest wojownikiem.

Daj mu wszystko, czego zażąda.

Niech **cel** służy jego celom i osłania jego działania.

Znajdziesz nas w celu.

Odnajdziesz siebie w poszukiwaniach.

I zobaczysz, dotrzymamy obietnicy

w miejscu, gdzie drzemie obietnica.

Tam nie zachodzą bogowie,

bo to miejsce leży daleko poza ich zasięgiem.

Myśl, która buchnęła w umyśle Belizariusza zaraz potem, była czystą dumą. Jak uśmiech dziecka, które czyni pierwszy krok:

Nazywaj mnie swoim doradcą.

Dama i łobuz

– Gotowi? – zapytał Maurycy.

Antonina i Jan z Rodos jednocześnie skinęli głowami. Dziesiątnik wykopał blokujący klocek drewnianym młotkiem.

Drewniane ramię katapulty kiwnęło się do przodu, popchnięte przez siłę zwiniętych sznurów mocujących jego podstawę. Ramię uderzyło z wielką mocą w poduchę welonów i innych tkanin starannie umocowanych na przecięciu się belek podstawy urządzenia. Spoczywający na wolnym końcu ramienia gliniany garnek poszybował wysoko.

Troje ludzi stojących z boku urządzenia artyleryjskiego z uwagą obserwowało lecący garnek. W przeciągu dwóch sekund naczynie uderzyło w kamienną ścianę stojącą w pewnej odległości od onagera i wybuchło kulą ognia.

– Tak! Tak! – zawył Jan, skacząc z radości. – To działa! Spójrz na to, Antonino, wybuchło spontanicznie!

Kobieta uśmiechała się od ucha do ucha. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, nawet wtedy, gdy kątem oka dostrzegła mars na obliczu Maurycyego.

– Och, przestań, ty cholerny ponuraku! – zaśmiała się. – Przysięgam, że jesteś najbardziej ponurym człowiekiem, jakiego nosi matka ziemia.

Maurycy uśmiechnął się lekko.

– Ja wcale nie jestem ponury. Jestem po prostu pesymistą.

Jan z Rodos zawarczał złowrogo.

– A niby z jakiego powodu nawiedzają cię pesymistyczne myśli tym właśnie razem? – Emerytowany oficer marynarki pokazał palcem na ścianę w oddali, która ciągle paliła się jasnym płomieniem.

– Spójrz na to! A jeżeli ciągle nie możesz uwierzyć, że się udało, idź i wsadź łapę w ogień! No, idź! Obiecuję ci, że to ognisko będzie się jeszcze długo palić, do czasu, aż wyczerpie się całe paliwo. Jedyne sposoby, aby je ugasić, to przysypać płomienie piachem. Wydaje ci się, że wróg będzie targał wory z piachem przez całą drogę, a podczas bitwy użyje kocyków?

Maurycy potrząsnął głową.

– Wcale nie uważam, że się nie udało. Ale... pomyśl, Janie, jesteś oficerem marynarki wojennej. Na ładnym, dużym okręciu bez problemu możesz przewieźć całe stosy tych wielkich glinianych garów. Bardzo dokładnie owiniętych szmatami, aby się nie stłukły i nie wybuchły płomieniem. Ale spróbuj przetransportować je na grzbiecie muła i wtedy zrozumiesz, dlaczego nie skaczą do góry z radości.

Jan zaczął warczeć jeszcze głośniejsze, ale nic nie odpowiedział. Antonina westchnęła ciężko.

– Jesteś niesprawiedliwy, Maurycy.

Grymas na twarzy setnika sprawił, że wykrzywiona twarz Jana przypominała na jego tle uśmiechniętą buzię.

– Niesprawiedliwy? – upewnił się. – A co to ma do rzeczy z czymkolwiek? Wojna jest niesprawiedliwa, Antonino! Taka już natura tej przeklętej bestii.

Grymas zniknął. Setnik podszedł do nich i oparł dłonie na ramionach Jana.

– Wcale cię nie krytykuję, Janie. Nie mam żadnych wątpliwości, że twoje odkrycie zrewolucjonizuje broń marynarki. I wzmocni arsenał przy oblężeniach, bez wątpienia. Mówię ci tylko oczywistą i jasną prawdę, to wszystko. Ta broń jest za ciężka, aby był z niej jakikolwiek pożytek dla armii na lądzie.

Twarcz oficera wygładziła się. Spojrzał w ziemię i wyduł usta.

– Tak, wiem o tym. Dlatego właśnie kazałem wam stanąć z tyłu katapulty w pewnej odległości. Bałem się, że ładunek garnka zapłonie od samej siły uderzenia, kiedy ramię styka się z podstawą onagera.

Potarł szyję.

– Problemem jest ta cholerna nafta. Ciągłe stanowi główny komponent mieszanki. Tak długo, jak długo będziemy się borykać z tym płynnym gównem, nie posuniemy się ani o krok w naszych badaniach.

Maurycy burknął.

– A co takiego dodałeś tym razem? – Kiwnął głową w kierunku płonącego w oddali ognia. – Cokolwiek to było, dało zupełnie inny efekt i rezultat niż nasze poprzednie próby.

Jan spojrzał na płomienie. Jego niebieskie oczy lśniły jak diamenty, tak jakby chciał podporządkować sobie ten ogień i zmusić go do przybrania konkretnego kształtu samą tylko siłą woli.

– Saletra – wymamrotał.

Maurycy wzruszył ramionami.

– Dlaczego więc nie zmieszasz tej saletry z czymś innym? Z czymś, co nie jest płynne. Z gliną albo proszkiem. Z czymkolwiek, co się pali i jest niekłopotliwe w transporcie.

– A niby cóż to ma być? – zapytał złowrogo Jan. I dodał z uśmiechem – Siarka?

– A dlaczego nie? – zapytała lekko Antonina. Jak zwykle próbowała pocieszyć i rozweselić

oficera marynarki po tym, jak jego kolejny projekt okazał się nic nie warty.

Jan zrobił głupią minę.

– Dajcie spokój. Czy wachaliście kiedyś płonąca siarkę?

– No to nam pokaż – powiedział Maurycy. – Tylko się upewnij, że stoimy pod wiatr.

Jan pomyślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? – A potem dodał z uśmiechem: – Jeżeli już jesteśmy przy głupotach, to dlaczego nie zrobić z tego zwyczajnego miszmaszu? Co się jeszcze pali z łatwością, ale nie powoduje, że żołnierze stają się zrzędlivi?

– Co myślisz o węglu, Maurycy? – spytała Antonina. (Oczywiście żartobliwie. Mężczyźni byli tacy zrzędlivi. Jak dzieci, które cierpią na nieustanny ból zębów.)

Maurycy zaprotestował.

– Jest zbyt ciężki.

Jan z Rodos rozłożył ręce w geście rozpaczy.

– No to może węgiel drzewny? Co wy na to?

Zanim Maurycy zdążył odpowiedzieć, Antonina przypadła do Jana i otoczyła jego talię ramionami.

– Spokojnie, Janie. Nie denerwuj się.

Zaczął się na nią boczyć. Ale nagle, widząc kącikiem oka, że ktoś nadchodzi, udawana złość zamieniła się w obleśny, pożądlivy grymas.

– Cudownie, nieprawdaż? Dobrze! Będzie, jak tylko zechcesz. Chodźmy do warsztatu, a Maurycy niech posprząta ten bałagan.

Otoczył ramieniem kibić Antoniny. Objęci ruszyli w kierunku warsztatu. Kiedy tak szli, ręka Jana opadła lekko w dół i spoczęła na biodrze kobiety.

Maurycy nie musiał się nawet odwracać. Wiedział, co zobaczy. Prokopiusza wychodzącego w willi, wpatzonego ciekawie w objętą parę.

Maurycy sapnął ze złości i spojrzał w górę, w niebo.

Któregoś dnia przechytrzysz samego siebie, Belizariuszu. Grasz zbyt ryzykownie. Mogłeś mi powiedzieć, młodzieńcze. Gdybym sam się nie domyślił odpowiednio szybko i nie szepnął słówka chłopcom, twój mechaniczny geniusz z Rodos zostałby znaleziony ze sztyletem wbitym w plecy.

Maurycy odwrócił się w stronę willi.

Z pewnością stał tam Prokopiusz.

Wydał z siebie kolejne niezadowolone sapnięcie.

A od tego czasu jedyna rzecz, jaką mogę zrobić, to pilnować chłopców, aby jemu nie wbili noża w plecy.

Generałowie i ich cholerne plany!

Sztylet i taniec

Tygodnie później Raghunath Rao doszedł do wniosku, że w końcu zgubił swoich prześladowców. Tak jak się spodziewał, prześladowcy zostali zmyleni tym, że obrał trasę na zachód. Wróg spodziewał się, że Wicher popędzi na południe, wprost do Maharasztry. Zamiast tego uciekł na zachód, w głąb Rann Kutch.

Przez kilka następnych dni, kiedy przedzierał się przez słone bagna, nie dostrzegł nawet śladu swoich prześladowców. Teraz, kiedy w końcu dotarł do morza, był pewien, że nikt za nim nie podąża od dość dawna.

Postanowił tej nocy założyć obozowisko na plaży. Prawda, wystawiał się na ludzkie oczy, ale

ryzyko dostrzeżenia było tak małe, że zdecydował się je podjąć. Miał już dosyć bagien. Morskie powietrze spłynie na jego ciało niczym balsam na obolałą duszę.

Nie miał nic w ustach przez dwa dni, ale zignorował uczucie głodu. W pośpiechu nie miał czasu na przygotowywanie posiłków. Jutro podąży wzdłuż wybrzeża dookoła półwyspu Kathiawar. Z pewnością napotka na swej drodze rybackie wioseczki. Mówił płynnie w języku *gujarati* i nie miał żadnych wątpliwości, że spotka się z przyjaznym powitaniem. Dżinizm ciągle pozostawał silną religią w Gudżaracie, a już szczególnie w małych osadach położonych daleko od ośrodków potęgi Malawian. Rao był pewien, że zyska sobie akceptację tubylców. I może nawet ich cichą i tajną pomoc.

Rao nie był dżinistą, ale respektował tę wiarę i znał dobrze jej dogmaty. W swojej młodości przestudiował je bardzo dokładnie i chociaż sam nie uwierzył, wiele z poznanych prawd wkomponował w swoją własną synkretyczną postać boga. Podobnie jak uczynił z dogmatami wiary buddyjskiej.

Okrążenie półwyspu zajmie mu trochę czasu. A potem jeszcze więcej czasu, żeby znaleźć jakąś łódź, która przewiezie go przez zatokę Khambhat. Kiedy już znajdzie się po drugiej stronie, labirynt Niezmierzonego Kraju będzie zaledwie o dwa kroki od niego.

Na jego twarzy pokazał się uśmiech.

W rzeczy samej, w jednym Ousanas się nie mylił. Dobre plany, podobnie jak dobre mięso, najlepiej wykorzystywać, kiedy są świeże. Cóż to za wspaniały człowiek! Mogę mu nawet wybaczyć te jego dziwaczne filozoficzne poglądy. „Wieczne i niezmiennie formy”, zapamiętaj sobie!

Uśmiech zniknął. Rao zaczął rozmyślać, jak przebiega podróż skarbu jego duszy. Oczywiście księżniczka jest w jak najlepszych rękach. Ale ciągle tkwi w samym sercu terytorium tych asuryjskich psów.

Znów odepchnął tę myśl na bok. Zgodził się na plan cudzoziemców, a przecież nie był człowiekiem poddającym się nie służącym niczemu wątpliwościom i czarnym myślom. Poza tym, to był bardzo dobry... nie, to był doskonały plan. Szakuntala została ukryta w jedynym miejscu, gdzie Malawianie, pełni pychy i arogancji, nie znajdą jej, gdyż ta kryjówka nie przyjdzie im do głowy. A poza tym nie miał wyjścia. Wspominając ostatnie tygodnie, Raghunath Rao wiedział z pewnością, że nie daliby rady uciec we dwoje, gdyby Szakuntala z nim została. Nawet sam ledwo uszedł pogoni.

A teraz? Teraz przyszłość stała otworem. Kiedy już dotrze do Niezmierzonego Kraju, Pantera z Maharasztry wyda z siebie ryk. Jego słowa rozejdą się jak światło. Znów Wicher uderzył w twarz wroga. Cóż za upokarzający cios! Uwolniono potomka dynastii Satawahana! I uczynił to Wiatr, przemykając nad wierzchołkami wzgórz!

Nowa armia, którą zgromadzi, sprawi, że imię Maharasztry stanie się dla Malawy synonimem klęski. W Niezmierzonym Kraju władza tych asuryjskich psów legnie w gruzach. Będzie odczuwalna tylko w dzień, w dużych miastach. Kraj stanie się śmiertelną pułapką dla Ye-tai i Radżputów i całej tej hordy krwawych demonów.

Zaczął się głowić nad taktyką i różnymi strategiami, ale, po raz kolejny, odepchnął te myśli. Będzie miał na to czas w przyszłości. A nawet bardzo dużo czasu.

Znów uśmiechnął się lekko, przypominając sobie ostatnią rozmowę z Szakuntalą. Tak jak się spodziewał, księżniczka wpadła we wściekłość, kiedy przedstawił jej szczegóły wspólnego planu. Ale w końcu zgodziła się.

Oczywiście wcale jej nie przekonał. Nie uwierzyła, że będzie tylko zawadą podczas wspólnej ucieczki. Nie, zgodziła się na plan cudzoziemców z poczucia obowiązku. Była mu posłuszna, gdyż podobne nauki wbijał jej w tę śliczną, upartą główkę od małego.

Nie była już księżniczką. Ani dziewczynką, dla której życie jest przygodą. Teraz była imperatorową, władczynią leżącej w gruzach Andhry. Jedynym potomkiem dynastii Satavahana. Na jej barkach, na jej duszy, spoczywał los całego królestwa i jego mieszkańców. Nie mogła ryzykować życiem, gdyż od tej chwili nie należało ono do niej. Tak długo, jak długo żyła, rebelia przeciwko asuryjskim psom miała punkt zaczepienia, uchwyt dający pewność, że zwycięstwo może kiedyś nadejść. Bez niej powstanie byłoby tylko zwykłym rozbojem na gościńcu.

To ona musiała przetrwać i wykuć nowe sojusze, jakich potrzebowała krwawiąca Andhra. A do tej pory nie potrafił sobie wyobrazić lepszego sojusznika, niż człowiek, który zaplanował i pomógł zrealizować ich uwolnienie. Ci ludzie, i ich nieznaną cel, mogli posiadać klucz, który wyzwala demony z pudełka. Obowiązki. Obowiązki. Obowiązki.

W końcu się zgodziła, tak jak przewidywał Raghunath Rao. A raczej był pewny. Dusza księżniczki nie pozwoliła jej postąpić inaczej.

Poczuł dawny i zastarzały ból. Zdusił go łatwo, tak jak to czynił wielokrotnie. Ale potem, niepodobnie do poprzednich ataków, pozwolił, aby ból znów go ogarnął.

Tylko tym razem, tym jednym razem, pozwolę na to. I już nigdy więcej.

Spędził kilka minut zagubiony w marzeniach. Rozmyślał o igraszkach czasu, zastanawiał się, co by było, gdyby, w jakimś innym obrocie koła fortuny, w jakimś innym świecie, duszy księżniczki i jego własnej nie rozdzielała *dharma*.

Może. Któż to może wiedzieć?

Wkrótce marzenia odeszły. Jego życie wypełniała szorstka samodyscyplina i wielka prostota, i te właśnie nawyki automatycznie przejęły nad nim kontrolę. Tak więc stary ból ponownie został pogrzebany głęboko w umyśle, tym razem jednakże bardziej bezwzględnie niż wcześniej.

Może z powodu większego niż zwykle wysiłku, jakiego wymagało odepchnięcie marzeń, jego myśli zwróciły się ku wierze. Nie był specjalnie oddany starodawnym rytuałom w ogólności. Osobiście uznawał „Wedy” za skarb, ale stare praktyki nie zaprzętały jego umysłu. Dawno temu doświadczył drogi *bhakti*, drogi uwielbienia boga, zanim jeszcze Mahwedzi zamienili dostojne rytuały w okrutne i barbarzyńskie ofiary.

Słońce zaczęło chować się za horyzont nad wodami Oceanu Indyjskiego, pokrywając jego wody i piaski wybrzeża złotopurpurowym blaskiem.

Tak, teraz złoży ofiarę.

Szybko rozpalil trzy rytualne ognie. Kiedy już płomienie strzelały wysoko, wyjął ofiarę ze skórzanego mieszka.

Zostawił sobie tylko ostatnią kartę. Inne spalił w ogniu w lesie pod pałacem Venandakatry, tygodnie wcześniej. Gdyby znaleziono je przy jego martwym lub żywym ciele, mogłyby posłużyć jako ślad na drodze do człowieka, który je napisał. Ale ostatnia karta, nawet gdyby wpadła w ręce Malawian, wydałaby się im tylko mistycznym i tajemniczym przedmiotem.

To przesłanie było najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał w całym swoim życiu. Poświęci ją teraz, aby zapewnić sobie dobrą przyszłość.

Zanim wrzucił kartę w ogień, przeczytał po raz ostatni napisane na niej słowa.

... jak możesz sobie wyobrazić. Więcej nie mogę ci powiedzieć z całą pewnością. To bardzo dziwny człowiek. Podobny trochę do pełnego milczącej urazy i pretensji dziecka. Wielkiej urazy i mnóstwa pretensji, w to nie wątpię. Ale jest jednocześnie sprawiedliwy, tak mniemam.

Ale posiada także wielką moc, której sam doświadczyłem wielokrotnie. To największa moc na ziemi, moc wiedzy i poznania.

Nie znam jego imienia. Nie jestem pewny, czy on sam je zna.

Jednak wierzę. To nie pochodzi z mojej wiary, chociaż nie wiem doprawdy, dlaczego miałyby być przez nią wyklęte. Nie uważa też podobnie najświętszy mąż, jakiego znam. Ta pewność pochodzi z wizji. Wizji, której doświadczyłem tylko raz. Widziałem ciebie tańczącego w rytm padającego świata.

Uważam, że jest Kalkinem. Dziesiątym awatarem, dawno obiecanym i wysłanym po to, aby pokonać demony i zabić psy, które im służą.

Albo, przynajmniej, nauczyć nas tańca śmierci.

Raghunath Rao wrzucił papirus do ognia i patrzył, aż ten się do końca spalił. A potem wyjął z pochwy sztylet. Tę broń także zamierzał poświęcić.

Prawda, sztylet był wspaniały. Ale czas sztyletu przeminął.

Ale kiedy się przygotowywał do położenia broni na płonących głowniach, nasza go nagła myśl. Nie mógł się jej oprzeć i uważał, że doskonale pasuje w tej sytuacji.

Pałący ból i radosne zdziwienie zmieszały się w jego duszy, a Raghunath Rao skoczył na równe nogi.

Tak! Teraz zatańczy!

I zatańczył na morskim brzegu w złotych promieniach słońca. Bo Raghunath Rao był wielkim tancerzem. A teraz, na skraju płynnego złota, w złotym blasku nowej nadziei, tańczył ten taniec. Ten wielki, przerażający taniec, którego nie mógł zapomnieć. Taniec stworzenia. Taniec zniszczenia. Wirował jak derwisz, tańcząc taniec czasu.

A kiedy tańczył i obracał się wedle kół losu, nie pomyślał nawet przez chwilę o swoich wrogach i ich nienawiści. Bo oni, w końcu, byli tylko nicością. Myślał tylko o tych, których kochał, i tych, których pokocha w przyszłości, i dziwił się, widząc ich liczbę.

Tańczył dla swojej imperatorowej, chwając jej wspaniałość i wielkość, i dla swojego ludu, sławiąc jego chwałę. Tańczył dla oceanu i dla zwycięstwa, które powstanie na jego brzegach. Tańczył dla przyjaciół z przeszłości i towarzyszy z przyszłości. A najwięcej ze wszystkiego tańczył dla samej przyszłości.

W końcu, czując, że słabnie, Raghunath Rao ujął w dłoń sztylet. Popatrzył na niego z zachwytem po raz ostatni i rzucił cenny przedmiot w morskie fale. Nie mógł wymyślić lepszego miejsca dla tak pięknego daru niż złote fale przyływu Oceanu Indyjskiego.

Wykonał ostatni, wirujący, psotny skok. Och, skoczył tak wysoko! Tak wysoko, że zanim wpadł do wody, miał czas, aby wykrzyczeć z siebie całą nagromadzoną radość.

Och, wielki Belizariuszu! Czy nie widzisz, że jesteś tancerzem, a Kalkin duszą twego tańca?